

**PRZY
FWARZE
JÓZEFA
ŚWIAŁBY**

Andrzej Paczkowski

Las-30p-09

Z556013

**TRZY
TWARZE
JÓZEFA
ŚWIĄTEŁY**

Przyczynek do historii
komunizmu w Polsce

Prószyński i S-ka

E₀ 2100/2009

39,90

Copyright © Andrzej Paczkowski, 2009

Projekt okładki
Sylvia Tymkiewicz

Redaktor prowadzący
Dorota Górecka

Redakcja
Agnieszka Ogrodowczyk

Korekta
Anna Gabrys

Redakcja techniczna
Elżbieta Urbańska

Łamanie
Maciej Trzebiecki



Z556013

ISBN 978-83-89325-87-7

Warszawa 2009

Wydawca
Prószyński Media Sp. z o.o.
02-651 Warszawa, ul. Garażowa 7

Druk i oprawa
Drukarnia Wydawnicza im. W.L. Anczyca S.A.
30-011 Kraków, ul. Wrocławska 53

Spis rzeczy

WSTĘP	7
-------------	---

Część I: IZAK FLEISCHFARB

Od Medynia do Krakowa	21
Kraków i komunizm	28
Fryda, rodzina i wojsko	42
Wojsko i kampania wrześniowa	47
Zsyłka i Dżambuł	55
Wojna: „kościuszkowiec”	64

Część II: JÓZEF ŚWIATŁO: ZBRODNIA

Pomagier	73
W terenie	87
Na tropach wroga wewnętrznego: początki	106
Biuro Specjalne	134
X Departament	147

Część III: JÓZEF ŚWIATŁO: DEMASKACJA I DESTRUKCJA

Ucieczka	171
Cisza i burza	189
Demolka i zemsta	202
Za kulisami bezpieki i partii	216

POSTSCRIPTUM

„Junior”	231
„Kogut”	241

ZAKOŃCZENIE 251 |

Indeks nazwisk	255
Wykaz skrótów	262



Wstęp

„Przykro mi, ale zmuszony jestem zakłócić harmonię pana wypieszczonego artykułu (...). Dla mnie Światło bowiem (...) miał tylko jedną twarz – wredną twarz sowieckiej kanalii, która od dawna już gnije na śmietniku historii wśród podobnych mu sługusów sowieckich i byłych zarządców eksowieckiego protektoratu, państwa bezprawia pod tytułem: peerel” – napisał do mnie pan Maciej Świerczyński po opublikowaniu w dzienniku „Rzeczpospolita”, w grudniu 2003 r., obszernego artykułu noszącego taki sam tytuł jak książka, którą niniejszym poddaję pod osąd czytelników.

Nie ma powodów, aby nie zgadzać się z tą opinią. W pamięci tysięcy ofiar bezpieki i ich bliskich, a także w myślach i tekstach tych, którzy teraz badają losy tych ofiar, Józef Światło personifikuje tragiczne lata w dziejach narodu. Jest także jedną z niewielu osób, które uosabiają całe zło komunistycznego reżimu, również i to, które było popełniane w latach, gdy on sam jako uciekinier przebywał po drugiej stronie Atlantyku. Rzeczywiście – osobiście aresztował i znęcał się nad setkami osób o różnej proveniencji ideowej czy politycznej, na mocy jego rozkazów aresztowano tysiące ludzi, należał do elity organizacji, która bez żadnych wątpliwości była instytucją zbrodniczą, służyła zaprowadzeniu i umocnieniu w Polsce przestępczego systemu politycznego, uciekając się w tym celu do masowych morderstw i dążąc do upodlenia tysięcy ludzi. W imię śmiertelności ideologii i dla własnego interesu służyła zniewoleniu narodu.

Czyż jednak ma to oznaczać, iż nie należy próbować opisać zarówno samej ideologii i systemu, który się z niej wywodził, jak i instytucji, które powstały, aby ideę tę wcielać w życie? A jeśli można (należy) takie próby podjąć, to czy przestają obowiązywać zwykłe standardy poznawcze? Nie ma nic zdrożnego w tym, że ktoś ograniczy swój opis do jednego tylko wątku czy problemu,

np. koncentrując się na tym, jak i kto tych zbrodni dokonywał, albo kim były i jak cierpiały ofiary. Jeśli zaś decyduje się na przedstawienie kata, to nie interesuje go, kim on był, zanim wziął do ręki topór ani co się z nim działo, gdy przeszedł na emeryturę. Nie jest to jednak jedyny uprawniony sposób pisania o historii. Można przecież starać się wyjaśnić, dlaczego kat podjął się wykonywania tej funkcji, jakie miał motyw, jak długo wytrwał na stanowisku, w jakich okolicznościach i z jakich powodów przestał je pełnić, czy czynności, które gorliwie wykonywał, pozostawiły w nim jakiś ślad, czy poniósł karę lub uznał, że musi dokonać ekspiacji? Pytania te same w sobie nie są zdrożne i uważam, że można je uznać nie tylko za zasadne, a nawet niezbędne, jeśli nie chcemy ograniczać się do historii jednowymiarowej, która może jest moralnie słuszna, lecz grozi jej, że stanie się uboga i po prostu mniej interesująca. Dlatego uparłem się, aby opisać nie tylko „jedną, wredną twarz sowieckiej kanalii”, ale i inne. Oczywiście, jeśli na nie natrafie. Jak mi się wydaje – natrafiłem.

Postać Józefa Światły zainteresowała mnie nie tylko jako przykład kogoś, kto stał się katem, a później publicznie porzucił to „miejsce pracy”, aczkolwiek opisanie jej może być ciekawe. Wydaje mi się ponadto, że łatwiej będzie pokazać niektóre mechanizmy aparatu terroru, opisując człowieka, który w nim bezpośrednio uczestniczył, a nawet odegrał znaczącą rolę w kluczowym okresie tworzenia systemu opartego na represji, kontroli nad społeczeństwem i podporządkowywaniu go sobie. Jakkolwiek ci wszyscy, którzy należeli do tego aparatu, działali w ramach określanych przez struktury, procedury i wewnętrzne zwyczaje, to jednak „czynniki ludzki” miał istotne znaczenie: przecież to jakaś konkretna osoba podejmowała decyzje i wydawała rozkazy, to ktoś konkretny przesłuchiwał i – jeśli uważał za niezbędne lub inaczej nie potrafił – bił i torturował. Krótko mówiąc, uznałem, że osoba Światły może być kimś w rodzaju przewodnika po pewnej części labiryntu безпеki czy medium, przy pomocy którego możemy choć trochę wnikać w tamten trudno rozpoznawalny świat.

Drugi powód zewnętrzny, nieosobowy, dla którego stwierdziłem, że warto zająć się Józefem Światłą jest trudniejszy do przedstawienia, ponieważ dotyczy bardzo drażliwego, obarczonego wieloma stereotypami i emocjami problemu. W 1991 r., pochodzący z Polski szwedzki socjolog Jaff Schatz, opublikował w prestiżowym wydawnictwie University of California Press pokazną książkę *The Generation. The Rise and Fall of the Jewish Communists of Poland*. Ostatnie z użytych w tym tytule określeń jest trudne do przełożenia. Być może, jak proponuje Konstanty Gebert, należałoby je przetłumaczyć jako „polscy żydowscy komuniści” lub „żydowscy komuniści z Polski”. Autor objaśnia czytelników, że chodziło mu o przedstawienie – przy użyciu narzędzi raczej z repertuaru socjologa niż historyka, tj. na podstawie zebranych ponad stu relacji i ankiet, ale bez studiowania dokumentów i przeszukiwania archiwów – zbiorowych losów tych polskich Żydów „urodzonych około 1910 r.”, którzy „przyłączyli się do ruchu komunistycznego na przełomie lat 20. i 30., przeżyli

II wojnę światową w Związku Sowieckim i po wojnie odbudowywali swoje życie w Polsce. Dwie i pół dekady później [chodzi o rok 1968], ponieśli klęskę i ponownie stali się wygnańcami, opuszczając Polskę jako resztki polskiego żydostwa”. Schatz uważa, iż grupa ta – której liczebności nie sposób precyzyjnie określić, ale mogła liczyć nawet ponad tysiąc osób – spełnia kryteria przyjęte przez słynnego socjologa Karla Mannheima dla „generation unit” i dlatego zatytułował swoją książkę *The Generation – Pokolenie*.

Pośród cech charakteryzujących Pokolenie były trajektoria i chronologia awansu. Przed wojną znajdowało się ono na marginesie polskiego (zaś z uwagi na komunizm de facto także żydowskiego) życia publicznego, a status społeczny nawet tych jego przedstawicieli, którzy należeli do warstw zamożniejszych, był stosunkowo niski. Bariery etniczne istniejące w Polsce utrudniały im – w wielu zawodach wręcz uniemożliwiały – dostęp do stanowisk państwowych, a nadto byli za młodzi, aby osiągnąć wyższe szczeble kariery zawodowej lub w ogóle na serio ją rozpocząć. W latach wojny ludzie należący do Pokolenia ocalali z Holocaustu, który pochłonął ogromną większość ich bliskich i znajomych, przeszli przez okres wegetacji na sowietyzowanych Kresach Wschodnich Rzeczypospolitej, a później poniewierkę i poniżenia: deportacje w 1940 r. lub chaotyczną ewakuację z czerwca 1941 r., gdy III Rzesza rozpoczęła kolejny *Blitzkrieg*, nędzny żywot w kazachskich kolchozach, poduralskich lub altajskich „gospodarstwach leśnych” czy też służbę w *strojbatalionach*, na wpół karnych jednostkach *Raboczjo-Krestianskoj Krasnoj Armii*.

Po zakończeniu wojny i powrocie do Polski – choć często nie był to powrót do Małej Ojczyzny, bo ta została „za Bugiem” – okazało się, że Pokolenie stało się zbiorowością, która osiągnęła niespodziewany i ogromny sukces: jego członkowie byli w wieku największej aktywności zawodowej (mieli po 30–40 lat), a zarazem zdolności do adaptacji w zmienionej sytuacji, stwardnieli przez lata, nabrali dodatkowego poczucia wspólnoty dzięki pobytowi w podobnych warunkach, zwłaszcza gdy po „amnestii” z 1941 r. byli skupieni przez kilka lat w paru miastach sowieckiej Azji Środkowej. Głównym atutem Pokolenia stało się jednak dawne zaangażowanie jego członków w komunizm, budowana właśnie „nowa Polska” musiała mieć bowiem oparcie w osobnikach oddanych, ideowych i sprawdzonych, a takich nie było zbyt wielu. Do partii komunistycznej (PPR) masowo i coraz chętniej napływali ludzie z różnych grup, głównie z nizin społecznych, zwłaszcza młodzi. Nie brakowało też – a nawet przeciwnie: było ich aż zbyt wielu – konformistów, którzy dobrze wyczuli czym jest PPR: „władzy raz zdobytej nie oddamy nigdy” – deklarował jej przywódca, Władysław Gomułka, w czerwcu 1945 r. Prognoza ta spełniała się przez kolejne 44 lata. Jednak masa ideowych nuworysz, nawet jeśli ich lojalność nie budziła zastrzeżeń, była w większości *niegramotna*, nie miała doświadczenia politycznego, a przede wszystkim nie przeszła testu wierności liczonego w latach odsiedzianych w „sanacyjnych więzieniach”. Toteż ludzie z Pokolenia trafili do wszystkich ogniw władzy, w których wymagane były

wierność i oddanie: aparatów partyjnego, państwowego, gospodarczego, propagandowego (cywilnego i wojskowego), a także bezpieczeństwa. Jako zbiorowość pierwszą klęskę Pokolenie przeżyło jednak nie w 1968 r., jak pisze Schatz, ale już w 1956 r., kiedy na wyższe szczeble władzy zaczęła wdzierać się generacja nie tylko młodsza, lecz przede wszystkim nie mająca „obciążeń narodowościowych”. To wtedy nastąpił pierwszy exodus pewnej grupy „Jewish communists of Poland”, gdyż wielu z nich uznało, że komunizm, nie ten wyobrażony i wyśniony, a ten realnie istniejący, zdradził ich, łykając w ojczyźnie światowego proletariatu bakcyła sowieckiego szowinizmu, a nad Wisłą polskiego nacjonalizmu. Większość jednak dotrwała do 1968 r.

Przez wiele lat Józef Światło (do 1944 r. Izak Fleischfarb) był, jeśli nie typowym, to bliskim wzorcowego, przedstawicielem Pokolenia: przed wojną komunizował, wojnę spędził najpierw w sowieckim obozie pracy, potem w Kazachstanie, aby następnie przywdziać szynel żołnierza dywizji „kościuszkowskiej” i walczyć pod Lenino; w 1944 r. został przeniesiony do aparatu bezpieczeństwa, w którym szybko objął umiarkowanie wysokie stanowiska (zastępca szefa w trzech kolejnych WUBP). Nawet jego późniejszy awans na wicedyrektora departamentu MBP można uznać za mieszczący się w „pokoleniowej normie”. Wyłamał się jednak z niej już w końcu 1953 r., gdy zdecydował się przejść na drugą stronę żelaznej kurtyny, a przede wszystkim, gdy zgodził się na odegranie głównej roli w wielkiej kampanii propagandowej trwającej od października 1954 r. przez wiele miesięcy. Rozegrano ją w serii audycji Radia Wolna Europa (RWE) zatytułowanej „Za kulisami bezpieki i partii”, a emisje radiowe zostały wzmocnione przerzuceniem do kraju przy pomocy balonów setek tysięcy egzemplarzy broszury z wyborem tekstów z tych audycji. Gdy więc w 1957 r. niektórzy jego koledzy z bezpieki rozczarowani utratą stanowisk i coraz silniej przejawiającym się w partii komunistycznej nacjonalizmem emigrowali do Izraela, Światło był konsultantem CIA, a swymi wypowiedziami radiowymi i wystąpieniami prasowymi usiłował wpływać na wydarzenia w Polsce.

Użyłem tu neutralnego określenia Pokolenie, ale w licznych publikacjach i w obrębie pewnej części dyskursu publicznego stosuje się inne: żydokomuna. Określenie to wywodzi się jeszcze z lat 20., z okresu wojny polsko-bolszewickiej 1920 r., gdy jednym z głównych argumentów w arsenale polskiej propagandy patriotycznej było przedstawianie bolszewickiego niebezpieczeństwa w odstraszałającej postaci osobnika będącego mieszanką dziczatego *mużyka* o rysach Azjaty i podstępного Żyda. Muszę czytelników tej książki uspokoić – lub rozczarować – ale nie zamierzam wchodzić w debatę, w której rzadkie są głosy spokojne i racjonalne, a przeważają emocje, nieraz rozpalone do czerwoności. Zainteresowanych odsyłam do obfitej literatury – od prac Jana Tomasza Grossa, przez eseje Krystyny Kersten czy Henryka Szlajfera, po dytyramby Jerzego Roberta Nowaka. Sam zaś deklaruję, że jednym z zamiarów, które mi przyświecały przy pisaniu tej książki, a właściwie przy podejmowaniu decyzji, żeby ją napisać, była próba przedstawienia

problemu Pokolenia, czyli żydokomuny, na przykładzie jednej tylko osoby – Józefa Światły. Wskazywany był on nieraz jako najbardziej typowy przedstawiciel gatunku, co uważam za poważne uproszczenie, kryterium zaliczenia do Pokolenia nie wymaga bowiem piastowania stanowisk akurat w bezpieczeństwie, gdyż większość trafiała do innych jednostek aparatu władzy. Ponadto Światło znacznie wcześniej niż większość jego pokoleniowych druhów poróżnił się z komunizmem, a może po prostu się go przestraszył. Wychodzi na to samo: uciekł z państwa komunistycznego, a być może – choć zapewne nie od razu lub wręcz nigdy, tego nie wiem – okazał się zbiegiem także z obszaru ideologii stojącej u podstaw tego państwa. W tamtym czasie (do 1956 r.) było to działanie absolutnie wyjątkowe i z tego powodu nie może być on traktowany jako przykład „typowy”. Nie unieważnia to jednak, mam nadzieję, dokonanego przeze mnie wyboru.

Krótko mówiąc: postanowiłem napisać biografię Fleischfarba/Światły po pierwsze dlatego, że podejmując decyzję o ucieczce, stał się Kimś, osobą, która wywarła duży wpływ na wydarzenia w Polsce, a więc choćby z tego powodu wartą przedstawienia; po drugie dlatego, że mam nadzieję, iż pokazanie jego aktywności w bezpieczeństwie daje możliwość w miarę interesującego przedstawienia niektórych działań tej instytucji; dlatego wreszcie, że problem stereotypu żydokomuny jest wciąż ważny w naszym życiu publicznym, a Światło jest jak mało kto silnie wpisany w ten stereotyp.

Jednak żeby zrobić to na tyle rzetelnie, na ile potrafię, musiałem podzielić życie tego Żyda i komunisty na fragmenty, tak, żeby zobaczyć różne role w jakich występował, a także przyjrzeć się przemianom jakie w nim zachodziły. Stąd tytuł tej książki i jej konstrukcja: „twarz pierwsza”, czyli Izak Fleischfarb od urodzenia do jesieni 1944 r., „twarz druga”, czyli Józef Światło jako ważna osobistość w aparacie terroru i „twarz trzecia”, czyli tenże Światło, który głośno mówiąc to, co powszechnie wiadano, ale ze strachu skrywano, przyczynił się do kryzysu zaufania w komunistycznej elicie władzy, co wymusiło istotne zmiany w aparacie bezpieczeństwa. „Twarz czwarta”, czyli żywot uciekiniera pod ochroną CIA gdzieś w Stanach Zjednoczonych Ameryki nie jest objęta tytułem, nieco dalej wytłumaczę dlaczego.

Dodatkowym bodźcem do podjęcia tematu był fakt, że o ile nie brakuje na naszym rynku wydawniczym publikacji o strukturach, procedurach i ofiarach bezpieki, o tyle prawie nie ma monograficznych publikacji o jej ludziach czy też funkcjonariuszach, których część była zresztą raczej potworami niż ludźmi. W istocie opublikowano do tej pory dwie takie prace. Są to książki Barbary Fijałkowskiej *Borejsza i Różański. Przyczynek do dziejów stalinizmu w Polsce* oraz Krzysztofa Lesiakowskiego *Mieczysław Moczar „Mietek”. Biografia polityczna*. Obie oparte są na solidnej kwerendzie archiwalnej – a praca Fijałkowskiej ponadto na relacjach składanych Autorce osobiście przez Różańskiego, jednak biografia Różańskiego powstała w okresie (druk w 1995 r.), gdy nie były dostępne niemal żadne dokumenty bezpieki, co siłą rzeczy zubożyło ją pod względem faktograficz-

nym, a konieczność „dzielenia” uwagi między dwóch braci Goldbergów (nazwisko rodowe Jerzego Borejszy i Józefa Różańskiego) zmusiła autorkę do ograniczenia wyводу. Ponadto więcej uwagi poświęciła Borejszy, dziennikarzowi i wydawcy, autorowi sloganu o „łagodnej rewolucji”, która miała się jakoby odbywać w Polsce, niż Różańskiemu, który znacznie bardziej niż Światło zasłużył na miano oberkata, gdyż przez pięć lat stał na czele pionu śledczego bezpieczeństwa, najbardziej złowrogiej komórki złowrogiego Resortu. Niemniej książka Fijałkowskiej stanowi ważny przyczynek do poznania aparatu terroru, a także daje pewne możliwości konfrontacji podczas pisania opracowań o innych sługach komunistycznego Zła. Podobnie należy ocenić rozprawę Lesiakowskiego, choć jego bohater stosunkowo krótko działał w bezpieczeństwie w czasach, gdy jej funkcjonariuszem był Światło, gdyż został odsunięty na „boczny tor” w 1948 r. (by wrócić do resortu osiem lat później). Różnego rodzaju biogramy niektórych ubeków – raczej krótsze niż dłuższe – znajdują się w pracach zbiorowych, w wydawnictwach dokumentacyjnych lub w przypisach czy aneksach do licznych opracowań, ale jak dotąd nie powstała (poza wspomnianą wcześniej) żadna biograficzna monografia. W każdym razie do chwili gdy piszę te słowa, nie została opublikowana. Na pewno jednak prace są w toku i można mieć nadzieję, że niebawem wzbogacą naszą wiedzę o bezpieczeństwie.

Powstało już parę nieco obszerniejszych tekstów biograficznych o Światle. Jacek Topyło opublikował w internetowej edycji czasopisma „Glaukopis” artykuł w cyklu *Dossier oprawców*, który jest oparty głównie na aktach osobowych (teczce personalnej) Światły, znajdujących się w archiwum IPN. Zacznie bogatszą bazę źródłową wykorzystała Anna Sobór do napisania artykułu *Podpułkownik Józef Światło – mit i rzeczywistość*, ogłoszonego w czasopiśmie „Studia Historyczne”. Koncentruje się ona jednak na reakcjach na ujawnienie obecności Światły za oceanem, a pozostałą część drogi życiowej zbiega opisuje pobieżnie. Najobszerniejszym „podejściem” do biografii osławionego ubeka jest książka Henryka Piecucha *Józef podpułkownik Światło in flagranti i...*, która ukazała się w 2003 r. Piecuch, mój znajomy z czasów, gdy wspinałem się w Tatrach, od wielu lat zajmuje się opisywaniem tajemnic bezpieczeństwa i wszelakich służb specjalnych, ma sporą, choć mało usystematyzowaną wiedzę na ten temat, która w dużym stopniu pochodzi z okresu, gdy przygotowywał – z inicjatywy MSW – wywiad-rzekę z Władysławem Pożogą. Ten wywiad ukazał się w 1987 r. pod nieco ciężkawym tytułem *Siedem rozmów z generałem dywizji Władysławem Pożogą, I zastępcą ministra spraw wewnętrznych, szefem wywiadu i kontrwywiadu*. Piecuch jest też autorem wydanej w 1990 r. książki *Rozmowy z [Anatolem] Fejginem*, tym funkcjonariuszem bezpieczeństwa, który przez kilka lat był bezpośrednim zwierzchnikiem Światły. Jest to ciekawa i ważna książka, zawierająca wiele informacji o tamtych faktach i ludziach.

Można więc sądzić, że Piecuch był dobrze przygotowany do napisania biografii Światły. Jednak, jak sam stwierdza, to, co napisał, „to książka magma. Książka chaos. Książka labirynt”. Całkowicie zgadzam się z tą opinią. Jest w niej nie tylko wielkie materii pomieszanie czy wiele bardzo ryzykownych hipotez

o cechach konfabulacyjnych, przytaczanych jako pewniki, choć bez żadnych materialnych dowodów. Ponadto autor ucieka przed poszukiwaniami źródłowymi w fikcję, wprowadza do narracji postaci z najróżniejszych epok w dziejach PRL (od Bieruta po Jaruzelskiego, od Światły po Kuklińskiego). Najwyraźniej chce epatować czytelnika. Z zawodowego obowiązku przeczytałem ją, tak jak z podobnych powodów czytałem inne książki Piecucha (do jednej z nich nawet napisałem coś w rodzaju wstępu) i stwierdziłem, że jej ukazanie się nie stoi na przeszkodzie próbie napisania rzeczowej biografii Światły, a nawet skłania do podjęcia się takiego zadania, gdyż liczba znajdujących się w niej pomyłek faktograficznych, fałszywych tropów i zwykłych bujd jest tak znaczna, iż książka ta po prostu wprowadza w błąd, powiela i wzmacnia stereotypy, pogłoski i plotki. Nie znaczy to, że nie da jej się czytać.

Szeroko rozumianej literatury przedmiotu w ostatnich latach przybywa, co w istotnym stopniu wynika z otwarcia dostępu do dokumentów bezpieki oraz podjęcia przez Instytut Pamięci Narodowej szeregu projektów badawczych dotyczących aparatu terroru. Dostarczają one informacji, ustaleń czy opinii, przydatnych w pracy, której się podjąłem, ale dla tej książki zasadnicze znaczenie mają badania nad Biurem Specjalnym i X Departamentem MBP, instancjami, które istniały w latach 1949–1954 i w których Józef Światło pełnił funkcje kierownicze. Dotychczasowa wiedza na ich temat została podsumowana w pracy zbiorowej *Departament X MBP. Wzorce – struktury – działanie* wydanej w 2007 r. pod redakcją Konrada Rokickiego. Niewątpliwie, bez badań przeprowadzonych przez redaktora tego tomu (o kadrze X Departamentu), przez Pawła Cerankę (o reperkusjach ucieczki Światły i rozwiązaniu X Departamentu), Roberta Spałka (o poszukiwaniu „wroga wewnętrznego” w partii komunistycznej), Jerzego Eislera (o uwięzieniu Władysława Gomułki), Mariusza Krzysztofińskiego (o aparacie terenowym X Departamentu) i Krzysztofa Szwagrzyka (o procesach funkcjonariuszy MBP w latach 1955–1958), opisanie kluczowego fragmentu biografii Światły byłoby bardzo utrudnione. Nie natrafiłem na tak solidne zaplecze w postaci opublikowanych już wyników badań nad innymi komórkami bezpieki, w których działał Światło, tj. o wojewódzkich urzędach bezpieczeństwa publicznego (WUBP) w Warszawie, Olsztynie i Krakowie. Do wcześniejszych okresów jego biografii istnieje sporo opracowań ogólnych np. o ruchu komunistycznym w Krakowie w latach 30. (m.in. Andrzeja Pilcha) czy dywizji „kościuszkowskiej”. Jeśli jednak w ogóle pojawia się w nich nazwisko „Fleischfarb”, to wyłącznie w aneksach dokumentacyjnych (np. w spisach odznaczonych za udział w bitwie pod Lenino). Nieźle udokumentowany w publikacjach jest natomiast jeden z najważniejszych epizodów w biografii Światły, a mianowicie jego udział we wspomnianej już kampanii propagandowej RWE, która opisana jest zarówno we wspomnieniach Jana Nowaka-Jeziorańskiego (*Wojna w eterze*), jak i w monografii Pawła Machcewicza „*Monachijaska menażeria*”, *walka z Radiem Wolna Europa 1950–1989*. Trochę elementów biograficznych znajduje się w świetnie opracowanej, powszechnie

znanej książce Zbigniewa Błażyńskiego *Mówi Józef Światło. Za kulisami bezpieki i partii 1940–1955*. Książka ta jest dla wielu osób głównym źródłem informacji nie tylko o MBP, ale także o samym jej bohaterze. Korzystałem z wielu opracowań i artykułów, poczynawszy od *Słownika geograficznego Królestwa Polskiego i innych ziem słowiańskich* z lat 80. XIX w., aby opisać region, z którego Światło pochodził; starałem się też poznać inne „krajobrazy” na których tle rozgrywało się jego życie. Szukałem informacji w internetowych bazach danych, nie znalazłem w nich jednak nic ważnego dla tematu tej książki. Nazwisko Światły pojawia się w wielu różnego rodzaju relacjach, ale są to przekazy nader fragmentaryczne (jak te, które dotyczą jego udziału w rozbijaniu konspiracji akowskiej w latach 1944–1945) lub obejmują efekty demaskatorskich audycji RWE (jak rozmowy Teresy Torańskiej z polskimi prominentami epoki stalinowskiej w książce *Oni*). Dla poznania losów Światły dosyć ważne są wspomnienia Theodore’a Shackleya, oficera CIA, który jako pierwszy przesłuchiwał zbiegającego z żelaznej kurtyny. Niestety, relacja o jego spotkaniach ze Światłą jest bardzo krótka. Ciekawym przyczynkiem są – wydane także po polsku – wspomnienia Hermanna Fielda (*Opóźniony odlot*), Amerykanina, którego Światło osobiście aresztował w sierpniu 1949 r. i nadzorował w czasie pobytu w więzieniu. Prawie pięćdziesiąt lat po tym wydarzeniu miałem okazję poznać Fielda, którego nienawiść do prześladowcy wprowadziła już wylakła, ale wspominał go wciąż z abominacją. Natomiast zaprzyjaźnił się z ubekiem, który się nim zajmował, gdy w październiku 1954 r. przeniesiono go z więzienia do eleganckiej willi rządowej. Ku memu zaskoczeniu, Field traktował tego funkcjonariusza prawie jak wybawcę, choć koniec swych cierpień zawdzięczał w rzeczywistości temu, który go aresztował: jedną z pierwszych informacji, które od Światły poszły w świat po ujawnieniu jego ucieczki, była właśnie ta o uwięzieniu Fielda. Nie udało mi się dotrzeć do innych osób, które znały Światłę w różnych okresach jego życia, gdyż większość z nich już nie żyje. Nie powiodły się próby zdobycia informacji od rodziny Światły, choć syn podpułkownika okazał mi życzliwość i usiłował pomóc, ale ostatni raz widział ojca gdy miał niewiele ponad 4 lata i właściwie w ogóle go nie pamięta. Rodzinne dokumenty (takie jak listy) i pamiątki (np. zdjęcia), jak mi powiedział, nie zachowały się. Nie żyją już żona Światły ani żadna z czterech jego sióstr.

Podstawą mojej próby rekonstrukcji biografii słynnego uciekiniera stały się więc siłą rzeczy dokumenty znajdujące się w archiwach. Nie obliczyłem, ile ich przeczytałem, ale były to setki tomów zawierających tysiące dokumentów i liczących z pewnością grubo ponad 20 tys. stron. Poczynając od akt z Archiwum Państwowego w Krakowie, dotyczących działalności Fleischfarba w komunistycznej młodzieżówce (w tym jego procesu z 1936 r.) czy losów jego rodziny w czasie okupacji niemieckiej, przez znajdujące się w Centralnym Archiwum Wojskowym dokumenty 12 pp Ziemi Wadowickiej, w którym służył w latach 1938–1939 (łącznie z kampanią wrześniową) i 1 DP im. Tadeusza Kościuszki, po dokumenty najwyższych władz partii komunistycznej z warszawskiego Archiwum Akt

Nowych czy przechowywane w Archiwum Ministerstwa Spraw Zagranicznych depesze związane z ujawnieniem obecności Światły w Waszyngtonie.

Kluczowe dane znajdują się jednak w archiwach Instytutu Pamięci Narodowej. Ich ilość wynika bezpośrednio z ucieczki Światły, a przede wszystkim z rozpoczęcia wielkiej kampanii propagandowej z jego udziałem. Najpierw w końcu grudnia 1953 r. – parę tygodni po zniknięciu – a później 29 września 1954 r., powołano w MBP specjalne komisje, których zadaniem było zarówno sprawdzenie przebiegu całego życia zbiega i zdrajcy, w tym szczególnie tego, co robił przed wojną (szperano w tym celu m.in. w materiałach pozostałych po krakowskiej komendzie Policji Państwowej), jak i ustalenie zakresu jego aktywności w bezpiece oraz zebranie opinii o nim. W wyniku prac tych komisji powstały liczne raporty, zestawienia i sprawozdania (w tym ze wszystkich departamentów operacyjnych MBP i z większości wojewódzkich instancji bezpieki) oraz kilkadziesiąt relacji, oświadczeń i zeznań składanych przez zwierzchników, współpracowników i podwładnych, a także przez znajomych sprzed 1945 r. i członków rodziny. Korzystanie z relacji, zwłaszcza powstałych w październiku i listopadzie 1954 r., czyli po ujawnieniu się zbiega, wymaga specjalnej ostrożności, gdyż piszący je mieli naturalną tendencję do przedstawiania sylwetki Światły w czarnych barwach. Któż by odważył się mówić dobrze o renegacie? To pewne, że gdyby Światło nie uciekł, dokumenty te albo by w ogóle nie powstały (relacje), albo byłyby rozproszone w dziesiątkach miejsc i do większości nie udałooby się dotrzeć. No ale gdyby nie uciekł, byłby postacią niemal anonimową, która dziś interesowałaby może kilkunastu specjalistów zajmujących się systemem represji. Kto pamięta o takich tuzach bezpieki jak Kazimierz Michalak czy Józef Dusza?

Znaczną pomocą w korzystaniu z dokumentów zgromadzonych przez komisje MBP jest fakt, że nie są one rozproszone, a więc łatwo je znaleźć. W archiwach IPN są jednak także dokumenty bezpośrednio dotyczące Światły, które znajdują się w różnych zespołach aktowych: od dokumentów z okresu jego działalności w krakowskim WUBP (1947–1948), przez protokoły zebrania komórki PZPR w MBP, do której Światło należał (notabene są one bardzo ciekawe), po dokumenty wywiadu dotyczące rozpracowywania go po ucieczce. Stał się więc przed tradycyjnym problemem większości historyków zajmujących się dziejami najnowszyimi: *embarrasse de richesse*.

Z jednym, a właściwie z dwoma wyjątkami: mimo podejmowanych prób nie udało mi się dotrzeć do archiwów służb specjalnych ani rosyjskich (sowieckich), ani amerykańskich. Oba supermocarstwa strzegą jak oka w głowie swoich tajemnic operacyjnych, także tych sprzed pół wieku, a więc sparciałych już i nie mających żadnego związku z aktualnymi problemami ich bezpieczeństwa. Prof. Rudolf Pichoja, naczelny dyrektor archiwów Federacji Rosyjskiej w czasach prezydentury Borysa Jelcyna, którego prosiłem o radę i pomoc, odpisał: „nie sądzę, że materiały archiwalne o Światle będą dostępne”. I rzeczywiście – w ogóle nie

dostałem odpowiedzi na moje pismo wystosowane w tej sprawie do Federalnej Służby Bezpieczeństwa Rosji. W rezultacie moja wiedza o jednym z istotniejszych epizodów w biografii Światły, wielomiesięcznej (styczeń–maj 1945 r.) współpracy z sowieckimi grupami operacyjnymi, jest szczątkowa. Negatywna była też reakcja Centralnej Agencji Wywiadowczej, która w jednym z pism oświadczyła, że „nie może ani potwierdzić, ani zaprzeczyć, że istnieją lub nie istnieją” materiały będące przedmiotem mojego zainteresowania. Ja z kolei utajnię metody, które stosowałem, by zerknąć choć w mały fragment tego, co znajduje się w aktach amerykańskiego wywiadu. Niestety, próby te zakończyły się niepowodzeniem. Z tego właśnie powodu nie mogłem opisać „czwartej twarzy” Józefa Światły, jego życia w Ameryce, a więc było nie było około 30 lat. Nie mogłem też zweryfikować na podstawie materiałów CIA motywów jego ucieczki i tego, czy przygotowywał się do niej, czy też decyzja o przejściu na drugą stronę podzielonego wówczas świata miała charakter spontaniczny. Jak podejrzewam, w rękach Agencji znajduje się też maszynopis wspomnień, które Światło napisał w latach 1955–1956, a które miały być wydane przez Jerzego Giedroycia. Byłby to, a raczej zapewne wciąż jest (chyba że ktoś tekst ten zniszczył), materiał o zasadniczym znaczeniu dla biografii podopiecznego CIA. Trudno – paru białych plam nie udało mi się zapelnić. Przyjemność ich wymazania pozostawiam innym badaczom.

Przy zbieraniu materiałów do tej książki spotkałem się z życzliwością ze strony wielu osób, które wspomagały mnie nie tylko dobrą radą, ale i podejmowały konkretne działania. Zza oceanu wspierali mnie przede wszystkim A. Ross Johnson, z waszyngtońskiego W. Wilson International Center for Scholars, zajmujący się historią RWE, dzięki któremu mogłem rozszyfrować część (ale nie całość) procesu powstawania audycji „Za kulisami bezpieki i partii”, oraz Włodzimierz Rozenbaum z Silver Spring, który ma wiele kontaktów wśród emerytowanych oficerów CIA i dobre rozeznanie w niektórych niuansach działania tej firmy. W różnych momentach informacji lub dokumentów z terenu amerykańskiego udzielili mi Bartosz Węglarczyk, Krzysztof Szymborski, Mark Kramer i Timothy Snyder. W archiwum Instytutu Hoovera na Uniwersytecie Stanforda materiałów dotyczących Światły szukała dla mnie Ewa Domańska. Możliwość opisanie epizodu o niewydanych wspomnieniach Światły zawdzięczam pomocy Jacka Krawczyka, szefa archiwum Instytutu Literackiego z Maison Laffitte pod Paryżem. Dotarcie do spuścizn Jana Nowaka-Jeziorańskiego i Zbigniewa Błazyńskiego, zdeponowanych w Zakładzie Narodowym im. Ossolińskich, ułatwiła mi Dobrosława Platt. Wspomniana już Anna Sobór, autorka biografii Jakuba Bermana – szefa szefów Światły – znalazła dla mnie informacje o siostrach Światły z czasów ich studiów na Uniwersytecie Jagiellońskim. Janos Tischler przejrzał zbiory archiwum Open Society w Budapeszcie, w którym znajdują się niektóre materiały RWE. Rozeznąć się w tych, które są przechowywane w Warszawie pomagał mi Piotr Osęka. Małgorzata Mroczkowska, dyrektor Archiwum MSZ, szukała na moją prośbę – i co ważniejsze znalazła – dokumentów bardzo ważnych dla opisu

2556013

pierwszych reakcji najwyższych władz PRL na wiadomość o ujawnieniu się dezertera. Aleksander Gurianow i Olga Czerepowa z moskiewskiego stowarzyszenia „Memoriał” wydobyli z lokalnych archiwów rosyjskiej milicji wypisy dotyczące deportacji Światły w 1940 r. Bez pomocy pana Michała Siwca-Cielebona, jednego z czołowych znawców Wadowie, nie zdołałbym rozgryźć zasad funkcjonowania 12 pp i przebiegu jego exodusu we wrześniu 1939 r. Gerhard Gnauck dostarczył mi plik odbitek z gazet niemieckich dotyczących ucieczki Światły. Paweł Ceranka, kiedy zarzucił pomysł napisania monografii X Departamentu MBP, szczerobliwie przekazał mi wszystkie swoje notatki i odbitki kserograficzne dotyczące tego tematu, a więc także Światły. Swoją wiedzę na temat sposobu traktowania przez Amerykanów uciekinierów na ich stronę dzielił się ze mną chętnie Leszek Pawlikiewicz. Mariusz Kluczewski z Archiwum Państwowego w Krakowie dopomógł w znalezieniu akt sądowych Izaka Fleischfarba, do których w 1954 r. nie dotarła nawet bezpieka. Podziękowania składam paniom Ewie Pirek, Katarzynie Zimowskiej i Jolancie Pawłowskiej z działu udostępniania archiwum IPN, które cierpliwie przyjmowały kolejne pliki rewersów oraz robiły wszystko, co mogły, abym nie czekał zbyt długo na realizację zamówień; niekiedy udawało im się skrócić oczekiwanie. Tyle podziękowań. Są też przeprosiny: należą się one tym wszystkim przyjaciółom, kolegom i znajomym, których przez kilka lat zanudzałem, nieraz w zupełnie niestosownych ku temu sytuacjach, opowiadaniem o Fleischfarbie, Światle, bezpiece i archiwach. Szczególnie poszkodowana była moja żona Ewa, niektóre z tych opowieści słyszała po wielokroć.

Podobnie jak moja poprzednia książka (o stanie wojennym) także i ta ukazuje się bez przypisów, co ma na celu ułatwić lekturę osobom, które nie są zawodowymi historykami. Zdecydowałem się na to wbrew sarkaniom niektórych kolegów, uważających, że książki naukowe bez przypisów mają mniejszą wartość. Starłem się jednak wszędzie tam, gdzie posługuję się cytatami lub podaję mało znane fakty, wskazać w tekście konkretne źródło. Chciałem bowiem nadać płynność narracji i sprawić, by książka ta – jak z ironią napisał czytelnik cytowany na początku – była rzeczywiście „wypieszczona”. Co nie znaczy, iż uważam, że jest ona ostatnim słowem w sprawie Światły, że nic już nie może być dodane ani nic z tego, co napisałem podważone. Pisząc ją, miałem w bardzo wielu przypadkach wątpliwości, mnóstwo spraw musiałem pozostawić w zawieszeniu. Zadawałem pytania, na które nie znalazłem odpowiedzi albo takie, na które musiałem udzielić odpowiedzi wykluczających się. Często więc używam trybu warunkowego, a większość tych rozterek przeniósłem do książki, obnażając w ten sposób warsztat badawczy. Mam nadzieję, że nie zniechęci to czytelników.

Część I

Izak

Fleischfarb

1890

1891

1892

Od Medynia do Krakowa

We wschodniej Tarnopolszczyźnie, około 30 km na południowy wschód od Zbaraża, jednego z tych miast, które – głównie dzięki Sienkiewiczowi – weszły na stałe do panteonu polskich fortec uważanych za „tarcze Europy”, leży wieś Medyń. Według Jerzego Zalewskiego, znawcy nazewnictwa tych ziem, nazwa Medyń pochodzi od ukraińskiego *Med`* – miód, jest więc rodzaju męskiego. Po polsku wieś ta nazywałaby się zapewne Miodno, Miodne czy Miodowo. W XIX w. pisano, że na polach medyńskich „wyorują chłopci czasem pieniądze dawniejsze, ostrogi, dzidy i tym podobne przedmioty”, jednak ani data powstania osady, ani jej dzieje nie są znane. Może kwitło tam ongiś pszczelarstwo lub bartnictwo? Chyba jedyne, co przeszło do historii, to fakt, iż w 1812 r. poniosła tam klęskę przednia straż V Korpusu księcia Józefa Poniatowskiego, dowodzona przez gen. Lefebvre-Desnouettes’a, a do rosyjskiej niewoli dostał się gen. Tyszkiewicz. W skali tragicznego odwrotu Wielkiej Armii spod Moskwy potyczka ta nie miała, oczywiście, żadnego znaczenia i podejrzewam, że nawet najlepsi specjaliści zajmujący się wojną Napoleona z Rosją nie mają jej w pamięci. Od rozbiorów Polski Medyń – tak jak cały powiat zbaraski – znalazł się na skraju Kresów, gdyż niespełna 10 km na wschód toczył swe, raczej leniwe, wody Zbrucz, którego nurtem przez ponad półtora wieku biegła granica państwowa: najpierw między Austrią a Rosją, od 1921 r. zaś między Polską a Związkiem Sowieckim. Była to więc rubież Galicji, a później Małopolski Wschodniej.

Ze *Słownika geograficznego Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich*, wydawanego w Warszawie od 1880 r., możemy się dowiedzieć, że w Medyniu było nieco ponad 2 tys. mórg ziem uprawnych (z tego do „własności większej” należało 616, a do „własności mniejszej” 1471), łąki i ogrody obejmowały 220 mórg, pastwiska 46, a lasy zaledwie 51 i wszystkie należały do „własności

większej". Była to zatem okolica czysto rolnicza, jak cała Tarnopolszczyzna. We wsi znajdowała się gminna kasa pożyczkowa i młyn, którego właściciela nie wskazano. Być może należał do owej „większej własności”. Była też szkoła jednoklasowa, tzn. taka, w której dzieci w różnym wieku uczyły się jednocześnie w tej samej sali, a raczej izbie. Medyń był wsią średniej wielkości: w 1880 r. zamieszkiwało ją 981 osób, w tym 379, czyli niemal 40%, należało do obrządku rzymskokatolickiego, a więc byli to z pewnością Polacy. Innych wyznań *Słownik* nie wymienia. Jednak nie było tu parafii rzymskokatolickiej (znajdowała się w nieodległych Tokach), w miejscowym kościele msze święte odprawiane były „niekiedy”, za to kościołem parafialnym była medyńska cerkiew grekokatolicka. Można więc sądzić, że Ukraińców było w Medyniu więcej niż Polaków, choć zapewne proporcje były nieco inne niż w całym powiecie zbaraskim, w którym na prawie 70 tys. mieszkańców przypadało 41,7 tys. grekokatolików, a katolików rzymskich 19,1 tys. (27%).

Słownik nie wspomina w ogóle o Żydach (w powiecie zbaraskim było ich 5,9 tys., czyli nieco ponad 8% mieszkańców), ale nie ulega wątpliwości, że urodzony w Medyniu w 1886 r. niejaki Gabriel Fleischfarb nie był ani pierwszym, ani jedynym medyńskim „starozakonnym”. Medyń nie należał jednak – w każdym razie w ostatnich dekadach XIX stulecia – do sztetli, czyli osad lub miasteczek, w których Żydzi stanowili większość, a ich obecność decydowała o obliczu tych miejscowości. Tak jak do pewnego stopnia było w samym Zbarażu, w którym w 1890 r. Żydzi (3,6 tys.) stanowili największą grupę narodową (rzymskich katolików, czyli Polaków, było prawie 3 tys., a grekokatolików, czyli Ukraińców, 2,2 tys.). Wtedy, gdy zbierano materiały do *Słownika geograficznego*, w Medyniu nie było synagogi, zapewne tylko „dom modlitwy”, ale możliwe, choć mało prawdopodobne, iż świątynia taka powstała później.

Medyń nie był jedynym siedliskiem rodu Fleischfarbów; w powiecie zbaraskim nazwisko to występowało wielokrotnie. Na stronie internetowej www.worldvital-records.com, na której znajduje się rejestr imigrantów przybyłych do Stanów Zjednoczonych w latach 1880–1924, na kilkanaście osób noszących nazwisko Fleischfarb, połowa jako miejsce urodzenia podała Zbaraż. Ciekawe, że spisie w tym figuruje także Gabriel urodzony w 1886 r. w „Medin”, który 11 lipca 1904 r. – a więc jako 18-latek – przybył na Ellis Island, aby zobaczyć na jawie American Dream. W dokumentach polskich nie znalazłem potwierdzenia, ale niewykluczone, iż jest to ten sam Gabriel Fleischfarb, który kilkakrotnie pojawi się w tej książce, ponieważ takie właśnie imię nosił, w tym miejscu i czasie urodził się ojciec późniejszego Józefa Światły. Jeśli to rzeczywiście on powędrował za ocean, to przebywał w Ameryce zaledwie kilka lat, gdyż w 1909 r. w Medyniu niedawno poślubiona Gabrielowi 20-letnia Rebeka z domu Wiselthur urodziła córkę Memel, która używała też imienia Maria (lub Mania). Dwa lata później na świat przyszła Rachela Róža, a w 1912 r. Cyła. Szybko po sobie następujące i liczne porody nie były owych

czasach – nie tylko na wsi i nie tylko wśród Żydów – niczym nadzwyczajnym. Nie wiem z czego żyła tak szparko powiększająca się rodzina. Być może mieszkali u rodziców Gabriela, którzy zapewne byli stałymi mieszkańcami Medynia, choć nie udało mi się znaleźć o nich żadnych informacji. W jednej z ankiet personalnych w rubryce „pochodzenie społeczne ojca” Światło podawał „rolnik”, z czego należy wnosić, że Fleischfarbowie utrzymywali się z pracy na roli, co w przypadku Żydów galicyjskich nie było regułą, ale nie było też niczym wyjątkowym. Zdarzali się nawet Żydzi ziemianie lub zarządcy sporych dóbr. W każdym razie oparciem dla młodego małżeństwa byli Fleischfarbowie. Rebeka pochodziła ze wsi Kozłów w tarnopolskim i tam prawdopodobnie mieszkali jej rodzice także wówczas, gdy córka przeniosła się do męża do Medynia. Być może z krótkiego pobytu za Atlantykiem Gabriel przywiózł zarobione tam dolary. Oczywiście, jeśli to właśnie on figuruje w spisie imigrantów. A może mężczyźni z rodziny – zapewne Gabriel miał braci – zarabkowali w odległych o około 9 km Podwołoczyskach? Był to najważniejszy ośrodek w okolicy, znajdowała się tam graniczna, przeładunkowa, a więc ważna stacja kolejowa na linii Lwów–Kijów, której odpowiednikiem po rosyjskiej stronie Zbrucza były Wołoczyska. Poza stacją, kolejowymi warsztatami naprawczymi, pocztą, telegrafem i szkołami w Podwołoczyskach rozlokowane były liczne warsztaty rzemieślnicze, sklepy, szynki i oberże, działał nawet „kawiarz”. Z pewnością były też jakieś przedsiębiorstwa przetwórstwa rolniczego – młyn, może gorzelnia czy cukrownia. Jeśli nawet Fleischfarbowie tam dorabiali, to nic nie wskazuje na to, że Gabriel i Rebeka mieli łatwe życie.

Parę lat po Cyli, 1 stycznia 1915 r., przyszedł na świat potomek płci męskiej, któremu nadano imię Izak (nie Izaak; tak się podpisywał i tak figuruje w większości dokumentów urzędowych). Niezależnie od tego, jaki był status materialny Fleischfarbów, czasy były ciężkie, a przede wszystkim niebezpieczne. Latem 1914 r. zaczęła się wojna – nazywana wówczas Wielką Wojną, dziś – I wojną światową – i Medyń znalazł się w strefie przyfrontowej. Zresztą, wkrótce po rozpoczęciu działań wojennych armia rosyjska gwałtownym uderzeniem wyparła wojska austriackie aż po Przemyśl, zajmując całą Galicję Wschodnią i część Zachodniej. Julian Strykowski, który te lata przeżył w galicyjskim Stryju wspominał, że „Kozacy wpadali w nocy do domów, żądali wódki, zegarków [już wtedy!], rubli. Podpieraliśmy drzwi drągami w obawie przed napaścią”. Świetna powieść Strykowskiego *Austeria* dobrze oddaje atmosferę tamtego czasu, panującą wśród galicyjskich Żydów. W każdym razie była to okupacja, a antysemickie nastroje, rozpowszechnione w Rosji i na Ukrainie, nakazywały zdwojoną ostrożność. Jednak poza pojedynczymi ekscesami, do których dochodziło raczej w miastach czy miasteczkach niż na wsiach, nie występowały pogromy na szeroką skalę. Jesienią 1915 r. wojska niemieckie, bardziej bitne i lepiej wyposażone niż c.k. armia, w zwycięskiej ofensywie wyparły Rosjan. W Stryju witano zwycięzców „słodczymi i papierosami”, których skąpiono poprzednio Rosjanom. Nawet jeśli obyło się bez spontanicznych aktów agre-

sji o charakterze antyżydowskim, a walki w okolicy Medynia nie były zbyt intensywne, to jednak w ciągu roku front przetoczył się tędy dwa razy. Zwykle cierpi na tym ludność cywilna, na wojnie zyskują tylko nieliczni – handlarze i dostawcy. Nie sądzę, aby do tych ostatnich należeli Fleischfarbowie, których była już cała gromadka.

Jakby tych przemarszów wojsk, potyczek czy starć było mało, latem 1917 r. pojawiły się zwiastuny Wielkiej Zawieruchy, która miała ogarnąć Kresy i trwać do wczesnej jesieni 1920 r. W powstałym rozprzężeniu szczególnie zagrożeni byli Żydzi, choć najpoważniejsze przejawy agresji wobec nich wystąpiły na wschód od Galicji. Nie brakowało ich jednak i na Tarnopolszczyźnie, zwłaszcza podczas wojny polsko-ukraińskiej, która wybuchła już w listopadzie 1918 r., a nad Zbrucz dotarła latem 1919 r. Niespełna rok po jej zakończeniu doszło do krótkotrwałego, ale krwawego i brutalnego najazdu Armii Czerwonej, która „po trupie Polski” zdążyła do serca Europy. Wystarczy zajrzeć do świetnej powieści *Konarmia* Izaaka Babla oraz do jego dzienników, aby zyskać wyobrażenie o tamtych wydarzeniach; co mogło dziać się w okolicy, przez którą przechodził ważny dla przebiegu wojny polsko-bolszewickiej szlak kolejowy i gdzie w ciągu zaledwie paru letnich tygodni 1920 r. najpierw bolszewicy gnali na zachód *bietopolaków*, potem Polacy w przeciwną stronę pędzili *krasnoarmiejców*. Być może groźniejsze dla ludności były walki polsko-ukraińskie, w których Żydzi – jak często bywa w podobnych sytuacjach – znaleźli się między młotem a kowadłem i przez obie strony byli uważani za zdrajców.

Nie udało mi się ustalić, co w ciągu tych kilku lat działo się w Medyniu i w rodzinie Fleischfarbów, ale z wojennej zawieruchy wyszli bez większego szwanku. W każdym razie nikt nie zginął, nie znalazłem też informacji, żeby ktoś z rodziny był ranny, pobity czy stał się ofiarą przemocy fizycznej. Nie wiem też, czy drastyczne wydarzenia z lat 1919–1920, a na pewno nie brakowało takich, jeśli nie w samym Medyniu, to w okolicy, wpłynęły w jakikolwiek sposób na paroletniego Izaka, nazywanego w rodzinie Izkiem lub Iżkiem. Pewnie był za mały, żeby coś konkretnego zapamiętać. Już w czasie pokoju, w 1922 r., urodziła się kolejna dziewczynka – Sara, nazywana w rodzinie Sarną. Z tego, iż nastąpiło to w leżącej nieco na północ od Medynia wsi Koszlaki można wnosić, że głowa rodziny szukała tam pracy. Niebawem zresztą wszyscy przenieśli się do Podwołoczysk, gdzie Gabriel Fleischfarb pracował jako oficjalista, czyli urzędnik – był magazynierem w młynie. Zapewne parał się tym zajęciem już wcześniej, jeszcze w Medyniu i Koszlakach. Nie wiem, jakie miał wykształcenie, ale na pewno był biegły w rachunkach i w pisaniu. Przenosiny do Podwołoczysk mogły mieć związek nie tylko z pracą, ale i z łatwiejszym dostępem do nauki. Stąd Memel (Maria) mogła codziennie dojeżdżać pociągiem do gimnazjum żeńskiego w Tarnopolu, co byłoby niemożliwe z Medynia czy Koszlaków, a później w jej ślady poszła Rachela. Wyjeżdżały do szkoły o piątej rano, a z uwagi na to, że zarabiały korepetycjami, powrót do domu następował późnym wieczorem. Jeszcze w Koszlakach lub dopiero

w Podwołoczyskach swoją edukację zaczął Izak, który w odróżnieniu od starszych sióstr nie wykazywał zapалу do nauki. Choć – jak pisała później Róża – dużo czytał i był bardzo zdolny, „z trudem ukończył siedem klas”, ponieważ nie chciał się uczyć systematycznie. Maria twierdziła, że „wałęsał się po ulicach [i] uciekał ze szkoły”, „pomagał woźnicom wozić drzewo” (może zdobywał w ten sposób kieszonkowe?). W opinii, wydanej w czerwcu 1949 r. przez Wojewódzki Urząd Bezpieczeństwa Publicznego w Krakowie na żądanie Biura Personalnego MBP, opartej o nieznane mi, ale raczej wiarygodne źródła, pisano, że „rodzice chcieli go kształcić, lecz w[yżej] w[ymieniony] nie chciał się uczyć” i „po całych dniach przesiadywał w ogrodzie lub mieszkaniu i czytał różne powieści”. Namiętność Izaka do czytania gazet i książek potwierdzała też Maria. Obie siostry podkreślały, że kochał matkę i najmłodszą siostrę, Sarę. Róża twierdziła, że był dzieckiem „wesołym i żywym”, ale bywał „niezgodliwy i uparty”, często ignorował polecenia matki, nie zawsze też jej pomagał, gdy o to prosiła. Najgorszy miał być w wieku 14–15 lat, co chyba jest dosyć typowe nawet dla grzecznych chłopców.

Mniej więcej w połowie lat 20. – w 1927 lub 1928 r. – Gabriel Fleischfarb przeniósł się do podkrakowskiej miejscowości Zielonki, gdzie, zgodnie ze wspomnianą już opinią WUBP, miał być kierownikiem młyna. A więc zmiana miejsca pracy i zamieszkania wiązała się z awansem zawodowym. W jednym z późniejszych życiorysów Światło napisał, że ojciec zarabiał 350–400 zł miesięcznie, co – jeśli odpowiada prawdzie – na owe czasy było pensją stosunkowo znaczną. Nie oznaczało to jednak uzyskania jakiegoś nader wysokiego statusu materialnego, ponieważ miał na utrzymaniu już siedem osób. Jak można wnosić z relacji Marii, rodzina na pewien czas się rozdzieliła, najstarsze córki kończyły naukę w Tarnopolu. Być może przeprowadzka do Krakowa – podobnie jak wcześniej do Podwołoczysk – związana była z planami edukacyjnymi wobec dzieci, choć Fleischfarbowie, jako kresowiaczy, zapewne bardziej swojsko czuliby się we Lwowie. Izak nie miał jednak zamiaru dalej się kształcić i w Zielonkach zakończył formalną edukację na siódmej (ostatniej) klasie szkoły powszechnej. W 1930 r. rodzina, zapewne już połączona, przeniosła się do Białego Prądnika, wówczas na przedmieściach Krakowa, dziś dzielnicy o podmiejskim charakterze, gdzie mieszkało wielu Żydów. W wieku 15 lat Izak Fleischfarb zaczął szukać pracy, można więc powiedzieć, że stawał się mężczyzną.

Na podstawie strzępków informacji trudno skonstatować, w jakiej atmosferze przebiegały lata chłopięce i jaki miała ona wpływ na kształtowanie się osobowości przyszłego ppłk. Światły. Rodzina na pewno nie należała do biedoty, a być może miała wysoki, jak na warunki lokalne, status, ale np. brak w źródłach jakichkolwiek wzmianek o zatrudnianiu „pomocy domowej”, co było widoczną oznaką przynależności do mieszczaństwa czy wyższej sfery urzędniczej. Zapewne Fleischfarbowie początkowo mieszkali u rodziców Gabriela, a później, może od pobytu w Koszlakach, samodzielnie w wynajmowanych mieszkaniach, a może nawet w osobnym domu (o czym świadczy zapis, że Iziek

czytał książki „w ogrodzie”). Młody Izak pierwsze lata życia spędził więc na wsi, kolejne w małych miasteczkach czy też podmiejskich osiedlach o charakterze półwiejskim. Wobec skąpej liczby przekazów nie jestem w stanie powiedzieć nic pewnego o życiu rodzinnym. Ze świadectw pozostawionych przez siostry można wywnioskować, że ojca raczej nie było w domu. Żadna nie napomyka o stosunku Izaka do rodziciela, natomiast wszystkie wspominają o jego relacjach z matką. Najpewniej głowa rodziny była zaabsorbowana pracą zawodową i zdobyciem środków na utrzymanie licznej gromadki dzieci. Matka zajmowała się domem, co przy tak licznej rodzinie było znaczącym obciążeniem. Izak dorastał w otoczeniu kobiet, matki i siostr, ale czy i jaki miało to wpływ na jego osobowość i zachowanie, nie potrafię powiedzieć.

W jednym z życiorysów pisanych po wojnie Światło podawał, że rodzice byli religijni. Najpewniej należeli do środowisk ortodoksyjnych, a nie do synagogi reformowanej, której członkowie byli bardziej otwarci na adaptację do nieżydowskiego otoczenia, a nawet asymilację, niż ortodoksi. Brak śladów, żeby ojciec angażował się w działalność społeczną lub charytatywną na terenie kolejnych gmin wyznaniowych, do których należeli. Dom Fleischfarbów był prawdopodobnie apolityczny, choć nie podejrzewam, aby rodzice odmawiali udziału w wyborach parlamentarnych czy do instytucji żydowskich. O całkowitą abstynencję wyborczą było tym trudniej, że życie publiczne polskich Żydów było – w Galicji – w latach międzywojennych a w zaborze rosyjskim jeszcze wcześniej – bujne, pełne ostrych konfliktów i zażartych kłótni, oferowało pełną paletę ideową. Na zwykłe podziały typu „lewica–prawica” nakładały się spory m.in. o asymilację czy ideę odbudowy Erec Izrael. Dziesiątki partii i grup politycznych wiodły niekończące się polemiki, a walki między nimi przybierały niekiedy radykalne formy. Zapewne więc w rodzinnych rozmowach Fleischfarbów pojawiały się te tematy.

Z charakteru wykonywanej pracy urzędniczej można wnosić, że już Gabriel Fleischfarb uczęszczał do szkół świeckich, a więc de facto polskich, nie wiem jednak, jakim językiem posługiwano się w domu. Być może „wewnętrzny” językami domowymi Fleischfarbów były na równi jidysz i polski, który dzieci znały może nawet lepiej niż żydowski. Trudno ocenić, czy większość lektur – nie tylko szkolnych – Izaka stanowiły gazety i książki po polsku, ponieważ należy pamiętać, że w owym czasie w jidysz i po hebrajsku ukazywały się w Polsce dziesiątki gazet i czasopism oraz setki książek, w tym także tłumaczenia zarówno wielkiej literatury europejskiej, jak i powieści brukowych czy przeznaczonych dla młodzieży. Można było więc stać się osobą czytaną, pozostając w kręgu języków żydowskich, jednak Światło w żadnych ankietach nie podawał znajomości hebrajskiego. Zresztą nie deklarował także znajomości jidysz, zapewne dlatego, że nie uważał go za język obcy, a o takie w ankietach pytano. Nie mam wątpliwości, że świat, w którym jako dziecko i dorastający chłopak żył Izak Fleischfarb, dom, ulica czy osada, był światem żydowskim, a z uwagi na twarde bariery etniczne najpewniej wszyscy „koledzy z podwórka” byli tak jak on

Żydami. Prawdopodobnie rodzina również nie miała wśród bliższych znajomych Polaków, tym bardziej, że, jak podejrzewam, wszystkie młyny, w których kolejno pracował ojciec, należały do Żydów (przynajmniej jeden z nich, ten, który należał do niejakiego Abrahamera).

Uparty, krnąbrny, może nawet arogancki, jak wielu chłopaków u progu dojrzałości dążył do tego, aby stać się niezależnym, wbrew rodzicom lubił chodzić własnymi drogami. Miał już zapewne poczucie przynależności narodowej, które kształtowało się pod wpływem świadomości istnienia podziałów etnicznych i barier, może nie dotkliwych, ale oczywistych. Tak mógłbym najkrócej scharakteryzować osobowość tego piętnastolatka. Oczywiście, jeśli chłopcy w tym wieku mają już osobowość.

Kraków i komunizm

Bodaj we wszystkich życiorysach i ankietach, które Józef Światło sporządzał w czasie swojej ubeckiej kariery, pisał bez skrępowania, że od 1928 r. – a więc zapewne od ostatniej klasy szkoły powszechnej – należał do Gordonii. Była to organizacja młodzieżowa związana ze Światową Syjonistyczną Partią Pracy Hitachdut, założoną w 1920 r. Hitachdut, odpowiednik lewicowej socjaldemokracji, opowiadający się za autonomią narodową Żydów, był partią świecką i ateistyczną, a ze względu na wagę przykładaną do emigracji do Palestyny preferował język hebrajski. To m.in. odróżniało Hitachdut od lewicowo-socjalistycznej partii Poalej Syjon (obie partie zbliżyły się w 1933 r.), która optowała za używaniem jidysz, jako języka „klasy robotniczej”. Gordonia, nazwana tak dla uczczenia jednego z czołowych i pierwszych działaczy syjonistycznych, Arona Dawida Gordona, który w 1904 r. wyjechał do Palestyny, koncentrowała się na przygotowaniu młodzieży żydowskiej do życia w Palestynie, ale także do podejmowania przez nią pracy fizycznej, głównie na roli, już w Polsce. Członkowie Gordonii w zasadzie nie zajmowali się sprawami ściśle politycznymi. Fakt członkostwa Izaka Fleischfarba w tej organizacji poświadczały zarówno jego siostry, jak i inne osoby „przepytywane” w MBP po zniknięciu ppłka Światły. Pisano o tym także w artykule biograficznym – zresztą pełnym błędów – w izraelskim dzienniku „Maariv” w październiku 1954 r.

Sam Światło nie tylko nie ukrywał przynależności do Gordonii, a nawet w jednym z życiorysów podkreślał, że właśnie od tej organizacji zaczęła się jego „działalność społeczna”. W 1932 r. miał zostać sekretarzem w zarządzie okręgowym na Małopolskę Zachodnią i Śląsk Cieszyński i z tytułu tej funkcji jeździł jako instruktor „w teren”. Niestety, nie znalazłem żadnych dokumentów krakowskiej Gordonii, nie mogę więc przedstawić szczegółów jego działalności.

Nie ma chyba jednak powodu, aby nie dawać wiary tym świadectwom, podobnie jak wyznaniu Justyny Światło, że w 1942 r. Izak opowiadał jej, iż w czasie jednej z takich wypraw organizacyjnych do Oświęcimia miał poznać swoją przyszłą pierwszą żonę, która, jak wszystko na to wskazuje, była „miłością jego życia”. Ale o tym później.

W 1932 lub w 1933 r. Fleischfarb dzięki szkolnemu przyjacielowi, Lolkowi Kauffmanowi, którego ojciec był komunistą, zaczął czytać literaturę, którą wówczas określano jako „wywrotową”, a mówiąc wprost – antypaństwową. Nawoływano w niej nie tylko do rewolucji, a nawet – co może istotniejsze – podważano integralność terytorialną i suwerenność Rzeczypospolitej. Jak pisał Światło, płacił składki na Międzynarodową Organizację Pomocy Rewolucjonistom (MOPR), która była przybudówką partii komunistycznej. Spotykał się też z sobie podobnymi i szybko znalazł drogę do Komunistycznego Związku Młodzieży (KZM). „Rodzice – pisał w życiorysie złożonym w MBP w październiku 1949 r. – byli niezadowoleni, że biorę udział w życiu politycznym”, szkoda im było „jedynego syna”, który wkraczał w ten sposób na niebezpieczne ścieżki aktywności w nielegalnej partii. Jak wynika z licznych wspomnień i osobistych świadectw rodziny, zwłaszcza ustabilizowane, a więc łaknące spokoju, lub kierujące się własnymi wyborami ideowymi czy względami religijnymi, często próbowały sprzeciwiać się zaangażowaniu ludzi młodych – a w tym i w wielu innych przypadkach nawet bardzo młodych – w działalność komunistyczną. To, że tacy wcześniej czy później trafiają do więzienia i będą mieli kłopoty z dostaniem lepszej pracy było pewne jak amen w pacierzu. Rodzice nie sprzeciwiali się więc działalności syna w Gordonii, która była organizacją legalną i daleką od rewolucyjnych zachcianek, jednak wobec zaangażowania się Izaka w komunizm konflikt stał się na tyle ostry, że osiemnastolatek wyprowadził się z domu. Może w tle tej decyzji był także jakiś młodzieńczy, niekoniecznie politycznie ukierunkowany, bunt przeciwko rodzicom albo sposób na honorową ucieczkę spod rodzicielskiej kurateli? Dobrze, że mama daje obiad, ale dlaczego trzeba odpowiadać na tak głupie pytania jak: Skąd synku tak późno wracasz?

Prawdopodobnie jednak zasadniczą rolę odgrywał sprzeciw wobec rzeczywistości, mający podłoże zarówno ideowe – walka o „sprawiedliwość społeczną” – jak i narodowe: komunizm był internacjonalistyczny, obiecywał likwidację podziałów etnicznych, a komuniści jako jedna z nielicznych partii istniejących w II Rzeczypospolitej (obok Polskiej Partii Socjalistycznej) nieodmiennie przeciwstawiali się antysemityzmowi. Nie wiem zresztą, czy Fleischfarb doświadczył antysemickiej agresji, ale widział ją dookoła lub choćby słyszał i czytał o niej. Wystarczy przejrzeć meldunki Komendy Wojewódzkiej Policji Państwowej w Krakowie – i zapewne z dowolnego województwa – z tych lat, aby przekonać się jak uciążliwe były codzienne a raczej cowieczne wyczyny czy to zwykłych chuliganów i rozrabiaków, czy członków różnych polskich ugrupowań nacjonalistycznych: wybite szyby w oknach i witryny sklepowe, wymazane smołą

drzwi synagog, pobicia lub groźby pobicia. W latach 30. na terenie niemal całej Polski, w ciągu każdego roku odnotowywano tysiące różnego rodzaju ekscesów. Jednak trudno powiedzieć, które motywy zaważyły na decyzji Fleischfarba, w grę mogły wchodzić również związki i sympatie koleżeńskie.

W owych latach, głównie pod wpływem skutków wielkiego kryzysu gospodarczego, który w latach 1929–1933 ogarnął niemal całą Europę i Amerykę Północną, błyskawicznie rozprzestrzeniały się postawy radykalne, a ekstremiści zarówno nacjonalistyczni (jak w Niemczech), jak i lewicowi nabierali wiatru w żagle. Wśród żydowskiej młodzieży w Polsce, a przynajmniej jej części, która chciała być aktywna społecznie, walczyły ze sobą głównie dwie opcje – syjonizm i komunizm. Choć, oczywiście, jak to zwykle bywa, większa część młodych ludzi czy to z przywiązania do religii i tradycji – a żydowskie partie religijne były w Polsce bardzo silne – czy w ogóle z niechęci do polityki, nie włączała się do tego sporu. O syndromie owego najgłośniejszego podziału wśród młodzieży żydowskiej napisano już wiele rozpraw naukowych, wspomnień i powieści. Wystarczy zajrzeć do *Syriusza* Strykowskiego, opowieści o dwóch przyjaciółach, którzy w pewnym momencie się rozdzielili: jeden stał się syjonistą, a drugi komunistą. Izak Fleischfarb, jeśli można tak powiedzieć, sam się „podzielił”: zaczął od syjonizmu, a doszedł do komunizmu. Nie był, rzecz jasna, jedyny. W wielu biografiach przedwojennych komunistów, którzy wchodziłi w dorosłe życie na przełomie lat 20. i 30., znajdziemy podobną lub identyczną ewolucję. Była ona nawet w jakimś sensie naturalna, gdyż Gordonia i Hitachdut czy Poalej Syjon były tylko „trochę” na prawo od KZM i KPP. Zapewne zmiana poglądów w drugą stronę, czyli od komunizmu do syjonizmu, zdarzała się wówczas rzadziej lub w ogóle były to pojedyncze przypadki, a czas na odchodzenie od komunizmu ku różnie rozumianemu i różnie wyznawanemu syjonizmowi miał dopiero nadejść.

Jakkolwiek Gordonia znajdowała się „po lewej stronie świata”, nie była organizacją rewolucyjną w ścisłym tego słowa znaczeniu, a na dodatek była organizacją żydowską i tylko dla Żydów. Przejście do komunizmu było więc wydarzeniem znacznie poważniejszym niż przesunięcie się po prostu bardziej w lewo, tak jak do KPP np. z Polskiej Partii Socjalistycznej. Oznaczało bowiem znalezienie się w ruchu międzynarodowym w skali globalnej, jak i międzyetnicznym w skali lokalnej. Komunistyczna Partia Polski, a za nią także jej młodzieżowa przybudówka, zrzeszała – niezależnie od faktycznej liczebności – zarówno Żydów, jak i Polaków, Ukraińców czy Białorusinów. Przystąpienie do komunizmu wiązało się więc nie tylko z wyrzeczeniem się ideałów syjonistycznych, ale w pewnym sensie w ogóle ideałów narodowych (w tym przypadku żydowskich). Z uwagi na strukturę tego ruchu, trzeba było porzucić nie tylko marzenia o żydowskim państwie opartym na zasadzie narodowej, ale i zakwestionować suwerenność tego konkretnego państwa, w którym się żyło. Chyba, że było się obywatelem Związku Sowieckiego, który nawet dla komunistów nie

do końca prawowiernych był Ojczyzną Światowego Proletariatu i miał w przyszłości ogarnąć cały glob ziemski. W rezultacie, świętym obowiązkiem każdego członka KPP czy KZM – tak jak członków komunistycznych partii Francji, Belgii, Argentyny, Stanów Zjednoczonych czy Palestyny – było popieranie i obrona tej „najprawdziwszej ojczyzny”. I służenie jej, ponieważ był to ważny, a nawet kluczowy, sposób wypełniania partyjnego obowiązku. Obok więzi ideowej, której znaczenia nie powinno się bagatelizować, stworzono więź instytucjonalną: w 1919 r., z inicjatywy Lenina, powstała Międzynarodówka Komunistyczna (*Komunistyczeskij Internacjonal* – w skrócie Komintern), której lokalnymi sekcjami były partie narodowe czy raczej „państwowe”, ponieważ były otwarte na każdą narodowość zamieszkującą dane państwo. Tak więc Komunistyczna Partia Palestyny zrzeszała i Żydów, i Arabów (Palestyńczyków), którzy wówczas stanowili w tej partii większość. Komintern, nie przestając być narzędziem rewolucji światowej, stosunkowo szybko stał się przede wszystkim narzędziem państwa sowieckiego, które występowało w podwójnej roli – głównego ogniska i opoki rewolucji nazywającej się „proletariacką” oraz imperium, które miało wszelkie zadatki, by stać się mocarstwem (i stało się nim w wyniku takiego, a nie innego przebiegu II wojny światowej). Należąc do partii będącej częścią Kominternu – czy do komunistycznej organizacji młodzieżowej, które też miały swoją „czapkę” w postaci *Komunistyczeskowo International Młodzieży* – należało się również w pewnym sensie do Związku Sowieckiego, a lojalność wobec ideologii oznaczała lojalność wobec Moskwy. W przypadku krajów, które sąsiadowały ze Związkiem Sowieckim i były zagrożone nie tyle przez rewolucję, ile przez Armię Czerwoną, ów wymóg podwójnej lojalności stawiał komunistów w szczególnej sytuacji, a władzom państwowym – i większości społeczeństw – Polski, Rumunii, Litwy czy Estonii kazał patrzeć na nich nie tylko podejrzliwie, ale wręcz traktować jako faktycznych wrogów. Każdy komunista, niezależnie od przynależności etnicznej, uważany był za emisariusza wrogiego, ościennego państwa, otwarcie głoszącego program ekspansji, która miała się urzeczywistnić pod hasłami rewolucji proletariackiej. W odróżnieniu od komunistów we Francji czy w Niemczech (do 1933 r.), którzy działali legalnie – co nie znaczy, że wszystko robili jawnie – ich towarzysze z państw sąsiadujących ze Związkiem Sowieckim od 1918 lub 1919 r. funkcjonowali w partiach całkowicie zdelegalizowanych. Sama przynależność do nich była karalna.

Te wszystkie czynniki powodowały, że powstawał problem tożsamości komunistów, przede wszystkim tożsamości narodowej (etnicznej), ale także państwowej. Tożsamość ideową można pominąć, bo była ona oczywista, aczkolwiek ruch komunistyczny charakteryzował się właściwie nieustającymi konfliktami wewnętrznymi, a takie obelgi jak „renegat”, „zdrajca” czy „dwulicowiec” były na porządku dziennym. Zwłaszcza w latach, o których piszę, kiedy w Związku Sowieckim odstępstwo – faktyczne, potencjalne lub domniemane – od „linii partii” prowadziło albo do kuli w tył głowy, albo

do obozu. Istotą problemu było to, za kogo się komuniści uważali, co było dla nich ważniejsze: czy członkostwo w międzynarodowej współpracy, czy przynależność do konkretnego narodu i jak to się miało do – na ogół wymaganej przez prawo – lojalności wobec państwa, którego się było obywatelem lub które wybrało się na miejsce emigracji? Podejrzewam, iż nie ma dobrej, czyli jednoznacznej odpowiedzi na te pytania, nawet jeśli zawężymy ramy czasowe (np. do lat 30. XX w.) i terytorialne (np. do Polski). Najprostsza odpowiedź – stając się komunistą, przestawało się być Polakiem, Żydem czy Ukraińcem – nie wyczerpuje, jak sądzę, złożoności problemu, choć oczywiście nie można wykluczyć, że tak właśnie uważało bardzo wiele bezpośrednio zainteresowanych osób. Przyjęcie komunistycznego credo oznaczało bowiem mniej lub bardziej radykalne zerwanie z narodową tożsamością i tradycją, a na pewno definitywne zerwanie z religią (wyznaniem), która nader często była istotnym elementem przynależności narodowej. Wiele osób walczących ze stereotypem rozpowszechnionym nie tylko w Polsce, głoszącym, że Żyd = komunista, wywód swój opierało właśnie na przeciwstawianiu świadomej przynależności narodowej uczestnictwu w ruchu internacjonalistycznym i mającym ambicje globalne. Miały to być wartości wykluczające się na zasadzie albo-albo: wedle tej interpretacji Żyd (Polak, Ukraińiec itd.), stając się komunistą, przestawał być Żydem (Polakiem, Ukraińcem itd.). Obawiam się jednak, że tego dylematu nie uda się rozstrzygnąć w wymiarze ogólnym, generalizując. Nawet w wymiarze jednostkowym może to być bardzo trudne. Postaram się jednak prześledzić, kim był – to znaczy za kogo się uważał – Izak Fleischfarb. Na pewno od 1933 r. był „komunistą krakowskim”.

Trudno mi ocenić na ile swoisty był ów „komunizm krakowski”, a ściślej ujmując „młody komunizm krakowski”. Z pewnością inaczej wyglądała sytuacja zarówno na wysoko uprzemysłowionym, robotniczym Górnym Śląsku i w Zagłębiu Dąbrowskim, jak i w chłopskich, wiejskich społecznościach ziem północno-wschodnich. Podobnie natomiast było w innych miastach Małopolski Zachodniej i Wschodniej oraz na ziemiach centralnych (były zabór rosyjski). Najkrócej – a więc i schematycznie – patrząc, „młody komunizm” w Krakowie cechował się tym, że przyciągał niewiele osób, w znacznym stopniu opierał się na młodzieży żydowskiej, a większość jego wyznawców była uczniami czy studentami albo pracowała w niewielkich warsztatach czy fabryczkach.

W sprawozdaniu Okręgu Krakowskiego KZM z 16 czerwca 1926 r. znajdującym się w warszawskim Archiwum Akt Nowych czytamy: „W szczególności przed towarzyszami stoi doniosłe zadanie spolszczenia organizacji (...), bo tylko w ten sposób postavimy pracę w okręgu na zdrowym nurcie komórek wielkoprzemysłowych” [podkreślenia w oryginale].

Niespełna rok później sprawozdawca informował, że w Krakowie zrzeszonych jest około 50 osób, istnieje 11 komórek, w tym trzy polskie z 14 członkami i 8 żydowskich, które liczą około 36 osób. W sprawozdaniu za marzec 1932 r.

wykazywano, że „organizacja skupiona jest na „Kazimierzu” [tj. w dzielnicy zamieszkałej właściwie wyłącznie przez Żydów] (...). Powoduje to izolację organizacji od podstawowej masy młodzieży. Robota polska ruszyła dopiero w marcu”.

Wymieniono też liczbę komórek i członków: dwie komórki polskie z 13 członkami, 9 komórek żydowskich z 40 członkami oraz trzy komórki akademickie (mieszane) z 12 członkami. Ze sprawozdania za pierwsze dwa miesiące 1934 r. wynika, iż w Krakowie istniały dwa komitety dzielnicowe KZM – Dzielnica Kazimierz licząca 18 członków, wyłącznie Żydów, oraz Dzielnica Podmiejska licząca 24 członków, w tym 12 Polaków. W sprawozdaniu za okres od 15 kwietnia do 25 czerwca 1936 r. pisano, że KZM „winien (...) zmienić swój skład socjalny i narodowościowy”, zaś pół roku później obliczono, iż w Krakowie było „122 komsomolców, w tem 22 polskich i 50 żydowskich i około 50 akademików” (obu narodowości). Uderzające jest, że de facto istniały odrębne komórki polskie i żydowskie, a tylko na terenie akademickim nie było tego rodzaju podziału. Stan ten nie wynikał jednak z istnienia „przesądów narodowych”, choć nie można wykluczyć, że zdarzały się na tym tle przypadki wzajemnej nieufności. Powodem była struktura KZM o charakterze głównie terytorialnym (wyjątkiem były wyższe uczelnie lub niektóre duże zakłady pracy), a w Krakowie istniały odrębne dzielnice (czyli „ulice”) żydowskie i polskie. Istniały też, oczywiście, rejony „dwunarodowe”, co wynikało m.in. z tego, że Żydzi krakowscy stanowili znaczącą zbiorowość: w latach 30. społeczność ta liczyła 45–50 tys. osób, stanowiła więc około 25% ludności miasta, a pod względem liczebności była czwartym skupiskiem żydowskim w Polsce. Żydowscy młodzi komuniści stanowili zatem zaledwie kroplę w morzu ogółu mieszkańców Krakowa i swoich pobratymców.

Jednym ze skutków takiej właśnie struktury „narodowościowej” była struktura socjalna krakowskiego KZM. W połowie lat 20., jak podaje Andrzej Pilch w monografii *Dzieje ruchu robotniczego w Krakowskim, 1918–1939*, pięciu członków Komitetu Okręgowego KZM w Krakowie deklarowało następujące zawody: cholewkarz, pomocnik drukarski, pomocnik handlowy, praktykant kuśnierski i rytownik. Wedle dokumentów własnych KZM na przełomie lat 1934–1935 do dwóch komórek hutniczych należało 8 osób, 3 osoby liczyła komórka akademicka, a pozostałe gromadziły: cholewkarzy (6 osób), fryzjerów i malarzy (we wspólnej komórcie 4 osoby), handlowców (dwie komórki, razem 9 osób), krawców (4 osoby). Ponadto istniała licząca 20 osób Lewica Akademicka, będąca w istocie „wydziałem studenckim”, aczkolwiek nieco luźniej związanym z KZM niż normalne komórki. Podobne dane pojawiają się wielokrotnie w różnych dokumentach – np. w lipcu 1934 r. obok dwóch komórek „metalowców” były komórki krawców, cholewkarzy, handlowców i jedna „mieszana”. W rezultacie organizacja, jak pisał Pilch, „nie miała wpływu w fabrykach”, gdyż jej trzon stanowili młodzi ludzie pracujący – jeśli w ogóle mieli pracę – w sektorze, który dziś nazywa się „sektorem usług” oraz w najlepszym razie w małych lub średniej

wielkości fabryczkach i zakładach, a także studenci. Nie tylko było to w pewnym sensie niezgodne z kanonem ideowym ruchu komunistycznego, ale powodowało znaczne trudności w jego rozwoju i w podejmowaniu tego, co nazywano „bieżącą walką klasową”. W rzeczywistości młodzi komuniści byli raczej zewnętrznymi agitatorami, niż faktycznymi organizatorami strajków lub manifestacji, przynajmniej jeśli chodzi o protesty w dużych przedsiębiorstwach.

Zajęcia podejmowane przez Izaka Fleischfarba nie odbiegały od kazetemowskiej normy: zaczął pracować w 1930 r. jako praktykant w zakładzie fotograficznym „Janina”, stąd przeniósł się do Biura Techniczno-Handlowego, gdzie urzędował w charakterze subiekta, czyli była to robota typu „przynies, wynies, pozamiataj”, potem na pewien czas zahaczył się w firmie Leopolda Huttera, „mającej na składzie rowery i różne maszyny”, gdzie był „monterem rowerowym”. Następnie pracował „jako robotnik” w – nieznaney mi z nazwy – fabryce łyżek, w końcu zaś – do marca 1938 r. – był palaczem w garbarni Froelichów. Parę razy był bezrobotny. Raz – jak pisał w ankiecie z 1945 r. – został usunięty z pracy (w fabryce łyżek) za próbę zorganizowania strajku, raz (u Huttera) stracił pracę z powodu aresztowania. Nie miał zatem konkretnego zawodu i ugruntowanego wykształcenia. Może tylko umiejętności zdobyte u Huttera dawały jakąś specjalizację.

Choć pracował fizycznie i bez wątpienia był robotnikiem, z trudem można zaliczyć go – jak i zapewne większość jego towarzyszy – do klasy robotniczej, w takim znaczeniu, jakie występowało w marksowskiej i komunistycznej mitologii. Gdyby wtedy wypełniał ankietę – co parokrotnie czynił po wojnie – jako pochodzenie społeczne musiałby z uwagi na profesję ojca wpisać „inteligencja pracująca”, a może nawet „drobnomieszczańskie”, co zwykle było pozytywane za brak gwarancji pełnej lojalności ideowej czy organizacyjnej. Po odejściu z rodzinnego domu żył skromnie, a nawet może, jak pisano w informacji WUBP z czerwca 1949 r., „w biedzie”. Od czasu do czasu wspomagać go mieli niektórzy towarzysze, a później chyba także najstarsze siostry.

Nie tylko młodzi z KZM, ale i bodaj większość członków „dorosłej” KPP w Krakowie nie pracowała w dużych przedsiębiorstwach, których zresztą w dawnej stolicy Polski nie było zbyt wiele. Sądę też, że znaczny odsetek wśród nich stanowili mieszkańcy „ulicy żydowskiej”. W rezultacie, gdy w okresach zwiększonego napięcia społecznego w Krakowie odbywały się poważniejsze strajki lub manifestacje protestacyjne, komuniści – jak się wydaje – raczej się do nich dołączali lub wykorzystywali je w celach agitacyjnych niż byli ich bezpośrednimi organizatorami *in situ*. Jednak to właśnie strajki i manifestacje były ich żywiołem i na nich się koncentrowali, co wynikało z założeń strategicznych KPP i wszystkich partii Kominternu. W latach 30., a więc wtedy, gdy Izak Fleischfarb związał się z ruchem komunistycznym, największe zaburzenia wystąpiły w marcu 1936 r., kiedy przez Polskę przetaczała się fala niepokoów społecznych. Strajk okupacyjny w zakładach Semperit, jednych z największych

w Krakowie (410 robotników), rozpoczęty 17 marca żądaniem podwyżki płac, przekształcił się w zamieszki, podczas których od kul policji zginęło 8 osób. Komuniści rzeczywiście mieli spory udział w tych wydarzeniach, ale – jak się wydaje – przede wszystkim kolportując ulotki oraz jako mówcy na wiecach i w czasie ulicznych manifestacji, a nie w samej fabryce, kiedy rozpoczął się strajk. Jednak to oczywiście najczęściej ich aresztowano czy skazywano, gdyż w odróżnieniu od anonimowej masy strajkujących czy demonstrantów znała ich policja, która nie miała trudności z ich identyfikacją i zatrzymaniem, nawet jeśli nie byli uczestnikami strajku jako takiego. Ponadto, policja chętnie – jeśli można tak powiedzieć – aresztowała komunistów, ponieważ władzom zależało na eksponowaniu ich obecności wśród osób zatrzymanych w związku ze strajkami czy manifestacjami, w ten sposób dyskredytowano te wystąpienia wobec większości krakowian, którzy dalecy byli od sympatyzowania z wichrzycielami.

Aczkolwiek sytuacja zmieniała się, to jednak, jak można sądzić, aktywność w zachęcaniu („podżeganiu”) do strajku czy wygłaszanie przemówień nie musiały przekładać się na poparcie w społeczności Krakowa, której lewicowo nastawiona część – nie będąca bynajmniej większością – opowiadała się raczej za socjalistami czy to z PPS, czy z Bundu lub partii syjonistycznych niż za komunistami. Świadectwem politycznej marginalizacji KPP były wyniki wyborów parlamentarnych z września 1930 r., w których komunistyczna lista pn. Jedność Robotniczo-Chłopska otrzymała 616 głosów na około 82 tys. oddanych, czy wyborów samorządowych z grudnia 1932 r., gdy kapepowska lista pn. Jednolity Front Robotniczy dostała 885 głosów. Zapewne, gdyby w roku 1936 czy 1937 odbywały się wybory, lista komunistyczna cieszyłaby się większym niż poprzednio poparciem, ale trudno się spodziewać, że osiągnęłaby na dłuższą metę jakiś oszałamiający sukces. Nawet na „ulicy żydowskiej”. Wydaje się, że krakowscy komuniści, bez względu na wiek, miejsce pracy i pochodzenie, musieli czuć się odizolowani od liczniejszej społeczności polskiej czy żydowskiej, choć niekiedy – jak w 1936 r. – udawało im się połączyć z masowymi ruchami protestujących. Komuniści Żydzi zapewne czuli się izolowani podwójnie, jako Żydzi częściej byli w polskim otoczeniu ciałem obcym a nawet traktowanym wrogo niż trwałym i naturalnym składnikiem obywatelstwa królewskiego grodu, uważanego zresztą za domenę mieszczaństwa i Kościoła katolickiego. Czyli w języku komunistów – „kołtuństwo”.

Wróćmy jednak do Izaka Fleischfarba. Po wyprowadzeniu się od rodziców zamieszkał u jednego z nowo poznanych towarzyszy przy ul. Izaaka, a więc w samym sercu Kazimierza, najstarszej i największej żydowskiej dzielnicy Krakowa. Później parokrotnie zmieniał kwaterę, przez jakiś czas zatrzymał się nawet na terenie zakładu Huttera – ale jako adres stałego pobytu aż do 1937 r. podawał adres rodziców (Prądnik Biały, ul. Krzywa 4). Może przemieszczał więc u znajomych, a nie wynajmował samodzielnie mieszkania? Pierwsze zadanie organizacyjne, które podjął Fleischfarb, było ściśle związane z jego dotych-

czasowym zaangażowaniem: miał przyciągnąć do KZM kolegów z Gordonii, utworzyć grupę sympatyków, z czasem może nawet kazetemowską komórkę. A więc obszarem jego działalności była, jak to w partyjnej nomenklaturze nazywano, „ulica żydowska”. W tym celu, razem z kilkuosobowym gronem kolegów, na polecenie Komitetu Okręgowego KZM, podjął próbę zorganizowania Biura Żydowskiego. Partnerami Fleischfarba byli: Dawid Blumenkranc, który – podobnie jak Izak w Gordonii – próbował organizować „wewnętrzną opozycję” w Haszomer Hacair (poprzednio należał do młodzieżówki religijnej partii Mizrahi); Henryk Grossbart (po wojnie znany dziennikarz noszący nazwisko Stanisław Brodzki), młodszy o prawie dwa lata od Izaka, pochodził z dosyć zamożnej rodziny kupieckiej, świeżo upieczony maturzysta, przez pewien czas pisywał pod pseudonimem zarówno w legalnych pismach lewicowych, jak i w gazetkach konspiracyjnych, oraz Radek Lipszyc. Z enigmatycznych informacji wynika, iż przygotowali jeden lub dwa numery tajnego pisemka pod nieznanym mi tytułem (zapewne w jidysz), wydawali też ulotki, ale cała „robota” spaliła na panewce, gdyż w Gordonii szybko zorientowano się w nowej pasji Izaka i usunięto go z organizacji. Podobnie zakończyła się działalność Blumenkranca w Haszomer Hacair. Po tych wydarzeniach lokalne kierownictwo KZM powierzyło Fleischfarbowi pracę w Komitecie Dzielnicowym Kraków Podmiejski (obejmował głównie Podgórze), którego nawet był – „na krótko”, jak sam pisał – członkiem (sekretarzem). Zajmował się „techniką”, ale nie jako autor tekstów, lecz drukarz i „hurtowy” kolporter wydawnictw do różnych komórek organizacyjnych. Blumenkranc w informacji sporządzonej dla MBP w styczniu 1954 r. (nazywał się wówczas Tadeusz Polanowski i był podpułkownikiem WP) pisał, że był świadkiem, jak Fleischfarb przemawiał na wiecu tramwajarzy na Podgórzu, razem z nim wielokrotnie rozdawał ulotki robotnikom wychodzącym z fabryk i wie, iż Fleischfarb uczestniczył w wiecach organizowanych przez PPS, ale nie określił czy jako mówca. Bardziej ogólne potwierdzenia aktywności Fleischfarba w pracy KZM znajdują się w innych notatkach i oświadczeniach sporządzonych w tym samym czasie i w tym samym celu co tekst Polanowskiego, przez parę innych osób, m.in. przez wysokiego rangą funkcjonariusza bezpieczeństwa Michała Drzewieckiego, który był wieloletnim dyrektorem Gabinetu Przewodniczącego Komitetu do spraw Bezpieczeństwa Publicznego.

Latem 1934 r. kilkuosobowa grupa kazetemowców, w tym Fleischfarb, na zlecenie Komitetu Okręgowego zaangażowała się w zorganizowanie strajku w hucie szkła Wawel. Nie udało mi się ustalić, jakie mogło być podłoże niezadowolenia robotników, ale komunistom zapewne było to obojętne. Ważne, aby wybuchł strajk. Gdy policja podjęła działania przeciwko działaczom KZM, prowokatorom strajku, niektórzy z nich uciekli i się ukrywali. Jeden z autorów notatek sporządzonych w styczniu 1954 r. podaje, że Fleischfarb z jeszcze jedną osobą ukrywali się przez kilka tygodni w opuszczonej cegielni przy drodze do Wieliczki, ale Światło w żadnym zyciorysie nie potwierdza tego faktu, oświadcza natomiast,

że został aresztowany wraz z czwórką innych agitatorów, z których żaden nie pracował w hucie. Nie udało mi się ustalić czy strajk rzeczywiście się odbył, ale młody rewolucjonista – czy raczej jeszcze kandydat na rewolucjonistę – przesiedział w więzieniu prawie 7 miesięcy. Był przetrzymywany, zapewne razem z towarzyszami, w „Świętym Michale”, więzieniu karno-śledczym przy Sądzie Okręgowym w Krakowie. Jak pisał Artur Fiszer w *Zapiskach z krakowskiej celi*, w więzieniu tym znajdowała się „dość bogato wyposażona biblioteka”, można więc sądzić, iż Fleischfarb – którego już znamy jako miłośnika książek – korzystał z tych zbiorów. Zapewne też, jak to w środowisku komunistycznym było w zwyczaju, „ukończył więzienny uniwersytet”, choć wtedy więźniowie polityczni nie mieli już takich przywilejów, jak w latach 20., kiedy zezwalano im na organizowanie „komun” i swobodny pobyt w ciągu dnia w innych celach, co umożliwiało rozmowy, debaty czy kłótnie i wzajemne dokształcanie. A także, oczywiście, spiskowanie. W każdym razie u „Świętego Michała” poznał nowych towarzyszy, w tym Oskara Karlinera, który po wojnie zajmował znaczące stanowiska w peerelowskim wymiarze sprawiedliwości. Nie wiem, dlaczego tak długotrwałe śledztwo zakończyło się bez sporządzenia aktu oskarżenia, miało to jednak dla niego ten dobry skutek, że nie tylko pobyt za kratkami nie został przedłużony, ale jego nazwisko nie trafiło do rejestru skazanych, co przydało się już rok później, gdy stanął przed sądem. W każdym razie w lutym 1935 r. wyszedł na wolność i zapewne jego prestiż w krakowskim KZM wzrósł, choć odsiadka – w śledztwie lub po wyroku – była „normalką” w życiu członka nielegalnej i antypaństwowej organizacji politycznej.

W czasie pobytu Fleischfarba w więzieniu doszło w Krakowie do jakichś wewnątrzpartyjnych rozrachunków. W jednym ze sprawozdań z 1934 r. składanych przez wizytatorów z centrali KZM czytamy, że w organizacji „nastąpiła dalsza czystka: wyrzucony został były sekretarz Krakowa i kilku kazetomowców”. „Mimo tej czystki – pisano dalej – organizacja nie została jeszcze izolowana od elementów zdemoralizowanych”. Na czym ta demoralizacja polegała – nie udało mi się ustalić. Jeden z tropów wskażę w następnym rozdziale, ale być może w grę wchodziły jakieś odchylenia ideologiczne, np. jeden z członków Komitetu Okręgowego, Julian Kaufner, oskarżany był później o trockizm, czyli o coś najgorszego, co może przytrafić się komuniście wiernemu Kominternowi i Stalinowi. Nie ma jednak żadnych przesłanek wskazujących na to, że Fleischfarb osobiście skorzystał na owej czystce. Na pewno nie przestał być aktywny, ale na czym ta działalność polegała – trudno orzec. To, że był czynny, potwierdza fakt, iż na kilka dni przed 1 maja 1935 r., gdy Komenda Policji Państwowej w Krakowie zaplanowała „unieruchomienie w drodze prewencyjnej 16 wybitniejszych działaczy KZM”, Fleischfarb znalazł się na tej liście jako „członek Komitetu Dzielnicowego Podmiejskiego”. Zapewne spędził więc wówczas kilka dni w „Domu pod Telegrafem”, gdzie znajdował się Wydział Śledczy policji i „podręczny” areszt (drugi był przy ul. Zacisze). W życiorysie złożonym w paździer-

niku 1949 r. Światło pisał, że po wyjściu z więzienia „brał udział we wszystkich akcjach na odcinku Podmiejskiej Dzielnicy”, ale nie podał szczegółów. Należy sądzić, że jego aktywność miała charakter taki jak poprzednio. Być może był zatrzymywany przewencyjnie, choćby z takich okazji jak rocznica rewolucji bolszewickiej, tzw. MDM, czyli Międzynarodowy Dzień Młodzieży, wyznaczany na pierwszą niedzielę września, czy też Trzy L, czyli rocznicę śmierci Lenina, Róży Luksemburg i Karla Liebknechta, przypadającą w styczniu. Komuniści zwykli organizować w te dni wiece, intensyfikowali kolportaż ulotek, pisali na murach stosowne hasła, wywieszali czerwone chorągiewki.

Na dłużej trafił do więzienia jednak dopiero w marcu 1936 r., gdy – jak wspomniałem – atmosfera niemal w całej Polsce była napięta. W Krakowie zaczęło się od strajku w fabryce Sucharda. Fleischfarb może był zaangażowany w popieranie tego strajku, ale aresztowano go z mniej bohaterskiej przyczyny niż towarzyszy, którzy trafili do więzienia w związku z wymienianym już strajkiem w Sempericie i zamieszkami, które wówczas wybuchły. Strajk w Sempericie zaczął się 17 marca, czyli tego samego dnia, kiedy zatrzymano Fleischfarba, a do zamieszek doszło 23 marca, gdy już prawie od tygodnia siedział w więzieniu. Szczegóły tego incydentu są znane dzięki zachowaniu w Archiwum Państwowym w Krakowie „Akt w sprawie karnej Izaka Fleischfarba” (nr III K 430/1936).

Oto jaki był przebieg wydarzeń. Wieczorem 17 marca, w sali budynku Kahału na Kazimierzu przy ul. Krakowskiej 41, Poalej Syjon Prawica zorganizowała otwarty wiec w ramach ogólnokrajowego dnia protestu i strajku ludności żydowskiej przeciwko antysemityzmowi, co było odpowiedzią na pogrom w Przytyku z 9 marca. Nie wiem czy zgodnie z poleceniem organizacyjnym, czy z własnej inicjatywy uczestniczył w nim także Fleischfarb, który udał się tam – jak zeznał sędziemu śledczemu – w „towarzystwie mej kobiety”. Po zakończeniu zgromadzenia „grupa znanych mi komunistów – zapisał posterunkowy służby śledczej Zygmunt Piechocki – usiłowała kontynuować wiec”, ale wobec sprzeciwu przewodniczącego wiecu, który najwyraźniej nie życzył sobie ich obecności, zaintonowali *Międzynarodówkę* i, opuszczając salę, zaczęli wznosić okrzyki: „Niech żyje Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich” (zwykle komuniści wołali także „Niech żyje Polska Republika Rad”), „Precz z wojną imperialistyczną przeciwko Rosji Sowieckiej”, „Niech żyje rząd robotniczo-chłopski”, „Niech żyje jednolity front”, „Precz z policją”. Nie sądzę, aby to ostatnie szczególnie ubodło posterunkowego, zapewne postanowił po prostu skorzystać z okazji i „zapudłować” agitatorów. Jak zapisał Piechocki, okrzyki wznosił właśnie Fleischfarb, a „za nim powtarzali [je] inni”, wobec czego postanowił wylegitymować prowodyra. Ten zaś miał „szarpać się” i „odpychać” policjanta, który był w cywilu, a wreszcie zaczął krzyczeć „Towarzysze nie dajcie mnie aresztować”. Na to wezwanie zgromadziło się – jeśli posterunkowy nie przesadził – około 150 osób, które „przybierały wrogą postawę”, a jedna z nich próbowała nawet wyrwać Fleischfarba, trzymanego przez policjanta za rękaw płaszcza. Odgłosy

te przyciągnęły innego tajniaka, ale dopiero, gdy na dźwięk gwizdka nadbiegł kolejny policjant, tym razem chyba mundurowy, udało się doprowadzić zatrzymanego na komisariat.

W czasie przesłuchania, które przeprowadzono dwa dni po zajściu, Fleischfarb – jak to zwykle czynią podejrzani – przedstawił zupełnie inną wersję wydarzeń. Miał on zachowywać się „zupełnie spokojnie” zarówno podczas wiecu, jak i po nim, nie wznosił żadnych okrzyków, nie nawoływał też „Towarzysze nie dajcie mnie aresztować”, gdyż – jak zeznał – „żadnych moich towarzyszków na tym wiecu nie było”. Podał nawet do protokołu, że po wyjściu zauważył idącego koło niego mężczyznę, zwrócił na niego uwagę, ponieważ „widziałem, że to nie jest Żyd” i powiedział do swojej towarzyszki: „ten osobnik wydaje mi się jakiś podejrzany”. Jak widać miał zupełną rację. Niemniej sędzia śledczy uznał za bardziej wiarygodną wersję osoby urzędowej, przesłuchiwanemu wręczono postanowienie o tymczasowym aresztowaniu, oddano go do dyspozycji Podprokuratury Sądu Okręgowego w Krakowie, po czym odstawiono do więzienia karno-śledczego zwanego Bastionem, gdyż mieściło się w jednej z pozostałości dawnego systemu obronnego miasta.

Prokurator uwinął się dosyć szybko, akt oskarżenia gotowy był już 4 kwietnia. Aresztowanemu zarzucano „użycie przemocy w celu zmuszenia urzędnika do zaniechania czynności prawnej urzędowej” oraz „zniewagę władz” przez wzniesienie okrzyku „precz z policją”. Prokurator zwrócił się o powołanie na świadków Piechockiego i owego mundurowego, który nadbiegł z pomocą. Sąd jednak był mniej rychliwy, a oskarżony – osobiście lub przez adwokata Wilhelma Goldblatta, który miał powiązania z ruchem komunistycznym – kilkakrotnie występował o uchylenie tymczasowego aresztowania i możliwość odpowiadania z wolnej stopy. Wnioskował też o dopuszczenie świadków obrony. Sąd jednak nie wzruszył się przedkładanymi argumentami (takimi jak choroba, konieczność pomagania rodzicom, groźba utraty pracy, niekaralność, dobra opinia władz lokalnych etc.) i 26 czerwca odbyła się rozprawa, na której jako świadkowie wystąpili tylko obaj policjanci, a oskarżony został doprowadzony z więzienia. obrońca nie perorował zbyt długo i wniósł o „łagodny wymiar kary”, zaś oskarżony – jak zanotowano w protokole – „przyłącza się do wywodów swego obrońcy”. Sąd uznał za udowodnione popełnienie przestępstwa z art. 129 k.k. tj. „użycia przemocy w celu...”, ale uniewinnił Fleischfarba z zarzutu związanego z art. 127 k.k. („zniewaga władz”) i zasądził karę trzech miesięcy aresztu z zaliczeniem aresztu tymczasowego. Ponieważ pobyt w areszcie był dłuższy niż wyrok, tego samego dnia o godz. 13.30 więzień został zwolniony.

Było to wszystko niemal groteskowe – zarówno powód aresztowania, przebieg śledztwa, jak i sama rozprawa. Wyrok natomiast można uznać za łagodny, choć chyba taka była wówczas krakowska norma – wielu uczestników zajść z 23 marca sądzonych miesiąc później również dostało stosunkowo niskie wyroki. Skazany w tym procesie Grossbart jeszcze w 1936 r. wyjechał za granicę,

najprawdopodobniej dlatego, że rodzice chcieli odsunąć 20-letniego młodzieńca od dalszej nielegalnej działalności i wyeksponowali go na studia do Wiednia. Fleischfarba nikt nie wysyłał do zagranicznych szkół, ale on sam, co wielokrotnie potwierdzał w ankietach i życiorysach, na pewien czas odsunął się od działalności. Pisał m.in., że po wyjściu z więzienia czuł się osłabiony, nie miał pracy, a ponadto podejrzewał, iż w organizacji są konfidenti i prowokatorzy. Jesienią 1936 r. wyjechał z żoną do jej rodziców do Oświęcimia, gdzie ci prowadzili małą cukiernię, w której Izak pracował jako sprzedawca. Do wiosny 1937 r. nie utrzymywał, jak pisał, żadnego organizacyjnego kontaktu z KZM, a po powrocie do Krakowa „posiadałem luźny kontakt, pomagałem i brałem udział w legalnych akcjach na terenie Związków Zawodowych, „Bundu” itp.”. W marcu 1938 r. został wcielony do wojska. Maria w oświadczeniu z 1954 r. podała, że brat „wyszedł z więzienia bardzo przygnębiony”. Róża z kolei potwierdzała opinię o złym stanie zdrowia.

Były też prawdopodobnie inne przyczyny wycofania się Fleischfarba z działalności politycznej (o tym w następnym rozdziale), ale nie można wykluczyć, że jego zapał rewolucyjny nieco przygasł. W raporcie z 30 stycznia 1954 r. komisja powołana w MBP do zbadania przeszłości Światły, stwierdziła dosyć stanowczo: „Wydaje się nie ulegać wątpliwości, że od połowy 1936 r. ppłk Światło zerwał z ruchem rewolucyjnym całkowicie”. Jednak policja i krakowskie władze administracyjne miały chyba inne zdanie i nie przestały się nim interesować. W lipcu 1937 r. Starostwo Grodzkie Krakowskie – na mocy rozporządzeń Prezydenta RP z 16 stycznia 1928 r. o stanie wojennym i z 22 lutego 1937 r. o stanie wyjątkowym oraz rozporządzeń Ministra Spraw Wewnętrznych z 14 lutego 1930 r. i 5 czerwca 1937 r. – przygotowało „Zarządzenie internowania” Izaka Fleischfarba „na okres 30 dni, licząc od dnia dzisiejszego”. Na odpowiednim blankiecie nie było ani fotografii, ani odcisków daktyloskopijnych kandydata do internowania, ani – co oczywiste – podpisu starosty i daty wystawienia druku. W adnotacji zaznaczono, że internowanie ma się odbyć wedle „wariantu W+Z+S”. Nie udało mi się rozszyfrować tego zapisu, niemniej sam fakt powstania takiego dokumentu świadczy o tym, iż zdaniem władz Fleischfarb wciąż stanowił potencjalne zagrożenie dla bezpieczeństwa państwa. Nawet jeśli znacznie zmniejszył stopień swojego zaangażowania, to na pewno obstawał przy poglądach wywrotowych.

Poza poglądami pozostały mu też znajomości z dość licznym gronem komunistów, na ogół pochodzenia żydowskiego. Jednych spotkał na swej drodze w czasie wojny, innych dopiero w PRL, a niektórzy stali się jego kolegami „po fachu”, to znaczy byli funkcjonariuszami bezpieki. Ale to osobna historia, do której wróć w stosownym miejscu. W relacjach składanych Zbigniewowi Błażyńskiemu Światło parokrotnie powoływał się na bliższą, wywodzącą się z czasów krakowskich, znajomość z osobistościami należącymi do elity komuni-

stycznej władzy – Romanem Romkowskim, który był „prawą ręką” (a niektórzy uważają, że nawet „głową”) ministra bezpieczeństwa publicznego Stanisława Radkiewicza, oraz Edwardem Ochabem, który przez wiele lat należał do wąskiego grona najważniejszych ludzi w państwie. Ochab miał zaproponować mu w 1943 r., w sławetnych Sielcach nad Oką, wejście do korpusu oficerów politycznych Dywizji „Kościuszkowskiej”. Romkowski, którego Błażyński za słowami Światły określał „jako żyjącego z nim w najbliższej przyjaźni od najdawniejszych lat”, miał być jego promotorem w początkach ubeckiej kariery. Rzeczywiście, Ochab i Romkowski pochodzili z Krakowa, tam też zaczęli komunistyczną działalność, a więc trudno wykluczyć, że młodziutki aktywista mógł się z nimi zetknąć. Jednak w znanych mi dokumentach i świadectwach nie znalazłem żadnych informacji potwierdzających relacje Światły. Wówczas, gdy Fleischfarb działał w KZM, żaden z nich nie miał organizacyjnych związków ze stolicą Małopolski – Romkowski zerwał z Krakowem w 1932 r., a Ochab jeszcze wcześniej – choć zapewne bywali okazjonalnie w mieście, w którym obaj mieli rodziny i liczne związki osobiste. Możliwe więc, że gdy Ochab, podczas formowania dywizji (w czym odgrywał niepoślednią rolę), napotkał Fleischfarba, dzielnego młodego komunistę z Krakowa, uznał, że jego miejsce jest wśród politruków. Romkowski, w oświadczeniu złożonym na ręce Bieruta w październiku 1954 r., nie zaprzeczając temu, iż to właśnie on w 1948 r. ściągnął Światłę do „grupy specjalnej”, która została później przekształcona w Departament X, pisał, że poznał go dopiero w styczniu 1945 r., gdy Światło współpracował z sowieckimi grupami operacyjnymi. Nie widzę powodów, dla których Romkowski miałby uchylać się od przedwojennej znajomości z Izakiem Fleischfarbem, tym bardziej, że było to stosunkowo łatwe do sprawdzenia. Natomiast Światło w wystąpieniach w Radiu Wolna Europa, bardzo lubił przechwalać się znajomościami w wyższych sferach. Na pewno jednak ważnym kapitałem dla tego bardzo ambitnego, młodego człowieka był paroletni staż w KZM i dwukrotny – choć stosunkowo krótki – pobyt w więzieniu.

Fryda, rodzina i wojsko

Jak już wspominałem, wedle relacji Justyny Światły, w 1932 r., w czasie organizacyjnego wyjazdu z ramienia Gordonii do Oświęcimia, Fleischfarb miał poznać Frydę Zollman, która zrobiła na nim duże wrażenie. Jeśli nie w Oświęcimiu i nie w Gordonii, to na pewno spotkał się z nią, gdy przystał do gazetemowców, ponieważ panna Zollman mieszkała wówczas w Krakowie i należała do grupki, z którą zetknął się Fleischfarb. Relacjonując krakowskie lata Światły w 1954 r., niektórzy podkreślali, że była ona „bardzo przystojna”, „bardzo ładna” czy wręcz „niepospolicie ładna”. Trudno wykluczyć, że możliwość stykania się z nią na gruncie organizacyjnym była jednym z motywów związania się Izaka z KZM, może to go pobudzało do zwiększonej aktywności i ponoszenia ryzyka, w ten sposób mógł się „wykazać” przed ukochaną. Nie był to motyw politycznie poprawny, za to dosyć naturalny.

Fryda Zollman była rówieśniczką Izaka, zatem w momencie poznania mieli mniej więcej po 17–18 lat. W KZM była znacznie mniej aktywna niż Fleischfarb, choć brała udział w publicznym kolportażu ulotek i plakatowaniu, a nawet wystąpiła (co najmniej raz) na zgromadzeniu. Filip Ettinger, który w styczniu 1954 r. złożył jedną z najobszerniejszych relacji dotyczących Światły, napisał, że była nawet „dość bojowa”. Do ruchu komunistycznego trafiła przez swoją starszą siostrę Fejgę, która była notowana przez policję krakowską co najmniej od stycznia 1932 r., kiedy została aresztowana w związku z udziałem w jakiejś demonstracji. Zapewne z okazji dnia Trzech L. Nie wiem, jakie Fryda miała wykształcenie, ale przez pewien czas pracowała jako wychowawczyni u jednej z zamożnych rodzin krakowskich (właścicieli kina Wisła), u której od wiosny 1938 r. mieszkała. Z powodu braku jakiejkolwiek fotografii Frydy (nie znam też zresztą konterfektów Izaka z tego czasu) trudno zweryfikować opinię

o jej urodzie, ale – jak pisała w relacji dla MBP Czesława Ringer, która знаła ją od dzieciństwa – „miała powodzenie u mężczyzn”. Musiał ją zatem otaczać wianuszek adoratorów rekrutujących się zapewne głównie spośród towarzyszy z KZM. Maria Fleischfarb, która najwyraźniej nie lubiła Frydy, twierdziła, że prowadziła się ona niemoralnie, inna osoba przekazująca MBP informacje na temat Światły, określiła ją wręcz jako osobę „lekkich obyczajów”. Zapewne nie miało to oznaczać, iż uważała ją za prostytutkę, a chyba tyle, że Fryda nie unikała z towarzyszami kontaktów, które znacznie wykraczały poza obowiązki partyjne. Opinię tę potwierdził w cytowanej już rozmowie z Justyną Światło sam Fleischfarb: „Opowiadał mi – relacjonowała komisji badającej sprawę ucieczki Izaka w październiku 1954 r. – że kiedy siedział w więzieniu, żona nie interesowała się nim i utrzymywała intymne stosunki z jego przyjaciółmi”, a w jednej z rozmów „wyznał, że przez wszystkie lata małżeństwa nie była faktycznie jego żoną nigdy”. Ponieważ rozmowa ta odbyła się w 1942 r., w początkach bliższej znajomości Izaka i Justyny, nie można wykluczyć, że Fleischfarb „podrywał” przyszlą drugą żonę, żaląc się nad sobą i wyzwalając w niej w ten sposób uczucia opiekuńcze: „staralam się go rozładować” wspominała Justyna. Wedle niektórych znajomych Fryda była kapryśna, egoistycznie nastawiona do otoczenia, a nawet leniwa.

Izak i Fryda związali się – jak widać niezbyt mocnymi węzłami – nie później niż w 1934 r., ponieważ w tym właśnie roku Fleischfarb oświadczył rodzicom, że zamierza się ożenić. Rodzice sprzeciwiali się temu stanowczo, ale nieskutecznie. Nie udało mi się ustalić daty ślubu. Do protokołu przesłuchania, który znajduje się w aktach sądowych, podał, iż jest „stanu wolnego”, a we wniosku o powołaniu świadków adwokat umieścił Frydę Zollman, a więc na pewno do tego czasu nie byli małżeństwem w sensie prawnym. Ślub odbył się zapewne po wyjściu z więzienia. Być może dopiero w 1937 r., gdyż rodzice Frydy byli – jak stwierdzała jedna z bliskich znajomych z Oświęcimia – „bardzo pobożni”, a więc przyjazd Frydy i Izaka do Zollmanów i mieszkanie przez kilka miesięcy z „nieślubnym zięciem”, było „dla nich [Zollmanów] dużym problemem”. Według przekazów miał to być ślub rabinacki. Fryda zapewne używała nazwiska Fleischfarb, w każdym razie pod tym nazwiskiem w 1941 r. została wysiedlona do getta.

Związek z Frydą przyniósł Fleischfarbowi także inne kłopoty, nie tak rzadkie u tych, którzy mają „zbyt ładne” żony. W 1935 r. bowiem zaszedł dosyć niejasny epizod usunięcia jej z KZM. Wedle jednej wersji powodem miało być użycie przez nią (razem z którymś z towarzyszy) pieniędzy organizacyjnych na własne potrzeby, czyli mówiąc wprost malwersacja. Jak można wnosić z dokumentacji krakowskiego KZM, nie mogła to być znacząca suma, gdyż takowych po prostu tam nigdy nie było. Wedle innej wersji zaszkodziły jej wspomniane już opinie o niewłaściwym prowadzeniu się. Raczej nie wchodziły w grę problemy ideologiczne, choć – jak wspominałem – konflikty na tym tle wielokrotnie prowadziły w ruchu komunistycznym do ostrych sejsji i wyciągania konsekwencji organiza-

cyjnych. Fleischfarb podobno mocno przeżył tę sprawę, próbował interweniować w Komitecie Okręgowym KZM, a może też w lokalnej instancji KPP, ale nawet drastyczna kara partyjna nie stała się powodem do rozpadu małżeństwa. Być może bardziej kochał Frydę niż rewolucję. Niektórzy z krakowskich znajomych Fleischfarba uważali, że to ukaranie Frydy, a nie stan zdrowia czy zniechęcenie po drugim pobycie w więzieniu, było głównym powodem osłabienia aktywności Izaka i jego faktycznego odejścia od „roboty”. W kilku oświadczeniach składanych w 1954 r. przez znajomych Fleischfarba pojawiają się informacje o pogłoskach, że po wyjściu z więzienia w 1936 r. zbliżył się do jednej z partii syjonistycznych, a nawet że oboje z Frydą brali pod uwagę możliwość emigracji do Palestyny. Ale sami świadkowie zwracali uwagę, iż to były tylko pogłoski.

Stosunki Izaka z resztą rodziny zostały po jego wejściu do KZM i zejściu się z Frydą Zollman w znacznym stopniu zawieszono. Wprawdzie zdarzało się, że przemieszczał u rodziców, ale nawet wtedy zniknął na tydzień lub dłużej. Gdy nie mieszkał na Krzywej, do rodziców zaglądał bardzo rzadko, nie utrzymywał też systematycznych kontaktów z siostrami: „mijały miesiące – pisała Maria – gdy w ogóle nie widzieliśmy się ze sobą”, choć wszyscy mieszkali w tym samym, nie tak znowu rozległym, mieście. W przypadku obu najstarszych sióstr nie był to na pewno wynik ich niechęci do aktywności politycznej brata, bo obie należały do Lewicy Akademickiej, a więc de facto do KZM. Prawdopodobnie od 1935 r. ojciec, Gabriel Fleischfarb, zaczął podupadać na zdrowiu, w każdym razie w 1937 r. był już chyba na emeryturze (tak podała Rachela w jednym z dokumentów uniwersyteckich), choć miał dopiero 51 lat. W relacjach dla MBP żadna z sióstr o tym nie wspomniała. Ich relacje są w ogóle bardzo wyrwykowane i niedokładnie przedstawiają sprawy rodzinne, co jest o tyle zrozumiałe, że powstały pod ogromną presją, może nawet w warunkach psychicznego załamania. Ogólna opinia na temat rodziny, którą sporządził krakowski WUBP w czerwcu 1949 r. i która powstała na podstawie wszechstronnego wywiadu, gdy zgodnie z procedurami zbierano informacje o wszystkich ubekach znajdujących się na ścieżce awansu, była pozytywna: „Wyżej wymienieni [rodzice] byli ludźmi uczciwymi. Opinię pod względem moralnym i politycznym mieli dobrą. Przez sąsiadów byli szanowani”. Nie ma powodów sądzić, że było inaczej. Przejście na emeryturę mogło oznaczać obniżenie statusu materialnego Fleischfarbów, ale w tym czasie dwie najstarsze córki podjęły już pracę zawodową, Cyła wyszła za mąż (za Jakuba Perlmana, z zawodu lakiernika), a Izak nie stanowił – przynajmniej stałego – obciążenia dla domowego budżetu. Pozostawała Sara, która uczyła się w gimnazjum i w 1939 r. zrobiła maturę.

W odróżnieniu od Izaka, który nie lubił się uczyć, a nawet – jak twierdziła Maria – miewał „antyinteligencje” odzywki, obie najstarsze siostry podjęły regularne studia na Uniwersytecie Jagiellońskim, co było możliwe dzięki statusowi rodziny. Maria zapisała się na Wydział Prawniczy w roku akademickim 1931/32, a studia zakończyła po złożeniu wszystkich wymaganych egzaminów

19 czerwca 1935 r. Rachela (Róża) zaczęła studia rok później, uzyskując wpis na Wydział Filozoficzny, na którym studiowała germanistykę. Ukończyła uniwersytet w roku akademickim 1935/36, a 11 czerwca 1937 r. uzyskała ocenę „dobrą” za pracę magisterską *Bedeutungswandel in den polnischen Entlehnungen aus der deutschen Sprache*.

Obecność obu sióstr na uczelni przypadła na okres – mówiąc enigmatycznie – „zaost్రzania się konfliktów na tle narodowościowym”, a w istocie narastających antysemickich nastrojów, które jednak apogeum osiągnęły jesienią 1937 r., gdy obie ukończyły już naukę. Kiedy Maria zaczynała studia na Wydziale Prawa, Żydówki stanowiły około 58% studentek, a na Wydziale Filozoficznym w tym samym roku akademickim około 24%. W latach następnych – jak obliczył Mariusz Kulczykowski w swej monografii *Żydzi – studenci Uniwersytetu Jagiellońskiego w Drugiej Rzeczypospolitej (1918–1939)* – nastąpił wyraźny spadek liczby studentów pochodzenia żydowskiego (do 28% na prawie i 15% na filozofii w roku akademickim 1935/36), co wynikało z nieprzychylniej atmosfery, a nawet świadomie stawianych przeszkód. Presja antysemicka powodowała, iż studenci Żydzi z reguły starali trzymać się razem i choć przytłaczająca większość deklarowała polski jako język ojczysty, jaskrawo widoczny był podział na Polaków i nie-Polaków. Fleischfarbówny w swych pobieżnych relacjach w ogóle nie podejmowały problemu antysemityzmu, trudno też powiedzieć, czy istniejący stan rzeczy miał jakiś wpływ na Izaka Fleischfarba, ale jeśli tak, to musiał umacniać w nim przekonanie, że tylko komunizm daje pożądaną odpowiedź na istniejące konflikty i antysemityzm. Po ukończeniu studiów Maria nie zrobiła – o ile wiem – aplikacji i pracowała w biurze stowarzyszenia lewicowych adwokatów krakowskich (zapewne w większości pochodzenia żydowskiego), zaś Rachela uczyła w szkole; być może było to istniejące od 1905 r. Prywatne Gimnazjum i Liceum Żeńskie im. Królowej Jadwigi, w którym w czasie studiów odbywała praktykę. W latach 30. większość uczennic tej szkoły stanowiły Żydówki, ale językiem wykładowym był polski.

Wiosną 1938 r., choć do wybuchu wojny, która odmieniła losy wszystkich, pozostawało jeszcze półtora roku, zakończył się „krakowski okres” życia Izaka Fleischfarba, który do szacownego podwawelskiego grodu miał wrócić na dłużej dopiero osiem lat później, już jako Józef Światło. Przyznam się, że mam pewne skrupuły wobec nieuniknionej próby zarysowania jego sylwetki z tego czasu. Trudno powiedzieć, czy już wówczas jego osobowość się skryształizowała i jaka ona była. Na pewno miał wyraźnie zarysowane poglądy polityczne – był zdeklarowanym, a przez kilka lat nader aktywnym komunistą, wykazywał swego rodzaju odwagę cywilną oraz umiejętność przełamywania wewnętrznych oporów, gdy np. występował na wiecach czy rozdawał ulotki przed fabrykami. Świadomie ryzykował mało przyjemne kontakty z policją czy wymiarem sprawiedliwości. Być może był dobrym organizatorem. Jednak jego zachowanie w czasie drugiego uwięzienia, kiedy wymyślał najróżniejsze preteksty,

by uzyskać zwolnienie i odpowiadać z wolnej stopy, mogą poddać myśl, iż miał zadatki na krętacza. W końcu jednak komuś, kto siedzi w więzieniu więcej wolno i nie musi kierować się wyłącznie honorem. O pewnym niezdecydowaniu Izaka może też świadczyć fakt, że po wyjściu z więzienia odsunął się od aktywnego udziału w ruchu komunistycznym. Nie był specjalnie przywiązany do rodziny, miał wobec niej stosunek arogancki, a może nawet lekceważący. Zapewne jego słabością był raczej nieudany związek z piękną Frydą, który przysparzał mu nawet upokorzeń.

Ani w ankietach i życiorysach, które po wojnie składał w PPR i w MBP, ani w świadectwach osób, które go znały z Krakowa, nie ma żadnych śladów, aby Fleischfarb przechodził jakieś szkolenie w „twardej” dywersji, posługiwaniu się bronią czy organizowaniu zamachów. Zresztą, w czasie kiedy należał do KZM, komunistów w Polsce – głównie pod silną presją reakcji władz państwowych – odstąpili od gwałtownych i zbrojnych form walki, tak charakterystycznych dla wcześniejszego okresu, gdy zabójstwa funkcjonariuszy policji czy (rzeczywistych lub domniemanych) konfidentów nie należały do rzadkości. Nie znalazłem też informacji, które pozwalałyby podejrzewać, że miał jakieś związki z wywiadem sowieckim, choć oczywiście uważał się za „kominternowca”, a więc – tak jak wszyscy ideowi komuniści – gotów był wykonać każde zadanie, jakie postawi przed nim partia.

Wojsko i kampania wrześniowa

W dniu 24 marca 1938 r. rozpoczął się osobny, stosunkowo krótki, rozdział w życiu Izaka Fleischfarba. Tego dnia znalazł się w Wadowicach i udał się – prawdopodobnie w większej grupie przybyłych na tutejszy dworzec kolejowy – do koszar 12 pp Ziemi Wadowickiej. Następnego dnia został skierowany do 1 kompanii strzeleckiej, tzw. kompanii rekruckiej, 2 kwietnia odbyło się oficjalne „przywitanie rekrutów” w jednostce oraz wydanie im broni, a 23 maja złożył przysięgę. Uroczystość odprawiono zapewne jak zwykle na dziedzińcu koszar im. gen. Stanisława Fiszera, czyli tzw. koszar głównych, z odrębnymi nabożeństwami dla katolików, prawosławnych i osób wyznania mojżeszowego, od których przysięgę odbierał lokalny rabin (oczywiście w obecności dowódcy). Jak napisano w programie: „Rekruci wyznania mojżeszowego nie zdejmują czapek w czasie składania przysięgi”. Ceremonię zakończyła defilada pod Pomnikiem Poległych Żołnierzy 12 pp, który znajdował się na terenie jednostki. Pułk w pełni zasługiwał na pomnik, ponieważ od 26 listopada 1918 do 19 września 1920 r. uczestniczył w walkach na różnych frontach – w tym na początku lipca 1919 r. w Zbarażu, gdzie poległo około 350 oficerów i szeregowych. Można być bardziej niż pewnym, że wśród defilujących znajdował się także strzelec Fleischfarb. Wprawdzie zgodnie z rozporządzeniem prezydenta z 22 marca 1928 r. jako bezwyznaniowy mógł być zwolniony z wypowiedzenia religijnej przysięgi przed duchownym stosownego wyznania i tylko przed dowódcą składać przyrzeczenie wiernej służby ojczyźnie i państwu, ale nie zwalniało go to od defilady. Niewykluczone zresztą, że chciał ukryć swoje przekonania i złożył przysięgę przed rabinem.

W jednym z rozkazów dziennych dowódcy pułku czytamy, że strzelcy z wiosennego wcielenia posiadający wykształcenie co najmniej 7 klas szkoły powszechnej „będą przydzieleni do szkół podoficerskich”. I rzeczywiście – po przeprowadzeniu badań psychotechnicznych, które objęły cały nowy rocznik

bez względu na stan szkolnej wiedzy, 11 maja (a więc jeszcze w okresie rekrutkim) dowódca 1 kompanii, por. Stanisław Miga, nakazał sporządzić imienny wykaz podopiecznych, którzy ukończyli 4 klasy, a więc teoretycznie powinni umieć czytać i pisać. Na 170 rekrutów z 1 kompanii ten status wykształcenia osiągnęło – lub przekroczyło – 115 osób, ale ponad połowa z nich zakończyła pobieranie nauk na poziomie minimalnym. W wykazie pod numerem 36 figuruje Izaak Fleischfarb, jako absolwent 7 klas, z zawodu mechanik rowerowy, które to umiejętności były zapewne mało przydatne w 12 pp, ponieważ nie było w nim pododdziału rowerzystów. Zapis ten poświadczał jednak, że żołnierz ma jakieś doświadczenie w zakresie techniki. W rubryce „opinia d[owód]cy kompanii czy nadaje się do szkoły podoficerskiej” por. Miga zapisał: „nadaje się – zdolny”. Takie same noty dostało 70 innych rekrutów, z czego można wnosić, iż kryteria „nadawania się” nie były wyśrubowane. Fleischfarba zapewne jednak nie skierowano do szkoły albo jej nie ukończył (co zdarzało się niezmiernie rzadko); w powojennych ankietach wpisywał „szeregowy” lub „starszy strzelec”. Na pewno zaś nie skierowano go, po odbyciu dziewięciomiesięcznej służby w garnizonie, do Korpusu Ochrony Pogranicza, dla którego 12 pp szkolił „młody rocznik”. Jak napisał mi niezawodny znawca dziejów pułku i Wadowic p. Michał Siwiec-Cielebon, do KOP „Żydów kierowano sporadycznie” (a Ukraińców nigdy). Ciekawostką może być to, że na 11 żołnierzy, którym w rubryce „wyznanie” wpisano „mojżeszowe”, w przypadku dwóch, w tym właśnie Fleischfarba, w rubryce „narodowość” wpisano „polska”, podczas gdy pozostali mieli zapisane „żydowska”. Czyżby oznaczało to narodową samoidentyfikację Izaka? Mam co do tego wątpliwości, nie wiem bowiem czy takie zakwalifikowanie wynikało z błędu wojskowego pisarza lub jego oceny, czy też z faktycznej deklaracji zainteresowanego. A może, oświadczając, że nie chce składać przysięgi przed rabinem, mógł zostać uznany za Polaka?

Inną ciekawą informację podaje rubryka „kary sądowe cywilne i wojskowe”, która u Fleischfarba wypełniona jest znakiem „-”. Wynika z tego, iż co najmniej do początku maja 1938 r. kontrwywiad wojskowy, czyli Samodzielny Referat Informacyjny przy Dowództwie Okręgu Korpusu (12 pp należał do 6 DP, a ta podlegała DOK V), nie otrzymał informacji z policji, wydziału bezpieczeństwa urzędu wojewódzkiego czy prokuratury o wyroku skazującym, który ciążył na Fleischfarbie i powinien znajdować się w aktach, od zakończenia kary nie minęły bowiem jeszcze nawet dwa lata. Zachowany w Centralnym Archiwum Wojskowym egzemplarz zeszytu z Ewidencją politycznie podejrzanych żołnierzy 12 pp, kończy się na wcielonych z rocznika 1914 i oczywiście Fleischfarb nie mógł w nim figurować. Warto jednak dodać, że w ostatnim zapisie, z 1937 r., znajdowało się 11 „podejrzanych o komunizm” i dwóch o przynależność do OUN, radykalnie nacjonalistycznej, nielegalnej partii ukraińskiej. Ewidencja taka powstawała na rozkaz SRI, ale w konkretnej jednostce inwigilację zarządzał dowódca pułku. W niektórych przypadkach osoby podejrzane zwalniano z czynnej

służby albo już na poziomie wojskowej komendy uzupełnień, która po prostu nie kierowała takiego osobnika do jednostki, albo po wcieleniu. Zdarzało się to także w macierzystym pułku Fleischfarba, z którego np. we wrześniu 1935 r. zwolniono z tego powodu 12 żołnierzy.

Mimo przejrzenia wszystkich rozkazów dziennych dowódcy z okresu od marca 1938 do sierpnia 1939 r. nie znalazłem innych niż podane wcześniej informacji o przebiegu służby Fleischfarba. Może jakaś notka umknęła mojej uwadze, gdyż rozkazy te odbijane były na spirytusowym powielaczu, pisane bez interlinii i w wielu miejscach są trudno czytelne. Możliwe, że por. Miga, który na przełomie 1938/39 objął dowództwo 4 kompanii strzeleckiej, „zabrał” go ze sobą, ale równie dobrze mógł on pozostać w 1 kompanii już pod dowództwem por. Kazimierza Bukłada, albo być skierowanym do jeszcze innego pododdziału. Pułk był podzielony – I i II batalion stacjonowały w Wadowicach, III batalion w Krakowie. Fleischfarb zapewne nie służył w krakowskiej części jednostki, gdyż pozostałyby chyba jakieś przekazy o częstszych kontaktach z rodziną. Dla przebiegu jego służby nie miało to większego znaczenia, chyba że trafił do jednostki specjalistycznej (plutonu/kompanii łączności, przeciwpancernej czy pionierów, czyli wedle obecnej nomenklatury saperów), które miały nieco odrębny tryb szkolenia i ćwiczeń, a także cieszyły się większym prestiżem. Tak czy inaczej, interesujący nas tu szeregowy (ewentualnie po jakimś czasie starszy strzelec) zapewne posłusznie wykonywał rozkazy, uczył się wojskowego rzemiosła, brał udział w letnich obozach (jeden z nich zorganizowano w okolicy Nowego Sącza), w koncentracjach (np. na Podhalu, w Czarnym Dunajcu), w zajęciach kulturalno-oświatowych (np. wyjściach do kina w Wadowicach) czy w uroczystościach z okazji imienin: marsz. Edwarda Rydza-Śmigłego i Józefa Piłsudskiego i w rocznicę śmierci marsz. Piłsudskiego, Dnia Żołnierza, Dnia Morza, rocznicy wymarszu z Oleandrów Pierwszej Kadrowej lub świąt państwowych 3 Maja i 11 Listopada. Uroczystości były zazwyczaj wzbogacone stosowną pogadanką. Najważniejsze jednak było chyba Święto Pułku obchodzone 31 lipca i 1 sierpnia dla uczczenia bitwy, jaką w 1920 r. 12 pp stoczył z Armią Czerwoną pod Leszniowem, w okolicy miasta Brody. Z tej okazji pułk w pełnym składzie i w paradnym ordynku stawał na wadowickim rynku. Szczególnie okazałą oprawę miała ta uroczystość w 1938 r., mógł w niej uczestniczyć również Fleischfarb, kiedy społeczeństwo Ziemi Wadowickiej przekazało pułkowi broń i wyposażenie zakupione ze składek na Fundusz Obrony Narodowej (prawdę mówiąc nie było tego wiele: pięć karabinów maszynowych z osprzętem, 3 granatniki i 29 masek przeciwgazowych). Nie wiem, czy Fleischfarb korzystał z przepustek i pojawiał się w samych Wadowicach, a jeśli tak, to czy wzięła go chętka, by spróbować słynnych obecnie kremówek. Podawano je jednak – jak uprzedził mnie p. Siwiec-Cielebon – w cukierni I kategorii, która była „dla szeregowców niedostępna”, zarówno z uwagi na cenę ciastek, jak i status tych żołnierzy.

Nie wiem, czy wyjeżdżał na przepustki do Krakowa ani czy ktokolwiek z rodziny – już nawet niekoniecznie żona – odwiedzał go w nieodległych Wadowicach. Nie natrafiłem na jego nazwisko w sporządzanych codziennie listach żołnierzy, którzy otrzymywali z domu pieniądze (na ogół były to przesyłki po 1 czy 2 złote) lub paczki. Można więc sądzić, iż nie miał w czasie służby wsparcia ani ze strony domu, ani niedawnych towarzyszy partyjnych. Nie znalazłem żadnych śladów, by podejmował na terenie jednostki jakiekolwiek działania propagandowe, do których przygotowywali się kazetowcy, a nawet tworzone były specjalne komórki organizacyjne dla poborowych. W każdym razie Światło nigdy o tym nie pisał w ankietach czy życiorysach, a gdyby taką aktywność podejmował, zapewne nie omieszczałby się nią pochwalić. Trudno jednak uwierzyć, aby w trakcie rozmów z innymi żołnierzami mógł całkowicie ukryć swoje poglądy.

Nie wiem, jakie w 12 pp i w pododdziałach, w których służył Fleischfarb, były – mówiąc umownie – stosunki narodowościowe. W kompanii rekruckiej, wśród 115 absolwentów czterech klas szkoły powszechnej było 11 osób (tzn. niemal 10%) wyznania mojżeszowego, 14 Ukraińców, a pozostali byli katolikami i Polakami. Z prawnego punktu widzenia tak jak wszystkich obywateli uznanych za zdolnych do noszenia broni obowiązywało odbycie służby wojskowej, tak podczas tej służby zagwarantowane mieli równe prawa bez względu na wyznanie i narodowość. Jednak, co oczywiste, jedynym językiem urzędowym w armii był język polski i żołnierze, zwracając się do przełożonych i w trakcie zajęć, musieli się nim posługiwać. Wedle niektórych danych w latach 20. około 60% żołnierzy Żydów nie znało polskiego, później odsetek ten na pewno znacznie się obniżył, ponieważ większość żydowskich dzieci uczęszczała do szkół państwowych, a więc z językiem polskim, a nawet w szkołach wyznaniowych nauka polskiego była obowiązkowa i w tym języku były wykładane niektóre przedmioty. W wojsku jednak cały czas prowadzono różnego rodzaju „kursy językowe”, łącznie lub równoległe z nauką pisania i czytania dla tych, którzy nie dotrwali do czwartej klasy.

Dla Fleischfarba język nie stanowił problemu, podobnie jak stosowanie się do przepisów religijnych, jako że po odejściu z domu, zapewne nie przestrzegał zasady koszerności i szabasu ani świątecznych rytuałów. W skali całej armii mniej język, a bardziej zróżnicowanie wyznaniowe stanowiło pewien problem. Jak pisze Tadeusz A. Kowalski w opracowaniu *Mniejszości narodowe w siłach zbrojnych II Rzeczypospolitej Polskiej (1918–1939)*, przestrzeganie kalendarza dni świątecznych prowadziło de facto do pewnego uprzywilejowania żołnierzy innych wyznań niż stanowiące znaczącą większość rzymskokatolickie. Wszyscy bowiem z natury rzeczy „mieli wolne” w dni świąt katolickich, ale w święta obchodzone w obrębie wyznania mojżeszowego, prawosławnego czy greckokatolickiego, wolne mogli mieć tylko żołnierze odpowiednich wyznań. W wielu jednostkach wojskowych nie tylko zakłócało to normalny tok służby, ale mogło prowadzić do konfliktów. Np. wedle rozkazu dowódcy 12 pp z 1938 r. „szeregowi

wyznania mojżeszowego” mogą korzystać ze świątecznych urlopów podczas katolickiej Wielkanocy, choć przysługujące im dni wolne z okazji Pesach przypadały w innym czasie. Podobnie było z katolickimi i prawosławnymi terminami świąt Bożego Narodzenia czy z drugim świętem żydowskim, tj. świętem Sukkot (Szałasów), gdy tylko Żydom przysługiwał urlop. Kolejny problem miał związek z jedzeniem, ponieważ ani w 12 pp, ani w żadnej jednostce, nie można było prowadzić osobnej kuchni koszernej, nawet na czas ważnych świąt. Dowódca pułku zarządzał więc, aby ci żołnierze Żydzi, którzy nie wyjeżdżali na urlop z okazji świąt, mogli spożywać świąteczne posiłki w gminie żydowskiej w Wadowicach, której przekazywano strawne za każdego żywionego żołnierza. Dla dowódców i służb kwatermistrzowskich była to prawdziwa łamigłówka. Oczywiście sami żołnierze, w tym i Fleischfarb, specjalnie się tym nie przejmowali.

Głównym odstępstwem od równouprawnienia było stosowanie ograniczeń – w zasadzie był to *numerus nullus* – we wcielaniu poborowych Żydów, Ukraińców i Niemców do niektórych rodzajów broni, jak marynarka, lotnictwo czy artyleria, specjalistycznych pododdziałów, jak łączność czy KOP, oraz *numerus clausus* w szkołach podoficerskich. Wynikało to nie tyle z ksenofobii, co z ograniczonego zaufania, zwłaszcza wobec Ukraińców i Niemców. Z egzystencjalnego punktu widzenia nie miało to znaczenia dla żołnierzy objętych ograniczeniami. Internowanie w połowie sierpnia 1920 r., gdy ofensywa Armii Czerwonej osiągnęła apogeum, kilku tysięcy oficerów i żołnierzy Żydów, których przez miesiąc trzymano w obozie w Jabłonie koło Warszawy, było jednorazowym epizodem. Później do takich drastycznych działań już nie dochodziło, ale, w atmosferze mocno nasyczonej antysemityzmem i ksenofobią, więcej zależało od konkretnych osób – żołnierzy i oficerów – niż od litery prawa i regulaminów. Choć szczyt antyżydowskich wystąpień przypadał, jeśli nie liczyć wojen 1918–1920, na lata 1936–1937, to zapewne wszędzie zdarzały się wypowiedzi antysemickie zarówno ze strony kolegów-żołnierzy, jak i kadry, głównie podoficerów i młodszych oficerów, czyli tych, którzy mieli bezpośredni kontakt z żołnierzami. Najbardziej mogli zaszkodzić żołnierzowi jego najbliżsi zwierzchnicy, np. przez częste wyznaczanie do szczególnie uciążliwych zajęć. Problem antysemityzmu, czy, szerzej rozpatrując, sprawa ksenofobii w armii II Rzeczypospolitej nie była przedmiotem szczegółowych badań. Nie ma jednak przekazów, ażeby w trakcie służby dochodziło do poważnych nadużyć czy ekscesów na szerszą skalę. Adolf Rudnicki, wyczulony na przejawy antysemityzmu, w swojej na pół autobiograficznej powieści *Żołnierze*, wydanej w 1933 r., opisuje lekceważenie i szyderstwo okazywane Żydom i Ukraińcom, ale nie wspomina o żadnych wypadkach „czynnego antysemityzmu”, wyrażającego się np. fizyczną agresją ze strony kolegów czy przełożonych.

Pilny poszukiwacz śladów antysemityzmu zapewne zwróciłby uwagę na stwierdzenie zawarte w *Sprawozdaniu z wyszkolenia za okres letni 1938 r.*, sporządzonym przez dowódcę 12 pp płka Aleksandra Stawarza: „Stan moralny i fizyczny – z wyjątkiem jednostek, a głównie żydów – bar-

dzo dobry”. Być może sformułowanie to wynikało z rasowych uprzedzeń pułkownika, ale równie dobrze z faktycznej postawy niektórych żołnierzy Żydów, którzy – choćby z racji poczucia obcości i niechętnego czy wręcz wrogiego do nich stosunku – mogli być mało gorliwi w wykonywaniu rozkazów. O jednym z bohaterów powieści, niejakim Rosenbergu, Rudnicki pisze: „nie było w tym człowieku entuzjazmu”. Trudno się dziwić. W przypadku 12 pp pewną rolę w poprawie samopoczucia żołnierzy Żydów mógł odgrywać fakt, że dowódcą V Okręgu Korpusu, któremu pułk podlegał, był gen. Bernard Mond, chrześcijanin żydowskiego pochodzenia, że lekarzem pułkowym był dr Leopold Goldberg, a jedne z koszar nosiły imię płka Berka Joselewicza. Były to wprawdzie koszary mniej „honorowe”, gdyż mieściły się w nich magazyny żywnościowe, ale zawsze. Z uwagi na imię i nazwisko nawet najmniej wykształceni i najgłupszy żołnierze wiedzieli, że był Żydem, choć pewnie mało kto z nich był świadom, dlaczego tak tego „żydka” uhonorowano.

Nie wiem jak na to wszystko reagował Fleischfarb, z jednej strony prawdopodobne antysemickie „odzywki” kaprała czy nawet porucznika, z drugiej koszary nazwane imieniem żydowskiego bohatera polskich zmagających o niepodległość. Na pewno jednak nie złego mu się nie stało, bo pozostałby po tym jakiś ślad w powojennych życiorysach. Służąc w wojsku, miał natomiast okazję poprawić kondycję fizyczną, tym bardziej, że w armii przykładano dużą wagę do sportu, oraz posiąść – nawet jeśli był tylko „szarym piechurem” – nowe umiejętności, zwłaszcza posługiwania się bronią, choć na pewno nie były to specjalnie wyrafinowane urządzenia. Poznał też na własnej skórze zasady dyscypliny i miał okazję obserwować techniki dowodzenia grupą. Z punktu widzenia rewolucjonisty ta wiedza i umiejętności były bardzo cenne. Nie można wykluczyć, że pobyt w koszarach dodatkowo osłabił jego zapal polityczny, a na pewno utracił w tym czasie kontakt z towarzyszami i przyjaciółmi. W dodatku, akurat wtedy, kiedy „poszedł w kamasze”, polski ruch komunistyczny znalazł się w momencie krytycznym: na rozkaz Stalina rozwiązano KPP pod zarzutem bycia „agenturą piłsudczykowską” i w ramach Wielkiej Czystki zakończono likwidowanie jej kierownictwa przebywającego w Związku Sowieckim. Gubili się w tym wszystkim nawet doświadczeni działacze, tym bardziej musiał czuć się zagubiony osamotniony szeregowiec.

Pobyt Fleischfarba w wojsku zbiegł się ze stopniowym, ale dosyć szybkim, wzrostem napięcia międzynarodowego: poczynając od anszlusu Austrii w marcu 1938 r., przez oddanie na przełomie września i października Czechosłowacji pod kontrolę III Rzeszy z równoczesnym wejściem polskich wojsk na Śląsk Zaolziański, utworzenie w marcu 1939 r. niepodległego państwa słowackiego, będącego satelitą Niemiec i zajęcie przez Węgry Rusi Zakarpackiej, aż po wypowiedzenie przez Hitlera układu z Polską i twardą replikę min. Józefa Becka. Potem był już tylko traktat Ribentropp–Mołotow.

Rozkazem Głównego Inspektora Sił Zbrojnych marsz. Śmigłego-Rydza z 23 marca 1939 r., 12 pp, jako część 6 Dywizji Piechoty, wszedł w skład Armii „Kraków”, a dokładniej – Grupy Operacyjnej „Bielsko”, której dowódcą został gen. Mieczysław Boruta-Spiechowicz. Wedle planu działania GO „Bielsko” miała być osłoną „kierunku na Kraków od południowego zachodu”, jej północne skrzydło zostało oparte o Lasy Pszczyńskie, a południowe o Beskid Śląski. III batalion miał tworzyć odwód GO, a pozostała część pułku – znaleźć się w odwodzie dowódcy Armii „Kraków”. Po naborze nowego rocznika przez całą późną wiosnę i lato trwały intensywne ćwiczenia w terenie, ze szczególnym natężeniem od 24 lipca do 24 sierpnia: budowano umocnienia polowe, odbywały się ćwiczenia aplikacyjne z oficerami, które prowadził gen. Mond. Nie udało mi się ustalić, w którym pododdziale służył Fleischfarb, ale z relacji jego siostry Marii wynika, że w sierpniu jego jednostka znajdowała się w rejonie Pszczyna–Rybnik, ponieważ stamtąd przysłał kartkę do rodziców. Być może należał więc do 6 kompanii, która 6 lipca dotarła w rejon pozycji pszczyńskiej. W rozkazach GISZ z 24 i 26 sierpnia, które nakazywały częściową mobilizację zarządzono, iż 12 pp ma pozostać w Wadowicach, ale niektóre jego pododdziały (m.in. wspomniana 6 kompania) znalazły się w okolicach Pszczyny, a inne (III batalion) w Kętach. Główne siły pułku stacjonowały w pobliżu Wadowic: I batalion w Jarosławcu, a II batalion w Choczni.

Jednostki znajdujące się na wysuniętych pozycjach rozpoczęły walki z najeźdźcą rankiem 1 września. Tego dnia I batalion został przerzucony na południe w rejon Suchej i Jordanowa, a II batalion obsadził Myślenice. Obie jednostki starały się zablokować atak silnych ugrupowań niemieckich, które ze Słowacji parły w stronę Krakowa, jednak już w pierwszych dniach w istocie toczyły walki odwrotowe. W nocy z 7 na 8 września pułk przeprawił się przez Dunajec i wycofywał dalej na wschód, a 11 września przekroczył San. Następnego dnia dowództwo GO rozważało możliwość przebicia się w kierunku Lwowa, przyjmując, że na tym etapie działań najważniejsze będzie uchwycenie rejonu Lubaczów–Cieszanów. 15 września do pułku, walczącego pod nowym dowództwem ppłk. Mariana Strażyca, który objął jednostkę dopiero w sierpniu, dołączył III batalion, a więc jednostka została skompletowana. Przez parę dni, w mozolnych walkach powoli przebijano się w planowanym kierunku, ale całemu zgrupowaniu – które w rzeczywistości szło już w rozsypkę – coraz realniej groziło znalezienie się w kotle, ponieważ wojska niemieckie działające na północ od trasy marszu Armii „Kraków”, szybko posuwały się na wschód. Rano 20 września resztki 6 DP – w tym 12 pp, który szedł na czele głównej kolumny – dotarły do kompleksu lasów Werchrata leżącego na północny-wschód od Cieszanowa. Straty były duże, ale przede wszystkim pododdziały uległy znacznemu rozproszeniu. Np. w I batalionie pozostały tylko dwie kompanie liczące w sumie około 160 żołnierzy. Wojsko było wymęczone trwającymi ponad dwa tygodnie wytężonymi marszami w trudnych warun-

kach, licznymi przeprawami i wieloma potyczkami. Nie tylko szeregowcy czy podoficerowie, ale nawet oficerowie z dowództwa pułku i dywizji byli zdeorientowani, łączność z innymi jednostkami mocno szwankowała, a GO jako związek bojowy właściwie już nie istniała. Wiedziano też, że od trzech dni trwa najazd Armii Czerwonej, co dopełniało grozy położenia. Już przed południem tego samego dnia pojawił się niemiecki parlamentarzysta i w imieniu dowódcy 2 Dywizji Pancernej wezwał Polaków do kapitulacji, grożąc, że w przeciwnym razie rejon dyslokacji dywizji zostanie zbombardowany. Około godz. 15.00, po odprawie z dowódcami pułków i batalionów, gen. Mond, jako dowódca 6 DP, podjął decyzję o kapitulacji.

Z bardzo ogólnikowych informacji znajdujących się w ankietach i życiorysach pisanych po wojnie wynika, że pod Cieszanowem Fleischfarb został „lekkoranny” i dostał się do niewoli. Nie było to zapewne poważne zranienie, ponieważ – jak pisał w jednej z ankiet – po dwóch tygodniach uciekł z niewoli i przedostał się do Krakowa. W czasie, gdy nie wszędzie zakończyły się walki, a w samym rejonie Cieszanowa Niemcy zagarnęli tysiące żołnierzy, nadzór nad wziętymi do niewoli szeregowcami był raczej iluzoryczny. Czy to jeszcze z miejsc, w których koncentrowano jeńców, czy z drogi do Przeworska, gdzie był główny obóz selekcyjny, czy z transportów kolejowych, które zmierzały na zachód na trasie Przeworsk–Tarnów–Kraków–Katowice, uciekały zapewne dziesiątki lub nawet setki żołnierzy. Wyczyn Fleischfarba nie był więc czymś niezwykłym, ale może świadczyć, że Izak miał mocny charakter i był odważny.

Zsyłka i Dżambuł

Zapewne jeszcze zanim dotarł do Krakowa, miał gotowy plan: przedostać się na Wschód, na tereny zajęte przez Sowietów. Tak w każdym razie przedstawił to rodzinie. Jednak rodzice i siostry pozostali na miejscu, być może dlatego, że stan zdrowia ojca był już bardzo zły. Żona Fryda również nie chciała z nim uciekać. Według tego, co Fleischfarb opowiadał Justynie w 1942 r., Fryda powiedziała mu, że woli zostać ze swoim pryncypałem, co potwierdzałoby opinię o jej stosunku do męża. Nie uległa też namowom swojej siostry, Fejgi, która wraz z mężem postanowiła przedostać się przez zieloną granicę do Lwowa. Na Wschód uciekały wówczas dziesiątki tysięcy Żydów obawiających się nazistowskiego rasizmu, choć o ostatecznym rozwiązaniu nikt oczywiście wówczas nie myślał. Sami naziści zresztą jeszcze go nie planowali. Uciekali też, zarówno z obawy przed reżimem okupacyjnym, jak i w „ideologicznym odruchu”, liczni komuniści nie tylko żydowskiego pochodzenia. Trudno powiedzieć, jakimi motywami kierował się Fleischfarb. Maria wspominała, jak powiedział, żegnając się z matką, że „idzie tam, gdzie jest jego miejsce”, a więc oceniał sytuację raczej jako komunista, niż jako Żyd.

Pierwsza próba przekroczenia kordonu nie powiodła się i został zatrzymany przez Niemców. Uciekł jednak ponownie, jak pisał później w zyciorysie, i szczęśliwie przedostał się pod okupację sowiecką, choć on sam na pewno inaczej definiował to, co działo się na ziemiach zagarniętych przez Armię Czerwoną, a wnet wcielonych do Związku Sowieckiego. Dla Fleischfarba sowiecka okupacja była zapewne po prostu ważnym krokiem ku utworzeniu Polskiej Republiki Rad, a w każdym razie przesunięciem na zachód granic Pierwszego Państwa Robotników i Chłopów. Wiosną 1940 r. nawiązał kontakt z rodziną, przysłał co najmniej jedną kartkę pocztową do rodziców, a drugą do Frydy, ale nie udało mi się ustalić czy łączność

była dwustronna. Z rodzicami zapewne tak, gdyż – jak relacjonowała Justyna Światło – wiedział, choć zapewne bez szczegółów, że wieczorem 6 marca 1940 r., we własnym domu (mieszkanu) zmarł ojciec. Był „płucno chory”, jak to określono w Księdze zgonów miejskiego Urzędu Zdrowia.

Jak wynika ze znanych mi świadectw Fleischfarb nie zatrzymał się we Lwowie czy w innym większym mieście, co czynili właściwie wszyscy komuniści, którzy przedostali się na Wschód. Po latach twierdził, że gdy zobaczył, jaki jest stosunek władz sowieckich „do starych komunistów polskich”, postanowił „nie przyznawać się” do swojej przeszłości kazezemowskiej. Nawet jeśli motywację tę przyjął post factum, to rzeczywiście w żadnych dokumentach ani wspomnieniach komunistów z ziem zagrabionych przez Moskwę Fleischfarb nie występuje. Tylko jednemu ze znajomych wydawało się, że widział go na ulicy we Lwowie. Sam powiedział Błażyńskiemu, że pojechał do kuzyna, który był rolnikiem i mieszkał na Tarnopolszczyźnie, we wsi Brzozów. Z ankiety złożonej w maju 1949 r. w MBP wynika, że ów kuzyn był przewodniczącym selsowietu, a więc przedstawicielem władzy najniższego szczebla. Miał tam pracować – być może u tegoż kuzyna – ponieważ, jak mówił Błażyńskiemu, „bardzo lubię pracę na roli i na łonie natury”. Nie znalazłem żadnych potwierdzeń tego faktu i jest to najdłuższa luka w życiorysie dorosłego Fleischfarba. Założmy jednak, że tak rzeczywiście było jak opowiadał 15 lat później.

Gdy dowiedział się o śmierci ojca postanowił ściągnąć do siebie matkę, może liczył na to, że uda mu się namówić do wyjazdu także siostry i Frydę. Z relacji Justyny wynika, że miał się zwrócić do NKWD o zezwolenie na wyjazd do Krakowa. Błażyńskiemu wspominał, że prośbę taką zgłosił oficerowi mobilizacyjnemu, gdy został wezwany do odbycia służby wojskowej: „dwa tygodnie później zostałem aresztowany” i deportowany. W żadnych dokumentach z lat późniejszych Fleischfarb nie podaje daty zatrzymania i deportacji, ale dzięki pomocy moskiewskiego Stowarzyszenia „Memoriał”, organizacji niezwykle zasłużonej do poznawania losów Polaków w Związku Sowieckim, udało mi się otrzymać wypis z archiwum milicji obwodu niżniegorodskiego. Wedle niego Fleischfarb został aresztowany 30 czerwca 1940 r. przez wydział IV Zarządu NKWD obwodu tarnopolskiego i na podstawie art. 80 Kodeksu Karnego ZSRR („nielegalne przekroczenie granicy”) skazany na mocy decyzji administracyjnej na pobyt w „poprawczym obozie pracy” (*ITŁ – Исправительно-Трудовой Лагерь*). Po parotygodniowym pobycie w więzieniu w Tarnopolu, 26 lipca trafił do Unzenskiego ITŁ. Na podstawie zbieżności czasowej należy sądzić, iż znalazł się w „trzeciej fali” masowych deportacji obywateli polskich. Fala ta, która ogarnęła wszystkie tereny wcielone do Związku Sowieckiego, nastąpiła w dniach 29 czerwca–1 lipca 1940 r. i objęła prawie wyłącznie „bieżeńców”, takich jak Fleischfarb. Na ogólną liczbę około 76 tys. deportowanych (wedle danych wojsk konwojowych NKWD), aż 85% stanowić mieli Żydzi, co było o tyle naturalne, że to oni właśnie najczęściej uciekali przed Niemcami.

Tak czy inaczej Izak Fleischfarb znalazł się obwodzie gorkowskim (ze stolicą w mieście Gorkij), gdzie ulokowano stosunkowo niewielu *specpieriesieleńców*, bo zaledwie 900 (w tym 790 Żydów). Ścisłej mówiąc, znalazł się w rejonie Semienowo, w osiedlu Suchobezwodnoje, a jeszcze dokładniej – w punkcie obozowym nr 23 *Unżenskowo Łagiera NKWD*, który stanowił część Archipelagu Gułag. W ankiecie z maja 1945 r. zapisał to jako *Lespromchoz*, czyli „kołchoz przemysłu leśnego”. Kak zwał, tak zwał – Fleischfarb znajdował się po prostu w obozie pracy, która polegała na ścinie i obróbce drzewa. Kalkulacja była prosta – za dostarczony surowiec NKWD inkasował pieniądze od Ludowego Komisariatu Przemysłu Leśnego (*Narkomles*), a przymusowym robotnikom oferował wyrko i strawę, której ilość i jakość zależała od procentu wykonanej normy. Nazywało się to *chozrasczot*, czyli rachunek ekonomiczny. Pozytywną stroną deportacji było to, że znalazł się poza zasięgiem nazistowskiej maszyny śmierci i nie podzielił losu tych Żydów, którzy w latach 1941–1943 zginęli z rąk żołnierzy z *Einsatzgruppen* i funkcjonariuszy ukraińskiej policji pomocniczej.

W żadnym ze znanych mi tekstów Światło nie wspomina o pracy w owym kołchozie, ale w cytowanej wcześniej ankiecie, w rubryce „w jakim charakterze” wpisał – „brygadier”. Natrafiłem na tylko jedną relację dotyczącą tego, w sumie ponad rocznego pobytu w obozie. Sporządzono ją 24 października 1954 r., a więc dzień przed oficjalnym powiadomieniem polskiej opinii, że zdrajca Światło, wieloletni agent amerykański, po wypełnieniu swego nikczemnego zadania, uciekł za granicę. Można zatem sądzić, że albo do jej autora dotarli ludzie z MBP gwałtownie poszukujący materiałów dyskredytujących „renegata”, albo (co bardziej prawdopodobne) autor ów – Michał Wanderer, w chwili sporządzania relacji warszawski adwokat – zgłosił się samorzutnie. Dzięki „rozmowom ze znajomymi i krewnymi”, którzy słuchali Radia Wolna Europa, dowiedział się bowiem, że Światło nazywał się Fleischfarb, skojarzył sobie drugie z tych nazwisk z pobytem w „punkcie obozowym nr 23”, a „słyszając obecnie, że Fleischfarb miał należeć przed wojną do młodzieżowego ruchu rewolucyjnego, pragnę stwierdzić, że postępowanie jego (...) nie wskazywało na jakąkolwiek ideowość”. Niezależnie od powodu, z jakiego to świadectwo powstało, jest zapewne skażone negatywnym stosunkiem do przedmiotu informacji. Niemniej wydaje się wiarygodne.

W opinii Wanderera Fleischfarb jako brygadzysta zachowywał się niegodnie: jego decyzje „często były niesprawiedliwe”, „w podnieceniu nie umiał zachować umiaru, ani w słowach, ani w ruchach”, starszych od niego nieraz „napędzał ordynarnymi słowami”, „straszył izolatorem i karną porcją chleba”, a nawet „uciekał się do rękoczynów”. Miewał utarczki z tymi członkami brygady, którzy „uważali się za pokrzywdzonych” przyznanych im przez brygadzystę zbyt niskim wskaźnikiem wykonania norm lub z tymi, którym odmawiał skierowania na komisję lekarską. W jednym przypadku więzień, który oddalił się z miejsca pracy i rozpałił ognisko, aby podgrzać posiłek, został na tym przyłapany przez

Fleischfarba. Uciekając przed nim, nie zauważył, iż przekracza granicę zony – wówczas śmiertelnie postrzelił go strażnik. „Ja osobiście – pisał Wanderer – nie zaznałem od Fleischfarba niczego złego czy dobrego”, ale postępowanie brygadzysty oceniał, jak widać, jednoznacznie źle. Zwracał jednocześnie uwagę, że „w danych specyficznych warunkach kierowanie grupą przypadkowo dobranych, zróżniczowanych mentalnością, wiekiem i zdrowiem ludzi nie jest rzeczą łatwą”. Taki jest już los brygadzysty, że najczęściej traktowany jest jako najbliższy „władca”, osoba, która wykorzystuje swoje uprzywilejowanie, częściej szkodzi niż pomaga.

Jeśli obraz nakreślony przez Wanderera jest prawdziwy, to można powiedzieć, że w roli nadzorcy i kierownika grupy przymusowych robotników, Fleischfarb – będąc formalnie jednym z nich – wykazał cechy, na które dotąd nie zwrócono uwagi: brutalność, bezwzględność, poniżające traktowanie zależnych od niego. Siostry pisały o nim, że bywał uparty i arogancki, czasami nawet wobec rodziców, ale sylwetka, która rysuje się z relacji współwięźnia – bo robotnicy przymusowi byli de facto więźniami – może wskazywać, iż Iziek znacznie się zmienił. Na gorsze. Być może to, że stał się zwierzchnikiem kilkunastu lub nawet kilkudziesięciu ludzi i to w trudnych warunkach chłodu, wyzwoliło w nim jakieś pokłady zła lub ujawniło kompleksy – niełatwa służba w wojsku – wtedy to on był podwładnym – upokorzenie przez żonę, która odmówiła dzielenia z nim losu (i łóża), znalezienie się poza ruchem, w który tak bardzo się angażował. Nie wiem, czy warto dłużej psychologizować, ale niewątpliwie trzeba o tym wspomnieć.

Niekiedy pojawiają się opinie, że Fleischfarb był w tym czasie tajnym współpracownikiem NKWD, a niektórzy nawet uważają, że był dobrze przeszkolonym funkcjonariuszem działającym „pod przykrywką”, co wynika z jego późniejszej działalności w sowieckich grupach operacyjnych na terenie Polski. Na to, że był funkcjonariuszem, nie ma jak dotąd żadnych dowodów i jest to, moim zdaniem, prawie wykluczone. Już bardziej prawdopodobna jest pierwsza hipoteza. Niestety, bez dostępu do operacyjnych dokumentów sowieckich jej udowodnienie jest niemożliwe. Można przyjąć też inne założenie, według mnie zasadne, choć też trudne do udowodnienia, że związki Fleischfarba z NKWD nosiły charakter – wedle nomenklatury, którą później posługiwał się także Światło – „kontaktu operacyjnego”. Jako brygadzysta zobowiązany był bowiem, co oczywiste, do szczegółowego informowania funkcjonariuszy o nastrojach i wypowiedziach osób, którymi bezpośrednio zarządzał. Rodzi się, rzecz jasna, pytanie: dlaczego akurat Fleischfarb został brygadzystą i kiedy to się stało? Można dywagować, że objął to stanowisko, ponieważ był młody (25 lat), ale już doświadczony, miał za sobą pełne przeszkolenie wojskowe, brał udział w walkach, był energiczny i zaradny. Może walczył o zdobycie tego stanowiska? Plusem dla niego było też to, że nie miał, jak sądzę, zastrzeżeń do systemu sowieckiego i nie był o takowe podejrzewany, nawet jeśli nie ujawniał, że w „pańskiej Polsce” należał do młodzieżówki komunistycznej (co lepiej było jednak ukrywać). Ale ostatecznej odpowiedzi nie znam.

W każdym razie można chyba sądzić, iż okres zsyłki Fleischfarb przetrwał nie najgorzej, zapewne lepiej niż większość jego podwładnych. No i bez porównania bardziej szczęśliwie niż najbliższe mu osoby, które w 1939 r. nie rwały się do Sowietów. Los *specpieresieleńców* i robotników przymusowych był niezwykle ciężki, śmiertelność wśród deportowanych wynosiła nawet do 8% w skali rocznej, a więc na stepach Kazachstanu, w tundrze syberyjskiej, w lasach Republiki Komi czy obwodu archangielskiego – czyli, jak to enigmatycznie określano, „w głębi Związku Sowieckiego” – tysiące ludzi zmarło z chorób i z głodu. Jednak rodzina Izaka została poddana znacznie bardziej okrutnym próbom. Nie licząc wcześniejszych, dotkliwych szykan i represji, które rozpoczęły się wnet po wejściu Niemców do Krakowa, w kwietniu 1940 r. władze niemieckie podjęły decyzję nakazującą ludności żydowskiej opuszczenie miasta, w którym mieli pozostać tylko ci, którzy „ze względu na znaczenie swej pracy” otrzymają specjalne pozwolenie. Do 1 października opuściło Kraków około 32 tys. Żydów, w listopadzie wyrzucono z miasta następnych parę tysięcy, a w końcu lutego 1941 r. zaczęły się wywózki do obozów. W rezultacie wysiedlono z Krakowa około 41 tys. Żydów a tych, którzy mieli „prawo” pozostać, zaczęto przesiedlać do „żydowskiej dzielnicy mieszkaniowej”, którą zlokalizowano na Podgórzu, na prawym brzegu Wisły. Z dniem 21 marca 1941 r. getto zostało zamknięte i za wybudowanym odpowiedniej wysokości murem znalazło się ponad 20 tys. osób, które gnieździły się w domach o niskim standardzie, uprzednio zamieszkiwanych tylko przez 3 tys. ludzi, w dużej części Polaków. Ich z kolei przeniesiono na „żydowskie ulice” w samym Krakowie. W 1942 r. organizowano kolejne transporty do obozów zagłady tych osób, którym nie przedłużono prawa pobytu – w marcu około 1,5 tys., na przełomie maja i czerwca 1942 r. około 7 tys., 28 października 1942 r., gdy getto liczyło już tylko niewiele ponad 12 tys. mieszkańców, przeprowadzono jeszcze jedną wielką akcję, wysyłając na śmierć około 4,5 tys. osób. Transporty na ogół kierowano do obozu zagłady w Bełżcu. W czasie tych akcji ponad 1 tys. osób zabito na miejscu, w getcie. Kurczyła się nie tylko liczba ludności, ale i – w rytm wywozek – zmniejszał się obszar getta a warunki bytowe stawały się coraz trudniejsze. 13 marca 1943 r. nastąpiła kolejna akcja likwidacyjna: około 2 tys. wywieziono do Auschwitz, ponad 2 tys. zginęło na miejscu, a pozostałych przy życiu przeniesiono do obozu pracy w rejonie Płaszowa (*Zwangsarbeiterlager Płaszow bei Krakau*), który 10 stycznia 1944 r. został przemianowany na „normalny” obóz koncentracyjny. Znalezienie się w obozie nie chroniło, rzecz jasna, przed wysyłką na śmierć – 14 maja 1944 r. wywieziono stąd do Auschwitz prawie 2,5 tys. osób. Obóz w Płaszowie stał się w ciągu 1944 r. także obozem etapowym dla tysięcy Żydów słowackich i węgierskich oraz Romów. Wszyscy oni trafili stąd do komór gazowych w Auschwitz. W osobnej części obozu więziono także Polaków. W drugiej połowie października 1944 r. obóz został zlikwidowany, a pozostałych przy życiu więźniów żydowskich (w tym niemal 1 tys. z tzw. listy Schindlera) przewieziono do obozów w Gross-Rosen i Auschwitz.

Nie udało mi się, niestety, odnaleźć właściwie żadnych przekazów dotyczących Fleischfarbów. Nazwiska tego nie wymieniają autorzy podstawowych opracowań o wojennych losach Żydów krakowskich – Katarzyna Zimmerer (*Zamordowany świat. Losy Żydów w Krakowie, 1939–1945*) i Aleksander Biberstein (*Zagłada Żydów w Krakowie*) – którzy ze szczegółami opisują tragiczny żywot dziesiątek tysięcy ofiar nazistowskiego bestialstwa. Na podstawie znanych mi dokumentów wiem, że Fryda była na liście osób przeznaczonych do wysiedlenia do getta, a Cyla w lutym 1941 r. ubiegała się (wraz z mężem) o wydanie kenkarty. Nie wiem więc, czym się zajmowali – poza tym, że musieli, jak wszyscy, walczyć o przeżycie – gdzie mieszkali po utworzeniu getta, czy uczestniczyli np. w konspiracji żydowskiej. Można sądzić, że siostry będące w „wieku produkcyjnym” (najstarsza miała nieco ponad 30 lat, najmłodsza 20) miały jakąś pracę, co było o tyle ważne, że dzięki temu zwiększała się szansa przeżycia. Cyla mogła mieć ponadto oparcie w mężu, wykwalifikowanym robotniku, a więc częściowo był „chroniony” jako osoba przydatna dla wysiłku wojennego Rzeszy. Z pojedynczych wzmianek w dokumentach i relacjach wynika, że matka, Rebeka Fleischfarb, trafiła do transportu do Bełżca w 1942 r., a Fryda, wedle jednego z przekazów, znaleźć się miała w „ostatnim transporcie” do Auschwitz, gdzie zginęła. Przez określenie „ostatni transport” należy chyba rozumieć selekcję przeprowadzoną w chwili likwidacji getta, tzn. w marcu 1943 r. Jednak w życiorysie z 1949 r. Światło napisał, że „zginęła w Krakowie”, a więc być może została zastrzelona w jednej z akcji w 1942 lub w 1943 r. Maria, Rachela i Sara trafiły do Auschwitz, ale jedyny źródłowy przekaz na ich temat, jaki znalazłem, to lista kobiet przeniesionych w listopadzie 1944 r. do obozu w Lichtewerde, gdzie usytuowano jedną z kilkudziesięciu filii KL Auschwitz III. Na tej samej liście znajduje się też Cyla (zapisana jako Cylija Perelman), z czego można wnosić, że wszystkie trafiły do Auschwitz w tym samym czasie. Sądząc po numerach obozowych, było to w końcu marca 1942 r. Maria, Rachela i Sara przez cały czas zdołały trzymać się razem, co niewątpliwie zwiększało szanse przetrwania. Być może razem z nimi była też cały czas czwarta siostra, która przeżyła wielki dramat: najpierw w selekcji 3-letnia córka została skierowana na śmierć, jakiś czas później (niestety, w relacji Marii brak dat) urodziła w obozie dziecko, które „wrzucone zostało na jej [Cyli] oczach do kotła z gorącą wodą”. Przetrwała jednak ten szok. Można to uznać za prawdziwy cud, ale wszystkie ocalały! Oczywiście Izak, od kiedy został wywieziony z Tarnopolszczyzny, nie wiedział nic o losie najbliższych, a wiadomości o skali tragedii, którą później nazwano holokaustem i sklasyfikowano jako ludobójstwo, zaczęły docierać do tych, którzy byli w Związku Sowieckim właściwie dopiero wtedy, gdy Armia Czerwona znalazła się na Ukrainie.

W kilka miesięcy po zamknięciu matki, żony i siostr w getcie na Podgórzu, dzielnicy dobrze znanej Fleischfarbowi, jego sytuacja uległa radykalnej poprawie. W ślad za układem zawartym 30 lipca 1941 r. między gen. Władysławem

Sikorskim, premierem Rządu Polskiego na uchodźstwie, a Iwanem Majskim, ambasadorem sowieckim w Londynie, 12 sierpnia Prezydium Rady Najwyższej Związku Sowieckiego wydało dekret o amnestii dla obywateli polskich. Tego samego dnia Rada Komisarzy Ludowych ZSRR i Biuro Polityczne KC WKP(b) przyjęły wspólną uchwałę „O trybie zwalniania i skierowywania obywateli polskich zgodnie z [powyższym] dekretem”. W ciągu kilkunastu dni rozpoczęło się zwalnianie więźniów, robotników przymusowych i *specpieriesieleńców*, a wszyscy teoretycznie dostali prawo swobodnego zamieszkania na terytorium państwa sowieckiego (z wyjątkiem „stref specjalnych” i „miast zamkniętych”). Do końca września, a więc, biorąc pod uwagę warunki i odległości, stosunkowo szybko, zwolniono – według danych sowieckich – około 265 tys. osób. Każda z nich miała otrzymać w lokalnych placówkach NKWD bilet kolejowy oraz pieniądze na podróż (po 15 rb. dziennie na osobę). Zwalnianych ogarnęła, jak należało się spodziewać, gorączka wyjazdowa i dziesiątki tysięcy osób starały się, niemal jednocześnie, dostać na południe Związku Sowieckiego, co oznaczało przede wszystkim Kazachstan i Uzbekistan.

11 września 1941 r. Fleischfarba objęła amnestia i wyjechał do Kazachstanu. Najpierw do obwodu almaatyńskiego, a wnet przeniósł się do obwodu dżambulskiego, który był jednym z bardziej popularnych regionów docelowych dla zwolnionych Polaków. Obwód ten leżał na przedgórzu Tienszania, centrum stanowiło spore miasto Dżambuł, ongiś znaczący ośrodek handlowy na słynnym Jedwabnym Szlaku, w wiekach X–XII stolica państwa Karachanidów. Wedle spisów przeprowadzonych przez Ambasadę RP w końcu 1942 r. – a więc już po ewakuacji armii gen. Andersa – w obwodzie przebywało co najmniej 17 tys. obywateli polskich. Jak wynika z późniejszego spisu, prawie 60% było pochodzenia żydowskiego. Historycy zajmujący się losami obywateli polskich w Związku Sowieckim po 1941 r. szacują, że Żydzi stanowili wśród nich około 25%, czyli trzy razy więcej niż w II Rzeczypospolitej.

Na miejscu szybko odtworzyło się grono znajomych, wśród nich m.in. Dawid Blumenkranc, z którym Fleischfarb zaczynał swoją działalność w KZM, a przede wszystkim szwagierka, Fejga Rubin wraz z mężem. Początkowo utrzymywał się z pracy dorywczej w lokalnej fabryce i wraz z Fejgą dorabiali, wypiekając kruche ciastka i sprzedając je na bazarze lub krążąc z nimi po domach. Wedle zgodnych opinii świadków, którzy w 1954 r. spisali swoje relacje dla MBP, Fleischfarb opiekował się rodziną i mieszkał razem ze szwagrostwem. Po pewnym czasie, namówiony przez Rubina, przeszedł parotygodniowy kurs szewski organizowany przez lokalną delegaturę Ambasady RP i zaczął zarabkować jako szewc w Artelu Inwalidów Żelaznodorożnik. Ani w życiorysach pisanych przez Świątłę, ani w relacjach osób, które go znały w Dżambule, nie ma żadnych wzmianek o armii polskiej, która od sierpnia 1941 r. formowana była w Związku Sowieckim pod dowództwem gen. Władysława Andersa. Jakkolwiek wcielanie Żydów (także Ukraińców i Białorusinów) napotykało poważne przeszkody

zarówno z racji „polityki narodowościowej” samej armii, jak i różnych działań władz sowieckich, w wojsku znalazło się ponad 4 tys. Żydów polskich, a niektóre środowiska syjonistyczne próbowały nawet nakłonić gen. Andersa do utworzenia Legionu Żydowskiego. Fleischfarb najwyraźniej nie podjął starań o znalezienie się ponownie w Wojsku Polskim, a apele syjonistów zapewne nie trafiały mu do przekonania. Nie znalazłem też żadnych śladów świadczących o aktywności politycznej, choć raczej nie mógł już ukrywać swojej komunistycznej przeszłości, grono osób, z którymi miał tam styczność, w zasadzie składało się z takich samych jak on – byłych członków lub aktywnych sympatyków KZM. Jednak Fleischfarb nie figuruje na liście b. członków KPP i KZM, sporządzonej na potrzeby Kominternu w lutym 1943 r. przez Jana Dzierżyńskiego (syna Feliksa), choć przebywał przecież w środowisku komunistycznym, a znaleźli się na niej niedawno poznana Justyna (Justa) Światło – oraz jej brat, Walter. Byli też na owej liście Julia Brystygierowa czy Mieczysław Mietkowski, późniejsi towarzysze z bezpieki.

W lipcu 1942 r., a więc niemal rok po tym, jak Fleischfarb osiadł w Dżambule, zjawiała się tam 23-letnia Justyna Światło. Urodzona w Mielniku nad Bugiem, od 1921 r. mieszkała wraz z rodzicami w Warszawie. Ojciec, pochodzący z Siedlec, był „rymarzem galanterijnym”, matka nie pracowała zarobkowo. W 1935 r., została usunięta ze szkoły średniej za „działalność antyfaszystowską”, przez co należy rozumieć co najmniej sympatyzowanie z komunizmem. Dwa lata później zdała maturę jako ekstern i podjęła naukę w szkole pielęgniarzkiej przy żydowskim szpitalu na Czystem. W tym czasie należała już do KZM, w 1938 r. została aresztowana i w związku z tym znów zwolniona ze szkoły, a po wyjściu z więzienia dorabiała prywatną praktyką pielęgniarzką. W październiku 1939 r., wraz z całą rodziną (w tym ze starszym bratem i młodszą siostrą), wydestała się za kordon sowiecko-niemiecki. Kontynuowała naukę i pracowała w szpitalu zakaźnym we Włodzimierzu Wołyńskim, później w sierocińcach w tymże Włodzimierzu i w Borysowie. Po wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej została ewakuowana do miejscowości Łyswa (w obwodzie mołotowskim), gdzie była pielęgniarzką w szpitalu wojskowym. Poznała tam m.in. Blumenkranca, który już w 1941 r. pojechał do Dżambułu, ale nie wiem, czy to z jego inicjatywy i ona się tam przeniósła.

Krótko po przyjeździe do Dżambułu poznała Fleischfarba: „odczułam, że (...) interesuje się moją osobą”, a po „kilku rozmowach z nim stwierdziłam, że chłopak [miał już 27 lat] jest niegłupi, ma poczucie humoru, jest bystry i ma dużo wrodzonej inteligencji”. Nie przeszkadzało jej, że nie potrafi „odróżnić twórczości Hessego od Rolanda”, miał natomiast skłonność „do zmagania się ze sobą, ze swoimi słabościami”. Sprawy potoczyły się szybko – „w sierpniu zostałam żoną Fleischfarba”, choć chodziło o stan de facto, a nie de iure, ponieważ ślub urzędowy wzięli dopiero 26 kwietnia 1943 r. Nie miało to doprawdy wielkiego znaczenia, ale interesujące, iż to właśnie z tej okazji – co potwierdza oficjalne

pismo dżambulskiego *Otdiela Aktow Graždanskowo Sostojanija* – Izak przyjął nazwisko żony, którego zresztą przez około półtora roku miał jeszcze nie używać. Przyjęcie „polskiego nazwiska” jest tym bardziej zastanawiające, że Justyna wspominała, iż jedną z niewielu spraw, które ich wówczas różniły, było „mocne przywiązanie [Izaka] do narodowości żydowskiej, której ja absolutnie nie czułam”. Innym powodem kłopotów były zapewne wspomnienia o Frydzie, a sytuacja była dla Fleischfarba o tyle nieprzyjemna, że siostra jego krakowskiej żony miała poważne zastrzeżenia do nowego związku, przecież nie było wiadomo, co dzieje się z Frydą – może jeszcze żyje? Mniej problemów w nowym stadle sprawiał fakt, iż – jak sam się przyznał Justynie – w czasie pracy na rzecz sowieckiego leśnictwa, „utrzymywał bliższe stosunki” z „niejaką Elą z Poznania”, być może Polką, a na pewno – jak to sam określił – „reakcjonistką”. Odciał się zatem stanowczo od tego związku. W relacjach z Justą nie miał takich problemów, przeciwnie, łączyła ich wspólnota ideowa, aczkolwiek w Dżambule żadne z nich nie było – o ile wiem – aktywne politycznie. Niemniej czytali redagowane przez Wandę Wasilewską i Alfreda Lampe „Nowe Widnokreği”, pismo wydawane przez środowisko polskich komunistów, które do wiosny 1943 r. było głównym ośrodkiem, wokół którego skupiali się dawni członkowie KPP, KZM czy sympatycy komunizmu rozproszeni „w głębi” Związku Sowieckiego. Zapewne wstąpili do Związku Patriotów Polskich, którym za pośrednictwem polskich komunistów dyrygowali Sowietci, ale nie stali się jego aktywistami. Powstanie ZPP było wynikiem podjęcia przez Stalina ostatecznej decyzji co do losów Polski i jej pełnego podporządkowania Moskwie. W życiu Izaka i Justy oznaczało to ważną zmianę.

Tego samego dnia, gdy wystawiano im akt ślubu, Fleischfarb, który już po raz drugi przyjął obywatelstwo sowieckie pod przymusem (pierwszy raz uczynił to jesienią 1939 r.), został wcielony do *trud-armii*. Miał łątać a może wyrabiać buty czerwonoarmistom. Czy dlatego właśnie „legalizowali” swój związek, by uniknąć wcielenia?

Wojna: „kościuszkowiec”

W *trud-armii* Fleischfarb spędził niespełna trzy tygodnie, po czym stał się, w pewnym sensie, dezterem: 13 maja, bez zgody przełożonych powrócił do Dżambułu i przyłączył się do transportu, który wyruszył w kierunku środkowej Rosji. Nawet nie pożegnał się z żoną, z którą się rozminął, bo właśnie pojechała go odwiedzić. Zapewne kilka lub kilkanaście dni później znalazł się w Sielcach nad Oką, gdzie – pod dowództwem płka Zygmunta Berlinga, którego Stalin mianował generałem – zaczynało formować załążek przyszłego Ludowego Wojska Polskiego, czyli I Dywizję Piechoty im. Tadeusza Kościuszki. W sporządzonym w MBP w listopadzie 1954 r. raporcie, w którym Światło przedstawiony jest jako prawdziwy szwarccharakter, zwrócono uwagę, iż „już w transporcie (...) jest gorliwcem zaprowadzającym porządku, staje się od razu nieodzownym, starszym w grupie”. Niezależnie od intencji autorów raportu można przyjąć za bardzo prawdopodobne, że Fleischfarb, podobnie jak w „punkcie obozowym nr 23”, komenderował i rządził. Oczywiście na skalę „grupy”.

Nie udało mi się zebrać zbyt wielu informacji o jego służbie w dywizji „kościuszkowskiej”. Wiadomo, że znalazł się w 2 pp, który zaczęto formować 24 maja, gdy zapewne był już w Sielcach. Żołnierzom wręczono broń 14 czerwca, a 15 lipca – nieprzypadkowo w rocznicę bitwy pod Grunwaldem – cała dywizja złożyła przysięgę. Tym razem nie było „wyznaniowych kłopotów”: odbyła się tylko katolicka msza odprawiana przez ks. mjr Franciszka Kubsza i wszyscy jednakowo zdejmowali nakrycia głowy. Zresztą na około 14,4 tys. żołnierzy i oficerów, wedle oficjalnych danych było niewiele ponad 400 Żydów, a więc proporcjonalnie mniej niż w armii II Rzeczypospolitej. Mimo licznych ankiet i życiorysów, które składał Światło, nie jest dla mnie jasne, do którego pododdziału trafił na początku istnienia dywizji. W wykazie żołnierzy odzna-

czonych za udział w bitwie pod Lenino wymieniony jest jako dowódca drużyny w plutonie łączności. Ponieważ na szczeblu plutonu – nie mówiąc o drużynie – były tylko stanowiska „liniowe”, więc i on zapewne takie zajmował. W dywizji służyło prawie 4 tys. żołnierzy, którzy przeszli przez Wojsko Polskie, a więc staż żołnierski i wojenny Fleischfarb nie był niczym nadzwyczajnym, zapewne jednak nie od razu ze strzelca w wadowickim 12 pp stał się plutonowym. Podczas bitwy Blumenkranc widział go na punkcie obserwacyjnym dowódcy dywizji i określił, iż był „telefonistą Dowódcy Dywizji”, ale myślę, że zajmował się tam łącznością z dowództwem macierzystego pułku. Pobyt w dowództwie dywizji nie znaczył, że w czasie bitwy Fleischfarb nie mógł być blisko lub nawet wśród walczących w pierwszej linii. Ale o jego udziale w walce – a 2 pp nacierał w pierwszym rzucie – nie mam żadnych informacji. Ponieważ jednak, razem z ponad setką innych żołnierzy, odznaczony został Brązowym (taka była wówczas pisownia) Medalem Zasłużonych na Polu Chwały, należy sądzić, iż wyróżnił się w czasie walki. Albo sprawnie telefonując w sztabie, albo odważnie atakując. A może i jedno, i drugie. Warte odnotowania jest to, że medale wręczano 11 listopada, a datę oficjalnego święta państwowego II Rzeczypospolitej wybrano w celach kamuflażowych. Dodam, że to święto uroczystie obchodzono jeszcze w 1944 r., Stalin przysłał z tej okazji depeszę, natomiast 15 sierpnia 1944 r., w rocznicę zwycięskiej bitwy pod Warszawą w wojnie polsko-bolszewickiej, w Lublinie odbyła się defilada. Jednak, prawdę mówiąc, wówczas Stalin gratulacji już nie przysłał.

Zapewne przed bitwą Fleischfarb odbył krótki kurs dla oficerów politycznych, ponieważ z dniem 22 października – a więc niespełna dziesięć dni po krwawej łaźni, jaką była bitwa pod Lenino i jeszcze przed otrzymaniem medalu – ze stopniem chorążego został zastępcą dowódcy kompanii łączności do spraw polityczno-wychowawczych. Na początku lipca 1944 r., na krótko przed przekroczeniem Bugu, który miał być teraz zamiast Zbrucza rzeką graniczną, Światło został przeniesiony (w ramach tego samego 2 pp) do Samodzielnego Dywizjonu Artylerii Samochodowej (SDAS) na stanowisko instruktora, czyli zastępcy szefa zespołu oficerów polityczno-wychowawczych, zwanych w skrócie „pol-wych” lub politrukami. W SDAS jego zwierzchnikiem był kpt Aleksander Szaraburin, oficer sowiecki. Korpus oficerów polityczno-wychowawczych I Dywizji był prawdziwą wylegarnią przyszłej elity komunistycznej Polski. Kogóż tam nie było – Piotr Jaroszewicz, Stefan Matuszewski, Kazimierz Witaszewski, Walenty Titkow, Zygmunt Bauman, Stanisław Wohl, Stanisław Ehrlich, Marek Fritzhand, Konrad Świetlik, Marian Muszkat, Mieczysław Mietkowski, Juliusz Burgin, Władysław Matwin, Anatol Fejgin, Karol Bąkowski, Włodzimierz Sokorski, Marian Naszkowski, Jerzy Putrament, Jakub Prawin, Adam Bromberg... Późniejsi ministrowie (a nawet jeden premier), sekretarze ważnych instancji partyjnych, profesorowie uniwersytetów, artyści, wydawcy, pisarze, generałowie. I ubecy. Zaczęło się skromnie od siedmiu osób w momencie tworzenia dywizji, ale w końcu 1943 r. korpus

liczył już ponad 330 oficerów. Jak obliczył Władysław Honkisz, autor monografii o oficerach politycznych, około połowę stanowiły osoby powiązane przed wojną z komunizmem (choć nie wszyscy byli „regularnymi” członkami KPP czy KZM), a niemal 60 osób było narodowości żydowskiej.

Nie wiem, czy i na ile Fleischfarb uczestniczył w życiu polityczno-towarzyskim politruków. Od zakończenia bitwy pod Lenino aż do lipca 1944 r. wojsko, rozrastające się stopniowo do korpusu, a potem armii, nie walczyło na pierwszej linii. Najpierw wylizywało się z ran odniesionych nad rzeczką Miereją, potem organizowano szkolenia i ćwiczenia, niezbędne także dlatego, że od wiosny 1944 r. i odkąd znaleźli się na ziemiach II Rzeczypospolitej, wcielano tysiące nowych żołnierzy. Odbывwały się też kursy i odprawy oficerów pol-wych na różnych szczeblach. Była więc okazja do spotkań czy do składania sobie wizyt. Być może Fleischfarb brał udział w gorących debatach, które wówczas toczono nad kształtem przyszłej Polski, nad rolą komunistów i wojska. Niektórzy oficerowie z dywizji „kościuszkowskiej” uważali się za coś w rodzaju legionistów Piłsudskiego, zamiast „My, pierwsza brygada” śpiewali „My, pierwsza dywizja” i byli przekonani, że po wojnie będą mieli do odegrania ważną rolę. Niewiele się pomylili, choć służyli zniewoleniu Polaków przez komunizm, a nie budowie prawdziwie niepodległej ojczyzny. Być może aktywność Fleischfarba w tego rodzaju debatach była ograniczona z przyczyn rodzinnych. W listopadzie 1943 r. do armii Berlinga zmobilizowana została Justyna, która, mając już spore doświadczenie zawodowe, została – w stopniu sierżanta – siostrą chirurgiczną w 2 Szpitalu Polowym. W styczniu 1944 r. spotkali się: „Widywaliśmy się dosyć często – pisała Justyna – od tego czasu byliśmy blisko siebie”.

Po przekroczeniu Bugu obowiązki politruków zostały znacznie poszerzone. Oczywiście nadal byli politycznymi nadzorcami żołnierzy, mieli dbać o ich właściwe wychowanie polityczne, indoktrynować, zagrzewać do walki, przypominać o obowiązku czujności, „pogłębiać nienawiść do wrogów demokracji”, zachęcać w dążeniu „do osobistego udziału w wyszukiwaniu i niszczeniu” owych wrogów, których ucieleśnieniem była AK. Tłumaczyli swoim podwładnym znaczenie i treść dokumentów PKWN. Musieli jednak udzielać się także poza wojskiem, armia była w tym czasie nawet nie tyle głównym, ile w praktyce jedynym filarem instalującej się dopiero nowej władzy. Stali się więc inicjatorami lub pomocnikami w organizowaniu załączków administracji, a nawet życia publicznego, oczywiście takiego, jakiego oczekiwali komuniści i Sowieci. W przypadku skromnego oficera politycznego w dywizjonie artylerii nie chodziło, rzecz jasna, o udział w konstruowaniu centralnych instytucji państwowych, ale o działalność na szczeblu gmin i małych miast, w najlepszym razie powiatowych, o udzielanie pomocy w uruchamianiu lokalnych urzędów i rad narodowych. Miało to tym większe znaczenie, iż na sporej części Polski „lubelskiej” nie istniały lub były bardzo słabe zarówno komórki PPR, jak i oddziały Armii Ludowej, a nie wypadało, żeby wszystkim zajmowali się wszechmocni wówczas sowieccy komendanci wojskowi. Ta zewnętrzna, „pozawojskowa” część działalności oficerów politycznych (i przydzielanych im grup żołnierzy), polegała

na prowadzeniu akcji propagandowych: organizowaniu wieców i różnego rodzaju „spotkań z ludnością”, druku i kolportażu ulotek czy plakatów. W wielu przypadkach korzystano z pomocy politruków sowieckich i z samochodów propagandowych Armii Czerwonej, wyposażonych w urządzenia nagłaśniające, projektory filmowe, a nawet podręczne drukarnie. Fleischfarb, jak pisał w swoich życiorysach z 1945 i 1949 r., „z ramienia Dywizji” najpierw brał udział w organizowaniu administracji w gminie Irena koło Dębina, później w powiatach Garwolin i Mińsk Mazowiecki. Pomagał również w tworzeniu lokalnych ogniw milicji.

Po nieudanych walkach o uchwycenie przyczółka na zachodnim brzegu Wisły w rejonie Dębina, 2 pp wznowił aktywność bojową w końcu sierpnia, a w nocy z 8 na 9 września wraz z całą dywizją rozpoczął walki o Pragę, których pierwsza faza zakończona sukcesem trwała do 15 września, druga – bitwa o Jabłonnę – od 10 do 29 października. Z okresu 11 września–10 października zachowało się w Centralnym Archiwum Wojskowym 13 meldunków, które w związku z czasową nieobecnością w jednostce kpt. Szaraburina, przekazywał do dowództwa dywizji instruktor polityczny Fleischfarb. Są one krótkie, zawierają najwyżej po kilka informacji, składane były niekiedy parę razy w ciągu jednego dnia, pisał je odręcznie na kartkach wyrwanych z zeszytu. Dotyczą bieżących wydarzeń, zarówno walk, strat i sukcesów w boju, jak i m.in. kolportażu materiałów propagandowych nadesłanych z dywizji (np. „Komunikat oraz ulotkę wydaną przez W[ydział] P[ropagandy] dostarczono na pierwszą linię”), warunków bytowych (np. „wyżywienie normalne”) czy nastrojów (np. „stan moralny baterii bardzo dobry”) wśród żołnierzy.

Jest wśród nich również „Meldunek specjalny” z 13 września, a więc z dnia, w którym w centrum Pragi toczyły się ciężkie walki o dotarcie do brzegów Wisły. Fleischfarb pisze w nim o wiecu z udziałem „do 500” osób, który odbył się w Rembertowie. Było to pierwsze publiczne zgromadzenie po wyparciu z tego miasta Niemców. Przemówienia wygłaszali: autor meldunku, chor. Wójcik z 3 pp, „kpt. z Czerwonej Armii w jęz. rosyjskim”, „kpt. z Czerwonej Armii w jęz. polskim”, a „z ramienia ludności cywilnej” Aleksander Świątkowski z PPR i Julian Bednarczyk z PPS, który zarazem był „delegatem robotniczym fabryki Lidt [?]”. Przemawiał także kpt. Tadeusz Wiśniewski, który – jak to określił Fleischfarb – był „kwatremistrzem I p[ułku] przec[ciw] panc[ernego] zorganizowanego przez AK”. Jak wynika z meldunku, jego autor odbył rozmowę z owym kpt. Wiśniewskim, a na dzień następny zaplanowano konferencję z innymi oficerami AK, którzy „według wstępnych rozmów przeprowadzonych ze mną zgłaszają swój akcept zgłoszenia [się] do Wojska Polskiego”. Tego dnia miało się odbyć także spotkanie z „aktywistami” (zapewne z PPR). Zebrani na wiecu wystosowali list „do żołnierzy”, który podpisali mówcy-Polacy.

W „Meldunku specjalnym” Fleischfarb podał nazwisko dowódcy owego odtwarzanego pułku AK, mjr Rudolfa Mizgiewicza (zapisał to nazwisko jako Mizgalewicz), oraz kpt. Edwarda Kapkowskiego (zapisany w meldunku jako Kopkowski), którzy przed wojną byli wykładowcami w Centrum Wyszkożenia Piechoty w Rembertowie.

W zachowanych meldunkach z kolejnych dni nie ma żadnych informacji ani na temat owych narad, ani dalszych kontaktów z oficerami, co nie znaczy, że się one nie odbyły. Wspominam o tym epizodzie, ponieważ ilustruje on, oczywiście w nieuniknionym skrócie, zarówno zakres działalności oficerów politycznych, jak i doraźną linię postępowania Sowietów, którą Fleischfarb i inni jemu podobni realizowali.

W nieodległym od Rembertowa Otwocku, w którym Armia Czerwona pojawiła się 29 lipca, Sowietci przez pierwsze dni po wejściu „nie przejawiali – jak pisze Jacek Sawicki w *Obroży*, monografii podwarszawskiego obwodu AK – jakichkolwiek zdecydowanych antyakowskich posunięć. Prowadzili jedynie obserwację, poznając ludzi i panujące stosunki”. Lokalne struktury AK ujawniły się, w oddziałach „zaczęto rozdawać wcześniej przygotowane legitymacje”, a 1 sierpnia ukazał się nawet pierwszy numer pisma akowskiego „Dzień Polski”. Jeszcze 10 sierpnia, ppor. Bolesław Graf „Sław”, oficer kontrwywiadu, pisał w meldunku do dowódcy IV (otwockiego) Rejonu „Obroży”: „Bolszewicy nazywają oddziały AK powstańcami. Stosunek do członków AK [mają] serdeczny i życzliwy. Chętnie udzielają wszelkich informacji”. Zgadzano się nawet – jak to się działo np. w Karczewie – aby jednostki polskie podejmowały służbę porządkową i prowadziły werbunek. Jednak niebawem, pisze Sawicki, „Sowieci rozpoczęli aresztowania w znacznym stopniu rozkonspirowanych żołnierzy i sympatyków Armii Krajowej”, a w odróżnieniu od Niemców, którzy „działali głośno (...) budząc strach i grozę”, NKWD „działało cicho i podstępnie”. Podobnie musiało być i w Rembertowie, a zapewne także w innych miejscach, w których Fleischfarb uprzednio działał. Być może więc wkrótce po nawiązaniu z nim kontaktów, oficerowie AK stali się ofiarami Sowietów. Sawicki szacuje, że z powiatu warszawskiego wywieziono około 200 żołnierzy. W każdym razie dwaj z wymienionych przez Światłę (Mizgiewicz i Kapkowski) znajdują się na listach akowców, którzy zostali „internowani” i wysłani najpierw do obozu nr 270 w Borowiczach w obwodzie nowogorodzkim, do którego pierwsza grupa Polaków, licząca ponad 1,2 tys. osób, trafiła już 20 listopada 1944 r., a później do obozu nr 388 w Stalinogorsku w Podmoskiewskim Zagłębiu Węglowym. Los żołnierzy AK i innych formacji konspiracyjnych przypieczętował w rzeczywistości rozkaz Stalina nr 220169 wydany 1 sierpnia, który nakazywał rozbrajanie żołnierzy AK, internowanie oficerów i wcielanie szeregowców do batalionów zapasowych. Tak więc „miodowe dni” po wejściu Sowietów na dany teren trwały krótko, były po prostu chwytem taktycznym.

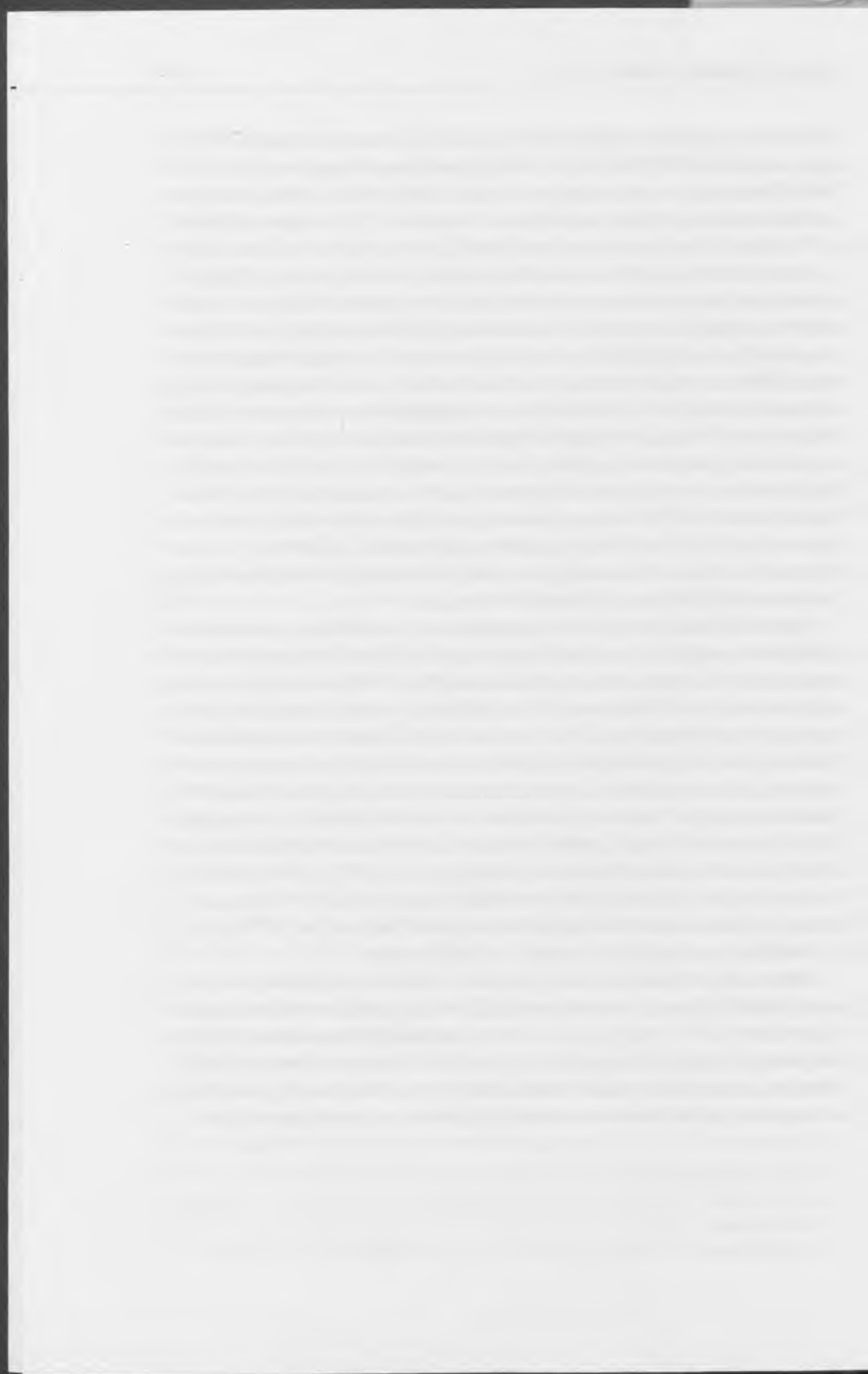
Niezależnie od tego, w jakim stopniu (a zapewne w niemałym) Fleischfarb przyczynił się do aresztowania owych dwóch akowców, można sądzić, że należał do politruków aktywnych „na zewnątrz” i chyba wciąż miał temperament polityczny. W każdym razie 1 listopada został awansowany do stopnia podporucznika i zapewne jednocześnie – jak podawał w życiorysach i jak relacjonowała Justyna – „otrzymał [z dowództwa dywizji] zadanie zorganizowania Biura Werbunkowego ochotników do Wojska Polskiego”. Jest wysoce prawdopodobne, wręcz graniczy z pewnością, że biuro to, znajdujące się na Pradze, służyło do wyciągania akowców

z konspiracji, ponieważ normalny pobór odbywał się przecież w trybie mobilizacji ogłoszonej przez PKWN 15 sierpnia. Przynajmniej częściowo potwierdza to sam Fleischfarb, pisząc w życiorysie, że w czasie pracy w Biurze Werbunkowym „nawiązałem łączność z AK «Andrzejem», «Ludwikiem»”. Nie ulega wątpliwości, że Fleischfarb już wówczas przeobrażał się w „łowcę akowców”. Nie on jeden.

Krótko po kapitulacji Powstania Warszawskiego i w związku ze zbliżającymi się kolejnymi rozmowami sowiecko-brytyjskimi w sprawie Polski, Stalin ostro skrytykował polskich przywódców komunistycznych, którzy udali się do Moskwy „po porady”, „za miękkość, za rozlazłość, że nie umiemy wystąpić dostatecznie śmiało”. *Pieriestroitsja ili ustupit`* – tak zarysował im najbliższą perspektywę, co 9 października 1944 r. Bolesław Bierut zrelacjonował towarzyszom z Biura Politycznego. W Polsce „lubelskiej” zaczął się tzw. zwrot październikowy, oznaczający natężenie presji propagandowej, a przede wszystkim zaostrzenie represji. Nie tylko własnymi siłami: 14 października pojawiła się Zbiorecza Dywizja Wojsk Wewnętrznych NKWD, która liczyła w samym Lublinie około 4,9 tys. żołnierzy, a miała osiągnąć 8,9 tys. (liczbę tę później przekroczone). Pojawił się wówczas w Lublinie także Iwan Sierow, zastępca ludowego komisarza spraw wewnętrznych i pełnomocnik NKWD przy I Froncie Białoruskim.

Obecność sowieckich organów bezpieczeństwa była niezbędna, polski aparat był dopiero w powijkach: „resorty Bezpieczeństwa i Milicji nie są na wysokości zadania – mówił na wspomnianym posiedzeniu Biura Politycznego Ochab – nie mają ręki komunisty”. Niebawem Biuro Polityczne uchwaliło rezolucję, zobowiązującą komendanta głównego MO oraz kierownika Resortu Bezpieczeństwa Publicznego do przeprowadzenia „gruntownej czystki w MO na całym terenie” i nakazało, by dla poprawienia sytuacji „wejść w kontakt z Dowództwem WP i pewien kontyngent żołnierzy i podoficerów w wieku 30–40 lat, szczególnie z 1 i 2 DP, przenieść do służby w MO”. 29 października Biuro Polityczne poleciło z kolei wydziałom personalnemu i organizacyjnemu KC PPR „dać co najmniej 50 samodzielnych politycznie i odpowiedzialnych pracowników” do dyspozycji Resortu Bezpieczeństwa. Tak więc zarówno „po linii” wojska, jak i PPR zaczęło się poszukiwanie odpowiednich ludzi do milicji i bezpieczeństwa.

Jednym z nich okazał się Izak Fleischfarb – przedwojenny komunista, żołnierz i politruk z dywizji „kościuszkowskiej”, mający już pewne doświadczenie w „kontaktach z AK”, czyli po prostu w ich wyszukiwaniu i aresztowaniu. Wojsko pożegnało go honorowo, odznaczając 3 stycznia 1945 r. Orderem Odrodzenia Polski V klasy za zasługi na polu walki, co jednocześnie było mimowolnym podarkiem na 30 urodziny. Odznaczenie to odbierał już jednak pod innym nazwiskiem.



Część II

Józef Światło: zbrodnia

Journal of the Royal Society of Medicine

Pomagier

Jest rzeczą naturalną, że sowieckie wywiady różnej maści – wojskowy (GRU), NKWD oraz siatka informacyjna Kominternu – przez cały okres międzywojenny inwigilowały Polskę. Tak jak polski wywiad penetrował Związek Sowiecki. W znacznym stopniu Sowieców wspomagali członkowie KPP i KZM, choć zapewne najważniejszych agentów starano się rekrutować poza tą sferą, jako że wszyscy należący do tych ugrupowań byli przez władze polskie z zasady podejrzani o szpiegostwo. Po wybuchu wojny i rozbiorze II Rzeczypospolitej sytuacja uległa istotnej zmianie: siłą rzeczy wywiad przestał się interesować terenami wcielonymi do Związku Sowieckiego, a zajęły się nimi organa bezpieczeństwa wewnętrznego. Na terenach okupowanych przez III Rzeszę najważniejszym przedmiotem obserwacji wywiadu stały się instytucje niemieckie, z armią na czele, co miało kluczowe znaczenie szczególnie po wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej w czerwcu 1941 r. Nie oznaczało to jednak, że zaniechano inwigilacji Polaków, a dokładniej Polskiego Państwa Podziemnego, głównie zaś jego sił zbrojnych (ZWZ, potem AK). Sowieców interesowały też konspiracyjne partie polityczne i podziemna administracja.

Komuniści znów stali się ważnym elementem sowieckiego systemu wywiadowczego, szczególnie od stycznia 1942 r., gdy powstała Polska Partia Robotnicza (PPR) i jej „zbrojne ramię” czyli Gwardia Ludowa (GL; od 1944 r. Armia Ludowa, AL). Na terenach okupacji niemieckiej działały więc częściowo przenikające się siatki wywiadów sowieckich oraz siatka wywiadu i kontrwywiadu PPR/GL, która dla nich pracowała. To oczywiste, że jeśli chodzi o zbieranie danych o polskiej konspiracji, większe możliwości miał wywiad partyjny niż sensu stricto sowiecki, choćby tylko z uwagi na ich stan ilościowy (PPR liczyła kilka tysięcy członków). Komuniści mieli

także znacznie większe szanse przeniknięcia do struktur Polskiego Państwa Podziemnego niż „normalni” agenci czy rezydenci sowieccy, co też im się udało co najmniej w kilku przypadkach. O ile gromadzenie i przekazywanie informacji dotyczących wojska i instytucji niemieckich miało znaczenie bieżące, tzn. wspomagało wysiłek zbrojny Armii Czerwonej, o tyle takie same działania podejmowane wobec polskich struktur konspiracyjnych miały przede wszystkim cele dalekosiężne. Zyskały one na znaczeniu od wiosny 1943 r., gdy Moskwa zerwała stosunki dyplomatyczne z Rządem RP i podjęła działania zmierzające do utworzenia „sowieckiej alternatywy”, a zarazem gdy po zwycięskiej bitwie pod Stalingradem wyraźnie zarysował się przełom w wojnie. Realizacja owej alternatywy, czyli przejścia przez komunistów władzy państwowej w Polsce, lub co najmniej znacznego udziału w niej, wymagała nie tylko budowy własnych organizacji i instytucji (zwłaszcza wojska, w czym Izak Fleischfarb uczestniczył jako „kościuszkowiec”), ale także osłabienia albo wręcz wyeliminowania Polskiego Państwa Podziemnego.

Już w czerwcu 1943 r., w wytycznych *O wojskowo-politycznych zadaniach pracy w zachodnich obwodach Białoruskiej Socjalistycznej Republiki Sowieckiej* (czyli na północno-wschodnich kresach II RP), pisano o konieczności przeniknięcia do „polskich reakcyjnych kręgów i oddziałów nacjonalistycznych”, po to przy niektórych oddziałach sowieckiej partyzantki tworzone „polskie grupy”, niekiedy nazywane wprost „polskim wywiadem”. W styczniu 1944 r., gdy Armia Czerwona wkroczyła na ziemie II Rzeczypospolitej, wydane zostały dyrektywy do Operacji „Sejm”, która miała na celu rozpracowanie polskiego podziemia na Kresach Wschodnich. W jednym z punktów owych wytycznych stwierdzano, iż należy „wnikać” do polskich „organizacji nacjonalistycznych” nie tylko na terenach już zajętych, ale „także na obszarze Polski, a szczególnie Warszawy”. W miarę zbliżania się wojsk sowieckich do centralnej Polski – a wedle wykładni Moskwy do obszaru przyszłego państwa polskiego, którego wschodnia granica miała przebiegać na Bugu – podstawowym zadaniem stało się zlikwidowanie oddziałów AK i działaczy podziemnej administracji. Taką operację na dużą skalę przeprowadzono po raz pierwszy w dniach 18–20 lipca 1944 r., aresztując dowództwo i kilka tysięcy żołnierzy AK, którzy brali udział w wyzwaniu Wilna. Podobnie stało się we Lwowie, Lublinie czy Białymstoku. 1 sierpnia 1944 r. Stalin wydał wspomnianą już dyrektywę nakazującą rozbrajanie wszystkich jednostek wojskowych, które nie podporządkują się uzurpatorskiemu Polskiemu Komitetowi Wyzwolenia Narodowego (PKWN), a dwa tygodnie później ze sztabu Naczelnego Dowództwa wyszedł przypominający o jej treści szyfrogram.

Taktyka działania Sowietów była – można powiedzieć – standardowa i powtarzano ją dziesiątki razy na różnych szczeblach i w różnych miejscach. Wspomniałem już o niej, opisując sytuację w Otwocku. Wyglądało to następująco: dowództwo Armii Czerwonej po wejściu na jakiś teren „wchodziło w kontakt” z lokalnym

dowództwem AK i z przedstawicielami ujawniającej się administracji, od razu lub po kilku dniach pod pozorem „narady” ściągano ich w jedno miejsce i aresztowano. Mniejsza o przyczyny, dla których polscy dowódcy i działacze podziemia odpowiadali pozytywnie na propozycje Sowietów nawet wtedy, kiedy już było wiadomo, czym one się kończą. Można tu tylko stwierdzić, iż sposób ten okazał się bardzo skuteczny. Równocześnie prowadzone były akcje mające na celu otoczenie i rozbrojenie jednostek AK zmobilizowanych do Akcji „Burza”, w tym także idących na pomoc walczącej Warszawie. W kolejnym etapie wyłapywano tych, którzy nie dali się oszukać i nie ujawnili się wobec „armii wyzwolicieli”, jak ją nazywali komuniści i propaganda PKWN. Informacje o nich pochodziły zarówno od sowieckich grup dywersyjnych, które już wcześniej przerzucane były za linię frontu (a na Kresach od działających tam oddziałów sowieckiej partyzantki) i miały pewne rozeznanie w polskiej konspiracji, jak i z komórek PPR i AL na ogół nieźle znających teren, z przesłuchań osób już aresztowanych, często zmuszanych torturami do ujawnienia organizacji, od zdrajców, którzy z różnych powodów przeszli na stronę Sowietów i PKWN, oraz z prowadzonej na bieżąco inwigilacji. Już w lipcu–wrześniu 1944 r. skala aresztowań była znacząca, obejmowała dziesiątki tysięcy osób, szczególnie na Kresach, ale i na obszarze Polski „lubelskiej”, gdzie w więzieniach i obozach znalazło się w tym czasie kilka tysięcy osób.

Działania te, zgodnie ze strukturą sowieckich sił bezpieczeństwa, podejmowane były przez trzy powiązane ze sobą organy: Zarząd Kontrwywiadu Ludowego Komisariatu Obrony, znany pod nazwą „Smiersz” (*Smierć Szpionom*), utworzony w kwietniu 1943 r., Wojska Wewnętrzne NKWD (*Narodnyj Komissariat Wnutriennych Dieł* – Ludowy Komisariat Spraw Wewnętrznych) oraz jednostki operacyjne NKGB (*Narodnyj Komissariat Gosudarstwiennoj Biezopasnosti* – Ludowy Komisariat Bezpieczeństwa Państwowego). W zasadzie nawiązaniem kontaktu zajmował się „Smiersz”, rozbrajaniem oddziałów AK – Wojska Wewnętrzne NKWD, do których zadań należało także organizowanie obozów na miejscu oraz konwojowanie schwytanych ludzi do obozów w głębi Rosji, NKGB zaś uczestniczyło głównie w „drugiej fazie”, czyli wyłapywaniu ukrywających się. W praktyce instytucje te działały wspólnie, co było oczywiste nie tylko dlatego, że miały wspólne cele, ale także dlatego, że zatrzymanie się Armii Czerwonej przez prawie pół roku na Wiśle powodowało, iż wszystkie były aktywne jednocześnie, na tym samym, stosunkowo niewielkim obszarze. Koordynatorami działań byli pełnomocnicy wyznaczani dla każdego z frontów. W przypadku ziem polskich były to – 1 Front Białoruski (pełnomocnik Iwan Sierow), 2 Front Białoruski (pełnomocnik Ławrientij Canawa) oraz 1 Front Ukraiński (pełnomocnik Paweł Mieszik). Każdy z pełnomocników miał dwóch zastępców w osobie szefa „Smiersza” oraz dowódcy jednostek NKWD ochrony tyłów danego frontu, a podlegający mu bezpośrednio aparat składał się z około 150 pracowników operacyjnych.

Struktury te miały „prawne” oparcie w umowie zawartej między PKWN a rządem sowieckim, zgodnie z którą „zaplecze frontu” – niezdefiniowane jednoznacznie – podlegało jurysdykcji Sowietów. Aczkolwiek wszystkie te siły, których liczebności nikt jeszcze nie zdołał dokładnie obliczyć, zajmowały się naturalną ochroną działającej armii – zwalczaniem, zresztą bardzo nielicznych, dywersantów niemieckich, zatrzymywaniem Niemców, w tym volksdeutsche’ów, czy wyłapywaniem dezertów i maruderów z własnych szeregów – to głównym ich zadaniem było „oczyszczenie terenu” dla PKWN. Polskie organa bezpieczeństwa dopiero powstawały, choć od sierpnia 1944 r. w terenie tworzyło je – z pomocą i pod opieką, oraz kontrolą służb sowieckich – ponad 200 osób przeszkolonych na specjalnym kursie w szkole NKWD w Kujbyszewie (tzw. kujbyszewiacy) oraz grono Polaków, którzy przeszli przez sowiecką partyzantkę lub grupy dywersyjne, a także skierowani do bezpieki i milicji żołnierze AL. Swoją rolę odgrywał również kontrwywiad polskiego wojska (Informacja), choć działalność utrudniał mu fakt, iż składał się on niemal wyłącznie z oficerów sowieckich, których większość nie znała języka polskiego. Różne zadania związane z „oczyszczaniem” spoczywały także na lokalnych aktywistach PPR oraz – na co już zwracałem uwagę – na korpusie oficerów politycznych, którzy byli przydatni zwłaszcza do nawiązywania kontaktu z konspiracją i zachęcania działaczy konspiracyjnych do ujawniania się.

To wszystko razem – różne służby sowieckie, powstające służby polskie, wojsko i komórki PPR – tworzyło konglomerat trudny do rozszyfrowania dla obserwatora z zewnątrz, również i dzisiaj historycy mają z tym kłopot. Jeszcze w pierwszych miesiącach 1945 r. urzędowano w sąsiednich lub nawet w tych samych budynkach, a aresztowany nie zawsze wiedział, czy np. uczestniczący w zatrzymaniu go Polak jest tylko tłumaczem czy też funkcjonariuszem służb PKWN ani do której formacji właściwie należy. Na ogół wszyscy chodzili w podobnych do siebie mundurach wojskowych, tyle, że jedni w sowieckich, inni w polskich, bardzo często porozumiewali się między sobą po rosyjsku, nieliczni enkawudyści trochę znali polski. Utarło się zatem nazywanie wszystkich instytucji sowieckich „NKWD”, choć dużą część represji wykonywał „Smiersz”, wiele przesłuchań zaś prowadzili funkcjonariusze NKGB, a polskich – „bezpieka”, choć w jakimś konkretnym przypadku mogło chodzić o Milicję Obywatelską czy Informację. Z punktu widzenia ofiary nie miało w istocie żadnego znaczenia, kogo „reprezentuje” osobnik, który aresztuje, bije i robi rewizję w mieszkaniu ani do jakiej formacji należy areszt – często była to po prostu piwnica lub ziemianka – do którego jest się wtrąconym. Służby te często przekazywały sobie schwytanych z rąk do rąk (najczęściej polskie dostarczały ofiary sowieckim), a większość z nich i tak wywożona była do obozów w Związku Sowieckim. Tak mniej więcej wyglądało tło kolejnego etapu życia i działalności Izaka Fleischfarba.

Mimo dosyć usilnych poszukiwań nie udało mi się ustalić dnia, w którym przedzierzgnął się on ostatecznie w Józefa Światło, ani znaleźć rozkazu, na mocy którego odszedł z wojska. Nie zdołałem zweryfikować tego, co mówił Błażyńskiemu,

że inicjatorem tego odejścia był Konrad Światlik, zastępca dowódcy 1 DP ds. polityczno-wychowawczych, który miał skierować go „przez wydział polityczny [wojska] do bezpieczeństwa”, „serdecznie żegnać”, a nawet „wycalować”. Nie potrafię też potwierdzić, czy rzeczywiście – jak mówił – w Lublinie „pierwszą rozmowę” już w imieniu bezpieki miał z nim przeprowadzić Mieczysław Mietkowski, który od 16 października 1944 r. był zastępcą szefa Resortu Bezpieczeństwa Publicznego. Światło nie podaje, niestety, żadnych dat tych pożegnań i rozmów. W życiorysach pisze jedynie, iż w Biurze Werbunkowym „pracował do chwili odwołania do Milicji Obywatelskiej”. „Karta ewidencyjna”, znajdująca się w dokumentacji pozostałej po dawnej Komendzie Głównej MO, która jest pierwszym śladem zmiany służby i zmiany nazwiska, nie jest, niestety, datowana. W każdym razie w rubryce „skąd przyszedł” czytamy – „z 1 dywizji”, a więc MO było jego pierwszym „cywilnym” miejscem pracy. Na karcie tej figuruje wciąż jako Izak Fleischfarb (wpisał także „narodowość żydowska”), ale rubryka „udział w ruchu podziemnym” wypełniona jest, prawdę mówiąc, dosyć dziwnie: mianowicie figuruje tam zapis „Światło Józef” (w cudzysłowie), co może stwarzać wrażenie, iż pod tym nazwiskiem działał w konspiracji. Chodziło jednak o wybór nazwiska, pod którym będzie występował. Nie wątpię, że wpisanie nazwiska „Światło” wymyślił sam Fleischfarb, ponieważ wówczas zapewne nikt z jego przełożonych nie wiedział, że już raz dokonał zmiany nazwiska i to, którego dotychczas używał, nie tylko dosyć niefortunnie brzmiało, ale właściwie nie powinien nim się posługiwać już od ślubu z Justyną, czyli od kwietnia 1943 r. Komendant Główny MO, Franciszek Józwiak, „Rozkazem nr 34” z 14 grudnia „naznaczał ppor. Światło na stanowisko szefa wydziału śledczego wojew[ództwa] warszawskiego”. Nie znaczy to, iż Światło właśnie od tego dnia rozpoczął służbę, rozkaz ten wiązał się z wprowadzeniem podziału na Komendę Wojewódzką i Komendę dla m.st. Warszawy, które poprzednio były połączone. Jeśli nie zostaną znalezione inne świadectwa, można przyjąć, że zapewne w początkach lub w pierwszej połowie listopada – a na pewno nie później niż w początkach grudnia – Izak Fleischfarb podjął służbę w MO i jednocześnie stał się Józefem Światłą. W tym też czasie, a dokładnie 28 października, złożył podanie o przyjęcie do PPR.

Trudno powiedzieć, czy miał jakieś wątpliwości i dlaczego zdecydował się na odejście z wojska. Dziesięć lat później Justyna w relacji dla MBP pisała, że kiedy po raz pierwszy „przyszła do niego do Anina” i zapytała go „Czy to jest twoja prawdziwa droga?”, miał odpowiedzieć: „Jestem żołnierzem, karnym i zdyscyplinowanym, idę tam gdzie mnie posyłają”. „Pocałowałam go i życzyłam szczęścia” – pisała dalej. Bardzo to liryczne i emfatyczne, ale nie znaczy, że nieprawdziwe lub z premedytacją skłamane. Część „starych” komunistów, otrzymując partyjne skierowanie, przyjmowała nakaz bez szemrania niezależnie od tego, jakiego stanowiska dotyczył, co oczywiście nie zdejmuje z nich osobistej odpowiedzialności za to, co na tym stanowisku robili – jedni torturowali więźniów, inni „tylko” pisali artykuły podlegające do walki z wrogiem. Być

może niektóre cechy Fleischfarba, jak te, które ujawniły się w punkcie obozowym nr 23 i zapewne nasiliły się w czasie służby w wojsku na stanowiskach dowódczych – ułatwiały mu akceptację skierowania na tego rodzaju „odcinek pracy”. Nie jestem pewien, czy był to czynnik decydujący, ale należy sądzić, że Światło miał wówczas pełną świadomość, na czym polega działalność czekisty i jakie metody są stosowane przy aresztowaniach i w trakcie przesłuchań. Z oficera polityczno-wychowawczego, czyli tego, który przekonyuje, stawał się przecież oficerem śledczym, czyli takim, który przesłuchuje. To jednak różnica, przekonywać czy przesłuchiwać.

O jego aktywności w tamtym okresie wiadomo niewiele, ostały się tylko szczątki dokumentów warszawskiej KW MO, a zapewne w ogóle sporządzano wówczas niewiele dokumentów i robiono to byle jak, z uwagi na nader skromne zasoby papieru i nieliczne maszyny do pisania, a także poziom przygotowania milicjantów i innych „stróżów prawa” do pracy biurowej. W czasie gromadzenia w 1954 r. informacji o Światle nie zwrócono się, niestety, do żadnego z jego towarzyszy, a więc nie ma żadnych bezpośrednich świadectw. W każdym razie Światło do połowy stycznia 1945 r. był funkcjonariuszem MO, która, jako formacja o dłuższym stażu, znacznie liczniejsza i głębiej osadzona w terenie niż bezpieka, nie tylko operowała na obszarze przestępczości pospolitej i strzegła codziennego porządku, ale także – a może nawet: przede wszystkim – uczestniczyła w zwalczaniu niepodległościowej konspiracji. Tak było w rejonie Warszawy, gdzie komendantem wojewódzkim MO został Grzegorz Korczyński, rówieśnik Światły, uczestnik wojny domowej w Hiszpanii (w tym członek „oddziału specjalnego”, który zajmował się czystką w szeregach brygad międzynarodowych). Internowany przez Francuzów, następnie przebywał konspiracyjnie we Francji, latem 1942 r. zaś został skierowany przez Komintern do kraju, gdzie był jednym z najbardziej aktywnych dowódców komunistycznej partyzantki. Już w Hiszpanii miał opinię awanturnika, a więc w istniejącej sytuacji świetnie nadawał się na szefa tego rodzaju służby. Wnet zresztą przeszedł do bezpieki. Pięć lat później Światło miał go osobiście aresztować.

Ppor. Światło, w nowej roli, z całą pewnością uczestniczył w wielu akcjach – w aresztowaniu ludzi podziemia lub tych, którzy udzielali im pomocy czy w organizowaniu „kotłów” w mieszkaniach. Brał też udział w akcjach pościgowych za oddziałami partyzanckimi. Na podstawie relacji można stwierdzić, że 8 grudnia aresztował w Świdrze małżeństwo Emilię i Andrzeja Chrościckich, 23 grudnia w Mińsku Mazowieckim Karola Karlsbada, w grudniu, też w Mińsku Mazowieckim, ppłk Kazimierza Suskiego i płk Lucjana Szymańskiego „Janczara”, komendanta Podokręgu Wschodniego Obszaru Warszawskiego AK. Największym jego sukcesem było aresztowanie wspomnianego już „Andrzeja”, czyli płk Antoniego Żurowskiego, komendanta Obwodu Praga AK, oraz jego zastępcy, mjr Kazimierza Lichodziejewskiego. Stało się to 17 listopada w Świdrze, na terenie sanatorium dziecięcego, gdzie obaj się ukrywali. Wprawdzie w oświadczeniu

złożonym w 1954 r. mgr inż. Witold Góra, ówczesnie dyrektor Biura Projektów Nr 1 (należącego do MBP), który w 1944 r. był dowódcą kompanii motorowej KW MO, twierdził, że to dzięki jego inicjatywie znaleziono kryjówkę, niemniej rozkaz wyjazdu i przeszukania pomieszczeń sanatorium wydał Światło, który zresztą był na miejscu. Mógł więc czuć się dumny z tej akcji. Być może brał udział w aresztowaniu grupy konspiratorów, w tym Witolda Bieńkowskiego z Delegatury Rządu na Kraj i płk Henryka Krajewskiego, dowódcy 30 Poleskiej Dywizji AK, którzy ukrywali się i odbywali spotkania w okolicach Otwocka. Natomiast nie ma śladów, że miał coś wspólnego z aresztowaniem Bolesława Piaseckiego, którego schwytano w Józefowie w nocy z 10 na 11 listopada; o ile wiadomo było ono dziełem Informacji 1 Armii WP.

Losy płk Żurowskiego są dobrym przykładem nadrzędnej roli służb sowieckich. We wspomnieniach opisał, jak po aresztowaniu został przewieziony do Anina (gdzie miała siedzibę KW MO), a zaraz po tym do Wołomina, gdzie czekał już na niego Iwan Sierow. Od tej chwili był w rękach Sowietów, tak jak aresztowani nieco później Bieńkowski i Krajewski, czy zatrzymany wcześniej Piasecki. Dla swojej wygody Sierow kazał ich przewieźć do siedziby NKWD w Lublinie, gdzie na stałe urzędował od połowy października. Jeszcze gdy Żurowski był przetrzymywany w willi w okolicach Warszawy, w której mieścił się sowiecki areszt, pojawili się Korczyński i Światło, choć, jak wynika ze wspomnień Żurowskiego, żaden z nich go nie przesłuchiwał. W czasie gdy front wciąż stał na Wiśle, niewątpliwie największym sukcesem Sowietów było aresztowanie Piaseckiego i szybkie przekonanie go, czego dokonał osobiście Sierow, że najlepszym wyjściem z sytuacji – tzn. zarówno uniknięcie rozstrzelania czy długoletniego uwięzienia, jak i szansą na podjęcie działalności w „nowej Polsce” – jest zgoda na współpracę polityczną z polskimi komunistami. Jest to zresztą sprawa dobrze znana, a Światło nie miał z nią wiele lub zgoła nic wspólnego. Dla opisanego sylwetki Światły istotne jest, że na pewno z okazji aresztowania płk Żurowskiego, a zapewne już wcześniej, poznał Sierowa, co miało ważny wpływ na jego dalszą karierę. Warto więc przedstawić pokrótce osobę, której działalność w Polsce była w owym czasie tak ważna, że aż uległa daleko idącej mitologizacji i stała się właściwie uosobieniem sowieckiego panowania.

Jak pisze Simon Sebag Montefiore, Iwan Aleksandrowicz Sierow urodził się w guberni wołogodzkiej, w 1905 r., w rodzinie naczelnika tamtejszego więzienia, ale rosyjscy biografowie Sierowa (np. Leonid Mleczin) twierdzą, iż była to zwykła rodzina chłopska. Mniejsza z tym. W 1925 r. został powołany do wojska i skierowany do szkoły podoficerskiej, później oficerskiej. Z kolei w 1935 r. trafił do akademii inżynierskiej, a po roku – już jako major – został wysłany do słynnej Akademii Wojskowej im. Frunzego, którą ukończył w styczniu 1939 r. Oprócz nauki w szkołach służył, oczywiście, w jednostkach liniowych jako artylerzysta. Kariera rozwijała się więc stosunkowo szybko, ale ułatwiała ją chyba kolosalne zmiany personalne w Armii Czerwonej, która w latach

1937–1938 została poddana niezwykle brutalnej czystce. Młoda, nieskażona przeszłością kadra wchodziła gładko na opróżnione stanowiska. Nie znaczy to, że nie było w niej zdolnych żołnierzy. Jednym z takich utalentowanych profitentów był Sierow. Ale, zapewne ku jego zaskoczeniu, po ukończeniu akademii skierowano go nie na kolejne stanowisko w armii, ale do NKWD. Dopiero tam zrobił błyskawiczną karierę – 9 lutego został powołany na stanowisko zastępcy naczelnika Głównego Zarządu Milicji NKWD. Nie minęły dwa tygodnie, gdy został naczelnikiem, po kilku miesiącach przeniesiono go do NKGB na bardzo ważne stanowisko zastępcy naczelnika 2 Wydziału ds. Politycznych, a 2 września 1939 r. mianowano go ludowym komisarzem spraw wewnętrznych Ukraińskiej Republiki Sowieckiej. Tak więc w niewiele ponad pół roku z nieznanego majora artylerii stał się ministrem w rządzie Ukrainy, której nigdy wcześniej na oczy nie widział. Prawdziwie rewolucyjna kariera, spowodowana właściwie nie wiadomo czym – zaufaniem, pustką kadrową?

W ten sposób Sierow poznał nie tylko Ukrainę i Ukraińców, ale także Polaków, ponieważ z racji swojego stanowiska to właśnie on wiosną 1940 r. nadzorował zarówno mord polskich oficerów z obozu w Starobielsku (3820 osób), jak i więźniów z kilkunastu więzień ukraińskich (3435 osób), dodatkowo współorganizował masowe deportacje, które na obszarach wcielonych do Ukrainy objęły co najmniej 200 tys. osób, nie licząc przesiedlonych do wschodniej części republiki i skierowanych do pracy w Donbasie. Można więc powiedzieć, że to właśnie Sierow wysłał niejakiego Izaka Fleischfarba z Tarnopolszczyzny do punktu obozowego nr 23 w obwodzie gorkowskim. W czasie urzędowania na Ukrainie miał też Sierow okazję zetknąć się po raz pierwszy z polską konspiracją (ZWZ), która zresztą została zdziesiątkowana przez jego służby. Do czerwca 1941 r. dotrwała – jak pisze Grzegorz Mazur – „już tylko w formie szczątkowej”. W Kijowie Sierow poznał dwie osoby, które miały później znaczący wpływ na jego losy: Nikitę S. Chruszczowa, I sekretarza partii komunistycznej Ukrainy, i gen. Georgija K. Żukowa – dowódcę Kijowskiego Specjalnego Okręgu Wojskowego.

W lutym 1941 r. Sierow wrócił do Moskwy na stanowisko zastępcy komisarza NKGB, a po połączeniu NKGB i NKWD powołano go na zastępcę Ławrientija Berii, szefa NKWD. Z tego tytułu w sierpniu 1941 r., po wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej, kierował likwidacją Autonomicznej Republiki Nadwołżańskich Niemców, a jesienią – gdy Wehrmacht stał u wrót Moskwy – dowodził wojskami NKWD ochrony stolicy. W 1944 r. do listy zasług mógł dopisać udział w deportacji oskarżonych o kolaborację z Niemcami całych narodów: Czeczenów, Inguszy, Kałmuków i krymskich Tatarów. Nic dziwnego, że zbierał najwyższe odznaczenia – dwukrotnie Order Lenina (pierwszy raz w kwietniu 1940 r., a więc być może za udział w zbrodni katyńskiej), order Suworowa I klasy, order Czerwonego Sztandaru.

Tak więc w październiku 1944 r., gdy – niemal wprost z Litwy – pojawił się w Lublinie, był już nie byle kim: czekista z tylko pięcioletnim, ale intensywnym stażem, właściwie cały czas piastujący stanowiska na tyle wysokie, że należy

nazwać je politycznymi, znający już „polską problematykę”. Pozostał w Polsce do początku maja 1945 r., kiedy, utrzymując stanowisko zastępcy ludowego komisarza, został ponadto zastępcą komendanta wojskowego sowieckiej strefy okupacyjnej w Niemczech. 29 maja wyróżniono Sierow tytułem Bohatera Związku Sowieckiego za udział w walce s *niemieckimi zachwatznikami*. Całkowicie na ten zaszczyt zasłużył. Choć zapewne niewiele jego ofiar było „niemieckimi najeźdźcami” lub ich autentycznymi pomocnikami, to jednak kierował likwidacją i prześladowaniem setek tysięcy, a nawet milionów, różnoplemiennych przeciwników i wrogów Związku Sowieckiego. W tym Polaków.

Nie tylko warszawskie ogniwa MO i bezpieki współpracowały ze służbami sowieckimi. Ten obszar stał się szczególnie ważny, gdy 13 stycznia 1945 r. rozpoczęła się zimowa ofensywa Armii Czerwonej i w ciągu paru tygodni duża część terytorium przyszłej Polski Ludowej została uwolniona od Niemców. Problemem dla PKWN (który zmienił już nazwę na Rząd Tymczasowy), a więc i dla Sowietów, stały się najwyższe instytucje Polskiego Państwa Podziemnego – tzw. Krajowa Rada Ministrów, czyli Delegat Rządu na Kraj, będący zarazem wicepremierem, i trzech ministrów, Rada Jedności Narodowej, czyli reprezentacja konspiracyjnych partii politycznych, oraz Komendant Główny AK i jego sztab. Osoby pełniące te funkcje znajdowały się pod okupacją niemiecką, która się właśnie kończyła i Stalin musiał coś z tym fantem zrobić. Sierow i jego ludzie prawdopodobnie zakładali, że ukrywający się nie zechcą ujawnić się dobrowolnie, więc potrzebna będzie żmudna praca operacyjna, aby ich wyłapać czy w inny sposób wydobyć z podziemia. Poza osobami ze świecznika chodziło też o setki działaczy politycznych różnych partii, dowódców różnych formacji czy urzędników Delegatury oraz o tysiące żołnierzy i oficerów AK, NSZ czy NZW. Wprawdzie zniknął najpotężniejszy, warszawski, garnizon AK, ale spora część potencjału wojskowego Polski Podziemnej pozostawała nienaruszona i trudno było liczyć, że dowódcy będą postępowali podobnie jak w lipcu 1944 r., gdy podejmowali otwartą walkę z Niemcami i ujawniali się. Konieczna więc była pełna mobilizacja służb sowieckich i polskich.

Nie dziwi więc, że z dniem 17 stycznia 1945 r. por. Światło został przeniesiony z MO do... No właśnie, nie jest to jasne. W niektórych dokumentach jako nowe miejsce pracy figuruje warszawski WUBP i stanowisko zastępcy kierownika, ale w innych mowa jest o zatrudnieniu w UB dopiero na początku maja. W każdym razie odejście z MO oznaczało oddelegowanie do bezpośredniej współpracy z służbami sowieckimi. Nie udało mi się ustalić, czy stało się tak z inicjatywy Sowietów, czy też został po prostu skierowany przez MBP. A może interweniował sam Sierow, choć podkreślana przez Światłą wcześniejsza zażyła znajomość i sympatia („lubił mnie”) traci pewną przesadą. Nie wiem, czy jacyś inni funkcjonariusze MO lub UB znaleźli się w podobnej roli, ale mało prawdopodobne, aby był on jedyny. W każdym razie do początku maja Światło działał w ramach sowieckich grup operacyjnych.

17 stycznia, a więc natychmiast po zajęciu Warszawy i okolic podmiejskich, grupa operacyjna płk Michaiła Lichaczowa, która zajmowała się dotychczas likwidacją Wschodniego Podokręgu Obwodu Warszawskiego AK (w 1944 r. podokręg ten miał kryptonim „Białowieża”, co niektórzy autorzy uważają, niesłusznie, za kryptonim jaki Sowietci nadali operacji jego likwidacji), przeniosła się z Otwocka do Włoch, które na pewien czas stały się właściwie główną kwaterą sowieckich służb specjalnych. Jeśli wierzyć relacji Wandy Szydzes, już pierwszej nocy po wejściu Sowietów na ten teren Światło z sowieckimi funkcjonariuszami – albo raczej jako ich towarzysz – przeprowadzał aresztowania na nowym obszarze działań. W styczniu i lutym odbyła się seria zatrzymań w okolicach Pruszkowa, Brwinowa i Milanówka, który po upadku powstania nazywany był „małą Warszawą”, ponieważ skupiły się tam tysiące wygnańców ze stolicy, w tym większość najwyższych władz Państwa Podziemnego. W wielu z tych akcji – a na pewno w aresztowaniu mjr Henryka Odyńca-Dobrowolskiego „Doliwy”, szefa sztabu Podokręgu Warszawa Zachód AK – uczestniczył Światło, który przeniósł się do Włoch, do jednego z domów zasekwestrowanych przez Sowietów. Wraz z nim zamieszkała żona, która w lutym została zdemobilizowana z powodu zajścia w ciążę. Jak ścisły był związek Światły z służbami sowieckimi, może świadczyć fakt, że gdy w marcu ich siedziba została przeniesiona na Pragę, na ul. Strzelecką, także i on z żoną zamieszkali w kompleksie gmachów zajętych przez ludzi Sierowa (w budynku przy ul. Strzeleckiej 10A). W tym czasie ulica ta – jak pisze Tomasz Łabuszewski – „została całkowicie zamknięta, a w poprzek jezdni stanęły zasieki z drutu kolczastego”. Z uwagi na niewielką ilość dokumentów udostępnionych z archiwów rosyjskich trudno ustalić ogólną liczbę aresztowań, a nawet szczegółowe struktury organizacyjne służb sowieckich działających w terenie i ich liczebność. Być może od lutego 1945 r. w miejsce płk Lichaczowa szefem najważniejszej grupy operacyjnej działającej w Warszawie i okolicach został płk Paweł Michajłow. W jednym z życiorysów Światło wymienia ich obu, jako swoich kolejnych zwierzchników. Nie ma to jednak w sumie większego znaczenia.

Podobnie jak wtedy, gdy był „tylko” milicjantem, także po oddelegowaniu do teamu Sierowa, Światło brał udział w aresztowaniach, przesłuchaniach i służył jako tłumacz. W tej właśnie roli wystąpił podczas ostatniej „rozmowy” Sierowa z Bieńkowskim, który przyjął podobną linię postępowania, co Bolesław Piasecki. W miarę jak demontowano polskie siatki konspiracyjne AK, coraz bardziej oczywiste stawało się, iż kluczowym zadaniem będzie uderzenie w działaczy politycznych oraz w centralne instytucje Państwa Podziemnego, które mimo wszystko wciąż jeszcze istniało. Przygotowanie tej akcji zajęło trochę czasu, a ostatecznie przystąpiono do niej w początkach marca. 8 marca w ręce Sowietów dostali się m.in. Bolesław Biega, Mieczysław Jakubowski, Jan Hoppe i lider Stronnictwa Narodowego Aleksander Zwierzyński. Dzień wcześniej przypadkowo aresztowano nierozpoznanego gen. Augusta Fieldorfa, a 21 marca

prawie całe dowództwo Lubelskiego Okręgu AK, które zebrało się w lokalu konspiracyjnym na Pradze. Światło brał bezpośredni udział w zatrzymaniu Biegi. Arcyważną zdobyczą Sowieców było znalezienie archiwum Adama Bienia, zastępcy Delegata Rządu.

Decydujący cios zadano w końcu marca, gdy – wedle schematu znanego już od lipca poprzedniego roku – zwabiono na „rozmowy” najściślejszą czołówkę Polski Podziemnej. O tym wydarzeniu wiele już pisano, nie ma więc potrzeby wracać do szczegółów przebiegu uwięzienia i późniejszego procesu Szesnastu. W każdym razie już w początkach lutego służby sowieckie znalazły kontakt (m.in. przez ludzi z prokomunistycznej Polskiej Armii Ludowej) z gen. Leopoldem Okulickim, ostatnim Komendantem Głównym AK. Na początku marca odbyły się spotkania przygotowawcze na niższym szczeblu, a 6 marca płk Pimienow (nikomu nie udało się ustalić jego imienia, a nazwisko prawdopodobnie jest „służbowe”) przekazał list do Okulickiego i Delegata Rządu na Kraj, wicepremiera Jana Stanisława Jankowskiego, z propozycją rozmów z „gen. Iwanowem”, pod którym to nazwiskiem ukrywał się Sierow. 17 marca odbyło się pierwsze spotkanie Pimienow–Jankowski, a 27 i 28 marca, bez powiadamiania o tym PPR i Rządu Tymczasowego, Polacy zostali aresztowani. Wedle oświadczenia Romkowskiego z października 1954 r., Światło miał brać udział w tej operacji. Piszą o tym również niektórzy autorzy opracowań i wspomnień (m.in. Jerzy Ślaski), ale w materiałach źródłowych nie znalazłem o tym żadnej wzmianki. Nie powoływał się na swój udział w tej akcji nawet sam Światło, tak często chęłpiący się sukcesami. Ponieważ jednak cała operacja była dosyć skomplikowana, ciągnęła się przez kilka tygodni i uczestniczyło w niej wiele osób, być może miał również jakiś wkład w jej przygotowanie.

Światło nie wspominał też ani słowem, że był bezpośrednim i ważnym uczestnikiem przywiezienia do Warszawy, a de facto porwania, trzykrotnego premiera RP Wincentego Witosa. Akurat ten wyczyn jest dobrze udokumentowany i znany z opublikowanych po polsku raportów Sierowa dla Berii. Witos, ukrywający się w ostatnim okresie okupacji niemieckiej w okolicach Piotrkowa, wrócił do rodzinnych Wierzchosławic koło Tarnowa dopiero 24 marca 1945 r. Aczkolwiek od września 1939 r. nie prowadził szerzej zakrojonej działalności politycznej, dla Sowieców był o tyle ważny, że należał do polityków polskich o najwyższym autorytecie, a zachodni alianci proponowali jego kandydaturę na uczestnika planowanych rozmów na temat „sprawy polskiej”, które przewidziane zostały w deklaracji jałtańskiej Wielkiej Trójki. Mając go w rękach, można więc było liczyć na odpowiednie „urobienie” i skłonienie do kompromisu z Moskwą i PPR. W każdym razie tuż przed aresztowaniem Szesnastki, Sierow otrzymał od Berii polecenie dostarczenia Witosa do Warszawy na rozmowy z Bierutem i premierem Rządu Tymczasowego Edwardem Osóbką-Morawskim. Do wykonania zadania skierowano grupę kierowaną przez ppłk Jurija Nikołaszkina, w której znalazł się – jak pisał Sierow do Berii – „sprawdzony przez nas Polak, pracownik warszawskiej grupy operacyjnej” i, co ważne, „mieszkaniec Krakowa”. Krótko

mówiąc, Józef Światło, „kapitan”, jak go tytułował Sierow. Światło, występujący rzeczywiście w mundurze oficera WP z kapitańskimi dystynkcjami, najpierw pojawił się w krakowskim WUBP. Nie wiem, jaki był cel tej wizyty: może miała charakter towarzyski, a może krakowska bezpieka miała zapewnić jakieś wsparcie w wykonywaniu zadania. Korzystając z okazji, rozpytywał się też o losy rodziny, o której nie miał żadnych informacji, poza Cyłą, z którą chyba już się spotkał. U sąsiadów z ul. Krzywej zostawił wiadomość. Tymczasem pozostałe trzy siostry znajdowały się jeszcze w Lichtewerde, jednym z podobozów Auschwitz III, na terenie ówczesnego Protektoratu Czech i Moraw, około 150 km od Krakowa. Miały zostać oswobodzone w nocy z 6 na 7 maja.

30 marca rano Światło, tym razem po cywilnemu, znalazł się w Wierchosławicach, gdzie „pod pozorem poszukiwania swojej rodziny” zrobił rozpoznanie terenu. Następnego dnia z kpt Nowikowem (obaj byli po cywilnemu) udali się do Witosy, któremu zaproponowali – występując, oczywiście, incognito i „pod przykrywką” – udanie się do Tarnowa w celu spotkania z „przedstawicielami Rządu Tymczasowego”. Mimo początkowej odmowy były premier ostatecznie zgodził się, uważając chyba słusznie, że jest to propozycja „nie do odrzucenia”. Jako że był w złym stanie zdrowia, zabrał ze sobą przybocznego lekarza. Gdy samochód ominął Tarnów, Witos usiłował protestować, ale „polecono mu jechać bez żadnej dyskusji”, a opiekunowi wręcz zagrożono użyciem broni, gdyby spróbował się przeciwstawiać. Najpierw w Krakowie, a potem w Kielcach, gdzie spędzono noc, korzystano z pomieszczeń lokalnych doradców sowieckich działających przy wojewódzkich urzędach bezpieki. Samochód miał zasłonięte okna – twarz Witosy była zbyt dobrze znana Polakom, starano się nie jechać za dnia. 1 kwietnia wieczorem samochód dotarł na Pragę, a pasażer został „umieszczony w naszym mieszkaniu”. Zapewne przy ul. Strzeleckiej. Witos odmówił spotkania z Bierutem, ale wyraził zgodę na rozmowę z Osóbką-Morawskim. Premierowi Rządu Tymczasowego towarzyszył w rozmowie pepeesowiec Stanisław Szwalbe, wiceprzewodniczący Prezydium Krajowej Rady Narodowej, czyli zastępca Bieruta. Witos wyrażał się powściągliwie, nie zgodził się jednak ani na komunikat o rozmowie, ani na współpracę z nowymi władzami. 5 kwietnia – na prośbę Bieruta, ale za zgodą Berii – byłego premiera odwieziono do Wierchosławic. Prawdopodobnie od chwili przyjazdu na Pragę Światło przestał odgrywać jakąkolwiek rolę w tej sprawie, choć trudno wykluczyć, że powierzono mu jeszcze zadanie „odstawienia” Witosy do domu. W każdym razie wyznaczenie go do wypełnienia tej misji świadczyło, że zarówno ufano mu, jak i doceniano jego „czekistowskie” umiejętności. Co więcej: jak wynika z listy adresatów, raport trafił do osobistego sekretariatu Stalina, może na jego biurko, może nawet Stalin rzucił nań okiem, a niewykluczone, że przeczytał pierwszy akapit, w którym jest wymieniony kpt. Światło. To by znaczyło, iż sam Najważniejszy Gospodarz poznał nazwisko dzielnego kapitana! Ho, ho!

Tymczasem trwało wylapywanie akowców i ludzi konspiracji, a główną rolę odgrywały – i miały jeszcze przez pewien czas odgrywać – służby sowieckie i, z całą pewnością, Światło jako ich pomagier uczestniczył w kolejnych aresztowaniach i przesłuchaniach. Zatrzymania miały na ogół charakter brutalny, z krzykiem, biciem, znęcaniem się. Warunki w prowizorycznych aresztach, często ulokowanych w piwnicach, były straszne: wyżywienie nędzne, tłok, smród, półmrok lub ciemność, spano – jeśli można było zasnąć – na betonowych podłogach lub pryczach bez sienników. Całonocne przesłuchania były wyczerpujące. Po wielu dniach, a nawet tygodniach zatrzymanego przewożono do jednego z licznych obozów, z których te najbardziej znane zlokalizowane były w Rembertowie i Skrobowie. Stamtąd przez „obozy zbiorcze” (np. w Sokołowie Podlaskim) ruszały eszelony do obozów jenieckich w Rosji. Nie wszyscy jednak dożyli tego momentu – wielu zakatowano na śmierć, wielu rozstrzelano bez procesu i bez wyroku.

Na podstawie nielicznych, niestety, relacji należy wnosić, iż Światło należał do tych właśnie, którzy zachowywali się szczególnie brutalnie. Zdarzało się też, że zabierał dla siebie jakieś przedmioty – a to półkożuszek, a to papierosnicę czy cenny zegarek. Bił i krzyczał. Nie mam wprowadzić pewności, czy ci, którzy wskazują na niego jako tego, który dokonywał aresztowania czy asystował przy przesłuchaniach (a przesłuchiwali najczęściej Sowietci), nie mylą się, co do osoby Światła, ale nie zmienia to istoty rzeczy; i tak nie są znane nazwiska większości osób przez niego aresztowanych. Wedle niektórych świadectw miał występować w „mundurze pułkownika NKWD”. Inni zapamiętali, że był „w mundurze oficera bezpieki, w czarnej skórzanej kurtce *trois quatre* [sic]”, co chyba jednak nie jest zgodne z rzeczywistością, choćby dlatego, że bezpieka nie miała takich mundurów. Zapewne w pamięci osoby wspominającej nastąpiła kontaminacja ze stereotypowymi obrazami czekistów, ponieważ rzeczywiście w latach 20. noszenie skórzanej kurtki było ich przywilejem i znakiem firmowym. Maciej Świerczyński z kolei podkreśla, że Światło „chodził ubrany po cywilnemu, przez co nie rzucał się w oczy i mógł przenikać do każdego środowiska”. Ponieważ w kilku świadectwach powtarza się informacja, iż był kapitanem, być może nie tylko w czasie misji do Witosa nosił mundur wojskowy z trzema gwiazdkami na pagonach. Na pewno ubierał się stosownie do okoliczności i potrzeb. Jerzy Ślaski zapamiętał, że np. w końcu kwietnia, podczas wizytacji obozu w Skrobowie przez „sowieckiego generała przybranego w paradny mundur”, tuż obok niego siedł „mocno zbudowany, młody brunet o obrzmiałej twarzy, ubrany w cywilny garnitur”. Miał to być Światło. Nie jestem pewien, czy opis ten nie powstał pod wpływem późniejszych zdjęć, zwłaszcza najbardziej znanego, na którym Światło stoi przed mikrofonem Radia Wolna Europa. Nie znalazłem żadnego jego zdjęcia z wiosny 1945 r., więc nie jestem przeświadczony, czy już wówczas miał „obrzmiętą twarz”. Na jedynym znanym mi zdjęciu z okresu służby w dywizji „kościuszkowskiej” twarz ma raczej pociągłą.

Jednak to, że zachowywał się brutalnie, wiadomo nie tylko ze znacznie późniejszych relacji ofiar, często spisanych dopiero po 1989 r., ale z wypowiedzi znajomych i bliskich por. Światło. Justyna pisała w 1954 r., że niepokoił ją „hazardowy stosunek do pracy”, a nawet, że mąż „zaczynał zatracać zupełnie te cechy ludzkiej przyzwoitości, którą tak bardzo w nim ceniłam”. Z kolei Aleksander Szenauk, znajomy Justyny sprzed wojny, który odwiedzał zaprzyjaźnioną rodzinę, zapamiętał, że siostry „biadoliły nad tym, iż brat pracuje w organach BP”. Najmłodsza miała zaś mówić, iż „powszechnie jest znany jako bezwzględny”. Wprawdzie z kontekstów wynika, że opinie te pochodzą z lata 1945 r., ale sądzę, iż można je śmiało ekstrapolować także na okres działalności w sowieckich grupach operacyjnych. Jesienią 1945 r., na prośbę żony, wyjechał na kilkudniowy urlop do Zakopanego, a po powrocie miał jej powiedzieć: „Wiesz, gdzie się nie ruszę, tam wszędzie kląną na to nazwisko, wszędzie gadają, nie można się swobodnie poruszać”. Sądzę więc, iż można z całą pewnością powiedzieć, że Światło był rzeczywiście brutalnym wykonawcą rozkazów, co nie znaczy, że był jedyny, który tak postępował. Może zastanawiać, iż jego gorliwość w służbie nie została szczególnie nagrodzona. Choć używał kapitańskich gwiazdek, to jak wynika z formalnego „Przebiegu służby”, oficjalny awans na ten stopień otrzymał dopiero w połowie listopada. Parę tygodni wcześniej odznaczono go Medalem Zwycięstwa i Wolności, który nie należał do zbyt cennych wyróżnień.

Wraz z odpinięciem Armii Czerwonej na zachód, w większości jednostek „Smiersza” i grup NKGB zniknęło zapotrzebowanie na takie funkcje, jakie pełnił Światło. Miało to związek ze zmianą formy sowieckiej obecności w MBP przez wprowadzenie instytucji „doradcy” (*sowietnika*) oraz wobec okrzepnięcia polskiego aparatu bezpieczeństwa (w maju w bezpiece było już 11 tys. osób, czyli cztery razy więcej niż pół roku wcześniej). Nie wiem, czy pułkownicy Lichaczow i Michajłow oraz inni towarzysze wielotygodniowych wspólnych działań, a przede wszystkim Iwan Sierow, pożegnali go uroczyście. Nie wykluczam, że spotkanie takie się odbyło i parę litrów wódki lub samogonu popłynęło z tej okazji. To jednak raczej Światło powinien dziękować sowieckim towarzyszom niż oni jemu, ponieważ półroczna „praca” z nimi z pewnością była ważniejsza dla zdobycia nowych umiejętności niż kurs w najlepszej nawet szkole NKWD. Z gorliwego czekisty-żółtodzioba Fleischfarba wyrósł wprawny i doświadczony „operatywnik” Światło, a dobre rekomendacje Sierowa lub któregoś z jego bezpośrednich podwładnych mogły znaczyć więcej niż układowe stosunki z polskimi zwierzchnikami.

W terenie

Kiedy 3 maja 1945 r. Sierow otrzymał nominację na nowe stanowisko w okupowanych Niemczech, Roman Romkowski, formalnie dyrektor I Departamentu MBP a faktycznie główna postać w bezpieczeństwie, własnoręcznie skreślił na ministerialnym blankiecie krótkie pismo do Mikołaja Orechwy, szefa kadr ministerstwa: „Proszę załatwić wszystkie formalności kpt. [a jednak!] Światło, który rozkazem Radkiewicza jest przeniesiony z MO do Warszawskiego Urzędu BP i skierowanie go do Dominika w charakterze pomocnika Kierownika Urzędu”. Nie ma lekko: trzeba było nie tylko znów pisać życiorys (trochę dłuższy, bo uzupełniony o wzmiankę o wyczynach pod dowództwem Lichaczowa, Michajłowa i Nikołaszkina), ale przede wszystkim wypełnić 12-stronicową Ankietę specjalną, przy której poprzednia dla MO wyglądała jak świstek papieru. Nowa zawierała nie tylko pytania o żonę, o rodziców i teściów czy własne rodzeństwo, ale też i rodzeństwo żony oraz ogólnie o „krewnych ze strony ojca, matki, żony (męża), kuzynach i kuzynkach”. Pierwszy, ale nie ostatni raz Światło musiał coś takiego wypełnić. W 1954 r. te wszystkie ankiety i życiorysy były skrupulatnie porównywane, a niezgodności szczegółowo notowane. Zapewne odejście do WUBP oznaczało też konieczność spakowania manatek i wyniesienia się z „sowieckiej żony” na ul. Strzeleckiej.

Teren województwa warszawskiego należał, z punktu widzenia PPR i bezpieczeństwa, do najtrudniejszych w kraju. Najpierw Praga i jej okolice, potem południowe obrzeża miasta, a wreszcie sama Warszawa, gdy została już częściowo zasiedlona, były obszarem, na którym kwitło życie konspiracyjne, znajdowały się centralne ośrodki większości partii niepodległościowych, władze Polski Podziemnej, wojskowe centra konspiracji. Do tego trzeba dodać legalnie działające partie opozycyjne (jak PSL) czy instytucje kościelne, których należało

pilnować, oraz dziesiątki instytucji państwowych, które trzeba było chronić. Wprawdzie w samej Warszawie podziemie właściwie nie podejmowało działalności zbrojnej (raz tylko, jeszcze w kwietniu, zaatakowano sowiecki obiekt na Pradze), ale wokół stolicy bezpieczeństwa miała pełne ręce roboty. Tym bardziej, że spora część województwa należała do ówczesnej „ściany wschodniej”, czyli szerokiego pasa ciągnącego się od Bieszczad po Suwałki, w którym działało parę setek oddziałów partyzanckich. Według *Atlasu polskiego podziemia niepodległościowego* tylko w 1945 r. na terenie województwa warszawskiego istniało niemal 50 oddziałów i grup partyzanckich, a część z nich miała spore możliwości mobilizacyjne. Na niektórych zachowanych zdjęciach widzimy kolumny żołnierzy w pełnym umundurowaniu, w czapkach rogatywkach (ale rzadko w hełmach), z pepeszami przez plecy, z erkaemami na piersiach, dowódców na koniach, solidnie wyglądające podwody. Jednostki, mające macierzyste lokum na Białostocczyźnie czy na Lubelszczyźnie dosyć często robiły wypad na teren województwa. Działające tu oddziały „Orlika” czy „Młota” należały do najbardziej aktywnych w całym antykomunistycznym podziemiu. Znalazły się tu przejściowo również jednostki V i VI wileńskich brygad AK. Niewątpliwie najbardziej spektakularną akcją podziemia było uwolnienie w nocy z 20 na 21 maja prawie 700 żołnierzy różnych formacji niepodległościowych przetrzymywanych w obozie w Rembertowie. Partyzanci dwukrotnie atakowali obiekty UB w Węgrowie, Makowie Mazowieckim, Ostrołęce i Dęblinie, zdarzało się, że na parę godzin opanowywali jakieś miasto powiatowe. Nie licząc akcji w Rembertowie, z aresztów ubeckich uwolniono kilkadziesiąt osób. Stoczono ponad 30 potyczek, z tego ponad połowę – wiosną i wczesnym latem: „lasy się zapęłniły”, jak mówiono wówczas, a stało się tak nie tylko dlatego, że nadeszła dobra dla partyzantów pora roku, ale i dlatego, że wielomilionowa Armia Czerwona, która rozdeptywała Polskę „lubelską”, odpłynęła na zachód. Szczyt aktywności partyzantów miał jednak nadejść w 1946 r.

Warszawski WUBP tworzony był od połowy listopada 1944 r. i właściwie dopiero parę tygodni później działały wszystkie urzędy powiatowe w prawobrzeżnym odcinku województwa. W części zachodniej powstawały – co oczywiste – od drugiej połowy stycznia 1945 r. Nieco wcześniej i szybciej organizowano instancje MO, a w maju 1945 r. zaczęto ostatecznie formować Korpus Bezpieczeństwa Wewnętrznego (KBW), czyli odpowiednik wojsk wewnętrznych NKWD. W chwili, gdy Światło zaczynał „pracę”, urząd był już ukształtowany, liczył kilkuset pracowników, a po okresie częstych zmian sytuacja kadrowa w kierownictwie na pewien czas się ustabilizowała. Od początku kwietnia stanowisko p.o. kierownika urzędu piastował Władysław Dominik, jeden z pierwszych funkcjonariuszy bezpieki, który rozpoczął działalność w resorcie już 8 sierpnia 1944 r. (zajmował się m.in. pionem inwigilacji). Dominik, łódzki robotnik, starszy od Światły o dziesięć lat, od 1925 r. działał w ruchu komunistycznym, m.in. w komórce wojskowej, odbył roczne szkolenie w Moskwie (1929–1930), wielokrotnie był więziony, ale w 1934 r.

właściwie zawiesił aktywność w KPP. W 1939 r. przedostał się na Wschód, pracował jako górnik w Donbasie i na Uralu, w 1943 r. zmobilizowano go do Armii Czerwonej, ale wkrótce trafił do wojsk gen. Berlinga i został oficerem polityczno-wychowawczym w 2 DP. Pod wieloma względami był więc „starszym towarzyszem”, nawet jeśli chodzi o staż w bezpiece. Wyróżniający się funkcjonariusze, którzy zrobili kariery w MBP, tacy jak Józef Czaplicki, Mieczysław Broniatowski, Grzegorz Łanin czy Jan Frey-Bielecki, należący do zespołu operacyjnego tworzącego urząd, w maju 1945 r. byli już na placówkach poza województwem warszawskim. Od lutego WUBP mieścił się w budynku zasekwestrowanym cerkwi przy ul. Cyryla i Metodego na Pradze, Światło początkowo zamieszkał niedaleko, przy ul. Stalowej, a po pewnym czasie przeniósł się do centrum Warszawy, na ul. Jaworzyńską. Były to, oczywiście, mieszkania służbowe.

Nieopublikowano do tej pory ani monografii, ani nawet wstępnego opracowania o warszawskim WUBP, a stan dokumentów z 1945 r., które zostały po tym urzędzie jest, można powiedzieć, katastrofalny, nie udało mi się zatem znaleźć informacji o aktywności Światły. Nie wiem więc nie tylko, czy brał udział w akcjach „w terenie”, w pościgach czy obławach, jakie dochodzenia prowadził lub nadzorował, ale nawet jaki miał wyznaczony zakres odpowiedzialności, tzn. które pionury urzędu mu podlegały. Dominik miał już od marca zastępcę, Jana Kwiatkowskiego, który we wrześniu 1945 r. został przeniesiony do centrali na stanowisko zastępcy kierownika Wydziału do Walki z Bandytyzmem (w istocie z podziemiem). Możliwe więc, że to on właśnie już w WUBP zajmował się tym, kluczowym wówczas, pionem. Na przełomie listopada i grudnia 1945 r., odbyła się odprawa kierowników WUBP podczas której składali oni sprawozdania z działalności podległych im urzędów, a funkcjonariusze oddelegowani z ministerstwa przedstawiali swoje opinie po przeprowadzonych kontrolach. W protokole z tej odprawy zarówno wypowiedzi Dominika, jak i „recenzenta” (był nim Henryk Piasecki, późniejszy kolega Światły z X Departamentu), są bardzo skrótowe i chaotyczne. Ze sprawozdania szefa urzędu wynika tyle, że „szereg powiatów nie jest pod kontrolą rządu i UBP” i że „były próby obsadzenia tych powiatów (...), ale nasi pracownicy zostali wymordowani”, że zdarzają się trudności we współpracy z MO, a za najgroźniejszego przeciwnika należy uważać konspirację środowisk narodowych. Piasecki z kolei zwracał uwagę, że nagminne jest bicie aresztowanych („na 56 aresztantów 15 skarżyło się, że straż ich bije”), że w sprawach agenturalnych zgromadzono wiele materiałów „nie zasługujących na opracowanie”, a kadry są „nieumiejętnie wykorzystywane”. Z uznaniem natomiast wypowiadał się o sekcji śledczej, która „pracuje najlepiej” i „prowadzi ważne sprawy”. Nic jednak z tych wypowiedzi nie wynika, jeśli chodzi o działalność Światły. Ponieważ właśnie tego okresu dotyczą wspomniane niepokoje Justyny Światło, można przyjąć, iż był on aktywny i podejmował zadania budzące szczególną abominację społeczną. Może to właśnie on nadzorował chwalony przez Piaseckiego pion śledczy?

W połowie września, z nieznanych mi powodów, kpt. Światło został przeniesiony „do dyspozycji” MBP. W dokumentach nie natrafiłem na żadne informacje dotyczące tego, co robił – lub miał robić – w nowej sytuacji. Możliwe, że przeniesienie wynikało z jakiegoś konfliktu z przełożonym, choć wówczas powinien zostać jakiś ślad w teczce personalnej. Możliwe też, że posłuchał opinii żony, która radziła mu, aby „zmienić teren”. Zresztą sam mógł się czuć zagrożony: wedle relacji siostry Marii „otrzymał od reakcji wyrok śmierci”, zorganizowano też napad na chroniony przez żołnierzy budynek przy Jaworzyńskiej, w którym mieszkali. Nie wiadomo jednak, czy to oni byli celem zamachu. Kapitan również dobrze mógł zostać skierowany do centrali do wykonania jakiegoś specjalnego zadania. Bardzo ważnym problemem dla bezpieczeństwa była wówczas np. amnestia i ujawnianie się członków organizacji podziemnych. Kierownictwo resortu miało wiele zastrzeżeń do przebiegu tej akcji, a przede wszystkim do tego, że urzędy terenowe nie przygotowały się należycie, aby wykorzystać ją do rozbudowy sieci agenturalnej i rozpracowywania tych, którzy nie zdecydowali się na ujawnienie. Być może Światło znalazł się w jakiejś powołanej ad hoc komórce, która zajmowała się sprawą świeżo powstałego Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość, którego pierwsze kierownictwo zostało stosunkowo szybko zdekonspirowane. Mogło zresztą chodzić o jakieś inne zlecenia. Ale to tylko przypuszczenia. Nie znalazłem też żadnych śladów, aby w tym okresie np. wyjeżdżał na szkolenie do Związku Sowieckiego. Zresztą, aż do 1953 r. takich szkoleń nie przeprowadzano.

Jeszcze w ankiecie z 3 maja Światło pisał, że trzy siostry zostały wywiezione do Oświęcimia, a ich „miejsce pobytu [jest mu] nieznane”. Odnaleźli się za to z Cyłą. Jednak Maria, Róża i Sara, które po wyzwoleniu obozu pojechały do Krakowa, dowiedziały się od sąsiadów, że brat był u nich i zostawił swój warszawski adres. Już w połowie maja zjawily się w Warszawie, gdzie przez kilka miesięcy mieszkaly u brata (Sara chyba dłużej), zanim załatwił im swoje poprzednie, praskie, mieszkanie na okres przejściowy. Wówczas zapewne, choć niewykluczone, że nieco później, zmieniły nazwisko. Nowo wybrane jest raczej zaskakujące, od tej pory nazywały się Obozowicz! Nie wiem czy decyzja o zmianie nazwiska była poleceniem partyjnym, co było wówczas bardzo częste, czy wynikała z własnego wyboru, co mogłoby świadczyć o chęci „odcięcia” się od żydowskości. Maria i Róża szybko, a z racji posiadanego wykształcenia i komunistycznej przeszłości chyba też bez kłopotów, znalazły pracę, Sara (zmieniła imię na Krystyna) równocześnie ze studiami w Akademii Nauk Politycznych rozpoczęła działalność polityczną, zaś Cyła z mężem mieszkali w Krakowie. Także najbliższa rodzina Justyny była prawie w komplecie – matka i jeden z braci mieszkali w Wałbrzychu, drugi brat w Warszawie, siostra była wciąż w Związku Sowieckim, ale utrzymywano z nią kontakt. Jak na żydowską rodzinę była to sytuacja wyjątkowa, a w każdym razie rzadko spotykana. Jeśli dodać, że 16 lipca urodziła się Światle córka, której dano imiona Krystyna Ryszarda, i przyjąć, że to, co robił w bezpiec dawało mu satysfakcję (a wszystko

na to wskazuje), można powiedzieć: człowiek zadowolony, choć żyjący w morzu pamięci o świeżej hekatombie i wśród nowych ludzkich dramatów, do których częściowo sam się przyczyniał.

W końcu grudnia 1945 r. kpt. Światło rzeczywiście „zmienił teren”: został bowiem skierowany do Olsztyna, na stanowisko zastępcy kierownika UBP na Okręg Mazurski, czyli późniejsze województwo olsztyńskie. Przeniesienie to nie oznaczało degradacji, ale z punktu widzenia prestiżu było „krokiem wstecz”: z centrali do regionalnej agendy, ze stolicy na prowincję, a w dodatku na takim samym stanowisku, jakie już zajmował w warszawskim WUBP. Kiepską osłoda było odznaczenie go, przyznany w samą Wigilię, srebrnym Medalem Zasługi na Polu Chwały, ledwo o „oczko” wyższym niż po bitwie pod Lenino. Wraz z nim do Olsztyna przybyła większa grupa funkcjonariuszy, ponieważ zachodziła konieczność wzmocnienia urzędu.

Mazury – a ściślej mówiąc Warmia i Mazury – były niemiecką prowincją Prusy Wschodnie, więc siłą rzeczy nie istniało tam wcześniej żadne polskie podziemie i dopiero napływ polskich osadników (z Białostoczczyzny, Mazowsza i Kresów) stworzył grunt do zorganizowania konspiracji. Od maja 1945 r., gdy utworzono bezpieczeństwo i MO, tylko sporadycznie pojawiały się grupy zbrojne z pogranicznych województw. Niemniej w końcu 1945 r. struktury UB – wojewódzka i powiatowe – były już zorganizowane na bazie kolejnych grup operacyjnych przysyłanych z centralnej Polski. Szefem urzędu był Henryk Palka. Starszy o siedem lat od Światły, podobnie jak on przedwojenny komunista, parokrotnie więziony, w chwili wybuchu wojny mieszkał we Lwowie. Przeszedł zwykłą dla komunistów drogę: zajmował „za pierwszego Sowietą” mało znaczące stanowiska, po wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej był w Armii Czerwonej, później w dywizji „kościuszkowskiej”. Wiosną 1944 r. znalazł się gronie „studentów” kujbyszewskiej szkoły NKWD, a 1 sierpnia objął stanowisko kierownika UBP na Lublin i województwo, które z uwagi na „stołeczne” funkcje Lublina było wówczas jednym z najważniejszych w strukturach bezpieczeństwa. Stamtąd, wraz z grupą około 50 ubeków, absolwentów 3-miesięcznej Centralnej Szkoły MBP w Łodzi, został skierowany do Olsztyna. Nową funkcję objął 15 czerwca 1945 r., zastępując Michała Natana, któremu zarzucano nieudolność. Palka chyba dosyć energicznie zabrał się do pracy, w każdym razie w styczniu 1946 r. miał już do dyspozycji około 310 pracowników (w tym 170 operacyjnych), a w kwietniu około 480.

Rozbudowa olsztyńskiej bezpieki była konieczna zarówno z uwagi na nasilające się ruchy ludności, w tym wysiedlanie Niemców, oraz konflikty między osiedleńcami a Mazurami, jak i coraz częstsze przejawy propagandy antykomunistycznej oraz pojawianie się oddziałów partyzanckich, choć wciąż nie było większych zgrupowań, dla których Mazury byłyby terenem macierzystym. Autorzy *Atlasu polskiego podziemia niepodległościowego* podają, że w ciągu 1946 r. na obszarze tym działały dwie placówki WiN oraz kilkanaście oddziałów zbrojnych, w tym większość – należąca do NZW i Ruchu Oporu

Armii Krajowej (ROAK) – na stałe rozlokowana była na północnym Mazowszu i na Białostocczyźnie. Lokalnych, stosunkowo niewielkich grup, było zaledwie kilka, a najpoważniejsze problemy stwarzała zapewne obecność dwóch silnych i bitnych zgrupowań wileńskiej AK (brygady V i VI), które wcześniej operowały poza terenem województwa. Wedle *Atlasu...* większość ważniejszych starć, do których doszło w 1946 r., dotyczyła właśnie oddziałów wileńskich. Od wiosny 1946 r. zasadniczą rolę w walce z oddziałami partyzanckimi odgrywała obecność wojska. Była to 15 DP pod dowództwem gen. Konstantyna Kontryma, sowieckiego oficera polskiego pochodzenia. To właśnie wojsko, uzupełnione żołnierzami KBW, prowadziło w czerwcu i lipcu najszerzej zakrojoną operację przeciwko „bandom Łupaszki”. Bezpieka skarżyła się na trudności we współpracy z wojskiem, które częściowo wynikały z niechętnego lub nawet wrogiego stosunku do UB: „Urzędu waszego nie będę strzegł – miał powiedzieć pewien porucznik WP w czerwcu 1946 r. – i [nie będę strzegł] tych, którzy mają grzechy na sumieniu i boją się zemsty ludu”.

Światło był jedynym zastępcą szefa urzędu, toteż podlegała mu większość pionów operacyjnych, a jak można wnosić z niektórych dokumentów na pewno wydział śledczy. Nie udało mi się ustalić, jak często brał udział w operacjach przeciwko oddziałom „leśnym” bądź w akcjach poza Olsztynem, ale co najmniej kilka razy w nich uczestniczył. Zaledwie parę instrukcji wydanych przez WUBP nosi podpis Światły, większość – jak również sprawozdania do ministerstwa – podpisywał osobiście Palka. Jednak Światło z całą pewnością brał udział w podejmowaniu najważniejszych decyzji oraz w nadzorze nad realizacją zaleceń i nakazów przysyłanych z centrali. Urząd prowadził liczne dochodzenia, w tym kilkanaście „o zabarwieniu AK”, przy czym jedno z nich dotyczyło osób z KW MO i prokuratury. Interesowano się lokalnymi ogniwami PPS, a szczególnie PSL, które starano się (z niemalym sukcesem) infiltrować. Jednak również – jak pisał Palka w raporcie za drugą dekadę marca – w ramach działalności kontrwywiadowczej „zakłada się teczki na obiekty mające łączność z zagranicą, jak Czerwony Krzyż, UNR[R]A itp., a także brane są na ewidencję osoby przybyłe ze strefy okupacyjnej [zapewne brytyjskiej] i z Zachodu”. Niewątpliwie największą operacją polityczno-ubecką, którą przeprowadzono w czasie urzędowania Światły w Olsztynie było Referendum Ludowe z 30 czerwca. Do „ochrony” głosowania przygotowywano się starannie, choć z opóźnieniem. Zgodnie z zarządzeniem szefa urzędu jednostki powiatowe otrzymały m.in. polecenie „filtracji elementu podejrzanego” i zastosowanie wobec najbardziej niepewnych „aresztu prewencyjnego do dnia 3 VII włącznie”. W innym, całkowicie tajnym trybie – ale też nieomal w ostatniej chwili – przygotowano sfałszowanie wyników, było oczywiste, iż PPR i jej satelici (tzw. Blok Demokratyczny) mają bardzo ograniczone poparcie. W tym celu przyjechała do Warszawy specjalna ekipa z Moskwy, ale nie zdołałem stwierdzić, czy któryś z jej członków dotarł także do Olsztyna. Prawdopodobnie fałszerstwo zostało tu dokonane przy użyciu sił

własnych, przy pomocy specjalnych wysłanników z MBP, którzy nadzorowali przygotowania do referendum i jego przebieg. Może wspomagał ich też *sowietnik* urzędujący w WUBP.

W województwie olsztyńskim referendum odbyło się bez poważniejszych zakłóceń i incydentów (np. w rzeszowskim podziemiu zabiło około 30 osób z ochrony i z samych komisji liczących głosy), a wyniki odbiegały nieco od średniej krajowej. Wedle dość wiarygodnych, bo gromadzonych poufnie, a do 1990 r. utajnionych danych, zebranych w KC PPR, w całym kraju niezgodnie z wezwaniami peperowskiego bloku głosowało około 73% osób, na Warmii i Mazurach zaś około 68%. Oczywiście wyniki podane oficjalnie różniły się od rzeczywistych. Właściwie były ich odwrotnością: zgodnie z życzeniem komunistów „trzy razy tak” miało głosować w skali kraju 68%, a w woj. olsztyńskim 64%. Na zewnątrz kierownictwo PPR występowało jako bardzo zadowolone z rezultatów opublikowanych przez Państwową Komisję Głosowania Ludowego, a więc i z siebie, głosząc wszem i wobec, że „polska demokracja” odniosła zwycięstwo. Było to o tyle prawdziwe, że zmuszenie Polaków i świata zachodniego do uznania *fait accompli* w postaci sfałszowanych wyników referendum spowodowało znaczący odływ nadziei na odsunięcie komunistów od władzy. Być może właśnie w związku z tą, udaną w sumie, operacją został doceniony także i Światło: z okazji święta 22 lipca otrzymał awans na stopień majora oraz srebrny Krzyż Zasługi. Dwa miesiące później został ponownie odznaczony. Tym razem Orderem Odrodzenia Polski IV klasy. W hierarchii wyróżnień to już było coś.

O ile do olsztyńskiego epizodu w biografii Światły – podobnie jak warszawskiego – znalazłem bardzo mało dokumentów potwierdzających jego działalność „zawodową”, o tyle istnieje kilka świadectw mówiących trochę o jego osobowości i sposobie bycia. Obraz, który się w nich rysuje jest właściwie jednoznacznie negatywny. Kierownik wydziału, którego po paromiesięcznej służbie Światło usunął ze stanowiska, w oświadczeniu skierowanym 2 sierpnia 1946 r. do ministra, oskarżył swego zwierzchnika, że wraz z innym oficerem z 8,5 kg złota i biżuterii, które przywieziono jako zdobyczne z PUBP w Braniewie, do sejfu zdali tylko „2 kg i 43 deko” (na głowę przypadłoby więc 3 kg ukradzionych kosztowności) i że nie był to jedyny przypadek malwersacji dóbr konfiskowanych w czasie rewizji. Ponieważ w teczce personalnej Światły nie ma żadnych materiałów wskazujących, iż w ministerstwie zarzuty te potraktowano poważnie, można sądzić, że były one nieprawdziwe. Co nie znaczy, że ani Światło, ani inni funkcjonariusze nie kradli „zdobycznych” przedmiotów. Skarżący wypominał też Światłu, zajmującym 6-pokojowe mieszkanie, że jemu zaproponował zaledwie 2-pokojowe, w którym okna wychodziły „na północ, na gruzi których ja nabaczył [sic] się za 5 lat wojny”. Sądząc po tym, jak owo oświadczenie było napisane, można sądzić, iż ów funkcjonariusz w stopniu porucznika, był prymitywem kiepsko władającym piórem, a pewnie i mało sprawnym w słowie, choć nie pozbawionym chytrłości: Światło „robi mi zarzut, że ja u siebie w biurze

odkrył [tzn. otworzyłem] charem [sic]", a przecież – pisze porucznik – „ja nie jestem dzieckiem żeby biuro, do którego zawsze dźwi [sic] są otwarte przerobić na coś podobnego”. Inna negatywna opinia pochodzi z października 1954 r., a więc należy traktować ją ostrożnie, niemniej wydaje się dosyć wiarygodna. Pochodzi od funkcjonariusza, który w 1946 r. zajmował stanowisko „młodszego referenta”, toteż obserwował Światłę z pewnego oddalenia. „Jako zwierzchnik – pisał – nie był lubiany (...) za swój opryskliwy stosunek, zgryźliwość (...) chęć poniżenia podwładnego”. Zwracał też uwagę, że „Światło i jego żona (...) lubili bardzo elegancko się ubierać (...) wykupywali duże ilości towarów przydzielonych z Konsumu po cenach reglamentowanych”, a potem krawcy zatrudnieni w Konsumie – czyli sieci sklepów i punktów usługowych dla funkcjonariuszy bezpieczeństwa i innych uprzywilejowanych – „tylko dla niego szyli”. Zarzucał zastępcy szefa urzędu, że tolerował pijaństwo i rozpustę: niektórzy pracownicy „w gabinetach służbowych (...) odbywali stosunki z kobietami”. Wszakże bez aluzji, iż Światło uczestniczył w tych bachanaliach. Kolejny informator, goniec Światły, dodawał, że zarówno major, jak i jego żona „byli bardzo skąpi”, „robili duże zapasy żywności i odzieży”. Zwróciło też jego uwagę, że w domu Światłów „częściowo zaprowadzano nastroje świąteczne w piątki i soboty”. Jednak – oceniał – charakter „miał dobry w życiu prywatnym”. Przynajmniej niektóre z tych opinii potwierdzała Justyna: w Olsztynie „zachowywał się głośno, tupetliwie, nowobogacko”, miał „cyniczny stosunek do kobiet [mówił, że] każdą kobietę można kupić”. Zdawałam sobie sprawę – pisała – że „jest fałszywie ambitny”, unikał ludzi, gdyż miał do nich pogardliwy stosunek, w rezultacie „towarzyskich stosunków nie utrzymywaliśmy w zasadzie z nikim”. Wobec szefa urzędu „czuł swoją przewagę w operatywnych przedsięwzięciach, a z drugiej strony zazdrościł mu wiedzy ogólnej”. Można więc chyba powiedzieć, że służba w bezpieczeństwie pogłębiała negatywne cechy charakteru Światły, które zauważalne były – jeśli wierzyć relacjom – co najmniej od czasu pobytu w punkcie obozowym nr 23. Miał zapewne dosyć silne poczucie niższości wynikające z braku wykształcenia, a jak wynika z relacji żony, chyba ciążył na nim również jakiś kompleks po rozpadzie małżeństwa z Frydą. Prawdopodobnie wpływało to na jego zachowanie, a przede wszystkim na brutalność i wykorzystywanie przewagi nad innymi: osobami, które rozpracowywał, aresztował czy przesłuchiwał, a także – choć w inny, rzecz jasna, sposób – tymi, którymi zarządzał.

Rodzinie powodziło się z pewnością dobrze lub – jak na ówczesne standardy – bardzo dobrze: Światło miał dosyć wysokie uposażenie, żona przez pewien czas pracowała jako pielęgniarka („starsza siostra”) w poliklinice WUBP, oboje zatem mieli prawo do korzystania z nieźle zaopatrzonych, dotowanych sklepów i usług oraz całej, szybko rozbudowywanej przez MBP sfery socjalnej (żłobki, wczasy, lecznictwo) i kulturalnej (kino). Korzystali na własne potrzeby z warsztatów urzędu i więzienia w Barczewie, mieli służbowy samochód z kierowcą, duże, służbowe mieszkanie, na pewno dobrze wyposażone. Chyba z oknami

na południe i z lepszym widokiem niż na gruzy. Z racji zajmowanego stanowiska Światło należał do lokalnej elity. Został członkiem Komitetu Wojewódzkiego PPR, uczestniczył w akademiach i uroczystościach, być może zasiadał nawet od czasu do czasu w prezydium. W sierpniu przyjechała do nich i mieszkała razem z nimi przez parę lat Leokadia, młodsza siostra Justyny, która od lata 1940 r., przez ponad rok, miała wątpliwy zaszczyt pracować „w przemyśle drzewnym” Autonomicznej Socjalistycznej Republiki Sowieckiej Komi, tej właśnie, w której znajdowała się linia kolejowa Workuta-Leningrad wslawiona antysowiecką piosenką z lat 50. Po amnestii przeniosła się pod Ural, gdzie do maja 1946 r. pracowała w fabryce. Razem z nią na krótko przyjechała z Wałbrzycha, ich matka, Sara (Sabina) Światło. To właśnie z jej pobylem związane były piątkowo-sobotnie „nastroje świąteczne”.

Jesienią 1946 r., z nieznanym mi powodów, mjr Światło został ponownie przeniesiony. Justyna uważała, że wysyłają go na najbardziej niebezpieczne odcinki. Na pewno miał już opinię sprawnego „operatywnika” i człowieka bez skrupułów, ale, prawdę mówiąc, w tamtym czasie mało było w Polsce bezpiecznych miejsc. Nawet dla ubeków, a niektóre miejsca były niebezpieczne zwłaszcza dla nich. Tak czy inaczej z dniem 25 października objął stanowisko zastępcy szefa WUBP w Krakowie, gdzie z racji znajomości miasta mógł się czuć lepiej niż w zupełnie obcym Olsztynie czy nawet w Warszawie, w której przecież po raz pierwszy pojawił się dopiero we wrześniu 1944 r. Lepiej – to znaczy „pewniej”, bo nie wiem czy pobyt tam, gdzie zginęło lub zmarło troje najbliższych mu osób oraz sporo przyjaciół, był przyjemny.

Kraków, a zwłaszcza województwo krakowskie, należały rzeczywiście do terenów bardzo trudnych dla nowej władzy, która przecież jeszcze nie całkiem pewnie siedziała w siodle, a nieuchronnie zbliżała się jedna z najważniejszych operacji w historii aparatu bezpieczeństwa: wybory do Sejmu. Krakowskie – z Krakowem włącznie – było matecznikiem ruchu ludowego i PSL miał tu rzeczywiście potężne wpływy. Ostoją oporu duchowego był Kościół, na czele którego stał abp Adam Sapieha, „książę Kościoła”, jedna z najbardziej szanowanych osobistości w Polsce. Kraków, jako miasto oszczędzone przez wojnę (jeśli nie liczyć ludności żydowskiej!) miał liczną, mocno zakorzenioną inteligencję, której duża część była nastawiona tradycjonalistycznie, a więc siłą rzeczy pozostawała w niezgodzie z „nowym porządkiem”, i równie osadzone w tradycji mieszczaństwo. W opinii komunistów uchodził – właściwie do końca istnienia PRL – za miasto „klerykalne”, „reakcyjne”, „wsteczne”, „kołtuńskie”. Właśnie Kraków był epicentrum młodzieżowych manifestacji i zamieszek, które wydarzyły się 3 maja 1946 r. W terenie działało co najmniej 40 oddziałów partyzanckich różnej proweniencji od WiN do NSZ, choć większość nie wykazywała sprecyzowanych poglądów politycznych poza jednym – walki z komuną. Józef Kuraś, czyli słynny „Ogień”, którego od jesieni 1945 r. zaciekle ścigało UB, KBW i wojsko, był prawdziwym „królem Podhala”. Wedle Macieja Korkucia w latach 1945–1946 odnotowano

126 ataków na siedziby UB, posterunki MO i więzienia, także w miastach (m.in. Tarnów, Miechów, Nowy Targ, Limanowa, Zakopane), a nawet, co było ewenementem, podziemie uwolniło ponad 60 aresztowanych z więzienia św. Michała znajdującego się w centrum Krakowa. Tego samego, w którym „za sanacji” siedział Izak Fleischfarb. Krakowskie stało też – na równi z sąsiednim rzeszowskim – na czele tych województw, w których ludność w czasie referendum najbardziej spektakularnie powiedziała komunistom, co o nich myśli: wedle danych KC PPR tylko 13,5% mieszkańców głosowało „3 razy tak”. A więc równo dwa razy mniej niż wynosiła średnia krajowa.

Przeprowadzka do „jaskini reakcji” zapewne nie nastrożyła problemów, choć nie wiem czy nowe mieszkanie było równie duże jak olsztyńskie. Natomiast okna na pewno nie wychodziły na ruiny. Rodzina, wraz z Leokadią, zamieszkała w solidnej, mieszczańsko-urzędniczej kamienicy przy ul. Juliusza Leo, opodal siedziby bezpieki, która mieściła się przy ul. Pomorskiej. W tym rejonie na potrzeby funkcjonariuszy UB (także aparaczyków z KW i KM PPR oraz wojskowych) zajęto kilka innych kamienic, w większości chronionych przez uzbrojonych wartowników. Justyna, która już w Olsztynie zwolniła się z pracy z konieczności opieki nad córką i ze względu na słabe zdrowie, w grudniu 1947 r. ponownie zaczęła pracować, wciąż jako „starsza siostra” w szpitalu WUBP. Leokadia najpierw pracowała w Okręgu Krakowskim Zjednoczenia Energetyki, ale w lipcu 1947 r. została skierowana przez Komitet Miejski PPR do pracy w aparacie bezpieczeństwa, którą rozpoczęła na stanowisku młodszego referenta w Wydziale „B”. Pion ten zajmował się wówczas perlustracją korespondencji, a więc praca w nim nie miała charakteru operacyjnego sensu stricto, aczkolwiek siłą rzeczy musiano werbować do współpracy niektórych pracowników poczty. Tak więc od pewnego momentu tworzyli „bezpiecznicką rodzinę”.

Światło natychmiast rzucił się w wir roboty. Krótko po przyjeździe zwołał odprawę „w sprawie uaktywnienia werbunków i pracy agentów”, ponieważ uznał, że ten obszar działalności jest źle prowadzony. Jeszcze w listopadzie został szefem siedmioosobowego Sztabu Wyborczego WUBP. Wedle pochodzącego z 1954 r. świadectwa por. Władysława Franasia, zastępcy szefa urzędu ds. gospodarczych, Światło szybko „stał się faktycznym szefem urzędu, który całą pracę operacyjną skupiał w swoich rękach”. Opinia ta znajduje potwierdzenie w raporcie o przebiegu wyborów, sporządzonym przez pełnomocnika MBP na województwo krakowskie, ppłk Stefana Sobczaka, inspektora w Gabinecie Ministra. O szefie WUBP, mjr. Janie Olkowskim, Sobczak pisał bowiem: „Nie posiada autorytetu u swojego aktywu, a to dlatego, że w sytuacji zaistniałej orientuje się słabo, nie zna pracy operatywnej, naczelnicy wydziałów nie otrzymują od niego konkretnej pomocy, której on nie jest w stanie im udzielić”. Nie wiem, czy miał to być komplement, czy wręcz odwrotnie, ale Sobczak napisał też, że „na zewnątrz u społeczeństwa uchodzi za dobrego, z którym można dogadać się i znaleźć wspólny język”. Jednym słowem: mięczak. To dziwne, ponieważ

Jan Olkowski, będący wówczas już blisko czterdziestki, pochodzący z rodziny ukraińskiej (nazwisko rodowe Hrycaniuk) z okolic Chełma Lubelskiego, miał bojową przeszłość. Nie tylko deklarował przedwojenną działalność w ruchu komunistycznym i pobyt w więzieniu, ale podawał w ankietach, że po przedostaniu się do okupowanego przez Sowieców Lwowa i rocznej pracy jako cieśla w Donbasie, w 1941 r. zgłosił się do Armii Czerwonej, w której ukończył kurs podoficerski saperów. Walczył później pod Leningradem, dostał się do niewoli niemieckiej, z której uciekł, a gdy w marcu 1944 r. dotarł na rodzinne ziemie, wstąpił do oddziału GL, którym dowodził Grzegorz Korczyński. Potem był krótko w MO i pracował jako sekretarz KP PPR w Radzynie, a nawet jako jeden z sekretarzy KW PPR w Lublinie. W marcu 1946 r., w ramach kolejnego „zaciągu” zaufanych towarzyszy, partia skierowała go do bezpieki. Karierę zaczął od wysokich stanowisk: był szefem WUBP w Warszawie, a w końcu maja tegoż roku został przeniesiony do Krakowa, najpierw jako zastępca, a potem p.o. szefa na miejsce urlopowanego Jana Freya-Bieleckiego. Miał więc doświadczenie zarówno polityczne i organizacyjne, jak i do pewnego stopnia operacyjne. Sobczak był chyba w ogóle dosyć krytycznie ustosunkowany do kadry bezpieki. W tym samym raporcie pisał o kilku szefach PUBP, że na zajmowane stanowiska „absolutnie nie nadają się – dzięki swym upośledzeniom – tępota”. Ni mniej ni więcej. Każdy, kto poczyta choć trochę raportów i meldunków, które w tamtym czasie powstawały na niższych szczeblach ubeckiej hierarchii, z pewnością uzna, że Sobczak nie był malkontentem, ale realistą.

Przy wyborach była naprawdę ciężka praca, bezpieka musiała podjąć wiele najrozmaitszych czynności, a choć pierwsze instrukcje i polecenia „z góry” pochodziły już z miesięcy letnich, to działania nie mogły być podjęte przedwcześnie, a większość można było wprowadzić dopiero w ostatnich tygodniach przed wyborami, których termin – 19 stycznia 1947 r. – władze PPR i PPS ustaliły w połowie października. Światło, jako szef sztabu, zgodnie z zaleceniami ministerstwa często wysyłał do Warszawy raporty, toteż można dobrze określić charakter i zasięg tych działań. Nie ma sensu, oczywiście, pisać tu o szczegółach, po które mogą odesłać do cennej pracy Czesława Osękowskiego *Wybory do sejmu z 19 stycznia 1947 roku w Polsce*, w której znajduje się aneks z kopiami dokumentów krakowskiej bezpieki. Mówiąc w wielkim skrócie: dla ograniczenia elektoratu PSL przygotowano listy osób, którym powinno być odebrane prawo głosu, ostatecznie dotknęło to około 68 tys. obywateli, z czego 15 tys. w samym Krakowie; zbierano materiały pomocne przy unieważnianiu okręgowych list wyborczych – w województwie krakowskim listy PSL unieważniono w dwóch okręgach zamieszkałych łącznie przez prawie 1,3 mln osób, tj. 62% mieszkańców; na wszystkie obwody (w województwie było ich 525) zakładano „teczki informacyjne” prowadzone w PUBP, w których na wzór WUBP również powołano lokalne „sztaby wyborcze”; nad każdym okręgiem wyborczym pieczę sprawował pełnomocnik WUBP; w miarę powoływania członków komisji obwo-

dowych przystępowano do ich werbowania – na 3675 osób zwerbowano 1771, namówiono do współpracy również 5 członków z 4 komisji okręgowych. Równie ważne było uderzenie w PSL, wobec którego „prowadzone akcje nękające” polegające na rewizjach – od 1 grudnia do 17 stycznia przeprowadzono ich 4097; aresztowaniach – zatrzymano 2262 osoby, w tym 15 kandydatów na posłów; groźbach i wymuszaniu wystąpienia z PSL – legitymacje partyjne oddało około 7,3 tys. osób, „samorozwiązaniu” uległy cztery zarządy powiatowe i ponad 400 kół. Należy do tego dodać inne szyskany jak całkowite zablokowanie lokalu Zarządu Wojewódzkiego PSL w Krakowie przez kilka dni, usuwanie członków PSL z administracji, rozwiązywanie zgromadzeń, konfiskowanie wydawnictw, nakładanie grzywien, obecność funkcjonariuszy UB w lokalach wyborczych i w ich otoczeniu, wywieranie przez nich nacisku na jawne i demonstracyjne głosowanie na listę Bloku Demokratycznego. Listę tę można znacznie wydłużyć. Jednak tym razem, jak się wydaje, bezpieka nie była bezpośrednio zaangażowana w fałszowanie wyników tak, jak to było w referendum, operacja ta odbywała się w zasadzie na poziomie komisji obwodowych, których członkowie – zwerbowani i partyjni – otrzymali odpowiednie „ściągawki”, a reszty dokonywano w komisjach okręgowych. PSL udało się ustalić wyniki tylko w niespełna 1/5 obwodów, w których listy partii Mikołajczyka uzyskały 69% głosów. Niezależnie od tego jak było naprawdę, władze ogłosiły to, co chciały, czyli swój wielki tryumf: na listy Bloku miało paść 80% głosów. Współautorami tego sukcesu byli, w liczącym się wymiarze mjr Światło i jego ludzie. Trud ich został doceniony – płk Sobczak wniosł o odznaczenie aż 31 funkcjonariuszy UB (oraz 4 z MO) złotymi i srebrnymi Krzyżami Zasługi. Światło odebrał swój złoty krzyż 10 lipca.

Zapewne major nie odpoczywał po trudach „kampanii wyborczej”, ale nie wziął udziału w jednej z najbardziej spektakularnych akcji aparatu represji tamtych lat, a mianowicie ujęciu „Ognia”, który się śmiertelnie postrzelił podczas ataku na jego kryjówkę. Działo się to 21 lutego 1947 r. Zaznaczyć trzeba, iż jeśli chodzi o walkę z „reakcyjnym podziemiem”, Światło, przenosząc się do Krakowa, właściwie przyszedł na gotowe. Jak pisze Maciej Korkuć, autor szczegółowej monografii partyzantki niepodległościowej w krakowskim, już na przełomie grudnia 1946 r. i stycznia 1947 r. znajdowała się ona „u progu trwałej dekompozycji”. 22 lutego, kilkanaście godzin po śmierci „Ognia”, nowo wybrany sejm uchwalił amnestię, na podstawie której przeprowadzono znacznie większą od poprzedniej (z września 1945 r.) akcję ujawniania się żołnierzy podziemia. W województwie krakowskim swój udział w konspiracji z czasów wojny i powojennej zgłosiło około 5,5 tys. żołnierzy różnych formacji, tj. 10% ujawniających się w całym kraju (w 1945 r. było to 8,9 tys. osób). Tym razem bezpieka lepiej się przygotowała i poświęciła wiele czasu i trudu, aby należycie rozpracować wychodzących z konspiracji żołnierzy, zakładając odpowiednie teczki oraz werbując tajnych współpracowników. Sądzę, że w krakowskim kierował tymi działaniami mjr Światło.

Jakkolwiek konspiracja została w znacznym stopniu rozbita, to resztki, które z niej zostały (a było to wciąż немало) próbowały odbudować się po zadanych ciosach. Krakowski WUBP nie próżnował więc i prowadził, teraz głównie przy pomocy agentury i inwigilacji, kolejne rozpracowania. Jedną z jego ofiar stał się Leon Lech Beynar, znany bardziej jako Paweł Jasienica, do lata 1945 r. oficer w V Brygadzie Wileńskiej AK, który – choć już nie działał w konspiracji od trzech lat – został aresztowany w „kotle” w Krakowie 2 lipca 1948 r. Wyłapywano też pojedyncze osoby lub małe grupy aktywne w podziemiu, m.in. 9 kwietnia 1948 r. aresztowano Mieczysława Huchlę, ostatniego prezesa Okręgu Krakowskiego WiN, co definitywnie zakończyło działalność tej formacji w Małopolsce. Siłą rzeczy głównym, choć nie jedynym, przeciwnikiem stał się PSL. Istotnym wydarzeniem w walce z PSL było przeprowadzenie właśnie w Krakowie jednego z najważniejszych procesów pokazowych tamtych lat. Chociaż stery procesu dzierżyli bonzowie z centrali (m.in. Józef Różański, dyrektor pionu śledczego MBP), akt oskarżenia, a przynajmniej część „ideologiczną”, napisał czołowy komunistyczny propagandzista Roman Werfel, a przed Wojskowym Sądem Rejonowym przedstawił go zastępca Naczelnego Prokuratora Wojskowego, Stanisław Zarako-Zarakowski, to jednak znaczną część śledztwa prowadziły komórki WUBP, one też – zresztą jeszcze w 1946 r., przed przyjazdem Światły – dokonały pierwszych aresztowań. Proces trwał niemal miesiąc (11 sierpnia–10 września 1947 r.), a jego zadaniem było połączenie na ławie oskarżonych ludzi z niepodległościowej konspiracji i działaczy PSL. Tak więc obok 12 członków WiN, w tym drugiego z kolei komendanta Zarządu Głównego, płk Franciszka Niepokólczyckiego, stanęło przed sądem pięciu działaczy PSL, w tym Stanisław Mierzwa, jeden z bliższych współpracowników Witosa, przewodniczący krakowskiego Zarządu Wojewódzkiego i zastępca sekretarza generalnego PSL. W trakcie procesu Światło zatwierdził i skierował do realizacji plan „Akcji A–Z”, której celem było – jak to sformułowała na jednej z odpraw w MBP Julia Brystygierowa, dyrektor V Departamentu – „złamać kręgosłup reakcji peeselowskiej”. Krakowski Wojskowy Sąd Rejonowy, dzięki aktywności bezpieki, był zawałony sprawami: w 1947 r. za „przestępstwa szczególne”, czyli polityczne (w tym także zbrojne), skazał ponad 1,4 tys. osób, a w 1948 r. ponad 900. W tych latach współpraca między WUBP a Wojskową Prokuraturą Rejonową układała się dobrze, może dlatego, że na jej czele stał znajomy Światły z więzienia św. Michała, starszy nieco od niego Oskar Karliner, niedoszły (z powodu aresztowania) prawnik z Uniwersytetu Jagiellońskiego. Być może kolega ze studiów Marii Fleischfarb.

Jak ustalono w 1954 r., Światło w Krakowie był w osobistym kontakcie zaledwie z paroma tajnymi współpracownikami, w tym z jednym z PPS, i jednym „ze środowiska poakowskiego”, ale w zasadzie wszystkie lub większość ważniejszych działań operacyjnych i agenturalnych przechodziła przez jego ręce w trybie nadzoru. Wiadomo też z tych samych ustaleń i z dokumentów WUBP, że co najmniej kilkakrotnie sam kierował aresztowaniami i rozpo-

czynał przesłuchania, które później przechodziły w ręce pionu śledczego. Ważnym obszarem działalności Światły było szkolenie i prowadzenie odpraw. Nie później niż w ostatnim kwartale 1947 r. zainicjował m.in. „szkolenie zawodowo-seminaryjne”, które miało objąć prawie 200 funkcjonariuszy WUBP i 400 z PUBP. Latem 1948 r. przeprowadzono rozległą akcję szkolenia ideologicznego, po której przeegzaminowano niemal 850 osób (91 otrzymało stopień „bardzo dobry”, a 80 „niedostateczny”). Na comiesięcznych naradach pracowników operacyjnych zajmujących stanowiska kierownicze w PUBP, które trwały zazwyczaj 2–3 dni, Olkowski i Światło (czasem jakiś kierownik wydziału lub przedstawiciel KW PPR) wygłaszali referaty, a uczestnicy pisali sprawdziany. W programie kursów znajdowało się też „ukulturalnianie” ubeków, m.in. wspólne wyjścia do teatru (niestety, nie wiem, na jakie sztuki chodzili). Na kursach tych Światło najczęściej omawiał sprawy związane z agenturą, która wobec coraz mniejszego znaczenia akcji „w polu”, kiedy prym wiodło wojsko i KBW, stawała się kluczowa dla funkcjonowania bezpieki. Od czasu werbunków podejmowanych w ramach „kampanii wyborczej” sieć agenturalna miała charakter masowy: latem 1948 r. w województwie krakowskim zarejestrowanych było około 200 agentów i około 5,5 tys. informatorów. Stan ten nie był zasługą Światły, większość została zwerbowana przed jego przyjazdem do Krakowa, a on sam w trakcie szkoleń kładł nacisk na „jakość”, a nie na ilość. Światło wprowadził zwyczaj cotygodniowych (w soboty przed południem) odpraw z naczelnikami i zastępcami naczelników wydziałów, które miały charakter – jak byśmy dziś powiedzieli – interaktywne: na każdej odprawie któryś z naczelników referował działalność swojej komórki, po czym odbywała się dyskusja. Być może zdradzał więc talenty dydaktyczne.

Nie obyło się, rzecz jasna, bez wpadek. Najbardziej znana, dzięki temu, iż pozostawiła ślad w aktach personalnych Światły, przytrafiła się w lutym 1947 r., kiedy w siedzibie Izby Lekarskiej w Warszawie, w trakcie posiedzenia Sekcji Szpitalnej Państwowej Rady Zdrowia, aresztowano dr Jana W. Adamskiego, dyrektora Departamentu Lecznictwa Ministerstwa Zdrowia. Minister zdrowia wszczął raban, w wyniku którego lekarza przewieziono do siedziby V Departamentu MBP (służba zdrowia podlegała jego „ochronie”). Okazało się, że zatrzymanie nastąpiło na skutek telefonogramu wysłanego z krakowskiego WUBP do jego warszawskiego odpowiednika, a przybyły po dwóch dniach (!) szeregowy funkcjonariusz z Krakowa „nie przywiózł żadnego materiału obciążającego”. Trzeba więc było „po przeproszeniu za przykre nieporozumienie” zwolnić dr Adamskiego. Dokonując tego aresztowania, złamano szereg resortowych przepisów wewnętrznych, m.in. o właściwości terytorialnej działania urzędów wojewódzkich (w przypadku działań poza własnym terenem konieczne było powiadomienie MBP), o trybie aresztowań wyższych urzędników państwowych (które można było przeprowadzić tylko po uzyskaniu zgody odpowiedniego departamentu), o konieczności posiadania w chwili aresztu wystarczających materiałów obciążających, a wreszcie – o zakazie dokonywania w Warszawie

aresztów podczas zgromadzeń i zebrań. Summa summarum Olkowski i Światło, a także ich stołeczni współpracownicy, otrzymali nagany (z wpisaniem do akt), co zostało podane do wiadomości wszystkich wysokich funkcjonariuszy MBP. Jak widać w tym przypadku min. Radkiewicz surowo przestrzegał zasad „ludowej sprawiedliwości”, gdyż takie reprimendy były, jak sądzę, konieczne, aby nawet dyrektorzy i naczelnicy czuli, że to nie oni stoją najwyżej.

W oświadczeniach składanych przez funkcjonariuszy krakowskiego WUBP w 1954 r. pojawiają się liczne negatywne opinie na temat Światły, podobne do tych, które złożyli jego podwładni z Olsztyna. Trzeba wprowadzić ostrożnie podchodzić do tych informacji, ale częściowo znajdują one potwierdzenie w świadectwach Justyny i siostr. A więc miał mieć „pogardliwy i dyktatorski stosunek do ludzi”, „rządził Urzędem w sposób dowolny i często niesprawiedliwy”, „był despotyczny”, obrażał podwładnych „wulgarnymi i obelżywymi wyrażeniami”. Szwagierka stwierdzała wprowadzić, że w Krakowie stosunki między nimi układały się dobrze, lepiej niż w Olsztynie, ale zachowanie Światły utrudniało jej życie towarzyskie (a może i uczuciowe). Kazał jej np. opowiadać życiorysy znajomych, których chciała zaprosić do domu. Także Justyna pisała, że właściwie stosunków towarzyskich nie utrzymywali, a do swojego zwierzchnika miał stosunek podobny jak w Olsztynie – „czuł pełną przewagę nad nim”. Zaledwie parę osób z urzędu, w tym znajomy z KZM Maurycy Hoffman i Marian Kozłowski, naczelnik V Wydziału, bywali u nich w domu. Zapewne bezwzględność i rzeczowy, a raczej przedmiotowy stosunek do ludzi, zwłaszcza podwładnych, obniżały jego wartość jako kierownika, ale czyniły zeń twardego egzekutora poleceń. Nie miał też zahamowań o charakterze „kumoterskim”. W życiorysie składanym w MBP w 1949 r. pisał, że jeden ze znajomych z KZM, który „okazał się prowokatorem (...) został przeze mnie posadzony w Krakowie”.

Podobnie jak w Olsztynie, jego mocna pozycja w bezpieczeństwie w Krakowie miała z pewnością niższą rangę poza organami represji, co wynikało z wielkości i charakteru królewskiego miasta. Niewątpliwie jednak postać i osoba mjr Światły były dosyć szeroko znane zarówno wśród wciąż jeszcze „mieszanej”, polityczno-urzędniczej elity rekrutującej się z PPR i PPS, jak i wśród ludzi z konspiracji oraz w środowiskach kościelnych i inteligenckich. Może nie bywał na premierach teatralnych i na koncertach, ale w końcu zajmował się prawie tymi wszystkimi, którzy na nie chodzili. Lata 1947–1948 odznaczały się bowiem tym, iż w działalności bezpieki – która, oczywiście, postępowała zgodnie z wytycznymi PPR – pojawiły się na skalę znacznie szerszą niż poprzednio takie problemy, jak „oczyszczanie” PPS z „elementów prawicowych”, rugowanie „reakcji” z nauczycielstwa i kręgów akademickich, a jesienią 1947 r. ruszyły poważniejsze przygotowania operacyjne do ataku na Kościół. Toteż działalność bezpieki wykraczała coraz dalej (i śmielej) poza środowiska podejmujące czynną działalność przeciwko nowemu ustrojowi, stawała się dolegliwa i wręcz groźna także dla osób, które wyrażały swój sprzeciw w innych formach, czy nawet w ogóle były bierne. Wiele

osób wiedziało lub domyślało się, że to właśnie Światło aresztuje i przesłuchuje, „nasadza agenturę”, przeprowadza „rozmowy ostrzegawcze” (np. z działaczami PPS), pojawia się w lokalach instancji wojewódzkich i miejskich PPR.

Z prawie dwuletnim pobytem w Krakowie wiąże się epizod będący świadectwem pewnego wewnętrznego niepokoju, jaki pociągała za sobą służba w bezpiece, a jeszcze bardziej poczucie narodowe i postrzeganie Światły jako Żyda. W początku lipca 1947 r. mjr Światło, powołując się na jakąś rozmowę, którą odbył z wiceministrem Romkowskim, zwrócił się z raportem do min. Radkiewicza o „zdjęcie z kierowniczego stanowiska” w aparacie bezpieczeństwa. W piśmie tym podał dwa powody. Najpierw pisał, że „trzy lata operatywnej pracy zżarło doszczętnie moje nerwy, wyczerpało moją żywotność i energię”, a „będąc impulsywnym i niepodzielnym w robocie z trudem znoszę niewspółmierność moich współpracowników, a stan wyczerpania nerwowego naraża mnie na konflikty z nimi, co nie jest zdrowym dla pracy”. Jako drugi powód podał „brak odpowiedniego wykształcenia” oraz fakt, że zaangażowanie w działania operacyjne uniemożliwiało mu „pracę nad sobą dla podniesienia swojego poziomu intelektualnego”, a nawet zauważył, iż „cofnął się o lata wstecz”. Konkludując, stwierdził, że „nie czuje się na siłach” pozostać na dotychczasowym stanowisku i prosi o zdjęcie z funkcji zastępcy szefa urzędu oraz „odkomenderowanie do pracy nie operatywnej, chociażby na przeciąg jednego roku”, aby „uzdrowić nerwy” i „doksztalcć się”. Raport ten, drogą służbową, został wysłany do Warszawy przez Olkowskiego 9 lipca, z jednoczesną prośbą o pozostawienie jednak Światły na stanowisku zastępcy szefa, ponieważ „pracuje b. dobrze, operatywnie jest mocny” oraz że współpraca układa się „bez najmniejszych zgrzytów”. Olkowski potwierdza zarazem, że mjr Światło „jest wyczerpany nerwowo”, ponieważ ze względu „na słaby aparat b. dużo pracuje”. Ponadto, informując ministra, że żona jego zastępcy „często zapada na różne choroby”, a niedawno ciężko chorowała 2-letnia córka, wnosi o udzielenie Światłu pomocy materialnej. 29 lipca na raport odpowiedział szef kadr MBP, Orechwa, powiadamiając, że sprawa zwolnienia ze stanowiska „będzie omawiana”, a póki co, została mu przyznana zapomoga w kwocie 20 tys. zł., co nie było sumą imponującą. Cztery miesiące po pierwszym raporcie Światło wystąpił do ministra z następnym, w którym ponownie zwracał się o zwolnienie z funkcji, a poza motywami podanymi uprzednio, dodał także, że „czynnik narodowościowy nie pozwala pozostawać dłużej na kierowniczym stanowisku”.

Brak, niestety, innych dokumentów w tej sprawie, w tym notatek Romkowskiego z rozmowy (lub rozmów) ze Światłą. Relacja Justyny, złożona w 1954 r., potwierdza te motywy. Pisała ona, że wracał do domu „wypompowany”, że zdawał sobie sprawę z braków w wykształceniu oraz że wystąpił „cały szereg incydentów o charakterze antysemitycznym (...) ze strony niektórych pracowników urzędu”, otrzymał również szereg antysemitycznych anonimów. Zatem „doszedł do przekonania, że właściwie w warunkach wzmożonej fali antysemityzmu nie powinien

jako Żyd zajmować tak eksponowanego stanowiska". Nie udało mi się ustalić, o jakie incydenty chodziło, bo pojawianie się anonimów tego rodzaju zbytnio nie dziwi. Być może poszło o jakąś wypowiedź szefa Wojskowego Sądu Rejonowego w Krakowie, płk. Antoniego Łukasika, który w sierpniu 1947 r. został odwołany i aresztowany (a w 1949 r. skazany na 5 lat więzienia) za „przekręty” finansowe oraz za nakłanianie sędziów, aby „w sprawach, w których występują obrońcy pochodzenia żydowskiego, wydawali wyroki surowe”, a na obrońców z urzędu wyznaczali „adwokatów pochodzenia aryjskiego, z pominięciem adwokatów pochodzenia żydowskiego”. Oskarżono go też o „rozpowszechnianie fałszywych wiadomości” dotyczących osób zajmujących wysokie stanowiska w sądownictwie i prokuraturze wojskowej oraz o Józefie Różańskim, szefie Departamentu Śledczego MBP. Jakkolwiek zarzuty te wyglądają na przesadne, to jednak jest wielce prawdopodobne, że płk Łukasik – absolwent Wydziału Prawa Uniwersytetu im. Stefana Batorego w Wilnie (podobnie zresztą jak prokurator Zarakowski) i przedwojenny oficer WP – miał antysemickie poglądy. Mógł więc powiedzieć coś niestosownego samemu Światłu lub o nim do kogoś innego. Pełniąc te stanowiska latem 1947 r., mieli ze sobą dosyć częste kontakty.

Żaden z argumentów podanych przez Światłę nie mógł być, oczywiście, zaakceptowany przez zwierzchników. Chyba każdy w bezpiecie uważał, że haruje jak wół (lub osioł, zależnie od stopnia samokrytycyzmu). Mało kto z wyższych (o niższych nie mówiąc) funkcjonariuszy miał przygotowanie zawodowe, np. prawnicze, i wykształcenie ogólne, choć wśród ubeckich dygnitarzy znajdowały się osoby po studiach (jak Julia Brystygierowa czy Józef Różański, który przed wojną ukończył prawo na Uniwersytecie Warszawskim). No i wreszcie, gdyby wszyscy funkcjonariusze pochodzenia żydowskiego uważali, że szkodzą w ten sposób służbie, na którą ich partia wysłała, gabinety by opustoszały i nie miałby kto zarządzać tym wszystkim. Na pewno niewielu było takich, którzy nie tylko zdawali sobie sprawę z sytuacji, ale próbowali wyciągnąć z tego wnioski. Można uznać za paradoks, że Władysław Gomułka, którego za parę lat Światło aresztuje, m.in. z tego powodu wszedł w konflikt z kolegami z kierownictwa PPR, iż uważał, że zbyt znacząca obecność „towarzyszy pochodzenia żydowskiego” utrudnia życie partii.

Światło wyraźnie miał kłopoty ze swoim żydostwem. Przejawiały się one w różnych incydentach, anonimach, w antysemityzmie, który rok wcześniej wybuchł z wielką siłą w Kielcach, a w różnej formie obecny był niemal wszędzie. Z sądownictwem wojskowym włącznie. Nie było przecież kwestią przypadku, że systematycznie wpisywał w ankietach narodowość żydowską, co – o ile mogłem sprawdzić na kilkunastu przykładach podobnych ankiet – należało do wyjątków. Choć zapewne nie odzywała się w nim syjonistyczna przeszłość, to można zauważyć, iż Cyla, która mieszkała w Krakowie, właśnie w 1947 r. wraz z mężem wyemigrowała do Palestyny. Nie wiem, czy Światło zarejestrował się w krakowskim Wojewódzkim Komitecie Żydowskim, ale w 1947 r. komitet

ten miał w swoich rejestrach około 50 funkcjonariuszy UB i MO, spora część bezpośrednich podwładnych Światły była pochodzenia żydowskiego, niektórzy z nich zaś byli także przedwojennymi komunistami. Jak wynika z relacji Justyny, właściwie tylko oni odwiedzali ich (rzadko) w domu. Mógł więc mieć – jak przed wojną – poczucie życia w podwójnej izolacji: tym razem jako Żyd i jako ubeek.

5 października 1954 r. izraelski dziennik „Maariv”, przedstawiając sylwetkę Światły, napisał, iż mimo służby komunizmowi, miał „gorące żydowskie serce”, co wyrażało się w tym, że „nie raz pomagał uwolnić z więzienia kierowników Brejchy, a także innych Żydów”, że pomógł odzyskać kilkoro dzieci żydowskich, które przeżyły Holokaust w polskich rodzinach, a te odmawiały oddania ich, oraz że uratował grupę chasydów, którzy przybyli nielegalnie ze Związku Sowieckiego i mieli być odesłani z powrotem. W październiku 1954 r. informacje te zostały częściowo potwierdzone w oświadczeniach dla MBP składanych wówczas m.in. przez wspomnianego już Kozłowskiego (który miał także „niesłuszne” pochodzenie) i Marcelego Morgena, który w krakowskim WUBP zajmował się „sprawami żydowskimi”. Odnoszę jednak wrażenie, że byli oni przepytывani przez funkcjonariuszy MBP o te sprawy, o których pisał „Maariv”, więc ich odpowiedzi mogły być jakoś ukierunkowane. W sprawozdaniu z przebiegu sprawy zatrzymanych chasydów, które powstało w marcu 1947 r. i które sporządził funkcjonariusz specjalnie oddelegowany z Warszawy, nazwisko Światły w ogóle się nie pojawia, a jako osoby, które opowiadały się za uwolnieniem zatrzymanych wymienieni są Olkowski i tenże Kozłowski. Może określenie „gorące żydowskie serce” jest zbyt emfaticzne i zbyt daleko idące, ale najpewniej Światło rzeczywiście sprzyjał organizacjom żydowskim czy też poszczególnym osobom. Mogło go więc jakoś „uwierać” bycie żydowskim komunistą w polskiej bezpiece, ale myślę, że gdyby wówczas rzeczywiście chciał wyjechać do Palestyny, zapewne potrafiłby to załatwić. A może nawet partia sama by go tam skierowała?

Nikt jednak nie kierował mjr Światły na emigrację, a ministerialni zwierzchnicy albo jakoś go przekonali, żeby pozostał w służbie, albo może po prostu zamknęli raporty do szuflady i nie wracali do nich. Nie wracał też do nich, o ile mi wiadomo, sam Światło. Próbował nawet nadrobić braki w wykształceniu, zapewne pod wpływem żony. Zgłosił się więc do Kuratorium Okręgu Szkolnego Krakowskiego, w którym Komisja Weryfikacyjno-Kwalifikacyjna dla Kandydatów do Szkół Wyższych bez Matury wydała mu (z datą 15 grudnia 1947 r.) zaświadczenie, iż „na podstawie przedłożonych dokumentów (...) uzyskał prawo wstępu na pierwszy rok studiów w szkołach wyższych na wydziale prawa”. Nie mogłem sprawdzić, czy dokument ten był wydany *lege artis*, czy może pod jakimś naciskiem. Nie ma to znaczenia, gdyż nic mi nie wiadomo, aby skorzystał z tego „papieru”, choć jakieś działania samokształceniowe podjął, np. zaczął uczyć się niemieckiego. Ale ubeckie życie toczyło się dalej.

17 lipca 1948 r. odbyła się w Krakowie kolejna odprawa z udziałem pracowników funkcyjnych z WUBP i PUBP (także komendantów powiatowych MO). Tym

razem miała jednak nadzwyczajny charakter. Referaty wygłosili Stanisław Łapot, I sekretarz KW PPR, wiceminister Romkowski oraz Olkowski. Przedmiotem ich wystąpień był przebieg odbytego w dniach 6–7 lipca posiedzenia plenarnego KC PPR, które zwykle nazywane bywa „plenum gomułkowskim”, ponieważ wtedy – zresztą pod nieobecność Gomułki – zostały postawione zarzuty, które niebawem nazwano „odchyleniem prawicowo-nacjonalistycznym”. Łapot przedstawił uchwały podjęte na posiedzeniu, Romkowski omówił wynikające z tych uchwał „wnioski z punktu widzenia naszego aparatu”, Olkowski zaś przedstawił stanowisko – zaadaptowane do sytuacji lokalnej – w sprawie sieci agenturalnej, które na odprawie z szefami WUBP zaprezentował min. Radkiewicz. Odbyła się ona 13 lipca i dotyczyła nauk wynikających z plenum KC. W notatce o odprawie nie ma informacji, czy odbyła się dyskusja, a więc nie wiem, czy Światło miał okazję zabrać głos. Natomiast 26 i 27 sierpnia – na parę dni przed posiedzeniem KC PPR, kiedy definitywnie i jednoznacznie potępiono Gomułkę – prowadził normalne zajęcia z szefami PUBP i szczegółowo omówił wytyczne w sprawie sieci agenturalnej, akcentując sprawę umocnienia agentury i nielikwidowania pochoptionie sieci. Następne zajęcia odbyły się w końcu września, ale Światło w nich nie uczestniczył. Zapewne był już wówczas w Warszawie, albo się pakował przed wyjazdem do stolicy: zaczynał decydujący etap w swoim marszu ku elicie władzy.

Na tropach wroga wewnętrznego: początki

Kiedy Izak Fleischfarb we wrześniu 1944 r. pojawił się na Pradze w ciężarówce, w której woził pewnie plecak i jakiś kuferek, był politrukiem we frontowej jednostce niższego szczebla, prawie 30-letnim chorążym, a więc jak na ten stopień – w dodatku w czasie wojny – właściwie już lekko podstarzałym. Cztery lata później, gdy zjeżdżał do Warszawy jako mjr Józef Światło, miał ze sobą nie tylko bagaże pełne dóbr materialnych nabytych i pozyskanych w trakcie paru lat nieźle płatnej pracy, dającej okazje do przywłaszczeń (co nie znaczy, że z okazji tych korzystał tak powszechnie, jak robili to niektórzy jego koledzy). Przyjeżdżał z opinią dobrego „operatywnika”, który terminował pod okiem sowieckich speców, u których uczył się zarówno techniki aresztowań, jak i politycznych rozmów z takimi osobistościami jak Wincenty Witos, a także zasad werbunku agentów i sposobów „wydobywania informacji” z więźniów. W ciągu trzech lat pracy w wojewódzkich strukturach bezpieczeństwa dominował nad swoimi zwierzchnikami – zarówno w Olsztynie, jak i w Krakowie. Dokonał osobiście dziesiątek aresztowań, setki z nich wynikały z rozpracowań, które prowadził lub nadzorował, tysiące, które nastąpiły w wyniku wydanych przez niego poleceń (np. małopolskich peeselowców przed wyborami). Miał za sobą wiele godzin przesłuchań, mniej lub bardziej brutalnych, choć poza pierwszym etapem pracy w MO i u Sowietów nie prowadził właściwie śledztw osób aresztowanych. Na pewno umiał operować głosem i zależnie od aktualnej potrzeby częstować papierosem czy herbatą, walić pięścią w stół lub w twarz. Znał więzienia i areszty, w których trzymano i torturowano akowców, żołnierzy podziemia czy działaczy PSL. Miał za sobą sfałszowanie referendum w Olsztynie i „przygotowanie” wyborów w Krakowie. Co ważne, nosił w sobie – już od czasów przedwojennych, ale umocnioną w wyniku doświadczeń z lat 1945–1947 – szczerą nienawiść do „reakcji”.

Obok podłoża ideologicznego (walka klas), być może pewną rolę odgrywał w tym antysemityzm części podziemia niepodległościowego. 4 października 1948 r., a więc niejako na odchodne z Krakowa, został udekorowany czechosłowackim Medalem za Odagę (*Za Hrabrost*). Nie udało mi się ustalić, za co spotkało go to wyróżnienie. Czyżby miał jakiś wkład w lutowy „pucz praski”, w wyniku którego niepodzielną władzę przejęli komuniści? A może chodziło o „przygraniczną współpracę” z czechosłowackimi służbami specjalnymi w zwalczaniu ukraińskiego podziemia i wylapywaniu uciekinierów z Polski, których setki przekraczały granice Słowacji? W każdym razie było to ostatnie odznaczenie, jakie Światło w ogóle otrzymał. Pod tym względem nie był rozpieszczany.

Właściwie trudno się dziwić, że Romkowski, wybierając ludzi do tworzonej właśnie „grupy specjalnej”, zwrócił uwagę na doświadczonego i sprawnego pracownika. Światło zresztą już w Krakowie zrobił pierwszy krok na tym obszarze działania, którym miał się zająć w Warszawie: było nim wspomniane już aresztowanie „prowokatora”, który załagał się w szeregach KZM. Naturalnym było bowiem, iż nowe zadania, które stawały przed bezpieczeństwem, powinny być wykonywane – a przynajmniej kierowane i kontrolowane – przez osoby ideologicznie doświadczone, których lojalność wobec partii była poddana próbie (więzienie) i które znały od wewnątrz ruch komunistyczny, z jego typową dla tajnych organizacji podejrzliwością, obejmującą także, a może nawet szczególnie, bliskich towarzyszy. W końcu podstawowym kanonem działania bezpieki była wszechogarniająca nieufność. Mjr Światło spełniał te wymogi, może nie w sposób doskonały, ale wystarczający.

Pojęcie „wróg wewnętrzny” weszło na dobre do słownika komunistycznego wraz z jego stalinizacją, czyli na przełomie lat 20. i 30. XX w. Wróg – wiadomo, a „wewnętrzny” to taki, który istnieje w samym środku partii komunistycznej i w ogniwach, zwłaszcza kierowniczych, aparatu władzy państwa komunistycznego. Stosowanie tego pojęcia, miało o tyle racjonalne korzenie, że niemal przez cały czas istnienia w carskiej Rosji ruchu rewolucyjnego był on infiltrowany przez Ochronę, czyli aparat bezpieczeństwa imperium. Agentom Ochrony udawało się zajmować nawet bardzo wysokie stanowiska w strukturach nielegalnych partii, jak Jezno Azefowi u eserów, czy Romanowi Malinowskiemu wśród bolszewików. „Czujność rewolucyjna” była więc hasłem oczywistym, w partiach tworzone komórki będące czymś w rodzaju kontrwywiadu, zabijano policjantów i „prowoków”, jak nazywano nie tylko faktycznych prowokatorów, ale też zwykłych donosicieli. Z drugiej strony partie tworzące ten ruch podlegały licznym rozłomom, frondom i starciom frakcyjnym, które często potęgowane były przez animozje i ambicje osobiste. Bywało, że skonfliktowane strony obrzucały się wyzwiskami i negatywnie nacechowanymi określeniami. Niemniej aż do połowy lat 20. między pojęciami określającymi szpicla czy kapusia, a tymi, którymi oznaczano osobę lub grupę towarzyszy mających odmienne stanowisko, nie było bezpośredniego związku: agent, czyli wróg nasłany z zewnątrz, był inaczej

traktowany niż członek przeciwnej frakcji. Innowacją doby stalinowskiej było ich skumulowanie: przeciwnik w wewnątrzpartyjnym sporze stawał się wrogiem równie – a może nawet bardziej – niebezpiecznym co, jawny, otwarty wróg istniejący poza partią (lub państwem). W dodatku, co było niejako logiczne, zakładano, że wróg zewnętrzny chętnie korzysta z każdej możliwości pozyskania pomocników wewnątrz partii, aby ją osłabić i rozbić, toteż walka z nimi stawała się zadaniem najważniejszym. W ten mniej więcej sposób powstał mechanizm permanentnej czystki: wyszukiwania i wskazywania wroga wewnętrznego, który był świadomym lub nieświadomym – czyli, jak mówiono, „obiektywnym” – narzędziem w ręku wroga zewnętrznego. Zwykle taka egzemplifikacja nie miała nic wspólnego z rzeczywistością, tzn. napiętnowany osobnik w istocie nie tylko nie podejmował działań niezgodnych z aktualnie obowiązującą linią partii, ale był jej absolutnie wierny, a nawet jeśli miał odmienne poglądy, to nie był niczym agentem. Atakowanie takich osób miało charakter o tyle przewencyjny, że wymuszało całkowitą lojalność i umacniało pozycję jedynowładcy, którym stał się Stalin, faktyczny pan życia i śmierci. Było to najmocniejsze lepiszcze państwa totalitarnego. Najbardziej znaną personifikacją wroga wewnętrznego stał się Lew Trocki, pokonany przez Stalina konkurent do schedy po Leninie.

Model ten, który w Związku Sowieckim zyskał od 1935 r. niemal idealny kształt i monstrualne rozmiary (tylko w latach 1937–1938 rozstrzelano około 700 tys. „wrogów ludu”), miał uniwersalny charakter. Dowodem na to może być fakt, iż wszystkie kraje, w których monopolistyczną władzę przejęła partia komunistyczna, przechodziły przez fazę terroru, nawet wówczas, gdy w samym Związku Sowieckim oficjalnie potępiono w 1956 r. „błędy i wypaczenia” stalinizmu. Warto przypomnieć, że były i takie kraje jak Kambodża, w której skala terroru była znacznie większa niż w kraju-matrycy. Nic więc bardziej naturalnego, że przez fazę tę przeszły także te kraje Europy Środkowo-Wschodniej, w których komuniści zdobyli władzę, lub w których została im ona dana przez Stalina dzięki obecności Armii Czerwonej i faktycznemu podziałowi Starego Kontynentu na strefy wpływów. Trudno dokładnie określić, kiedy zaczęło się wchodzenie w fazę walki z wrogiem wewnętrznym, ponieważ był to proces, a nie jednorazowe wydarzenie. Niewątpliwie istotną rolę odegrał wzrost napięcia w stosunkach między niedawnymi koalicjantami, który przekształcił się w Zimną Wojnę, ale swoje znaczenie miał i sam mechanizm totalitaryzacji państwa, podobny do sowieckiego z lat 30., oraz dążenie do całkowitego (a więc totalnego) podporządkowania tych państw Związkowi Sowieckiemu. Mniejsza zresztą, który czynnik był ważniejszy, dla mjr Światła, jego zwierzchników oraz podwładnych istotne było to, że faza taka się rozpoczęła. Nie oni ją wymyślili, ale to oni stali się egzekutorami.

W lutym i marcu 1948 r. z ambasady sowieckiej w Warszawie zaczęły napływać do Moskwy sygnały o istnieniu w kierownictwie PPR podziałów: z jednej strony miała istnieć „grupa Gomułki”, z drugiej „grupa Minca”, między nimi

znajdował się Bierut. Według tych informacji, pierwsza miała mieć charakter nacjonalistyczny i wywodziła się z konspiracyjnej PPR, druga zaś z osób przybyłych ze Związku Sowieckiego, skłonnych całkowicie popierać linię sowiecką, choć z kolei zagrożona była „nacjonalizmem żydowskim”. Przynajmniej niektóre komentarze sowieckich dyplomatów oparte były na rozmowach z ludźmi z „grupy Minca”, którzy być może wyczuwali intencje Stalina do szukania wroga i dlatego zwracali uwagę na istnienie owych grup, a więc odpowiadali na domyślne zapotrzebowanie. Jednak rosyjskie badaczki, Galina P. Muraszko i Albina F. Noskowa, które miały dostęp do dokumentów sowieckiego politbiura z tamtego czasu, uważają, że to dopiero informacje napływające znad Wisły skłoniły Stalina do zainicjowania zmiany na stanowisku lidera PPR, czyli Gomułki, i wskazanie na jego miejsce Bieruta. Temu zaś bliższa była „grupa Minca” niż Gomułka, który od jesieni 1943 r. był jego ukrytym rywalem. Wszystko rozgrywało się w okresie nasilającego się konfliktu sowiecko-jugosłowiańskiego, a więc Gomułka, z uwagi na swoje ambicje do pewnej samodzielności, mógł być traktowany tak, jak Josif Tito, który nie chciał podporządkowywać się wszystkim wskazówkom z Moskwy i próbował prowadzić na Bałkanach własną politykę. Był więc przeszkodą w całkowitej konsolidacji „obozu sowieckiego”, która zaczynała być dla Sowietów wartością nadrzędną.

Negatywne oceny lokalnych przywódców komunistycznych napływały także z sowieckich ambasad w innych stolicach Europy Środkowo-Wschodniej. W rezultacie w początkach kwietnia, w gmachu na Staroj Płoszczadi, gdzie znajdowały się biura KC WKP(b), powstało kilka memoriałów krytycznie oceniających działalność i wypowiedzi niektórych liderów komunistycznych Czechosłowacji, Polski i Węgier. W przypadku Polski głównym obiektem już nie zastrzeżeń, ale wręcz ataku, był Władysław Gomułka. W memoriale wymieniono też parę innych osób (m.in. Mariana Spychalskiego czy Hilarego Minca), ale był on wymierzony personalnie przede wszystkim w Gomułkę. Nosił wiele mówiący w języku komunistycznym tytuł: *O antymarksistowskiej orientacji w kierownictwie PPR*, czyli dotyczył zasadniczych zastrzeżeń ideologicznych. Memoriał został opatrzony klauzulą *sowierszenno sekretno* i wydaje się, że nie był nigdy przekazany ani w całości udostępniony Bierutowi czy komukolwiek z „grupy Minca”. Niemniej przez ambasadę sowiecką w Warszawie lub w bezpośrednich kontaktach ze Stalinem czy Mołotowem, przeciwnicy Gomułki zostali w sposób mniej lub bardziej otwarty powiadomieni, że mogą – a nawet powinni – przystąpić do impeachmentu Gomułki ze stanowiska sekretarza generalnego. Gomułka zaś, nieświadomy grożącego niebezpieczeństwa, sam wystawił się na strzał, wygłaszając referat na temat zbliżającego się zjednoczenia PPR i PPS, w którym znalazły się – jak to oceniali jego przeciwnicy i konkurenci – akcenty nacjonalistyczne i wyrazy nieufności wobec Związku Sowieckiego. Co gorsza, miał też zamiar podjąć się próby mediacji między Stalinem a Tito. Około 20 czerwca sygnał do rozpoczęcia decydującej akcji dał Andriej Żdanow, sowiecki

przedstawiciel w Biurze Informacyjnym Partii Komunistycznych i Robotniczych (Kominform), który polskim delegatom na II Konferencję tej organizacji powiedział, że „otwarte uderzenie [w Gomułkę] zapoczątkuje spór i pozwoli radykalnie zmienić sytuację”. Na tej właśnie konferencji formalnie i ostatecznie potępiono Titę, a partię jugosłowiańską wykluczono z Kominformu. Na terenie Europy Środkowo-Wschodniej Tito stał się wrogiem Numer Jeden. Obok „trockizmu”, z którego wciąż nie rezygnowano, nowym zagrożeniem wewnątrz ruchu komunistycznego stał się „titoizm” i tak jak polowano na trockistów, tak teraz miało zacząć się polowanie na titoistów. W wielu dokumentach zresztą pojęcia te występowały równolegle bądź wręcz jako synonimy. Zgodnie ze stalinowskim rytuałem „sprawa Gomułki” wykroczyła poza granice konfliktu politycznego, przybrała charakter rozprawy z „wrogiem wewnętrznym”, a więc nie można było ograniczać się do partyjnej rozgrywki i propagandy, musiano zaangażować także aparat bezpieczeństwa. Tak też sprawy się potoczyły.

Punktem wyjścia stał się fakt, iż od połowy 1947 r. w Głównym Zarządzie Informacji WP (GZI, czyli w kontrwywiadzie wojskowym) badano dokumenty przedwojennego II Oddziału Sztabu Generalnego WP. Dokumentów tych w 1939 r. nie zdołano ani ewakuować, ani zniszczyć i przejęli je Niemcy, którzy zdeponowali je w Oliwie, w 1945 r. zaś zagarnęli je Sowieci, którzy z kolei przekazali do GZI część, która zawierała materiały kontrwywiadu II Oddziału, zostawiając sobie to, co obejmowało wywiad. Przeglądaniem tych dokumentów zajmowało się Biuro Studiów GZI, a o ich istnieniu wiedziało wąskie grono osób z GZI i MBP oraz niektórzy członkowie Biura Politycznego KC PPR, w tym Gomułka i Spychalski, nadzorujący GZI. W lutym 1948 r., jak twierdziła Barbara Sowińska, kierowniczka owego Biura Studiów, „na stosie makulatury przeznaczonej do spalenia”, jeden z pracowników znalazł „luźno owiniętą papierem sporą paczkę”, na której widniało nazwisko Lechowicz. Jak się okazało, chodziło o Włodzimierza Lechowicza, aktualnego ministra aprowizacji, członka centralnych władz satelickiego Stronnictwa Demokratycznego i posła na Sejm. W czasie okupacji Lechowicz należał do siatki wywiadowczej PPR i z tego tytułu był podwładnym Spychalskiego, a w porozumieniu z nim zajmował dosyć wysokie stanowisko w instytucjach Polskiego Państwa Podziemnego, co było możliwe dzięki jego przedwojennej działalności funkcjonariusza kontrwywiadu wojskowego (SRI). Gomułka, po zapoznaniu się z tymi aktami, miał uznać, że „paczka została skompilowana, [a] niektóre dokumenty wręcz sfabrykowane”. Niemniej archiwum przeszukiwano z rosnącą gorliwością i znajdowano w nim kolejne materiały obciążające kolejne osoby. Nie sposób dziś stwierdzić, czy odkrycie to było rzeczywiście przypadkowe, czy też zostało zainspirowane lub wręcz zainscenizowane. A jeśli zachodziła ta ostatnia okoliczność, to kto dokonał inscenizacji: może służby sowieckie? Choć mam poważne wątpliwości, co do autentyczności znaleziska – rzadko się bowiem trafia „luźno owiniętą paczką na stosie makulatury” z wypisanym na niej nazwiskiem – to jednak, biorąc pod uwagę chronologię wydarzeń, można przyjąć, że był to przypadek.

Tymczasem konflikt między Gomułą a większością jego towarzyszy z Biura Politycznego przestawał być tajemnicą, Sekretarz Generalny nie wziął udziału w lipcowym posiedzeniu KC (tym, po którym Romkowski pojawił się z referatem w Krakowie) i został wysłany na przymusowy urlop. Miesiąc po otrzymaniu sugestii Bierut i „grupa Minca” – główną rolę odgrywał w niej jednak nie Minc, ale Jakub Berman, który widział się ze Żdanowem w czasie narady Kominformu – mieli już zarysowany plan działania nie tylko w sensie politycznym (usunięcie Gomułki ze stanowiska i napiętnowanie go za „odchylenie”), ale także ogólny pomysł użycia aparatu bezpieczeństwa: podjęcie i poprowadzenie śledztwa w sprawie Lechowicza i grona osób, co do których znajdowano kompromitujące materiały w dokumentach II Oddziału i które były powiązane z Lechowiczem w czasie okupacji. W tle znajdowała się osoba Spychalskiego, jako zwierzchnika Lechowicza, a na horyzoncie pojawiał się Gomułka, jako Sekretarz KC i z tego tytułu zwierzchnik Spychalskiego. Pomysł polegał na odwróceniu ról Lechowicza i jego znajomych: z „wtyczek” komunistycznych w polskich instytucjach państwowych przed wojną i w czasie okupacji, mieli stać się „wtyczkami” polskiego kontrwywiadu w ruchu komunistycznym. Proste jak z knuta strzelił. Na razie skoncentrowano się na „ludziach Lechowicza”. Ponieważ dokumenty z Oliwy nie obejmowały, rzecz jasna, okresu okupacji, nie mogły doprowadzić w pobliże Spychalskiego czy Gomułki, którzy przed wojną nie mieli nic wspólnego z Lechowiczem ani z II Oddziałem. Do udowodnienia tezy o złowieszczej roli Spychalskiego (a później Gomułki) jako promotora Lechowicza, niezbędne więc było sięgnięcie do procedur śledczych, aresztowań i przesłuchań. Tym miał się zająć Romkowski, który 8 sierpnia dostał analizę znalezionych dokumentów sporządzoną przez Biuro Studiów.

Z uwagi na polityczny kaliber sprawy postanowiono stworzyć ściśle tajny zespół operacyjno-śledczy, który początkowo nazywano „aparatem Romkowskiego” lub „grupą specjalną” (albo „specjalną grupą operacyjną”). Był on zakamuflowany nawet w ministerstwie, powstał ad hoc i dlatego miał charakter nieetatowy: nie został powołany oficjalnym rozkazem organizacyjnym nadającym mu strukturę i etaty, a jego członkowie formalnie byli przyporządkowani do różnych komórek i pionów bezpieki. Początkowo zespół był nieliczny i składał się głównie z funkcjonariuszy pionu śledczego (z centrali lub terenu), a jego nieformalnym kierownikiem został Józef Różański, dyrektor Departamentu Śledczego. Na stanowisko szefa prac operacyjnych i spraw organizacyjnych było trzech kandydatów: Światło, Marek Fink, zastępca szefa WUBP w Katowicach i Eliazs Koton, pełniący analogiczną funkcję we Wrocławiu. Co zadecydowało o wyborze Światły, nie jest pewne, poza tym, że dobrą opinię miał o nim Romkowski. Może sowieccy doradcy znający go sprzed paru lat dali mu rekomendacje? Skład grupy zaakceptowali Berman i Bierut.

W rezultacie z dniem 1 października 1948 r. Światło trafił do I Departamentu (kontrwywiad), gdzie został naczelnikiem V Wydziału. Wydział ten i jego komórki w WUBP miały wówczas za zadanie m.in. rozpracowywanie tej

części przedwojennej administracji państwowej, która obejmowała sprawy polityczne (np. starostów i urzędników wydziałów bezpieczeństwa w urzędach wojewódzkich), Policję Państwową oraz II Oddział SG. Zajmował się także tymi instytucjami Polskiego Państwa Podziemnego, które odpowiedzialne były za bezpieczeństwo (w tym kontrwywiadem AK) i przygotowania do reaktywowania Policji Państwowej po odzyskaniu niepodległości. W jednej z takich instytucji ulokowany był właśnie Lechowicz i kilka innych osób wykonujących zadania na rzecz PPR. Komórka, którą zarządzał Światło interesowała się więc ważnym obszarem w walce z „wrogiem wewnętrznym”, dzięki podejmowanym dochodzeniom mieli nadzieję dotrzeć do sieci agenturalnej, która istniała w KPP i w PPR. Równolegle z wydziałem, który objął Światło, podobne rozpracowania, skoncentrowane na przedwojennych służbach specjalnych, tzw. Defie (od nazwy wydziału Defensywa Polityczna Policji Państwowej), oraz tzw. dwójce (czyli kontrwywiadowi II Oddziału SG), które zajmowały się KPP, prowadzone były przez I Wydział V Departamentu. Departamentem tym od 1945 r. kierowała Julia Brystygier, a wydziałem Henryk Piasecki. Żeby sprawy jeszcze bardziej skomplikować, „dwójkę” rozpracowywał, co oczywiste, Główny Zarząd Informacji WP, a ściślej biorąc, Wydział I Oddziału II GZI. Widać po tym, jak ważne po wojnie było dla komunistów to, co działo się w KPP, ale jednocześnie można zadać sobie pytanie, czy możliwe było sensowne koordynowanie pracy trzech różnych placówek znajdujących się w dwóch różnych resortach, ale zajmujących się w istocie rzeczą tym samym.

Przygotowania do uruchomienia „grupy specjalnej” Romkowski podjął w czasie wypełnionym wydarzeniami politycznymi, w których sam brał udział. Uczestniczył w posiedzeniu KC PPR (był jego członkiem), które odbyło się w dn. od 31 sierpnia do 3 września, gdzie publicznie i oficjalnie potępiono „odchylenie prawicowo-nacjonalistyczne”, a miejsce Gomułki zajął – dotychczas formalnie bezpartyjny – Bierut. Na posiedzeniu tym Romkowski nie zabierał głosu. Milczał również, jako jedyny spośród obecnych członków Biura Politycznego, Radkiewicz. Milczeli członek KC Mieczysław Mietkowski i członkini Centralnej Komisji Kontroli Partyjnej Julia Brystygierowa. Z osób związanych z MBP przemawiali Mieczysław Moczar i Grzegorz Korczyński, którzy zostali zaatakowani jako „gomułkowcy”, więc się bronili, oraz Konrad Świetlik, szef KBW i Franciszek Jóźwiak-Witold, Komendant Główny MO, którzy z kolei wygłosili antygomułkowskie dytyramby. Po tym posiedzeniu Romkowski przez pewien czas był zaabsorbowany tzw. przenoszeniem w teren uchwał KC, co odbywało się w formie narad partyjnych w poszczególnych WUBP z udziałem przedstawicieli kierownictwa MBP. Kierownictwo resortu podjęło także intensywne prace nad oczyszczaniem bezpieki z „nosicieli” gomułkowskiej zarazy. Chyba więc dopiero w połowie września mógł zacząć przygotowywać się do wykonania postawionego przed nim zadania.

Światło musiał brać udział w stosunkowo wczesnej fazie przygotowań, gdyż w chwili rozpoczęcia aresztowań powinien być gotowy „obiekt specjalny”, znany pod kryptonimem „Spacer”, podręczne i supertajne więzienie, a do obowiązków Światły miał należeć nadzór nad nim. „Spacer” znajdował się kilkanaście kilometrów od centrum Warszawy, w Miedzeszynie, na terenie ośrodka pelengacyjnego i nasłuchowego (radio-kontrywiad) MBP, przy skrzyżowaniu ulic Świerczewskiego i Stalina. Cały ośrodek, składający się z dwóch budynków, zajmował około 7 ha i otoczony był dwumetrowej wysokości murem, zwieńczonym siecią z drutu kolczastego. Gomułka, który przetrzymywany był w „Spacerze” przez ponad 3 lata i w odróżnieniu od pozostałych więźniów miał prawo do spacerów, określił rozmiary terenu w specyficzny, aresztancki sposób: krokami. Wyliczył, że boki trapezoidalnej figury miały 275, 212, 214 i 126 kroków. Na zasadnicze więzienie przeznaczono willę, która miała mały ganek z kolumnami i przypominała szlachecki dworek. O ile wiem, do dziś istnieje, a w każdym razie istniała kilka lat temu, gdy miałem okazję ją obejrzeć. Na parterze miały być „pokoje pracy”, tj. przesłuchań i pomieszczenia dla śledczych, w suterynie zaś wydzielono 12 cel, dwa karcery, ulokowano piec i wartownię. Obiekt ten był typowym ówczesnym aresztem śledczym, jakich setki znajdowały się w WUBP i PUBP: cele miały rozmiary 2x3 metry, niewielkie umieszczone tuż pod sufitem okna były zakratowane od wewnątrz i od zewnątrz, szyby zamalowano zieloną farbą, co powodowało, że było tam cały dzień ciemno. „Podłoga – wspominał Lechowicz – [była] nierówna i powybijana (...) śmierdząco stęchłą i gnilnym odorem”. Kiedy oglądałem ten zabytek epoki stalinowskiej cele wciąż istniały i został w nich nawet zapach stęchlizny, choć oczywiście wyglądały inaczej niż sześćdziesiąt lat wcześniej, gdyż po 1954 r. nigdy już w funkcji więzienia nie były użytkowane. W drugim budynku, oddzielonym wewnętrznym murem, znajdowały się także pomieszczenia dla więźniów oraz dla ochrony. Całość prac budowlanych i adaptacyjnych wykonali – jak pisze najlepszy znawca „grupy specjalnej” Robert Spalek w artykule opublikowanym w pracy „Zwyczajny” resort – jeńcy niemieccy.

Z uwagi na zadania, jakie na nim spoczywały, Światło zapewne znał przy najmniej wstępną listę osób, które miały być aresztowane, a więc wiedział nie tylko gdzie, ale też czym (czy raczej – kim) będzie się zajmował. Natomiast czterech funkcjonariuszy, których jako pierwszych wybrano do prowadzenia przesłuchań, zostało w trybie nagłym wezwanych wieczorem 11 października 1948 r. do gabinetu Różańskiego, od którego dowiedzieli się, że mają się przygotować do miesięcznego wyjazdu. Nazajutrz o 6.00 rano spotkali się w prywatnym mieszkaniu Różańskiego przy ul. Narbutta, skąd wyruszyli samochodami do Miedzeszyna. Dopiero po południu, już na miejscu, zostali poinformowani, jakie są ich zadania: będą, mianowicie, prowadzili śledztwo przeciwko winnym „odchylenia prawicowo-nacjonalistycznego” oraz „prowokacji w partii”. Wedle zeznań, które składali w latach 1955–1957, początkowo nie dostarczono im

żadnych materiałów obciążających osoby, które mieli przesłuchiwać. Dostali do lektury jedynie niedawno opublikowane wspomnienia Sowińskiej *Lata walki* o peperowskiej konspiracji, oraz wspominany już elaborat Biura Studiów. Ponieważ zakładano, że aresztowanych będzie więcej niż może pomieścić „Spacer”, do dyspozycji „grupy specjalnej” przeznaczono także część cel w pawilonie X więzienia przy ul. Rakowieckiej (więzienie mokotowskie). Działać tam miała druga grupa śledczych, pozostająca również pod nadzorem Różańskiego.

Funkcjonariuszom zebranym w Miedzeszynie nie dano zbyt wiele czasu na przygotowanie się. Dzień po ich zjawieniu się w „Spacerze”, 13 października, aresztowany został Lechowicz, którego, po dowiezieniu do siedziby MBP przy ul. Koszykowej – od jego mieszkania w Alei Róż było to o „rzut beretem” – powitał Światło, a 14 lub 15 października odstawiono go do Miedzeszyna. Szybko posypali się kolejni aresztanci. W ciągu paru dni w „Spacerze” znalazł się prawie komplet więźniów, zapełniały się też cele wydzielonego pawilonu w więzieniu mokotowskim. W sumie do końca października aresztowano około 30 osób. Przesłuchania zaczynano od razu, niemal z marszu. Wedle oświadczenia, złożonego w 1954 r. przez Edmunda Kwaska, który w „Spacerze” służył od początku, pierwszym bitym więźniem był Alfred Jaroszewicz, ale „po kilku lub kilkunastu dniach zaczęto bić i pozostałych”. Polecenie bicia dawał Różański za aprobatą Romkowskiego, a później już szło samo z siebie. W jednym z pierwszych przesłuchań Jaroszewicza miał brać udział Światło, który uczestniczył w zbiorowym znęcaniu się nad aresztowanym. Kwasek zaznaczył, iż służba (ochrona wewnętrzna) aresztu zaczęła naśladować starszych stopniem i biła więźniów w czasie przyprowadzania na przesłuchanie lub w drodze powrotnej do celi. Ochrona wewnętrzna szykanowała więźniów w celach – wlewano wodę, budzono ich w nocy, kontrolowano, czy zgodnie z poleceniem aresztowani w ciągu dnia nie siadają. Więźniowie mieli przydzielone numery i wywoływani byli z cel tylko po tych numerach, choć funkcjonariusze ochrony zapewne znali nazwiska przynajmniej części aresztowanych. Poza Gomułą żaden z więźniów „Spaceru” nie korzystał z tego ważnego „przywileju”, jakim było wyjście, choćby na pół godziny, na spaceriak. Może dlatego obiekt nazwano tak przewrotnie. Gdy maltretowani zaczęli niedomagać, ściągano szefa służby zdrowia MBP, dr Leona Gangla, który ordynował forsowne kuracje wzmacniające, aby bez obawy o zgon można było kontynuować przesłuchania. Mimo to w samym tylko „Spacerze” zmarło co najmniej trzech więźniów: Aleksander Giercyk, który popełnił samobójstwo, a przywołany lekarz nie zdołał go odratować (zabieg usunięcia z ciała odłamków drutu, które wkręcił sobie desperat, odbywał się bez znieczulenia, na zwykłym stole, ale za to w asyście Romkowskiego, Różańskiego i Światły); Wacław Dobrzyński, oficer sztabu głównego GL/AL, po wojnie wyższy funkcjonariusz w MBP, który został zakatowany przez śledczego Jerzego Kędziore; Kazimierz Cessanis, o którym brak bliższych

danych, a wedle dokumentów zmarł na żółtaczkę. Protokoły zgonu wystawiane były na fikcyjne nazwiska. Były też przypadki śmierci i samobójstw w części więzienia mokotowskiego zarządzanej przez „grupę specjalną”.

Wbrew temu, co się zazwyczaj sądzi „grupa specjalna” zajmowała się nie tylko ludźmi z PPR i GL. Dużą część aresztowanych stanowiły osoby pracujące przed wojną w administracji i w policji oraz w różnych instytucjach Polskiego Państwa Podziemnego, czyli – jak to wówczas sumarycznie określano – Delegatury. W pierwszej partii osadzonych w „Spacerze” znajdował się np. Bolesław Kontrym, starszy brat wspomnianego już sowieckiego oficera służącego w LWP gen. Konstantego Kontryma. Biografię Bolesława Kontryma można uznać za jedną z najbardziej fantastycznych i fantazyjnych w dziejach XX-wiecznej Polski, które obfitowały przecież w sytuacje i wydarzenia niezwykle. Opracował ją Witold Pasek, z którego książki dowiadujemy się, że w latach 1918–1921 Kontrym był jednym z najdzielniejszych dowódców Armii Czerwonej, potem udzielał informacji polskiemu wywiadowi w Rosji bolszewickiej, a wreszcie uciekł do Polski. Dla „grupy specjalnej” najważniejsze było wszakże to, iż przed wojną był m.in. naczelnikiem wydziału śledczego w jednej z wojewódzkich komend policji, a więc odpowiedzialnym za walkę z komunizmem i sowiecką dywersją, w czasie wojny zaś „cichociemnym” i szefem Centrali Służby Śledczej konspiracyjnego Państwowego Korpusu Bezpieczeństwa (PKB). Był czterokrotnie ranny w Powstaniu Warszawskim, po wyzwoleniu z oflagu służył w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie, a po powrocie do kraju w 1947 r. nie prowadził działalności ani konspiracyjnej, ani politycznej. Tej samej proveniencji okupacyjnej, ale oczywiście o mniej barwnym życiorysie, byli inni więźniowie „Spaceru”: Stanisław Mierzeński i Adam Dobrowolski. W pierwszej partii osadzonych znajdowali się zatem zarówno ci, którzy pełnili funkcje w strukturach Państwa Podziemnego, jak i ci, którzy byli w nich komunistycznymi „wtęczkami”. Jako numer jeden na liście aresztowanych przez „grupę specjalną”, mimo że został zatrzymany zanim ona powstała, figurował Henryk Pogorzelski, kierownik 1 Brygady I Oddziału Urzędu Śledczego PP w Warszawie w latach 30., uważany za głównego „kata” komunistów. Ale obok niego był tu też Bogusław Hryniewicz, przedwojenny komunista, agent sowieckiego wywiadu, który na jego zlecenie opanował konspiracyjną organizację Miecz i Pług. Notabene dostarczono go wprost z Moskwy, gdzie również siedział w więzieniu. Naprawdę świat był wówczas bardzo skomplikowany.

Trudno ustalić, ile osób stało się więźniami „grupy specjalnej” w pierwszym roku jej istnienia. Gomulka, który z oczywistych powodów przestudiował część akt, twierdził, że „na pierwszej liście” było około 30 osób. Ale przecież do tych, których aresztowali funkcjonariusze z „aparatu Romkowskiego” dołączano osoby aresztowane przez inne struktury bezpieki: już od października 1948 r. w ręce „grupy specjalnej” zaczęli wpadać działacze PPS, którzy byli w gestii dyrektora Brystygierowej, z kolei w styczniu i lutym 1949 r. III Departament aresztował

kilkudziesięciu wyższych oficerów AK. Potem dochodzili następni. Z dokumentu, który zawiera listę częściową wynika, iż do jesieni 1949 r. aresztowano około 210 osób. Należy jednak, jak sądzę, zwrócić uwagę, że niezależnie od wagi politycznej działalności „grupy specjalnej”, jej ofiary stanowiły znikomą część represji tego okresu. Wedle oficjalnych danych, zebranych w 1979 r. przez pion archiwalny SB, które aż do 1989 r. pozostawały tajne, w 1948 r. aresztowano 24,4 tys. osób, a w 1949 r. 22,9 tys. Jeśli funkcjonariusze „grupy specjalnej” trzymali w swoich więzieniach, powiedzmy, nieco ponad 200 osób, stanowiło to zaledwie 0,4% wszystkich aresztowanych. Udział ten byłby większy, gdyby brać pod uwagę osoby zatrzymane przez funkcjonariuszy instancji centralnych MBP, których w latach 1948–1949 było prawie 2 tys., a więc „urobek” Światły i jego kolegów stanowił około 10–12%. Zresztą dane o ogólnej liczbie aresztowanych są prawdopodobnie zaniżone, a więc trzeba traktować je jako wielkości minimalne. Ponadto nie obejmują zatrzymań na krótki czas, takich np. jak podczas „akcji wyborczej”. Tak czy inaczej „biuro specjalne” należało do najmniej niebezpiecznych w bezpiece, ponieważ – przynajmniej początkowo – obszar jego zainteresowania był stosunkowo nieduży. Takie departamenty jak III (walka z konspiracją i partyzantką), IV („ochrona” gospodarki) czy V (polityczny) oraz Departament Śledczy w każdym kwartale dokonywały tysięcy aresztowań. Warunki w „Spacerze” czy w X pawilonie „na Mokotowie” nie różniły się in minus od tych, które panowały w innych więzieniach, a metody śledcze – tortury, bicie, szykany – były wszędzie na porządku dziennym. W całym kraju odbywały się liczne procesy, publiczne lub „kiblowe”, tysiące osób skazywano na kary śmierci, setki umierały za kratami. Nie mam zamiaru pomniejszać zbrodni dokonywanych przez ludzi z „aparatu Romkowskiego”, ale warto je widzieć w szerszym kontekście. Zresztą nie tylko w odniesieniu do początkowego etapu „tropienia wroga wewnętrznego”, ale w całym okresie stalinowskim. W skali masowej głównym przeciwnikiem i przedmiotem represji były wciąż środowiska podziemia niepodległościowego i działacze PSL.

Miedzeszyńskie więzienie było małe, większość aresztowanych trzymano więc „na Mokotowie”, którym – o ile wiadomo – od strony logistycznej Światło zajmował się znacznie mniej lub wręcz nie interesował się nim w ogóle. W wydzielonej części panami byli funkcjonariusze śledczy i ich kierownik Różański, a nadzór ogólny spoczywał w rękach naczelnika więzienia, Alojzego Grabickiego. W Miedzeszynie Światło w zasadzie nie prowadził przesłuchań, choć od czasu do czasu asystował śledczym i zdarzało mu się „rozmawiać” z więźniami. Odpowiadał natomiast za stronę bytową więźniów i funkcjonariuszy ze „Spaceru”, decydował o menu jednych i drugich, przeprowadzał kontrole cel i całego obiektu, wydawał rozkazy ochronie i zatwierdzał miesięczne grafiki ich służby. Do niego aresztowani mogli – jeśli się odważyli – zgłaszać skargi czy prośby, których część przekazywał w górę hierarchii, aż po Bieruta i Bermiana włącznie. Pisał lub zatwierdzał sprawozdania okresowe i raporty, w których odnotowywano „wypadki nadzwyczajne”.

czajne”, takie jak zgony, samobójstwa, wezwania lekarzy. Decydował o karach (np. karceru) lub akceptował te wymierzone przez śledczych. To samo odnosiło się do „nagród” dla więźniów czy premii dla ochrony. Krótko mówiąc, pełnił funkcję nad-naczelnika małego i „ekskluzywnego”, ale niezwykle brutalnego więzienia. W praktyce Światło nie przyjeżdżał codziennie do Miedzeszyna, a bieżące prowadzenie obiektu spoczywało na wyznaczonym funkcjonariuszu, kierowniku. Wynikało to nie z lenistwa, ale przede wszystkim z tego, iż nie było to jego ani jedynym, ani nawet najważniejszym zadaniem.

Jednym z ważniejszych obowiązków Światły było bowiem – mówiąc w skrócie i nieco umownie – dostarczanie ofiar. Zatem aresztowania, które niejednokrotnie poprzedzały żmudne przygotowania: ustalanie sposobu spędzania czasu przez osobę wyznaczoną – jak to określano w bezpieczniackim żargonie – do „realizacji”, poznanie topografii jej miejsca zamieszkania i samego mieszkania lub pokoju w miejscu pracy czy pobytu (dane te z reguły uzyskiwano przez tajnych współpracowników), zamawianie w odpowiednich komórkach безпеki założenia podsłuchu, inwigilowania danej osoby (a często jej otoczenia i rodziny) lub kontroli korespondencji. W końcu konieczne było opracowanie planu samego zatrzymania, w razie potrzeby w kilku wariantach, przewidujących np. różne reakcje na pojawienie się funkcjonariuszy czy różne miejsca „realizacji” (w domu, w pracy, na ulicy czy – jak w przypadku Gomułki – w sanatorium). Reasumując: cała praca operacyjna, którą Światło bardzo lubił, na co wskazują liczne świadectwa. Nie był jednak zwykłym „łapsem”, który zatrząskuje kajdanki, choć sporą część osób zatrzymanych w październiku 1948 r. aresztował osobiście. Rzecz jasna zawsze towarzyszyła mu asysta 2–3 funkcjonariuszy i obstawa czekająca na zewnątrz. Najczęściej jednak to jego podwładni zajmowali się samym zatrzymaniem i poprzedzającymi je przygotowaniami, a on zatwierdzał, ewentualnie korygował plany. Mimo znaczącej pozycji, którą zajmował, nie stał jednak na najwyższym szczeblu i na niektóre z tych działań, musiał mieć sankcję kogoś „z góry”. Dawał mu ją Romkowski.

Tym jednak, co być może bardziej niż przygotowania do aresztowania i same „realizacje” absorbowало Światłę, było wyszukiwanie konkretnych wrogów na obszarze politycznym, który wskazywany był „z góry”. Pod tym względem też nie był samodzielnym panem i władcą. Na pewno pierwsze listy, na których były nazwiska Lechowicza czy Jaroszewicza, powstały na samym szczycie, układał je Bierut, Berman i Minc przy pomocy Radkiewicza i Romkowskiego oraz zapewne jeszcze kogoś z безпеki i GZI. Światło nie pozostawało nic innego jak sama procedura operacyjna, w wyniku której wskazane osoby trafiały do więzienia. Niewykluczone jednak, że to on właśnie uzupełnił te listy nazwiskami osób ze struktur konspiracyjnych Państwa Podziemnego, ponieważ wydział, którym kierował w I Departamencie miał rozeznanie w tym środowisku. W końcu jeszcze przed 1948 r. komuniści uznali, iż Polskie Państwo Podziemne jest wrogiem, którego należy zniszczyć. Niestety, choć zachowało się bardzo dużo dokumen-

tów z tamtych czasów, po 1956 r. prowadzone były śledztwa, a Biuro Polityczne KC PZPR powoływało specjalne komisje, to prawie niemożliwe jest odtworzenie szczegółów procesu decyzyjnego, określenie jaki był konkretny „wkład” poszczególnych osób, czyje pomysły wprowadzono w życie, choć można wymienić osoby, które miały koncepcyjny udział w tym okrutnym dziele. Nie wiadomo jednak, kto np. zaproponował skonstruowanie łańcucha Lechowicz–Spychalski–Gomułka i obudowanie go „sprawami pomocniczymi”, m.in. urzędnikami Delegatury czy oficerami AK. Zapewne zrodził się w trakcie jakiejś „burzy mózgów”, ale nie znamy wszystkich jej uczestników. Być może brali w niej udział także sowieccy doradcy? Przecież po to tu byli. Wątpliwe jednak, aby jesienią 1948 r. Światło brał udział w tego rodzaju konwentyklach, choć mógł dostarczać opracowywane przez siebie analizy.

W kręgu osób zarządzających ściganiem „wroga wewnętrznego” Światło odgrywał więc ważną rolę, choć był raczej egzekutorem niż inicjatorem. Nie znaczy to, że był maszynką do aresztowań, w bilansie jego czasu pracy znaczącym elementem musiało być studiowanie protokołów przesłuchań, dokumentów operacyjnych (z perlustracji czy podsłuchów) oraz materiałów źródłowych. A także nadzór nad budowaniem siatek agenturalnych przez podwładnych, za czym szło czytanie raportów tajnych współpracowników i różnego rodzaju notatek służbowych, które trafiały na jego biurko. Również, co oczywiste, prowadził własnych agentów. Ostatecznie nie udało mi się ustalić, ilu ich miał, ale z uwagi na zajmowaną pozycję ważniejsze było, iż właściwie bez ograniczeń czerpał z pracy swoich podwładnych oraz w razie potrzeby z innych komórek bezpieczeństwa. Zresztą np. na początku 1949 r. większość ubeków pełniących kierownicze funkcje w województwach (szefowie WUBP i ich zastępcy) miała bardzo mało własnych tajnych współpracowników. Jak wyliczał na jednej z odpraw Radkiewicz, byli tacy, którzy w ogóle nie mieli agentury na osobistym kontakcie. Jedno z najważniejszych osobowych źródeł informacji Światły, Maria Turlejska (pseudonim „Marysia”, później „Xenia” lub „Ksenia”), znająca świetnie stosunki w konspiracyjnej PPR i zaprzyjaźniona z wieloma osobami, które zaliczane były do „gomułkowców”, była obsługiwana także przez paru innych wysoko postawionych funkcjonariuszy (Fejgina i Piaseckiego), co nie było praktyką powszechną, a instrukcje wręcz tego zakazywały. Z dokumentów wiadomo też, że z kolei zwerbowanych przez siebie agentów oddawał do „eksploatacji” podwładnym. Wydaje się, że w odniesieniu do swojej pracy z agenturą Światło stosował się do tego, czego sam nauczał mniej doświadczonych ubeków: ważna jest jakość informatorów, a nie ich liczba. Pewną pikanterią – a jednocześnie dowodem łamania przez niego procedur, o których przestrzeganie często napominał swoich podwładnych – było, że kilka lokali kontaktowych (tzn. miejsc, w których spotykał się z agentami) miał w mieszkaniach znajomych, a nawet u siostr. Opracowywanie informacji dotyczących konkretnej osoby nie oznaczało, że zostanie ona niebawem aresztowana. Wiele spisów i teczek tworzonych było na wyrost lub z myślą o ewentualnych przyszłych represjach. Jeśli

w kwietniu 1949 r. Światło np. sporządził dla dyrektora I Departamentu zbior danych o 75 pracownikach SRI i innych jednostek przedwojennego II Oddziału SG, to nie znaczyło, że natychmiast posypią się aresztowania. Już w latach 1948–1949 zaczęto gromadzić „papiery” dotyczące działaczy partyjnych różnego szczebla, wielu z nich nigdy nie aresztowano ani nawet nie zwolniono ze stanowisk. Powstawały więc coraz liczniejsze spisy, ewidencje i kartoteki, choć jak można wnosić z niektórych relacji, Światło bardziej polegał na swojej pamięci i umiejętności kojarzenia niż na przekładaniu fiszek z nazwiskami. Niemniej gromadzone były coraz to nowe dokumenty i zakładane – lub wypożyczane z innych komórek – teczki. Tak tworzyła się warstwa biurokratyczna pracy operacyjnej. Jeszcze w 1948 r. „grupie specjalnej” przydzielono pokoje w budynku przy ul. Koszykowej, a Światło miał tam swój gabinet. Jednak zespół był stosunkowo nieliczny: w połowie 1949 r. Światło podlegało bezpośrednio – nie licząc ochrony i technicznej obsługi „Spaceru” – nieco ponad 30 osób, wśród których około 1/3 stanowiły kobiety: maszynistki w Miedzeszynie i w biurze na Koszykowej oraz sekretarki i archiwistki.

W tym czasie stawało się jasne, że „aparat Romkowskiego” przestaje być grupą powołaną ad hoc, a jego istnienie nabiera bardziej trwałego charakteru. W związku z tym instancja partyjna PZPR w MBP (nosiła wówczas nazwę, a właściwie kryptonim, Komitet Poddzielniczy Warszawa Śródmieście, później występowała jako Komitet Dzielnicowy Warszawa Ujazdów) nakazała utworzenie osobnej Podstawowej Organizacji Partyjnej (POP nr 22), do której wszyscy mieli się przenieść z dotychczasowych placówek macierzystych. W zebraniu konstytuującym uczestniczyło 17 osób (8 nieobecnych „usprawiedliwionych”, a kolejne 8 przyjęto na zakończenie zebrania), a prym wiódł na nim Światło, który zaproponował kandydatów do egzekutywy. Jednak zostały one przyjęte nie bez problemu: jeden z obecnych zgłosił dodatkową kandydaturę, w głosowaniu zaś (tajnym – a jakże!) na nią i na jednego z kandydatów Światły padła jednakowa liczba głosów. Zarządzono balotaż, w wyniku którego kandydat Światły wygrał zaledwie jednym głosem bo 9:8. Wygląda na to, że funkcjonariusze śledczy ze „Spaceru” (i zgłaszający, i jego kandydat byli właśnie z tej komórki) chcieli mieć swojego człowieka w Komitecie partyjnym. Nie wiem, czy sprawa ta miała jakieś dalsze konsekwencje, ale świadczyła, iż Światło nie panował w pełni nad podległym mu zespołem i choćby dlatego warta jest wzmianki. Jednak w oczach zwierzchników zasługiwał na wyróżnienia. Najpierw tylko finansowe (w maju przyznano mu III grupę zaszczerogowania), ale wnet także bardziej honorowe: 18 lipca 1949 r. został awansowany na stopień podpułkownika. Może to dziwić, ale w ciągu następnych, przeszło czterech lat pracy nie przeskoczył tego szczebla i kiedy w grudniu 1953 r. pożegnał się z bezpieczeńką, miał wciąż ten sam stopień.

Stabilizacja „grupy specjalnej” w połowie 1949 r. nie była dyktowana własnym interesem jej członków i kierowników, ale wynikała z rozwoju wydarzeń w szerszej, wręcz międzynarodowej skali. W całym bloku sowieckim następowała bowiem radykalna konsolidacja, oparta na przyjmowaniu stalinowskich rozwiązań

ustrojowych i mechanizmów władzy. Rozpoczęła się kolektywizacja wsi, wprowadzono centralne planowanie, w ramach ogłaszanych „planów pięcioletnich” (w Polsce była to „sześciolatka”) ruszały wielkie projekty przemysłowe, głównie w zakresie przemysłu ciężkiego, likwidowano resztki samorządnych organizacji społecznych, wzmagano atak na kościoły różnych wyznań, nasilała się obecność sowieckich wzorców kulturowych, w kolejnych dziedzinach sztuki proklamowano realizm socjalistyczny („sorealizm”) jako jedyny wzór estetyczny, zmieniane były godła państwowe, w których pojawiała się sowiecka symbolika (czerwona pięcioramienna gwiazda, snopy zboża, sierp i młot – Polsce tego oszczędzono). Stalin uznawany był za faktycznego przywódcę, a jednego z lokalnych liderów – jak Bieruta w Polsce – promowano na jego „narodowego” odpowiednika. Niezależnie od tego, jak bardzo partie socjalistyczne posłuszne były komunistom, w ciągu 1948 r. zostały zlikwidowane przez wchłonięcie, a pozostałe partie albo całkowicie zwasalizowano (jak w Polsce), albo wręcz zlikwidowano (jak na Węgrzech). Powstały więc monopolistyczne centra jednolitej władzy. Ograniczano kontakty gospodarcze z Zachodem, z kin znikają zachodnie filmy, z księgarń (a często także z bibliotek) książki, z teatrów sztuki, propaganda zaś nachalnie budowała poczucie zagrożenia ze strony „imperializmu”. Jednym z elementów tych zmian była natężająca się walka z „titoizmem” i „odchyleniem pravicowo-nacjonalistycznym”. W niektórych krajach odbyły się aresztowania (Rumunia), a nawet procesy (Albania) komunistów stojących bardzo wysoko w hierarchii władzy. Niezależnie od tego, na ile wszystko to odbywało się pod naciskiem Moskwy, drobiazgowe decyzje i konkretne działania były podejmowane przez elity komunistyczne poszczególnych państw, a rolę odgrywały też względy osobiste: dawne lub świeże konflikty, animozje, starannie skrywana rywalizacja. Można powiedzieć, że o ile latem 1948 r. polscy komuniści – Bierut i „grupa Minca” (cokolwiek by to miało znaczyć) – hucznie rozprawiając się z Gomułką, znaleźli się w awangardzie, to później pozostawali w tyle. W Tiranie, w listopadzie 1948 r. został aresztowany, a w maju 1949 r. skazany na karę śmierci i stracony, Koçi Xoxe, uprzednio członek Biura Politycznego, minister spraw wewnętrznych i szef Sigurimi (tamtejszej bezpieki). W więzieniach znalazła się niemal połowa członków KC. Cóż przy tym znaczyli Lechowicz czy Jaroszewicz, wprawdzie członkowie establishmentu, ale zajmujący drugorzędne stanowiska i szerzej w ogóle nieznani. W początku 1949 r. ekipa Bieruta wzięła się więc do roboty.

Załącznik do sprawozdania rocznego V Departamentu MBP, spisane go 15 lutego 1949 r., nosił tytuł *Projekt (szkic pierwszy) dotyczący reorganizacji pracy wśród elementów wrogich w ruchu robotniczym*. W dokumencie tym zwracano uwagę na „pilną konieczność rozpracowania wrogiego elementu, który z różnych przyczyn pozostał jeszcze w partii oraz na ważnych stanowiskach społecznych i państwowych”, a „elementy” te – czyli ludzie – „są tak ściśle powiązane z wrogimi ośrodkami poza partią, że niepodobna będzie oddzielić operacyjnie

rozpracowania wrogiego środowiska poza partią od jego przedłużenia na terenie partii”. Szefowa Departamentu, Julia Brystygierowa, uznawała za konieczne utworzenie „specjalnego organu partyjnego”, którego kierownictwo operacyjne powinno „spoczywać w rękach przedstawiciela Organów Bezpieczeństwa zasiadającego w kierownictwie partyjnym”. Nie wiem, kogo miała na myśli, może Radkiewicza, może Mietkowskiego lub Romkowskiego, którzy byli członkami KC, a może siebie, gdyż była członkinią Centralnej Komisji Kontroli Partyjnej, która czuwała na prawomyślnością i morale członków PZPR. Nie wiem też, czy ktoś poza ministrami przeczytał ten projekt. W każdym razie coś musiało wisieć w powietrzu, bo 24 lutego 1949 r. Sekretariat KC, w specjalnie podjętej uchwale, ostro skrytykował MBP, zarysował horyzont koniecznych zmian, a także postanowił „w celu ogólnopolitycznego wzmocnienia kierownictwa partyjnego aparatem bezpieczeństwa” powołać Komisję Biura Politycznego do spraw Bezpieczeństwa. W jej skład weszło trzech członków Biura – Bierut, Berman i Radkiewicz, trzech wiceministrów – Mietkowski, Romkowski i Świątlik oraz (najwyraźniej „na przyprzążkę”) sekretarz komitetu partyjnego w MBP. Zebrań tej komisji nie sporządzano, niestety, protokołów, a zachowały się tylko fragmentaryczne, skrótowe i przez to często trudne do zrozumienia notatki Bieruta. Niemniej to oczywiste, iż była ona zasadniczym ośrodkiem decyzyjnym w całym obszarze działalności bezpieki, a także prokuratur i sądów.

Pomysł z lata 1948 r. pozostawał aktualny, ale z jego realizacją były kłopoty. Śledztwo, prowadzone brutalnie przez ubeków z „grupy specjalnej”, nie przynosiło zadawalających rezultatów. Jedni więźniowie przyznawali się do tego, czego od nich oczekiwano, ale w ich zeznaniach było pełno sprzeczności, inni nie chcieli potwierdzić podsuwanych im interpretacji i „faktów”, które w znacznym stopniu były imaginacją przesłuchujących. Na najwyższym szczeblu zaś brak było zdecydowania. W pierwszych dniach marca Bierut, Berman i Minc przeprowadzili – każdy osobno – rozmowy ze Spychalskim, który słabo, ale jednak bronił się. Być może mimo woli, dla odwrócenia uwagi od siebie, podał nazwiska paru wysokich rangą oficerów, które mogły stać się kolejnymi ogniwami w łańcuchu, którym go oplatano. W rozmowach tych uczestniczył lub przysłuchiwał się im Romkowski. Światło, który sporządził „ze słów R.[omkowskiego]” notatkę, zapisał nie tylko słowa, ale opisał nawet wyraz twarzy i zachowanie się Spychalskiego. 4 marca Spychalski złożył rezygnację ze stanowiska I zastępcy ministra obrony narodowej (zastąpił go Edward Ochab) i zadowolił się stanowiskiem ministra odbudowy. W końcu z zawodu był architektem. Pozostał jednak członkiem Biura Politycznego i nawet brał udział w posiedzeniach tego formalnie najwyższego partyjnego gremium. Gomułka, in spe cel numer jeden, utracił wprawdzie członkostwo w Biurze Politycznym, w styczniu 1949 r. musiał ustąpić z funkcji wicepremiera i ministra ziem odzyskanych i otrzymał trzeciorzędne stanowisko wiceprezesa Najwyższej Izby Kontroli, ale był nadal członkiem KC. Na początku lipca ambasador sowiecki

w liście do Moskwy stwierdził, że niepokoi go, iż „ujawnianie siatki przebiega zdecydowanie za wolno”, uznał jednak, że stosowana przez Bieruta taktyka „nie aresztować, starając się stopniowo przesuwając z ważniejszych stanowisk, tak aby sprawę aresztowania zdecydować w sprzyjającym momencie (...) możliwe, że w obecnej sytuacji jest słuszna”. Jednocześnie wskazywał jako agentów „dwójki” („a tym samym Intelligence Service”) obok Spychalskiego, także aktualnego ministra obrony marsz. Michała Rolę-Żymierskiego, kierownika Wydziału Propagandy KC Jerzego Albrechta i przewodniczącego ZMP Janusza Zarzyckiego. Ambasador Lebediew w ocenach spraw polskich kierował się z jednej strony antysemitycznymi stereotypami, z drugiej wężeniem wszędzie nacjonalizmu. Polskim nacjonalistą był według niego Radkiewicz, za to w MBP „poczynając od wiceministrów nie ma ani jednego Polaka. Wszyscy są Żydami”. Co nie było zresztą zbyt dalekie od prawdy. Podkreślał też – podpierając się opinią swoich rozmówców (np. Jerzego Borejszy) – żydowskość Zambrowskiego czy Bermana. Na Kremlu chyba mało przejmowano się opiniami ambasadora, ale nie widziano powodów, aby go odwoływać, choć w istocie postponował i przedstawiał jako wrogów kilku członków najściślejszego kierownictwa PZPR. Było nie było „bratniej partii”.

Impuls nadszedł z zewnątrz. Na życzenie lidera węgierskich komunistów Mátyása Rákosiiego i za zgodą Michaiła (w literaturze najczęściej występuje jako Fiodor) Biełkina, wytrawnego „czekisty” (w Organach pracował od 1918 r.), szefa Zarządu Kontrwywiadu przy Centralnej Grupie Wojsk Armii Sowieckiej stacjonującej w Austrii, który prawdopodobnie kontrolował także Węgry i Czechosłowację, 11 maja został aresztowany w Pradze Noel Field, amerykański lewicowy działacz i swego czasu współpracownik sowieckiego wywiadu. W końcowym etapie hiszpańskiej wojny domowej, w czasie II wojny światowej oraz krótko po jej zakończeniu, był przedstawicielem Unitarian Service Committee, amerykańskiej organizacji charytatywnej na Europę, i z tego tytułu znał wielu komunistów z Europy Środkowo-Wschodniej, którzy walczyli w Hiszpanii lub przed wojną wyemigrowali do Szwajcarii i Francji. Potrzebny był Rákosiemu, ponieważ do roli „węgierskiego Tito” wytypował on już László Rajka, do września 1948 r. ministra spraw wewnętrznych, potem spraw zagranicznych, członka Biura Politycznego. Rajk walczył w Hiszpanii, a wojnę przetrwał w obozach dla internowanych, którymi opiekował się Field. Zasłużonego działacza charytatywnego bez dowodów, a więc i bez problemów, uznano za agenta amerykańskiego wywiadu i natychmiast przewieziono do Budapesztu. 30 maja aresztowano Rajka. Kilka tygodni później, w czasie jednego z przesłuchań – o czym Węgrzy zawiadomili nie tylko Moskwę, ale także sekretariat Kominformu – Field „przyznał się”, że stał na czele grupy szpiegowskiej i oświadczył, iż miał kontakty „z jemu podobnymi”, w tym również w Polsce. 20 lipca aresztowano w Moskwie i przekazano Węgrom Łazara Brankova, byłego radcę ambasady jugosłowiańskiej w Budapeszcie, antytitow-

skiego komunistę, który szukał schronienia w Moskwie. Teraz jednak przyznał się, że był szpiegiem Tity, coś może być bardziej oczywistego niż bycie agentem swego wroga! Podczas jednego z przesłuchań Brankov powiedział, że „klika” jugosłowiańska liczyła, iż Gomułka odegra w Polsce taką samą rolę jak Tito. Rákosi nie omieszkiał zawiadomić Bieruta, że w śledztwie pojawiają się „sprawy polskie”. Podjęcie walki z polskimi „titoistami” stawało się tym bardziej naglące, że pościg za swoimi wrogami wewnętrznymi rozpoczęli już również Bułgarzy: w marcu odwołano ze wszystkich stanowisk Trajczko Kostowa, do niedawna osobę Numer Dwa w partii i państwie, a 10 czerwca został on aresztowany. Tak więc i tu sięgnięto na najwyższą półkę.

Różnymi kanałami napływały do Bieruta szczegóły aresztowania i zeznań Rajka, m.in. 30 czerwca poselstwo PRL w Budapeszcie nadesłało dosyć obszerny i kompetentny raport. Wydano stosowne polecenia i „grupa specjalna” Romkowskiego, po krótkich i jak można sądzić gorączkowych przygotowaniach, przystąpiła do „realizacji”. Tym razem obiektem byli „szwajcarzy”, czyli grupka polskich komunistów, którzy jeszcze przed wojną wyjechali do Szwajcarii, a po 1945 r. wrócili do Ludowej Ojczyzny, aby budować w niej socjalizm. Począwszy od 20 lipca, w ciągu niespełna dwóch tygodni aresztowano około dziesięciu osób, w tym Leona Gecowa (dyrektora Biura Wojskowego w Ministerstwie Zdrowia) i jego żonę Annę, Jana Lisa (zastępcę dyrektora polikliniki MBP), Antoninę Lachtman, Paulę Born. Wszyscy oni w jakiś sposób zetknęli się z Noelem Fieldem – w Szwajcarii lub we Francji – albo byli znajomymi tych, którzy mieli nieszczęście z nim się spotkać. Większość zatrzymań przeprowadzał Światło.

„Na Okęciu sierpniowe sennie popołudnie (...) nie różniło się niczym od innych, wszyscy oczekiwali na wieczorny chłód. Z głośnika rozlegały się monotonnie powtarzane nazwiska pasażerów, informacje o przylotach i odlotach (...).

– Pan Field, proszę.

Głos wydobywający się z głośnika przerwał tok moich myśli (...). Wszedłem za bagażowym do sali odlotów (...). Od tamtej pory trzykrotna zmiana kierunków – przejście przez jedne drzwi, drugie, a potem przez trzecie (...). Znalazłem się w małym narożnym pokoju, a naprzeciwko mnie stało za dużym stołem dwóch mężczyzn. Jeden z nich, w mundurze, był widocznie oficerem, drugi przysadzisty cywil, ćmił papierosa zwisającego mu z kącika ust”.

Tak zapamiętał wieczór 22 sierpnia 1949 r. Hermann Field, który w poszukiwaniu brata, Noela, po bezskutecznych staraniach w Pradze, przyjechał do Warszawy, gdzie miał kilku znajomych z odpowiednich sfer: Głównie architektów, tak jak i on. I tak jak Spychalski. Hermann o tym nie wiedział, ale dla każdego, jako tako przytomnego czekisty oczywiste było, że Hermanna i Noela łączą nie tylko więzy rodzinne, ale też misja, którą wypełniają wspólnie na rzecz Central Intelligence Agency. Cywil z papierosem w zębach miał już w kieszeni – a raczej w biurku – rozkaz wyjazdu do Budapesztu i zapewne bilet lotniczy, ale nie chciał przepuścić takiej okazji – aresztować prawdziwego amerykańskiego szpiega!

Przysadzistym cywilem był ppłk Światło, a Field trafił wnet do „Spaceru”. Paradoksem było, iż choć w publicznych procesach wielokrotnie powoływano się na złowrogą rolę Fielda jako agenta CIA, a w Warszawie wielu uwięzionym zarzucano kontakty z Noelem lub Hermannem, żaden z braci nigdy nie pojawił się choćby jako świadek, nawet nie odczytywano ich zeznań. To uwięzienie było tajemnicą stanu. Na wszystkie *démarches* składane przez Stany Zjednoczone w Pradze i Warszawie przez lata, odpowiedzi były jednakowe – nic nie wiemy o żadnym panu Fieldzie. Amerykanie równie bezskutecznie dopytywali się o Hertę, żonę Noela, która w ślad za szwagrem ruszyła na poszukiwania męża. Podobnie jak oni obaj zniknęła w Pradze, ale wnet znalazła się w Budapeszcie. Dobrze, że Kate, żona Hermanna, zrozumiała, że za Żelazną Kurtyną lepiej nie szukać zgub i została z dziećmi u swoich rodziców w Anglii. Swoją drogą ciekawe, czy gdyby przyjechała do Polski wsadziliby ją do „Spaceru” z dwójką małych dzieci? Znając pryncypializm komunistów, a już zwłaszcza czekistów, nie odrzucałbym takiej możliwości.

Czy aresztowanie Hermanna Fielda i „szwajcarów” oznaczało, że Warszawa usiłowała doścignąć Budapeszt i „bratanków”? Być może, ale jeśli rzeczywiście miała takie ambicje, to była bez szans: już 20 sierpnia – niespełna 3 miesiące po aresztowaniu Rajka – Rákosi osobiście przedstawił Stalinowi projekt aktu oskarżenia Rajka „i towarzyszy”, który zresztą sam zreagował, a może wręcz napisał. Przywódca komunistów węgierskich mianował się liderem walki z „titoizmem” na wszystkie państwa wasalne Związku Sowieckiego, co zostało do pewnego stopnia zaakceptowane przez Stalina, zawsze to lepiej, gdy podwładni sami się dopingują do wytężonej pracy, niż mieliby być poganiani przez patrona. Tak więc „sprawa Rajka” miała stać się punktem wyjścia do zdemaskowania wielkiego spisku trockistowsko-titoitowsko-imperialistycznego obejmującego prawie cały Obóz Postępu i Pokoju, z wyjątkiem samego Związku Sowieckiego, gdzie aktualnie koncentrowano się na wyszukiwaniu „kosmopolitów”, czyli Żydów (zapewne z tego brał się antysemityzm w raportach Lebediewa). Węgrzy chętnie służyli pomocą i radami. Właśnie po nie udali się do Budapesztu Światło i jego bezpośredni zwierzchnik, Romkowski.

Pobyty nad Dunajem trwał tydzień, rozpoczął się prawie godzinną rozmową Rákosi–Romkowski, zakończył ponad godzinny dialogiem Rákosi–Światło. Dla podpułkownika była to nobilitacja, przecież do tej pory nie miał okazji na taką rozmowę z Bierutem. Natychmiast po powrocie, już 2 września, sporządził w czterech egzemplarzach obszerną, 37-stronicową, notatkę informacyjną, w której przedstawił szczegóły rozmów swoich i Romkowskiego. Poza Rákosim odbyli także spotkania – większość chyba sam Światło (Romkowski albo balował, albo wcześniej wrócił do Warszawy) – z szefem węgierskiej bezpieki Gaborem Peterem i jego zastępcą Ernő Szúcsem oraz przesłuchali sześcioro aresztowanych: Noela Fielda i osoby, które znały go z działalności charytatywnej. Nie mieli dostępu do Rajka ani do pozostałych głównych oskarżonych. Rákosi roztoczył przed

Romkowskim niemal apokaliptyczną wizję nakładających się na siebie sieci agenturalnych, od policji politycznej z czasów Horthy'ego poczynając (Rajk miał być zwerbowany już w 1931 r.), przez Gestapo, kończąc na Intelligence Service i CIA. Wykładał polskiemu rozmówcy, że „około 90% «towarzyszy» przeważnie pochodzenia burżuazyjnego i inteligencko-burżuazyjnego, którzy powracali do swoich krajów z Zachodu, byli na usługach obcego wywiadu”. Albo: Amerykanie „werbowali ludzi wykształconych, inteligentnych z perspektywą (...) zwłaszcza Żydów”. Albo: „Jugosławia przygotowała 40-tysięczną armię, składającą się z osób mówiących po węgiersku (...), która miała w odpowiednim momencie wkroczyć i pomóc elementom trockistowskim w objęciu władzy”. Peter i Szűcs przekazali nieco szczegółów, a przesłuchany 29 sierpnia Noel Field przedstawił – i opisał w „zeznaniu własnym” – swój pobyt w Polsce w 1948 r.: wizytę w szpitalu w Piekarach Śląskich wyposażonym za pieniądze Unitarian Service Committee, rozmowę z kierownikiem misji UNRRA w Polsce, a także spotkania z prywatnymi osobami, w tym z Antoniną Lachtman oraz z Anną Duracz, sekretarką Bermiana i inne. Były to jedyne konkretne informacje dotyczące spraw polskich. Inne, przytaczane w sprawozdaniu za fragmentami protokołów przesłuchań Rajka i Brankova, że spiskowcy „liczyli na Gomułę”, ograniczały się do ogólników. O tym, co mówili ci aresztowani, z którymi się spotkał, Światło nie miał dobrego zdania: ich zeznania były „wykrętne”, „nie można było wywnioskować, jakimi metodami prowadzone jest śledztwo, [tego] co zatrzymanym wiadomym było naprawdę, a czego dowiedzieli się w śledztwie”. Nawet nieźle kombinował, ale nauki z tego nie wyciągnął. Na zakończenie rozmowy ze Światłą Rákosi obiecywał, że po procesie zostaną udostępnione Polsce „wszystkie materiały dowodowe śledztwa” oraz „prosił, żeby ktoś z naszego aparatu przyjechał na proces”, a także, aby przysłano „możliwie największą ilość dziennikarzy”. Prosił też, by „nasi towarzysze wywarli nacisk na partię w Czechosłowacji, żeby zajęła się tym zagadnieniem na swoim terenie”.

Dwa tygodnie później, 14 września, Światło ponownie – tym razem chyba sam – pojechał do Budapesztu, aby obserwować proces Rajka (16–24 września), który miał charakter nie tylko publiczny, ale wręcz pokazowy, tak jak moskiewskie procesy w latach 30. czy proces przywódców Polskiego Państwa Podziemnego w czerwcu 1945 r. Poza obecnością na sali sądowej – a śledzenie procesu miał utrudnione, ponieważ (na co skarżył się w sprawozdaniu) nie robiono dla niego tłumaczeń na polski lub rosyjski – dwa razy „rozmawiał” z Brankovem, już po złożeniu przez niego zeznań oraz odbył dwie rozmowy z płk Szűcsem. Brankov nie powiedział Światłu właściwie nic konkretnego i ograniczył się do stwierdzenia, że kolejni radcy polityczni ambasady jugosłowiańskiej w Polsce w latach 1948–1949 (Kovacevicova i Rukavina) mieli za zadanie „nawiązanie łączności z Gomułą i jego zwolennikami (...) na których Tito mógłby liczyć w walce z Biurem Informacyjnym” (tj. Kominformem). Czy kontakt taki nawiązano i z kim, Brankov nie wiedział. Gen. Bielkin, z którym Światło co najmniej raz

się spotkał, na pytanie, jak można dowiedzieć się czegoś bardziej konkretnego o sprawach polskich, odpowiedział cynicznie: „Zatrzymajcie Rukavinę, myśmy wzięli Brankova, weście wy Rukavinę”. Dobrze radzić!

Natomiast Szűcs podzielił się ze Światłą ciekawymi refleksjami. Najpierw zalecał, aby „materiały odnośnie innych [niż Węgry] krajów przyjmować z wielką ostrożnością i bardzo dobrze skontrolować je”. „Ja nie biorę – mówił – odpowiedzialności za te niesprawdzone dane”. Mało tego: zalecając ostrożność wobec zeznań, dodał, że „Tow. Rákosi jest politykiem, a nie operatywnym pracownikiem, on może w niektórych zagadnieniach przesadzać”. „My pracownicy operacyjni – kończył – musimy mieć pokrycie na wszystko”. Można powiedzieć, że było to w pełni profesjonalne podejście, tyle że akt oskarżenia Rajka był sporządzony przez owych operatywnych pracowników wyłącznie na podstawie materiałów „zebranych” (czyli wymuszonych torturami) w śledztwie oraz na bazie znajomości marksizmu-leninizmu. A więc ostrzeżenia Szűcsa była to teoria albo wręcz humbug, z czego Światło być może zdawał sobie sprawę. Swoje sprawozdanie kończył uwagami na temat organizacji procesu, zwracając uwagę na pewne mankamenty, np. że „władze bezpieczeństwa nie zawsze kierowały przebiegiem procesu” i były „zaskoczone tym, że niektórzy oskarżeni mówili o pewnych sprawach i ludziach takie rzeczy, których sobie władze węgierskie nie życzyły” czy na „brak aktywności prokuratora” i „zbytnią aktywność przewodniczącego” (składu sędziowskiego). Krótkie informacje z Budapesztu przekazywał Radkiewiczowi na bieżąco, raz dziennie, najpewniej korzystając z łączności szyfrowej węgierskiej bezpieki albo z uprzejmości Bielkina, sporządzał je bowiem po rosyjsku. W sumie można stwierdzić, że Światło – na tyle, na ile mu jego świadomość „operatywnego pracownika” i komunisty pozwalała – dosyć rzeczowo podchodził do procesu, interesował się tym, czym powinien się interesować (tzn. sprawami dotyczącymi Polski), w raporcie nie ma emocji. Nie znalazłem śladów jego reakcji na wynurzenia Rákosiego na temat Żydów, myślę jednak, że nie mogły się one podobać gościowi z Polski. Zapewne skorzystał z okazji, żeby popić trochę węgierskiego wina, a na pewno kupił prezenty dla rodziny. Jak wynika z jego słów i z relacji innych osób, polubił wyjazdy za granicę.

Niewykluczone, że sprawozdanie wraz z ustnymi komentarzami, Światło przedkładał nie tylko szefom z MBP, ale także któremuś z członków Komisji Biura Politycznego. Może samemu Bierutowi. Na pewno jeszcze przed drugim wyjazdem do Budapesztu uczestniczył w spotkaniu z Jindřichem Veselým, przybyłym z Pragi szefem czechosłowackiej Štátnéj Bezpečnos`i, którego zgodnie z prośbą Rajka polscy towarzysze ostrzegali, żeby Praga nie lekceważyła niebezpieczeństwa, bo w Czechosłowacji jest ono większe niż w Polsce. Poganiiali Czecha, mówiąc – jak streszcza to spotkanie Grzegorz Gąsior w monografii *Stalinowska Słowacja* – że „nie ma czasu ani na długotrwałe śledztwa, ani na pracę agenturalną”, cel zaś trzeba „osiągnąć przez aresztowania”. Funkcjonariusze czechosłowaccy byli już zresztą indoktrynowani przez Rákosiego i Bielkina podczas wizyt w Budapeszcie,

a pouczenia Polaków można wręcz uznać za niestosowne. Przyganiał kocioł garnkowi: wprawdzie za kratkami było już grono osób związanych z Fieldem i kilkadziesiąt ze „sprawy Lechowicza”, ale nie dość, że jeszcze żaden wyrok nie zapadł, to nawet śledztwo nie było zaawansowane. Veselý jednak przyjechał nie po to, by wysłuchiwać pouczeń, ale zapewne dlatego, że interesował go Hermann Field. Od wiosny 1939 r. bowiem, czyli od wkroczenia Niemców do Pragi, organizował on z ramienia British Committee for Refugees from Czechoslovakia, operując z Katowic i Krakowa przy pomocy brytyjskich służb konsularnych, ucieczki działaczy politycznych i inteligencji czeskiej na Zachód lub do Związku Sowieckiego. Wśród nich było sporo komunistów i Żydów, bo przecież znalezienie się w strefie okupacji nazistowskiej właśnie dla nich było najbardziej niebezpieczne. 17 września, po napadzie Związku Sowieckiego na Polskę, udało mu się uciec z ostatnią grupą przez Zaleszczyki do Rumunii. Opisał to wszystko w szczegółowych listach do matki. Z racji tej aktywności Hermann poznał parę osób, które w komunistycznej Czechosłowacji odgrywały znaczącą rolę – m.in. ministra spraw wewnętrznych Vaclava Noska, redaktora „Rudého Práva”, centralnego organu partii komunistycznej Vilema Novego, czy sekretarza generalnego KC KPCz Rudolfa Slánský`ego. Toteż dostęp do młodszego z braci Fieldów był dla czechosłowackiej bezpieki dosyć ważny. Może liczyli nawet, że MBP przekaże im Hermanna. A właściwie „zwróci” – z Warszawy miał przecież lecieć do Pragi. Nie tylko go jednak nie wydano, ale, o ile wiem, StB nie miała do niego bezpośredniego dostępu. Możliwe, że polscy śledczy otrzymali od Veselý`ego „pytajniki” i odpowiedzi przesłuchiwanego wysyłali do Pragi.

Z punktu widzenia tej książki interesujące w spotkaniu z Veselým jest to, że – wedle czechosłowackich źródeł – uczestniczyli w nim nie tylko Radkiewicz i Różański, Bierut, Berman i Zambrowski, ale i ppłk Józef Światło. Zapewne po raz pierwszy przebywał w tak szacownym gronie. Nie ulega wątpliwości: Izak Fleischfarb jako Józef Światło stał się osobą, której nie tylko należy się bać, ale i z którą należy się liczyć. Sądzę, że to było ważniejsze.

Zapewne nie było potrzebne zmarszczenie brwi Stalina czy połajanki przez telefon ani cierpkie napomnienia Lebidiewa. W kierownictwie PZPR zdawano sobie sprawę, że sprawy nie idą najlepiej. Śledztwo ugrzęzło, brakowało jednoznacznych zeznań, nie mówiąc o dokumentach. Bierut zaniepokojony tym, postanowił powołać komisję roboczą, która miała zapoznać się z przebiegiem śledztwa. Składała się ona z Franciszka Mazura, członka Biura Politycznego, Leona Kasmana, redaktora naczelnego „Trybuny Ludu”, ale przede wszystkim osoby „wysokiego zaufania” Kremla, oraz Jerzego Dobrowolskiego, zastępcy szefa GZI. Komisja działała dosyć sumiennie. Jej członkowie nie tylko zapoznali się z dokumentami (głównie protokołami przesłuchań) i nagraniami, przepytali wielu funkcjonariuszy i złożyli wizytę w „Spacerze”, gdzie obejrzeliby cele. Z więźniami wszakże nie rozmawiali, a do metod przesłuchań, bicia i psychicznego

znęcania się, nie mieli zastrzeżeń. Konkluzje zostały przedstawione w połowie października i były negatywne dla Różańskiego: stwierdzono, że w śledztwie panuje bałagan, odpowiedzialny za jego prowadzenie nie koordynuje należycie pracy funkcjonariuszy, aresztowani zaś są oporni. W jednej z audycji w RWE Światło mówił, że to on „na polecenie Bieruta” zrobił podsumowanie dochodzenia i wtedy dopiero powołano komisję Mazura. W dokumentach, które czytałem, nie znalazłem potwierdzenia tego, ale trudno wykluczyć, że to właśnie na podstawie jakiegoś raportu Światły Bierut i Berman postanowili działać. Światło rzeczywiście przygotowywał systematyczne sprawozdania (niekiedy 3–4 razy w tygodniu) z przebiegu śledztwa w „sprawie Lechowicza”, a więc można było sobie wyobrazić, jak ono postępuje. Nie jest w końcu ważne, na jakiej podstawie uznano, iż konieczne jest podjęcie decyzji.

A decyzje rodziły się powoli, prawie przez cały październik. Przy okazji omawiane były ogólne problemy MBP oraz – co nader ważne – nowe kierunki śledztw (i aresztowań), które miały prowadzić do zdobycia dodatkowych elementów oskarżenia Spychalskiego, a później Gomułki. Po wysłuchaniu sprawozdań Różańskiego i Romkowskiego, oraz Mazura i stwierdzeniu, że dotychczas „nie ma twardego planu śledztwa”, a „analiza materiału [jest] chałupnicza”, Komisja ds. Bezpieczeństwa przystąpiła do działań. Najważniejsze było wprowadzenie do całości sprawy nowego wątku, który niebawem został określony jako „spisek w wojsku”. Postanowiono m.in. ściągnąć z Londynu do Warszawy i aresztować trzech wysokich rangą oficerów z dawnych Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie – gen. Stanisława Tatara oraz pułkowników Mariana Utnika i Stanisława Nowickiego. Od dwóch lat współpracowali oni z II Oddziałem Sztabu Generalnego, kierowanym przez gen. Wacława Komara, za którego pośrednictwem przekazywali do kraju pieniądze i urządzenia zakupione z funduszy pozostałych z dawnej pomocy amerykańskiej dla AK oraz zbieranego przed wojną Funduszu Obrony Narodowej. Włączenie ich do śledztwa wymagało ścisłej współpracy MBP ze służbami wojskowymi, GZI i II Oddziałem, przy czym główną rolę w tym segmencie dochodzenia miały odegrać, co naturalne, instytucje wojskowe. Koncepcja, iż w Wojsku Polskim istnieje „spisek”, pojawiła się już latem 1949 r., gdy płk Stefan Kuhl, szef GZI, na jednym z posiedzeń Komisji Biura Politycznego ds. Wojskowych (była odpowiednikiem Komisji ds. Bezpieczeństwa, na jej czele także stał Bierut) przedstawił w dramatycznych słowach sytuację w korpusie oficerskim. Początkowo jednak nie wyciągnięto z tego konsekwencji. Dopiero po pewnym czasie zdano sobie sprawę, że otwiera to możliwości poszerzenia oskarżeń wobec Spychalskiego. Uruchomienie „nowego frontu” nie oznaczało, że zaniechano poprzednich. Nawet odwrotnie, uznano za konieczne zintensyfikowanie dotychczas prowadzonych śledztw („sprawa Lechowicza” czy implikacje aresztowania Fielda) przez zmiany personalne i organizacyjne w MBP. Podjęto też decyzję o rozpoczęciu potężnej kampanii politycznej i propagandowej.

Spółród spraw personalnych najważniejszymi były: odsunięcie Różańskiego od kierowania dochodzeniami „grupy specjalnej” (dostał status „konsultanta”), co oznaczało uznanie autonomii zespołów śledczych i utratę przez Departament Śledczy MBP bezpośredniego wpływu na to, co dzieje się w „Spacerze” czy X pawilonie na Rakowieckiej; przeniesienie do MBP zastępcy szefa GZI płk Anatola Fejgina; uzupełnienie kierownictwa resortu o czwartego już wiceministra w osobie Wacława Lewikowskiego, dotychczasowego przewodniczącego Centralnej Komisji Kontroli Partyjnej, starego kapepowca, wieloletniego pracownika Kominternu i KC WKP(b), a więc zaufanego Sowietów. Lewikowski otrzymał – jak zanotował Bierut – „specjalne zadanie: zajęcie się sprawami partyjniaków”. Do tych spraw miała być powołana 5-osobowa Rada Konsultacyjna pod przewodnictwem Kasmana. Nic mi jednak nie wiadomo, aby ta rada rzeczywiście powstała. Było jeszcze wiele pomysłów personalnych (np. przesunięcie Radkiewicza do wojska na szefa GZI i II Oddziału), ale ostatecznie nie doszło do ich realizacji.

Istotną decyzją organizacyjną było utworzenie w V Departamencie wydziału (VII) zajmującego się walką „z wrogimi agenturami w ruchu robotniczym”, a w istocie w samej PZPR. Uzasadniano to m.in. tym, że wraz z wchłonięciem PPS, do partii „przedostało się” wiele wrogiego elementu. Wydział ten miał swoje odpowiedniki na szczeblu WUBP (jako sekcje w wydziałach V), których jednym z różnych zadań było kontrolowanie postawy politycznej działaczy partii poniżej szczebla komitetu wojewódzkiego PZPR i, mówiąc ogólnie, prowadzenie dochodzeń „na dole”. Mogło to oznaczać, iż będą one miały niemal masowy charakter. Samych funkcjonariuszy aparatu partyjnego było wówczas kilka tysięcy (a liczba ta nieustannie rosła), rzesza zaś różnego rodzaju aktywistów obejmowała dziesiątki tysięcy. Być może powstanie tego wydziału było kompromisem między zwolennikami skupienia wszystkich spraw związanych ze ściganiem „odchylenia prawicowo-nacjonalistycznego” i jego pochodnych w jednej strukturze (Romkowski), a staraniami dyr. Brystygierowej o przyznanie jej departamentowi całości spraw związanych z „ochroną ruchu robotniczego”. W jednym ze sprawozdań Brystygierowa wprost postulowała utworzenie „jednostki operacyjnej MBP posiadającej swe odpowiedniki w WUBP”. Zakreśliła również obszary aktywności tej jednostki: „elementy trockistowskie”, „elementy prawicowo-nacjonalistyczne i pro-titowskie”, „różne grupki dywersyjne działające na bazie naszej partii”, „starzy prowokatorzy w Partii i ruchu robotniczym”, „skupiska jugosłowiańskiej reemigracji w Polsce” (chodziło o kilkanaście tysięcy osób, Polaków osiedlonych głównie w Bośni jeszcze w czasach monarchii Habsburgów, którzy po 1945 r. przyjechali do Polski). A więc w istocie niemal wszystko, co mieściło się w pojęciu „wroga wewnętrznego”. Komisja ds. Bezpieczeństwa nie podzieliła jednak opinii zasłużonej towarzyszk dyrektora i postanowiła, co z punktu widzenia biografii Światły było najważniejsze, utworzenie w miejsce „grupy specjalnej” etatowej komórki, działającej

na prawach departamentu. Nadano jej enigmatyczną nazwę: Biuro Specjalne. Wprawdzie formalnie zostało powołane dopiero 3 marca 1950 r., ale ponieważ było ono w istocie kontynuacją poprzedniej struktury, wejście w nowy układ organizacyjny było płynne.

Wszystkie te zmiany, tajne nie tylko wobec osób postronnych, ale i dla ogromnej większości ubeków i funkcjonariuszy aparatu partyjnego, nawet tych wysokiego szczebla, toczyły się w cieniu posiedzenia KC PZPR, które odbyło się w dniach 11–13 listopada, a którego tematyka oraz planowane decyzje personalne były już w początku października konsultowane w Moskwie. Bierut wygłosił referat pod znaczącym tytułem: *Zadania partii w walce o czujność rewolucyjną na tle sytuacji obecnej*. Jaka to była sytuacja, każdy widział: dwa miesiące wcześniej odbył się proces Rajka, który wraz z dwoma współoskarżonymi został stracony; za miesiąc miał się odbyć proces Kostowa; parę dni przed rozpoczęciem obrad KC Polacy otrzymali wspaniały prezent w osobie nowego ministra obrony narodowej (a wnet także członka Biura Politycznego) Konstantego Rokossowskiego, dotychczasowego dowódcy Północnej Grupy Wojsk Sowieckich stacjonującej w Polsce; w kilka dni po zakończeniu obrad miała się odbyć III Konferencja Kominformu.

Referat był jednym wielkim atakiem na Gomułkę i Spychalskiego – przy okazji na kilka innych osób – ale nie był to jeszcze akt oskarżenia o szpiegostwo czy zdradę. Twardy stalinowski język ubarwiał złowieszczo brzmiące sformułowania: zadanie partii „polega na tym – perorował Bierut – aby wydobyć z ukrycia przytające niedobitki wroga i rozsiane po wszystkich szczelinach maszyny społecznej, chytrze zamaskowane jego macki, na których usiłują oprzeć swą szpiegowską, terrorystyczną, dywersyjną robotę wrogie nam imperialistyczne ośrodki zagraniczne”. Gdy zarzucił Spychalskiemu „karygodną ślepotę polityczną, która umożliwiła przenikanie na odpowiedzialne stanowiska wrogiej agentury działającej (...) na rzecz obcych wywiadów”, właściwie sklasyfikował go jako „chytrze zamaskowaną mackę”. Kolejni mówcy dorzucali swoje i posiedzenie zmieniło się w orwellowski seans nienawiści, w czasie którego żadna obrona nie jest możliwa, a żadna samokrytyka nie może być uznana za dostatecznie głęboką i szczerą. Gomułka, Spychalski i Kliszko zostali pozbawieni wszystkich funkcji partyjnych, co skutkowało m.in. „obsunięciem” ich jeszcze niżej na stanowiskach w administracji. Choć na sali nikogo nie zakuto w kajdanki, Berman mógł 18 listopada na konferencji w Bukareszcie obiecać towarzyszom z Kominformu: „będziemy bezlitośni (*bezposzczadny*) wobec wrogów narodu”. Towarzyszył temu niezwykle wprost hałas propagandowy, otwierający najbardziej aktywny okres szpiegomanii. Zapewne nie przypadkiem tuż przed posiedzeniem KC zaczął się w Katowicach proces przedstawiciela kolei jugosłowiańskich, Milica Petrovicia, którego oskarżano np. o przekazywanie wspomnianemu już Ante Rukavinie informacji szpiegowskich. W 1949 r. skazano 30 osób

za szpiegostwo na rzecz Wielkiej Brytanii, a na rzecz Stanów Zjednoczonych – 35 osób. Wróg był wszędzie i najpilniejszym zadaniem stało się „obcinanie zamaskowanych macek”, a na pierwszym miejscu – druga już w ciągu roku „czystka” w partii komunistycznej.

Światło zapewne nie był obecny na wspomnianym posiedzeniu KC, choć to, o czym rozmawiano, bezpośrednio dotyczyło jego pracy. Wystarczyło, że przeczytał „Trybunę Ludu” i porozmawiał z Romkowskim lub Mietkowskim oraz wysłuchał korytarzowych plotek na Koszykowej. Chyba nie uczestniczył też w odprawie szefów WUBP, która odbyła się 28–29 października, na której po raz pierwszy i ostatni pojawił się Bierut, i wygłosił dosyć krytyczne wobec pracy resortu przemówienie. Najprawdopodobniej Światło nie przyszedł na dokonanie tej odprawy, które odbyło się 21 listopada, a więc już po plenum KC. A jeśli był, to nie zabrał ani razu głosu. Można więc powiedzieć, że władza jaką posiadał była, nawet w obrębie resortu, dyskrecjonalna i formalnie nie należał do grona „baronów bezpieczeństwa”, czyli grupy kierowniczej składającej się z ministrów, dyrektorów departamentów operacyjnych w centrali i niektórych szefów WUBP. Odbywające się parę razy w roku narady z udziałem kierowników WUBP i dyrektorów departamentów, w których zawsze uczestniczyły 2–3 osoby z kierownictwa MBP, a czasem ktoś z kierownictwa partyjnego, były zgromadzeniami „czołowego aktywu” resortu. Poza technicznym (tj. operacyjno-politycznym) miały, jak sądzę, znaczenie również prestiżowe. Były miejscem odbywania licznych nieformalnych rozmów, zawierania lub podtrzymywania znajomości, a wypowiedzi wygłaszane podczas tych narad pomagały w budowaniu osobistej pozycji. Światło zwierzał się żonie, że jest od „czarnej roboty”, ale można też powiedzieć, że z uwagi na misję, które mu powierzano (Budapeszt) i spotkania z Bierutem, stawał się kimś w rodzaju „szarej eminencji”. W każdym razie zarówno w formalnych, jak i nieformalnych opiniach o nim utrwalił się obraz funkcjonariusza o wielkich zdolnościach operacyjnych, obrotowego i docieklivego, ale zarazem zarozumiałego i „trudnego we współpracy z ludźmi”. Z racji tych cech charakteru nie był lubiany wśród podwładnych. Niektórzy z nich zwracali uwagę także na jego uniżoność wobec zwierzchników. Światło zdawał sobie z tego sprawę: pewnego razu powiedział Justynie, że mówią o nim „fajfus” Romkowskiego.

Po przeniesieniu do Warszawy stan rodzinny Świątlów uległ zmianie: 23 kwietnia urodził się syn, Jerzy. Powiększenie się rodziny spowodowało, że Justyna Światło, która w grudniu 1948 r. zaczęła pracować jako laborantka w Centralnym Laboratorium Bakteriologiczno-Żywnościowym MBP, nie mogła w pełni poświęcić się pracy i w marcu 1950 r., po urlopach macierzyńskim i wychowawczym zwolniła się. Od tej pory zajmowała się tylko domem, zdrowiem dzieci i swoim, ponieważ często chorowała. Miała do dyspozycji także „pomocę domową”. W dalszym ciągu zatrzymała się u nich szwagierka, która formalnie została zatrudniona w II Departamencie, ale faktycznie – aż do lata

1953 r. – pracowała jako sekretarka w Komitecie PZPR przy ministerstwie. Siostry w znacznym stopniu już się usamodzielniały, choć dwie starsze nadal były pannami i mieszkały razem. Maria Obozowicz, prawniczka, najpierw pracowała w Komisji Specjalnej do Walki z Nadużyciami i Szkodnictwem Gospodarczym, a od kwietnia 1949 r. jako prokurator w Prokuraturze Okręgowej, natomiast Róża (Rebeka) była naczelnikiem Wydziału Szkolenia w Komisji Centralnej Związków Zawodowych. Krystyna (Sara), równocześnie ze studiami, podjęła pracę najpierw we władzach studenckiej organizacji komunistycznej oraz w dziale młodzieżowym PAP, potem została redaktorem naczelnym tygodnika „Po prostu”, pisma Związku Akademickiej Młodzieży Polskiej (ZAMP). W listopadzie 1945 r. wyszła za mąż za Mieczysława Walczaka, członka jednej z przedpeperowskich komunistycznych grup konspiracyjnych, później działającego w GL/AL. Związek ten znalazł się w dramatycznej sytuacji, gdy, poszukując dowodów na współpracę Spychalskiego i innych osób z wywiadu GL z Gestapo, natrafiono na Walczaka. Rzeczywiście: od czasu zatrzymania w lipcu 1941 r. a dwa miesiące później zwolnienia z aresztu, za wiedzą i zgodą organizacyjnych przełożonych utrzymywał kontakty z Niemcami. W listopadzie 1949 r. Walczak został aresztowany, a jego sprawę prowadził początkowo... szwagier, czyli Światło. W audycjach nadawanych przez RWE Światło mówił, iż był wprawdzie „zainteresowany w sprawnieniu” pomysłu, aby Walczak zeznawał przeciwko Spychalskiemu, ale że „nie mógł jej prowadzić”. A jednak to właśnie on jest podpisany pod pierwszymi „Notatkami informacyjnymi” sporządzonymi na podstawie zeznań szwagra. Później rzeczywiście przejął je kto inny. Krystyna rozwiodła się z mężem, który w styczniu 1954 r. został skazany na dożywocie. Z więzienia wyszedł w 1956 r. (Czytając w IPN teczkę Walczaka natrafiłem na przykład pewnej peerelowskiej paranoi: otóż w 1974 r. SB założyła na niego rozpracowanie, przez pół roku miał w domu podsłuch telefoniczny, a przez 6 lat kontrolowano jego korespondencję. W listopadzie 1985 r. materiały złożono w archiwum z jednoczesnym „wpisaniem do rejestru b. agentów SS i Gestapo przeznaczonych do internowania”, bo przecież był skazany za współpracę z okupantem!).

Wydaje się, że sprawa uwięzienia szwagra nie miała wpływu na stosunki z siostrą, czy też na karierę podpułkownika. Kontakty z rodziną zresztą i tak nie były mocną stroną Światły, choć akurat od przyjazdu do Warszawy byli niemal sąsiadami: Światłowie mieszkali przy ul. Opoczyńskiej 2A, a Maria i Róża niedaleko, przy Rakowieckiej 41. Trasa z jednego mieszkania do drugiego mieszkania przebiegała koło kompleksu więzienia mokotowskiego. Ale można było go ominąć.

Wprawdzie lista „najbliższych przyjaciół i znajomych, z którymi utrzymuje stosunki towarzyskie”, czyli punkt 48 „Ankiety specjalnej”, którą Światło wypełnił 21 maja 1949 r., jest dosyć obszerna, ale – jak zgodnie poświadczała żona, siostry i parę innych osób – życie towarzyskie poza pokojami i korytarzami MBP prowadził raczej ograniczone. Osoby, które znalazły się na tej liście,

to przede wszystkim znajomości przedwojenne, krakowskie, ludzie ci mieszkali poza Warszawą, a więc siłą rzeczy kontakty z nimi były ograniczone. Spośród wymienionych tylko nieliczni, Ringer i wspomniany już Polanowski, bywali na Opoczyńskiej. Częstszym gościem stał się Aleksander Szenauk, przedwojenny znajomy Justyny. Uderzające jest, iż znaczna część wymienionych przez Światłę osób pracowała w bezpieczeństwie, co chyba nie wynikało z tego, że akurat takimi koneksjami chciał się pochwalić. Po prostu takie były drogi „naboru” do tej służby, do której zgarniano przedwojennych komunistów. Trafili również do niej jego pierwsza szwagierka z mężem, funkcjonariusze WUBP we Wrocławiu. Mniej znajomych miał w wojsku, w aparacie partyjnym i propagandowym. Były to niemal wyłącznie osoby żydowskiego pochodzenia, choć na pewno o różnym stopniu identyfikacji narodowej. Czytając tę listę jesteśmy – niezależnie od tego czy się to komuś podoba, czy nie – w samym środku problemu żydokomuny. Światło z pewnością zdawał sobie z tego sprawę.

Biuro Specjalne

Utworzenie Biura Specjalnego nie zracjonalizowało dotychczasowej struktury, a właściwie tylko ją rozbudowało. W odróżnieniu od pozostałych pionów, w których obowiązywał wewnętrzny podział merytoryczny (przedmiotowy), na poszczególne obszary zainteresowania, np. w V Departamencie jeden wydział zajmował się związkami wyznaniowymi, inny młodzieżą, jeszcze inny administracją państwową – Biuro Specjalne, podobnie jak „grupa specjalna”, miało strukturę opartą na zadaniach technicznych, czyli funkcjonalną. Stworzono w nim bowiem wydziały: operacyjny, śledczy, obserwacyjny (zajmujący się inwigilacją), ogólny (m.in. kartoteki i ewidencja) oraz ochrony obiektów. W rezultacie, jak później stwierdzono, „powstało krzyżowanie się i nierzadko dublowanie spraw”, „wydawanie sprzecznych decyzji”, nie było „jednolitości w planowaniu rozpracowań” i „jednolitej polityki represyjnej”. W pewnym sensie wszystkie działy były dodatkiem do Wydziału Śledczego. Innym mankamentem był brak instancji Biura na szczeblu wojewódzkim, co np. warunkowało, aby każdy wyjazd funkcjonariuszy „w teren” – na przesłuchanie aresztowanego czy spotkanie z tajnym współpracownikiem, który był w gestii lokalnego ubeka – uzgadniać w odpowiednim departamencie. Natomiast siecią terenową w dalszym ciągu zarządzał departament Brystygierowej, w którym zajmowano się tym, nad czym pracowało Biuro – od „trockistów” po „Defę” i „dwójkę”. Właśnie z podpisem Brystygierowej np. komórka techniki operacyjnej otrzymała „Zamówienie PT Nr 101” na założenie podsłuchu w domowym telefonie Zenona Kliszki, który wciąż (24 września 1949 r.) formalnie był członkiem KC. „Grupa specjalna” istniała już od prawie roku, a przecież to ona miała zajmować się „odchyleniem prawicowo-nacjonalistycznym” czy „gomułkowszczyzną”.

Mało tego, że właściwie nieuchronne były kolizje z departamentem Brytygierowej, to w rzeczywistości powstały dwa Biura Specjalne. Jedno o strukturze, którą już przedstawiłem, kierowane przez Fejgina i drugie, oparte na dotychczasowych doświadczeniach a częściowo na zasobach informacyjnych V Departamentu, na czele którego stał Henryk Piasecki. „Biuro Piaseckiego” miało zajmować się osobami z wyższych szczebli hierarchii partyjnej i państwowej, ale nie posiadało własnego zaplecza operacyjnego i musiało korzystać z pomocy „Biura Fejgina”. Sprawę dodatkowo komplikował fakt, że każde z nich miało innego zwierzchnika w kierownictwie resortu – Fejgin podlegał Romkowskiemu, a Piaseckiego nadzorował Lewikowski. Trudno powiedzieć, czy podział ten powstał z rozmysłem, tzn. czy chodziło o świadome wprowadzenie przez Bieruta i Bermiana jakiejś rywalizacji w bezpiecie, aby łatwiej ją podporządkować, czy też brał się z ambicji osobistych samych ubeków najwyższego szczebla. Na pewno, jak wynika z licznych świadectw składanych w 1954 r., dualizm ten był jednym z powodów konfliktu Światło–Piasecki na tle prowadzenie poszczególnych spraw, a zapewne też o prestiż i pozycję. Z czasem przerodził się w prawdziwą wojnę personalną. Biuro Specjalne było instytucją unikalną, nie tylko z uwagi na strukturę i istniejące podziały, ale także dlatego, że nie miało swoich odpowiedników w organach bezpieczeństwa innych państw komunistycznych. Gdzie indziej, tropiąc „odchylenia”, działano bowiem opierając się o zespoły operacyjne powoływane ad hoc, podobnie jak to było w bezpiecie w czasie istnienia „grupy specjalnej”. Tak przynajmniej wynika ze znanych mi prac brytyjskiego historyka Dennisa Deletanta o Rumunii, Karela Kaplana o Czechosłowacji czy wydanego przez IPN opracowania zbiorowego *A Handbook of the Communist Security Apparatus in East and Central Europe*. Własnych badań źródłowych nie byłem w stanie podjąć.

Niekonsekwencje organizacyjne nie hamowały jednak biegu śledztw i represji, a na pewno nie przeszkadzały Światłu, który – jak wynika z wielu świadectw – bardziej pasjonował się konkretnymi działaniami operacyjnymi, niż różnicami między trockistami a titoistami. Jego kariery nie zablokowała negatywna opinia, jaką wydał szef kadr MBP, Mikołaj Orechwa, który wprost stwierdził, iż Światło „na stanowisko Vice-Dyrektora Biura Specjalnego nie nadaje się. Może być Naczelnikiem Wydziału I [tj. Operacyjnego] tego Biura”. Uważał on, że Światło wprawdzie „uchodzi za bardzo dobrego pracownika operacyjnego”, jednak „cehuje go duża zarozumiałość i brak [właściwego] podejścia do współpracowników, wśród których nie cieszy się autorytetem”, a ponadto „w życiu społecznym i partyjnym zupełnie się nie udziela”. Orechwa, oficer sowiecki dobrze znający polskie realia, ponieważ przed wojną był członkiem Komunistycznej Partii Zachodniej Białorusi, przygotował nawet wniosek nominacyjny „na naczelnika wydziału I”, który dał do podpisu Romkowskiemu, ten jednak skreślił te słowa i wpisał „vice dyrektor Biura Specjalnego”. Nie wiem, czy konsultował z kimś (ministrem, Bierutem?) tę decyzję. Raczej zrobił to na własną rękę, za co później musiał wielokrotnie się kajać.

W ten sposób, formalnie z dniem 7 marca 1950 r., Światło stał się zastępcą Fejgina, co automatycznie kończyło szeregowanie go jako naczelnika wydziału w I Departamencie. Awans finansowy (do II grupy uposażenia) dostał jednak dopiero rok później, a kolejnej gwiazdki na pagonach nigdy się nie doczekał. Można nawet powiedzieć, że jego status został obniżony – w „grupie specjalnej” podlegał bezpośrednio Romkowskiemu, w Biurze Specjalnym miał dodatkowego zwierzchnika w osobie Fejgina. W rzeczywistości Światło robił to samo, co do tej pory, a zakres jego obowiązków wzrastał w tempie poszerzania się obszaru zainteresowań Biura Specjalnego. Jednak pozycja Światły jako „głównego operatywnika” nie była zagrożona zarówno jeśli chodzi o prowadzenie rozpraw, jak i dokonywanie „realizacji”. Jak wynika ze znanych mi dokumentów, stosunkowo rzadko bezpośrednio uczestniczył w przesłuchaniach, natomiast w dalszym ciągu nadzorował „Spacer”. Nie tylko podejmował ważniejsze decyzje, do niego należało również reagowanie na rozmaite, drobne nieraz, wydarzenia. Np. gdy w Miedzeszynie przebywała Zofia Gomułkowa, Światło przeprowadził z nią „rozmowę dyscyplinującą”, kiedy okazało się, że końcem wypalonej zapalki wpisywała swoje imię, nazwisko i datę aresztowania w książkach dostarczanych jej z biblioteki. Wedle niektórych świadectw zajmował się też oddziaływaniem na stan psychiczny więźniów, stosując mniej lub bardziej wyrafinowane metody. Wobec Fielda np. zachowywał się raz poprawnie, spełniając jego prośby dotyczące choćby poprawy wyżywienia, aby po paru dniach bez żadnego powodu, powtórnie nakazać dostarczanie ohydnej strawy. W zależności od bieżących potrzeb – a może od humoru – konkretnym więźniem zajmowali się mniej lub bardziej brutalni strażnicy, a Światło musiał dobrze wiedzieć, że ma do dyspozycji różnych podwładnych. Choć zajmował się w zasadzie tylko „Spacerem”, bywał też w pawilonie X więzienia mokotowskiego, zapewne i w „podręcznym” areszcie na Koszykowej, a także w aresztach w urzędach wojewódzkich. W każdym razie pozostał w (złej) pamięci wielu więźniów, również tych, którzy nie siedzieli w Miedzeszynie. Przez niektóre więźniarki nazywany był „tłustym zającem”, co oddaje raczej pogardę, jaką wobec niego żywiły niż strach przed nim. Określenie to, czy raczej przezwisko, wzięło się zapewne z prezenji Światły, który – jak wynika z urzędowych zdjęć z tego okresu – mocno przybrał na wadze, co było widoczne także na twarzy. Być może nawiązywało ono do jakichś niestosownych (lubieżnych?) zachowań podpułkownika.

Niezależnie od tego, jak często bywał w aresztach i w więzieniach, jego specjalnością było sporządzanie „notatek informacyjnych” podsumowujących informacje zebrane na podstawie protokołów przesłuchań i różnych materiałów operacyjnych. Tytułem przykładu mogę podać, że Światło sporządził – a w każdym razie podpisał – następujące „notatki”: jeszcze w okresie istnienia „grupy specjalnej” (5 października 1949 r.) o „sprawie Spychalskiego”, a później Gomułki (17 sierpnia 1950 r.), Żymierskiego (21 września 1950 r.), Ignacego Logi-Sowińskiego (15 marca 1951 r.). Niektóre z nich były nieomal opracowaniami

– notatka o Żymierskim liczyła 36 stron, o Spsychalskim 33 strony, a o Łodze-Sowińskim 25 stron. Już od marca 1949 r. sporządzał też bieżące i okresowe omówienia lub raporty z „danych uzyskanych w toku śledztwa”, np. „Notatka informacyjna Nr 85” zawiera opis zeznań 12 osób, które były przesłuchiwane łącznie 23 razy, notatka „Nr 99”, liczy 15 stron i zawiera opisy oraz liczne cytaty z 15 przesłuchań 9 więźniów. Jak wynika z *Raportu o danych uzyskanych w toku śledztwa od 29 stycznia do 14 lutego br.* [1951], czyli w ciągu około dwóch tygodni, przesłuchano 86 osób, a więc „pracowano” intensywnie. Dokumenty tego rodzaju, choć wielostronicowe, rzadko zawierały wnioski co do dalszych kierunków przesłuchań. Wnioski takie zapisywano we wspomnianych wcześniej syntetycznych notatkach, dotyczących czy to poszczególnych osób, czy rozpracowań („spraw”) grupowych.

Przedstawiając wyniki przesłuchań, Światło nie zawsze przestrzegał wskazówek płk Szúcsa: na marginesie jednej z nich (z 27 marca 1950 r.) Romkowski czuł się zmuszony skarcić podwładnego: „Płk. Światło. Nie należy podawać streszczeń [przesłuchań] Lech[owicza] i Jar[oszewicza] powtarzających brednie”. Zmiany organizacyjne nie spowodowały bowiem zmian ani w metodach śledztwa, ani celów, do których dążyła bezpieka. W rezultacie wciąż wiele było niezbornych zeznań, co często wynikało ze stanu psychicznego zmaltretowanych więźniów lub nawet choroby psychicznej (jak Emilii Jaroszewicz), czasami z przyjmowanej przez niektórych przesłuchiwanym taktyki opowiadania oczywistych bzdur, aby wskazać w ten sposób na absurdalność oskarżeń. Wielu nie przyznawało się do czynów, o które ich oskarżano albo kluczyło, mówiąc o sprawach drugorzędnych; np. w jednej z notatek sporządzanych przez Światłę, oceniającej (21 czerwca 1950 r.) przebieg przesłuchań Hrynkiewicza, można przeczytać: „od samego początku zajął negatywny stosunek do śledztwa, w którym uporczywie trwa, zeznaje bardzo opornie, a materiał który daje jest zdawkowy, oparty o legendę jego pracy dla dobra «naszej sprawy»”. Inni poddawali się presji: „Przyrzekam – mówił kompletnie zdesperowany i zmaltretowany Spsychalski – że wszystko powiem, co tylko będę pamiętał, a jeśli czegoś nie pamiętam, to proszę mi powiedzieć, a ja na pewno się przyznam”. Niezależnie od tego czy wydawano jakieś specjalne polecenia, czy nie, „zezający opornie” zawsze musieli liczyć się z tym, że zostaną poddani torturom lub presji psychicznej, trafią do karceru, będą dodatkowo szykanowani w celi, ograniczy im się racje żywnościowe.

Rola Światły i sporządzanych przez niego informacji z przebiegu przesłuchań była o tyle istotna, iż w sprawach prowadzonych przez Biuro Specjalne (a także poprzednio przez „grupę specjalną”, później zaś przez X Departament) na ogół przyjmowano zasadę „śledztwa wycinkowego”, tzn. funkcjonariusze śledczy zajmowali się jednym czy paroma więźniami, których przesłuchiwali, ale nie mieli orientacji w całości danej „sprawy”. Ci, którzy wypytywali jakiegoś więźnia o Spsychalskiego rzadko znali materiały z przesłuchań samego

Spychalskiego czy innych więźniów, nie mówiąc o dokumentach operacyjnych sprzed aresztowania danej osoby lub dotyczących osób „związanych ze sprawą”, ale pozostających wciąż na wolności. Zwłaszcza w początkowym okresie śledczy i funkcjonariusze operacyjni słabo orientowali się w niuansach czy to organizacyjnych (np. struktur kontrwywiadu AK), czy personalnych (kto kogo i od kiedy znał, jakie były stosunki osobiste w danym środowisku), a nawet politycznych. Pod pewnymi względami dotyczyło to także najwyższych rangą funkcjonariuszy: minister (Radkiewicz), wszyscy wiceministrowie (Mietkowski, Lewikowski, Romkowski, Świetlik) i najbardziej zainteresowani dyrektorzy czy wicedyrektorzy (Fejgin, Piasecki, Brystygierowa, Światło, Józef Kratko, Józef Czaplicki), a także Berman, wojnę spędzili w Związku Sowieckim i kiedy pojawili się w Polsce mieli raczej kiepską orientację w działalności podczas okupacji i okolicznościach wielu wydarzeń. Wiedza przeciętnego śledczego czy „operatywnika” na ten temat kształtowana była z jednej strony przez polityczne czy ideologiczne klisze, takie jak współpraca „faszystowskiej” AK z Gestapo czy „zapłuty karzeł reakcji”, z drugiej powstawała na podstawie... przesłuchań oraz informacji udzielanych przez agenturę, która z zasady mówiła to, czego od niej oczekiwali prowadzący ją funkcjonariusze. Ci zaś, zwłaszcza niżej postawieni i młodzi – a było takich coraz więcej – nie mieli właściwie żadnej wiedzy o utarczkach czy walkach frakcyjnych między komunistami, informacje zaś, które posiadali, pochodziły z broszur propagandowych, głównie ze sławnego *Krótkiego kursu historii WKP(b)*, który w Polsce ukazał się w 1949 r. Wiedzę starano się uzupełniać na szkoleniach partyjnych, ale prelegenci w zasadzie opierali się na tych samych materiałach. Narzekano też, że szkolenia odbywają się po godzinach pracy, kiedy wszyscy – łącznie z prelegentami – są zmęczeni. W dodatku Światło, który był niezwykle wymagający wielokrotnie wydłużał dzień pracy. Można sobie wyobrazić, że pewna część słuchaczy, zwłaszcza śledczy czy zajmujący się obserwacją, po prostu drzemała podczas tych prelekcji. Nie lepiej było na zebraniach komórki partyjnej, podczas których wygłaszane były polityczno-ideologiczne referaty.

Pierwotkowe informacje zbierane przez funkcjonariuszy śledczych były kumulowane na wyższym szczeblu, skąd z kolei przekazywano je w formie owych „notatek” jeszcze wyżej. Udało mi się ustalić, że materiały sporządzane przez Światłę otrzymywali bezpośrednio Radkiewicz, Romkowski, Różański (jako dyrektor Departamentu Śledczego) oraz *sowieтник*, którym przez dłuższy czas był płk Nikołaszkin, ten sam, pod którego komendą przeprowadzono w marcu 1945 r. „operację Witos”, a więc stary znajomy Światły. Niewątpliwie część tych notatek – na pewno wszystkie ważniejsze, czyli dotyczące kluczowych „spraw” – trafiała do członków Komisji ds. Bezpieczeństwa, którzy otrzymywali także protokoły istotniejszych przesłuchań czy wręcz transkrypty zapisów magnetofonowych, wyciągi z informacji składanych przez agentów celnych oraz z materiałów operacyjnych. Romkowski i Fejgin odbywali też przesłuchania

w formie „rozmowy” z najważniejszymi więźniami (np. Spychalskim czy Gomułą). Niektóre z nich były protokołowane lub sporządzano z nich notatki. Rozmowy tego rodzaju, zgodnie z syndromem tak świetnie opisanym przez Arthura Koestlera w powieści *Ciemność w południe*, jako „kompleks Rubaszowa”, miały skłonić do przyznania się do winy przez „granie” na poczuci lojalności wobec partii, która wedle leninowskiej wykładni „nigdy się nie myli”. O ile udało mi się ustalić, Światło nie uczestniczył w tego typu przesłuchaniach. Zapewne dlatego, że stał za nisko w hierarchii politycznej, ponieważ – jak skarżył się żonie – miał za mały staż partyjny i „za krótko siedział w więzieniu”. Niemniej z uwagi na swoje usytuowanie najpewniej znał wszystkie – lub prawie wszystkie – dokumenty, które były przekazywane na najwyższy szczebel.

Z pewnością z materiałów tych korzystali Bierut i Berman, co poświadczają nie tylko późniejsze zeznania czy relacje, ale przede wszystkim ich odręczne uwagi lub podkreślenia w maszynopisach, które otrzymywali. Od obu „panów B.” pochodziły nie tylko wskazówki co do dalszego biegu śledztw i listy osób, które należało rozpracowywać lub aresztować, ale czasami także konkretne „pytajniki”. Najpewniej przedkładanym dokumentom towarzyszyły ustne wyjaśnienia, ale nie mam pewności, że w udzielaniu ich uczestniczył Światło. Sądzę, że robili to raczej tylko Romkowski i Fejgin, a w odniesieniu do „spisku w wojsku” Mietkowski i szefowie GZI. W każdym razie w notatkach i kalendarzykach Bieruta, których trochę się zachowało, jego nazwisko jako gościa nie występuje. Z kręgu MBP zostały uwiecznione nazwiska Radkiewicza (najczęściej), Romkowskiego, Mietkowskiego, Świetlika, Fejgina, Brystygierowej. Z tych spotkań zachowało się bardzo mało świadectw i nie sposób odtworzyć nie tylko ich przebiegu, ale także częstotliwości w jakiej się odbywały. Podobnie zresztą jest z dokumentacją tego, co działo się „oczko niżej” – na szczeblu ministerialnym czy na poziomie kierownictwa Biura Specjalnego lub X Departamentu. Z pewnością Światło spotykał się bardzo często – może nawet codziennie – z Fejginem i Romkowskim, ale poza jego dosyć bałamutnymi wypowiedziami w audycjach RWE i mało dokładnymi zeznaniami, jakie obaj zwierzchnicy Światły składali w latach 1955–1957 przed komisjami partyjnymi i prokuratorami, nic o nich nie wiadomo. Nie były protokołowane ani nie sporządzono osobnych notatek. W hierarchii zarządzania Światło znajdował się więc – licząc od góry – na czwartym szczeblu. Nad nim była Komisja ds. Bezpieczeństwa (Bierut, Berman, i Radkiewicz), potem wiceminister Romkowski, dalej dyrektor Fejgin i wreszcie on, zastępca dyrektora. Wprawdzie z wielu różnych świadectw składanych w 1954 r. i później wynika, iż Światło miał do Fejgina podobny stosunek jak do bezpośrednich zwierzchników z czasów, gdy pracował w kolejnych urzędach wojewódzkich – tzn. uważał, że jest lepszym czekistą, niemniej to Fejgin podpisywał większość dokumentów decyzyjnych, które wychodziły z Biura Specjalnego, w jego rękach były sprawy śledztw i on utrzymywał bezpośredni kontakt z aparatem KC i CKKP oraz zajmował się sprawami personalnymi.

Natomiast Światło miał na pewno bardzo dobre rozeznanie w materiałach śledczych, a niemal monopolistyczne w sprawach operacyjnych, i największy wpływ na to, co działo się w „Spacerze”.

W sprawozdaniach i opracowaniach sporządzanych przez Światłę roi się od nazwisk. Zawsze pisano je wersalikami, aby były łatwiejsze do zauważenia i zapamiętania. Są to zarówno nazwiska osób już aresztowanych, jak i tych, które na podstawie znalezienia się w czyichś zeznaniach lub informacjach agenturalnych mogły być wciągane do owych sławetnych kartotek i spisów. Prawie wszystkie osoby wymienione w kartotekach były traktowane jako podejrzane. Otwierano wobec nich różnego rodzaju rozpracowania sprawdzające (ewidencyjne), w ramach których nie stosowano działań operacyjnych sensu stricto, ale m.in. wertowano ankiety personalne czy życiorysy składane w miejscach pracy lub w organizacjach partyjnych. Każdej osobie zarejestrowanej w ten sposób nadawano kryptonim i odpowiednie numery ewidencyjne. Zasady wymyślenia kryptonimów nie były skodyfikowane i zależały od inwencji samych funkcjonariuszy. W sprawach, którymi zajmował się Światło – choć nie wiem czy to akurat on je wymyślał – natrafiłem na takie, jak: „Łysy” (Gomułka), „Łysowa” (żona Gomułki), „Dziobaty” (Władysław Bieńkowski, który rzeczywiście miał na twarzy „dzioby” po ospie), „But” (Ignacy Robb-Narbutt), „Atleta” (Loga-Sowiński), „Gruby” (Żymierski), „Prawnik” (Zenon Kliszko), „Kama” (Kazimierz Mijał), „Długi” (Janusz Zarzycki), „Tek” (Mieczysław Moczar), „Marshall” (Witold Rodziński), „Pustelnik” (Tadeusz Hołuj), „Kelner” (Tadeusz Ćwik), „Pisarz” (Aleksander Watt), „Grafik” (Mieczysław Berman, znany artysta niemający nic wspólnego z Jakubem Bermanem). Niektóre z nich tworzone w sposób neutralny np. od nazwisk (Narbutt – „But”, „Kama” od K[Kazimierz] M[ijał]) czy od wykonywanego zawodu („Pisarz”, „Grafik”), były jednak i takie, które miały charakter ośmieszający czy wręcz grubiański. Każdej rozpracowywanej osobie, niezależnie od tego czy stosowano wobec niej środki operacyjne, czy tylko „ewidencyjne”, zakładano teczkę. Gromadzone były i odkładane do teczek także różnego rodzaju listy i donosy, często anonimowe, czy informacje pozyskane od tajnych współpracowników, którzy powtarzali zasłyszane pogłoski, potwierdzone lub niepotwierdzone informacje o sprawach intymnych, nawykach i uzależnieniach. Tego rodzaju informacje pojawiały się też wcale często w protokołach z przesłuchań. W ten sposób w zasobach późniejszego X Departamentu zgromadzono np. „materiały kompromitujące” Ninę Andrycz, żonę premiera Cyrankiewicza. Zresztą sam premier również pozostawał w „zainteresowaniu” bezpieki, w związku z czym w „otoczeniu” jego i żony przebywał tajny informator. Bierut i Berman wiedzieli o obserwowaniu premiera, z pewnością nie była to inicjatywa Światły czy nawet Romkowskiego. W dokumentach zachowanych we wspomnianej już „szafie pancерnej” Bieruta znajduje się nawet „teczka Bermana”, ale została ona założona na podstawie informacji agenturalnej (z 27 marca 1951 r.) przekazanej przez GZI, nie mam

więc pewności czy Biuro Specjalne miało z nią coś wspólnego. Materiały z owej „szafy Bieruta” przechowywane są w Archiwum Akt Nowych, ale jest ona w istocie zbiorowiskiem dokumentów dotyczących setek osób różnej proweniencji i różnego kalibru – w porządku alfabetycznym od Adalińskiej Haliny do Żebrowskiego Tadeusza – a duża ich część powstawała przez kilkanaście lat po śmierci pierwszego właściciela „szafy”. W tymże archiwum są zresztą i inne „szafy” byłego przywódcy PRL.

Ważnym, a z biegiem czasu coraz ważniejszym, punktem wyjścia do rozpoczęcia rozpracowań czy wciągnięcia na listy osób „będących w zainteresowaniu” Biura Specjalnego, były informacje napływające z KC lub CKKP, niekiedy też z wojewódzkich instancji partyjnych. Komisja kontroli partyjnej gromadziła różnego rodzaju materiały głównie o działaczach, ale niekiedy i o zwykłych członkach PZPR. W atmosferze nieufności i pościgu za „wrogiem wewnętrznym” wiele osób zwracało pilną uwagę na wypowiedzi publiczne, a nawet prywatne kolegów, towarzyszy czy sąsiadów, a jeśli wydawały się im podejrzane zgłaszało je „po linii partyjnej”, bo przecież niewielu miało dostęp do bezpieki. Czasem były to informacje o charakterze obyczajowym, o kradzieżach lub nadużyciach, którymi siłą rzeczy Biuro Specjalne musiało się zajmować. Robiło to tym chętniej, że w razie potrzeby używane były jako „haki” użyteczne np. przy werbunku na tajnego współpracownika. Komisja prowadziła też – nie wiem na ile systematyczną i jak powszechną – weryfikację ankiet personalnych i życiorysów, składanych przy różnych okazjach w instancjach PZPR, zwracając uwagę na sprzeczności między jednym a drugim dokumentem czy też na luki w biografiach. Nie udało mi się znaleźć żadnych danych statystycznych, ale z pewnością wiele spraw budzących wątpliwości lub zastrzeżenia kierowano do sprawdzenia przez bezpiekę. O taką kontrolę w skali hurtowej zwracano się szczególnie po utworzeniu X Departamentu, o czym wspomnę później.

Na skutek impulsów z Komisji ds. Bezpieczeństwa czy CKKP, ale przede wszystkim w wyniku własnej działalności śledczej i operacyjnej, ilość rozpracowań szybko rosła. Jesienią 1951 r. w rejestrach Biura Specjalnego było ponad 1,8 tys. „spraw”, a niektóre z nich miały charakter grupowy. Można chyba przyjąć, iż w tym czasie w ewidencji tego pionu MBP znajdowało się kilka tysięcy osób. W tym samym czasie obliczono, że Biuro Specjalne – zapewne łącznie z „grupą specjalną” – aresztowało 302 osoby. W porównaniu z ogólnym „dorobkiem” resortu było to wciąż niewiele, ale kaliber aresztowanych był niewspółmierny z suchymi statystykami. Ogólny podział więźniów na różne kategorie może być zaskoczeniem, wedle utartych poglądów ofiarami Biura Specjalnego mieli być działacze komunistyczni. Tymczasem, według sporządzonej wówczas analizy, większość aresztowanych (176 na 302) na pewno nie miała z komunizmem nic wspólnego poza tym, że niektórzy z nich zajmowali się – urzędowo, jeśli tak można powiedzieć – zwalczaniem komunizmu. Otóż w liczbie tej 47 osób to dawni pracownicy II Oddziału SG, 29 przedwojennego MSW i urzędów

śledczych, 100 zaś – pracownicy Delegatury Rządu RP na Kraj oraz oficerowie kontrwywiadu AK. Za komunistów można uznać „prowokatorów” (39) czyli osoby, które były podejrzane o współpracę z policją przed wojną, „trockistów” (12) i aresztowanych „ze sprawy Spychalskiego” (44). Była też kategoria „różni” (31), za którą nie wiadomo, kto się kryje. Zresztą w jedynym większym, pokazowym procesie, który Biuro Specjalne zdołało przygotować w grudniu 1951 r., na ławie oskarżonych nie było ani jednego komunisty, za to cztery osoby z kierownictwa „Startu”. Był to konspiracyjny kryptonim warszawskiej Ekspozytury Urzędu Śledczego, która była komórką Państwowego Korpusu Bezpieczeństwa, podległego z kolei Departamentowi Spraw Wewnętrznych Delegatury. Ekspozytury te pracowały na rzecz Cywilnych Sądów Specjalnych, które orzekały w sprawach o kolaborację, zdradę, szpiegostwo, a także o prześladowanie Żydów. Wiele osób sądzonych po zakończeniu śledztw prowadzonych przez Biuro Specjalne należało do tej samej kategorii: działaczy, pracowników i oficerów Polskiego Państwa Podziemnego (m.in. wspomniany już Kontrym czy Kazimierz Moczański). Biuro było więc nie tylko „młotem” na różnych partyjnych odszczepieńców, ale kto wie, czy nie bardziej jeszcze instrumentem walki z państwem polskim zupełnie innym niż to, które zostało wprowadzone przez Armię Czerwoną.

Porządkując sprawy, którymi zajmowały się najpierw „grupa specjalna”, potem Biuro Specjalne i wreszcie X Departament, a których znaczna część „przechodziła” przez ręce Światły, należy wyróżnić dwa podstawowe obszary: komunistyczny i niekomunistyczny (a nawet: antykomunistyczny). W drugim z tych obszarów decydowała funkcjonalna przynależność poszczególnych osób, a więc ich związek – z reguły służbowy – z jedną z instytucji państwa polskiego, którą komuniści uważali za wymierzoną przeciwko nim zarówno przed wojną, jak i w czasie okupacji, a nawet już po 1945 r. (konspiracja niepodległościowa czy instytucje władz Rzeczypospolitej na obczyźnie lub szerzej pojmowanej emigracji). Osobną kategorią byli tylko oficerowie służby czynnej powojennej armii, którzy zostali wpisani w „spisek w wojsku”, ale z nimi Światło w zasadzie nie miał bezpośredniego kontaktu.

Natomiast na „obszarze komunistycznym” problem był znacznie bardziej skomplikowany. Szukając jakiegoś wspólnego mianownika, można zwrócić uwagę na to, czy dana osoba (lub grupa osób) przebywała, krócej lub dłużej, poza bezpośrednią kontrolą sowiecką, czy nie. Podejrzany stawali się bowiem ci, którzy znajdowali się na terenach okupowanych przez III Rzeszę lub mieli za sobą pobyt – mówiąc umownie – „na Zachodzie”. Do tej ostatniej kategorii należeli „szwajcarzy” (znajomi Fielda). W dokumentach bezpieki znajdujemy i takie wyróżnienia, jak „hiszpanie”, czyli uczestnicy wojny domowej w Hiszpanii, „palestyńczycy”, czyli ci którzy przez jakiś czas przebywali w Palestynie, „amerykanie”, ci, którzy wrócili ze Stanów Zjednoczonych (lub Kanady), „meksykanie”, „francuzi” etc. Jeśli chodzi o komunistów lub ich najbliższych komilitonów, nie było przebaczyć: w kręgu podejrzanych lub wśród aresztowanych znalazły się i takie

osoby, które były informatorami czy wręcz agentami sowieckich wywiadów, jak Rola-Żymierski, Hrynkiewicz, Lechowicz, Jaroszewicz czy Moczar. Oczywiście, jak w każdej regule i w tej nie obyło się bez wyjątków, takich jak Bierut, który od sierpnia 1941 r. przebywał na terenach okupowanych przez Niemcy (najpierw w Mińsku, później w Warszawie). Osobną kategorię wśród komunistów stanowili „prowokatorzy”, których tropiono w bezwzględny sposób. Dziś można to porównać do lustracji, w ramach której szuka się tajnych współpracowników SB wśród ludzi z opozycji demokratycznej czy „Solidarności”. W dokumentach bezpieki można znaleźć informacje, iż w ewidencji znajdowało się ponad 1,5 tys. „prowokatorów”, przy czym ani wówczas, ani dziś nie można ustalić, którzy z nich rzeczywiście byli informatorami policji lub podpisali zobowiązanie do zaprzestania działalności komunistycznej (co uczynił m.in. Radkiewicz), a którzy zostali tak zakwalifikowani na podstawie niejasnych wpisów w policyjnych rejestrach lub tylko w wyniku podejrzeń któregoś z towarzyszy. Nawet jeżeli nie prowadzili później żadnej działalności politycznej czy społecznej byli, oczywiście, „wrogami wewnętrznymi”, jak wspomniany już Aleksander Gierczyk, który popełnił samobójstwo w „Spacerze”. Oddzielną kategorią, do której niemal każdy komunista mógł zostać przypisany, byli „trockiści”, których w ewidencji figurowały setki. Podejrzewam, że założonoteczki znacznie większej liczbie „trockistów” niż kiedykolwiek było w Polsce rzeczywistych zwolenników stalinowskiego wroga Numer Jeden. Prowadzono też najdziwniejsze rozpracowania, nawet osób nieżyjących. 27 sierpnia 1951 r. Światło, jako wicedyrektor Biura Specjalnego, zatwierdził *Plan operacyjno-śledczych przedsięwzięć w rozpracowaniu „M.K.B.R.”*. Kryptonim ten utworzono z pierwszych liter nazwisk: Mutzenmacher, Kamiński, Berdych i Roszkowski, a rozpracowanie dotyczyło tajemniczego zniknięcia w 1933 r. znanego działacza KPP Joska Mutzenmachera. Wedle wersji oficjalnej został zamordowany, według nieoficjalnej, znaleziony trup był kamuflażem, a Mutzenmacher miał pójść na usługi policji politycznej (pod nazwiskiem Kamiński), natomiast pod pseudonimem Jan Alfred Reguła opublikować w 1934 r. książkę *Historia Komunistycznej Partii Polski w świetle faktów i dokumentów*, w czasie okupacji współpracować z AK i – oczywiście – z Gestapo (pod nazwiskiem Berdych), a po wojnie ukrywać się we Wrocławiu (pod nazwiskiem Roszkowski) aż do naturalnej śmierci w 1947 r. Książka Reguły była czymś w rodzaju opowieści o „kulisach KPP”. Światło miał ją w swojej domowej bibliotece, a więc może w 1953 r. wziął przykład z jej autora? W rozpracowaniu tym przesłuchiowano dziesiątki osób zarówno aresztowanych w innych sprawach, jak i odpowiadających z wolnej stopy, sięgano do kartotek POW z lat I wojny światowej, zaangażowano najbardziej wydajnych śledczych z Biura Specjalnego. Wszystko to było aberracyjne, ale dosyć dobrze oddaje zarówno zasięg rozpracowań, jak i usilne poszukiwanie spraw, których istnienie podtrzymywało rozmiary i rozmach działalności Biura Specjalnego. Oraz dobre samopoczucie funkcjonariuszy.

Tak więc latem 1948 r. zaczęło się „niewinnie”, od kilkunastu czy kilkudziesięciu osób, ale raz uruchomiona machina represji i zbrodni rozbudowywała się i pochłaniała coraz więcej ofiar. Światło nie był jej spiritus movens, jednak zajmował znaczące miejsce, a na terenie, który mu przydzielono działał energicznie i bezwzględnie. Zajmował się, jak już wiemy, głównie pracą „za biurkiem”, gromadzeniem dokumentów i informacji, przetwarzaniem ich, sporządzaniem analiz i ocen, nadzorowaniem „Spaceru”, ale tym, co czyniło go słynnym – w tamtych czasach, oczywiście, sława ta ograniczona była do kręgów osób dobrze wtajemniczonych – były „realizacje”, w których okazał się prawdziwym mistrzem. Chlubił się nimi w swych audycjach w Radiu Wolna Europa, rzeczywiście osobiście aresztował Spychalskiego (17 maja 1950 r.), Gomułkę (2 sierpnia 1951 r.) i Żymierskiego (14 marca 1953 r.). Mieć „na rozkładzie” dwóch byłych członków Biura Politycznego i marszałka – to było coś! Wiele aresztowań, w tym także te wymienione, wymagało precyzyjnych i pomysłowych przygotowań i choć decyzje, aby „zrealizować” tak ważne persony, po uprzedniej konsultacji w Moskwie zapadały w gabinecie Bieruta, to właśnie Światło – jeden z dziesiątków podpułkowników bezpieki – odpowiadał za ich sprawne przeprowadzenie.

31 stycznia 1950 r., jak ustalili Robert Spałek, Romkowski zatwierdził przygotowany przez Światłę *Plan operacyjnych przedsięwzięć w celu zabezpieczenia obiektu „M”*. Obiektem tym był Spychalski, wówczas zesłany do Wrocławia, gdzie pracował jako architekt, a literka „M” pochodziła zapewne od jego konspiracyjnego pseudonimu „Marek”, który był używany w ścisłym kręgu władzy jeszcze w 1948 r. Dla „zabezpieczenia obiektu” wyznaczono kilkunastoosobową grupę, która miała do dyspozycji samochód Citroën (6-cylindrowy), a zarówno gospodyni domowa, jak i dozorca willi, którą przydzielono Spychalskiemu, byli „ze składu osobowego WUBP”. Mieszkanie zostało wyposażone w aparaturę podsłuchową, a zatrudnione przy Spychalskim i jego rodzinie osoby wzajemnie się kontrolowały: „gospodyni – pisał w planie operacyjnym Światło – winna starać się zdobyć zaufanie (...) dozorczy”. Wydaje mi się, że „dozorca” wiedział lub domyślał się, kim jest „gospodyni”. Także osobista ochrona przyszłego marszałka PRL, przydzielona przez Departament Ochrony Rządu MBP, była pod faktycznym kierownictwem szefa całej tej grupy operacyjnej, a więc gdy Światło przystąpił do „realizacji”, całkowicie kontrolował wydarzenia. Aresztowanie nastąpiło w chwili powrotu Spychalskiego do domu. Natychmiast został odwieziony do Miedzeszyna. Jak pisze Spałek, dwa dni później Bierut zawiadomił o tym sukcesie Stalina. Nazwiska egzekutora zapewne nie wymienił, ale być może w swoim raporcie przekazał je do Moskwy główny *sowiec* przy ministrze.

Mniej pracochłonne, ale bardziej ryzykowne z uwagi na porywczy charakter i posiadanie broni, było aresztowanie Gomułki. Towarzysz „Wiesław”, jak go nazywali nawet nieznani mu osobiście pepeerowcy, co najmniej od jesieni 1949 r., był pod dosyć szczelną kontrolą komórki, którą kierował Światło,

a obserwacja – zapewne dla Gomułki, wytrawnego konspiratora, dobrze widoczna – obejmowała także wyjazdy na urlop. Tak też było w lipcu 1951 r., gdy wraz z żoną zatrzymali się w Nowym Domu Zdrojowym w Krynicy. Już 3 lipca Światło zwrócił się do szefa techniki operacyjnej, Michała Taboryskiego: „Proszę o spowodowanie zainstalowania techniki w Domu Zdrojowym (...) w pokojach ustalonych przez kpt. Szenauka i prac[ownika] Waszego Departamentu [Witolda] Dobrowolskiego”. Prośba została spełniona. Wykonując polecenie, wydane osobiście przez Radkiewicza, Światło był na miejscu 2 sierpnia już o 3.00 rano. O 7.00 wszedł do pokoju i po kilkugodzinnych namowach nakłonił małżonków, aby udali się do Warszawy. Gomułka, w przeciwieństwie do żony, która – jak napisał w sprawozdaniu Światło – była agresywna i rozhisteryzowana, zachowywał się dosyć spokojnie, choć jego wypowiedzi „cechowała duża zjadliwość”. Domagał się, by jechać pociągiem, jednak Światło, pod pretekstem, że inaczej nie zdążą na pociąg, zdołał go przekonać, żeby wsiadł do samochodu, którym mieli dojechać na dworzec w Krynicy. Ale, oczywiście, samochód wyjechał z miasta. Jeszcze w Krakowie Światło łudził Gomułkę, że polecą samolotem, ale pomagający mu Szenauk stwierdził, że „nie mógł dostać biletów”. W efekcie dzięki skuteczności wybiegów, jakich używał Światło, nie było kłopotów: „Jechałem powoli, by do Warszawy przyjechać wieczorem, kiedy będzie ciemno”. Jak łatwo się domyśleć, właściwym miejscem pobytu okazał się Miedzeszyn, gdzie oboje Gomułków rozlokowano w osobnych budynkach. Pomieszczenia, w których się znaleźli, nie były wprawdzie zawilgoconymi, ciemnymi celami w suterynie, ale jednak było to więzienie. Światło przypadł teraz dodatkowy obowiązek „opiekowania” się Gomułką. Zapewne był dumny z tego, że ma tak znamienitego więźnia, ale przysparzało mu to niemało pracy, musiał systematycznie składać raporty o tym, co robi i jak się czuje były Sekretarz Generalny. Ten zaś był niesforny, wymagający, a z czasem zaczął podupadać na zdrowiu. Wprawdzie 4 września 1951 r. to właśnie Światło przygotował obszerną „Notatkę informacyjną dotyczącą Gomułki Władysława”, którą opublikował Andrzej Garlicki w tomie *Z tajnych archiwów*, jednak sam nie przesłuchiwał najważniejszego więźnia Bieruta. Nie uczestniczył też w „rozmowach” przeprowadzanych przez Fejgina i Romkowskiego, który notabene razem z Gomułką spędził w latach 1934–1935 kilka miesięcy w „szkole kominternowskiej” w Moskwie. Mieszkali nawet w jednym pokoju. Takie to były czasy i tacy to byli ludzie.

Licząc tylko od chwili powstania „grupy specjalnej”, Światło osobiście aresztował dziesiątki osób. Zdarzało mu się też uczestniczyć w aresztowaniach, którymi bezpośrednio kierowali inni funkcjonariusze. Być może z uwagi na doświadczenie miał być pomocny w razie ewentualnych kłopotów. W tym charakterze brał udział np. w zatrzymaniu bpa Czesława Kaczmarka i prymasa Stefana Wyszyńskiego. To drugie zdarzyło się zaledwie dziesięć

tygodni przed ucieczką do Berlina Zachodniego. Jako uznany „operatywnik” uczestniczył też w wielu działaniach, które w istocie nie miały bezpośredniego związku z jego codziennymi obowiązkami, tj. walką z „odchyleniem”. W lipcu 1949 r. pojechał np. do Elbląga, gdzie po awarii w „Zamechu” rozpoczęto szeroko zakrojone śledztwo mające na celu wykrycie „sabotażystów” (a może nawet „dywersantów”) i brał udział w jego pierwszej fazie. Kiedy indziej wspólnie z Róžańskim zajmował się „urabianiem”, siedzącego w „Spacerze” Stanisława Mierzeńskiego, by ten, zgodnie z planem ułożonym przez bezpiekę, wystąpił jako świadek na procesie Adama Doboszyńskiego. Był naprawdę niezastąpiony.

X Departament

Czas mijał, w więzieniach siedzieli już Gomułka i Spychalski, główni bohaterowie planowanego procesu pokazowego. Wielu spośród tych, którzy mieli w tym spektaklu odegrać role pomocnicze, np. oficerowie ze „spisku w wojsku” czy pracownicy Delegatury i kontrwywiadu z AK, dostało już nawet wyroki, a na szczycie władzy wciąż nie zapadały odpowiednie decyzje. Ambasador Lebediew w piśmie adresowanym bezpośrednio do Stalina stwierdził, że „Śledztwo w sprawie Lechowicza–Jaroszewicza (...) planowane przez kierownictwo partii na dwa–trzy miesiące faktycznie zakończyło się fiaskiem”. Uważał też, iż „nadal pozostaje aktualna sprawa wymiany kierownictwa MBP”. Michaił Bezborodow, od marca 1950 r. główny *sowietnik* min. Radkiewicza, oceniając w czerwcu 1951 r. ogólny poziom pracy operacyjno-agenturalnej w bezpieczeństwie jako niski, proponował, aby połączyć oba biura specjalne, a istniejący w jednym z nich pion śledczy włączyć do Departamentu Śledczego, na prawach „wydziału do spraw szczególnej wagi [*osoboj ważnosti*]”. Być może pod wpływem tej właśnie ekspertyzy w kierownictwie resortu zaczęto zastanawiać się nad reorganizacją.

Trudno stwierdzić, czy i jaki wpływ na brak decyzji Bieruta co do losów Gomułki i Spychalskiego, na krytykę sporządzoną przez Bezborodowa i na podjęcie próby zmiany struktur MBP, miały tendencje o bardziej ogólnym charakterze, które obejmowały stopniowo wszystkie państwa wasalne Sowietów w Europie. Tak jak poprzednio, tak i teraz impulsy wychodziły z Moskwy, ale nie udało mi się ustalić konkretnych (personalnych) kanałów, którymi się rozchodziły. Rzeczą polegała na tym, że w Związku Sowieckim już w pierwszych latach po wojnie rozpoczął się, zrazu zakamuflowany pod hasłem „walki z kosmopolityzmem”, specyficzny rodzaj państwowego antysemityzmu. Zabójstwo znanego aktora żydowskiego Michoelsa w styczniu 1948 r. (dokonane przez służby bezpieczeństwa), rozwią-

zanie w listopadzie tegoż roku Żydowskiego Komitetu Antyfaszystowskiego (ŻKA), liczne aresztowania działaczy i intelektualistów żydowskich i coraz bardziej agresywne wystąpienia wobec Izraela, były to fakty znane i na pewno odpowiednio odczytywane w kręgach kierowniczych satelickich partii komunistycznych. Wynikało z nich, iż walka z „odchyleniem prawicowo-nacjonalistycznym” i titoizmem schodzą na drugi plan, a punkt ciężkości pościgu za „wrogiem wewnętrznym” przesuwają się na tropienie „spisku syjonistycznego”. Być może występowały też sygnały bardziej bezpośrednie lub wręcz otwarte sugestie czy – jak to nazywano ówczesnie – „rekomendacje”. Niewątpliwie ludzie z kierownictwa bezpieki wyczuwali nowe akcenty, choćby z tego, że 12 lipca 1951 r. aresztowano sowieckiego ministra bezpieczeństwa państwowego Wiktora Abakumowa, który wprowadził przeprowadził likwidację ŻKA, ale tym razem zarzucano mu zbyt małe zaangażowanie w walce z syjonizmem. Notabene razem z nim pogrążyli się Bielkin i Lichaczow, główni organizatorzy niedawnego procesu Rajka, którzy także znaleźli się za kratkami.

Sądzą jednak, że w działaniach podejmowanych w MBP decydujące były nie nowe zadania aparatu i konieczność jego przeorientowania się na nowy kierunek działania, ale przekonanie, że skoro „coś” nie działa (a nie działało, Lebediew miał rację, twierdząc, iż śledztwo mające doprowadzić do postawienia Gomułki przed sądem właściwie załamało się we wstępnej fazie) potrzebna jest reorganizacja. 4 października 1951 r. Fejgin i Piasecki zakończyli pracę nad *Projektem scalenia i reorganizacji Biura Specjalnego MBP*, w którym, po opisaniu istniejącej sytuacji i wad dotychczasowej struktury, zarysowali kierunki dalszej działalności. Jako główne zadania przedstawili: „walkę z prowokacją w Partii” (przedwojenną, okupacyjną i „współczesną”), „walkę z trockizmem” oraz „walkę z gomułkowszczyzną”. Tak określone kierunki trudno uznać za nowatorskie, gdyż MBP zajmowało się nimi od ponad trzech lat. Wydaje się, że była to raczej ideologiczna preambuła, konieczna w tego typu dokumentach. Celem projektu było bowiem przede wszystkim przedstawienie nowej formuły organizacyjnej Biura Specjalnego. Podstawowymi jej elementami były: scalenie biur Fejgina i Piaseckiego, nadanie tak powstałej jednostce struktury przedmiotowej zamiast dotychczasowej funkcjonalnej oraz podporządkowanie jej VII Wydziału V Departamentu i jego terenowych (wojewódzkich) agend. Po nieuchronnych w takich sytuacjach dyskusjach, z których jednak nie ma śladów w dokumentach, Komisja ds. Bezpieczeństwa zaakceptowała projekt, lekko go modyfikując: zreformowanej jednostce nadano nie tylko uprawnienia, ale także formalny status departamentu. 30 listopada 1951 r. został wydany przez ministra „Rozkaz organizacyjny Nr 0168/ORG”, który zakończył ewolucję zapoczątkowaną w czasach, gdy tworzone „aparat Romkowski”.

W ten sposób powstał X Departament składający się z pięciu wydziałów, których zadania sformułowano w następujący sposób: Wydział I (22 etaty) – „rozpracowuje grupy prawicowo-nacjonalistyczne”, „gomułkowszczyznę” oraz „trockistów,

titowców i pokrewnych”, Wydział II (22 etaty) – „ujawnia i likwiduje wywiad obcy w Partii”, a w szczególności „rozpracowuje reemigrację polityczną”, Wydział III (27 etatów) – „ujawnia i likwiduje prowokację w KPP” oraz „prowokację i dywersję powstałą w czasach okupacji w PPR i AL”, Wydział IV (33 etaty) – prowadzi śledztwa, Wydział Ogólny (66 etatów) – zajmuje się ewidencją, archiwami, sprawozdawczością, znajdowały się w nim także sekcja „obserwacyjno-wywiadowcza” oraz ochrona (przede wszystkim „Spaceru”). Do dyspozycji Wydziału Ogólnego, ale dostępne wszystkim pozostałym, postawiono 9 samochodów osobowych i jedną ciężarówkę. W sumie przyznano 170 etatów, w tym 44 etaty starszych oficerów i 8 pracowników cywilnych. Ponadto kierownictwo departamentu i jego obsługa dysponowało 7 etatami. Z czasem wydzielono ochronę i sekcję obserwacyjną, tworząc osobny Wydział V (69 etatów), a w kierownictwie powstał Inspektorat Dyrektora, czyli coś w rodzaju komórki kontroli wewnętrznej. Ilość etatów przydzielanych departamentowi stopniowo zwiększano do 219 w 1953 r., ale nie jest pewne, ile osób faktycznie było tam zatrudnionych. Na pewno mniej niż wynikało to z przyznanych etatów. Podobna była sytuacja niemal we wszystkich pionach MBP, a „wakaty” sięgały niejednokrotnie 20–30%. Można więc przyjąć, że stan faktyczny X Departamentu nie przekraczał jednorazowo 150–200 osób.

Nie zmienił się podstawowy element konstytutywny całego pionu: pozostał on nadal autonomiczną częścią MBP i jako jedyny posiadał własną komórkę śledczą, jednostki ochrony i inwigilacji, a nawet własne więzienia. Jego istnienie było nadal tajemnicą wewnątrz resortową, choć sądzę, że w obrębie aparatu bezpieczeństwa była to już tajemnica poliszyneł, zwłaszcza gdy na terenie całego kraju powstały jednostki terenowe. Z uwagi na kierunek działań departament miał na pewno lepszy kontakt z Komisją ds. Bezpieczeństwa niż inne piony bezpieki i zapewne częściej też otrzymywał od niej wytyczne, wskazówki i polecenia. Natomiast chyba między bajki należy włożyć różne napomknienia Światły o jego częstych spotkaniach z Bierutem i Bermanem, nie mówiąc już o bezpośrednim połączeniu telefonicznym z Berią. Bardzo wątpię, czy miał takowe choćby z sowieckim ministrem bezpieczeństwa. „Łączem” byli bowiem *sowiećnicy* i nawet Radkiewicz nie jeździł do Moskwy. Nie musiał, miał przecież „Moskwę” na miejscu. Natomiast prawie na pewno na biurku Światły stał telefon WCz (wysokiej częstotliwości), który umożliwiał błyskawiczne i trudne do podsłuchania rozmowy w elitarnym kręgu dysponentów tego rodzaju aparatów. Nie znalazłem też żadnych świadectw, aby Światło bywał gościem czy to ambasadora sowieckiego, czy któregoś z doradców politycznych ambasady. Mimo całego uznania dla jego umiejętności, to jednak Radkiewicz był głównym „kontaktem” Bieruta, co poświadcza kalendarzyk „polskiego Stalina”: np. w grudniu 1952 r. był u Bieruta co najmniej 5 razy, a w styczniu następnego roku co najmniej 4 razy. Spotykali się również na posiedzeniach Biura Politycznego. Nazwiska Światły w tym kalendarzyku nie ma. Nie musi to być świadectwo ograniczonego zaufania, ale Światło, mimo że zajmował się rozpracowaniem

i osobiście aresztował Spychalskiego, a także przez dłuższy czas miał go pod swoją pieczę w „Spacerze”, nie uczestniczył we wspólnych przedsięwzięciach śledczych podejmowanych w związku ze „spiskiem w wojsku”. Jerzy Poksiński, który w monografii „*TUN. Tatar-Utnik-Nowicki*” szczegółowo przeanalizował represje wobec oficerów, nazwisko Światły umieszcza w kontekście rozpracowań i aresztowań Spychalskiego i Żymierskiego, nie występuje ono jednak przy wszystkich innych sprawach dotyczących bezpośrednio „spisku w wojsku”. Wnoszę z tego, że Światło raczej nie współpracował – albo miał rzadko po temu okazję – z oficerami GZI, nawet na szczeblu operacyjnym, choć np. aresztowanego Żymierskiego zawiózł, jak sam wspominał, wprost do siedziby GZI przy ul. Oczki. Oficerowie, których aresztował – obok wymienionych także np. Grzegorz Korczyński – znajdowali się w gestii MBP, a nie wojska. Niemniej jednak był jednym z niewielu funkcjonariuszy MBP spoza wywiadu, którzy wyjeżdżali z misjami zagranicznymi. Wspominałem już o jego dwukrotnym pobycie na Węgrzech w 1949 r., ale do Budapesztu wyjechał jeszcze raz w 1950 r., w tym samym roku był w Pradze, do której pojechał dwukrotnie w listopadzie 1953 r. (zapewne w związku ze sprawą włoskiego komunisty Ennio Pasqualini vel Castiglione, którego sam aresztował), czyli tuż przed ucieczką. Na ówczesne stosunki – prawdziwy globtroter.

Zwierzchnikiem departamentu z ramienia kierownictwa resortu został Romkowski. Lewikowski zajął się innymi sprawami, zresztą w grudniu 1952 r. wyjechał jako ambasador do Moskwy, jego miejsce zaś zajął Jan Ptasieński, który przyszedł do MBP wprost z aparatu partyjnego. Dyrektorem X Departamentu (na etacie generała brygady) został płk Fejgin, jego zastępcami (na etatach pułkowników) ppłk Piasecki i Światło. Pod względem personalnym w kierownictwie pionu nic się więc nie zmieniło. Także na niższych stanowiskach kierowniczych było niewiele zmian, a te, które wystąpiły, wynikały z przejścia do X Departamentu funkcjonariuszy „od Brystygierowej”. Z czasem następowały, oczywiście, pewne zmiany kadrowe, awanse czy przesunięcia między pionami, ale ich zakres był raczej ograniczony. Najbardziej stabilna była sytuacja w wydziale śledczym, w którym naczelnik Józef Dusza i jego zastępca Adam Bień pozostali na stanowiskach aż do 1954 r. Kierownictwo departamentu podzieliło między siebie zwierzchnictwo nad poszczególnymi działami: Fejgin nadzorował wydział śledczy i kancelarię z Wydziału Ogólnego, a później także Inspektorat; Piasecki zajmował się działalnością Wydziału II – czyli owymi „szwajcarami”, „palestyńczykami” czy „amerykanami”; w gestii Światły, czy to dlatego, że był uważany za pracoholika, czy dlatego, że miał takie ambicje, znalazło się najwięcej komórek – wydziały I i III oraz ochrona i sekcja „obserwacyjno-wywiadowcza” (później Wydział V). Niewątpliwie oba podległe mu wydziały były kluczowe, jeśli chodzi o prowadzenie rozpracowań, a w każdym razie ważniejsze niż ten, którym opiekował się Piasecki. Nie zależało to zapewne tylko od jego woli, ale Światło nadal wykazywał pewien dystans wobec spraw śledczych i dlatego nie aspirował do nadzoru nad Wydziałem IV. A może nie

dostał go, ponieważ w śledztwie działały się rzeczy najważniejsze, czy – jak byśmy dziś powiedzieli – delikatne, a więc osoba sprawująca kontrolę nad nimi powinna się cieszyć szczególnym zaufaniem. Zapewne dlatego właśnie odpowiedzialnym za tę komórkę został Fejgin, który niewątpliwie należał do wąskiego grona osób mających najwyższe „noty” u Bieruta (m.in. brat Mieczysław był jednym z jego osobistych lekarzy) i Bermiana, który go znał sprzed wojny.

Na podstawie relacji z 1954 r. oraz późniejszych zeznań, można sądzić, że Światło nie zmienił ambiwalentnego stosunku do swojego bezpośredniego zwierzchnika: miał wobec niego poczucie niższości z racji braku wykształcenia i krótszego stażu partyjnego, jednocześnie uważał, że jest w stanie znacznie lepiej, energiczniej i skuteczniej, prowadzić rozpracowania i podejmować działania operacyjne. Na podstawie tych samych źródeł można wnosić, że Fejgin odnosił się do podwładnego raczej przychylnie, darzył go zaufaniem i nie miał oporów przed powierzaniem mu ważnych zadań. Zapewne utrzymywali kontakty także poza miejscem pracy, np. dysponowali mieszkaniem w tej samej letniej willi w Świdrze. Fejgin jednak nie zdradzał tendencji do zbytnej poufałości. Z Piaseckim Światło wciąż był skonfliktowany (a może to Piasecki „wojował” z nim?), co przenosiło się na podległych im funkcjonariuszy. Podział na „ludzi Światły” i „ludzi Piaseckiego” utrwalił się tym łatwiej, że urzędowali w tym samym gmachu przy ul. Koszykowej, ale na różnych piętrach – Piasecki na II, a Światło na III (mówiono więc, że „był górą”). Piasecki, starszy o 10 lat i z odpowiednio dłuższym „stażem bolszewickim”, uważał Światłę nie tyle za nuworysza w komunistycznym gronie, ile za osobę zbyt zafascynowaną sprawami operacyjnymi, która nie przywiązuje większej wagi do kontekstu politycznego, a nawet wręcz za człowieka „bezideowego”. Z niektórych rozmów Światły z żoną można wnosić, iż on sam miał o sobie podobne zdanie. Konflikty między nimi dotyczyły zapewne sporów o to, kto ma się kim zajmować. Jeśli np. „palestyńczyk” był jednocześnie trockistą, to który wydział powinien go rozpracowywać – I czy II? A reemigranci z Jugosławii – to „jugosłowianie”, którzy są agentami obcego wywiadu (Wydział II), czy „titoiści” (Wydział I)? Stosunki między obu panami zaognił incydent z kartoteką, którą Piasecki wniósł w wianie do departamentu. Światło, który zarządzał bieżącą ewidencją, nakazał porównanie z już istniejącą i zniszczenie dublujących się wpisów, co Piasecki uznał za karygodne, a nawet podejrzanе. Z kolei Światło zarzucał Piaseckiemu liczne błędy w pracy operacyjnej, „biurokratyczne” typowanie osób podejrzanych i prowadzenie rozpracowań tak, aby udowodnić, że miał rację. Jak wynika z niektórych świadectw, targowali się też np. o przydział mieszkań dla „swoich” pracowników. Konflikt osiągnął takie rozmiary, iż Fejgin stanął przed dylematem, którego z nich zostawić w departamencie i doszedł do wniosku, że „z punktu widzenia pracy operacyjnej” należy zostawić Światłę, na co Romkowski wyraził zgodę. W rezultacie Piasecki w listopadzie 1953 r. złożył raport o przeniesienie do innej komórki MBP i od 1 grudnia został wicedyrektorem Departamentu Szkolenia.

W oświadczeniu z 1954 r. Piasecki zwracał uwagę, że jego adwersarz nie przepadał za „dobrymi towarzyszami z KPP” i „publicznie nazywał je «batalionem śmierci»”. Zapewne z uwagi na wiek. Jedną z członkiń owego „batalionu”, najwyraźniej nienawidząca Światły, w swoim oświadczeniu z października 1954 r. zwracała z kolei uwagę na nieprzychylny stosunek Światły do sowieckiego doradcy. Bywało nie tylko tak, że gdy płk Nikołaszkin wchodził do gabinetu, „on, rozparty w fotelu, zaczynał załatwiać różne telefony” – nawet, o zgrozo, prywatne – albo że wygłaszał „zgryźliwe” komentarze o Związku Radzieckim (oczywiście nie w obecności Nikołaszkina). Co bardziej istotne, polecił owej towarzysze, by dawała *sowietnikowi* tylko te protokoły z przesłuchań, w których „jest mowa o Związku Radzieckim”. Oczywiście tow. Nela Stanikowa do tego polecenia się nie stosowała i zarzucała biednego Nikołaszkina, który słabo znał polski, stertami papierów. Tak więc stosunki na „górze” nie należały do przykładowych i nie mam wątpliwości, że działo się tak z powodu charakteru wicedyrektora Światły.

Nie wiem nic konkretnego o jego kontaktach i stosunkach z dyrektorami czy wicedyrektorami innych departamentów. Z uwagi na potrzeby operacyjne czasami te kontakty musiały być bliskie i częste, jak z Brystygierową, szefami departamentów III (walka z konspiracją) czy IV („ochrona” gospodarki). Bliskie nie oznacza jednak, że dobre. Nieuchronne były bowiem spory np. o to, do kogo należą poszczególne rozpracowania lub bardziej znani „figuranci”. W nielicznych, ale ważnych sytuacjach, Światło musiał troszczyć się o dobre stosunki z płk Faustynem Grzybowskim, sowieckim oficerem odkomenderowanym do bezpieki już w sierpniu 1944 r., który był dyrektorem Departamentu Ochrony Rządu MBP. Bez ścisłej współpracy z jego podwładnymi nie byłyby możliwe ani rozpracowywanie, ani tym bardziej „realizacja”, osób objętych ochroną.

Stosunki z podkomendnymi dosyć dokładnie odzwierciedlały to, co Orechwa napisał w ocenie wystawionej w 1950 r., aczkolwiek należy zastrzec, że utrwalone wypowiedzi krytyczne wobec Światły z reguły pochodzą z jesieni 1954 r. i mogły być dyktowane szczerym (lub udawanym) oburzeniem jego ucieczką. Jednak o jego problemach z osobami podległymi wspomina także Justyna Światło, która nie miała powodów, żeby jakoś specjalnie go obgadywać. W tych negatywnych ocenach powtarzają się takie określenia jak arogant, brutal, stupajka, a nawet sadysta. Ostatni epitet wziął się zapewne z powodu wymagań, jakie stawiał pracownikom. Bywał złośliwy, a jednocześnie miał cechy pedanta. Na jedno z zebrzań partyjnych przyniósł szufladę z biurka pewnego funkcjonariusza, pokazując wszem i wobec, w jakim stanie znajdowały się umieszczone w niej papiery. Na innym zebraniu strofował podwładnych za trzymanie w szafach pancernych żywności, skarpetek i „starych butów” obok dokumentów. Takiego szefa trudno lubić i szanować. W 1952 r. skargę do Radkiewicza wysłał wicedyrektor Biura Socjalnego, od którego Światło zażądał pokojów o najwyższym standardzie w nadmorskim domuczasowym MBP, choć za późno się zgłosił:

„W obelżywy sposób odgrażał się pod adresem Biura Socjalnego. W ordynarny sposób zwymyślał (nie wymieniając nazwisk) dyrektorów, szefów WUBP, komendantów wojewódzkich MO, jako nierobów”, którzy jadą na wygodne urlopy, gdy on, „ciężko pracujący”, nie może dostać miejsca. Najwyraźniej wpadł w szewską pasję: nic dziwnego, był przecież szewcem. Wymusił w końcu przydział, ale – jak donosił wicedyrektor – „Pozostawił po sobie wobec personelu i wczasowiczów bardzo niepochlebne wrażenie”. Podwładni też wypominali, że stworzył koło siebie „paczkę” potakiewiczów, sprowadził z Krakowa dawną współpracowniczkę, faworyzował znajomego żony sprzed wojny. Innymi słowy – uprawiał kumoterstwo. Zarzuty te zostały o tyle potraktowane serio, że kilka osób uznanych za „dwór Świątły” zostało, po tym, jak ujawnił się za granicą, zwolnionych ze służby tylko z powodu znajomości ze zdrajcą.

W 1954 r. zgłaszano też wiele zastrzeżeń, co do jego nikłej aktywności na forum partyjnym. Rzeczywiście lektura protokołów zebrań POP nr 22 wskazuje, że poza pierwszym zebraniem, z lata 1949 r., udzielał się stosunkowo rzadko, parę razy zasiadał w prezydium, kiedyś był w komisji skrutacyjnej, od czasu do czasu zabierał głos, jednak ani razu nie wygłosił referatu. Czasami pojawiał się na zebraniu egzekutywy jako „przedstawiciel administracji”, nie kandydował na delegata na zebrania wybierające władze „dzielnicy”. Piasecki i Fejgin byli bardziej widoczni, każdy z nich przez pewien czas był nawet członkiem egzekutywy. W połowie 1953 r. PZPR przy X Departamencie liczyła 144 członków i z uwagi na liczebność, a także z powodu miejsc pracy rozlokowanych w różnych częściach Warszawy („Spacer”, więzienie mokotowskie, biura na Koszykowej) już od pewnego czasu była podzielona na trzy oddziałowe organizacje partyjne. Zebrania tych OOP miały dosyć specyficzny charakter. Wobec braku aktywnych związków zawodowych, których nie umiała zastąpić Komisja Pracownicza, były one forum, na którym „załoga” zgłaszała problemy socjalne i personalne: narzekano na zbyt długi czas pracy i na złe warunki, na brak mieszkań i niskie uposażenia, na niesłuszne ukaranie kogoś przez zwierzchność. Rozpatrywano nieraz bardzo szczegółowo konflikty między funkcjonariuszami, krytykowano się wzajemnie np. za niski poziom szkolenia ideologicznego, omawiano – nie szczędząc szczegółów – przypadki pijaństwa, kradzieże, które zdarzały się w „Spacerze”. Krytykowani nakłaniani byli do składania samokrytyki, a zebrani domagali się, aby była ona „szczerą”. Kiedyś debatowano nad skargą „byłej narzeczonej” pewnego funkcjonariusza, który obiecywał małżeństwo, a potem się wycofał. Skarżąca „zwraca się o interwencję (...) w kierunku zmuszenia go do ożenienia się z nią”. Była, oczywiście, również warstwa ideowo-rytualna: referaty z okazji rocznic i świąt komunistycznych lub „przenoszące w teren” uchwały KC, towarzyszące im dyskusje, na zakończenie odśpiewywano Międzynarodówkę. Podejmowano też, bez wątpienia, zobowiązania produkcyjne. Np. 19 marca 1952 r., w związku z sześćdziesiątą rocznicą urodzin Bieruta i świętem 1 Maja, funkcjonariusze śledczy podjęli się, że zakończą „przed terminem” akty oskar-

zenia w kilkudziesięciu sprawach, a najbardziej aktywni (albo najbardziej zaawansowani w śledztwach) zobowiązywali się przygotować po cztery akty oskarżenia. Prawdziwi stachanowcy. Światło starał się dopingować towarzyszy i np. w listopadzie 1952 r. na jednym z zebrań stwierdził, że „złą pracą całej jednostki jest brak aresztowań”. Ergo, dobra praca oznacza wielu więźniów.

Departament uchodził za awangardę безпеki i sami funkcjonariusze też tak siebie traktowali. Z bardzo interesującego, statystycznego opracowania Konrada Rokickiego *Portret zbiorowy kadry X Departamentu* wynika, iż rzeczywiście pod pewnymi względami przeciętny pracownik tego pionu różnił się mniej lub bardziej od innych przeciętnych w resorcie. Podwładni Fejgina byli starsi niż ogół ubeków (38% powyżej 30 lat), ale i tak byli młodzi (59,5% w przedziale 22–30 lat), trochę więcej miało wykształcenie „średnie niepełne” (35,5%), ale trochę mniej wykształcenie wyższe (1,7% wobec 2,6%), mieli wyraźnie dłuższy staż bezpieczniacki (30,2% zaczęło służbę w 1945 r.), więcej deklarowało pochodzenie robotnicze (64,6%), a mniej chłopskie (26,7%), znacznie wyższy był stopień „upartyjnienia”, czyli przynależności do PZPR (91,4% wobec 71,8%), zdecydowanie więcej było osób, które należały do KPP lub jej przybudówek (15,5% wobec 4,2%) oraz działały w partyzantce peperowskiej lub sowieckiej (8,6% wobec 4,8%). Mniej było osób z wpisaną narodowością polską (89,7%), a wyraźnie więcej miało w odpowiedniej rubryce ankiety wpisaną narodowość żydowską (8,6% wobec 2,3%). Nie wiadomo jednak, kto dokonywał tego wpisu – czy zainteresowany, czy pracownik komórki kadrowej. Niemożliwe jest wiarygodne zinterpretowanie danych określających stosunek do religii, jak zaznacza Rokicki – w 1951 r. wprowadzono nowe kwestionariusze, ale nie wszyscy ubecy je wypełniali i w znacznej części ankiet pozostały stare zapisy świadczące raczej o środowisku, z którego pochodzili niż o indywidualnych wyborach. Z tych statystyk wynika bowiem, że wierzącymi było 29,6% ogółu ubeków i nawet więcej, bo aż 37,9%, pracowników X Departamentu. Było to całkowicie niezgodne z wewnętrznymi przepisami, wedle których „religianctwo” wykluczało pracę w MBP nie tylko na stanowiskach kierowniczych, ale we wszystkich komórkach operacyjnych, śledczych itp. Bezpartyjność, a zatem chyba też i przywiązanie do wiary, dopuszczalne były wśród pracowników obsługi (kierowcy, sprzątaczkii), w ochronie czy w służbach socjalnych (przedszkola, domy czasowe, kluby) i medycznych. W takim mniej więcej towarzystwie obracał się Światło.

W świadectwach składanych w 1954 r. znajdują się nieliczne uwagi dotyczące „prowadzenia się” Światły. Pochodzą one głównie od kierowców, tzn. osób stosunkowo nieźle znających zwyczaje wożonego prominenta. Jeden z szoferów relacjonował, że gdy woził szefa do Łodzi, Światło „zawsze starał się przygadać sobie jakąś kobietę i popić wódki, przeważnie w restauracji Grant [sic] Hotelu”, oraz że woził dla niego lekarstwa, o „których fryzjer MBP mówił, że są na chorobę weneryczną”. Inny z kolei oświadczył, że dyrektor „po godzinie 16.00 codziennie brał samochód, trochę owocy [sic] i słodczy i gdzieś jeździł”

(podejrzewam, że do żony i dzieci, które były na wakacjach w Świdrze). Jeszcze inny utrzymywał, że widział Światłę „goniącego za babami [sic] i pożyczal samochód aby mógł [sic] powozić nieznane kobiety”. Niezadowoleni podwładni sugerowali w 1954 r. niemal jednoznacznie, że wskazaniem na konkretne osoby, iż wśród pań pracujących w departamencie miał jedną czy dwie kochanki. Nie sądzę, aby tego typu zachowania – jeśli rzeczywiście występowały, co wydaje się prawdopodobne – stanowiły jakiś specjalny wyjątek w bezpieczeństwie. I nie tylko w bezpieczeństwie. Nie jest to tak bardzo ważne, choć niektórzy, pisząc o Światle, łączą jego sadyzm z erotomanią. Wiele osób tak właśnie wyobraża sobie Zło. Może i mają rację?

Stanisław Marat i Jacek Snopkiewicz w książce *Ludzie bezpieki. Dokumentacja czasu bezprawia*, opartej na materiałach procesu Romkowskiego, Różańskiego i Fejgina z 1957 r., przytaczają za owymi kierownikami z MBP informacje, że w czasie rewizji Światło przywłaszczał sobie różne mniej lub bardziej cenne przedmioty. Uczestniczyć w tym procederze mieli zresztą także inni funkcjonariusze (i funkcjonariuszki). Mowa m.in. o przewożeniu „do Światły” ubrań, książek, mebli, naczyń. W jednym przypadku chodziło o „dwa zegarki na rękę, dwa dywany, narzuty na tapczan oraz aparat fotograficzny”, w innym Światło wyszedł z rewidowanego lokalu, „mając wypchaną teczkę”, a wchodził z pustą, kiedy indziej miał zabrać „wiele cennych przedmiotów ze złota, wagi około 2 kg, które nie zostały ujęte w protokole rewizji”. Trudno zweryfikować prawdziwość tych informacji. Na pewno część mebli i wyposażenia była przeznaczona – jak wynika z oświadczeń tych samych osób – do mieszkań konspiracyjnych (przy ul. Katowickiej na Saskiej Kępie, ul. Franciszkańskiej, ul. Marszałkowskiej, w alei Waszyngtona), część zaś przewożono do willi w Świdrze, w której „latem mieszkała głównie rodzina Światły ze służącą”, dom ten jednak należał do MBP i używali go także inni wyżsi rangą funkcjonariusze. Inne przedmioty lądowały w magazynie depozytów w Miedzeszynie. Prawdopodobnie część skonfiskowanych przedmiotów Światło brał do nowego mieszkania przy alei Przyjaciół 8. Nie udało mi się ustalić, kiedy się tam przeprowadził, niewątpliwie jednak otrzymanie dużego mieszkania w tym miejscu było oznaką dotarcia na wysoki szczebel hierarchii. Ulica ta należała bowiem do jednego z najbardziej prestiżowych miejsc przeznaczonych dla komunistycznego establishmentu, w tym dla ludzi z bezpieki. W tym samym budynku mieściła się stołówka dyrektorska MBP, nieopodal mieszkali m.in. Mietkowski, Brystygierowa, a także Nikołaszkin. Gmach MBP znajdował się o krok i do pracy Światło mógł „chodzić w kapciach”. Zajmowane przez niego mieszkanie nr 4 znajduje się na I piętrze, a więc najlepszym, klatka schodowa jest – sprawdziłem – bardzo elegancka: lustra i granit. Swoją drogą, ciekawe po kim zajął to mieszkanie? Nie można wykluczyć, że poprzednim użytkownikiem był ktoś aresztowany przez MBP. W końcu, jak wiadomo, „młyny bezpieki” miały równo na dole i na górze hierarchii.

Kiedy ucieczka Światły wyszła na jaw, rodzinę wyeksmitowano, a w mieszkaniu przeprowadzono rewizję (następne pytanie: kto się tam wprowadził?). Nie znaleziono – a przynajmniej w sporządzonych protokołach nie uwidocznilo – żadnych kosztowności ani jakichś szczególnie cennych dóbr. W wykazie mebli znajdują się 32 pozycje, pozostałe wyposażenie mieszkania liczy kilkanaście pozycji (w tym „jeden dywan”, „dziesięć widoków”), nie porażał ilością sprzęt kuchenny (w tym 12 talerzy porcelanowych, ale chyba nie była to porcelana antykwaryczna). Odnotowano też 8 tomów *Bolszoy sowieckoj encikłopedii* i 502 książki. W piwnicy zarejestrowano z kolei ponad 40 pozycji (w tym 340 „książek różnych”, kanister, ozdoby choinkowe i zabawki dziecięce). Do wykazu wpisano też: „przybory toaletowe w skórzanej oprawie”, „okulary słoneczne sztuk trzy”, dwie kabury, sześć sztuk amunicji małokalibrowej, lornetkę, maszynkę do strzyżenia, mapnik, „trzy fajki w tym jedna w skórzanej oprawie”. Ze spisu wynika, że Światło posiadał – nie licząc tego, w czym pojechał do Berlina – m.in. trzy garnitury (jasny, brązowy i czarny), mundur, kilka jesionek i płaszczy (w tym jeden nieprzemakalny, a więc taki, w jakim widuje się zazwyczaj tajniaków), marynarki (w tym jedna welwetowa), dwa kapelusze i czapkę cywilną (ponadto dwie wojskowe i furazerkę), 41 koszul, 57 par skarpetek, 24 krawaty, 15 sztuk „kaleson krótkich” i 21 długich, trzy swetry, 6 sztuk kąpielówek, cztery pary półbutów oraz oficerki. Justyna Światło natomiast miała: dwa futra (jedno z białym, drugie z czarnym kołnierzem, a więc pewnie były to pelisy), kilka kostiumów i żakietów, kilkanaście sukienek, pięć spódnic, cztery torebki, siedem par pantofli skórzanych. Trzeba przyznać, że w ciągu ośmiu lat, które minęły od wojny, zebrało się tego sporo, być może część sobie przywłaszczyl, ale też w zbiorze tym nie natrafiono na nic nadzwyczajnego, chyba że „dziesięć widoków” okazałoby się dziełami znanych malarzy. Dóbr ruchomych było, rzeczywiście, dosyć dużo, ale (jak sprawdziłem) sam mam około 30 par skarpetek.

W spisach nie figurują wyroby ze złota o łącznej wadze 5 kg, o których mówili pracownicy olsztyńskiego WUBP (3 kg) i X Departamentu (2 kg). Coś mi się wydaje, że Światło nigdy ich nie miał. Przez szafy, sejfy i inne kasy pancerne bezpieki przechodziły spore – jak na ówczesne czasy – pieniądze i duże ilości biżuterii. Gdy w listopadzie 1954 r. likwidowano biuro Romkowskiego przekazano do NBP tylko „część cenności” oraz 233 tys. dolarów. W 1956 r. w depozycie Departamentu Finansowego znajdowało się m.in. 226 tys. dolarów papierowych i 3 tys. w złocie oraz 270 zegarków damskich „żółtych”. Z samych tylko kas WiN zabrano w latach 1945–1947 ponad 2 mln dolarów. MBP miało też waluty i kosztowności konfiskowane Niemcom czy volksdeutschom. Była to zwyczajnie działalność rabunkowa. KC PPR miał z kolei „czarną kasę”, którą zarządzała Zofia Gomułkowa (później podobnymi dysponowali I sekretarze), a większość znajdujących się w niej środków została przekazana przez MBP. Inne pochodziły z różnego rodzaju – często nielegalnych – operacji handlowych i finansowych, które przeprowadzał wywiad MBP do spółki z wywiadem wojskowym. Przy tak

dużym obrocie, w dodatku „towarem” łatwo przylepiającym się do rąk, z całą pewnością przytrafiały się setki malwersacji i przypadków „prywatyzowania” tych dóbr. Być może Światło należał do tych, którzy chcieli – i umieli – wykorzystywać liczne okazje. Tak twierdził Fejgin w rozmowie z Henrykiem Piecuchem, ale oczywiste jest, iż od grudnia 1953 r. były dyrektor X Departamentu nie żywił sympatii do Światły i gotów był oskarżyć go o wszystko. Jednak z tego, że nie ma „twardych” dowodów nie wynika, oczywiście, że Światło był uczciwy do szpiku kości. Ale kałesonów chyba nie kradł.

Zmianą ważniejszą niż nadanie nowej struktury w związku z przekształceniem Biura Specjalnego w X Departament, było przejście z V Departamentu sieci jednostek terenowych. Na mocy rozkazu ministra we wszystkich siedemnastu wówczas WUBP na miejsce siódmych sekcji wydziałów V pojawiły się wydziały X. Nie przewidywano tworzenia ich odpowiedników w urzędach powiatowych, ale – jak wynika z niektórych dokumentów – gdzieś tam powoływane były 2–3 osobowe grupy operacyjne. Powstanie struktur terenowych stwarzało funkcjonariuszom z centrali znacznie większe możliwości działania, pozwalało bowiem na wiązanie z terenem spraw, które prowadzili i na przejmowanie rozpracowań wszczętych w jakimś województwie. Dzięki ich istnieniu wyraźnie zwiększyła się ruchliwość funkcjonariuszy, częstsze stały się wyjazdy służbowe, ale też przybyło sporo pracy, gdyż z każdego województwa napływały zarówno sprawozdania okresowe, jak i „meldunki nadzwyczajne”, na które trzeba było reagować lub co najmniej wprowadzać do rejestrów i ewidencji. Komórki w urzędach wojewódzkich były stosunkowo nieliczne – kilka do kilkunastu osób. Zmiany nie przygotowano najlepiej: pierwszą instrukcję – wysłaną w końcu stycznia 1952 r. – spisano na jednej stroniczce, zapowiadane zaś w niej właściwe wytyczne opracowano dopiero w lipcu 1953 r. Instrukcja z 1952 r. mocno ograniczała samodzielność komórek wojewódzkich, właściwie na wszystkie przedsięwzięcia operacyjne – rozpoczęcie rozpracowań operacyjnych, inwigilację, aresztowania i werbunek informatorów – musiały mieć zgodę departamentu. Z wyjątkiem specjalnych przypadków, ale też z sankcją „góry”, nie mogły podejmować pracy śledczej, która była zastrzeżona dla „góry”. W instrukcji zwracano uwagę, że wydział „w żadnym wypadku nie zajmuje się rozpracowaniem Partii, lecz rozpracowaniem poszczególnych podejrzanych członków Partii, piastujących stanowiska poniżej I Sekretarza KP PZPR” i to tylko „za wiedzą i zgodą I Sekretarza KW PZPR po uprzednim zatwierdzeniu przez Departament X”.

W połowie marca odbyła się dwudniowa odprawa naczelników wydziałów, którą otwierał Fejgin. Wygłoszone zostały na niej cztery referaty „kierunkowe” (np. *Wroga działalność trockizmu–titoizmu i nasze zadania*), którym towarzyszyła ożywiona dyskusja. W drugiej części narady odczyt *Jak należy prowadzić pracę z siecią agenturalną* wygłosił Światło, a Piasecki objaśniał tymczasową instrukcję oraz problem „współpracy z [wojewódzką] Komisją Kontroli Partyjnej”. Później organizowano różne kursy dla naczelników z tere-

nu, a na niektórych pojawiały się autorytatywne osoby spoza departamentu. Kiedyś jako prelegenci wystąpili m.in. Franciszek Jóźwiak-Witold (*Nauka Lenina i Stalina o czujności rewolucyjnej*), kierownik Wydziału Historii Partii KC Tadeusz Daniszewski (*O agenturach burżuazyjnych w polskim ruchu robotniczym i ludowym w okresie przedwojennym*), Leon Finkelsztajn z aparatu KC (*Funkcje państwa Demokracji Ludowej*), min. Radkiewicz (*O bezpieczeństwie w kraju*) i Brystygierowa (*Państwo a kościół*). Także w dziale „tematyka operacyjna” dużo było politruckiego gadania (*Trockizm i jego koleje, Historia i teoria titoizmu*). Światło nie próbował wypływać na szersze – i zdradliwe – wody i trzymał się swojej specjalności. Tematy jego prelekcji brzmiały: *O budowie sieci agencyjnej z uwzględnieniem specyfiki wydziału X* lub *Praca z siecią agencyjną i podstawa zakładania spraw ewidencyjnych i agencyjnych*. Dziś powiedzielibyśmy – prawdziwy profesjonalista. Jednak zawsze pamiętał, aby uświadomić cel, którym była „likwidacja zbrodniczej działalności wroga klasowego i obcych mocarstw, inspirowanej przez wywiady państw imperialistycznych”.

Wedle statystyki, przygotowanej na podstawie sprawozdań za I kwartał 1952 r., wydziały X prowadziły 609 spraw, przy czym ponad połowa dotyczyła „linii 3”, tzn. „prowokacji” w KPP oraz „prowokacji i dywersji” w PPR i GL. Spraw prowadzonych w ramach „linii 2”, nadzorowanej przez Piaseckiego (szpiegostwo, reemigracja), było niespełna 50, tj. mniej niż 8%. Tak więc Światło sprawował kontrolę nad prawie całą działalnością w terenie. Gdy w 1955 r., po rozwiązaniu nie tylko departamentu (w czerwcu 1954 r.), ale także reorganizacji MBP (w grudniu), robiono w bezpiece rodzaj bilansu działalności tych wydziałów, ustalono – jak pisał Mariusz Krzysztofiński – że prowadziły one 4856 spraw. Osiem razy więcej niż przed trzema laty, ale np. w Lublinie, w chwili likwidacji wydziału, prowadzono 1013 spraw, podczas gdy na początku 1952 r. było ich 15, czyli wzrost był 70-krotny! Należy jednak dodać, że wbrew temu, co wynikało z instrukcji, wydziały X w WUBP bynajmniej nie zajmowały się tylko członkami PZPR. Wedle cytowanego już zestawienia na 5995 osób znajdujących się w „sprawach”, tylko około 36% było członkami tej partii. Pozostali, bezpartyjni, zostali zapewne zaklasyfikowani jako funkcjonariusze „przedwojennego aparatu ucisku”, czy osoby współpracujące z Niemcami, wśród których niewątpliwie byli ludzie z kontrwywiadu AK i Delegatury. Głównie jednak wydziały X, jako spadkobiercy poprzednich komórek V Departamentu, „pełniły – jak pisał Krzysztofiński – funkcję poniekąd służebną wobec PZPR, wyręczając WKKP”. Z tego też powodu ogromną część spraw prowadzonych przez wydziały WUBP stanowiły „sprawy ewidencyjne”, a nie rozpracowania operacyjne. W rezultacie sieć agenturalna była w porównaniu z liczbą spraw wręcz mikroskopijna. Wydziały zajmowały się sprawdzaniem np. aspirantów na stanowiska w administracji, w organizacjach społecznych i w samej PZPR czy też osób zgłaszanych jako kandydaci na listy w „wyborach” (raczej: głosowaniach) do rad narodowych lub

sejmu. Wiele spraw wszczynano na podstawie donosów o czyjejś wypowiedzi krytycznej wobec systemu czy Związku Sowieckiego. Ścigano niekiedy małwersantów, pijaków czy cudzołożników wskazanych przez instancje partyjne. Było to, owszem, zgodne z zasadami „czujności rewolucyjnej”, ale miało mało wspólnego z główną misją, jaką powierzono X Departamentowi. Nie znaczy to, że „w terenie” nie było spraw związanych z trockizmem, titoizmem i „odchYLENIEM prawicowo-nacjonalistycznym”, że nie gnieździli się tam „palestyńczycy”, „francuzi” czy „jugosłowianie” (których szczególnie wielu musiało być na Dolnym Śląsku, gdzie koncentrowali się reemigranci z Bośni).

Światło, jako nadzorujący dwa ważne wydziały operacyjne departamentu, siłą rzeczy musiał zajmować się terenem. Nie tylko brać udział w szkoleniach czy pilnować sporządzania zbiorczych informacji o pracy całego „pionu X” w zakresie tych dwóch obszarów, ale także pojawiać się w wydziałach X WUBP, np. po to, by kontrolować rozpracowania. Z pewnością wielokrotnie posiłkował się wiedzą zdobywaną przez „dołowych” funkcjonariuszy do prowadzenia spraw, którymi kierował lub nadzorował w Warszawie. Niektórzy z figurantów rozpracowań centralnych mieszkali bowiem poza stolicą i nie można było na bieżąco ich kontrolować bez użycia środków będących w dyspozycji lokalnej bezpieki oraz jej funkcjonariuszy. Jednak, jak wynika z raportów złożonych w październiku 1954 r. przez wszystkie WUBP „na okoliczność” ich związków ze Światłą, były województwa, w których nie pojawił się ani razu, innymi bardziej się interesował, a np. na Lubelszczyźnie zarządził prawdziwe polowanie na partyzantów GL/AL. Nie zajmował się tysiącami osób, które trafiły do ewidencji i na które zakładano „teczki”, a wybierał tylko takie, które można było powiązać z czołowymi „figurantami”. Stąd chyba zainteresowanie komunistyczną partyzantką na Lubelszczyźnie, w której działał m.in. Korczyński, a jeśli zajął raz do Olsztyna to pewnie dlatego, że przebywał tam odsunięty na boczny tor Mieczysław Moczar, którym interesował się departament. Zresztą ówczesny szef WUBP Franciszek Szlachcic, w 1948 r. był przez kilka miesięcy jego kolegą z krakowskiej bezpieki.

Wbrew temu co się często uważa ani Biuro Specjalne, ani X Departament nie nadużywały narzędzi operacyjnych. Na liście zamówionych przez departament urządzeń PP (czyli „podśluchów pokojowych”), którą sporządzono post factum w styczniu 1957 r., znajduje się niespełna 20 pozycji, z tego 7 zostało założonych na zamówienie Światły (ostatnie złożył 27 listopada 1953 r.). Choć lista ta wydaje się niekompletna, nawet jeśli faktycznie działających urządzeń było dwa razy więcej i tak byłoby to niewiele. Częściej zakładano PT, czyli „podsluchy telefoniczne”, które były łatwiejsze do założenia i bez porównania tańsze w eksploatacji, ale uruchamiane były na czas rozmowy telefonicznej i nie rejestrowały tego, co dzieje się w mieszkaniu. W sumie PP i PT „na koncie” X Departamentu było 75, w tym większość – jak pisano w sprawozdaniu II Departamentu sporządzonym w październiku 1954 r. – zainstalowano na zlecenie Światły. Oba

rodzaje podsłuchów przydatne były do zbierania informacji o poglądach, czy ustalania kontaktów osób rozpracowywanych, a PP ponadto w przygotowaniach do aresztowania, dzięki nim łatwiej rozpoznawano tryb życia czy rozkład dnia – jak mówił Światło – „klienta”. Oczywiście całkowicie „zradiofonizowane” były więzienia, zarówno „Spacer”, jak i pawilon na Mokotowie. Jeśli ilość zainstalowanych podsłuchów była stosunkowo niewielka, był to rezultat raczej słabych możliwości technicznych bezpieki niż ograniczania się funkcjonariuszy X Departamentu, którzy skądinąd uważali, że im się wszystko należy.

X Departament składał też do pionu techniki operacyjnej II Departamentu zamówienia na kontrolę korespondencji, co w nazewnictwie Bezpieki określano jako „dokumenty «B»”. W sumie departament zamówił perlustrację 252 osób (lub adresów), z tego aż 152 na wniosek Światły. II Departament wykonywał też dokumenty legalizacyjne (czyli fałszywe), w zasadzie na potrzeby operacyjne funkcjonariuszy. X Departament zamówił 168 dokumentów, z tego – jak pisało – „większość” podpisywał Światło. On sam miał dokumenty legalizacyjne, np. legitymację służbową pracownika kolei (na nazwisko Mieczysław Mirski) oraz książeczkę wojskową (na nazwisko Andrzej Flisak). Jak z tych danych wynika Światło dosyć często korzystał z pomocy ludzi z pionu techniki, co zgadza się z jego wizerunkiem aktywnego „operatywnika”.

Rozmiary sieci agenturalnej departamentu nie były imponujące, zwłaszcza jeśli porówna się ją z ogólną liczbą tajnych współpracowników: wedle danych przytaczanych przez Tadeusza Ruzikowskiego w latach 1950–1953 liczba TW w całym resorcie wynosiła od 66 tys. do 85 tys., a w 1952 r. sam IV Departament („ochrona gospodarki”) miał około 11 tys. informatorów i około 1,1 tys. lokali kontaktowych. W „terenach” sieć agenturalna macierzystego departamentu Światły była, jak już pisałem, nieliczna, większość spraw prowadzono jako „ewidencyjne”. Jak jednak wynika z zestawienia sporządzonego po likwidacji X Departamentu, także i „centrala” nie miała zbyt wielu tajnych informatorów. Wedle tego dokumentu zarejestrowanych było 219 agentów różnych kategorii zwerbowanych od czasu utworzenia Biura Specjalnego, a więc jednorazowo stan był z pewnością niższy, choć zdarzali się informatorzy czynni przez kilka lat. Fakt, iż sieć agenturalna nie była zbyt rozległa, poświadcza liczba tajnych współpracowników I Wydziału: w październiku 1952 r. było to dwóch agentów, 22 informatorów i 7 „kontaktów poufnych” (KP), a więc na jednego funkcjonariusza przypadało zaledwie 1,5 współpracownika. Trzech informatorów zwerbował Światło, ale przekazał ich kolegom. Przed wyjazdem służbowym do Berlina Światło miał „na kontakcie” 5 agentów, a ponadto – jak pisało w sprawozdaniu – „bywał na spotkaniach” z pięcioma kolejnymi, których obsługiwali także inni funkcjonariusze. Z całą pewnością, od października 1948 r. Światło korzystał z usług donosicieli spoza Warszawy, np. kiedy zorganizował obserwację „M” we Wrocławiu, czy nadzorując rozpracowanie „Pustelnika” w Krakowie, ale nie sądzę, aby było ich zbyt wielu. Sądząc

po zachowanych raportach z jesieni 1954 r. najbardziej rozwinięta była wrocławska „siatka Światły”, poza Spychalskim zajmował się też przebywającym tam – również na zesłaniu – Ignacym Logą-Sowińskim i lokalnymi „trockistami”. Było to jednak nie więcej niż 5–6 osób. W sumie być może przez ręce Światły przeszło w tych latach nawet 30–40 informatorów i chyba nie była to większa grupa. Dysponował również mieszkaniem kontaktowymi, w tym paroma poza Warszawą, a w Warszawie – jak już wspominałem – najchętniej korzystał z mieszkań swoich znajomych i rodziny. Nigdy nie zarzucono mu, że płacił im za to, a więc chyba nie może być mowy o nepotyzmie.

Osobną sprawą jest jego znajomość sieci agenturalnej innych departamentów, a szczególnie wydziałów X WUBP, zgodnie z przepisami wewnętrznymi „na każdego informatora przed zwerbowaniem, lub po zwerbowaniu wydział obowiązany był wysłać [do departamentu] szczegółową charakterystykę”. Zapewne z niektórymi z tych informatorów sam się kontaktował, choćby na spotkaniach kontrolnych. Być może poznał osobiście niektórych agentów celnych z więzień karnych, ponieważ – jak sprawozdawał Departament Więziennictwa – w latach 1952–1954 przedstawiciele X Departamentu uzyskali zgodę na przesłuchanie 6 agentów celnych odsiadujących wyroki. Odbывał spotkania – na ogół chyba jednorazowo – z wieloma informatorami prowadzonymi nie tylko przez funkcjonariuszy X Departamentu, ale także innych agend MBP, nie były to jednak jego osobiste kontakty. Po prostu korzystał ze swojej pozycji i uprzejmości kolegów. Z uwagi na ruchliwość, energię i pracowitość Światły miał znacznie lepsze rozeznanie w sieciach agenturalnych różnych ogniw bezpieki niżby to wynikało ze stanowiska, które zajmował. Sądzę, że umiał posługiwać się tym narzędziem, które chyba uważał – w przeciwieństwie do wielu innych ubeków, takich jak Różański – za ważniejsze niż samo śledztwo, choć zdawał sobie sprawę, że tylko dzięki przesłuchaniom można przedstawić akt oskarżenia. Opierały się one przecież na przyznaniu się oskarżonego do winy i na tym co powiedział on w śledztwie. W procesach systemu stalinowskiego były to nie tylko najważniejsze, ale najczęściej jedyne „dowody”.

26 listopada 1951 r. niespodziewanie został usunięty ze wszystkich stanowisk i aresztowany Rudolf Slánský, sekretarz generalny Komunistycznej Partii Czechosłowacji, osoba Numer Dwa w praskiej hierarchii władzy. Stało się to na osobistą (pisemną) interwencję Stalina, który oskarżył Slánský`ego o „żydowski nacjonalizm burżuazyjny”. Można powiedzieć, że przyszła kryśka na Matyska, Slánský był jednym z najbardziej gorliwych zwolenników pościgu za „wrogami wewnętrznymi”, w szczególności kazał tropić „słowackich nacjonalistów”, którzy mieli przedostać się do partii komunistycznej oraz podejrzewał o najgorsze rzeczy tych działaczy, którzy okres wojny przetrwali w Anglii. Sam Slánský był „na emigracji” w Związku Sowieckim. Wiosną 1951 r. na naradach w ścisłym gronie domagał się, by znaleźć „czechosłowackiego

Rajka". No i znaleziono. Jego aresztowanie było sygnałem, że kampania antysyjonistyczna, trwająca w Związku Sowieckim od ładnych paru lat, jest przenoszona – i to na najwyższym szczeblu – do krajów wasalnych.

Jak wynika z badań Bożeny Szaynok, zajmującej się stosunkami polsko-żydowskim i polsko-izraelskimi, bezpieka „od zawsze” interesowała się środowiskami żydowskimi w Polsce, a w końcu 1950 r. w V Departamencie powołano do tych spraw osobną komórkę (3 Sekcja III Wydziału). Jej kierownikiem w latach 1952–1953 był Lipe Ajchen. Po uregulowaniu stosunków dyplomatycznych z Izraelem, przedstawicielstwem tego państwa, otwartym w Warszawie we wrześniu 1948 r., zajmował się I Departament (kontrwywiad). W ślad za Moskwą Izrael traktowano bowiem tak jak każde inne państwo kapitalistyczne, a więc z natury rzeczy wrogie Polsce Ludowej i całemu Obozowi Pokoju i Socjalizmu. W 1951 r. bezpieka miała już więc pewne doświadczenie, miała agenturę, ewidencję, wszczęte rozpracowania, wytypowanych „figurantów” itp. Nadanie rozgłosu walce z syjonizmem musiało wywrzeć wpływ na wiele osób ze szczytów aparatu władzy i z bezpieki. Berman, w relacji złożonej Teresie Torańskiej, podkreślał, że poczuł, iż znalazł się w strefie zagrożenia: „Stałem się idealnym kandydatem na drugiego Śláńský`ego”. Mógł być zaniepokojony tym bardziej, że w związku ze „sprawą Fielda” aresztowano jego sekretarkę, a w 1950 r. jego rodzony brat, Adolf, znany działacz lewicy syjonistycznej, wyemigrował do Izraela. Były to rzeczywiście mocne „haki” na towarzysza Jakuba, jak go nazywano w kręgach zaufanych. Obawy Bermana podzielało wiele innych osób, a problem walki z „żydowskim nacjonalizmem” przybierał na sile. Kulminacja – jeśli chodzi o kraje wasalne – nastąpiła jesienią 1952 r., gdy odbył się pokazowy proces Śláńský`ego (20–27 listopada), w którym zapadło 11 wyroków śmierci, więcej niż procesach Rajka czy Kostowa w 1949 r. W połowie stycznia 1953 r. „wybuchła” sprawa lekarzy kremlowskich, czyli „morderców w białych kitlach”, którzy byli Żydami. Niektórzy historycy uważają, że miał to być początek nie tylko nowej wielkiej czystki, ale wręcz Czerwonego Holokaustu, jak to określił Arno Lustiger.

W Polsce pierwszego aresztowania – pod zarzutem szpiegostwa na rzecz Izraela – dokonano dopiero w końcu listopada 1952 r. W lutym 1953 r. zatrzymano Józefa Gitlera-Barskiego, kierownika żydowskiej organizacji charytatywnej Joint na Polskę, oraz Jakuba Egita, współorganizatora osiedlania się ludności żydowskiej na Dolnym Śląsku (nazywanego „żydowskim wojewodą”), na którego bezpieka zbierała „materiały obciążające” od jesieni 1950 r. W kwietniu 1953 r. Departament Szkolenia MBP przygotował broszurę *Syjonizm – agentura imperializmu amerykańskiego*, ale już w chwili druku jej ostrze zostało stępione: po zgonie Wodza Całej Postępowej Ludzkości (5 marca) komunistyczny antysemityzm państwowy przestał być śmiercionośny.

Jak można stwierdzić na podstawie dotychczasowych badań, antysyjonistyczna fala lat 1951–1953 nie spowodowała poważniejszych zmian w nastawieniu bezpieki. W każdym razie X Departament nie zajął się nowym zagrożeniem w sposób

systematyczny i instytucjonalny. Najwyraźniej nie było polecenia z najwyższego szczebla, a przecież pojawienie się „sprawy Śląnski`ego” mogło w przypadku Polski nie tylko skierować uwagę na komunistów pochodzenia żydowskiego, ale – o czym już wzmiankowałem – kazać w nieco innym świetle spojrzeć na główny dotychczas front walki, czyli „odchylenie prawicowo-nacjonalistyczne” (polskie, a nie żydowskie). Tymczasem z decyzji podejmowanych w kręgu Bieruta i ich wdrażania na poziomie X Departamentu, wynika, iż przesunięcia punktu ciężkości nie dokonano. Do utrzymania status quo być może przyczyniły się wnioski, jakie z procesu Śląnski`ego wyciągnęli obserwatorzy wysłani do Pragi przez kierownictwo PZPR – Jerzy Siedlecki, szef Biura do spraw Funkcjonariuszy, czyli „bezpieki w bezpieczeństwie”, oraz Edmund Pszczółkowski, który właśnie przestał zajmować się rolnictwem, a przechodził do pracy w Sekretariacie Biura Organizacyjnego KC, w nieodległej przyszłości zaś miał stać na czele aparatu bezpieczeństwa. Otóż wysłannicy ci w sprawozdaniu dla Bieruta, stwierdzili, że „niezręczne [było] postawienie zagadnienia nacjonalizmu żydowskiego w początkowym okresie procesu”, że zabrakło „rozwinienia zagadnienia nacjonalizmu słowackiego”, a także czeskiego, oraz że zupełnie pominięto „zagadnienie prawicy czechosłowackiej”, czyli socjaldemokracji. Być może nie przypadkiem obaj wysłannicy byli „aryjczykami”, ale ich tekst wyraźnie kierował czytelnika w stronę kontynuowania walki z „polskim nacjonalizmem” w łonie PZPR, a nie starał się przesterować jej ku „żydowskiemu”.

Natężenie represji było wciąż bardzo duże. Od 1952 r. objęto nimi na szerszą skalę Kościół katolicki, tępiono bezlitośnie Świadków Jehowy (jako szpiegów amerykańskich), dokonywano masowych aresztowań chłopów, którzy nie zdali obowiązkowych dostaw, pracowników zakładów, w których zdarzały się awarie, kolejnych żołnierzy AK, ludzi rozbitego już kompletnie podziemia niepodległościowego, „opowiadaczy” dowcipów politycznych i słuchaczy RWE czy BBC. Wedle oficjalnych danych, zapewne zaniżonych, w 1952 r. za „przestępstwa antypaństwowe” aresztowano 16,8 tys. osób, a około 30 tys. osób odbywało karę z tych samych paragrafów. X Departament, a więc i Światło oraz podległe mu służby, zajmowali się jednak wciąż tymi samymi obszarami, które zostały wytyczone parę lat wcześniej, choć w latach 1952–1953 aresztowań było chyba mniej niż poprzednio. Natomiast, jak można sądzić z wrywkowych danych, nie słabła aktywność, jeżeli chodzi o podejmowanie rozpracowań – ewidencyjnych i operacyjnych – coraz to nowych osób. Nie krępowano się przy tym pozycją podejrzanego, toteż najpewniej za aprobatą Bieruta i Bermiana, a może zgodnie z ich personalnymi wskazówkami, w ewidencji pojawiali się stosunkowo wysocy rangą urzędnicy państwowi (z ministrami i wiceministrami włącznie), działacze partyjni i z organizacji społecznych, pisarze, dyrektorzy, inżynierowie. W końcu 1952 r. i w początkach 1953 r., co najmniej trzykrotnie przygotowywano różne scenariusze procesu Spychalskiego. Materiały podpisywał Fejgin, ale w ich opracowywaniu Światło na pewno uczestniczył. W maju 1953 r. przeprowa-

dzono konfrontację Spychalskiego z niedawno aresztowanym Żymierskim. Odpowiednie służby trwały w pogotowiu do zorganizowania procesu, jednak nasilenie przesłuchań stopniowo malało. W sposób szczególnie traktowano Gomulkę, który w ciągu dwóch lat od chwili aresztowania był przesłuchiwany niespełna 40 razy, w „Spacerze” miał zupełnie przyzwoite, jak na więzienie, warunki (pokój na wysokim parterze z dwoma oknami) i dobre wyżywienie (dwa razy dziennie mięso i wędliny). W grudniu 1953 r. specjalnie ściągnięci lekarze spoza służby zdrowia MBP przyjechali, żeby poddać go oględzinom lekarskim. Jak wspominał jeden z nich: Gomulka wszedł do pokoju „ubrany w wytworny, jasnoszary garnitur, pięknie opalony” i częstował luksusowymi papierosami „Belweder”. Stworzenie takich warunków nie było widziwiskiem Światły, który po prostu wykonywał polecenia. Gdyby kazano mu trzymać byłego Sekretarza Generalnego po kolana w zimnej wodzie, na pewno by odpowiednio rozkazy wydał. Ale, oczywiście, wodę do celi nalaliby zwykli mundurowi z ochrony „Spaceru”.

Jak później twierdzili niektórzy funkcjonariusze stawało się wyraźne, że formuła Lechowicz – Spychalski – Gomulka przyjęta w 1948 r. wyczerpuje się, listy potencjalnych wrogów są coraz dłuższe, ale ich rzeczywistych działań nie udaje się ustalić. Szukanie nowych obszarów zainteresowania miało więc służyć uzasadnieniu istnienia departamentu. Wątpię, aby ci, którzy tak mówili, w 1952 czy nawet w początkach 1953 r. rzeczywiście tak myśleli, ale po śmierci Stalina mogły pojawić się pytania o zasadność przynajmniej niektórych posunięć. Istotnie, kolejne decyzje o podejmowaniu nowych lub intensyfikowaniu już podjętych działań operacyjnych pogłębiały tendencje do prowadzenia „kreatywnego śledztwa”, co było wprawdzie całkowicie zgodne z generalną zasadą, ale dołączanie nowych wątków raczej gmatwało niż pomagało wyjaśnić główną sprawę. Jednym z takich tropów, początkowo drugo- czy trzeciorzędnych, był trockizm. Trockistów zaczęto rozpracowywać już w 1949 r., z czasem lista podejrzanych o to groźne renegactwo rosła i obejmowała także takie osoby, które „przyjaźniły” się z kimś, kogo bezpieczeństwa uważała za trockistę (jak Juliana Hochfelda, który był socjalistą i z ruchem komunistycznym nie miał nic wspólnego), były usunięte przed wojną z KPP lub same porzuciły partię (jak Roman Jabłonowski). Biuro Studiów, później X Departament, a ściślej mówiąc Wydział I nadzorowany przez Światłę, sporządzały kolejne „notatki informacyjne”. W październiku 1952 r. wydział otrzymał polecenie „kompletowania materiałów dotyczących trockistów polskich zagranicą”. Na listach znalazły się osoby mieszkające w Stanach Zjednoczonych, Francji, Wielkiej Brytanii, Boliwii, Japonii (!), Australii czy Izraelu. W sprawy te, nie tylko z tytułu nadzoru, ale wręcz osobiście, angażował się też Światło, który stał się jednym z promotorów prowadzenia działalności na tym odcinku. W końcu października 1953 r. – ponad pół roku po śmierci Stalina, kiedy głównym

problemem dla nowego kierownictwa sowieckiego była „beriowszczyzna”, a nie prawie zapomniany już trockizm – Fejgin przekazał Bermanowi „plan kilku operacyjnych przedsięwzięć w sprawach trockistów”. Berman z kolei dostarczył ten dokument Bierutowi, opatrując go adnotacją wyrażającą pewną rezerwę: „niektóre tylko zasługują na zatwierdzenie”. Głównym punktem owego planu były „operacyjne przedsięwzięcia w sprawie Brońskiej Wandy, ps. „Burmeister Alfred”, „Born Irena”, zam[ieszkałej] w Berlinie Zachodnim, strefa amerykańska”. Bierut i Berman nie mieli nic przeciwko podjęciu owych „operacyjnych przedsięwzięć”, gdyż Brońska, pod pseudonimem „Irena Born” oraz pod własnym nazwiskiem, występowała w Radiu Wolna Europa, gdzie wygłaszała pogadanki pod tytułem „Za kulisami partii”, a jako „Alfred Burmeister” publikowała w paryskiej „Kulturze”. Niezależnie od tego czy była trockistką czy nie, nieważne, że pochodziła z jednej z najbardziej zasłużonych dla polskiego komunizmu rodzin, a przez 10 lat była stalinowskim więźniem, przede wszystkim była uciekinierem i zdrajcą. Obaj więc chyba bez wahania wyrazili zgodę na wykonanie planu, który przewidywał m.in. „wydelegowanie odpowiedzialnego pracownika Dep[artamentu] X do Berlina, który na miejscu z towarzyszami z NRD ustali możliwość dotarcia do Brońskiej”. Piszę o tych szczegółach, gdyż zatwierdzenie planu przez Bieruta było podstawą do przygotowania wyjazdu do Berlina nie jednego, ale aż dwóch odpowiedzialnych pracowników – Fejgina i Światły.

Aleksander Szenauk i Justyna Światło w relacjach złożonych w końcu grudnia 1953 r. i na początku stycznia 1954 r., a więc wówczas, gdy oboje byli pewni, że Światło został porwany (lub nawet zabity), zgodnie – choć bez porozumienia – stwierdzali, iż zaginiony miał wątpliwości, co do zasadności niektórych aresztowań i wyników uzyskiwanych w śledztwach. „Przypominam sobie takie wypadki – pisała Justyna – kiedy mąż mówił o pochopnym podejmowaniu decyzji odnośnie członków partii”, a także, iż „nie można w tych wypadkach podchodzić [tak] jak do wrogów, tj. NSZ-ów i AK-ów”. Szenauk z kolei pisał, że jesienią 1950 r. w związku z dochodzeniem w sprawie Tatara i Spychalskiego „wyłoniły się poważne zastrzeżenia, co do prawdziwości materiałów”. Najpierw wyrazić miał je Fejgin, a Światło go poparł. Szenauk pisał też, że Światło uważał, iż sprawa gen. Komara aresztowanego 11 listopada 1952 r. po całkowitym rozgromieniu jego ekipy z czasów, gdy kierował wywiadem wojskowym – „jest lipna”. Podobnie jak Justyna zauważał też, iż „jeśli u tow. Światło łatwo można uzyskać sankcję na aresztowanie b. defensywiaków, dwójkarzy i im podobnych, to w sprawach członków partii podejrzanych o prowokację tow. Światło żąda pełnego udowodnienia winy”, przy czym miało chodzić „nie tylko o areszty, ale także [o] pochopne wszczynanie spraw”. Justyna nie ulokowała tych wypowiedzi w czasie. Być może pochodzą one z połowy 1953 r., gdy po śmierci Stalina i aresztowaniu Berii w całej bezpiece mówiono coraz więcej o praworządności. Wówczas

także Światło perorował na zebraniach partyjnych: „Každy zarzut na członka partii musi być precyzyjnie opracowany, musi być istotny, sprawiedliwy, wypływający z prawdziwych źródeł, wszechstronnie i krytycznie oceniony w pierwiastkowym materiale, opracowany w poczuciu wielkiej odpowiedzialności – to jest praworządność”. Niewykluczone więc, że jakieś wątpliwości od czasu do czasu się pojawiały, jeśli chodzi o zatrzymania komunistów, ale na pewno uważał za zupełnie oczywiste, a nawet wskazane, aresztowanie – i pewnie też katowanie w celu wymuszenia zeznań – żołnierzy NSZ czy AK, przedwojennych policjantów, działaczy Delegatury. Czyli wszystkich, którzy byli mniej lub bardziej otwartymi przeciwnikami systemu komunistycznego, „czarną reakcją”, prawdziwymi wrogami ludu. Ale nawet jeśli wobec aresztowań niektórych komunistów miał jakieś wątpliwości, to chyba bez zbytejnej walki wewnętrznej pokonywał je i posłuszenie, a nawet gorliwie, wypełniał polecenia i rozkazy. Gomułki na pewno nie uważał za przedstawiciela „czarnej reakcji”, ale najwyraźniej odczuł satysfakcję, gdy udało mu się go „bezszelestnie” aresztować.

Wiele osób, od żony poczynając, przez przychylnego mu Szenauka, po nie-nawidzącego go Piaseckiego, w swych relacjach i oświadczeniach zwracało uwagę na silne uczulenie Światły na sprawy żydowskie. W końcu grudnia 1953 r. np. Piasecki opowiadał, że gdy w czasie opracowywania konspektu wykładu o syjonizmie proponował, aby „mocniej uwypuklić, że syjoniści urządzali antyarabskie pogromy”, Światło miał powiedzieć „po co to pisać – Żydzi byli bici w różnych pogromach – niech oni raz biją”. Kilka osób, w tym Justyna, zwracało uwagę, że Światło przeżywał to, co działo się wokół procesu Śląnskiego, a szczególnie komunikat oskarżający „lekarzy kremlowskich”. Szenauk wręcz pisze, że „Zagadnienie narodowe żydowskie było mu bardzo bliskie, czuł się z nim bardzo związany”, że „bardzo mocno przeżywał antysemityczne momenty” w procesie Vladimira Clementisa, skazanego razem ze Śląnskimi. Zdaniem Szenauka Światło „zawsze podkreślał, że czuje się Żydem, znał język żydowski, lubił go, czytał o ile wiem literaturę żydowską”. Bardzo to przeżył, gdy córka „przyniosła z ulicy czy ze szkoły powiedzonka w sensie pogardliwym” o Żydach i „wytłumaczył jej, że ojciec i matka są Żydami”. Jednak, zaznacza Szenauk, nigdy nie „wyróżniał czy lansował towarzyszy żydowskich”. Nie próbował też przeciwdziałać zarówno w 1947 r., kiedy siostra z mężem wyjechali do Palestyny, jak i w 1950 r., gdy na emigrację do Izraela udała się teściowa i jeden ze szwagrów z rodziną, ale – zaznaczał Szenauk – sam nie myślał o emigracji. Jeśli ten obraz jest prawdziwy, a nie mam powodu aby sądzić, iż tak nie jest, to można powiedzieć, że był wyjątkiem wśród towarzyszy z bezpieki o podobnym – zarazem żydowskim i komunistycznym – rodowodzie. Raczej dążyli oni do wtopienia się w polskie społeczeństwo. Dla większości z nich, podobnie jak dla Władysława Daszkiewicza (vel Mojżesza Rosenberga), „pojęcie narodowej

czy etnicznej tradycji – pisał jego syn Henryk Dasko – na dobrą sprawę nie istniało w jego życiu. Zastąpiła to tradycja klasowa, internacjonalistyczna”. A jednak – przy alei Przyjaciół 8, w piwnicy przynależnej do mieszkania nr 4, leżały ozdoby choinkowe.

Właściwie nie można się więc dziwić, że – jak zgodnie twierdzą, ci którzy najlepiej znali Światłę – nie miał on przyjaciół: „Jeśli chodzi o życie prywatne – stwierdzała szwagierka – zamykało się ono w granicach domu, w kręgu najbliższej rodziny”. Światło był szczery: „O czym ja będę rozmawiał – o robocie nie mogę, a o niczym innym nie potrafię”. Wydaje się, że mimo licznych „czekistowskich” sukcesów i pewności, że w tej robocie jest najlepszy, pamiętał, iż uważany jest tylko za dobrego wykonawcę. Miał poczucie, że wiele spraw, którymi się zajmuje, przerasta jego możliwości intelektualne i wiedzę polityczną, ale jednocześnie cechowała go żądza dominacji, rozpierała energia, a miernikiem dobrze wykonanej pracy była jego zdaniem liczba więźniów.

The first part of the paper discusses the importance of the study of the history of the United States. It is argued that the study of the history of the United States is essential for a full understanding of the country and its people. The second part of the paper discusses the importance of the study of the history of the world. It is argued that the study of the history of the world is essential for a full understanding of the world and its people. The third part of the paper discusses the importance of the study of the history of the United States and the world. It is argued that the study of the history of the United States and the world is essential for a full understanding of the United States and the world. The fourth part of the paper discusses the importance of the study of the history of the United States and the world. It is argued that the study of the history of the United States and the world is essential for a full understanding of the United States and the world. The fifth part of the paper discusses the importance of the study of the history of the United States and the world. It is argued that the study of the history of the United States and the world is essential for a full understanding of the United States and the world. The sixth part of the paper discusses the importance of the study of the history of the United States and the world. It is argued that the study of the history of the United States and the world is essential for a full understanding of the United States and the world. The seventh part of the paper discusses the importance of the study of the history of the United States and the world. It is argued that the study of the history of the United States and the world is essential for a full understanding of the United States and the world. The eighth part of the paper discusses the importance of the study of the history of the United States and the world. It is argued that the study of the history of the United States and the world is essential for a full understanding of the United States and the world. The ninth part of the paper discusses the importance of the study of the history of the United States and the world. It is argued that the study of the history of the United States and the world is essential for a full understanding of the United States and the world. The tenth part of the paper discusses the importance of the study of the history of the United States and the world. It is argued that the study of the history of the United States and the world is essential for a full understanding of the United States and the world.

Część III

Józef Światło: demaskacja i destrukcja

Ucieczka

2 grudnia 1953 r. po południu Józef Światło odwiedził w szpitalu żonę, którą czekał zabieg chirurgiczny. Stosunki między małżonkami od dawna już układały się nie najlepiej, a nawet wręcz źle. Justyna nie pisze o szczegółach, ale z jej wypowiedzi wynika, iż mąż był zapracowany i zmęczony, często wracał do domu bardzo późno, bywał zdenerwowany, a od czasu sprawy lekarzy kremlofskich wręcz niespokojny i przygnębiony. Zdarzały się scysje o sprawy domowe, o sposób wychowywania dzieci itp. Być może docierały do niej pogłoski o jakichś kobietach. Odnosiła wrażenie, że mąż czuje się w urzędzie osamotniony, wie, że nie jest lubiany, sam z kolei nie szczędzi negatywnych wypowiedzi o ludziach, z którymi pracuje. W czasie zabawy sylwestrowej w 1952 r. lekko podпиты powiedział jej, że – nie licząc oczywiście dzieci – ma tylko dwie bliskie osoby: ją i gen. Romkowskiego. Justyna często chorowała, co wpływało na jej nastroje i wzmagало niechęć, a nawet – jak pisze – „wrogość” wobec męża i „pomimo wysiłków z jego strony (...) nie potrafiłam przezwyciężyć narastającego we mnie uprzedzenia”; oraz kilkakrotnie „powzięłam decyzję o odejściu od niego”, powstrzymywała się jednak z uwagi na dzieci. Siostry Światły też wiedziały o domowych problemach. Szenauk, który dosyć dobrze znał Justynę, pisał z kolei, że jest „to typ trochę rozhisteryzowany, przeintelektualizowana, cierpiąca na weltschmerz”. Podkreślał, że choć często wypominała innym „dygnitarskie obyczaje”, sama „potrafiła wykorzystywać stanowisko męża”. Krótko mówiąc, rodzina była w kiepskim stanie. Ale właśnie 2 grudnia wydawało się, że wszystko się ułoży, a konflikty zostaną zażegnane. Światło przyniósł żonie „dwie piękne doniczki z kwiatami”, zapewniał ją, że zabieg odbędzie się bez problemów (rozmawiał nawet z dyrektorem szpitala), obiecywał, że po wyjściu ze szpitala wyśle ją do Krynicy i że razem z synkiem „wyrwą się [do niej] na kilka dni”. Z Pragi, skąd dopiero

co wrócił, przywiózł jej w prezencie „piękny sweter do spodni narciarskich”. Przypomniawszy, że „niedługo będziemy obchodzić dziesięciolecie”, co miało jednak nieintymny, a czysto polityczny kontekst, chodziło bowiem o rocznicę utworzenia... Polski Ludowej. „Rozmowa wywarła na mnie ciepłe i przyjazne wrażenie (...) rozstaliśmy się w przyjaźni” – pisała Justyna. Nie wspomniała, czy wymienili pożegnalny pocałunek i czule się objęli. Poza tym, że się pogodzili, nie było właściwie ku temu specjalnej okazji: Światło powiedział, że za 3–4 dni wróci do domu. Mijał się trochę z prawdą, wyjazd planowany był na tydzień, a dodatkowo skłamał, mówiąc żonie, że jedzie ponownie do Pragi.

Następnego dnia, we czwartek 3 grudnia, około wpół do dziesiątej wieczorem wyruszył w podróż. Jechał z Fejginem w jednym przedziale wagonu sypialnego „Orbisu”. Pasporty i wizy mieli wystawione na własne nazwiska, jednak legitymacje służbowe zdeponowali w kancelarii departamentu, a przygotowane mieli „legendy”, którymi mieli posłużyć się w razie potrzeby, np. na granicy. W każdym razie „legendę” otrzymał Światło, który w razie konieczności miał występować jako pracownik Ministerstwa Handlu Zagranicznego, będący w podróży służbowej. Obaj byli po cywilnemu, ale uzbrojeni – każdy miał w kieszeni służbowy rewolwer. W bagażu, obok rzeczy osobistych, znajdowały się też potrzebne papiery (notatki dotyczące Brońskiej i paru innych, mniej ważnych spraw), a Fejgin miał ponadto zapieczętowany pakiet przeznaczony dla Waltera Ulbrichta, führera enerdowskich komunistów, który otrzymał w sekretariacie Franciszka Mazura. O wyjeździe i celu podróży wiedziało grono osób z bezpieczeństwa, ale także ludzie z KC, urzędnicy z MSZ i ambasady NRD (wizy) czy nawet „Orbisu” (bilety). Sam wyjazd obu ubeckich dostojników uzgadniany był na najwyższym szczeblu: z jednym z członków Biura Politycznego SED rozmawiał o tym Roman Zambrowski, a Witold Sienkiewicz, dyrektor VII Departamentu MBP, czyli szef wywiadu, szyfrówką zawiadomił ambasadora Jana Izydorczyka o ich wyjeździe. Podał prawdziwe nazwiska podróżnych, ale w końcu nie jechali tam, aby wykonać „mokrą robotę”, lecz na urzędowe rozmowy.

Na berlińskim dworcu oczekiwał ich Henryk Dodin, I Sekretarz Ambasady. Był on znajomym Fejgina z wojska, ale Światło widział chyba po raz pierwszy i nawet niezbyt dobrze pamiętał jego nazwisko, w pewnym momencie zwrócił się do niego jako do „tow. Świecy”. Dodin zawiózł gości do ambasady, gdzie rozmawiali z Izydorczykiem o organizacyjnych sprawach pobytu. Ponieważ przybysze nie chcieli nocować w pokojach gościnnych ambasady, znaleziono hotel, niezbyt elegancki, za to były w nim wolne miejsca. Z pewnym trudem udało się umówić spotkanie z szefem enerdowskiej bezpieki, sekretarzem stanu w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, Erichem Mielke, który – jak się okazało – nie był uprzedzony o przyjeździe delegacji. Światło i Fejgin zdeponowali przywiezione dokumenty w ambasadzie, a jej pracownik (jednocześnie funkcjonariusz VII Departamentu), odwiózł ich do hotelu „Neva” przy Invalidenstrasse 115, gdzie dostali dwuosobowy pokój. Po obiedzie w restauracji hotelowej odebrali

dokumenty, po czym zostali odwiezieni na godz. 17.00 do Mielkego, z którym odbyli godzinną rozmowę wstępną. Umówiono się, że następnego dnia przygotowują dla niego notatki po rosyjsku, a zasadnicze rozmowy – „z udziałem towarzyszy radzieckich” – odbędą się w poniedziałek. Dokumenty złożyli u Mielkego i wrócili samochodem do hotelu. Po kolacji i krótkim spacerze wymienili opinie na temat czekających ich rozmów oraz wrażenia z przejazdu przez Stalinallee, budowaną właśnie wielkomiejską arterię w stylu socrealizmu, która była dumą NRD. Światło po nocy spędzonej z Fejginem w sleepingu obawiał się, że jego towarzysz będzie znów chrapał, ale później nie narzekał na zakłócenia snu.

W sobotę 5 grudnia, punktualnie o 8.30 przyjechał samochód ambasady, pół godziny później byli u Mielkego, który przydzielił im niekrępujący pokój do pracy. Sporządzili więc informację o sprawie Brońskiej, przygotowali kwestionariusz pytań, które chcieli zadać niemieckim kolegom, a także „postulaty do rozważenia”. Teksty układali wspólnie, ale po rosyjsku spisywał je – jako bardziej *gramotnyj* – Fejgin. Po zakończeniu pracy przekazali Mielkemu zarówno dokumenty przywiezione z Warszawy (w tym pakiet dla Ulbrichta), jak i te, które sporządzili na miejscu. Minister zaprosił ich na obiad, zapewne do ministerialnej stołówki lub do saloniku. Dla towarzystwa Mielke zaprosił jeszcze dwóch oficerów, ale siedzący między nimi Światło z racji kiepskiej znajomości niemieckiego prawie cały czas milczał (z czego wynika, iż z kolei panowie ci, w przeciwieństwie do swojego szefa, nie znali języka Lenina). Umówili się na poniedziałek i, podziękowawszy Niemcowi za propozycję odwiezienia ich samochodem do hotelu, postanowili odbyć krótką wycieczkę po centrum Berlina Wschodniego. Przepytywany później Mielke twierdził, że uprzedzał polską delegację o konieczności zachowania ostrożności i oferował nawet przewodnika. Po przejściu Stalinallee pojechali metrem w kierunku hotelu. Zanim jednak do niego dotarli zrobili pierwsze zakupy (Fejgin kupił pantofle za 111.80 marek, Światło aparat fotograficzny za około 190 marek), wybierali też na wystawach ewentualne prezenty dla rodzin. W hotelu przerzucili gazety i, ponieważ nie mogli liczyć na towarzystwo Izydoreczka, który miał być zajęty w ambasadzie sowieckiej na przyjęciu z okazji „dnia konstytucji”, postanowili sami wyjść na miasto. Planowali obejrzenie sklepów, zastanawiali się też, czy w Berlinie nie ma cyrku, na który obaj najwyraźniej mieli ochotę. Przed godz. 17.00 wyszli z hotelu. Światło „wziął ze sobą teczkę z błyskawicznym zamkiem dla ewentualnego włożenia upominków”. Nie wiem, czy skojarzyli, że jest sobota i sklepy są wcześniej zamykane. Z zakupami zresztą nie było pośpiechu, mieli tu zostać do 10 grudnia. Postanowili udać się w kierunku dworca i stacji metra Friedrichstrasse, jadąc rano samochodem, widzieli w tej okolicy dużo sklepów.

Po hotelu „Newa” nie ma już śladu. Budynek został całkowicie przebudowany i mieści się tam teraz jakaś instytucja czy instytut naukowy. Ulica Inwalidów niczym specjalnym się nie wyróżniała, ale była dosyć szeroka i mieściło się przy niej sporo sklepów. W pobliżu był słynny szpital kliniczny Charité, a opodal hotelu przecinał ją kanał, którym biegła granica między Wschodnim

a Zachodnim Berlinem. Sama Invalidenstrasse stanowiła południową podstawę „demokratycznego” prostokąta wciśniętego między dzielnicę Wedding, leżącą we francuskiej strefie okupacyjnej, a park Tiergarten, który znajdował się w strefie brytyjskiej. Na południe od Invalidenstrasse leżało stare centrum Berlina – Friedrichstrasse, Unter den Linden, muzea, Brama Brandenburska; na północ rozległa przestrzeń Walter Ulbricht Stadion, za którą zaczynał się Berlin Zachodni. Najbliżej hotelu była stacja metra Zinnowitzer Strasse. Z tego miejsca ku północy biegła ulica o francuskiej nazwie Chaussee, której przedłużenie (Müllerstrasse) stanowiło główną oś Weddingu. Na południe zaś wspomniana już Friedrichstrasse. Do celu ich podróży były dwa przystanki metra. Także dwa przystanki były do Weddingu.

Wywiadowca WiN, Tomasz Gołąb – w raporcie opublikowanym przez Janusza Kurtykę – opisując na użytek kurierów lub uciekinierów z Polski warunki poruszania się po Berlinie, pisał: „Ruch komunikacyjny miejski istnieje w całym mieście jako jedna całość i przejeżdża się z jednej części [tzn. strefy] do drugiej bez żadnych śladów tego”. Bilety kupowane w jednej strefie są ważne na całej trasie, a cena jednakowa niezależnie od długości trasy. „Ruch ludności tubylczej – pisał – jest dwustronny, nieprzerwany, bez żadnych przepustek i specjalnych utrudnień”. Te wprowadzono dopiero w 1961 r. wraz z budową muru berlińskiego. Oczywiście żaden z obu ubeków nie znał tego raportu, ale chyba wiedzieli już mniej więcej, jak się poruszać po mieście.

Było wilgotno, chłodno, „przez chwilę bodajże mżyło” – pisał Fejgin – a więc postanowili pojechać metrem. Światło kupił bilety i, nie pytając nikogo o kierunek jazdy, wsiedli do pierwszego pociągu, który nadjechał. Najbliższy przystanek był przy Walter Ulbricht Stadion. Jechali dalej. Drugi odcinek wydawał się dosyć długi, więc Fejgin orzekł, że chyba trzeba będzie wysiąść, co też uczynili. Rozmawiając po polsku, wyszli na ulicę, ale po kilku minutach zorientowali się, że „coś jest nie w porządku”. Tym, co ich zastanowiło było przede wszystkim to, że wszystkie samochody, które widzieli miały rejestrację zaczynającą się od liter „KB”, a widziane uprzednio miały litery „GB”. Przestali rozmawiać, a zaczęli interesować się otoczeniem. Gdy podeszli do dużego sklepu z obuwem upewnili się: to nie mógł być sklep socjalistyczny. Żeby nie zwracać na siebie uwagi szli jednak dalej, zagłębiając się w sektor francuski. Najwidoczniej nie mieli ze sobą planu miasta, który dostali poprzedniego dnia, zresztą pewnie obawialiby się rozkładać dużą płachtę, co mogło rzucać się w oczy, gdyż nie była to dzielnica turystyczna. Byli coraz bardziej zaniepokojeni, ale obawiali się wracać na piechotę i uznali, że najlepiej pojechać metrem. Wówczas zdali sobie sprawę, że mają tylko marki wschodnie, a za bilet na pewno trzeba będzie zapłacić w zachodnich. Blisko rogu Gericht- i Müllerstrasse zobaczyli trafikę, postanowili kupić papierosy i poprosić o resztę w westmarkach. Operacji tej miał dokonać Fejgin, „jako lepiej znający język niemiecki”, który sam wszedł do sklepu. Sprzedawca odmówił jednak wydania reszty w markach zachodnich

(oświadczył, iż „nie wolno mu wymieniać pieniędzy”) i wydał w tej samej walucie, w jakiej Fejgin zapłacił. Dyrektor wyszedł wprawdzie z dwoma paczkami luksusowych papierosów, ale bez westmarek.

Ani przed trafiką, ani przed wystawą sąsiedniego sklepu, ani na pobliskim przystanku tramwajowym, Światły nie było. Fejgin trochę stał, trochę się przechadzał, aby nie zwracać na siebie uwagi. Światły wciąż nie było. Nie było też żadnych oznak, świadczących, że coś się wydarzyło w ciągu tych paru minut, które spędził w trafice – wypadek, interwencja policji, jakaś scysja. Ludzie zachowywali się spokojnie, nie było żadnego zbiegowiska, które niechybnie towarzyszyłoby takiemu wydarzeniu. Tramwaje nadjeżdżały i odjeżdżały, ludzie wsiadali i wysiadali, ale ruch na ulicy był niewielki. Gdy po około godzinie Światły wciąż nie było, Fejgin postanowił wrócić do sektora wschodniego. Uznał jednak, że najpierw na wszelki wypadek musi się pozbyć pistoletu. Opodał skrzyżowania Gericht- i Müllerstrasse, po których wciąż krążył, zauważył niewielki, typowo wielkomiejski skwer: trawnik, trochę krzaków, chude drzewka, parę ławek i latarni. Z planu wynika, że był to Courbière Platz, który nawet teraz wygląda na lekko zapuszczony. Fejgin znalazł tam „jamkę kilkunastocentymetrowej głębokości”, do której włożył pistolet i przysypał go ziemią. Wrócił na ulicę, znalazł kolejną trafikę, w której – po pewnych przetargach – za jedną ostmarkę dostał 20 zachodnich fenigów. Tyle, ile potrzebował na bilet. Tuż przed godziną 19.00, a więc w sumie po około dwóch godzinach od wymarszu na zakupy, dotarł do hotelu. Światły, oczywiście, nie było. Chyba nawet nie liczył, że go tu zastanie. Poszedł do pokoju, ale zaraz zszedł do hallu i około godziny przesiedział nad butelką piwa. Tej nocy zapewne nie chrapał. Jeśli w ogóle zdołał zasnąć.

Taką wersję przedstawił Fejgin w kilkunastostronicowym raporcie zatytułowanym „Relacja dotycząca podróży służbowej do Berlina (3–8 XII 1953 r.)”, który spisał 23 grudnia. Wersja podawana przez Światłę różni się w kilku szczegółach. Jeden z nich ma większe znaczenie, inne zaś są drugorzędne. Otóż wedle relacji Światły do Berlina Zachodniego trafili – przez pomyłkę – już pierwszego dnia wieczorem, a nie dopiero drugiego. Mieli wówczas wejść do jakiegoś dużego sklepu i dopiero, gdy przyszło do płacenia okazało się, że nie są w Berlinie Wschodnim, wycofali się i wrócili do hotelu. Następnego dnia – kontynuował Światło – udali się ponownie, tym razem świadomie, do Berlina Zachodniego: „ja z zamiarem ucieczki”. Chcieli wymienić wschodnie marki na zachodnie, toteż udali się do kantoru, Światło wszedł pierwszy, potem swoją część poszedł wymienić Fejgin. Wówczas Światło „miał trochę czasu na odłączenie się”. Zgłosił się „do władz amerykańskich”, na posterunku Military Police wylegitymował się, powiedział kim jest i wyjął z kieszeni „rewolwer służbowy, automatyczny, z którym nie rozstawałem się od roku 1945”.

Prawdę mówiąc, uważam wersję Fejgina za bardziej wiarygodną. Nie dlatego, że wyszła spod pióra osobnika z wyższym stopniem i dłuższym „stażem bolszewickim”, a nawet nie dlatego, że powstała tuż po wydarzeniu. Wiarygodności

nadaje jej przede wszystkim fakt, iż Fejgin musiał zdawać sobie sprawę, że to, co napisze może być sprawdzone. I było sprawdzone. Zbigniew Błażyński, który jesienią 1954 r. indagował uciekiniera, nie próbował weryfikować – np. przez zadawanie tzw. krzyżowych pytań – wypowiedzi Światły, no i oczywiście nie znał wersji Fejgina, która mogłaby posłużyć do konfrontacji. Uważam więc, że relacja Fejgina o tych dwóch dniach spędzonych w Berlinie i zniknięciu Światły jest znacznie bliższa prawdy, choć nie wykluczam, iż mógł dopuścić się jakiejś konfabulacji. Przyjmuję więc, że w sobotę miała miejsce ich pierwsza i jedyna wizyta w Berlinie Zachodnim, co nie znaczy, iż Światło jej nie zaaranżował. Mniejsze znaczenie ma rozbieżność, co do miejsca i sposobu wymiany pieniędzy oraz kolejności, w jakiej miało się to odbyć.

W niedzielę, 6 grudnia już o 7.30, Fejgin zadzwonił do Izydoreczyka, który przysłał po niego samochód. Bagaże swoje i Światły zostawił w „Newie”. Ambasador próbował wezwać p.o. szefa Polskiej Misji Wojskowej, Jana Stankiewicza, który był jednocześnie rezydentem VII Departamentu MBP i faktycznym łącznikiem między bezpieką a Stasi, ten jednak, najwyraźniej nie szanujący niedzieli jako dnia wypoczynku, „był poza domem na spotkaniach z agenturą” i odnalazł się dopiero około godz. 16.00. Zjawił się natychmiast w ambasadzie i wspólnie z Fejginem napisali depeszę, którą szyfrem nadano do Centrali o 18.00. Po jej rozszyfrowaniu, co nastąpiło o 21.55, szef wywiadu, do którego była adresowana, mógł jeszcze przed północą „zameldować kierownictwu” – a więc zapewne Radkiewiczowi i może Romkowskiemu czy Mietkowskiemu – o zniknięciu wicedyrektora. Stankiewicz i Fejgin uznali, że należy zawiadomić zarówno Stasi, jak i „przyjaciół radzieckich”, co zresztą – bez pytania – uczynił już ambasador, który zlecił Dodinowi powiadomić szefa protokołu Wysokiego Komisarza Związku Sowieckiego, płk Kociubę. Mielke został poinformowany w poniedziałek rano przez Fejgina, który przyszedł żeby odwołać naradę i zabrać pakiet dla Ulbrichta. O 10.30 Fejgin przekazał pakiet „do rąk własnych” adresata.

Po zawiadomieniu kierownictwa resortu, dyr. Sienkiewicz (jego kryptonim jako szefa wywiadu brzmiał „Kran”) jeszcze w nocy z niedzieli na poniedziałek – depeszą z zaleceniem „piorun” – powiadomił Berlin, że natychmiast wysła „kogoś z Centrali”, polecił jak najszybciej zawiadomić Mielkego (kryptonim „Roman”), nie informować władz zachodnich sektorów, wpłynąć na Izydoreczyka (kryptonim „Tytus”), „by nie rozgłaszać [wiadomości, gdyż] pod tym względem jest niepohamowany”, Fejgina zaś przenieść z „Newy”, gdyż „są tam wtyczki do Tytusa”. Pułkownik zamieszkał więc u rezydenta, gdzie chyba ambasador nie miał wtyczek. W poniedziałek późnym wieczorem pojawili się funkcjonariusze z Warszawy (płk Sobczak, być może był to Stefan Sobczak, wówczas szef zwiadu WOP i kpt. Pająk). Jeszcze tego samego dnia, opierając się o „aktywa” rezydentury, podjęto pierwsze działania, w tym wizję lokalną (bez Fejgina) w miejscu zniknięcia Światły, ale nie można było wiele zdziałać. W ambasadzie, mimo przedsięwziętych środków ostrożności, „czuło się niepokój” – jak zapamiętał

Józef Czyrek, ówczesnie początkujący referendarz w biurze informacji, później minister spraw zagranicznych i członek Biura Politycznego KC PZPR – szczególnie w „kręgu ludzi z wywiadu”. Wciąż któryś z nich to wyjeżdżał, to wracał, „wszyscy oni jeździli po Berlinie”. Rozeszła się pogłoska o zaginięciu jakiegoś ważnego urzędnika, przekazano nieformalne polecenie: „gdybyś coś słyszał, zaobserwował, to daj znać”. Nazwiska osoby, o którą chodziło, oczywiście, nikt nie wymieniał.

Właściwe działania rozpoczęto we wtorek, 8 grudnia, a podjęli je przede wszystkim Niemcy i Sowieci. Zarówno przedstawiciel władz sowieckich Makarow, zastępca pełnomocnika MWD w Berlinie, jak i Mielke, na spotkaniu z Polakami „ocenili wypadek jako ucieczkę”, jednak pod wpływem interpretacji przedstawionych przez Stankiewicza „natychmiast dali odpowiednie wskazówki podległemu aparatowi w celu wyjaśnienia drogą agenturalną sprawy”. Makarow, na wiadomość, że rzecz przytrafiła się w sektorze francuskim, oświadczył, że „informacje na pewno otrzyma”, Mielke zaś „oświadczył, że jeżeli sprawa zahaczy o policję Zachodniego Berlina, niezależnie na jakim szczeblu, będzie na pewno miał informacje”. Jak widać byli pewni swojej agentury. „Po linii naszej Jednostki”, pisał Sienkiewicz w podsumowującym raporcie z 18 grudnia, rozpoznano dokładnie trasę i miejsce „wypadku”, sprawdzono znane polskiej agenturze „ośrodki i meliny wroga”, a nawet – z nieznanymi mi powodów – dokonano „zdjęcia” (zatrzymania?) niejakiego Romana Troskiewicza vel Tichowitsha, które jednak „nic nie wniosło do sprawy”. Pistoletu Fejgina na skwerze nie znaleziono. Stankiewicz uważał, że Fejgin i Światło świadomie pojechali do zachodniej części Berlina, na poparcie czego przytaczał pewne poszlaki. Oczywiście jednak było, że polskie służby są raczej bezradne.

Najszybsi okazali się Niemcy: 16 grudnia Mielke powiadomił Polaków, iż drogą agenturalną otrzymał informację, że 5 grudnia, około 17.50 do komisariatu policji niedaleko miejsca zniknięcia Światły, zgłosił się mężczyzna (niestety nie miał jego rysopisu), który prosił o „podwiezienie go do Amerykanów”. Być może był to komisariat przy Seestrasse 48, leżący niespełna pół kilometra od rogu Gericht- i Müllerstrasse. Sowieci nie przekazali żadnej rzeczowej informacji. Albo nie chcieli, albo nie mieli. W rozmowach na linii Stankiewicz–Makarow–Mielke omawiano najróżniejsze warianty, począwszy od tego, że „pokłócili się ze sobą i F[ejgin] wrócił do domu a Ś[wiatło] poszedł zabawić się i trafił na agenturę” (przez którą został „zwinięty”, a więc porwany), poprzez domysł, że „zdradził i poszedł dobrowolnie”, aż po uznanie, że „stary agent miał okazję wydostać się z kraju”. Konsultacje przerwano, gdyż stały się bezprzedmiotowe. Jeszcze przed końcem roku ambasador sowiecki w Warszawie napisał do Mołotowa, że „niedawno uciekł do Niemiec Zachodnich znaczący pracownik bezpieczeństwa – Światło”. Z tego wszystkiego wynikał jeden wniosek – Światło był stracony bezpowrotnie. Fejgin, który wyjechał z Berlina 9 grudnia, kajał się w liście do Bieruta, pisał o „koszmarnym splocie bezmyślności i lekkomyślności”, który

doprowadził do „tragicznego zaginięcia tow. Światło”, rozumiał, że „musi ponieść surowe konsekwencje”, ale w ostatnich słowach prosił o „umożliwienie odrobienia popełnionych błędów”. Kierownictwo było jednak bezwzględne – z dniem 1 stycznia 1954 r. został nie tylko zwolniony ze stanowiska (za „niedopatrzenie służbowe”), ale usunięty z bezpieki.

W tym wszystkim zapewne ważniejsze jest nie to „jak” to się stało, ale „dlaczego” – jakie były powody decyzji Światły, jakimi motywami się kierował? On sam mówił o tym Błażyńskiemu raczej niechętnie, może dlatego, że dziennikarz odnosił się do jego wypowiedzi dosyć sceptycznie: „wysłuchałem – zanotowałem – lirycznych opowiadań o tym, jakie wrażenie zrobił na nim entuzjazm ludności witającej [w 1944 r.] po tylu latach żołnierza polskiego”, o wierze, że kraj zostanie odbudowany dzięki komunistom i że dopiero poznanie tego, co dzieje się w bezpieczeństwie, przekonało go „kim są ci ludzie i komu służą”. Wtedy miała w nim dojrzeć myśl o zerwaniu z reżimem. W ocenie Błażyńskiego podstawowymi motywami były lęk, poczucie zagrożenia narastające po aresztowaniu Berii, obawa przed zemstą Radkiewicza. Światło odkrył plamę (jeszcze sprzed wojny) na partyjnym honorze ministra, o czym do tej pory wiedział tylko Gomułka, stąd brała się niepewność, czy nie zaczynają go już rozpracowywać. A przede wszystkim, jak sądzi Błażyński, obawiał się tego, że „ci co za dużo wiedzą dostają się do więzienia”. Zresztą, dziennikarza RWE mniej interesowało, dlaczego Światło uciekł, a bardziej to, co ma do powiedzenia o partii i bezpieczeństwie słuchaczom w kraju.

W niepublikowanej rozmowie, którą dla paryskiej „Kultury” przeprowadził latem 1955 r. znany dziennikarz i publicysta Zygmunt Nagórski, Światło uzasadniał ucieczkę w podobny sposób, jak wobec Błażyńskiego: po paru latach pracy w UB „zobaczyłem, że nie było po co nawracać [na komunizm] żydowskich robotników na Kazimierzu, że nie było po co organizować strajków, że nie było po co gnić w więzieniu”. Lektura dokumentów, zaznajomienie się z prawdziwymi życiorysami ludzi ze świecznika, poznanie „tajników maszyny partyjnej (...) to były fakty, które narastały grubymi warstwami w mojej podświadomości”. „Gmach mocnej struktury ideowej (...) zaczynał trzeszczeć”, a „kiedy się wreszcie zważyłem byłem gotów do drogi na Zachód”. Światło odrzucał jednocześnie lęk jako motyw swojej decyzji: „Jeżeli pan usłyszy opowiadanie, że uciekłem bo mi coś groziło, że uciekłem dlatego, że mi deptali po piętach, to pamiętaj pan jedno – mogłem tam służyć w bezpieczeństwie jeszcze lata i wieki. Ile bym tylko chciał”. Nagórski nie komentował tych wypowiedzi, ale z jego tekstu odnoszę wrażenie, że podchodził do nich z rezerwą. Podobne motywy przytaczał Światło podczas konferencji prasowych i przesłuchań w Kongresie Stanów Zjednoczonych.

Wobec wskazanych już we wstępie luk w dokumentacji źródłowej, a właściwie wobec braku jakichkolwiek informacji z archiwów rosyjskich (postsowieckich) i amerykańskich, skazani jesteśmy na domysły i wnioskowanie na podstawie faktów. Ogólnie biorąc, istnieją cztery warianty czy też raczej cztery hipotezy przyczyn ucieczki: Światło był amerykańskim szpiegiem i wykorzystał okazję

do ewakuowania się w sytuacji zagrożenia lub po wypełnieniu misji; przejście Światły na Zachód było operacją KGB; Światło bał się odpowiedzialności i przygotował się do wykorzystania nadarzającej się okazji by uchylić się od ewentualnej kary; czwarta wreszcie: powody były takie same jak w poprzedniej, ale decyzję podjął w ostatniej chwili, gdy zorientował się, że druga taka szansa może się nigdy nie powtórzyć. Przyjrzyjmy się im po kolei.

Hipoteza pierwsza – „stary agent”, jak mówili Mielke i Makarow (nazwijmy ją więc „hipotezą Mielke–Makarow”). Przez wiele miesięcy nie podtrzymywało jej ani kierownictwo bezpieki, ani Bierut czy Berman, aczkolwiek z pewnością znali raport Sienkiewicza. Jako pewnik pojawiła się dopiero w reakcji na kampanię propagandową, której Światło był głównym i właściwie jedynym, wykonawcą. 25 października 1954 r. ukazał się komunikat PAP, w którym stwierdzano, m.in. że „W toku dochodzeń władze weszły na trop prowokatora i agenta wywiadu amerykańskiego Józefa Światła”, który „obawiając się zdemaskowania (...) zdołał uciec za granicę”. Konieczna była, rzecz jasna, pewna wstrzemięźliwość, przecież „ogół” nie miał prawa wiedzieć o tym, co słyszał z audycji Światły, więc tylko delikatnie zaznaczono, że „doprowadził [on] w niektórych wypadkach w celach prowokacyjnych do nieuzasadnionych oskarżeń i aresztowań upatrzonych przez siebie osób”. Ile było tych osób i kim one były, miało pozostać tajemnicą.

Wersja „starego agenta” funkcjonowała więc w specyficznej komunistycznej frazeologii, przy czym bardziej podkreślano przestępczy charakter działalności Światły niż jego związki z CIA. Trzeba powiedzieć, że wysuwając na pierwszy plan zbrodnie Światły zachowywano się z godną uwagi ostrożnością. Zresztą w krajowych mediach i publikacjach były wicedyrektor X Departamentu w zasadzie nie istniał. Marginalnie tylko pojawił się w 1956 r., gdy zastanawiano się nad wnioskiem o ekstradycję oraz przy okazji „wyciszonego” medialnie procesu Romkowskiego, Fejgina i Róžańskiego w 1957 r. Jako że od 1957 r. działalność bezpieki stała się tematem tabu, a dopuszczane były właściwie tylko badania i publikacje nt. roli aparatu bezpieczeństwa w utrwalaniu władzy ludowej i walce z „bandami”, nie było wiele okazji, aby pisać o zbiegu i zdrajcy. W ówczesnych opracowaniach na temat bezpieki olsztyńskiej czy krakowskiej Światło właściwie nie występuje. Stał się po prostu non-person. Specyficznym wyjątkiem była powieść Jerzego Putramenta *Małowierni* wydana w 1967 r. Jest to tzw. powieść z kluczem, w której jeden z głównych bohaterów wzorowany jest na postaci Światły. W powieści nosi on nazwisko Lichtner (w wolnym tłumaczeniu „Światłowski”) i sporo osób uważało, i uważa nadal, iż jest to prawdziwe, rodowe nazwisko Izaka Fleischfarba. Zresztą także pewne elementy opisu, zarówno samej postaci, jak i wydarzeń z 5 grudnia 1953 r., są do dziś czerpane z powieści, upowszechniając – drobne w sumie – pomyłki i fałsze. W każdym razie, co jest dla nas istotne, w *Małowiernych* nie pojawia się wątek szpiegowski. Światło-Lichtner ucieka, ponieważ boi się odpowiedzialności i kary.

„Hipoteza Mielke–Makarowa” odżyła w 1974 r., kiedy ukazała się w Stanach Zjednoczonych książka znanego dziennikarza brytyjskiego Stewarta Stevensa *Operation Splinter Factor*. Na obwolucie tytuł uzupełniony został zdaniem „The untold story of America`s most secret Cold War intelligence operation”, a książkę rekomendował m.in. John Le Carré, znany autor powieści szpiegowskich dotyczących zimnej wojny, który uznał, iż jest ona „Fascinating and appalling. Stewart Steven has unearthed a dreadful tale”. Nie jest to jednak powieść, ale opracowanie, coś w rodzaju raportu z dziennikarskiego śledztwa. Narracja książki jest prosta, a pomysł godzien najlepszych pomysłów Le Carré z takich książek jak *The Spy Who Came in from the Cold* czy inwencji Fredericka Forsytha. Oto jej treść:

W 1948 r. Allen Dulles, długoletni szef wywiadu i uosobienie Amerykańskiego Zła tamtego czasu, dochodzi do wniosku, że w interesie Zachodu jest doprowadzenie do likwidacji w Europie Środkowo-Wschodniej nurtu „narodowego komunizmu” (którego uosobieniem jest Tito), gdyż ma on szanse uzyskać masowe poparcie społeczne, a więc utrwalić komunizm w tej części świata. Wyeliminowanie „narodowców” wesprze automatycznie przywódców prosta-linowskich i ich politykę gospodarczą, która nieuchronnie wpędzi te narody w nędzę, a to z kolei spowoduje rewolty i w efekcie obalenie systemu. Pomysł może i niezły, ale wydaje się trudny do realizacji. Jednak nie dla Dullesa i CIA. Głównym narzędziem wprowadzenia w życie tego ludobójczego planu staje się właśnie Józef Światło, choć, jak w prawdziwym thrillerze, najpierw stoi trochę z boku. Otóż od 1945 r. działa w Polsce niejaki kpt. Michael Sullivan, szef rezydentury wywiadu brytyjskiego, który zajmuje się dywersją: np. to jego agenci „pomogli wywołać poważne antysemickie wystąpienia w Kielcach i Krakowie”. Sytuacja jednak się zmieniła, w 1948 r. komuniści już w pełni kontrolują kraj. Sullivan czuje się zmęczony i nieużyteczny. Niespodziewanie zgłasza się anonimowo funkcjonariusz bezpieki, proponując współpracę. Nadano mu pseudonim „Alice”. Po paru tygodniach, pewnego jesiennoego dnia, w ustronnym miejscu dochodzi do spotkania Sullivana z oferentem, którym okazuje się Lieutenant Colonel Jozef Swiatlo, „ubrany w wyświechtany niebieski garnitur i zbyt długi nieprzemakalny płaszcz”. Mówi, że zdecydował się przejść na drugą stronę, gdyż przegrał walkę z „najbardziej znaczącą osobistością reżimu”, Jakubem Bermanem, którego uważa za prowokatora i współpracownika przedwojennej policji politycznej. Bierut jednak nie zaakceptował pomysłu aresztowania Bermana, więc Światło doszedł do wniosku, że nie pozostaje mu nic innego jak uciec za granicę. Brytyjczycy nie mają mu wiele do zaoferowania, nie chcąc jednak, aby „Alice” za odmowę przyznania mu dobrej pensji w Anglii zemścił się na Sullivanie czy ludziach z jego sieci, przekazują go Amerykanom. Z braku laku „Alice” godzi się. W ten sposób dossier Światły znalazło się w rękach Dullesa, który stwierdził, że nie miał dotychczas agenta ulokowanego w tak dobrym miejscu i na pozycji tak dogodnej do zrealizowania jego planów. Po nawiązaniu

kontaktu przekonano Światłę, aby nie uciekał, ale pozostał w bezpieczeństwie i wykonywał najbardziej gorliwie jak potrafi swoje obowiązki: szukał wszędzie wrogów, oskarżał kogo się da o szpiegostwo na rzecz Ameryki, wykrywał trockistów i titoistów. Aby przenieść tę grę (czyli operację „Splinter Factor”) na najwyższy szczebel, przekazano Światle informację, że niejaki Noel Field, który w styczniu 1949 r. bawił w Polsce, nie tylko jest powiązany z CIA, ale działa jako główny pośrednik między wszystkimi spiskowcami w państwach komunistycznych a Waszyngtonem. Światło miał o tym raportować bezpośrednio Berii.

Reszty można się łatwo domyśleć: dzięki energii i pomysłowości Światły maszyna śmierci została uruchomiona, elita „narodowych komunistów” została wymordowana (procesy Rajka, Kostowa, Slánský`ego) albo gniła w więzieniach (Gomułka), a gdy w 1953 r. sytuacja gospodarcza sięgnęła dna, zaczęły się bunt – w NRD i w Czechosłowacji w 1953 r., w Polsce w 1956 r. Wprawdzie poststalinowskie władze je stłumiły, ale komunizm był wciąż znienawidzony, a przez to słaby. „Allen Dulles dobrze przewidział” – pisze Steven – ale w jednym przypadku jego plan się nie powiódł: „w Polsce, gdzie narodowy komunista [Gomułka] był wystarczająco silny, aby przejąć władzę, partia komunistyczna stała się mocniej zakorzeniona niż kiedykolwiek”. Taka jest mniej więcej pointa.

Książka Stevena stosunkowo rzadko, ale wciąż jeszcze cytowana jest w Polsce w takim samym kontekście, jaki nadał jej autor ponad 30 lat temu: to Stany Zjednoczone są prawdziwym Imperium Zła. Streszczając ją, pisali tak m.in. Eleonora Syzdek (w „Trybunie” w 2004 r.) czy Hanna Przetakiewicz (w miesięczniku „Dziś” w 2006 r.). W jednej z dyskusji toczonych w blogosferze znalazłem uwagę jakiegoś Amerykanina, że „sprawę Fielda należy widzieć nie jako przypadek paranoicznej tyranii [Stalina], ale raczej element zimnej wojny przeciwko Związkowi Sowieckiemu”. W 2003 r. ukazało się rosyjskie tłumaczenie książki Stevena po tytule *Opieracja Raskoł*. Gdy zobaczyłem ją w księgarni na Arbacie nie mogłem się nie uśmiechnąć: byłem świeżo po lekturze informacji na temat Operacji „Raskoł” prowadzonej w latach 1977–1980 przez... KGB, a jej obiektami byli pośród innych Andriej Sacharow i Aleksander Solżenicyn. We wstępie do moskiewskiego wydania nie tylko podkreślono dawne, antyimperialistyczne przesłanie książki Stevena, ale dodano nowe przykłady podstępnej i nie liczącej się z niczym działalności CIA i Stanów Zjednoczonych, włącznie z „rozpętnaniem” wojny z terroryzmem po 11 września 2001 r. Nie wiem, jakimi motywami kierował się Steven, pisząc *Operation Splinter Factor*. Może był ideowym lewicowcem, ale trudno wykluczyć, że książka ta była po prostu elementem sowieckiej lub sowiecko-polskiej kampanii dezinformacyjnej.

Oczywiście Steven nie opisywał Operacji „Splinter Factor” i roli Światły w konwencji hipotezy, ale jak coś, co jest całkowicie pewne. Nic więc dziwnego, że w jego opinii Światło był „najbardziej skutecznym agentem Zachodu w dziejach zimnej wojny”. Baza źródłowa książki jest, niestety, bardzo słaba: prawie wszystkie cytaty opatrzone nazwiskami autorów są zaczerpnięte z ogólnie

dostępnych publikacji, a wszystkie nieznanne fakty oparte są na wypowiedziach anonimowych oficerów służb specjalnych amerykańskich, brytyjskich, sowieckich czy polskich. Są w niej dziesiątki błędów faktograficznych i w oczywisty sposób naciąganych informacji (np. w 1948 r. Dulles pracował w prywatnej firmie adwokackiej a nie w CIA; w tymże roku Światło nie mógł mieć „materiałów” na Bermiana). Nic dziwnego, że w gronie odbiorców literatury fachowej książka Stevena spotkała się ze sceptycznym przyjęciem. CIA zareagowała oficjalnie: w jednym z numerów jej periodyku „Studies in Intelligence” z 1974 r. (wówczas był to druk poufny, tylko dla pracowników Agencji, dziś jest już jawny) ukazało się krótkie omówienie *Operation Splinter Factor* pióra A.V. Knobelspiesse’a, który, nie przecząc, że książka jest „dobrze napisana i wciągająca”, stwierdza jednak, że ma niewiele wspólnego z rzeczywistością. Wedle niego operacji o takiej nazwie w ogóle nie było, a Światło do chwili znalezienia się w Berlinie Zachodnim nigdy nie miał do czynienia z funkcjonariuszami CIA i – „o ile nam wiadomo” – z żadnymi służbami specjalnymi państw zachodnich. Powiada się, że dementi bywa najlepszym potwierdzeniem, ale sądzę, że ten bon mot w tym przypadku nie ma zastosowania.

Wbrew temu, co pisze Steven, żadna komisja powołana przez bezpiekę do zbadania „sprawy Światły” nie znalazła dowodów jego współpracy. Natrafiła na inne tropy, o czym napiszę dalej. Także w moich badaniach dokumentów MBP dotyczących Światły nie znalazłem nic, co by mogło świadczyć, że był zwerbowany i utrzymywał kontakty z kimś z ambasady amerykańskiej (lub brytyjskiej). Wydaje się zresztą, że w tamtych latach – a zwłaszcza po 1948 r. – praca wywiadowcza w Polsce (i w innych krajach komunistycznych) była wyjątkowo niewdzięczna i w sumie miała raczej ograniczony zasięg. Stephen Dorill, w swojej potężnej monografii MI6, pisze à propos książki Stevena, że Agencja „nie miała możliwości podjęcia się tak skomplikowanej operacji”. Dorill uważa, że idea spisku, który opisuje Steven, narodziła się dopiero w związku z ucieczką Światły i jego rewelacjami. Nie przeprowadzono do tej pory rzetelnych i źródłowych badań nad aktywnością wywiadowczą państw zachodnich w Polsce w tamtym czasie, ale sądzę, iż należy przyjąć, że tak jak to bywa w państwach totalitarnych, w których strach i nieufność są wszechobecne, także w Polsce lat 1948–1953 było w istocie bardzo mało szpiegów zachodnich. Nie przeczy temu fakt, iż za szpiegostwo w tych latach skazano ponad 1,2 tys. osób, w tym 413 jako szpiegów amerykańskich. Myślę, że Dulles dużo by dał za to, by choćby co 20 skazany był rzeczywiście „jego człowiekiem w Warszawie”. W kontekście też Stevena osobną sprawą jest istnienie bardzo rozbudowywanych amerykańskich programów wojny psychologicznej, ale jeśli chodzi o generalną linię polityczną, była ona akurat wprost przeciwna do tej, jaką rysuje autor *Operation Splinter Factor*. Np. w marcu 1949 r., a więc wówczas, gdy Światło miał zacząć realizować wyznaczony mu przez Dullesa złowieszczy plan likwidacji „narodowych komunistów”, odbyło się posiedzenie Policy Planning Staff, czyli głównej instancji

Departamentu Stanu, która wypracowywała programy polityki zagranicznej. W zebraniu uczestniczyli pracownicy wydziału wschodnioeuropejskiego oraz ambasadorzy Stanów Zjednoczonych z państw tego regionu i z Moskwy, wobec których George Kennan, właściwy pomysłodawca amerykańskiej polityki względem Związku Sowieckiego, jednoznacznie oświadczył, iż podstawowym zadaniem jest wspieranie „titoizmu”, a były ambasador w Moskwie, Walter Bedell Smith dodał, że „Stany Zjednoczone nie boją się komunizmu, jeśli tylko nie jest on kontrolowany przez Moskwę i nie jest skłonny do agresji”. W konkluzji stwierdzono, że doraźnym celem polityki amerykańskiej jest „tworzenie nie-stalinowskich reżimów”, choć celem ostatecznym powinno być wyzwolenie państw satelickich. Z tego wynika jasny wniosek: Dulles miał raczej popierać Gomułę, Rajka czy Kostowa – oczywiście, jeśli uznać ich za „niestalinowskich komunistów” – a nie pomagać stalinowcom w pakowaniu ich do więzień.

Ostrożnie konkludując: jest bardzo mało prawdopodobne – co nie znaczy, że wykluczone – aby Światło był agentem CIA czy, tym bardziej, służb brytyjskich. Jednak ostateczną odpowiedź będzie można dać po zerknięciu w archiwa Agencji. Na co trudno teraz liczyć.

Druga hipoteza – przejście Światły na Zachód było operacją przeprowadzoną przez Moskwę. Ponieważ wiele osób uważa, że Światło był agentem sowieckim, jest dla nich naturalne, a nawet oczywiste, że wypełniał kolejną misję. Henryk Piecuch, autor największej ilości bujdy i bzdur, jakie napisano na temat Światły, pisze o „telefonie od generała Sierowa” w listopadzie 1953 r. o „powierzeniu mu [tj. Światłu] misji, od której zależała oś świata” czy też, że „w przeddzień Barbórki 1953 roku Światło, wykonując polecenie NKWD, wybrał Zaoceanie”. Jedyną poszlaką – nie licząc wypowiedzi Witolda Sienkiewicza z lat 70. – jaką przytacza, jest negatywna opinia Moskwy o inicjatywie wystąpienia do władz Stanów Zjednoczonych z wnioskiem o ekstradycję Światły, która narodziła się w kierownictwie PZPR. Będę o tej sprawie pisał osobno, tu tylko mogę powiedzieć, że interpretacja Piecucha, że w ten sposób Sowietci chcieli chronić swego agenta, jest trochę zbyt daleko idąca. No, ale jest to jakiś trop.

W materiałach archiwalnych, które przeglądałem, pierwszy ślad istnienia tej hipotezy znalazłem w wypowiedzi Różańskiego (nazwijmy ją więc „hipotezą Różańskiego”) wobec komisji powołanej na słynnym VIII Plenum KC PZPR w październiku 1956 r. Komisja ta – zwana od nazwiska jej przewodniczącego „komisją Nowaka” (Romana, bo był jeszcze Zenon) – miała za zadanie zbadać nadużycie bezpieczeństwa. W trakcie prac, które trwały ponad pół roku, wzywano na rozmowy m.in. odsuniętych w 1954 r. członków kierownictwa MBP (Radkiewicza, Mietkowskiego, Świetlika), także tych, którzy byli już więźniami (Romkowskiego, Różańskiego, Fejgina). Różański – w protokole opisany jako „ob[ywatel]”, a nie „towarzysz”, co musiało być bolesne dla starego komunisty – był przesłuchany, bo tak to chyba można określić, 7 grudnia 1956 r. Opowiadał o różnych, mniej lub bardziej znanych członkom komisji, sprawach, a w pewnym momencie oświadczył:

„Ja tylko sygnalizuję, bo to są rzeczy fantastyczne, że kierownictwo partii nie chciało pójść na pewne przemiany tak głębokie jak w Jugosławii, czy nie chciało wziąć na siebie winę [sic] i wtedy spowodowano, że Światło uciekł po to, żeby swoimi rewelacjami zmusił [sic] nas do przełomu.

– Że radzieccy towarzysze chcieli zmusić nas do przełomu? – [pyta jeden z członków komisji]

– Że oni szykowali przełom od dawna [odpowiada Różański] i że jakieś hamulce u nas były, i że w związku z tym jest ucieczka Światła.”

Chwilę później Różański wrócił do tej sprawy, ale jeszcze bardziej enigmatycznie: „Jeżeli chodzi o Światła, o jego ucieczce powtarzam dlatego, że jest w tym coś dziwnego”. Różański nie przedstawił żadnego materialnego dowodu ani nawet nie powoływał się na źródło. Jedyne, na co wskazał, to opóźnienie z jakim Fejgin zaalarmował o zniknięciu kolegi. Z tego można by wyciągnąć wnioski, że i dyrektor X Departamentu brał udział w sowieckiej operacji. Należy więc sądzić, że siedzący tam, gdzie poprzednio sam ludzi wsadzał, b. dyrektor Departamentu Śledczego, starał się zrozumieć zaszłe wydarzenia posługując się zasadą dedukcji, gdyż innych narzędzi nie miał. Skoro w wyniku ucieczki Światła doszło do uwięzienia tylu czołowych funkcjonariuszy, dokonane zostały daleko idące zmiany personalne i organizacyjne, a wreszcie nastąpiła kulminacja w postaci powrotu do władzy Gomułka, to znaczy, iż przejście jego dawnego – bardzo nie lubianego – kolegi na „drugą stronę” musiało być elementem jakiegoś szerszego zamysłu.

Na następny ślad tego rozumowania natrafiłem (dzięki podpowiedzi Leszka Głuchowskiego) w obszernym artykule „Pokusy i przestrogi” zamieszczonym w paryskiej „Kulturze” w październiku 1974 r.:

„Okres zamrożenia sytuacji w Polsce po śmierci Stalina nie trwał długo. Moskwa zniecierpliwiona, a może wręcz zaniepokojona tym stanem rzeczy, postanowiła przyspieszyć wymianę ekipy warszawskiej i posłużyła się w tym celu dobrze znanym chwytem oskarżenia jej o własne grzechy, tyle tylko, że tym razem nie musiała zmyślać zarzutów. Wyekspediowany za granicę funkcjonariusz ministerstwa bezpieczeństwa, od lat zaś agent sowieckiego kontrwywiadu, Światło, zaopatrzony został w komplet dokumentów, do których (...) nie mógł mieć dostępu, oraz dokładną wersję relacji, którą miał możliwie sprawnie dostarczyć środkom masowego przekazu.”

Inaczej mówiąc chodziło o ratowanie partii „choćby za cenę przykrych wyznań”, był to „manewr dalekowzroczny”, w relacjach Światła zaś „pojawiał się w nowym wcieleniu Gomułka”. Autorem tego tekstu – podpisanego „X.Y.Z.” był Henryk Krzeczkowski, intelektualista, eseista i tłumacz, pisujący wówczas głównie w „Tygodniku Powszechnym”. Krzeczkowski uważany był – i sam się uważał – za konserwatystę, nosił się nieczym wydziedziczony z dóbr ziemianin, prawie jak szlagon. Miał w swojej biografii elementy szczególne, o których mało kto wiedział, a m.in. od 1946 r. był oficerem II Oddziału Sztabu

Generalnego, a nawet rezydentem „dwójki” we Włoszech. W początkach 1951 r. został usunięty z wojska po części za jakieś obyczajowe incydenty, po części z uwagi na niearyjskie pochodzenie. Nie wiem jak Krzeczkowski wpadł na „hipotezę Różańskiego”, ale nie wykluczam, że usłyszał ją od... samego Różańskiego. Były oberśledczy po wyjściu z więzienia w 1964 r. (w sumie odsiedział „dychę”) pojawiał się bowiem w miejscach uczęszczanych przez światek artystyczno-literacki i na pewno opowiadał różne różności z dawnych czasów. Może jednak Krzeczkowski sam na to wpadł i niesłusznie przypisuje mu naśladownictwo.

Nie mam przekonania do tej hipotezy, aczkolwiek po śmierci Stalina nowe, dopiero kształtujące się kierownictwo sowieckie miało pewne problemy z Polską. Bez porównania poważniejsze były jednak kłopoty wynikające z zamieszek w Czechosłowacji, a przede wszystkim w NRD, nie mówiąc już o wewnętrznej walce o schedę po Genialnym Językoznawcy, w trakcie której trup ścielił się gęsto. Jak wynika z przedstawionej przez Andrzeja Skrzypka analizy stosunków sowiecko-polskich z tego okresu, Bierut i jego ekipa mieli być początkowo uważani za zbyt dogmatycznych i stalinowskich, ale akurat jesienią 1953 r. – po wyeliminowaniu Berii – w Związku Sowieckim wróciły tendencje do „twardego” kursu. Nie uległy natomiast zmianie pewne nastawienia w ambasadzie sowieckiej: nowy (od lipca 1953 r.) przedstawiciel Moskwy, Georgij M. Popow, w obszernym wystąpieniu do centrali z grudnia 1953 r. pisał, że w związku z planowanym II Zjazdem PZPR, należałoby dokonać zmian personalnych i odsunąć z bezpośredniego otoczenia Bieruta takie osoby jak Berman, Minc czy Zambrowski. Dokładnie to samo pisał kilka lat wcześniej ambasador Lebiediew, ale nikt go nie słuchał. Tak jak nie brano pod uwagę jego opinii o kierownictwie polskiego MBP, które radził wymienić. Jeśli z tej perspektywy patrzeć na skutki zniknięcia ppłk Światły, to można by powiedzieć, że postulaty Lebiediewa zostały wreszcie – choć nie w stu procentach – zrealizowane: w grudniu 1954 r. odeszli z resortu minister i trzech z czterech wiceministrów. Stało się to jednak dopiero rok po ewentualnym rozpoczęciu przez Światłę misji specjalnej zleconej przez Sierowa. Skrzypek pisze ostrożnie „nie stanowi zapewne przypadku, że na omawiany okres [tj. drugą połowę 1953 r.] przypada też najsłynniejsza chyba ucieczka z Polski na Zachód”, ale z kontekstu nie wynika, aby miał na myśli „hipotezę Różańskiego”.

Pozostając wciąż w konwencji ostrożności, proponuję następującą konkluzję: nie ma żadnych materialnych dowodów na to, że zgłaszając się w Berlinie Zachodnim do Amerykanów, Światło wykonywał misję zleconą przez Moskwę. Ostatnie słowo będzie należało jednak do tego, któremu uda się dotrzeć do dokumentów sowieckich. Swoją drogą, ciekawe jak CIA odnosiło się do ewentualności, że nowy *defector* może być „podrzutkiem”? Musiano to brać pod uwagę. W każdym razie kpt. Sullivan, nakreślony zręcznym piórem Stevena, zastanawiał się nad taką możliwością, ale ją odrzucił.

Hipoteza trzecia – Światło działał z własnej inicjatywy i samotnie przygotował się do ucieczki. O ile w poprzednich hipotezach motywy nie odgrywały roli, szczególnie w przypadku „hipotezy Różańskiego”, kiedy po prostu otrzymałby „rozkaz wyjazdu”, o tyle w przypadku tej hipotezy Światło musiał najpierw osiągnąć stan psychicznej gotowości do podjęcia działań. Na podstawie różnych przekazów o jego wypowiedziach i nastrojach, które już przytaczałem, wydaje mi się, że od przełomu 1952 i 1953 zaczął silniej odczuwać dyskomfort: z jednej strony następowała kumulacja postaw antysemickich – na co był uczulony – w centrali ruchu komunistycznego, z drugiej – mogła powstać obawa, że stanie się ofiarą kolejnego nawrotu „walki ze syjonizmem”, jeśli jego fala na dobre dotrze do Polski. Po komunikacie o aresztowaniu Berii i publicznych wypowiedziach na temat „beriowszczyzny”, mogło pojawić się dodatkowe poczucie zagrożenia. Tym silniejsze, że i w Polsce podjęte zostały pierwsze, nader nieśmiałe, ale dla wtajemniczonych czytelne działania: kierownictwo partyjne powołało komisję pod przewodnictwem Edwarda Ochaba, której zadaniem była analiza „sprawy Komara”, Prokuratura Generalna zaś wszczęła lustrację więzień dla zbadania panujących w nich warunków. Niewątpliwie Światło miał więc powody do niepokoju o własny los. Oba te czynniki – rosnąca niechęć wobec systemu, choć niekoniecznie komunizmu jako takiego, oraz niepewność, co do własnej przyszłości – mogły rzeczywiście stać u podstaw jego decyzji.

Komisja wewnętrzna, powołana przez Radkiewicza w końcu grudnia 1953 r., nie podjęła sprawy ewentualnych przygotowań do ucieczki. Dopiero druga komisja, utworzona 29 września 1954 r., zajęła się m.in. oceną dokumentów, które znajdowały się w szafie pancерnej Światły oraz szukaniem odpowiedzi na dwa pytania: czy zginęły z niej jakieś dokumenty oraz czy nie fotografował akt, z którymi miał do czynienia? W toku dochodzenia stwierdzono, że Światło miał dostęp do „najtajniejszych dokumentów Departamentu X”, że „każdy poważniejszy dokument czy to śledczy, czy agenturalny, czy archiwalny” przechodził przez jego ręce, że w jego szafie znajdowały się m.in. „teczka z odręcznymi wskazówkami, notatkami i wypowiedziami członków Kierownictwa Partii” oraz teczka „z odręcznymi wskazówkami” Romkowskiego. Po analizie znalezionych materiałów komisja doszła do wniosku, że nie brakuje oryginałów, ale nie była w stanie ustalić, czy nie brakuje tych, które Światło miał w formie kopii.

Co jednak ważniejsze stwierdzono, że „miał pełną, niczym nie skrzepowaną możliwość fotografowania”. Ustalono, że odbył odpowiednie przeszkolenie i parokrotnie pożyczał w pionie techniki operacyjnej miniaturowy aparat fotograficzny „Mikroma”, a po zwrocie było w nim mniej filmu niż przed wypożyczeniem (oddal 22 cm z 90 cm). Ponadto wypożyczył wąskotaśmowy aparat filmowy i stwierdzono, że nie wiadomo nic o tym, czy dał do wywołania około 25 mb taśmy, które otrzymał. Ponadto ustalono, że kupił sobie w Pradze

aparat „Minox”, który Justyna Światło określiła jako „maleńki”, a który – wedle niej – miał „zamienić z kimś na terenie ministerstwa” na aparat marki „Fed”, czyli normalny, amatorski aparat fotograficzny produkcji sowieckiej (kopię jednego z modeli niemieckiej „Leiki”). Według oświadczenia jednego z funkcjonariuszy, który widział u Światły „czeski aparat (...) może nieco większy od pudełka zapalek”, jego właściciel miał mu powiedzieć, że nie może z niego korzystać, gdyż w Polsce nie ma filmów do niego. Komisja jednak stwierdziła, że filmy takie były dostępne w handlu. Tak więc z całą pewnością mógł fotografować dokumenty, ale nie jest pewne, że rzeczywiście to robił. Ponadto nie krył się z tym, że posiada odpowiedni aparat, więc raczej trudno sobie wyobrazić, żeby używał go w sposób tajny. Jeśli chodzi o inne podejrzone urzędnika to Justyna stwierdziła, że mąż miał „amerykański aparat radiowy (tzw. kieszonkowy)”, ale nic bliższego nie potrafiła o nim powiedzieć. Ponieważ jednak widziała ten aparat, wydaje się mało prawdopodobne, aby mógł służyć Światłu do tajnej łączności np. z ambasadą amerykańską w Warszawie. W notatce z października 1954 r. Fejgin twierdził stanowczo, że ani w aktówce, ani w „walizeczce” Światło nie miał dokumentów, ale dopuszczał możliwość, iż miał z sobą filmy, które oczywiście mógł bez trudu ukryć przed wścibskim spojrzeniem starszego kolegi ze służby.

Istnieją więc przesłanki sugerujące, że przygotowywał się do ucieczki, ale ostateczna opinia możliwa byłaby dopiero po stwierdzeniu, że rzeczywiście przedstawił Amerykanom jakieś dokumenty. Należy też przyjąć, że ani oryginałów, ani nawet filmów nie musiał zabierać ze sobą. Wystarczyło przecież ukryć je lub zdeponować u kogoś w Warszawie (może razem z kilogramami złota, biżuterią i walutą?), a rezydent CIA mógłby odebrać je z – „martwej” lub „żywej” – skrzynki. Hipoteza ta jest prawdopodobna, ale nie jest całkowicie pewna.

I wreszcie czwarta hipoteza – decyzja o ucieczce została podjęta nagle. Także w tym przypadku Światło musiał być w „gotowości psychicznej”, a jej motywby byłyby podobne jak w przypadku hipotezy trzeciej. Putrament, który w formie zbeletryzowanej przedstawił wydarzenia z 5 grudnia, pisał, że w chwili, gdy Światło znalazł się (wraz z Fejginem, powieściowe nazwisko Niechocki) w Berlinie Zachodnim, najpierw „fala niepokoju wybuchła w piersi”, potem „było w nim poczucie człowieka stojącego przed zimną wodą na chwilę przed skokiem do niej”, a wreszcie gdy wchodził do sklepu, przed którym pozostawił Fejgina/Niechockiego, nie czuł „żalu, tylko strach”, gdyż „przekroczył tajemną granicę między jednym a drugim światem”. Z pewnością nie jest to proza wysokiego lotu, ale fragmenty te są jakąś próbą zarysowania stanu psychicznego Światły. Jeśli rzeczywiście uciekał w wyniku decyzji podjętej ad hoc, to zapewne targał nim niepokój i czuł strach przed ostatecznym krokiem. Za hipotezą „nagłej decyzji” opowiadał się Fejgin. Podobnie można interpretować wypowiedzi samego Światły, choć z niektórych można wnosić,

iż przez jakiś czas przygotowywał się do ucieczki, ale nigdy nie wspominał, że miał ze sobą jakiegokolwiek dokumenty. W audycjach radiowych nigdy nie cytował, a gdyby odpowiednie papiery miał ze sobą – lub zostały mu dostarczone ze „skrzynki” w Warszawie – zapewne dla większej wiarygodności przytaczałby jakieś fragmenty. O dokumentach nie wspomina Shackley, wzmianki o nich nie pojawiają się w korespondencji dotyczącej nadawania audycji Światły. Ich brak wprost potwierdził Jan Nowak-Jeziorański w swoich wspomnieniach *Wojna w eterze*, który się tym interesował.

Myślę, że w każdej z tych hipotez można znaleźć elementy, które ją uwiarygodniają, ale opierając się o dostępne dokumenty i relacje uważam, iż o „palmę pierwszeństwa” ubiegają się przede wszystkim hipotezy trzecia i czwarta. Prawdę mówiąc nie jestem w stanie zaproponować ostatecznego rozstrzygnięcia tej sprawy, ale skłaniam się raczej ku myśli, że był przygotowany do ucieczki nie tylko w sensie psychicznym (czy politycznym), ale także rzeczowym (zdjęcia dokumentów). Jednak przy istniejącym stanie badań równie prawdopodobna jest hipoteza o ucieczce zaimprovizowanej.

Cisza i burza

W grudniu 1953 r. powołana została komisja, której zadaniem była „analiza przeszłości oraz postawy ppłk. Światła w pracy w MBP”. W jej skład wchodził Józef Kratko, dyrektor Departamentu Szkolenia, Edward Leśniewski, wicedyrektor I Departamentu (kontrwywiad), oraz Edward Tracz, dyrektor Biura ds. Funkcjonariuszy. Obecność przedstawicieli kontrwywiadu i komórki zajmującej się wykroczeniami i przestępstwami popełnionymi przez ludzi bezpieki zdawała się wskazywać, że kierownictwo resortu miało jakieś podejrzenia, co do konduity zaginionego funkcjonariusza. Nie wiem, jakie były stosunki między członkami komisji a Światłą, w każdym razie wszyscy byli jego rówieśnikami (starszymi o rok lub dwa), przed wojną mieli związki z KPP, pracowali w MBP równie długo i w ostatnich latach zajmowali podobne stanowiska, a więc na pewno się znali. Może nawet dobrze. Komisja przepytала ponad 30 osób, głównie tych, których Światło wskazywał w ankietach i życiorysach jako znajomych sprzed wojny, w tym żonę i szwagierkę. Zapoznała się także z aktami personalnymi podpułkownika. W sprawozdaniu, przedstawionym kierownictwu 30 stycznia 1954 r., stwierdziła, iż „sam fakt przynależności (...) do KZMP nie ulega wątpliwości”, ale jednocześnie uznała, że istnieje „podstawa do przypuszczeń, że zerwanie (...) z KZMP nastąpiło z przyczyn ideologiczno-politycznych”. Tak więc sylwetka rysowała się niejasno, pojawiły się przesłanki, że zniknięcie w Berlinie Zachodnim mogło być wynikiem odstępstwa czy zdrady, a nie porwania lub zabicia słynnego „operatywnika”. Użyto np. sformułowania „tajemnicze zniknięcie”, a nie „zaginięcie”. W notatce sporządzonej 30 grudnia z rozmowy z Justyną Światło pisano, iż „często powtarzała, że wyklucza ewentualną ucieczkę męża”, co mogło być jej reakcją na jakieś sugestie ze strony przepytujących.

Większa część sprawozdania poświęcona była jednak nie tyle budzącej zastrzeżenia przeszłości, ile działalności Światły w Biurze Specjalnym i X Departamencie. Autorzy analizy pisali o „tłumieniu krytyki”, o złym stosunku do podwładnych, o „nieobiektywnych” decyzjach operacyjnych, o niewłaściwym stosunku do organizacji partyjnej. W tej części sprawozdania zwracano także uwagę na to, że Światłę „nurtowało jakieś rozgoryczenie i niezadowolenie”, że „mocno przeżywał proces Ślánský`ego”, że w jednej z rozmów „wyraził się, iż ze względu na swą narodowość nie może w aparacie bezpieczeństwa zająć należnego mu miejsca” z czego wyciągnięto wnioszek, że „tkwiły w nim naleciałości nacjonalistyczne, których (...) nie wyzywał się”. Ocena była więc w sumie negatywna. Zalecano dalsze drażnienie przeszłości, dokonanie analizy, czy w pracy Światły „nie było jakichś faktów dywersji”, a także sprawdzenie czy „w ostatnim okresie” nie było aresztowań lub rozpracowań, które „w jakiegokolwiek mierze kompromitowałyby ppłk Światło”. A więc szukano „haków”.

Osobną część sprawozdania stanowiła ocena pracy i sytuacji w X Departamencie, a nawet w MBP jako takim. W szczególności zwracano uwagę, na „brak odpowiedzialnej partyjnej atmosfery” i na to, że Komitet Dzielnicowy (przy resorcie) „nie orientuje się i nie ma wpływu na stosunki w pracy aktywu kierowniczego”. W związku z takim stanem rzeczy postawa polityczna osób piastujących stanowiska kierownicze nie jest „w pryncypialny sposób badana, kontrolowana i korygowana” w odniesieniu do spraw operacyjnych, którymi osoby te zarządzają, a w komórkach partyjnych „pokutuje przekonanie o tym, że POP nie może zajmować się problemami pracy operacyjnej”. Oceny te, przedstawione przez osoby, które same należały do „aktywu kierowniczego”, nie były, jak sądzę, przejawem samodzielnego myślenia i odwagi. Wynikały bowiem nie tylko z ogólnej atmosfery po aresztowaniu i straceniu Berii, ale wręcz z konkretnych sygnałów politycznych. Świadczy o tym fakt, iż w ostatniej części sprawozdania cytowano artykuł wstępny z grudniowego numeru „Komunisty”, centralnego organu teoretycznego KPZR: „Partia – pisano w moskiewskim miesięczniku – zapewnia zaprowadzenie stałej i systematycznej kontroli organizacji partyjnych nad działalnością wszystkich ogniw radzieckiego aparatu państwowego, w tej liczbie organów Ministerstwa Spraw Wewnętrznych”. Linia, której trzeba się trzymać była więc znana.

X Departament przeżywał – jak mówił na zebraniu partyjnym Adam Bień – „ciężkie chwile”: jeden wicedyrektor (Piasecki) w końcu listopada zrezygnował z pracy, drugi wicedyrektor zaginął w niejasnych okolicznościach, a dyrektora zdymisjonowano. Jego funkcję objął Kazimierz Michalak, od roku inspektor przy kierownictwie departamentu, cieszący się sporym zaufaniem partyjnej „góry”, o czym świadczy choćby to, że przesłuchiwał w „Spacerze” Gomułkę. Pojawiały się pogłoski, że departament zostanie zlikwidowany, a jedyne co robiono „po linii partyjnej”, to przekonywanie, iż jeśli tak się stanie, to nie z powodu „dopuszczenia się błędów politycznych”, ale dlatego, że jego istnienie „na obecnym

etapie jest politycznie niewskazane". Nie później niż w lutym kierownictwo resortu – a zapewne też Bierut i jego najbliższe otoczenie – zaczęło zastanawiać się nad potrzebą reorganizacji całego aparatu bezpieczeństwa, co zresztą było przedmiotem rozważań już w grudniu 1952 r. Wówczas myślano jednak tylko o racjonalizacji działań (podział na resort bezpieczeństwa i resort spraw wewnętrznych), a nie ich ograniczeniu. Jednak na naradzie resortowej, która odbyła się 3 marca 1954 r., Radkiewicz, poddając ostrej krytyce przypadki „stawiania się ponad Partią” i nieprzestrzegania zasad „ludowej praworządności”, mówiąc nawet o „przerostach”, nie wspomniał o planach reorganizacji i likwidacji X Departamentu. Niemniej pierwsze decyzje zostały już podjęte, m.in. postanowiono zredukować personel bezpieki o około 10%. Zapewne ważniejsze jednak było zwolnienie ze stanowiska i usunięcie z aparatu bezpieczeństwa Józefa Różańskiego, którego zastąpił Adam Humer. Wprawdzie Różańskiemu zapewniono „miękkie lądowanie”, najpierw w radio, a później w Państwowym Instytucie Wydawniczym, ale sam fakt zwolnienia wieloletniego szefa pionu śledczego musiał być wymowny dla ogółu funkcjonariuszy. Udzielono też innych dymisji (m.in. Eugeniusza Dowkana, dyrektora jednego z departamentów nieoperacyjnych), nagan, pisemnych upomnień i przeniesień na niższe stanowiska kilku funkcjonariuszy z IV Departamentu (ochrona gospodarki) i z pionu śledczego. Nie wiązało się to wprawdzie bezpośrednio ze „sprawą Światły”, ale pogłębiało poczucie niepewności w całej bezpiece. Nastrojów tego rodzaju nie uspokoił II Zjazd PZPR (10–17 marca), gdyż zarówno Bierut, jak i Radkiewicz nie szczędzili słów krytyki i napominali o obowiązku przestrzegania praworządności. Niejasne dla funkcjonariuszy musiały być też motywy nagle ożywionej działalności legislacyjnej w postaci dekretu „o służbie w organach bezpieczeństwa publicznego” czy regulacje wewnętrzne, takie jak *Przepisy o zachowaniu się funkcjonariuszy wobec sądów i prokuratur*, a przede wszystkim *Regulamin dyscyplinarny funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa Publicznego*. Mocnym sygnałem mogło być skazanie na Węgrzech za „łamanie praworządności” szefa tamtejszej bezpieki.

W rezultacie debat wewnętrznych i po konsultacji w Moskwie zrezygnowano jednak z generalnej przebudowy MBP i ograniczono się do „małej reorganizacji”, łącząc niektóre departamenty (m.in. III z V), z innych zaś, wydzielając mniejsze instancje o określonych obszarach zainteresowań (np. Inspektorat Wiejski czy Samodzielny Wydział do Walki z Bandytyzmem). Niewątpliwie najważniejszą decyzją było rozwiązanie z dniem 12 czerwca X Departamentu i powołanie Samodzielnej Grupy przy Ministrze, która miała zająć się czynnościami likwidacyjnymi. Oczywiście do opinii publicznej docierały tylko ogólnikowe sformułowania użyte podczas zjazdu przez Bieruta czy Radkiewicza, a zmiany personalne i organizacyjne pozostawały tajne. W MBP jednak wiadzano o wszystkim lub prawie wszystkim, a w kraju wiadomości – często w formie plotek – rozchodziły się dosyć szybko. V Wydział departamentu został wcielony

do Departamentu Śledczego, „grupa likwidacyjna” liczyła tylko 9 osób, a całą resztę przekazano do dyspozycji Departamentu Kadr. Likwidowano X wydziały w WUBP. Podzielono także ruchomości, a najlepszy kasek – „siedmioczęściowy komplet gabinetowy”, jak pisze Paweł Ceranka – dostał się Mietkowskiemu. Departament śledczy przejął pawilony w więzieniu mokotowskim, ale status „Spaceru” jest dosyć niejasny, być może znajdował się w gestii „grupy likwidacyjnej”. Zespół ten, kierowany przez Kazimierza Sieradzkiego, próbował uporać się z ogromnymi ilościami papierów – było tego około 56 tys. pozycji – oraz wszechętymi już rozpracowaniami. Wszystko to zostało ostatecznie zagospodarowane dopiero w 1955 r.

Wokół zniknięcia Światły panowała cisza nie tylko na forum publicznym, ale także w samym resorcie. Zapewne krążyły jakieś pogłoski, ale wydaje się, że sprawa powoli schodziła na dalszy plan także w rozmowach prywatnych. Być może tylko ci, którzy żywili osobiste urazy wobec zaginionego kolegi – a było ich, jak wynika chociażby z materiałów zebranych przez wspomnianą komisję, nie tak mało (m.in. Piasecki i „stare towarzyszki”) – powracali do losów nie lubianej lub nawet znienawidzonej osoby. Choć nikt nie mówił tego wprost, ale z wypowiedzi zanotowanych przez wspomnianą komisję wynika, że co najmniej część indagowanych była przekonana, iż podpułkownik zdezerterował. W dokumentach bezpieki, które przejrzałem, trafiłem tylko na jedno świadectwo – notatkę tajnego współpracownika z 15 maja 1954 r. – że Światło „w miesiącu lutym (...) uciekł na Zachód”. Niezależnie od wiarygodności tego źródła można z niego wnosić, że wieści o zniknięciu wicedyrektora pojawiały się także poza resortem, ale prawie na pewno pochodziły z ulicy Koszykowej, a nie z Waszyngtonu. Nie znalazłem jednak śladów, aby próbowano „pójść” za tym raportem, choć znajdowało się w nim nazwisko osoby, która tę informację podzieliła się z tajnym współpracownikiem. Mimo niejasności i licznych zastrzeżeń, a nawet zarzutów pod adresem Światły, w kierownictwie resortu – zapewne też w ośrodku skupionym wokół Bieruta – przyjmowano, że dzielny i ważny funkcjonariusz został porwany lub zamordowany. Tak było dla wszystkich wygodniej, a Romkowski, powszechnie uważany za protektora Światły, wytrwale podtrzymywał tezę o porwaniu. O ile wiem ani do Bieruta, ani na Koszykową, nie docierały żadne nowe informacje od Stasi czy ze służb sowieckich. Samo MBP nie podejmowało zaś właściwie żadnych kroków. Komisja Tracza przestała sprawdzać archiwa i organizować kolejne przesłuchania, a Biuro ds. Funkcjonariuszy zajęło się tylko „ochroną” Justyny i mieszkania przy alei Przyjaciół. W marcu zrobiono ogólny przegląd dokumentów zgromadzonych przez Światłę w jego gabinecie, ale pod kątem ich dalszej przydatności.

Jedyne działanie na zewnątrz podjęto jeszcze w styczniu, kiedy to na wniosek VII Departamentu uznano, iż należy złożyć na ręce komendanta francuskiego sektora Berlina pismo z prośbą o udzielenie informacji w związku z zaginięciem Światły. Nie obyło się bez dłuższych deliberacji, ale przeważy-

la opinia, że „występując z oficjalną interwencją – jak pisał w uzasadnieniu Sienkiewicz – mamy w ręku argument, twierdząc, że jest to uczciwy człowiek, który został porwany, nawet jeśli będzie dawał jakieś niekorzystne oświadczenia. [S]twierdzimy, że wszystko to zostało sfabrykowane”. Szefostwo wywiadu najwyraźniej obawiało się, że Amerykanie skłonią Światłę do jakichś deklaracji, a MBP, wyprzedzając ich działania, przekona „postępową opinię świata”, która „będzie wierzyć naszym oświadczeniom (...), a nie tamtej stronie”. Rzeczywiście 22 stycznia szef misji wojskowej złożył wizytę gen. Manceaux-Demiaux i wręczył mu list od ministra spraw zagranicznych. (W sprawozdaniu napisał „nasz minister”, ale raczej nie chodziło o min. Radkiewicza). Z wypowiedzi generała Stankiewicz wywnioskował, że Francuzi coś wiedzą o sprawie, ale ostatecznie usłyszał tylko, że komendant „natychmiast poleci zrobić wszystko co w jego mocy by nam pomóc i że jak tylko czegoś się dowie to do mnie zadzwoni i napisze”. O ile udało mi się sprawdzić ani w Archiwum MSZ, ani w materiałach MBP, nie ma żadnego listu od Francuzów, ani notatki o rozmowie telefonicznej, z czego wnoszę, że interwencja dyplomatyczna na tym się zakończyła. Aczkolwiek w VII Departamencie uważano, że należy podjąć próby rozpoznania sytuacji – w Berlinie, we Francji czy w Stanach Zjednoczonych – żadne polecenia nie zostały jednak wydane. Być może zgody nie wyraziła resortowa „góra”. Nawet pojawienie się późnym latem 1954 r. druków pt. *Konspiracja przeciwko narodowi polskiemu*, które docierały do kraju, nie skłoniło kierownictwa MBP do podjęcia bardziej energicznych działań. Druki te podpisane były „Karol Mirski”, a więc jednym z nazwisk używanych przez Światłę, a fakt, że zawierały jakieś informacje na temat „sprawy, o której wie tylko kilka osób”, w tym ludzie z X Departamentu, mogło sugerować, iż ich autorem był właśnie Światło. Podejrzenia takie wyraził m.in. Minc, ale o ile wiem żadnych działań nie podjęto. Tak czy inaczej śladów ewentualnej zdrady Światły było bardzo niewiele, a istniejące uznawano za niepewne.

Milczenie Światły i brak jakiejkolwiek reakcji ze strony Amerykanów oddalało podejrzenia, a w resorcie było do załatwienia mnóstwo spraw bieżących. Nie tylko reorganizację, która, jak to zwykle bywa, wprowadzała spore zamieszanie, ale także problemy z motywowaniem funkcjonariuszy do pracy. Sygnały, które otrzymywali częściowo bowiem sobie przeczyły: z jednej strony potępiano „wypaczenia”, usuwano „przerosty” i wprowadzano zmiany, z drugiej przypominano, że nadal obowiązuje stalinowskie hasło o walce klasowej, która zaostrza się w miarę postępów w budowie socjalizmu, a więc należy być czujnym i aktywnym. Ta niejednoznaczność siłą rzeczy sprzyjała raczej bierności. Latem 1954 r. na najwyższy szczebel władzy dotarły – i to w formie pisemnej – niepokoje związane ze „sprawą Komara”, która była referowana nawet na posiedzeniu Biura Politycznego. Oficerowie śledczy uważali, że jest „dęta”, ale Bierut i Rokossowski upierali się przy jej prowadzeniu zapewne dlatego, iż wycofanie się z niej mogłoby oznaczać rezygnację z całego mister-

nie przygotowywanego planu wielkiego procesu. Z niechęci funkcjonariuszy wynikało jednak, że w aparacie bezpieczeństwa, nawet w jego „najtwardszych ogniach”, takich jak pion śledczy, a także w GZI, rodzą się tendencje niebezpieczne z punktu widzenia realizacji tego planu. Niektóre jego elementy już zresztą poszły w rozsypkę, gdyż z grupy „szwajcarskiej” w więzieniach, obok samego Fielda, pozostały tylko trzy osoby. W lipcu wypuszczono Zofię Gomułkową, zaś ani jej mąż, ani Spychalski nie byli od pewnego czasu przesłuchiwać. Nie sposób stwierdzić, jaki wpływ na te wszystkie zmiany i fakty miało zniknięcie Światły. Prawdopodobnie niewielki, gdyż decydującą rolę odgrywały ogólne tendencje widoczne w Związku Sowieckim jak i w Polsce. Jednak nawet jeśli w otoczeniu Bieruta akceptowano pogląd Romkowskiego, to bliższa obserwacja tego, co działo się w X Departamencie, do czego „sprawa Światły” dała asumpt, mogła skłonić ściśle kierownictwo do przyspieszenia czy pogłębienia tych zmian, które uważano za konieczne. Jednak chyba mieli świadomość, że nawet dzielny podpułkownik może się złamać, a wyobrażenie o tym, co potrafią zrobić z jeńcem krwiopijcy i kaci z CIA i FBI, czyniło taki obrót wydarzeń prawdopodobnym.

Po bardzo nerwowym okresie, gdy Światło nie wrócił w zapowiadany termin i okazało się, że pojechał nie do Pragi, ale do Berlina, a przede wszystkim po wezwaniu i rozmowie w Biurze ds. Funkcjonariuszy, mającej wiele cech przesłuchania, żona zaginionego chyba trochę się uspokoiła albo raczej przyzwyczaiła do zaistniałej sytuacji. Nie dopuszczała, oczywiście, do siebie myśli, że mąż mógł zdradzić. W dalszym ciągu nie pracowała zawodowo, zajmując się dziećmi, nie miała kłopotów materialnych, ponieważ otrzymywała pensję męża, ale – jak skarżyła się jej siostra – napotykała na różne trudności „w sprawach życiowych”. Siostry Światły były już całkowicie ustabilizowane. Krystyna (Sara) w 1950 r. wyszła ponownie za mąż za Bernarda Sztatlera, zastępcę kierownika działu zagranicznego „Trybuny Ludu”, a sama osiągnęła stanowisko zastępcy redaktora naczelnego „Sztandaru Młodych”, centralnego dziennika dla młodzieży. Mieli córeczkę, a latem 1954 r. Krystyna była w ciąży. Róża pracowała w CRZZ, wyszła za mąż za Eugeniusza Dornfesta, naczelnika wydziału w Urzędzie Rady Ministrów i też już miała dziecko. Najpóźniej zmieniła stan cywilny Maria, która w styczniu 1954 r. wyszła za mąż za Wiktora Maksymkina, pracownika Wydziału Skarg KG MO. Sama była prokuratorem w IV Departamencie Prokuratury Generalnej, który formalnie miał sprawować nadzór nad śledztwami prowadzonymi przez bezpiekę. Wszystkie należały więc do establishmentu, powiedzmy, średniego szczebla. Pewne problemy miała Leokadia, która we wrześniu 1953 r. przeniosła się na własną prośbę ze stanowiska sekretarki w komitecie PZPR przy MBP na „pracę operacyjną” do IX Departamentu. Jednak w kwietniu 1954 r. Departament Kadr – być może z powodu niejasności, co do losów szwagra – wnioskował o zwolnienie jej z pracy operacyjnej, gdyż „nie przedstawia sobą wielkiej wartości”, a nawet

o usunięcie z MBP z uwagi na „powiązania z zagranicą” poprzez najbliższych członków rodziny (matka i brat). Ostatecznie nie ruszono jej, była jednak podenerwowana i w czasie jakiejś rozmowy w urzędzie „wybuchnęła płaczem wspominając o sprawie swojego szwagra”. Dała wprawdzie wyraz przekonaniu „o jego mocnej postawie ideowej”, jednak „to jest tylko człowiek, który może mieć chwile słabości”. Myślę, że niepokój o to, iż Światło może zacząć „sypać” podzielała z nią żona podpułkownika, który w kartotekach personalnych wciąż figurował jako wicedyrektor nieistniejącego już departamentu.

Tymczasem od wieczora 5 grudnia 1953 r. podpułkownik znajdował się w rękach – czy raczej pod opieką – Amerykanów. Zapewne niemieccy policjanci odstawili go na kwaterę żandarmerii wojskowej (Military Police), wątpię bowiem, aby mieli bezpośrednie kontakty z przedstawicielami CIA. Wedle relacji Światły przytaczanej przez Błażyńskiego, następnego dnia został przewieziony do Frankfurtu nad Menem, a 23 grudnia, w przeddzień Wigilii, odleciał do Waszyngtonu. Nieco inaczej przedstawia pierwszy okres współpracy Światły z wywiadem amerykańskim Theodore „Ted” G. Shackley Jr., później jeden z najbardziej znanych oficerów CIA „do spraw specjalnych”, który działał m.in. w Chile, Laosie i Wietnamie, gdzie zyskał przydomek „Blond Ghost”, a karierę zakończył na stosunkowo wysokim stanowisku „associate deputy director for operation”. W wydanych pośmiertnie i opracowanych przez Richarda A. Finneya wspomnieniach *Spymaster: My Life in the CIA* pisał, że w grudniu 1953 r. został w trybie nagłym odwołany z bazy operacyjnej CIA w Norymberdze i przeniesiony do Frankfurtu, gdzie otrzymał zadanie przesłuchania świeżego uciekiniera z Polski.

Shackley, wprawdzie niespełna 27-letni, był już jednak doświadczony, ponieważ służbę wojskową odbył w kontrwywiadzie. W Niemczech Zachodnich zajmował się organizowaniem siatek informacyjnych mających docierać do Polski, miał bowiem po kądzieli polskich przodków i choć matka urodziła się już w Stanach Zjednoczonych, a ojciec był Amerykaninem, wychowywany był przez babkę, która nauczyła go polskiego. Shackley pisze, że wywiady czy, inaczej mówiąc, przesłuchania Światły, trwały „po około pięć godzin dziennie, siedem dni w tygodniu, przez trzy miesiące”. Może lekko przesadził, bo chyba jednak w niedziele miał wolne, ale zapewne rzeczywiście pracował – a raczej obaj pracowali – intensywnie. Światło został ulokowany we frankfurckim Defector Reception Center, który mieścił się w domach i willach rozrzuconych w okolicach Frankfurtu. Nowy przybysz zamieszkał w jednym z takich *safe house* w pobliżu Oberursel. Przebywali tam z nim ochroniarz z CIA oraz gospodyni domu („sprawdzona Niemka”). Spotkania z Shackley`em odbywał w innym miejscu, na które dowoził go ochroniarz. Z każdej rozmowy Amerykanin sporządzał notatkę, która wędrowała do centrali Agencji. Po pewnym czasie jakoś i ilość informacji o sprawach dotychczas kompletnie nieznanach spowodowały, że „byłem bombardowany – pisał – depeszami ze sztabu” z coraz to nowymi kwestiami, które muszą być

podjęte. Dostał zatem do pomocy Bernice L. – jak dyskretnie ją określa – która umiała stenografować wypowiedzi po polsku i pomagała mu szukać we frankfurckiej bazie danych CIA nazwisk, które się pojawiały w zeznaniach Światły. W kwietniu 1954 r. Shackley razem ze swym podopiecznym odleciał do Stanów Zjednoczonych „starym samolotem wojskowym, który dawno miał za sobą swoje dobre dni”. „Nawet jak na ówczesne standardy – dodawał – podróż była długa i mało komfortowa”: zanim dotarli na drugą stronę Atlantyku lądowali na Azorach, a potem na Bermudach.

Przedłużający się pobyt w Niemczech Shackley objaśnia komplikacjami, które wynikały z amerykańskich przepisów zakazujących wjazdu na pobyt stałym członkom partii komunistycznych. Wprawdzie uchwalona była już ustawa McCarran–Walter zmieniająca zasady imigracji, a CIA wywalczyła dekret, dzięki któremu mogła wwozić na pobyt stały do stu osób rocznie, ale za każdym razem trzeba było przedstawić „oszałamiającą liczbę” zaświadczeń oraz dokumentów. Jeśli chodzi o weryfikację tożsamości uciekiniera Shackley jest wstrzemięźliwy, może dlatego, iż – jak pisze – zawsze uważał, że lepszym środkiem niż wykrywanie kłamstw, analizy rękopisów i badania psychologiczne, są rozmowy w cztery oczy, zadawanie krzyżowych pytań i odczytanie motywów ucieczki. Wedle niego głównymi motywami w decyzji Światły były: świadomość, że jest Żydem, kłopoty małżeńskie oraz pogarszające się stosunki z przełożonymi. Pisząc o weryfikacji tożsamości Światły, nie wspomina znanego z książki Błażyńskiego epizodu z papierośnicą Bolesława Biegi, działacza konspiracji, aresztowanego w marcu 1945 r. przez ówczesnego „sowieckiego pomagiera”. Według Błażyńskiego, który referuje opowiadanie Światły, kazano mu sporządzić listę osób przesłuchiowanych przez niego w Polsce, wówczas (tj. w 1954 r.) przebywających na Zachodzie. Na liście tej znalazł się Biega, który w styczniu 1949 r., jako pracownik centrali handlowej „Polimex” zajmującej się sprzedażą polskiego węgla, odmówił powrotu ze służbowego wyjazdu do Szwecji. Odnalezienie go zapewne nie sprawiło Agencji kłopotów, gdyż Biega od 1952 r. mieszkał w Stanach Zjednoczonych i był znanym działaczem emigracyjnym. Zapytywany przez przedstawiciela CIA miał powiedzieć, że jeśli zbieg „ma przy sobie srebrną papierośnicę od Asprey`a z napisem From Baba”, to jest to rzeczywiście Światło, który zabrał mu ją podczas aresztowania. Papierośnica owa, była pochodzącym sprzed wojny upominkiem od ówczesnej narzeczonej Biegi, Kathleen Seely, nazywanej „Baba”. Może było to spolszczenie pieszczotliwego baby. Pan Bill Biega, syn Bolesława, którego indagowałem e-mailem w sprawie owej papierośnicy, napisał mi, że sytuacja była w pewnym sensie odwrotna. Wedle tego, jak zapamiętał opowieść ojca, to Światło miał zaproponować, aby spytano się Biegi, czy w marcu 1945 r. aresztujący go zabrał mu złotą papierośnicę z napisem „With love from Baba”, co Biega miał potwierdzić. Jest to bardziej logiczne, gdyż Światło wiedział, co ma przy sobie i skąd ta rzecz pochodzi, a Biega musiałby „strzelać na ślepo”. W każdym razie nie było

konfrontacji. Bill Biega ironicznie dopisał, że ojciec papierośnicy nie odzyskał. Nie wiem wprawdzie kiedy ta historia się wydarzyła, ale na pewno przed ogłoszeniem obecności Światły w Stanach Zjednoczonych, a więc wówczas, kiedy jego pobyt tam należał do kategorii ważnych tajemnic państwowych. Sądząc po tym, że nie są znane żadne przecieki, Biega zachował dyskrecję, do której go na pewno zobowiązano.

Być może weryfikacja była przeprowadzona już po przyjeździe Światły do Waszyngtonu i dlatego Shackley o niej nie wiedział. A może w rzeczywistości ten oficer CIA, tak dobrze przecież zaprawiony w stosowaniu dezinformacji i różnych mistyfikacjach, zmyślił całą historię, nigdy Światły na oczy nie widział, a zbieg znalazł się za Atlantykiem już na Wigilię i leciał w zupełnie innym towarzystwie? Mało to prawdopodobne, ale przecież możliwe. A ponadto nie tak znów istotne. Ważniejsze, że Amerykanin pisze bardzo mało o informacjach, które uzyskał, a przede wszystkim, nie wspomina o żadnych dokumentach lub filmach ani o skrytkach w Warszawie. Także w późniejszych przesłuchaniach Światły, prowadzonych już w Waszyngtonie m.in. przez Billa Holtzmana, nie pojawiały się one, a jak z satysfakcją pisał Shackley – „nie było wiele takiego, co ja pominąłem”. W sumie więc, poza pewną korektą, jeśli chodzi o czas transferu do Stanów Zjednoczonych, wspomnienia Shackley`a wnoszą niewiele do tego, co działo się ze Światłą od chwili, gdy znalazł się na posterunku zachodniobерlińskiej policji. CIA opuściła za nim szczelną kurtynę, której nie podniosła do dziś.

W dniu 24 września 1954 r. odleciała do Pekinu – z parodniowym postojem w Moskwie – oficjalna delegacja partyjno-rządowa, która udawała się na uroczystości 5-lecia utworzenia Chińskiej Republiki Ludowej, czyli ostatecznego zdobycia władzy przez komunistów w kontynentalnych Chinach. Na czele delegacji stał Bierut, a towarzyszył mu m.in. wicepremier Jakub Berman. Poza udziałem w galach przewidzianych dla międzynarodowego grona składającego się wyłącznie z przedstawicieli państw i partii komunistycznych, zaplanowany był dłuższy, oficjalny pobyt, połączony ze zwiedzaniem kraju, z którym Polska zaczynała rozwijać stosunki, także gospodarcze. W drodze powrotnej program przewidywał parodniową wizytę oficjalną w Mongolii. Nie mają dla nas znaczenia szczegóły przebiegu tej wizyty, ale warto o niej wspomnieć z uwagi na koincydencję w czasie z tym, co wydarzyło się na zachodniej półkuli, tysiące kilometrów od Pekinu.

We wtorek 28 września – był to dzień przylotu Bieruta et consortes do stolicy Chin – w Waszyngtonie o godz. 9.00 czasu lokalnego prokurator generalny Stanów Zjednoczonych, Herbert Brownell Jr., ogłosił, iż na wniosek Departamentu Stanu, przyznał prawo czasowego pobytu i azyl polityczny obywatelowi polskiemu Józefowi Światle. W południe Departament Stanu powiadomił prasę, że na bazie informacji uzyskanych od nowego azyllanta, wystąpił z notami do władz Polski, domagając się uwolnienia Hermanna Fielda, i Węgier, z podobnym żądaniem

dotyczącym Noela i Herty Field. Napięcie było umiejętnie dawkowane: o godz. 14.30 – czyli o 20.30 czasu europejskiego – odbyła się konferencja prasowa podpułkownika zorganizowana przez Foreign Operations Administration, rządową agendę zajmującą się uciekinierami.

Światło wystąpił na tle wielkiej mapy Europy, na której kolorami zaznaczono państwa komunistyczne, demokratyczne i neutralne. Na stole, za którym siedział, stał mikrofon Głosu Ameryki. „Niski, podobny do sowy w swych grubych okularach w rogowej oprawie – pisał reporter „The New York Times” – ubrany był gustownie w ciemnogrnatowy letni garnitur, białą koszulę i ciemnoniebieski krawat”. Dziennikarz zanotował, że Światło był pewny siebie. Przez ponad godzinę odpowiadał, przez tłumacza, na pytania licznie zgromadzonych dziennikarzy, ale najpierw odczytał przygotowane oświadczenie, w którym przedstawił krótko swój życiorys, przebieg i motywy ucieczki: zobaczył, że „czerwoni władcy służą rządowi sowieckiemu, a nie Polsce”; znalazł się w „głębokiej ideologicznej niezgodzie z komunizmem”; a teraz chce poświęcić resztę swojego życia „na pomaganiu Zachodowi w jego walce z komunistami”. Poinformował też, że od czasu wyjazdu z kraju nie ma żadnych wieści o losach żony, córki i syna. W oświadczeniu stwierdził ponadto, iż „czynny bunt” (*active revolt*) narodów za Żelazną Kurtyną jest „niemożliwy z uwagi na obecność Armii Czerwonej”, ale Stany Zjednoczone „powinny robić wszystko co mogą, aby podtrzymać [w nich] ducha oporu”. Wspominał o różnego rodzaju formach protestu jak krótkotrwałe strajki czy sprzeciw wobec kolektywizacji. Przekazał też szczegóły dotyczące aresztowania Hermanna Fielda. Światło „wygląda dobrze, mówi swobodnie i nie wydaje się być człowiekiem pod presją” – depeszował do centrali nowojorski rezydent wywiadu MBP. Dziennikarze pytali m.in. o Katyń („ogromna większość Polaków – odpowiedział Światło – jest przekonanych, że zbrodni dokonali Rosjanie”) i o prymasa Wyszyńskiego.

Audycje o tym wydarzeniu emitowały Głos Ameryki i polska redakcja Radia Wolna Europa. Zapewne relacje podały też niektóre amerykańskie rozgłośnie i stacje telewizyjne, oraz główne agencje prasowe. Następnego dnia w wydaniach bodaj wszystkich ważniejszych dzienników światowych ukazały się mniej lub bardziej obszerne informacje o wydarzeniu, z reguły na pierwszych kolumnach, niektóre ilustrowane zdjęciami Światły oraz Noela i Herty Fieldów. W prasie brytyjskiej pojawiły się też zdjęcia Hermanna i informacje o jego żonie, która wraz dwoma synami przebywała w Anglii u swoich rodziców. Ukazały się również pierwsze komentarze. Uwaga mediów skupiała się, oczywiście, na sprawie Fieldów, szczególnie ważnej dla Amerykanów, aczkolwiek zwracano uwagę na lewicowe sympatie Noela Fielda, a nawet na jego związki z Algerem Hissem oskarżonym parę lat wcześniej o współpracę z sowieckim wywiadem.

Dzień później odbyła się druga konferencja prasowa, podczas której azylant bardziej szczegółowo przedstawił aresztowanie i pobyt Hermanna w „Spacerze”, stwierdził, iż Noel i Herta prawdopodobnie nie żyją, co miało wynikać z jego

rozmów w Budapeszcie w 1951 r., oraz że Erica Wallach, adoptowana córka Noela, przebywa w więzieniu w Związku Sowieckim. 1 października odbyła się trzecia konferencja, tym razem organizowana przez Głos Ameryki, na której jednym z tematów było uwięzienie prymasa Wyszyńskiego i skala represji komunistycznych w Polsce. Było to więc mocne uderzenie: trzy konferencje w ciągu czterech dni. Sporo pisała o tym, co oczywiste, polska prasa emigracyjna zarówno europejska, jak i przede wszystkim amerykańska. W jednej z depesz amb. Józef Winiewicz twierdził jednak, że Polonia „nie ma przekonania do Światła, m.in. na tle nastrojów antysemickich, czołówka emigracyjna [zaś] jest wściekła za konkurencję”. Podczas tych konferencji Światło przekazywał sporo informacji, ale dosyć trudno określić znaczenie, jakie światowe media przypisywały jego pojawieniu się na Zachodzie. Rezydent VII Departamentu w swoich depeszach do centrali wykazywał tendencję raczej do pomniejszania niż diabolizowania roli *defectora*. W każdym razie to, o czym pisał do Warszawy, miało charakter wyrzykowy, nie opierało się ani na żadnych źródłach osobowych, ani na rzetelnych analizach tekstów prasowych. Nieco obszerniejsze relacje składała ambasada dysponująca wycinkami z prasy prowincjonalnej, z których wynikało, że rewelacje Światły dotyczące Fieldów były „podjęte [przez media] w każdym zakątku Stanów Zjednoczonych”.

Nie miałem możliwości przeprowadzenia własnych badań nad „recepcją” obecności i wypowiedzi Światły na Zachodzie, ale wydaje się oczywiste, iż jego pojawienie się i różnego rodzaju deklaracje były newsami, które same z siebie nie mogły mieć zbyt długiego żywota na arenie międzynarodowej. Wiele zależało od tego czy zajdą jakieś nowe wydarzenia, które podtrzymywałyby zainteresowanie. Do pewnego stopnia takimi „podtrzymywaczami” były przesłuchania prowadzone przez Komitet ds. Agresji Komunistycznej Izby Reprezentantów Kongresu Stanów Zjednoczonych, od nazwiska przewodniczącego, Charlesa Kerstena, zwanego Komitetem (lub Komisją) Kerstena. Przesłuchania przezeń prowadzone miały charakter publiczny, ale przyciągały uwagę raczej poważnych dzienników informacyjnych niż prasy popularnej i mediów elektronicznych. Józef Światło wystąpił jako świadek dwukrotnie: w dniach 21 i 22 października w Milwaukee (Wisconsin) oraz 1 i 2 grudnia w Waszyngtonie. W tym drugim przypadku był przesłuchiwany tuż po Stanisławie Mikołajczyku. Zaprzysiężonym tłumaczem Światły był Jan Karski, od paru lat profesor waszyngtońskiego Georgetown University, słynny kurier Polski Podziemnej, który przekazał na Zachód pierwsze obszerne informacje o Holokauście. Kongresman Kersten we wprowadzeniu do obrad podkreślał, co oczywiste, znaczenie zeznań Światły dla poznania systemu represji oraz dla amerykańskiej polityki containment, której był zwolennikiem. Doniesienia o posiedzeniach komitetu ukazywały się w głównych dziennikach amerykańskich, ale – jak się wydaje – nie docierały na prowincję, do słuchaczy radia i widzów telewizji ani do prasy w innych krajach.

Bez porównania większe znaczenie miały informacje o zwolnieniu ze „Spaceru” Hermanna Fielda, które zostały przekazane z Warszawy rankiem 25 października. Zainteresowanie szerszej publiczności było, jak sądzę, dosyć duże, głównie z uwagi na emocjonalne wypowiedzi żony Hermanna i jej współpracę z mediami. Podobnie było 18 listopada, gdy Budapeszt poinformował o zwolnieniu Noela i Herty Fieldów, którzy zresztą zdecydowali się wystąpić o azyl polityczny... na Węgrzech, co stało się dodatkową sensacją, a zarazem świadczyło o tym, że Noel nie ma czystego sumienia wobec ojczyzny. Jak można wnosić ze szczątkowej dokumentacji, którą dysponuję, nazwisko Światły pojawiało się od czasu do czasu w następnych tygodniach, ale nie budziło już takiego zainteresowania, jak początkowo.

Z pewnością informacje, które Światło przekazywał w czasie briefingów w CIA, były istotne dla poznania struktury i spraw personalnych MBP, w którym znał przecież setki osób, z najważniejszymi funkcjonariuszami włącznie, do uzupełnienia dossier głównych figur polskiego establishmentu (w tym materiałów kompromitujących), do odtworzenia procesów decyzyjnych na linii partia-bezpieka, analizy systemu zależności od Moskwy i współpracy polskiej bezpieki z jej odpowiednikami w innych krajach. Także dla uzyskania danych na temat niektórych problemów gospodarczych i – choć zapewne w małym stopniu – wojskowych oraz o nastrojach społecznych. Światło przekazał też CIA wiele szczegółów operacyjnych, takich jak nazwiska tajnych współpracowników, adresy lokali kontaktowych, lokalizację urządzeń podsłuchowych (może nawet w niektórych placówkach dyplomatycznych). Jednak np. nie znał szyfrów i miał stosunkowo małą wiedzę o zagranicznej siatce agenturalnej oraz o działalności wywiadu. Ani on sam, ani – jak sądzę – jego amerykańscy patroni, nie byli pewni, na ile szczegóły te są nadal aktualne, musieli przecież brać pod uwagę, iż po zniknięciu tak ważnego funkcjonariusza, podjęte zostaną środki ostrożności, takie jak eliminacja części agentury, likwidacja niektórych lokali, zakończenie podsłuchiwanie czy odwołanie z zagranicy oficerów wywiadu, których znał osobiście. Jednak, jak wynika ze znanych mi dokumentów, aż do 28 września kroków takich w MBP nie podejmowano, w trakcie zaś późniejszych dochodzeń nie stwierdzono żadnych faktów świadczących o tym, że wywiad amerykański próbował wykorzystać „w terenie” (tzn. w Polsce) pozyskaną w ten sposób wiedzę, szantażować kogoś czy werbować. Dane te ulegały zresztą, co naturalne, dezaktualizacji, najpierw z uwagi na reorganizację MBP – o której będę pisał osobno – ale przede wszystkim po powrocie do władzy Gomułki, które to wydarzenia nastąpiły niemal dokładnie dwa lata po pojawieniu się Światły na pierwszej konferencji prasowej i oznaczały generalne zmiany w bezpiece, w tym głębokie przesunięcia kadrowe.

Wobec braku dostępu do archiwum CIA nie sposób stwierdzić, jak w rzeczywistości oceniano „wiano”, które Światło przywiózł – raczej w głowie niż w bagażach. Z tego samego powodu nie byłem w stanie ustalić, dlaczego

tak długo trzymano równie ważnego uciekiniera w „łodówce”. Kate Field była wyraźnie zła na swoje władze za zwłokę, która oznaczała, że jej mąż przesiedział co najmniej o kilka miesięcy dłużej niż gdyby Amerykanie od razu powiadomili Warszawę o swej wiedzy, co dzieje się z Hermannem, i indagowała w tej sprawie Departament Stanu. Przekazano jej tylko tyle: „Dużo czasu zajęło sprawdzenie wiarygodności jego zeznań i że należało wybrać właściwy politycznie moment, tak, aby rewelacje Światły odniosły pożądany skutek, czyli uwolnienie członków waszej rodziny.”.

To drugie nie jest zbyt przekonujące i sędzę, że raczej starano się dobrze przygotować kampanię propagandową i wybrać odpowiedni moment do jej rozpoczęcia. Nie zdołałem jednak rozwikłać tego problemu, dlaczego wybrano akurat koniec września 1954 r. W każdym razie wydaje się, iż w CIA zapewne zakładano, że ważniejsze niż efekty czysto wywiadowcze czy humanitarne, będą efekty propagandowe. Nie sędzę jednak, aby przewidywano jakie ta operacja wywoła skutki, zresztą nie była ona zaplanowana na dłuższy czas.

Demolka i zemsta

Pierwszy szyfrogram z wiadomością o publicznym pojawieniu się Światły, wysłany przez nowojorskiego rezydenta wywiadu, wpłynął do biura szyfrów bezpieczeństwa w Warszawie 29 września o godz. 00.35, czyli mniej więcej cztery godziny po konferencji prasowej. Minęło parę godzin zanim szyfranci się z nim uporali, ale kierownictwa PZPR i MBP zapewne dowiedziały się o wydarzeniu nieco wcześniej dzięki informacjom z nasłuchu rozgłośni zagranicznych, który był prowadzony non stop zarówno przez Dział Odbioru Audycji Zagranicznych Polskiego Radia, jak i przez specjalną komórkę MBP. Wolna Europa zaczęła nadawać audycję o podpułkowniku 28 września około 23.00 czasu wschodnioeuropejskiego, a Głos Ameryki o 23.15. Można jednak z całą pewnością powiedzieć, że zanim Minc, Ochab, Radkiewicz czy Romkowski otrzymali wiadomość od odpowiednich służb, co najmniej kilkadziesiąt, a może kilkaset tysięcy, Polaków wiedziało już o sensacyjnym wystąpieniu ubeckiego bonzy. Po prostu – słuchali RWE, Głosu Ameryki lub BBC, czego nie robili partyjni notable. 29 września zebrało się – w składzie okrojonym z powodu wyjazdu delegacji do Chin – Biuro Polityczne. W oficjalnym protokole, znajdującym się w Archiwum Akt Nowych, ślad po debacie na temat Światły jest wysoce enigmatyczny: „Pkt. 1. Informacja tow. Mazura (...) w dyskusji wypowiedzieli się tow.tow. Zambrowski, Minc, Witold [czyli Franciszek Jóźwiak], Dworakowski, Ochab”. I tyle. Jednak w archiwum MSZ zachowały się teksty depesz wymienianych w tych dniach między Bierutem a pozostałymi w Warszawie członkami najwyższego partyjnego gremium.

W depeszy podpisanej przez Ochaba i Minca, która została przekazana do szyfrowania o godz. 1.50 w nocy z 29 na 30 września, z zaleceniem dla ambasadora, aby „przekazać natychmiast tow. Bierutowi”, zawarto informację

o złożeniu przez Amerykanów noty w sprawie Fielda, wiadomość, że „radio nadaje wywiady Światły (...) i zapowiada dalsze rewelacje i oszczerstwa” i konkludowano: „cała afera idzie na największy bęben” [sic]. Nadawcy zwrócili się z prośbą „abyście się naradzili i zasięgnęli opinii” w sprawie ogłoszenia specjalnego komunikatu. Sformułowanie „zasięgnęli opinii” miało zapewne oznaczać przeprowadzenie konsultacji z obecnymi w Pekinie przywódcami sowieckimi. Projekt komunikatu zaczynał się od słów: „Do aparatu bezpieczeństwa zdołał się zakraść prowokator i agent wywiadów imperialistycznych niejaki Józef Światło”. Dalej pisano m.in. o „rozwijaniu [przez niego] zamaskowanej, zbrodniczej akcji, mającej na celu za pomocą gromadzenia fałszywych dowodów rzekomej winy, podrabiania dokumentów i innych przestępczych machinacji, oczernianie i uwikłanie szeregu uczciwych obywateli, w tym również członków PZPR”. Tekst kończył się wezwaniem: „Sprawa prowokatora Światło świadczy, że należy wzmocnić czujność władz bezpieczeństwa oraz wszystkich władz i obywateli polskich”. Warszawskie grono proponowało, aby odpowiedzieć na notę amerykańską dopiero po poznaniu reakcji Waszyngtonu na komunikat, ale z góry przyjęto założenie „chcemy notę odrzucić”.

Podpisana przez „Tomasza” (czyli Bieruta; „Tomasz” był pseudonimem okupacyjnym, znaleźć go można nawet w niektórych formalnych protokołach) i „Jakuba” (czyli Bermana) odpowiedź była negatywna. Nadawcy nie napisali, czy przeprowadzili konsultacje z sowieckimi przyjaciółmi, ale wydaje się pewne, że to zrobili, a mieli na miejscu m.in. samego Chruszczowa, a także wicepremiera, gen. Bułganina, który znał trochę Polskę, gdyż w 1944 r. był oficjalnym przedstawicielem Związku Sowieckiego przy PKWN, Mikojana i Szepiłowa, a więc grono jak najbardziej reprezentatywne i kompetentne. W każdym razie po konsultacji, czy może bez pytania sowieckich towarzyszy, Bierut i Berman stwierdzili, iż „nie widzimy korzyści opublikowania czegokolwiek w obecnym momencie” i zapowiedzieli, że „odpowiedź na notę omówimy po naszym powrocie”. Depesza została nadana 1 października, tak więc odłożyli podjęcie decyzji o prawie dwa tygodnie, powrót zaplanowany był bowiem na 13 października. Jednak nikt ani w Warszawie, ani w Pekinie nie zająknął się o możliwości skrócenia pobytu. Zapewne uznano, że byłby to gest zbyt podnoszący rangę sprawy, a wobec rangi wizyty i pozycji gospodarzy wysoce nieestosowny.

Minc i Ochab byli niezadowoleni z odpowiedzi obu panów B. i oddepeszowali w tonie nawet dosyć szorstkim: „Motywy Waszego stanowiska są dla nas niezrozumiałe (...). Wszyscy obecni w Warszawie członkowie Biura, omówili jeszcze raz sprawę i są jednomyślni, że winno nastąpić nasze publiczne oświadczenie”. Zwracali nadto uwagę, iż „sprawa nabrała wielkiego rozgłosu i nasze milczenie wywiera ujemny wpływ na nastrój społeczeństwa, aparatu partyjnego i państwowego. Wszyscy oczekują na nasze stanowisko, a przeciąganie sprawy będzie wykorzystywane przez wroga”. I na koniec: „Prosimy o bezzwłoczną odpowiedź”. Nie natrafiłem na dalszy ciąg tej korespondencji

(poza szyfrogramami do Pekinu z informacjami o kolejnych wypowiedziach Światły), a więc nie wiem czy polscy goście Mao Tse-Tunga wchodzili jeszcze w jakieś polemiki z towarzyszami w Warszawie. Żaden komunikat jednak się nie ukazał, a średniego szczebla urzędnik polskiego MSZ odpowiadał Amerykanom, że „sprawa została przekazana do właściwej instancji”. Projekt komunikatu odpowiadał „hipotezie Makarow-Mielke”, która była najwygodniejsza, co najmniej częściowo zdejmowała odpowiedzialność z kierownictwa MBP, wskazywała – antycypując *Operation Sprinter Factor* Stevena – na CIA jako promotora, a więc prawdziwego sprawcę nadużyć i zbrodni, które działy się w bezpieczeństwie. Zgodna też była z bolszewickim czy stalinowskim widzeniem świata przez pryzmat zdrady i spisku.

Myślę, że polska delegacja do Chin, a przynajmniej jej kierownictwo, musiała sporo czasu poświęcić na narady nad znalezieniem wyjścia z sytuacji, ale nie znalazłem żadnych informacji na ten temat. Pobyt w Chinach był intensywny, odwiedziono m.in. Nankin, Szanghaj i Mukden. Później delegacja bawiła trzy dni w Ułan Bator, ale chyba znaleziono czas, aby podumać nad kłopotem, który tak niespodziewanie się pojawił. Dokumentacja najwyższych władz partyjnych z pierwszych dni po powrocie Bieruta i Bermiana do stolicy też jest, niestety, bardzo skąpa. Z zachowanych protokołów wynika, iż 13 października, na pierwszym posiedzeniu Biura Politycznego wysłuchano tylko sprawozdania z podróży. Pewien jednak jestem, że musieli wówczas, choćby krótko, rozmawiać na temat Światły, choć posiedzenie odbyło się niemal tuż po przylocie na Okęcie i uroczystym powitaniu, w trakcie którego Bierut wygłosił przemówienie. Dwa dni później na posiedzeniu Sekretariatu KC, po wstępnym omówieniu problemu, postanowiono poświęcić mu najbliższe posiedzenie Biura Politycznego. Niewątpliwie odbywały się liczne narady i dyskusje w wąskim, nieformalnym kręgu najbliższego otoczenia Bieruta i z udziałem niektórych osób z kierownictwa resortu (zapewne Radkiewicza). Najpewniej dostarczano do tego grona pierwsze raporty i opracowania sporządzane w MBP. Niewątpliwie po gmachu KC krążyły niezliczone plotki i pogłoski o tym, co się wydarzyło i co może się jeszcze wydarzyć.

Porządek dzienny kolejnego posiedzenia Biura Politycznego, które odbyło się 19 października, przewidywał tylko jeden punkt: „Rozpatrzenie całokształtu pracy Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego i wnioski organizacyjne”. Na zebranie zaproszono – a raczej wezwano na dywanik – wszystkich czterech wiceministrów, Radkiewicz zaś był obecny z urzędu, jako członek Biura. Z protokołu można wnosić, że niektóre decyzje były już uprzednio omówione i przygotowane, ale wciąż miały charakter cząstkowy. Po wysłuchaniu daleko posuniętej samokrytyki złożonej przez Romkowskiego, postanowiono odwołać go ze stanowiska i w ogóle z pracy w bezpieczeństwie. Zalecono wprowadzenie do kolegium ministerstwa dwóch dyrektorów departamentów, gdyż do tej pory kolegium składało się z ministra i jego zastępców, a w praktyce zbierało się nieregular-

nie i to dopiero od jesieni 1953 r. Powołano też komisję (pod przewodnictwem Franciszka Jóźwiaka) „do rozpatrzenia spraw ttow. Różańskiego i Fejgina” oraz polecono Radkiewiczowi przygotowanie w ciągu 2–3 tygodni projektu reorganizacji MBP przez utworzenie odrębnego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Prawdopodobnie podczas tego samego posiedzenia zdecydowano o ogłoszeniu oficjalnego komunikatu o „zdradzie Światły” i wyznaczono datę jego ukazania się (25 października).

Przed następnym zebraniem Biura Politycznego, na którym szerzej omawiano sprawy bezpieczeństwa, Bierut telefonicznie konsultował planowane zmiany z sowieckim premierem Gieorgijem Malenkowem. Być może w wyniku tej konwersacji i innych debat, które odbywały się zapewne z udziałem nowego „głównego doradcy” sowieckiego, płk Jewdokimienki, postanowiono pójść o krok dalej niż poprzednio zamierzano. Zarówno sam komunikat z 25 października, jak i przebieg przeprowadzonej tego samego dnia narady „aktywu centralnego” – czyli około 200 osób zajmujących kluczowe stanowiska w aparacie partyjnym, państwowym, prokuraturze, organizacjach społecznych, wojsku i bezpieczeństwie – koncentrowały się na osobie Światły, jako tym, który świadomie i w interesie wrogów prowadził „krecią robotę” i sprowadził cały aparat bezpieczeństwa na złe drogi. Pozostali byli winni raczej tylko niedopilnowania i nadmiernego zaufania do niego. Następane zebranie Biura odbyło się 4 listopada. Przyjęto wówczas projekt reorganizacji przedstawiony przez Radkiewicza i powołano kolejną komisję (pod przewodnictwem premiera Cyrankiewicza) „dla przygotowania Uchwały Rządu” powołującej MSW oraz odrębny Komitet ds. Bezpieczeństwa Publicznego przy Radzie Ministrów. Zapewne na tym posiedzeniu zapadła lub została podana do wiadomości gremium decyzja o aresztowaniu Różańskiego, co nastąpiło dzień później. Ostateczne decyzje podjęto jednak dopiero podczas posiedzenia w dniach 24–25 listopada, poświęconego nie tylko sprawom bezpieczeństwa, ale także przygotowaniu kolejnej narady „aktywu centralnego”, na której Bierut – w imieniu Biura Politycznego – miał przeprowadzić samokrytykę, ogłosić wprowadzenie zasady „kolegialnego kierownictwa” w partii oraz przedstawić zmiany w aparacie bezpieczeństwa. Biuro Polityczne przyjęło projekty aktów urzędowych w sprawie utworzenia dwóch nowych resortów i wyznaczyło obsadę kierowniczych stanowisk w MSW (ministrem został Władysław Wicha) oraz skład Komitetu ds. Bezpieczeństwa Publicznego, który miał działać na zasadzie kolegialnej: przewodniczącym został Władysław Dworakowski, I zastępcą Antoni Alster, zastępcami Jan Ptasieński i Witold Sienkiewicz, a sekretarzem Zbigniew Paszkowski. Min. Radkiewicz został przesunięty na trzeciorzędne stanowisko ministra Państwowych Gospodarstw Rolnych, z KC postanowiono wykluczyć Romkowskiego, a z partii – Fejgina. Przedłużono też mandat „komisji Jóźwiaka”.

Pozostawały do rozwiązania sprawy techniczne (m.in. podział budynków, kolumny samochodowej czy majątku) i formalne, ale przede wszystkim skomplikowany politycznie i psychologicznie problem więźniów X Departamentu.

W tej sprawie o decyzje było najtrudniej, większość „bierutowskiego” kierownictwa była zbyt przywiązana do poprzednich koncepcji, w tym do planu przeprowadzenia wielkiego procesu (co najmniej Spychalskiego), aby móc wycofać się na całej linii. Dopiero pod wrażeniem narady „aktywu centralnego” PZPR, która odbyła się 29–30 listopada, kiedy to padły głosy krytyczne nie tylko pod adresem MBP, ale także kierownictwa partii, uznano za konieczne zwolnienie Gomułki. Wypuszczono też Komara i wszystkie osoby uznane za należące do jego „grupy” oraz pozostałych jeszcze więźniów z „grupy Fielda”. Nie oznaczało to jednak zakończenia sprawy, gdyż w więzieniu nadal siedzieli zarówno Spychalski, jak i pierwsze ofiary „aparatu Romkowskiego”, w tym Jaroszewicz i Lechowicz. Pozostały też setki innych aresztowanych – a nawet już skazanych – w związku ze „sprawą Spychalskiego”, wśród których większość stanowili oficerowie AK i urzędnicy Polskiego Państwa Podziemnego. Nie mówiąc o dziesiątkach tysięcy innych więźniów. Niemniej jedna z osób zwalnianych wówczas z więzienia na Rakowieckiej stwierdziła z satysfakcją, że „na jej miejsce” przyszedł Różański.

Pod tym względem „efekt Światły” był raczej skromny, gdyż wolność odzyskała tylko część uwięzionych komunistów. Dobrze jednak było i to, tym bardziej, że już wcześniej zaczął się powolny proces poprawy warunków w więzieniach (np. dostarczanie prasy), a niektórych skazanych – np. większość działaczy PSL – zwalniano „dla podratowania zdrowia” na dłuższe, nawet wielomiesięczne, przepustki. Pewnym ewenementem było wypuszczenie więźnia „Spaceru”, Stanisława Mierzeńskiego, co było wynikiem żądania Hermanna Fielda, jego towarzysza z celi. Podczas jednej z konferencji prasowych Światło podał dokładną lokalizację miejsca internowania prymasa Wyszyńskiego i dla uniknięcia pielgrzymek lub innego rodzaju niepożądanych zbiegowisk, trzeba było je zmienić, a więc bezpośrednim skutkiem ujawnienia się Światły była poprawa warunków internowania głowy polskiego Kościoła: 6 października 1954 r. ksiądz prymas – czyli obiekt o kryptonimie „123” – został przeniesiony z zimnego, niewygodnego klasztoru w Stoczku Warmińskim, położonym w wilgotnym, a nawet – jak wspominał przydzielony przez bezpiekę do „obsługi” prymasa, ks. Stanisław Skorodecki – wręcz malarzycznym klimacie. Nowym miejscem uwięzienia był klasztor w Prudniku Śląskim, leżący na terenie wojskowym, a więc z punktu widzenia nadzoru nad prymasem było to miejsce bezpieczne, zaś „warunki mieszkaniowe były bez porównania lepsze” niż poprzednio.

Tak więc w ciągu dwóch miesięcy od pierwszego wystąpienia Światły przeprowadzono poważną reorganizację struktury i „czystkę” wśród najwyższych władz bezpieki. Być może rozważana była koncepcja, aby podpułkownika uczynić kozłem ofiarnym, za czym na pewno opowiadaliby się, ratując własną skórę, Romkowski, Mietkowski czy Radkiewicz. Trudno wykluczyć, iż przenosząc tak szybko Fielda ze „Spaceru” do eleganckiej willi koło Otwocka, nie rozważano możliwości użycia go jako narzędzia do oskarżenia Światły. Można by wówczas

uczynić podpułkownika jedynym odpowiedzialnym za „błędy i wypaczenia”, jak zaczęto – na wzór sowiecki – określać zbrodnie stanowiące w rzeczywistości nieodrodną część systemu. Sformułowania użyte w projekcie komunikatu ułożonym 29 września też zdawały się wskazywać na podobny zamysł. Było to możliwe tym bardziej, że sam Field w rozmowach, które toczył z „mówiącą biegle po niemiecku” Brystygierową, domagał się ukarania odpowiedzialnych, a jedynym winowajcą, którego wskazywał imiennie był właśnie Światło (nazywał go „Papierosem”, a nazwisko ciemieżyciela poznał dopiero z okazanego mu wycinka „The New York Times” z relacją z konferencji prasowej Światły). Jeśli taki pomysł był rzeczywiście rozpatrywany, zapewne uznano, że byłoby to odczytane jako oczywisty wybieg i próba ucieczki przed jakąkolwiek odpowiedzialnością. Ponadto Światły nie można było ani wsadzić do więzienia, ani zwolnić ze stanowiska, gdyż swoim czynem sam się zdymisjonował z pracy w aparacie bezpieczeństwa i sam się wyrzucił z partii komunistycznej.

Ujawnienie, że Światło był zbiegiem, a więc z pewnością przekazał Amerykanom setki informacji personalnych i operacyjnych oraz fakt, że zaczął bezpardonowo atakować swoich niedawnych kolegów, opisując zarówno zbrodnicze metody, jakimi się posługiwali, jak i pospolite malwersacje, których się dopuszczali, czy wystawny tryb życia, jaki prowadzili, spowodowały poważne perturbacje w pracy aparatu bezpieczeństwa. Już sama reorganizacja i przesunięcia personalne na najwyższych stanowiskach wywołały zamieszanie, które obniżało możliwości operacyjne. Z dokumentów relacjonujących spotkania funkcjonariuszy z ich tajnymi współpracownikami na terenie całej Polski wynika, że ci ostatni dosyć często wyrażali niepokój o możliwość zdekonspirowania ich przez jakiegoś kolejnego zbiega, a nawet – pod tym pretekstem – odmawiali dalszej współpracy. Wielokrotnie wystąpiła krępująca dla ubeków sytuacja, gdy po raz pierwszy o wydarzeniu z 28 września dowiadywali się od swoich TW, co niewątpliwie obniżało ich autorytet, który jest przecież jedną z podstaw „trzymania na smyczy” agenta. W całym resorcie, a zwłaszcza w centrali, zapanowała atmosfera podniecenia i niepewności. Aczkolwiek – jak pisano w raporcie omawiającym „nastroje w Ministerstwie”, który sporządzono w resortowym Komitecie PZPR – „wyczuwa się atmosferę zdrowego, partyjnego potępienia prowokatora”, pracownicy b. X Departamentu „często zbierają się razem podczas pracy i, dyskutując tę sprawę, podają niektóre brednie podawane prawdopodobnie przez wrogie szczekaczki”. Takie np. jak wypowiedź Światły, iż w departamencie „60% są [stanowią] ludzie jego pokroju, którzy wyczekują okazji do ucieczki, pozostali zaś to pracownicy otumanieni i chwiejni”. Słuchanie zachodnich rozgłośni stało się niemal powszechne wśród ubeków z Centrali. Zgodnie z pewnym donosem jeden z dyrektorów departamentu, tuż po powrocie do swojego gabinetu z odprawy u ministra w sprawie zbiega, „nastawił [radio] na BBC” i zrezygnował z słuchania tylko „na skutek trzasków w odbiorniku”. Wedle wspomnianego raportu ci, którzy nie znali Światły, potępiali go wprawdzie, ale „wyczuwa się

w ich wypowiedziach jak gdyby pewną obojętność, [mówią] że to nie ich sprawa, lecz kierownictwa". Tu i ówdzie wśród pracowników resortu pojawiały się wypowiedzi antysemickie („Żydzi to ludzie interesu i często zdradzają” – mówił pewien kursant z Centrum Wyszkożenia MBP w Legionowie). Ośmielali się także ci, którzy mieli stosunek krytyczny do przełożonych. Języki rozwiązały się jeszcze bardziej, gdy rozeszła się wiadomość o planowanym pozbawieniu stanowisk ministrów i o aresztowaniu Różańskiego. Niektóre zebrania ubeckich POP, jak wynika z ich protokołów, zaczęły się przekształcać w wiece, podczas których nie szczędzono przełożonym słów krytyki, choć z reguły kierowano je przeciwko tym, którzy już zostali potępieni przez szefostwo lub osobom uważanym za ich „popleczników”. Toteż uczestnicy zebrań najczęściej mówili o nadużyciach popełnianych przez Światłę czy Różańskiego lub o błędach Fejgina czy Romkowskiego, ale na ogół nie wypowiadali się na temat swoich aktualnych zwierzchników.

Kierownictwo resortu od razu zresztą podjęło próby wspomżenia funkcjonariuszy w zamortyzowaniu wstrząsu wywołanego tym, co stało się 28 września. Już 29 września odbyła się odprawa szefów WUBP, a 1 października wytyczne i informacje zaczęto „przenosić w teren”: we wszystkich WUBP odbyły się odprawy dla naczelników wydziałów, sekretarzy POP, szefów PUBP, ich zastępców oraz sekretarzy POP przy urzędach powiatowych. Dzień później „przeniesiono sprawę” na zebrania kierowników sekcji (w wydziałach WUBP) oraz sekretarzy OOP, a ci z kolei „przenosili” ją do szeregowych pracowników czy to na zwołanych ad hoc zebraniach partyjnych, czy na zebraniach pracowniczych (co w gruncie rzeczy na jedno wychodziło). Jak wynika z różnych sprawozdań napływających do Warszawy „towarzysze w Aparacie wiadomość przyjęli z pełnym oburzeniem”. Z Wrocławia np. meldowano: „Wiadomość ta wpłynęła na aktyw kierowniczy (...) trochę „przygniatająco”, w związku z czym zaszła wszędzie konieczność pokazywać, że rzeczywiście niedobrze jest, że do tego mogło dojść, ale że jednocześnie nie można tej sprawy traktować na jakąś miarę międzynarodową, jak to próbują rozdmuchać kapitaliści. Zaszła wszędzie konieczność pokazania szeregu osiągnięć obozu pokoju.”

Zwłaszcza ta ostatnia informacja musiała napawać niepokojem kierownictwo resortu, gdyż dowodziła niskiego poziomu uświadomienia ideowego, mimo trwającej od lat intensywniej indoktrynacji. Na pewno sensacja o zdradzie Światły zbulwersowała ogół funkcjonariuszy i siłą rzeczy wpływała destrukcyjnie – a co najmniej dysfunkcjonalnie – na cały aparat i jego bieżące działania. Jakkolwiek z dokumentów i publikacji to nie wynika, wydaje się jednak, że uroczyście obchodzony Dzień Milicjanta – w mniej publiczny sposób świętowany także przez bezpiekę – który przypadał na 7 października, przebiegał w minorowym nastroju. Stosowną liczbę medali i odznaczeń zapewne jednak wręczono, a i na premie chyba nie zabrakło grosiwa. Tym bardziej, że była to okragła, dziesiąta rocznica.

W odróżnieniu od kierownictwa PZPR, którego reakcje zostały spowolnione przez nieobecność w kraju dwóch najważniejszych osobistości, szefostwo MBP podjęło energiczne i szybkie działania. Już 29 września minister powołał specjalną komisję, której celem było „zbadanie okoliczności towarzyszących zdradzie i ucieczce Światły J.” oraz podjęcie działań dla „zabezpieczenia aparatu bezpieczeństwa publicznego i innych ogniw aparatu państwowego przed następstwami prowokacyjnej jego działalności”. W skład komisji weszła trójka funkcjonariuszy, którzy byli członkami komisji z grudnia 1953 r. (Tracz, Kratko i Leśniewski), a ponadto wicedyrektor VII Departamentu Józef Czaplicki i dyrektorka III Departamentu Brystygierowa, która została przewodniczącą tego zespołu. Komisja została zobowiązana do informowania ministra „na bieżąco co dzień” i do składania raz na trzy dni pisemnego raportu. Pierwszy raport, złożony zgodnie z wymogiem 2 października, był jednak spisem zadań, które stały przed komisją, a nie sprawozdaniem z podjętych już działań. W raporcie tym wyrażono się krytycznie o pasywnej postawie kierownictwa od czasu zniknięcia wicedyrektora i niewykonaniu proponowanych wówczas działań. Komisja stwierdzała jednoznacznie, że „podstawowe czynności ochronne wobec niebezpieczeństwa dywersyjnej działalności Światła [sic] nie zostały przedsięwzięte”. Za główne zadania uznano np. dokonanie zmian w obsadzie i rozmieszczeniu niektórych ogniw MBP, ochronę osób zajmujących ważne stanowiska w życiu politycznym i gospodarczym, które mogłyby stać się przedmiotem szantażu „ze strony wroga”. To samo miało dotyczyć agentury znanej podpułkownikowi. Zakładano także „pogłębienie badania” przeszłości Światły i stwierdzenie, czy „nie zostawił wtyczki”. Planowano „zorganizować aktywne rozpracowanie krewnych i przyjaciół Światła [sic] za granicą” oraz „opracować przedsięwzięcia celem unieszkodliwienia dywersyjnej działalności Światła [sic] za granicą”, czym miał się zająć VII Departament. Komisja miała dosyć rozległe uprawnienia, m.in. kontroli spraw agenturalnych b. X Departamentu, angażowania do pomocy „pracowników wyspecjalizowanych w danych dziedzinach” oraz prawo do „odbierania wyjaśnień” od funkcjonariuszy, w tym przesłuchiwania Fejgina.

Parę dni później przedstawiono projekty pierwszych posunięć: zmianę zasad oznaczania poszczególnych pionów (departamenty operacyjne miały mieć oznaczenia literowe, zaś pionów kadrowo-polityczne i zaplecza logistycznego numery rzymskie), wymianę całego składu osobowego ochrony osobistej „towarzyszy z kierownictwa” PZPR i zmianę ich „miejsc odpoczynkowych”, zmianę lokalizacji Szkoły Wydziału „A” (czyli inwigilacji) oraz lokali konspiracyjnych tego pionu, odwołanie z zagranicy oraz wymianę przebywających w kraju pracowników operacyjnych wywiadu znanych Światłu, a nawet przeniesienie VII Departamentu do innych pomieszczeń. Jak się wydaje, części tych zaleceń nie zrealizowano (np. zmiana oznaczania departamentów), co do wykonania niektórych nie znalazłem żadnych jednoznacznych dokumentów (np. zmiany w ochronie

VIP-ów). Niemniej zarówno komisja, jak i poszczególne agendy MBP wykonały sporą pracę, co także zapewne wpływało na zakłócenia w bieżącej działalności operacyjnej. Np. VII Departament, nie licząc tych funkcjonariuszy z centrali, których Światło znał, a których przeniesiono do innych pionów, odwołał z placówek zagranicznych osiem osób. Przynajmniej w paru przypadkach wiązało się to z koniecznością podjęcia kłopotliwych czynności, niektórzy z wracających pracowali „pod przykryciem” (np. w biurze PAP w Nowym Jorku) i należało ich powrót uzgodnić z oficjalnymi pracodawcami. W jednym przypadku zdecydowano się nawet na „przywiezienie do kraju, przy pomocy Przyjaciół” (tj. Sowietów) pewnego agenta z Austrii. Wywiad zaczął także przygotowywać „plan przedsięwzięć w celu operacyjnego dotarcia” do Światły, któremu nadano kryptonim brzmiący dosyć bojowo – „Kogut”. Jeden z funkcjonariuszy (niejaki ppor. Mikołajewski) zgłosił się do swego przełożonego, „wyrażając chęć operacyjnego przygotowania go w celu dotarcia do «Koguta» i zrobienia z nim «mokrej roboty»”. O ile wiem, z oferty tej nie skorzystano, być może obawiając się, że wolontariusz ów po prostu sam kombinuje jak uciec. Jest to pewien paradoks, a może nawet chichot historii, że jeszcze przez tydzień od pierwszej konferencji prasowej zdrajcy figurował on wciąż w rejestrach MBP jako wicedyrektor nieistniejącego już departamentu. Rozkaz usuwający go – z dniem 30 września – ze służby został wydany przez ministra dopiero 5 października.

Tymczasem departament za departamentem i WUBP za WUBP robiły analizy mające na celu ustalenie sieci agenturalnej, lokali kontaktowych i konspiracyjnych, rozpracowań, które w całości lub częściowo były znane Światłu, dokumentów, które przekazywano do X Departamentu, funkcjonariuszy, którzy pozostawali z nim w lepszych stosunkach. Kilkudziesięciu funkcjonariuszy złożyło komisji raporty lub oświadczenia na temat Światły, raz jeszcze podobne oświadczenia składali jego znajomi sprzed wojny i członkowie rodziny. Wiele uwagi poświęcono zbadaniu przedwojennej przeszłości zdrajcy, w czym stałym konsultantem był Piasecki, szczerze go nienawidzący. Na marginesie głównego zadania dwoje członków Komisji, którzy odgrywali w niej najważniejsze role – Brystygierowa i Czaplicki – przekazało na ręce Mazura i Józwiaka opinie nt. Różańskiego, Fejgina i Romkowskiego. Być może miały to być tylko „podkładki” dla decyzji podjętych już przez Bieruta, ale niewykluczone, że w ten sposób zwracano uwagę na konieczność zajęcia się przez instancje partyjne tymi właśnie ubekami.

Pierwsza wersja raportu była przygotowana 13 października, czyli w dniu powrotu Bieruta do kraju, ale obszerny, liczący prawie 19 stron tekst ostateczny podpisany został dopiero 4 listopada, a więc ponad miesiąc od powołania komisji. Pierwszą część poświęcono sylwetce Światły przed podjęciem pracy w bezpieczeństwie, przy czym stwierdzono brak „konkretnych danych” mogących dotyczyć jego związków z policją polityczną II RP, których usilnie poszukiwano. Następną część obejmowała okres działalności w resorcie, przy czym wyraźnie акцен-

towno negatywne cechy i zachowania Światły. Zarzucano mu bicie więźniów, aresztowania bez uzasadnionych powodów, stwarzanie niezwykle trudnych warunków dla więzionych w Miedzeszynie. Raport rysował obraz bezwzględnego oprawcy tęskniącego do tych metod śledztwa, które stosowano zanim partia nie zażądała przestrzegania praworządności, pragnącego powrotu do czasów, w których „zarzucało się aresztowanej suknię i biło w obnażony organ gumą, a gdy pokazywała się krew polewano zimną wodą”. Była to też sylwetka osobnika, który „głosi ciągle i na każdym kroku swe oddanie partii [a] każde posunięcie – najbardziej podle – przykrywa koniecznością działania dla dobra partii”. Nawet charakterystyczne dla niego „wyjątkowe bałaganiarstwo” mogło, wedle komisji, być „celowe”. Szczególnie w ostatnim okresie miały cechować Światłę „cynizm, hipokryzja, dwulicowość”, po zwróceniu przez kierownictwo uwagi na naganność dotychczasowych metod śledztwa „momentalnie (...) przewekslowuje się, krzyczy i głosi konieczność obiektywizmu”, podczas gdy „po cichu proponuje cały szereg prowokacji”. Swym zachowaniem „terroryzuje partyjną organizację, hamuje krytykę”, zaś „w wypowiedziach, a nawet [w] czynach uwidacznia się jego głęboki nacjonalizm”. Oczywiście żydowski.

Jeśli chodzi o samą ucieczkę Komisja stwierdziła, iż „wydaje się prawie pewnym, że Światło przygotowuje się [do niej] metodycznie i skrupulatnie”, a jej przebieg „wypracował w szczegółach”, takich np. jak udział Fejgina w przekraczaniu granicy sektorów, co miało „dać [mu] alibi w razie przypadkowego zatrzymania”. Następnie w raporcie przedstawiono „czynności dokonane celem zabezpieczenia agentury i niektórych spraw przed dywersyjną działalnością Światła [sic]”, w tym decyzje co do agentury i lokali konspiracyjnych, oraz zabezpieczenia rozpracowań prowadzonych w kilku departamentach i w dwunastu WUPB. W wyniku dokonanego przeglądu kadr komisja wystąpiła do kierownictwa resortu o zwolnienie z aparatu bezpieczeństwa 5 osób, a wobec 3 innych o przeniesienie do jednostek nieoperacyjnych: „do zwolnienia i przeniesienia wytypowano w pierwszym rzędzie pracowników, którzy byli faworyzowani przez Światło [sic]”. Proponowano też, aby „kontynuować prace nad pełnym wyjaśnieniem przeszłości prowokatora”. Wnioskowano wreszcie o powołanie „kompetentnej komisji z udziałem czynnika partyjnego” do przeanalizowania prowadzonych rozpracowań i zniszczenia dokumentów dotyczących tych, które były wszczęte „bez uzasadnionych podstaw”.

Przy okazji komisja Brystygierowej poddała ostrej krytyce całą działalność X Departamentu i jego wojewódzkich placówek, ale w negatywnym kontekście wymieniano właściwie tylko Fejgina i Światłę. Nie wspomniano, oczywiście, o inicjatorskiej roli Bieruta i Bermiana ani o istnieniu przez kilka lat Komisji Biura Politycznego ds. Bezpieczeństwa, która nie tylko dawała sankcje na prowadzenie forsownych śledztw mających na celu znalezienie dowodów – tj. wymuszanie zeznań – niezbędnych dla planowanych procesów, ale wręcz wskazywała kandydatów do aresztowania czy rozpracowywania. Z osób nale-

żących do kierownictwa resortu ujemnie wyrażano się jedynie o Romkowskim, który był napiętnowany nie tyle za to, co robił, co raczej za poparcie, którego udzielał swemu totumfackiemu i za wytrwałe lansowanie tezy o porwaniu Światły. W krytykach pominięto zarówno samego ministra, jak i pozostałych wiceministrów (Mietkowski, Świetlik, Lewikowski), którzy w pewnych okresach nadzorowali przecież czy to śledztwa, czy X Departament. Nie wspomniano też, rzecz jasna, o istnieniu sowieckich doradców, nie będących przecież biernymi obserwatorami prac operacyjnych i śledczych, aczkolwiek od końca lat 40. sami właściwie nie prowadzili już przesłuchań. Krytyczne sformułowania, które znalazły się w raporcie były więc ukierunkowane personalnie na niewielką grupę wysokich funkcjonariuszy, natomiast nie dotyczyły ścisłego kierownictwa PZPR i nie kwestionowały zasadności innych obszarów działania resortu niż szukanie „wroga wewnętrznego”, co pod względem ilościowym było bardzo małym wycinkiem działalności bezpieki. W zasadzie ani komisja Brystygierowej, ani nikt z kierownictwa MBP – i oczywiście nikt z bierutowskiej elity – nie zadawał sobie pytań o działalność całego resortu, o masowy terror, o dziesiątki tysięcy ludzi siedzących w więzieniach, o tysiące toczących się rozpracowań i śledztw, które prowadziły do następnych aresztowań i wyroków. Tak więc „sprawa Światły”, która zmusiła ekipę Bieruta do przyjrzenia się niektórym aspektom funkcjonowania bezpieki, nie spowodowała jesienią 1954 r. rzeczywiście gruntownej rewizji obecności aparatu bezpieczeństwa w państwie, jego kompetencji i zasięgu oddziaływania. Publiczne rewelacje głoszone przez podpułkownika doprowadziły do zakłóceń w funkcjonowaniu bezpieki, ale przecież nie były w stanie doprowadzić do zmian fundamentalnych. W istocie nawet dalszy ciąg „odwilży”, w tym wydarzenia z 1956 r. – XX Zjazd KPZR, śmierć Bieruta i powrót Gomułki na fotel I Sekretarza – do tak daleko idących zmian nie doprowadziły. Aparat bezpieczeństwa był bowiem zbyt potrzebny dla trzymania w ryzach społeczeństwa, aby móc pozwolić sobie na luksus jego likwidacji lub doprowadzenie do form obowiązujących w demokratycznym państwie. Aż do 1989 r. jego rozmiary i sposoby działania stanowiły widomy znak, że mechanizmy władzy stworzone w latach stalinowskich wciąż są trwałym i niezbędnym składnikiem systemu.

Zastanawiające, iż wśród decyzji, które zostały przez kierownictwo MBP najszybciej podjęte, znalazły się te, które dotyczyły rodziny zbiega. Zapewne można znaleźć dla nich uzasadnienie w trosce o bezpieczeństwo samej bezpieki, gdyż należało liczyć się z tym, że „wrogie wywiady” będą chciały wykorzystać najbliższych Światły do sobie tylko znanych celów i knuć jakieś kolejne prowokacje. Jednak, licząc nawet od stycznia czy lutego 1954 r., miały na to mnóstwo czasu, którego – jak wykazało dochodzenie komisji Brystygierowej – nie wykorzystwały. Sądzę przeto, iż głównym motywem tych działań była po prostu zemsta: nie mogąc dopaść zdrajcy, który znajdował się pod szczelną ochroną służb amerykańskich, wyżyto się na jego rodzinie. Zemsta objęła nie tylko żonę

i dzieci, ale także siostry i ich rodziny oraz szwagierkę i szwagra z rodziną. Nie posunięto się wprawdzie do tego, aby dorosłych wsadzić do więzienia, a dzieci ulokować w sierocińcach – czasy były już nie te – ale czekały ich trudne i ponizające chwile. Działania podjęte przez MBP polegały na wysiedleniu wszystkich z Warszawy, co wiązało się zarówno z utratą mieszkań, jak i dotychczasowej pracy. Z wrocławskiego WUBP zwolniono nawet siostrę Frydy, pierwszej żony Fleischfarba. Zakres i charakter tych represji ustalono już 29 września.

Żonę Światły wraz z dziećmi i z siostrą, „w godzinach rannych” 1 października, wywieziono do leśniczówki koło Olecka w woj. białostockim, gdzie miała być ich tymczasowa kwatera. Towarzystwo Leokadii było – jak pisano – konieczne „z uwagi na stan zdrowia Justyny, która przeszła chorobę umysłową i obecnie jest w stanie silnego podrażnienia nerwowego”, a więc musiała mieć pomoc choćby dla opieki nad 9-letnią córką i 5-letnim synem. Całej czwórce od razu zmieniono nazwiska, a wkrótce opracowano „legendy” oraz przygotowano stosowne dokumenty, z czym było trochę zachodu, gdyż trzeba było np. sfałszować świadectwa szkolne córki i inne, różnego rodzaju zaświadczenia. Wedle nowych dokumentów Justyna Stankiewicz była rozwódką, jej były mąż nazywał się Jan Wiśniewski, oboje urodzeni byli w Mołodecznie, gdzie też wzięli w 1942 r. ślub. Wygnańcom zapewniono oczywiście „ochronę osobistą”, składającą się z paru funkcjonariuszy, a w mieszkaniu zainstalowano podsłuch. Z raportów wynika, że szczególnie Justyna (nadano jej pseudonim „Lena”) mocno to wszystko przeżywała. Po kilku tygodniach zostali przewiezieni do Sokółki, gdzie obie niewiasty mogły podjąć pracę, a córka wznowić naukę w szkole.

Maria Obozowicz-Maksymkin wraz z mężem zostali wysiedleni do Pińczowa, Róża Obozowicz-Dornfest z mężem i dzieckiem do Biłgoraja, Krystyna Obozowicz-Sztatler wraz z mężem i dziećmi trafiła do Iwonicza-Zdroju. Sztatlerowie Warszawę opuścili dopiero 3 listopada, ponieważ 2 października Krystyna urodziła drugie dziecko. „Rozsiedlenie” Sztatlerów odbyło się jednak lege artis, gdyż stosowna komisja lekarska uznała, iż dzieci – także to miesięczne – są w dobrym zdrowiu i „stałej opieki lekarskiej nie wymagają”. Siostry Izaka Fleischfarba nie musiały zmieniać nazwisk. Do zmiany zmuszono jednak brata Justyny, Włodzimierza Światłę, którego wraz z żoną i dwójką dzieci (4 i 7 lat) wysiedlono do Sępólna. Nadano mu nazwisko panińskie matki: Radzyński. Biorąc pod uwagę raczej chłodne stosunki wewnątrz rodziny, czy fakt, że szwagrowie zupełnie nie utrzymywali kontaktu z uciekinierem, a Maksymkin w ogóle widział go chyba tylko raz, wszystko to było złośliwą szykaną. Właściwie nawet represją.

O powodach wysiedleń powiadomiono szefów odpowiednich WUBP i PUBP, których zobowiązano do udzielenia pomocy w znalezieniu pracy oraz „do agenturalnego zabezpieczenia tak miejsca zamieszkania, jak miejsca pracy”. W mieszkaniach Maksymkinów i Dornfestów zostały zainstalowane podsłuchy. Wszystkim zablokowano korespondencję z zagranicą, a krajowa musiała przechodzić przez ręce funkcjonariuszy, przy czym adres nadawcy był adresem jednej z komórek

bezpieki. Obok Justyny i Leokadii (oraz dzieci Światły) najbardziej pieczołowitej „opiece” poddany został chyba Włodzimierz, co być może wynikało po prostu z gorliwości szefa PUBP, który wszczął rozpracowanie pod znaczącym kryptonimem „Prowokator”. Do jego obsługi wytypował trzech TW i jeden „kontakt obywatelski”. Początkowo wszyscy, poza Włodzimierzem Światłą – notabene jedynym bezpartyjnym w rodzinie – który od razu zajął bardzo negatywne stanowisko wobec tego, co go spotkało, przyjęli bieg wydarzeń „w zasadzie spokojnie i jak wynika z ich wypowiedzi ze zrozumieniem”. Wnet jednak zaczęli wyrażać niezadowolenie i odwoływać się: Sztatler wysłał 8 listopada list do Bieruta, a Maksymkinowie przekazali 8 grudnia skargę na ręce Prokuratora Generalnego. W styczniu 1955 r. list do Bieruta napisał Włodzimierz: „Żyję pod innym nazwiskiem posiadając inne doręczone mi dokumenty, nie wiem właściwie kim jestem, z kim mi wolno rozmawiać z dawnych znajomych”. W wyniku tych wystąpień Bierut osobiście zarządził, aby przyznać im – poza Justyną z dziećmi – prawo wyboru miejsca zamieszkania, byle nie była to Warszawa. Jednak nad wszystkimi nadal utrzymywano ścisłą kontrolę, a np. w związku z Targami Poznańskimi w 1955 r. szefowie odpowiednich WUBP otrzymali nawet specjalne instrukcje.

Niewątpliwie w najtrudniejszej sytuacji, zarówno psychicznej, jak i materialnej, znalazły się Justyna z dziećmi i Leokadia, która mimo zachęt ze strony ubeków, pozostała z siostrą. Leokadia właściwie nie miała zawodu. Justyna była chora i nerwowo wykończona. Po roku zostały przeniesione do Kościana w woj. poznańskim, ale formalnie dopiero z dniem 30 października 1956 r. cofnięto wobec nich takie środki represyjne, jak ogólny zakaz korespondencji, nawet z najbliższą rodziną, i zakaz opuszczania miejscowości, w których je lokowano. Podśluch wyłączono im dopiero 6 listopada 1956 r. Poinformowano je wówczas, że mogą ubiegać się o wyjazd do Izraela, skąd ich matka pisała rozpaczliwe listy do władz, poszukując kontaktu z dziećmi. Zgody na wyjazd jednak nie dostały, nie miały się też gdzie podziać: zrazu zamieszkały u Sztatlerów w Łodzi, później u Radzyńskich w Toruniu. W rezultacie, jak pisała Leokadia w skardze do MSW, dzieci 5-krotnie zmieniały szkołę. Dopiero w marcu 1957 r. cała rodzina została „zrehabilitowana” i wszyscy otrzymali zgodę na powrót do Warszawy, a ci którym zmieniono nazwiska mogli powrócić do poprzednich (z czego, o ile wiem, żadne nie skorzystało). Justyna z dziećmi nie wróciła, oczywiście, do mieszkania przy alei Przyjaciół. Pracowała w Wielobranżowej Spółdzielni Pracy „Odrodzenie” związanej z Towarzystwem Społeczno-Kulturalnym Żydów, dzieci podjęły naukę, a córka z czasem rozpoczęła studia. W sposób mniej lub bardziej dyskretny SB czuwało nad całą rodziną, kontrolowana była korespondencja, przeprowadzono „wywiady lokalne” wśród sąsiadów i znajomych z pracy, ale, o ile wiem, aż do 1968 r. nie podjęto formalnych rozpracowań z użyciem agentury. Nikomu z rodziny nie wydano zgody na emigrację ani, rzecz jasna, w ogóle na wyjazd na Zachód, żadne też nie odzyskało pozycji zawodowej sprzed października 1954 r. Wszyscy

wyjechali dopiero w wyniku fali antysemitki z 1968 r., choć co najmniej część rodziny – w tym żona, jej siostra i brat – podejmowała wcześniej próby emigracji do Izraela. Starsza pani Światło, która wyemigrowała w 1950 r., zwracała się nawet wprost do Gomułki o zezwolenie na wyjazd córki z dziećmi. Ten jednak zadekretował list suchy „a/a”. Światło nie miał informacji o losie najbliższych i całej rodziny pozostawionej w kraju, nie wiedział kogo i w jakim zakresie objęły szyskany. Nie wiem, czy zdawał sobie sprawę, jak poważnie ich naraził swoją ucieczką. Z książki Błażyńskiego można wnosić, iż nie wyrażał o nich specjalnej troski, choć znając swoich towarzyszy z bezpieki, których tak bezpardonowo atakował, i bezwzględność Bieruta, musiał liczyć się z tym, że zostawił rodzinę w rękach złych ludzi i w trybach morderczej maszyny. W rezultacie kilkanaście osób, Bogu ducha winnych, można właściwie uznać za kolejne ofiary Józefa Światły. Myślę jednak, że w tym przypadku winowajcą był nie tylko system jako taki, ale przede wszystkim ci, którzy mieli w nim „moce decyzyjne”: wzięli oni odwet za zdradę towarzysza, tak zasłużonego we wspólnych bojach toczonych przez bezpiekę przeciwko narodowi.

Za kulisami bezpieki i partii

Późnym wieczorem 28 września sensacyjne wieści z Waszyngtonu zaczęły krążyć po Polsce. W notatkach funkcjonariuszy ze spotkań z TW informacje o wystąpieniach Światły pojawiają się od następnego dnia i pochodzą z najróżniejszych środowisk społecznych: górnik, urzędnik, „przedwojenny major”, „gospodarz 7-hektarowy”, b. kapitan policji, „pracownik odcinka drogowego PKP”, „przedwojenny właściciel sklepu”, ksiądz, adwokat, kustosz w bibliotece uniwersyteckiej. W gromadzie Braszowice (pow. Ząbkowice) sekretarz miejscowej komórki PZPR „zaprosił do swojego mieszkania informatora PUBP, nastawił przy nim radio i wspólnie wysłuchali wystąpienia Światły”. W pewnej miejscowości na Mazowszu przez lokalny radiowęzeł transmitowano półgodziną audycję Głosu Ameryki z wypowiedziami zbiega, o czym słuchający chłopci natychmiast powiadomili bezpiekę. Ponieważ informacje o tym, co powiedział Światły rozchodziły się z reguły na zasadzie „głuchego telefonu”, mnóstwo było w nich przekręceń i domniemań. Opowiadano, że uciekł minister, „prawa ręka” ministra, zastępca ministra, członek KC, że uciekły dwie osoby („szyszki z UB”). Przekręcano nazwisko zbiega (np. Świetlik) lub zmieniano je na brzmiące jak żydowskie („Lichtag”). Ktoś opowiadał, że Światły mówił, iż osobiście zamordował Gomułę, Spychalskiego „i innych”. Ktoś uważał, że ucieczka jest zapowiedzią, iż „wybuchnie wojna”, inny zaś, że świadczy o tym, iż „kończy się panowanie” komunistów. Już 6 października jeden ze słuchających RWE zapowiadał, że nastąpią „zmiany personalne” w MBP. Pojawiła się i taka informacja, że Światły na polecenie Bieruta „aresztował przemysłowców amerykańskich”, co zapewne było reminiscencją opowiadania o aresztowaniu Fielda. Przepowiadano, że „nasi go tam dostaną”. Często pojawiała się przekonanie, że zbieg wywiózł mnóstwo dokumentów kompromitujących „ważne figury”.

Oceny samego wydarzenia były bardzo różne, od zadowolenia, że ktoś wreszcie mówi prawdę, po oskarżanie Światły: „to [jest] bandyta a nie Polak”, nikt inny nie mógłby „w ten sposób postąpić i skompromitować władze polskie”.

Nie sposób ocenić zasięgu odbioru audycji. Badania nad audytorium radiowym w Polsce rozpoczęto w 1959 r., a samo RWE bardziej systematyczne badania rozpoczęło jeszcze później. W 1954 r. w Polsce zarejestrowanych było około 2,7 mln radioodbiorników, ale dużą część stanowiły odbiorniki przewodowe, zwane powszechnie „kołchoźnikami”, które nadawały tylko audycje transmitowane przez radiowęzły. Zwykle odbiorniki często nie miały z kolei fal krótkich (na których głównie nadawało Radio Wolna Europa), gdyż w 1953 r. rząd przyjął uchwałę o ograniczaniu tego zakresu częstotliwości w nowo produkowanych odbiornikach. Ponadto, prawie cały obszar Polski był objęty zagłuszaniem, a – co nie mniej ważne – za zbiorowe słuchanie „wrogich rozgłośni” lub „rozsyłanie nieprawdziwych informacji” stamtąd zaczerpniętych, groziło więzienie. Jak w monografii *„Monachijska menażeria”, walka z Radiem Wolna Europa 1950–1989* pisze Paweł Machcewicz, większość wyroków wynosiła powyżej 12 miesięcy. Nie udało mi się jednak stwierdzić, czy ktoś został skazany akurat za słuchanie audycji Światły. Tak więc choć słuchaczy było zapewne nie tak wielu, można przyjąć, iż wiedza o tym, że „jakaś szyszka z bezpieki” nawiała i opowiada wszystko, co wie, była szeroko rozpowszechniona.

W prasie panowała cisza. Być może niektóre informacje o zdemaskowanych czy „nawróconych” szpiegach amerykańskich lub zachodnioniemieckich, które ukazywały się po 28 września, były fragmentem jakichś przygotowań „kontrpropagandowych”, ale zapewne wrażenie takie jest mylne: ówczesna prasa zawsze pełna była przejawów szpiegomanii. Bardziej prawdopodobne jest, iż pierwszym tekstem opublikowanym w związku z rewelacjami Światły był atakujący Radio Wolna Europa artykuł Jerzego Rawicza „Na gorącym uczynku” („Trybuna Ludu” z 9 października), a na pewno ogłoszony w tymże dzienniku z 22 października artykuł tegoż autora „« Wolna Europa » – od strony kulis”, którego kolejne części ukazały się 27 października i 1 listopada. W artykułach tych nie ma jednak żadnych bezpośrednich odniesień do Światły. W rezultacie w ciągu ostatnich trzech miesięcy 1954 r. sprawa uciekiniera stała się tematem zaledwie trzech publikacji w centralnym organie PZPR: 25 października ukazał się, wspominany już, komunikat Polskiej Agencji Prasowej (był to zarazem tytuł tekstu), następnego dnia na pierwszej stronie pojawił się niepodpisany, a więc wyrażający stanowisko redakcji, czyli de facto kierownictwa PZPR, artykuł wstępny pt. „Wzmagajmy czujność i więź z masami”, który w istocie powtarzał główne tezy komunikatu, 31 października zaś obszerny (także niepodpisany) artykuł pt. „Dwa światy – dwie moralności”, w którym ponownie rozwijano znane już tezy. Przeciwwstawienie zawarte w jego tytule dotyczyło, jak łatwo się domyślić, z jednej strony „moralności gnijącego kapitalizmu”, której uosobieniem są podstępne działania prowokatora, a z drugiej – „naszej

moralności (...) będącej wyrazem najgłębszych dążeń i najgłębiej pojętych interesów ludu pracującego”. Jednak w ogłoszonym 9 grudnia komentarzu „Trybuny Ludu” o reorganizacji aparatu bezpieczeństwa uzasadniano ją tylko „potrzebą usprawnienia pracy” i „podniesienia na wyższy poziom działalności”. Ani słowem nie wspomniano o zdrajcy, którego pojawienie się wymusiło na władzy dokonanie tych zmian. Im mniej Światły – tym lepiej. Zdarzyła się jednak nawet „Trybunie Ludu” drobna wpadka: na pierwszej stronie numeru z 9 października, a więc kiedy w kraju huczało już o rewelacjach z Waszyngtonu, ukazała się – ilustrowana zdjęciem – informacja z Ostrowca Wielkopolskiego o zainstalowaniu tam nowoczesnego urządzenia w dyspozytorni PKP, zatytułowana „Gdy w centrali selektorskiej zabłysło światło”. Ciekawe, czy wypomniano komuś ten niewątpliwie błąd redakcyjny? Przed kierownictwem PZPR stanął, nie po raz pierwszy i nie ostatni, dylemat: polemizować czy przemilczeć? W tym przypadku przyjęto taktykę przemilczania, choć, rzecz jasna, nie obyło się bez wyjątków, np. w styczniu 1955 r. „Życie Warszawy” dwukrotnie pisało o dyskusjach wśród młodzieży na temat „zdrady Światły”. Teksty te były zapewne związane z uchwałą posiedzenia plenarnego KC PZPR, w której potępiono „łamanie praworządności ludowej”.

Decyzja podjęta w Pekinie przez Bieruta i Bermiana, aby nie wszczynać pośpiesznie akcji propagandowej, nie była pozbawiona sensu. Na przełomie września i października nie wiadano przecież, jakie są plany Waszyngtonu (a zatem także Radia Wolna Europa i Głosu Ameryki) w sprawie wykorzystywania Światły. Gdyby rzecz zakończyła się na dwóch–trzech konferencjach prasowych czy paru wywiadach – jak to się działo najczęściej z innymi uciekinierami – nie byłoby potrzeby wykonywania jakichś gwałtownych ruchów i możnaby ograniczyć się do paru rozsad personalnych (np. usunięcia Romkowskiego, bo Różański i Fejgin już byli poza resortem), czy do wskazania na konieczność przestrzegania zasady o służebnej roli безпеki wobec PZPR i „ludowej praworządności”. Z perspektywy członków kierownictwa, którzy pozostali w Warszawie, wyglądało to trochę inaczej; lepiej zdawali sobie oni sprawę z istniejącego już poruszenia, zarówno w bezpiece, w aparacie partyjnym, jak i w znacznej części społeczeństwa. W pewnym momencie mogło się wydawać, że to Bierut ma – jak zawsze – rację: od 3 października Radio Wolna Europa przestało nadawać audycje z udziałem Światły, a ograniczało się do relacjonowania głosów prasy światowej, zresztą coraz rzadszych. Także Głos Ameryki rzadziej nadawał tego rodzaju programy.

Działo się tak, ponieważ to, co przeszło do podręczników historii i jest nieustannie cytowane w różnych opracowaniach, czyli cykl audycji „Za kulami безпеki i partii”, jeszcze nie powstało. Nawet wcale nie było pewne, czy powstanie, zarówno bowiem z uwagi na interesy CIA, jak i rozbieżności między polskimi dziennikarzami RWE, sprawa okazała się dosyć skomplikowana. Jak wynika z chronologii wydarzeń, odtworzonej pracownice

przez A. Ross Johnsona, wprawdzie już latem 1954 r. kierownictwo RWE miało jakieś nieformalne informacje o istnieniu „wysokiego ranga” uciekiniera z Polski, ale dopiero w drugiej połowie sierpnia zaczęło zastanawiać się nad wykorzystaniem go, a materiały z CIA otrzymało jeszcze później. Wieczorem 17 września Jan Nowak-Jeziorański, szef Sekcji Polskiej RWE w Monachium (oficjalna nazwa brzmiała wówczas Głos Wolnej Polski), otrzymał – prawdopodobnie przez przypadek, a na pewno przedwcześnie – przesyłkę z Nowego Jorku zawierającą taśmę magnetofonową. Poszedł z nią do studia i odsłuchał w towarzystwie dyżurnego reżysera Jana Jasiewicza i dziennikarza Zbigniewa Błażyńskiego, obecnego w gmachu mimo późnej pory: „Oniemieliliśmy z wrażenia – pisał we wspomnieniach – gdy z głośnika popłynęły pierwsze słowa: «Mówi wysoki urzędnik polskiego Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego»”. Choć wypowiadający je nie przedstawił się, z wypowiedzi wynikało w sposób oczywisty, że jest to osoba, która dużo wie o reżimie i jego ludziach. Następnego dnia rano Nowak-Jeziorański dostał jednak dwie depesze z nowojorskiej centrali RWE, w których zakazywano mu, aż do chwili otrzymania instrukcji, robienia jakiegokolwiek użytku ze „specjalnej taśmy”, która do niego dotarła i nakazywano traktowanie jej jako „całkowicie poufnej”. Jednocześnie dyrektor rozgłośni monachijskiej, Richard Condon, na wszelki wypadek zabrał taśmę.

Treść jej już jednak znalazło kilka niewtajemniczonych dotąd osób, a Nowakowi-Jeziorańskiemu podano nawet nazwisko owego „wysokiego [ranga, bo nie wzrostem] urzędnika”. 21 września po wstępnych rozmowach z kilkoma osobami z zespołu Jan Nowak-Jeziorański napisał obszernie memorandum do Paula Henze, który był jednym z oficerów CIA oddelegowanych do pracy w RWE. Szef polskiej sekcji stwierdził, iż „Mr. S” jest „najważniejszym defektorem z Polski od ucieczki Mikołajczyka w 1947 r.” i „jedyną obecnie osobą na Zachodzie, która posiada intymną [*intimate*] wiedzę o głównych tajemnicach reżimu”. Jest to, pisał dalej, „złota okazja” [*golden opportunity*], aby zarówno „podbudować wpływy naszej stacji”, ale, przede wszystkim, osłabić morale ludzi reżimu i pokazać Polakom, że system komunistyczny oparty jest na strachu i przymusie. Biorąc to pod uwagę, dla RWE i Głosu Ameryki „życiowe znaczenie” ma otrzymanie „pełnego dostępu” do Mr. S. oraz umożliwienie wypytywania go i nagrywania tak, żeby wykorzystać całą jego wiedzę. Następnie proponował, by opierając się o doświadczenie i znajomość spraw krajowych dziennikarzy RWE z Monachium, czego dowodzi m.in. cykliczny program „List do komunisty”, który redagował Błażyński, stworzyć możliwość spokojnego nagrania cyklu audycji jeszcze zanim Mr. S. zostanie się w ręce amerykańskiej prasy, radia i telewizji. W tym celu należy Światłą sprowadzić na tydzień do Monachium lub Frankfurtu. W przypadku, gdyby pomysł ten został odrzucony – pisał Nowak-Jeziorański – należałoby uzyskać zgodę na przyjazd Błażyńskiego do Waszyngtonu lub Nowego Jorku dla nagrania wywiadów na miejscu.

Przygotowania do „odpalenia bomby” i to, co działo się wokół Światły przez pierwsze dni od 28 września, przebiegało jednak wbrew intencjom i nadziejom Nowaka-Jeziorańskiego. Okazało się bowiem, że główną rolę w relacjonowaniu wydarzenia otrzymała polska sekcja Głosu Ameryki, którego dziennikarze byli znacznie gorzej przygotowani do obsługi „rynku krajowego” niż ich koledzy z RWE, a sama rozgłośnia, jako oficjalny organ propagandowy Stanów Zjednoczonych, była – jak to często bywa z „organami oficjalnymi” – krępowana wymogami dyplomacji i taktyką polityczną Departamentu Stanu. Nikt w niej nie miał też bardziej długofalowego „pomysłu na Światłę”. Ponadto w ramach samego RWE, niejako z natury rzeczy do podjęcia tematu zaangażowana została bliska geograficznie redakcja nowojorska. Redakcja ta jednak w znacznie mniejszym zakresie niż monachijska zajmowała się sprawami wewnątrz krajowymi, a głównym obszarem jej zainteresowań były same Stany Zjednoczone i polityka międzynarodowa. W związku z tym brakowało tam dziennikarzy dobrze zorientowanych w bieżących wydarzeniach w Polsce, nie mieli oni odpowiedniego zaplecza informacyjnego (osobowe bazy danych, zbiory wycinków z prasy krajowej etc.) oraz bardzo słaby kontakt z krajem, który Monachium miało przez listy do redakcji od uciekinierów czy marynarzy. Były też powody natury politycznej i personalnej: kierownik redakcji nowojorskiej, znany przedwojenny dziennikarz Stanisław Strzetelski, rywalizujący z Nowakiem-Jeziorańskim – od którego był zresztą niezależny – należał do tych polityków emigracyjnych, dla których sprawy krajowe miały często mniejsze znaczenie niż to, co działo się na emigracji. Być może z tego powodu Strzetelski nie tylko był gorzej przygotowany do wykorzystania wiedzy Światły, ale w ogóle nie przykładał do niej specjalnej wagi. A może po prostu zawiódł go instynkt dziennikarski, nad którym przewagę wzięły odruchy publicysty politycznego, który nie musi grzebać się w szczegółach? W rezultacie, jak oceniali dziennikarze z Monachium, materiał przygotowany w Nowym Jorku był informacyjnie nawet „znacznie gorszy” niż to, co zrobili redaktorzy z Głosu Ameryki, a jednego z dostarczonych materiałów Nowak-Jeziorański w ogóle nie chciał emitować, gdyż był „naiwny i nieprzekonywujący”. Ani Strzetelski, ani dziennikarze z jego ekipy nie potrafili nawiązać kontaktu ze Światłą, którego traktowali jako ponurego zbrodniarza, a nie jako źródło żywych i sensacyjnych informacji.

Sprawę rozstrzygnęły upór i siła przekonywania Nowaka-Jeziorańskiego, talent i pracowitość Błażyńskiego, ale kluczowe było poparcie ze strony Paula Henzego. Henze był osobą energiczną i wpływową, zrobił znaczącą karierę polityczną jako kilkukrotny ambasador. Jakkolwiek nie zajmował się bezpośrednio Polską dobrze wyczuwał sytuację, a ponadto był chyba przychylnie nastawiony do Polski i Polaków (w latach 1977–1980 współpracował ze Zbigniewem Brzezińskim, gdy ten kierował Radą Bezpieczeństwa Narodowego, a w 1983 r. opublikował jedną z najlepszych książek o zamachu na Jana Pawła II). 7 października rano spotkał się w Waszyngtonie ze Strzetelskim, który – jak opisał to Henze w raporcie dla

dyrektorów RWE – stwierdził, że przygotuje tylko 6 audycji o głównych liderach komunistycznych w Polsce, był przeciwny wysyłaniu Światły do Monachium i narzekał na ludzi opiekujących się zbiegiem, że traktują go jakby był osobą honorową i uczciwą, podczas gdy w rzeczywistości jest to zbrodniarz i zdrajca. Henze jednak uważał, że „ten człowiek jest nadzwyczaj wartościowy dla zadań radiostacji”. Po doświadczeniach ze Strzetelskim opiekunowie Światły mieli nawet ochotę przerwać kontakty z RWE. Po południu odbyła się konferencja z udziałem przedstawicieli Departamentu Stanu, kilku osób z CIA, z Głosu Ameryki, Henzego, Strzetelskiego i Stefana Gackiego z redakcji nowojorskiej RWE oraz przybyłego właśnie z Monachium Błażyńskiego. Uzgodniono, że RWE zajmie się zbiegiem bardziej intensywnie, z tym, że ciężar prac wezmą na siebie Monachium i Błażyński, nowojorczyacy zaś ograniczą się do zrobienia już zaplanowanych audycji, czego zresztą nie zdążyli dokończyć, gdyż ludzie z CIA zerwali z nimi ostatecznie kontakty.

W rezultacie tych przepychanek Błażyński dostał Światłę do dyspozycji dopiero 13 października, ale zmuszony był dzielić się czasem z dziennikarzami Głosu Ameryki. Ponadto musiał brać pod uwagę zarówno potrzeby CIA, jak i udział zbiega w przesłuchaniach przed Komisją Kerstena. Opiekunowie wskazali tematy, których nie należy poruszać. Było tego niemało: struktury organizacyjne bezpieki na szczeblu wojewódzkim i powiatowym, sprawy operacyjne, przejawy oporu zbrojnego w kraju, nie wolno było podawać nazwisk członków PZPR, których Światło uważał za gomółkowców, titoistów i trockistów ani nazwisk oficjalnych gości i dyplomatów PRL w Stanach Zjednoczonych. Za niewskazane uznano wspomnianie o Cyrankiewiczu i działaczach b. PPS w kraju, a z uwagi na plan przesłuchań Komisji Kerstena aż do 22 października nie pozwolono nadawać audycji o Radkiewiczu. Obszerne listy Błażyńskiego do Nowaka-Jeziorańskiego pozwalają zerknąć do kuchni jego pracy dziennikarskiej, którą prowadził z pasją, choć nie bez rozterek: „Mogę ci powiedzieć this is the dirties job of work I have ever done (...) chciałoby się często ręce myć po podaniu mu ręki, ale cóż facet wie masę – jest to często dynamit i dla nas podarunek zesłany z nieba o nieograniczonych możliwościach propagandowych.”.

Obok nagrywania audycji Błażyński wysyłał Nowakowi-Jeziorańskiemu coś w rodzaju biuletynów informacyjnych, najczęściej nagranych na taśmie magnetofonowej, w których opisywał przebieg pracy, a przede wszystkim przekazywał różne informacje uzyskane od Światły, które nie wchodziły do skryptów audycji. Jeden z takich biuletynów zawierał 35 pozycji, na ogół parowierszowych. Po otrzymaniu pierwszych biuletynów i taśm z audycjami Nowak-Jeziorański gratulował koledze, a przy okazji i sobie – „pomysłu wysłania cię do Stanów”.

Zarówno opiekunowie z CIA, jak i Światło zaakceptowali Błażyńskiego, ale nie znaczy to, że praca nad audycjami była sprawą prostą. Przede wszystkim zbieg był dostępny czasami dwa, czasami trzy z rzędu, po czym następowała przerwa, lecz zdarzało się, że Błażyński miał do dyspozycji tylko jeden dzień i musiał

go wykorzystać wspólnie z kolegą z Głosu Ameryki. Ponadto seanse nie mogły być zbyt długie: „Facet nie mówi bez końca – pisał do Nowaka-Jeziorańskiego – a jego opiekunowie dbają o to, aby się nie przemęczył”. Światło cenił się coraz bardziej, miał też swoje koncepcje, co do kształtu audycji. Np. „skłonny jest – pisał Błażyński 21 października – nagrywać tylko opracowania tematyczne i polityczne”, odmawia zaś „nagrywania nieprzygotowanej rozmowy, skaczącej z tematu na temat”, gdy zaś padały pytania niezwiązane z główną treścią audycji, oświadczał z cyniczną emfazą, że „przypomina mu to śledztwo”. Błażyński nagrywał więc i notował, następnie sporządzał z tego maszynopis, który na kolejnym spotkaniu Światło czytał do mikrofonu. Nagranie trzeba było zmontować ze słowem wstępnym i przerywnikami prowadzącego, a niektóre audycje miały formę wywiadów. Ponadto „Facet – pisał Błażyński – jest nieobliczalny i nigdy nie wiadomo w ile minut przeczyta tekst tej samej długości”, a „nie ma czasu na to żeby czytał po dwa czy trzy razy”. Część pracy przypadała monachijczykom, gdyż trzeba było dostosowywać długość nagrania do 9 lub 14 minutowych modułów, ustalać kolejność emisji, czasem coś wyciąć. Krótko mówiąc, dziennikarz dwoił się i troił, musiał ponadto planować tematy i uzgadniać je z Nowakiem-Jeziorańskim. Ludzie z CIA dali mu do wglądu spis „ponad 50 obszerniejszych raportów” na tematy polityczne i gospodarcze sporządzonych na podstawie wielomiesięcznych rozmów ze Światłą (część z nich pokrywała się z planowanymi przez Błażyńskiego), ale wbrew obietnicom nie dostarczyli mu tekstów tych raportów. Tak więc nie miał wiele pożytku z opiekunów uciekiniera. Trwały też konflikty z redakcją nowojorską, za pośrednictwem której były wysyłane do Monachium taśmy z nagraniami, niektóre przesyłki przetrzymywano na Manhattanie 4–5 dni, co utrudniało utrzymywanie regularności emisji. Innym problemem było to, że z czasem zaczynało brakować nagrań z głosem Światły, a więc zdarzały się i takie audycje, w których ponad połowę czasu zajmowały komentarze prowadzącego.

Błażyński, o rok starszy od Światły, mający ciekawą kartę jako wieloletni pracownik dyplomacji RP przed wojną i na emigracji, dopiero od dwóch lat pracujący w radiu, wykonał gigantyczną i bardzo wysoko ocenianą pracę. Dzięki jego wysiłkowi i sprawności – oraz, oczywiście, pomocy kolegów w Monachium – można było zaplanować cały cykl audycji, któremu nadano tytuł „Za kulisami bezpieki i partii” („Inside Story of Bezpieka and Party”). Nadawanie rozpoczęło 20 października, a więc ponad dwa tygodnie po ostatniej audycji przygotowanej jeszcze przez zespół Strzetelskiego. Do końca stycznia 1955 r. wyemitowano 77 audycji (jedna, z numerem 1, nie została nadana, ale nie wiem dlaczego). Ponadto w tym samym czasie emitowano 11 programów specjalnych i jeden pod dawnym tytułem „List do komunisty”. Łącznie z 7 programami nadanymi w dniach 28 września–3 października była to potężna porcja niemal stu co najmniej 9-minutowych audycji. Razem zapewne około 20 godzin emisji (nie licząc setek odwołań do wypowiedzi Światły w różnych audycjach publi-

cystycznych i omówień w audycjach informacyjnych). Niektóre z nich miały specjalny wydźwięk jak ta z 28 października, ze skierowaną wprost do Bieruta emocjonalną odpowiedzią Światły na komunikat PAP z 25 października i artykuł wstępny „Trybuny Ludu” z 26 października.

Jestem skłonny sądzić, że dopiero to uderzenie propagandowe, które zaczęło się 20 października, uświadomiło kierownictwu PZPR, że sprawa jest naprawdę poważna i jakaś doraźna łatanina może nie wystarczyć. Już w pierwszych audycjach tandem Światło-Błażyński podjął bowiem m.in. takie sprawy, jak kompromitujący Radkiewicza list do Gomułki o jego załamaniu się przed wojną w policji, konflikt Zambrowski-Radkiewicz, rolę X Departamentu w przygotowywaniu kandydatów w „wyborach” do Sejmu w 1952 r., sylwetkę Edwarda Ochaba, aferę złodziejska szwagra Bermiana. Intencja była dosyć jasna: poróżnić komunistycznych liderów między sobą, od Bieruta po podrzędnych dyrektorów departamentów MBP, a nade wszystko skompromitować ich. Niekiedy Światło odnosił się do bieżących wydarzeń, ale nawet te audycje nie były zimnymi, profesjonalnymi analizami. Miały grać na emocjach, mówić o tym, co każdego interesuje: Kto kogo? Jakiego ma pieniądze i ile futer? Jak je zdobył? Jak się ześwił? Jak żyją „przywódcy partii i narodu”? Jak fałszowano wybory? Jak szarogęszyć się w Polsce Sowieci? Kto jest kim w bezpieczeństwie? Gdzie siedzi prymas, a gdzie Gomułka? Błażyński starał się o to, aby Światło nie mówił o polityce jako takiej, nie dawał uogólniających komentarzy, ale żeby mówił o prostych faktach i o ludziach z wyższych sfer.

Dawny „sowiecki pomagier” starał się unikać podawania informacji, które przedstawiałyby go w takim samym świetle, w jakim on przedstawiał swoich zwierzchników i towarzyszy. Audycje emitowane przez RWE zawierały bardzo mało wątków autobiograficznych. Choć pysznił się listą osób, które aresztował i przedstawił sposoby ich przesłuchiwania, nie zająknął się o tym, że sam kogoś bił czy poniżał. Opisywał ilość i rodzaj dóbr, które przywłaszczali sobie partyjni bonzowie i bezpieczniaccy dyrektorzy, ale nie wspominał o osobistych korzyściach, jakie czerpał zarówno z pełnionych funkcji, jak i z bardziej przyziemnych sposobów bogacenia się. Nie mówił też nic o swoich problemach z żydowskim pochodzeniem, choć go nie ukrywał. Można stwierdzić, że tym, co i jak mówił, starał się wybielić swoją osobę, przedstawić się jako wszechwiedzącego, ale nie wszechmocnego, dosyć często bowiem zwracał uwagę – i słusznie – na rolę partyjnej wierzuszki oraz sowieckich doradców. W sposób drastyczny i przekonujący rozliczał system i jego ludzi, ale wyraźnie nie było go stać na rozliczenie samego siebie. Może był sadystą, ale na pewno nie masochistą.

Przeplatając nowe audycje starymi, trochę „przemeblowanymi” lub emitowanymi w pierwotnej formie, w ciągu roku nadano łącznie około 140 programów z udziałem Światły. Ale kariera „Za kulisami bezpieki i partii” nie skończyła się na tym. 1 listopada 1954 r., a więc zaledwie 10 dni po rozpoczęciu cyklu, Jan Nowak-Jeziorański wystosował list do Williama Griffitha, faktycznego

szefa monachijskiej RWE, w którym pisał, że audycje radiowe to „za mało” i zaproponował wydanie przez Free Europe Press – wydawnictwo, które do tej pory zajmowało się w zasadzie drukowaniem ulotek i broszurek, przerzucanych za żelazną kurtynę balonami – książki opartej o nagrane wypowiedzi Światły. Książka miała mieć dwie edycje: jedną drukowaną na normalnym papierze, którą dystrybuowanoby w polskich księgarniach na Zachodzie (w samej Europie było ich wówczas co najmniej kilkanaście), oraz drugą, na cienkim papierze, która wysyłana byłaby do przedstawicielstw PRL na Zachodzie i do tych wszystkich instytucji krajowych (z bibliotekami włącznie), które mogły otrzymywać przesyłki z zagranicy. Specjalna część nakładu miała zostać wysłana do czołowych działaczy PZPR i funkcjonariuszy bezpieki, niektóre egzemplarze z autografem Światły.

Griffith uznał pomysł za interesujący, ale zaproponował, aby zamiast książki kolportowanej w stosunkowo wąskim obiegu, wykorzystać „akcję balonową”, dzięki której wysyłany druk może mieć zasięg rzeczywiście powszechny. Warto chyba poświęcić kilka słów przedstawieniu tej akcji i jej znaczeniu w amerykańskiej polityce. Już w grudniu 1947 r., nowoutworzona Rada Bezpieczeństwa Narodowego (National Security Council), podjęła decyzję o rozpoczęciu „tajnych działań” (*covert operations*) psychologicznych mających na celu przeciwdziałanie aktywności sowieckiej i przez Sowietów inspirowanej, która stanowi zagrożenie dla pokoju światowego”. Pół roku później George Kennan przedstawił założenia działań propagandowych (używał wręcz określenia „wojna polityczna” – *Political Warfare*). Ich głównym organizatorem miał być Narodowy Komitet dla Wolnej Europy (National Committee for a Free Europe), a podstawowym instrumentem jego działalności Radio Wolna Europa (Radio Free Europe). Komitet miał być formalnie niezależną, prywatną organizacją, gdyż koncepcja *covert operations* zakładała, iż mają być one podejmowane w sposób nieangażujący bezpośrednio instytucji państwowych i stanowić niejako uzupełnienie „jawnych” (*overt*) działań rządu Stanów Zjednoczonych. Komitet został utworzony w czerwcu 1949 r., a rok później, 4 lipca 1950 r., RWE zaczęło emitowanie audycji: pierwszy program, po czesku, trwał pół godziny. Czas antenowy programów stopniowo wydłużano, uruchamiano też kolejne redakcje narodowe (językowe). W listopadzie 1951 r. zorganizowanie polskiej sekcji powierzono Janowi Nowakowi-Jeziorańskiemu, a jej praca została zainaugurowana 3 maja 1952 r.

Pomysł wykorzystania do przełamywania Żelaznej Kurtyny – a raczej do przełatywania nad nią – balonów zrodził się już w 1948 r., jednak pierwsza „akcja balonowa” została podjęta w sierpniu 1951 r. kiedy przerzucono na terytorium Czechosłowacji około 11 mln ulotek zawierających krótkie ogólnikowe slogany. Operacja zakończyła się niepowodzeniem: jak pisze amerykański historyk zajmujący się tą problematyką, Richard H. Cummings, „wydaje się, że zarówno władze, jak i społeczeństwo zignorowały ulotki”. Następną akcją, Operacją „Prospero”, rozpoczętą w nocy z 13 na 14 lipca 1953 r., była znacznie lepiej przygotowana:

współgrała bowiem z zamieszkami i strajkami, które odbyły się w kilku miastach czeskich w czerwcu 1953 r. na tle niezadowolenia z sytuacji ekonomicznej, same ulotki zaś były starannie przemyślane i uzupełnione propagandowymi gadżetami, takimi jak kopie monety 25-halerzowej z napisem „Wszyscy Czesi i Słowacy za wolnością. Cały Wolny Świat za Czechami i Słowakami”. Ponadto akcja była na bieżąco komentowana i reklamowana przez redakcję czechosłowacką RWE. Tym razem reakcja – pozytywna ze strony społeczeństwa i negatywna ze strony władz – była bardzo silna. Podobna akcja (Operacja „Veto”, oparta o formułę „10 żądań opozycji ludowej”) została zapoczątkowana na terenie Czechosłowacji 1 maja 1954 r., a 1 października rozpoczęto Operację „Focus” skierowaną na Węgry. Obie miały „dobre recenzje”.

Amerykanie już od wiosny 1954 r. zastanawiali się nad podjęciem podobnych akcji w Polsce, ale decyzje zapadły w związku z powodzeniem pierwszych audycji z udziałem Światły. Centrala RWE odrzuciła pomysł Strzetelskiego, aby przerzucać druki zawierające teksty o charakterze deklaracji politycznych i ideowych oraz komentarze do wybranych problemów społecznych i gospodarczych (brak węgla, kłopoty z żywnością etc.). Przeważała koncepcja oparcia broszur wyłącznie na materiałach pochodzących z nagrań Światły. Całość składającą się z 14 krótkich na ogół rozdziałów opracował Błażyński, który umiejętnie łączył cytaty z omówieniem wypowiedzi Światły. Podobnie jak w audycjach, szczególne znaczenie przywiązywał do spraw personalnych i prezentacji najważniejszych osób w PRL. Przedmowę i zakończenie przygotowali – jak pisał Nowak-Jeziorański – Amerykanie, a on wniósł tylko poprawki. Teksty te były wyważone, ale rzecz jasna całkowicie jednoznaczne. Broszura kończyła się hasłem: „Niech żyje wolna Polska!”, jednak ani słowem nie zachęcano do otwartego buntu czy wszczynania walki zbrojnej. Broszura liczyła 40 stron bardzo drobnego druku i nosiła taki sam tytuł jak cykl radiowy, w pewnym więc sensie utrzymywała informacje słuchane przez radio.

Akcja nazwana Operacja „Spotlight” (Reflektor) – a więc nawiązująca do nazwiska b. podpułkownika – zaczęła się 12 lutego 1955 r. o godz. 3.06. O godz. 8.00, w porannym dzienniku RWE, podano wiadomość o lecących w kierunku Polski balonach, po czym w specjalnym komentarzu Nowak-Jeziorański wyjaśniał powody podjęcia tego rodzaju działania. Jak podaje Paweł Machcewicz, w ciągu paru miesięcy wysłano łącznie około 800 tys. egzemplarzy, ale nie sposób stwierdzić, ile z nich dotarło do Polski i ile dostało się ręce potencjalnych czytelników. Wedle informacji otrzymywanych przez RWE najwięcej miało spaść w Polsce południowej i południowo-zachodniej, co jest o tyle naturalne, że miejsce startu znajdowało się w Bawarii, tak jak podczas poprzednich operacji balonowych. Zapewne wiele z nich nie doleciało w ogóle do Polski, dużo opadło na tereny niezamieszkane, do rzek czy stawów. Nawet jednak jeśli dotarł tylko co dziesiąty egzemplarz, to i tak było to bardzo dużo. Równocześnie rozpoczęto zakrojoną na znacznie mniejszą skalę akcję wysyłania broszur pocztą.

Władze natychmiast podjęły przeciwdziałania. Już 14 lutego na zebraniu Komitetu ds. Bezpieczeństwa Publicznego, czyli kierownictwa przemalowanej bezpieki, postanowiono, że za koordynację działań odpowiadać będzie III Departament Komitetu (jego szefową była Brystygierowa), który ma ściśle współpracować z milicją, WOP i KBW oraz uznano, że należy zastosować swoiste bodźce finansowe, a mianowicie „użyć materialnego zainteresowania ludności w zdawaniu władzy znalezionych egzemplarzy”. Dla wszystkich służb Komitetu i MSW (w tym przede wszystkim MO, ORMÓ, KBW i WOP) oraz dla wojska przygotowano specjalne instrukcje. W terenie mobilizowano aktyw partyjny. Można powiedzieć: wszyscy do walki z balonami! Ważnym elementem tej walki były represje. Nie sporządzono do tej pory inwentarza wyroków wydanych „za przechowywanie i kolportaż broszur prowokatora Światła”, ale w znanych mi przypadkach kilka rzeczy zwraca uwagę. Procesy wytaczano w różnych częściach kraju (Przasnysz, Szczecin, Olsztyn, Nidzica, Kielce, Katowice), co może oznaczać, że terytorialny zasięg akcji balonowej był jednak znaczny. Jak na ten rodzaj „przestępstwa” kary były wręcz drakońskie: do 3 lat więzienia. Odwilż i liberalizacja, które zachodziły wtedy w Polsce, były w przypadku posiadania tej broszury mało widoczne: natrafiłem na wyrok wydany 25 kwietnia 1956 r., tj. dwa dni po aresztowaniu Fejgina i Romkowskiego, którzy byli jej (nie jedynymi, to prawda) bohaterami. Był też przypadek skazania pewnej osoby za nielegalny handel broszurami. Polak potrafi!

Zapewne aż do okresu, w którym społeczeństwo pobudzane takimi wydarzeniami jak tajny referat Chruszczowa, śmierć Bieruta czy krwawe stłumienie buntu poznaniaków „rozhuštało” się na dobre, broszura *Za kulisami bezpieki i partii* była hitem wydawniczym, silnie wpływającym na nastroje społeczne i demaskującym władzę partii komunistycznej. Nawet mimo to – a może właśnie z tego powodu – że informacje w niej zawarte krążyły nader często w formie zniekształconych pogłosek, na ogół potęgujących reakcje negatywne wobec reżimu. Hugo Steinhaus, jeden z najwybitniejszych polskich matematyków, zanotował w swoim dzienniku, że Światło miał opowiadać, jakoby Bierut zasugerował mu, aby odmawiającego przyznania się do winy Gomułkę wsadzić do beczki, którą spuszczało po schodach. „Trudno się dziwić – konkludował chyba na serio Steinhaus – że Gomułka ma od czasu do czasu napady furii”.

To, co zrobił Światło – a raczej to, co zrobili z posiadaną przez niego wiedzą „ludzie z CIA” oraz dyrektorzy i redaktorzy RWE oraz Głosu Ameryki – wywołało w obozie władzy wściekłość i obawy przed tym, co też zdrajca może jeszcze opowiedzieć. Należy sądzić, że reakcje części społeczeństwa były odwrotne: satysfakcja, że głośno mówi się o zbrodniach i pokazuje skrzętnie dotychczas skrywane, a więc już tylko z tego powodu uważane za prawdziwe, oblicze komunistycznego i bezpiecznieckiego establishmentu. Być może wśród zadowolonych z rozpowszechniania tego rodzaju wiadomości były osoby mające jakieś etyczne zastrzeżenia z uwagi na wykorzystywanie człowieka o tak złej

reputacji, jak funkcjonariusz bezpieki. Jednak nikt z nich nie miał możliwości, aby podjąć jakąkolwiek debatę. Po rozpoczęciu akcji balonowej prasa i radio w Polsce wzmogły kontrkampanię propagandową, ale była ona wciąż w ten sam bęben – zdrajca, prowokator, agent, sprzedawczyk.

Natomiast na emigracji, w warunkach swobody wypowiedzi i otwartych starć politycznych, pojawiły się liczne zastrzeżenia. Wątpliwości zgłaszali już w początku października 1954 r. niektórzy polscy pracownicy monachijskiej rozgłośni RWE. Nowak-Jeziorański pisze, że jego plany „spotkały się z miejsca z protestami”. Dla nikogo bowiem „nie ulegało wątpliwości, że Światło był jednym z najgorszych oprawców bezpieki”, a więc „padło pytanie: czy jest możliwe, aby głos tego człowieka rozlegał się obok naszych głosów?”. W pewnym momencie Nowak-Jeziorański nie miał nawet poparcia większości zespołu, postawił ostatecznie na swoim. Sprzeciwiali się jednak nie tylko członkowie redakcji. Nawet tak subtelny i umiarkowany w sądach intelektualista jak Jerzy Stempowski pisał do Jerzego Giedroycia, że Światło – mimo wszystkiego, co wie i co może przekazać – jest figurą malodorantę, czyli „śmierdzącą”. Bodaj większość emigracyjnych i polonijnych dzienników i czasopism wyrażała nie tylko zastrzeżenia, ale wręcz zgłaszała protesty. „Dziennik Polski” z Detroit pisał tuż po pojawieniu się Światły: „Polacy mają odrębne konto rozrachunków z tego rodzaju typami. Konto to nie zamyka się w ucieczce tych typów do wolnego świata, ale pozostaje otwarte do chwili, gdy nadejdzie czas na rozliczenie tej sprawy przy pomocy wymiaru sprawiedliwości.”.

Protesty rodziły się nie tylko z czysto etycznego punktu widzenia, ale także z obawy, że specjalny stosunek, jaki do zbiega mają Amerykanie, może prowadzić do tego, że zostanie on uznany za emigranta politycznego i zechce odgrywać jakąś rolę w życiu politycznym Zachodu. Stosunkowo wyważony i wysoce autorytatywny, londyński „Dziennik Polski – Dziennik Żołnierza” zastrzegał, iż osoby takie jak Światło „bezwarunkowo” nie mogą być uważane za emigrantów. „Byłoby rzeczą nienormalną – pisano w artykule redakcyjnym – gdyby wczorajszy ciemniejszy mógł z dnia na dzień stać się członkiem zespołu, który tak długo zwalczał i prześladował”. Redakcja uważała jednak, że przyznawanie azylu takim osobom jest zasadne z wielu względów (m.in. dlatego, że mogą „pobudzać i zachęcać” do naśladowania innych, co samo w sobie osłabia system), a nawet dopuszczała dyskusję nad tym czy „należy [im] zamykać drogę do rehabilitacji”. Główne pismo niepokornych niepodległościowców posuwało się do tego, iż przypominało – w tym kontekście – zasady etyki chrześcijańskiej, „która najlepiej określa granice wyrozumiałości wobec błędów ludzkich” oraz odwoływało się do zdrowego rozsądku, który nakazuje sposób postępowania uzależnić od konkretnego przypadku.

Szczególnie ostre tony pojawiły się w związku z akcją balonową, przeciwko której formalnie protestował w Departamencie Stanu Józef Lipski, nieoficjalny przedstawiciel rządu RP w Stanach Zjednoczonych. Publicznie ogłosił swój

sprzeciw także gen. Kazimierz Sosnkowski. Jednak po konsultacji z ambasadorem w Warszawie, który miał odpowiedzieć „kujcie żelazo, póki gorące”, administracja amerykańska nie zablokowała Operacji „Spotlight”, ignorując kolejne protesty prasy i organizacji polonijnych. Przeciwnikiem wszystkiego, co robił Nowak-Jeziorański w związku ze Światłą był też, oczywiście, Strzetelski. Oponenci przede wszystkim zwracali uwagę na represje, które spotkają czytelników broszury, niektórzy twierdzili, że całe wsie będą wysiedlane, a gen. Sosnkowski uważał nawet, że może dojść do rozstrzeliwań, podając za przykład zagładę czeskiej wsi Lidice, której cała ludność została wymordowana przez oddział SS w odwecie za zamach na nazistowskiego zarządcę Czech i Moraw. Jednak Kurier z Warszawy, wspomagany przez część zespołu monachijskiego i większość amerykańskiego kierownictwa RWE, oparł się wszystkim naciskom.

Nowak-Jeziorański uważał, iż „Paryż wart jest mszy”, że dewastacyjne skutki upowszechniania informacji posiadanych przez Światłą uzasadniają korzystanie z jego wiedzy: „Argumentowałem – wspomina – że prokurator doprowadza przed sąd nawet najgorszego zbrodniarza jako świadka oskarżenia”. W liście do Adama Ciołkosza, jednej z najbardziej autorytatywnych postaci polskiego Londynu, pisał gorzko, że „sprzymierzeńcem komunistów w tej sprawie może być emigracja i jej naciski na Amerykanów”. Rozumiał jednak obawy, że ubecki zbrodniarz może dostać od Amerykanów szansę prowadzenia jakiejś działalności politycznej, toteż uspakajał Ciołkosza: „Amerykanie – pisał 3 lutego 1955 r. – nie mają złudzeń na temat Józefa Światła i nie przewidują dla niego żadnej roli politycznej w przyszłości”, zaś „akcja balonowa jest zarazem zakończeniem jego zadania propagandowego”. Jakkolwiek Nowak-Jeziorański miał chyba skłonność do przeceniania znaczenia rewelacji zbiegłego ubeka dla destabilizacji sytuacji w Polsce – co nie dziwi, ponieważ słusznie czuł się głównym organizatorem zamieszania, jakie powstało i w bezpiecie, i w partii – ale w ocenie intencji Waszyngtonu nie mylił się. Zgodnie z porzekadłem „Murzyn zrobił swoje, Murzyn może odejść”, Światło jako aktor na scenie politycznej powoli gasł.

Postscriptum

For a better world

The world is a better place than it was 50 years ago. But it is still a long way from being the best. There are still too many people who are poor, hungry, and sick. There are still too many people who are oppressed and discriminated against. There are still too many people who are living in fear and uncertainty. But we can make a difference. We can make the world a better place for everyone. We can make it a place where everyone has a chance to live a good life. We can make it a place where everyone is treated with respect and dignity. We can make it a place where everyone has a say in the way it is run. We can make it a place where everyone is free to follow their dreams. We can make it a place where everyone is happy and healthy. We can make it a place where everyone is a part of something bigger than themselves. We can make it a place where everyone is a part of the solution. We can make it a place where everyone is a part of the future.

„Junior”

Obawy, jakie żywiła polska emigracja, że Światło może odegrać rolę polityczną inną niż propagandowa pomoc w delegitymizacji systemu komunistycznego, były raczej bezpodstawne. W każdym razie nie znalazłem żadnych przesłanek wskazujących na to, że Amerykanie rozpatrywali możliwość wykorzystania go do jakichś politycznych celów. O ile na różne sposoby wspomagali wówczas aktywność ideologiczną uciekinierów zza żelaznej kurtyny, to zawsze chodziło o polityków opozycyjnych, takich choćby, jak Stanisław Mikołajczyk i jego partyjni koledzy z PSL, Stefan Korboński czy Kazimierz Bagiński. Stany Zjednoczone prowadziły czynną politykę wobec emigrantów starszej (wojennej) i nowszej fali z całej Europy Środkowo-Wschodniej, do finansowania których służył m.in. Komitet Wolnej Europy. Za pieniądze amerykańskie powstały organizacje będące platformą spotkań emigrantów, takie jak Kongres Wolności Kultury, Zgromadzenie Europejskich Narodów Ujarzmionych czy Międzynarodowa Unia Chłopska, dzięki którym głos emigracji mógł być słyszany (inna sprawa czy był wysłuchiwany). Niektórzy wybitniejsi – lub bardziej obrotni – politycy dostawali stypendia. Tego typu opieka i pomoc nie obejmowały jednak zbiegłych wojskowych czy funkcjonariuszy aparatów bezpieczeństwa i wywiadu, czyli prawdziwych *defectors*, którzy byli traktowani zupełnie inaczej. Jak w swojej książce *The Soviet Defectors* obliczył Władisław Krasnow, sam zresztą uciekinier, tylko ze Związku Sowieckiego w latach 1953–1954 było takich zbiegów co najmniej 34. Funkcjonowali oni, z zasady anonimowo, jako źródła informacji, znacznie rzadziej jako analitycy. Niekiedy nagłaśniani był fakt ich przejścia na drugą stronę, a później zapadała głucha cisza. O większości z nich wiedziały jednak tylko służby specjalne, oczywiście obu zainteresowanych stron. Niektórych wykorzystywano w celach propagandowych, ale na ogół były to akcje jednorazo-

we, a przypadek Światły z racji długotrwałej kampanii należał do wyjątkowych. Co pewien czas ukazywały się też książki ze wspomnieniami dezertarów, ale tylko nielicznych. Niektóre z nich, np. Waltera G. Kriwickiego *Byłem agentem Stalina*, wydane po raz pierwszy w 1939 r., później wielokrotnie tłumaczone i wznawiane, zyskały sławę międzynarodową. Większość jednak to były efemerydy, które mimo wszystko jeszcze dziś są istotnym źródłem do poznania historii sowieckich i komunistycznych służb specjalnych.

Jeszcze mniej prawdopodobna niż uplasowanie Światły przez Amerykanów w życiu politycznym była możliwość, by któraś z polskich partii czy organizacji emigracyjnych skłonna była zaakceptować zbiega tej proveniencji jako partnera lub współpracownika. Jakkolwiek na emigracji toczyły się ostre starcia między różnymi stronnictwami i obozami politycznymi, nikomu – o ile wiem – nie przyszło nawet na myśl, żeby przyjąć w swoje szeregi nawróconego ubeka. Nie spotkał się z nim żaden z emigracyjnych polityków polskich, próby Światły zaś nawiązania kontaktów z lewicowymi organizacjami żydowskimi w Stanach Zjednoczonych zakończyły się całkowitym niepowodzeniem. Sam oczywiście nie był w stanie stworzyć własnego ugrupowania. Nie mógł też liczyć na to, że jakiegokolwiek siły polityczne w kraju odwołają się do niego, aczkolwiek z informacji otrzymanej przez bezpiekę na początku stycznia 1955 r. wynika, iż niektóre osoby z kręgu nowojorskiej RWE sądziły, że Światło „zamierza zorganizować dywersję wewnątrz partyjną [w PZPR]”. Można przypuszczać, że początkowo, zwłaszcza na fali sukcesu „Za kulisami bezpieki i partii”, Światło rzeczywiście żywił jakieś ambicje polityczne. Jednak, aby je zrealizować, musiałby najpierw zaistnieć w życiu publicznym w innej formie niż jako zwykły „opowiadacz” o ponurych tajemnicach reżimu.

W końcu marca 1955 r., a więc w okresie panującej w Monachium euforii wywołanej audycjami i broszurą Światły, Jan Nowak pisał do Griffitha, że Jerzy Giedroyc, „the editor of «Kultura» in Paris”, sugerował mu, aby obok broszury wydać książkę napisaną przez Światłę („z czyjąś pomocą”), która podejmowałaby szerszą problematykę zarówno komunizmu w przedwojennej Polsce, jak i reżimu stalinowskiego. Nowak uznał pomysł za ważny i ciekawy. Amerykanie przychylni się do jego opinii, a bez nich przecież nie byłby możliwy żaden bezpośredni kontakt z uciekinierem. CIA wyraziła więc zgodę i 24 czerwca Giedroyc skierował wprost do Światły krótki list z propozycją napisania wspomnień. Jako człowiek konkretny od razu przedstawił szczegóły wydawnicze: nakład 3 tys. egzemplarzy, honorarium 15% od ceny sprzedaży. Światło odpowiedział bardzo szybko (8 lipca): „propozycję przyjmuję z wielką ochotą”. Nie omieszkiał pochlebić redaktorowi: „Wiem jak bardzo w Kraju [wielką literą!] «Kultura» jest ceniona i jak dużą wagę do Pańskiego pisma przywiązuje góra komunistyczna i jak pilnie ją studiuje”. Powiadamiał jednocześnie, iż „książka ta jest już w robocie” i będzie ukończona w ciągu kilku miesięcy, a nawet, że ma już gotowy maszynopis o objętości 220 stron.

Nie byłem w stanie ustalić wiarygodności tej informacji, można jednak wnosić, że jeśli rzeczywiście praca była już tak zaawansowana to pomysł napisania wspomnień musiał być wcześniejszy niż propozycja Giedroycia. Może wręcz zasugerowali mu to specjaliści od wojny psychologicznej z Departamentu Stanu i CIA. W dalszej części listu Światło zarysował ogólny zamysł, który polegał na tym, że „osoba moja służy jako tło dla opisywania wypadków”, a więc miałoby to być coś więcej niż autobiografia i coś innego niż sam opis wydarzeń. Książka miała się składać z dwóch części: pierwsza od dzieciństwa do „objęcia w UB wysokiego stanowiska” (a więc do 1948 r.), a druga dotycząca najważniejszych elementów systemu represji. W liście tym zwraca uwagę następujący passus: „Daję przy tym krótki zarys historii partii [komunistycznej] w Polsce przedwojennej kładąc specjalny nacisk na rozłamy jakie powstawały niemal od jej zarania na tle narodowym. Były zawsze dwa obozy – obóz sowiecki i obóz polski. W tej historycznej glebie tkwią przecież korzenie gomułkowszczyzny.”

„Gomułkowszczyzna” tym razem nie miała w ustach Światły tego negatywnego zabarwienia, jak w czasach, gdy był aktywnym ubekiem i z zapalem ścigał prawdziwych i rzekomych zwolenników Gomułki i „polskiego obozu” w partii komunistycznej. Przychylność Światły wobec osoby, którą parę lat wcześniej aresztował nie była przypadkowa, wszystko wskazuje bowiem na to, że chciał promować się jako „gomułkowiec” i pod tym sztandarem włączyć się do życia politycznego. Oczywiście, nie pytając Gomułki o zgodę, której na pewno by nie otrzymał.

Mimo że korespondencja odbywała się przez pośredników, Giedroyc odpowiedział już 30 lipca, proponując listę tematów, które powinny być uwzględnione i nagłąc do szybkiego ukończenia pracy (aby wykorzystać „zainteresowanie Pana osobą”), tak żeby książka mogła ukazać się przed końcem roku. Redaktor napisał też, że wydanie tej książki powinno „ułatwić wykrystalizowanie się nowej polskiej lewicy”, czego – prawdę mówiąc – nie bardzo rozumiem. Czy chodziło o zmobilizowanie autora do pracy przez prawienie mu komplementów, czy też rzeczywiście Giedroyc widział dla Światły jakąś polityczną rolę do odegrania? Z zachowanej korespondencji Giedroyc-Światło (za udostępnienie której bardzo dziękuję Jackowi Krawczykowi) wynika, że redaktor nieustannie ponaglał przyszłego autora, który bronił się: „To nie jest rzecz, którą można sztucznie przyspieszać”. Nie zgadzał się też na zapowiadanie w „Kulturze” tworzonego dzieła i gdy Giedroyc zaproponował, żeby jako „zajawkę” opublikować już cytowany tu wywiad zrobiony przez Nagórskiego, Światło odpisał, że chce „aby fakt pisania książki (...) pozostał do ostatniej chwili tylko między Panem a mną”. Nie jest jasne czy Światło pisał wspomnienia sam, czy miał jakiegoś pomocnika lub wręcz *ghost-writera*, czyli wyrobnika. Na podstawie krytycznych uwag Giedroycia o dostarczonym maszynopisie należy sądzić, iż Światło raczej pisał sam lub dyktował maszynistce.

Na początku listopada Światło donosił, że wysyła ukończoną pierwszą część, którą parokrotnie przerabiał, starając się zapewne uwzględnić uwagi redaktora. Drugą część miał dostać do końca roku. Nie zachował się list redaktora wysłany do Światły po lekturze pierwszych fragmentów otrzymanego tekstu, ale z odpowiedzi autora na ten list wynika, że znajdowało się w nim wiele krytycznych uwag, m.in. dotyczących dłużyzn. W odpowiedzi tej, datowanej na 27 grudnia, Światło kolejny raz przesuwając termin ukończenia całości na „za kilka tygodni”. Również i tego terminu nie dotrzymał. Dopiero 24 maja, a więc mniej więcej rok od podjęcia inicjatywy, Giedroyc zawiadamiał Juliusza Mieroszewskiego – doświadczonego dziennikarza, redaktora w słynnym przedwojennym dzienniku „Ilustrowanym Kurierze Codziennym” („IKC”), czołowe pióro „Kultury”, wytrawnego publicystę i tłumacza – że „wreszcie” dostał maszynopis. Redaktor, proponując Mieroszewskiemu, żeby podjął się pracy nad tekstem, pisał, że „materiał [jest] miejscami ciekawy i pasjonujący”, ale „napisany nieudolnie, w wielu wypadkach szyty grubymi nićmi”. Całość niezbyt mu się podobała: „W sumie odmówiłem drukowania w tej formie”. Światło jednak zgodził się, aby ktoś z „Kultury” przeredagował całość „za dobre honorarium”. Giedroyc sądził, że „amerykańscy mocodawcy” byłego ubeka chcą, aby książka się ukazała, toteż nie powinno być problemów z zapłatą za „gruntowne przerobienie czy napisanie, a nie [tylko] retusze”. Światło zaakceptował pomysł, żeby książkę zredagował Mieroszewski i sam napisał do niego, iż jest „bardzo wdzięczny za tak wielkie zainteresowanie się moją pracą”. Uznawał też, że będzie konieczna „pewna liczba zmian”, szczególnie „w świetle ostatnich wydarzeń w Polsce”, w której rzeczywiście dużo się działo.

Redaktor dążył do tego, żeby książka była dobra nie tylko z uwagi na prestiż wydawnictwa, liczył również na to, iż będzie można ją wydać w kilku obcych językach, nie mógł więc to być wydawniczy gniot. Światło zresztą sam (zapewne z pomocą, a może nawet z inicjatywy swoich mocodawców) szukał amerykańskiego wydawcy, o czym w styczniu 1956 r. donosił do centrali rezydent wywiadu PRL. Z opublikowanej przez Krzysztofa Pomiana i Jacka Krawczyka korespondencji Giedroycia z Mieroszewskim można wnosić, że twórcy „Kultury” rzeczywiście bardzo zależało na wydaniu książki, ale obaj zdawali sobie sprawę, że – jak pisał Mieroszewski – jest ona „napisana fatalnie”. Uważał jednak, że ma też zalety: „jest bezpośrednia, bezpretensjonalna i tchnie autentyzmem”, a „jej dokumentacyjna wartość jest olbrzymia”. Zapowiadało się, że praca będzie trudna i czasochłonna, co wielokrotnie podkreślał Mieroszewski, targując się o godziwe honorarium. Zarówno on, jak i Giedroyc uważali, iż konieczna jest nie tylko redakcja stylistyczna, ale i zmiana akcentów (np. uwypuklenie roli i postaci Gomułki), usunięcie „szeregu historii zupełnie niewiarygodnych” (np. dotyczących formowania dywizji „kościuszkowskiej”) i paszkwili (np. o Ninie Andrycz), a nawet „opuszczenie rzeczy politycznie dla nas w obecnym momencie niewygodnych” oraz „wybicie tych, które uważamy za potrzebne”. Giedroyc

sugerował swojemu współpracownikowi, aby w poprawianym tekście „oświecić pozytywnie Gomułę i gomułkowców, atakować Bieruta, Ochaba [i] kompromitować przede wszystkim UB”. Pisał, że ta książka „powinna być gwoździem do trumny UB”. Informował też, że rozdział „o charakterze pewnego credo Światły” musi pozostać, gdyż taki jest warunek stawiany przez autora, choć Giedroyc wypowiadał się o tym wątku maszynopisu z przekąsem, zwracając uwagę, iż Światło przedstawia się w nim jako „szlachetny komunista, rozczerowany, nawrócony etc.”. Mieroszewski przedłużał pracę nad książką (to „robotą na 3 do 4 miesięcy”, pisał), ale odnoszę wrażenie, że chyba nie miał on serca do tego całego przedsięwzięcia i dlatego odkładał wciąż sporządzenie konspektu nowej konstrukcji publikacji. Opóźnienie spowodował też sam Giedroyc, obarczając Mieroszewskiego pilnym zadaniem przetłumaczenia z angielskiego tajnego referatu Chruszczowa, wygłoszonego na XX Zjeździe KPZR, który ukazał się na Zachodzie w końcu czerwca. Zresztą, zanim Mieroszewski uporał się z tłumaczeniem, do Giedroycia dotarło polskie wydanie powielaczowe tej przemowy przetłumaczone na zlecenie... KC PZPR.

W liście z 3 lipca 1956 r., w którym Mieroszewski po raz kolejny daje odpór żądaniom Giedroycia, aby natychmiast dostarczyć mu konspekt książki, znajduje się informacja, z której wynika, iż „p. Światło jest w Paryżu”. To jedyna znana mi wzmianka na temat ewentualnego wyjazdu Światły ze Stanów Zjednoczonych. Niestety, w żadnych dokumentach – ani z archiwum „Kultury”, ani w papierach RWE – nie znaleziono jej potwierdzenia. Nie wiem więc, czy nie była ona wynikiem niewłaściwego zrozumienia przez Mieroszewskiego jakiejś wypowiedzi Giedroycia. Nie wiem też, czy w czasie tego ewentualnego pobytu w Paryżu redaktor spotkał się z podpułkownikiem (Światło wciąż jeszcze miał ten stopień!), ale przecież, jeśli zjawił się on nad Sekwaną, to chyba nie w celu zwiedzenia Luwru? Sprawa wygląda trochę tajemniczo, trudno jednak wykluczyć, że rzeczywiście na przełomie czerwca i lipca 1956 r. Światło został przywieziony do Europy. Może chodziło o odwiedzenie RWE w Monachium? Może o konfrontację z kimś? Może o spotkanie z działającymi w RFN specjalistami CIA do spraw polskich? Tempo i dramatyzm wydarzeń w Polsce (zwłaszcza rewolta w Poznaniu 28 czerwca) nakazują sądzić, iż zainteresowanie Amerykanów sprawami polskimi szybko rosło.

Mieroszewski jednak, nie zważając na nic, wciąż zwlekał, spierając się zapewne z wydawcą o wysokość honorarium, aż wreszcie 1 sierpnia napisał, iż okulista powiedział mu, że „przez kilka miesięcy musi zrezygnować z pracy przy sztucznym świetle, a czytanie i pisanie w dzień ograniczyć do 6 godzin” i zaproponował, aby zredagowanie maszynopisu przejął Zdzisław Broncel, przedwojenny dziennikarz współpracujący z „Kulturą”, a równocześnie redaktor w sekcji polskiej BBC. Giedroyc nie bardzo mógł protestować toteż Mieroszewski przekazał maszynopis Broncelowi, który podnosił wiele zastrzeżeń do pracy Światły (w jednym z listów do Giedroycia wymienił je w sześciu punktach). Ponadto miał chyba silniejsze

niż obaj pozostali wtajemniczeni w sprawę opory moralne wobec drukowania książki ubeckiego zbira. Uważał też, że wydanie jego wspomnień jest „wątliwe taktycznie” oraz że będzie to – w odróżnieniu od dotychczasowych publikacji książkowych „Kultury” – pozycja „balonikowa a la RFE”.

W swojej *Autobiografii na cztery ręce* przygotowanej do druku przez Krzysztofa Pomiana, Giedroyc pisze: „podechodziłem do niego [tj. Światły] z dużą nieufnością i dlatego go nie wydałem”. Powody, dla których wspomnienia ubeka ostatecznie się nie ukazały, nie są jednak tak oczywiste, jak sugerował redaktor „Kultury”. Z niektórych wzmianek w korespondencji Giedroycia może bowiem wynikać, że to Światło zażądał zwrotu tekstu. Zrobił to albo z własnej inicjatywy, gdyż rozumiał, że jego dzieło straciło znaczenie, albo nakazali mu to Amerykanie, którzy zrezygnowali z całego przedsięwzięcia. W każdym razie 22 września 1956 r. redaktor „Kultury” zażądał od Broncla, „niezmiernie pilnie”, odesłania mu maszynopisu. Wydarzenia w Polsce zaczęły przypominać rozpędzającą się lawinę i „gwoździć do trumny bezpieki” przestał być nagląco potrzebny: w połowie października Gomułka powrócił do władzy (której nie musiał już dzielić z Bierutem), parę tygodni później bezpieka została poddana głębokiemu liftingowi, a przeprowadzenie procesu siedzących w więzieniu kilku wysokich rangą funkcjonariuszy i grona dobranej spośród najbardziej brutalnych oprawców, wydawało się kwestią jeśli nie dni to tygodni. W tej sytuacji Zachód nie był zainteresowany eskalowaniem sytuacji w Polsce, a nowe wtargnięcie za kulisy bezpieki, a zwłaszcza partii, nie sprzyjałoby uspokojeniu nastrojów. Także Giedroyc wolał pić zdrowie Gomułki, niż bić w tych, których dawny więzień „Spaceru” i tak już pokonał. Z tych lub innych powodów marzenie Światły o trwałym zaistnieniu na scenie politycznej zakończyło się więc niepowodzeniem, a jego publiczne wypowiedzi w zachodnich mediach w istocie zanikły. Bodaj ostatnie pochodzą z jesieni 1956 r.: krótki tekst dotyczący zwolnionego z internowania prymasa Wyszyńskiego wydrukowany w „The New York Times”, jednej z najbardziej prestiżowych gazet na świecie, oraz artykuł na temat życia polskiej elity komunistycznej zamieszczony w tygodniku „Life”, który należał wówczas do najbardziej popularnych magazynów amerykańskich i ukazywał się w wielomilionowym nakładzie. Niewątpliwie każdy dziennikarz, nawet z najwyższej półki, cieszyłby się z opublikowania czegokolwiek w jednym z tych pism. A cóż dopiero w obu i to nieomal równocześnie. Było to więc ponowne postawienie Światły w smugach reflektorów, nasuwa się zatem uwaga, iż druk obu tekstów był inspirowany przez CIA. Czy był w tym jakiś daleko sięgający zamysł? Nie wiem i nawet nie jestem w stanie żadnej racjonalnej przesłanki wymyślić. Chyba nie chodziło o przypodobanie się Gomułce, którego nie tak dawno autor tych artykułów wiózł do aresztu?

Trwający dosyć długo, bo około półtora roku, epizod współpracy ze Światłą redaktor „Kultury” chciał po pewnym czasie przedłużyć. Latem 1957 r., gdy zbliżał się proces Fejgina, Romkowskiego i Różańskiego, miał zamiar – tak

przynajmniej pisał do Mieroszewskiego – „zwrócić się do Światły z propozycją, by ten dał anonimowo materiały dotyczące wysokich funkcjonariuszy bezpieki, którzy nie zostali dotąd pociągnięci do odpowiedzialności”. Zamierzał wydać je jako broszurkę w serii „Dokumenty”, w której ukazało się sporo ciekawych rzeczy, ale oczywiście zakładał, że zostanie ona napisana przez Mieroszewskiego („Facet bowiem o pisaniu nie ma pojęcia”). Mieroszewski uznał to za „doskonały pomysł”. Nie wiem jednak, czy to redaktor zaniechał pomysłu, czy też Światło odmówił, w każdym razie broszura taka się nie ukazała, a w samej „Kulturze” nie natrafiłem na ślady świadczące, że projekt został sfinalizowany, choćby w formie artykułu w miesięczniku.

Po nagraniu cyklu „Za kulisami bezpieki i partii” Światło, w wewnętrznej korespondencji RWE nazywany „Juniolem”, wciąż był wykorzystywany w propagandzie radiowej, a nawet w ulotkach wysyłanych do Polski (np. w związku z dekretem Kongregacji Świętego Officium z czerwca 1955 r. w sprawie objęcia zakazem publikacji Bolesława Piaseckiego). Przekazywana dyskretnie jego wiedza o bezpieczeństwie posłużyła RWE m.in. w próbach przeciwdziałania kampanii, jaką podjęły krajowe media w związku z powrotem do Polski współpracownika radia Zbigniewa Brydaka. Jeszcze jesienią 1955 r. pojawiały się na antenie audycje, w których można było słyszeć głos Światły, ale rok później Nowak pisał do nowojorskiej centrali RWE: „Nie mamy zamiaru wykorzystywać w przyszłości «Juniora» w naszych programach, uważamy natomiast, że powinniście zapewnić jak najszybciej jego współpracę jako ważnego źródła informacji.”

Dostałem niewiele dokumentów o działalności Światły w tej roli. Najpóźniejszy pochodzi z lipca 1965 r. i dotyczy uzyskanych od niego informacji w sprawie możliwego konfliktu między gen. Mieczysławem Moczarem a jednym z jego najbliższych politycznych przyjaciół, gen. Grzegorzem Korczyńskim, oraz stosunków na linii Korczyński–Gomułka. W połowie lat 60 „Junior” zapewne niewiele już wiedział o relacjach w kierownictwie PZPR i MSW, a i to miało charakter już tylko historyczny, choć oczywiście do zarysowania sylwetek głównych protagonistów mogło być użyteczne.

Niespodziewany, ale jednorazowy powrót Światły na antenę odbył się w październiku 1964 r., kiedy RWE nadała w odstępie tygodnia dwie audycje związane z rocznicą rozpoczęcia emisji słynnego cyklu. Redaktorzy audycji, wśród nich Jan Nowak-Jeziorański, zwracali się do młodego pokolenia słuchaczy, w którym nie było ofiar bezpieki, które nie słuchało owych niemal legendarnych audycji i nie czytało „balonikowych broszurek” (za ich posiadanie jeszcze niedawno groziło więzienie). W audycji Jan Nowak-Jeziorański po raz pierwszy publicznie przedstawił okoliczności otrzymania taśm z nagraniami wypowiedzi Światły, zarysował dylematy, przed jakimi stali redaktorzy RWE, zaś głosem Błażyńskiego – który już dawno, po kłótni z Nowakiem-Jeziorańskim, przeszedł do BBC – zaprezentowano sylwetkę Światły. Sporo uwagi w tej audycji poświęcono reakcji władz w latach 1954–1955 na rewelacje

ujawnione przez zbiega. W drugiej audycji obficie cytowano fragmenty wypowiedzi Światły dotyczące różnych spraw. Jednak poza tym przypadkiem RWE nie podejmowała prób szerszego wykorzystania posiadanego zasobu taśm. Nie ustosunkowała się też – na ile udało mi się ustalić – do książki Stewarta Stevensa, która podważała w zasadniczy sposób wiarygodność Światły. Jednak w czasie, gdy ukazała się *Operation Splinter Factor* (1974 r.) od dawna już rozgłoszenia nie miała ze Światłą kontaktu, nie korzystała z jego wiedzy i nie wspominała o nim.

W pewnej rozmowie przeprowadzonej w sierpniu 1957 r. w Nowym Jorku, której treść dotarła do Warszawy (i pozostała w archiwach) dzięki wywiadowi PRL, Stefan Korboński stwierdził, iż Światło „jest zatrudniony w charakterze eksperta w jednym z tajnych biur amerykańskich”, co zapewne oznaczało CIA. To oczywiste, że w takiej roli występował, ale udało mi się natrafić tylko na jeden dokument Agencji, który powstał na bazie materiału przez niego sporządzonego. Jest to 3-stronicowy opis sylwetki Iwana Sierowa z okresu jego działalności w Polsce w latach 1944–1945. Charakterystykę przygotowano w listopadzie 1958 r., najpewniej w związku z przejściem Sierowa ze stanowiska przewodniczącego KGB na stanowisko szefa *Gławnowo Rozwieditilenowo Uprawlenija* (GRU) Sztabu Generalnego, czyli wywiadu wojskowego Armii Sowieckiej. W notatce tej, napisanej wyłącznie na podstawie relacji Światły, który, oczywiście, nie został wymieniony z nazwiska, wspomniane jest jego pierwsze spotkanie z Sierowem w Wołominie w związku z aresztowaniem jednego z oficerów AK, którego dowódca MO Korczyński chciał na miejscu rozstrzelać. Charakterystyka Sierowa jest wysoce pozytywna: „extremely intelligent”, pracowity, doświadczony i posiadający zdolność do szybkiego podejmowania decyzji.

Jakkolwiek fakt współpracy z CIA jest oczywisty, nie udało mi się ustalić, jaki był formalny status Światły ani jak długo i w jakich warunkach wypełniał swoje zadania. Tennent Bagley, emerytowany oficer CIA, który spotykał się ze Światłą w 1956 r., zbierając informacje dotyczące działań MBP z lat 1948–1952 przeciwko polskiemu podziemiu i jego kontaktom z Amerykanami (Operacja „Cezary”, czyli sprawa tzw. V Komendy WiN), wspominał w liście do mnie, że rozmowy odbyły się w siedzibie CIA, gdzie Światło było „dowożony”. Można z tego wnosić, iż nie urzędował w Agencji, a jego działalność nie miała charakteru stałego. Z kolei prof. Anthony F. Czajkowski, który był tłumaczem Światły podczas pierwszych konferencji prasowych, indagowany przeze mnie napisał, że już w 1955 r. Światło przeniósł się do Nowego Jorku, co potwierdzałoby tezę, że raczej był doraźnym informatorem, niż stałym, etatowym, analitykiem. Richard J. Aldrich, autor dobrze udokumentowanej monografii *The Hidden Hand: Britain, America, and Cold War Secret Intelligence*, pisze jednak, że Światło, który miał „nieznośny [*unsavauy*] charakter”, dostarczał wielu szczegółów biograficznych dotyczących funkcjonariuszy polskiego aparatu

bezpieczeństwa i służył swoimi informacjami jeszcze w „późnych latach 50.”. Nie oznacza to jednak, iż był zatrudniony w CIA, a „późne lata 50.” to może być równie dobrze rok 1956, jak i 1959.

Jedyna informacja dotycząca stałej pracy Światły w strukturach Agencji jest mało wiarygodna, ale zarazem ciekawa z uwagi na to, od kogo pochodzi i tylko z tego powodu ją tu relacjonuję. Źródłem tym jest bowiem „szermierz wszechczasów”, jeden z najlepszych polskich sportowców, wielokrotny medalista olimpijski i mistrzostw świata, Jerzy Pawłowski, który został zwerbowany przez CIA wiosną 1964 r. W zeznaniach składanych w Biurze Śledczym MSW jedenaście lat później, już po zdemaskowaniu, przytoczył przebieg rozmowy werbunkowej: jeden z oficerów „przedstawił mi konkretną propozycję w osobie [sic] Światły, który jest w wydziale walki z komunizmem. Zrozumiałem, że Światło jest «prawie kierownikiem» tego wydziału”. Podczas kolejnego przesłuchania poszedł jeszcze dalej: Amerykanie mieli mu obiecywać, że po kilku latach pracy szpiegowskiej w Polsce zostanie oddelegowany do Waszyngtonu „gdzie pracowałby w Departamencie kierowanym przez Światłę z pensją miesięczną 2,5–3,5 tys. dolarów” (wydaje mi się wszakże, że w 1964 r. nawet dyrektor CIA nie zarabiał tyle). Bez wymieniania wysokości uposażenia, Pawłowski chwalił się przed współwięźniem możliwością zostania „współpracownikiem Światły”. Osobnik ten był, rzecz jasna, tajnym współpracownikiem SB podstawionym słynnemu szablicie i opisywał rozmowy w raportach. Wszystko to świadczy raczej o trwałości pamięci o słynnym ubeku niż potwierdza, że Światło był „dyrektorem”, a choćby tylko „kierownikiem” jakiegokolwiek komórki Agencji.

Z tych strzępków informacji, które można uznać za wiarygodne, da się wywnioskować, iż być może już w 1956 r. lub w 1957 r. Światło przeszedł – jak mówiono w żargonie CIA – „on economy”, czyli znaleziono dla niego jakieś stałe zajęcie poza strukturami Agencji, informacji zaś udzielał sporadycznie, gdy się do niego zwracano i na tematy, które interesowały czy to CIA czy RWE. Emerytowani oficerowie CIA, do których udało mi się dotrzeć, nie udzielili mi żadnych konkretnych informacji, gdy stykali się ze Światłą obowiązywała ich zasada „need to know” (mniej więcej – „wiedz tyle ile jest konieczne”), a dziś są wciąż zobowiązani do zachowania tajemnicy. Toteż nie wiem, na czym w przypadku Światły mogło polegać przejście „on economy”, jeśli rzeczywiście tak było. Włodzimierz Rozenbaum, znawca procedur wywiadu amerykańskiego, sądzi np., że Światło w istocie cały czas był wyłącznie na bezpośrednim utrzymaniu CIA i żadnej samodzielnej pracy nie podjął ani nie prowadził biznesu.

Procedury postępowania z tego rodzaju uciekinierami nie były w połowie lat 50. uporządkowane, a sposób w jaki się nimi zajmowano w dużym stopniu zależał od osobowości zbiega: jego inteligencji, wyuczonego zawodu, wieku, umiejętności adaptacji, znajomości angielskiego lub szybkości z jaką się go uczył, odporności psychicznej, a także stopnia zagrożenia ze strony rodzimych służb. Uciekinierzy znajdujący się pod opieką często dostawali pracę lub zakładali jakiś interes

w rejonach, w których było łatwo ich chronić: w okolicy lub nawet na terenie baz wojskowych, w pobliżu gmachów publicznych, niedaleko posterunku policji, ale jeśli się dobrze zaadaptowali, mogły to być nawet niewielkie miejscowości w amerykańskim interiorze, gdzie mało kto zagląda. Z ogólnej wiedzy na temat osobowości Światły można przypuszczać, iż nie powinien mieć poważniejszych problemów z adaptacją: miał około czterdziestki, duże doświadczenie życiowe, charakter raczej twardy, był dosyć inteligentny i pewny siebie. Nie wiem jednak, jak było w rzeczywistości. Wedle niektórych przekazów, m.in. wspomnień Jana Nowaka-Jeziorańskiego, który z oczywistych względów interesował się swoim byłym autorem, a po przejściu na emeryturę zamieszkał pod Waszyngtonem i miał możliwość spotykania ludzi z Agencji, Światło założył – oczywiście za pieniądze CIA – sklep mięsny (może kosztowną jatkę?). Nie jestem jednak pewien, czy rzeczywiście wystarczająco dobrze radził sobie z amerykańskim stylem życia i pracy, żeby „pójść na swoje”, a także, czy gdyby był ulokowany poza *safe house* czułby się należycie bezpiecznie. Zarówno on sam, jak i jego patroni musieli spodziewać się, że polskie lub sowieckie służby będą chciały go za karę zabić lub zastraszyć, aby umilkł. Sama operacja plastyczna, której się poddał, mogła nie wystarczyć. Być może właśnie ze względów bezpieczeństwa nie nawiązał żadnych kontaktów z najbliższą rodziną, nawet wtedy, gdy cała znalazła się już w Izraelu. Jednak równie dobrze mogło to wynikać z jego obawy przed spotkaniem się z osobami, którym swoją ucieczką wyrządził sporo krzywd. A może raczej miał Shacklay, pisząc, że jednym z motywów ucieczki były „kłopoty rodzinne”, a więc zerwanie z PRL-em sprzężone było z zerwaniem z rodziną? Wszystko to jednak tylko supozycje, a różnego rodzaju niesprawdzonych pogłosek zebrałem już sporo: a to, że używał nazwiska panińskiego swojej matki (oczywiście, że nie używał żadnego ze swoich dwóch nazwisk), że miał cukiernię lub piekarnię, że osiedlił się w okolicach Seattle, czyli hen na północnym zachodzie Stanów Zjednoczonych, że mieszkał w małym miasteczku na środkowym zachodzie lub w stanie Nowy Jork, że mieszkał w samym Nowym Jorku albo w Filadelfii. Fakt, że mimo podejmowanych starań trudno ustalić coś pewnego znaczy przede wszystkim tyle, że kilka lat po ucieczce i sensacyjnym pojawieniu się na konferencji prasowej, Józef Światło stał się w kraju swojego pobytu Mister Nobody.

„Kogut”

Władysław Michalski, naczelnik wydziału w I Departamencie, przedstawił zwierzchnikom „Raport z analizy materiałów b. komisji MBP dot[yczącej] sprawy «Koguta»”, z datą 30 maja 1956 r. Podwładni Michalskiego i zapewne on sam przeczytali setki różnych dokumentów: od zbioru wycinków z prasy zagranicznej (w którym „oprócz paszkwili nie ma nic interesującego”), przez „teczki z wojewódzkich urzędów i niektórych departamentów z materiałami dotyczącymi «Koguta»”, po „zeszyciki z adresami” zabrane podczas rewizji w mieszkaniu przy alei Przyjaciół (te akurat nie zachowały się w archiwach). Na zakończenie 7-stronicowego dokumentu naczelnik wnioskował m.in., aby uzupełnić spisy i wprowadzić na nie wszystkie osoby, które znał Światło oraz przekazać tę listę (z danymi personalnymi) do Biura Paszportów Zagranicznych MSW „celem informowania nas o wyjazdach wspomnianych ludzi za granicę”. Proponował też, aby wywiad nadal zajmował się opracowywaniem dwudziestu „zaczepkę na zagranicę”, czyli osób znających Światło, które przebywały poza Polską. Zalecał także, aby w I Departamencie wytypować jedną osobę, która „pracowałaby wyłącznie nad sprawą «Koguta»”, dotychczas zajmowało się tym kilku funkcjonariuszy z różnych pionów i koordynacja między nimi poważnie szwankowała.

Materiały archiwalne, do których dotarłem, nie zawierają żadnych informacji dotyczących zamiarów bezpieki i władz partyjnych wobec Światły, aczkolwiek oczywiste jest, że w pierwszym okresie po ujawnieniu się zdrajcy, musiały być podejmowane wysiłki, by dotrzeć do niego. Niekoniecznie zresztą w jakichś zbrodniczych zamiarach, choć były i przypadki zabójstw. Z późniejszego okresu (jesień 1960 r.) znana jest sprawa zamordowania przez grupę likwidacyjną z I Departamentu kpt Władysława Mroza, oficera wywiadu, który

przeszedł na stronę Zachodu, a konkretnie Francji. Wątpliwie jednak, czy w drugiej połowie lat 50. polski wywiad miał możliwość przeprowadzenia tego typu operacji na terenie Stanów Zjednoczonych, a ponadto CIA, w odróżnieniu od francuskiego Direction de la Surveillance du Territoire (DST), zapewniała szczerłą ochronę dezterterom. O ile wiem, po 1945 r. żaden z nich nie został zamordowany. Na pewno jednak w I Departamencie i może w jakiejś komórce KC PZPR zastanawiano się nad tym, jak na miejscu, w Stanach Zjednoczonych, zdyskredytować uciekiniera. Hermann Field, który mógłby zostać włączony do takiej operacji jako najważniejszy, a w rzeczywistości jedyny świadek, choć szczerze nienawidził swego prześladowcy, nie zgadzał się jednak na jakiekolwiek wystąpienia publiczne i na dobrą sprawę zamilkł na prawie 40 lat. Choć powieść *Okiennice*, którą napisał w celi wspólnie z Mierzeńskim, ukazała się w Polsce jeszcze w 1958 r. (wydanie amerykańskie nosiło tytuł *Angry Harvest*), przyjechał do Warszawy tylko raz, na bardzo krótko, w 1964 r. (a więc w 10. rocznicę wypuszczenia ze „Spaceru”) i przebywał tu właściwie incognito. Świadcetwo przedstawione w książce *Opóźniony odlot*, opisującej perypetie z lat 1949–1954, dał dopiero po upadku komunizmu.

W 1956 r., zapewne bez związku z poczynaniami wywiadu, pojawił się pomysł postawienia Światły przed sądem, a więc najpierw wystąpienia do amerykańskiego Departamentu Sprawiedliwości o ekstradycję. Już w październiku 1954 r. Michał Drzewiecki, dyrektor Gabinetu Ministra – skądinąd kolega Izaka Fleischfarba z działalności komunistycznej w Krakowie – zgłosił do Naczelnego Prokuratora Wojskowego powiadomienie o popełnieniu przez zbiega przestępstwa „zdrady Ojczyzny”. Prokurator Stanisław Zarako-Zarakowski, najsłynniejszy oskarżyciel w polskich procesach stalinowskich, przekazał doniesienie Prokuratorowi Generalnemu, ten z kolei do prowadzenia sprawy wyznaczył Kazimierza Kukawkę, który zajmował się „łamaniem praworządności”. Kukawka zaproponował, aby poza zarzutem zdrady zbadać także, czy „praca Józefa Światły (...) w zakresie operacyjnym nie miała charakteru szkodliwej działalności godzącej w interesy PRL, a w szczególności czy w działalności tej nie przejawiały się tendencje beristowskie [sic]”. W maju 1955 r. Prokurator Generalny referował wstępny zarys aktu oskarżenia członkowi Biura Politycznego i wicepremierowi Franciszkowi Józwiakowi, ale z nieznanych mi powodów sprawie nie nadano dalszego biegu i wszystko rozeszło się po kościach. Być może uznano, iż ewentualny zaoczny proces o „zdradę Ojczyzny” nie będzie miał znaczenia propagandowego, oskarżenie zaś o „szkodliwą działalność godzącą w interesy” musiałoby pociągnąć za sobą inne osoby. Wprawdzie w więzieniu siedział już wówczas Różański, ale nie zapadły jeszcze decyzje, co do rozmiarów sądowych „rozliczeń” z bezpieczeństwem i GZI. Pięciu kolejnych funkcjonariuszy z pionu śledczego Biura Specjalnego i X Departamentu zostało aresztowanych w połowie lipca 1955 r., ale następna i najważniejsza transza nastąpiła dopiero wiosną 1956 r., gdy aresztowano Fejgina i Romkowskiego. Sądzę, że właśnie aresztowanie zwierzchników

Światły – formalnego, czyli Fejgina i faktycznego, czyli Romkowskiego – dało asumpt do podjęcia ponownie sprawy zdrajcy. Skoro główny ogień skierowano na tych, którzy na różnych szczeblach bezpieki byli odpowiedzialni za aresztowanie i torturowanie członków partii, a więc na osoby związane z Biurem Specjalnym i X Departamentem, logiczne było, iż wśród oskarżonych musi znaleźć się Światło.

Sydney Gruson, korespondent „The New York Times” w Warszawie, 24 listopada 1956 r. przekazał do centrali informację, że Prokurator Generalny oświadczył, iż Polska „rozważa zwrócenie się do Stanów Zjednoczonych o ekstradycję” Światły, który „krał osobom aresztowanym tak wartościowe przedmioty jak zegarki i ubrania”, a więc powinien być traktowany jak zwykły kryminalista. Nie udało mi się stwierdzić, czy informacja ta została rozpowszechniona w Polsce, czy też oświadczenie przekazano tylko zagranicznym dziennikarzom, a może nawet tylko Grusonowi. Dziesięć dni później, z datą 4 grudnia 1956 r., niedawno mianowany Prokurator Generalny PRL, Marian Rybicki, wysłał do ministra spraw zagranicznych Adama Rapackiego, projekt formalnego wniosku o ekstradycję z prośbą o wyrażenie opinii. Z listu przewodniego, który towarzyszył projektowi, wynika, iż Rybicki nie miał pewności, czy należy występować do władz amerykańskich, uważał jednak, że niezależnie od tego materiały zawarte we wniosku „można by wykorzystać dla pokazania we właściwym świetle – p. Światło”. Sugerował też, by nie włączać do wniosku – choć znalazło się to w projekcie – „pozbawienia wolności obywatela amerykańskiego Hermanna Fielda”, gdyż „sama decyzja o jego aresztowaniu nie była podjęta przez Światło, lecz on ją [tylko] wykonywał”. Jak wiadomo, w podejmowaniu tej decyzji brali udział Bierut i Berman, a właściwie cała, niejawna lecz oficjalna instancja partyjna, czyli Komisja Biura Politycznego do spraw Bezpieczeństwa. A to było już powyżej tolerowanego pułapu odpowiedzialności za zbrodnie bezpieki, ponieważ Gomułka, podobnie jak Edward Ochab, jego bezpośredni poprzednik na stanowisku I Sekretarza KC PZPR, nie życzył sobie zbyt daleko idących i zanadto rozległych rozliczeń. W rezultacie z 47 funkcjonariuszy MBP, którzy znaleźli się na liście głównych sprawców łamania „ludowej praworządności” przygotowanej przez prok. Kukawkę jeszcze w kwietniu 1956 r., zaledwie paru stanęło przed sądem.

W projekcie wniosku o ekstradycję Światły, „przebywającego w Stanach Zjednoczonych Ameryki w miejscowości nieznanej władzom polskim”, napisało, że jest on podejrzany o kilka przestępstw. Przede wszystkim wskazywano na przypadek Agnieszki Koryciorz, internowanej jako volksdeutschka, którą Światło bezprawnie przeniósł z obozu i przetrzymywał w więzieniu w Miedzeszynie i na Mokotowie, gdzie pracowała jako sprzątaczką. Miał ponadto namawiać inne osoby (dr Leona Gangla, szefa służby zdrowia MBP oraz ubeka ze „Spaceru”, Leona Klitenika) do jej zamordowania. Jako następny delikt wskazano uwięzienie Fielda „bez podstaw prawnych” i „tolerowanie stosowania [wobec niego] szczególnych udręczeń”, wreszcie obwiniano go – tym razem bez podawania

nazwisk – o „wymuszanie przez stosowanie przymusu fizycznego i psychicznego samooskarżeń lub niezgodnych z prawdą zeznań od osób zatrzymanych”. W tym ostatnim przypadku miał on „działać czynem ciągłym wraz z innymi funkcjonariuszami”. Wszystko to była szczerą prawdą, choć sprawa Koryciorz jest dosyć zagmatwana, a inicjatywa jej zamordowania bardzo słabo udokumentowana. W obszernym uzasadnieniu, powołując się na zeznania wielu więźniów i funkcjonariuszy, stwierdzano, iż w świetle polskiego prawa czyny te „stanowią zbrodnie pospolite i żadną miarą nie mają charakteru przestępstw politycznych”, a więc zgodnie z polsko-amerykańskim traktatem ekstradycyjnym z 1927 r. (wymieniano jego poszczególne zapisy odnoszące się do zarzutów wobec Światły) uciekinier powinien być wydany polskiemu prokuratorowi „celem przeprowadzenia śledztwa i przekazania do Sądu z aktem oskarżenia”.

Nieznana mi jest odpowiedź Rapackiego, którego opinia była o tyle ważna, że sprawa miała charakter międzynarodowy, a stosunki polsko-amerykańskie ulegały w tym czasie ewolucji i zmierzały ku ociepleniu. Na liście przewodnim od Rybickiego, przechowywanym w Archiwum MSZ, znajduje się odręczny zapisek: „Sugeruję nacisk by iść na ekstradycję”. Podpis pod nim jest, niestety, nieczytelny, ale należy sądzić, iż sugestia pochodziła od jednego z podwładnych ministra. Nie jest pewne czy – a jeśli tak, to na jakim szczeblu – sprawę konsultowano w Moskwie i czy sowieci rzeczywiście jednoznacznie odradzali składanie wniosku. W dokumentach Biura Politycznego nie natrafiłem na żaden ślad dyskusji czy decyzji w tej sprawie. W każdym razie wniosek nie został złożony, a przygotowany materiał dowodowy posłużył do wspomnianego przez Rybickiego nagłośnienia propagandowego.

Najpierw, 2 grudnia, w popularnym tygodniku „Przekrój” ukazała się krótka notatka pt. „Światło”. Znajduje się w niej kilka stwierdzeń pochodzących z argumentacji przedstawionej w projekcie wniosku, a na koniec postawiono dwa pytania: „Czy władze nasze wystąpią z wnioskiem o wydanie Światły i jaka byłaby w tym wypadku reakcja władz USA?”. Tydzień później w dzienniku „Życie Warszawy” ukazał się felieton atakujący tygodnik „Life” z powodu zamieszczenia artykułu Światły („zbiegłego z Polski kryminalisty, współodpowiedzialnego za najgorsze zbrodnie”). Artykułowi, podpisanemu pseudonimem „Gamma”, towarzyszyła publikacja listu prokuratora Kukawki, datowanego na 8 grudnia. Prokurator przedstawił podstawowe elementy dowodowe znane nam z projektu wniosku, a list zaczynał się od słów: „W odpowiedzi na pismo Wasze z dnia 7 XII...”, sugerujących, że inicjatywa wyszła od redakcji. Wszystko więc wskazuje na to, iż zapadła decyzja ograniczenia się do ataku propagandowego, który mógł być jednocześnie balonem próbnym wobec Waszyngtonu. Rzeczywiście, niektóre dzienniki amerykańskie, powołując się na list prokuratora Kukawki z „Życia Warszawy” i depesze PAP z omówieniem tego listu, podjęły temat ekstradycji, ale ton wypowiedzi nie był bynajmniej taki, jaki Warszawa chciałaby usłyszeć. Jeśli był to balon próbny, to reakcję amerykańską można określić jako negatywną.

Po tym krótkotrwałym błysku Światło znów zniknął z polskich mediów, ale „sprawa Światły” nie została całkowicie zdjeta z wokandy najwyższych instancji PZPR. W dyskusji, jaka odbyła się na posiedzeniach Biura Politycznego w dniach 9 i 15 maja 1957 r., nad sprawozdaniem „komisji Nowaka”, wybranej na VIII Plenum KC PZPR, do nazwisk Romkowskiego, Fejgina i Różańskiego niejako automatycznie dodawano nazwisko Światły, choć w odróżnieniu od pozostałych nie był on objęty gotowym już aktem oskarżenia. W wyniku dyskusji Biuro „zleciło Komisji szerzej udokumentować rolę Światły”, z czego można wnosić, że wciąż myślano o ekstradycji. A może o porwaniu? Chyba nie rozważano możliwości zlikwidowania Światły, bo, żeby kogoś po prostu zamordować, nie jest potrzebna żadna „szersza dokumentacja” jego przestępstw. Trzeba za to znać miejsca, w których ścigany bywa, procedury ochrony, jego zwyczaje, sąsiadów, kolegów i rodzinę.

Z zachowanych dokumentów I Departamentu nie wynika jednak, aby podjęto jakieś specjalne wysiłki w celu zdobycia koniecznych informacji. Dokumentacja znajdująca się dziś w archiwum IPN, w materiałach Sprawy Operacyjnego Rozpracowania (SOR) kryptonim „Kogut”, stanowi jednak tylko pozostałość po całym zbiorze, który po formalnym zakończeniu rozpracowania został mocno przetrzebiony, a wyselekcjonowane dokumenty zmikrofilmowano. Być może podejmowano więc jakieś kroki i uzyskiwano rezultaty poszukiwań, ale nie ma po nich śladów, w każdym razie ja na takowe nie natrafiłem. Z dokumentów tych można wnioskować, iż kontrolowanie rodziny Światły (łącznie z siostrami i szwagrem) przebywającej w kraju bardziej absorbowало Służbę Bezpieczeństwa niż poszukiwania zbiega. Zbierano więc informacje o przesyłkach dewizowych (bardzo nielicznych i niewielkich) i o zasiłkach, które otrzymywała Justyna z TSKŻ, czytano całą korespondencję krajową i zagraniczną, a Biuro „W” – zajmujące się perlustracją listów i paczek – miało polecenie wyłapywania wszystkiego, co może kojarzyć się z nazwiskiem uciekiniera. Analizowano np. kartki pocztowe wysyłane do Londynu na nazwisko Światłowski („Adres londyński zabezpieczyliśmy” odnotował funkcjonariusz tej komórki). Poddano analizie grafologicznej list podpisany „J. Światło”, który otrzymał i przekazał do SB Władysław Machejek, znany partyjny publicysta i pisarz (a raczej grafoman), a także członek KC. Specjaliści z SB stwierdzili jednak, że listu nie napisał Światło. Po skontrolowaniu jednej z przesyłek, którą otrzymała Justyna – nadanej przez londyńską firmę „Tazbet”, zajmującą się wysyłką paczek do Polski – uznano, że była adresowana przez Światłę i spod jego pióra wyszedł też spis zawartości paczki (z bielizną dla dzieci). Jednak syn Światły w rozmowie ze mną zdecydowanie stwierdził, iż żadnych kontaktów z ojcem nie utrzymywali. W końcu grafolodzy nie są nieomylni.

Zwiększone zainteresowanie SB osobą Światły datuje się na przełom roku 1962 i 1963, ale nie wiem, czym było spowodowane. Może jakimiś nieznanymi mi informacjami wywiadu o jego niejawnej współpracy z RWE, które w tym czasie

wszczynało kampanię propagandową przeciwko tzw. partyzantom, czyli grupie skupionej wokół ówczesnego wiceministra spraw wewnętrznych Mieczysława Moczała? W każdym razie 2 stycznia 1963 r. por. Stanisław Lesiuk, starszy oficer operacyjny w I Departamencie, wypełnił formularz „Postanowienia o założeniu rozpracowania operacyjnego”, które po zatwierdzeniu przez dyrektora departamentu, Henryka Sokolaka, zostało 15 stycznia zarejestrowane w ewidencji departamentu. Rozpracowanie to było podjęte jako kontynuacja dotychczasowego, ale tym razem miało być prowadzone „pod kątem możliwości zastosowania wobec niego [Światły] przedsięwzięć profilaktycznych”. Co to miało oznaczać, nie jest jasne, ale brzmi groźnie: nie można wykluczyć, iż „przedsięwzięciem profilaktycznym” mogło być po prostu zlikwidowanie.

Niestety, zachowana w stanie szczątkowym dokumentacja nie pozwala na odtworzenie ani rzeczywistych intencji, ani podejmowanych działań. Z notatki sporządzonej w czerwcu 1966 r. – a więc ponad trzy lata później – nie wynika, że przedsięwzięto jakiekolwiek konkretne akcje. Jest ona kompilacją starych materiałów obciążających Światłę i nie zawiera żadnych konkluzji poza zwróceniem uwagi na to, że „dotychczas w sprawie Światły nie przeprowadzono postępowania karnego, chociaż istniały dostateczne podstawy do skierowania jego sprawy z aktem oskarżenia do Sądu Warszawskiego Okręgu Wojskowego w celu rozpoznania w trybie zaoecznym”. Autor notatki z żalem stwierdzał, że jedyną sankcją wobec zdrajcy było pozbawienie go stopnia oficerskiego, co nastąpiło wraz z rozkazem ministra spraw wewnętrznych dopiero 21 października 1959 r. W kolejnym zachowanym dokumencie – notatce z 24 lutego 1967 r. – znów zebrane są zarzuty wobec Światły, tym razem na podstawie analizy akt nadzoru prokuratorskiego w procesie Fejgina, Romkowskiego i Różańskiego, którzy od 1964 r. byli pod ścisłym nadzorem SB, ale już na wolności. Być może więc – ponieważ nie udawały się „przedsięwzięcia profilaktyczne” – zastanawiano się w tym czasie (lata 1966–1967) nad wytoczeniem procesu *in absentia*. To jednak tylko moja sugestia, żadnych dowodów bowiem nie znalazłem. Następny chronologicznie dokument w aktach SOR „Kogut” pochodzi dopiero z marca 1979 r. i jest to notatka oparta na informacji z niezidentyfikowanego i jak zaznaczono z niesprawdzonego źródła. Wedle dziennikarza Głosu Ameryki, Marka Świącickiego, z którym „źródło” rozmawiało, Światło mieszka w Nowym Jorku i „prowadzi jakiś interes handlowy”. Niewykluczone, iż była to jedyna informacja dotycząca zdrajcy, jaką wówczas dysponował wywiad PRL!

W tej sytuacji nie powinno dziwić, że parę lat później, a konkretnie 14 października 1982 r., ppłk Franciszek Krawczyk, starszy inspektor X Wydziału I Departamentu, podpisał „Notatkę końcową”. Pisał w niej: „Uzyskano szereg, krańcowo odległych od siebie miejscowości na terenie USA, gdzie [figurant] miał rzekomo przebywać i firm, w których miał pracować. Część tych danych należy potraktować jako celową dezinformację służb specjalnych USA.”.

Konkluzje były następujące: „Biorąc pod uwagę, że od czasu dezerecji figuranta upłynęło 29 lat i od dłuższego czasu nie uzyskaliśmy żadnych danych pozwalających ocenić czy figurant posiada jeszcze zdolności fizyczne do kontynuowania działalności wrogiej wobec PRL, proponuję: 1. Zaniechać dalszego prowadzeniateczki (...) i materiały złożyć w archiwum Departamentu I MSW. 2. W razie wpłynięcia materiałów o podjęciu przez figuranta działalności wrogiej, lub też zaistnienie możliwości, że może się on znaleźć na terenie kraju, sprawa zostanie wznowiona.”

W towarzyszącym tej notatce formularzu „Postanowienia o zakończeniu i przekazaniu sprawy do archiwum Dep[artamentu] I” stwierdzano m.in., że od 1979 r. „nie uzyskano żadnych informacji o działalności figuranta i nie odnotowano żadnych prób wznowiania przez niego działalności wrogiej”. W dokumencie tym zwraca uwagę *passus* świadczący o nastawieniu ówczesnej bezpieki i panoszącym się w niej antysemityzmie. Autor zapisu stwierdzał mianowicie, że fakt, iż przestępstwa popełnione przez Światłę uszły mu bezkarnie, był „wynikiem stanowiska jego przełożonych kierujących się jedynie wspólnotą interesów narodowościowych”. Ubolewając nad tym, złożono materiały w archiwum. Sprawa „Koguta” została dla MSW zamknięta, można powiedzieć: Światło przestał istnieć.

Istniała jednak nadal broszura z 1955 r., istniały taśmy z zapisami audycji i dziesiątki stron notatek sporządzonych przez Błażyńskiego. Było więc prawdopodobne, że zostaną kiedyś użyte. I tak się rzeczywiście stało. Jak wspominał, pytany przeze mnie Mirosław Chojecki, szef wydawnictwa „Nowa”, najważniejszej oficyny wydawniczej opozycji demokratycznej i głównego udziałowca na rynku „drugiego obiegu”, późną jesienią 1980 r. pewien Polak mieszkający za granicą dostarczył do wydawnictwa otrzymany w Monachium egzemplarz *Za kulisami bezpieki i partii*. Można powiedzieć, iż była to przesyłka „bez słów”, nadawca nie musiał bowiem sugerować, co należy z nią uczynić. „Nowa” od chwili powstania w 1977 r. interesowała się działaniami mającymi na celu delegitymizację władzy i systemu komunistycznego przez publikacje z zakresu historii PRL i stosunków polsko-sowieckich. Nazywano to wówczas wypełnianiem „białych plam” w najnowszej historii Polski. Jesienią 1980 r., po powstaniu „Solidarności” i w warunkach niezwykłego ożywienia politycznego i społecznego, popyt na odkłamaną historię był ogromny, na spotkania z historykami, które organizowane były czy to przez komórki związku, czy przez inne środowiska, przychodziły setki ludzi. Jako historyk uczestniczyłem w wielu z nich i pamiętam, że wśród wielu pytań – o Katyń, o traktat Ribbentrop–Mołotow, o śmierć Nowotki, o „czerwiec poznański” czy październik 1956 – padały także takie, które dotyczyły ucieczki Światły i wiarygodności jego relacji. Prawdę mówiąc, sam jeszcze wówczas całej broszury nie czytałem, znałem ją tylko z fragmentów przepisanych na maszynie, które krążyły na Uniwersytecie Warszawskim

w drugiej połowie lat 50., gdy byłem tam studentem. Jeśli więc pytanie było skierowane wprost do mnie, musiałem stosować różne uniki, ale jednak coś już o Światle i bezpiece przecież wiedziałem.

Krótko mówiąc: w „Nowej” nie zastanawiano się specjalnie nad decyzją. Wstęp, zatytułowany *Kilka słów wprowadzenia*, napisał Adam Michnik, historyk i jedno z najbardziej błyskotliwych piór demokratycznej opozycji. Sam tego faktu sobie nie przypomina, ale Chojecki twierdzi, że tylko on mógł taki tekst przygotować. Michnik – podobnie jak 27 lat wcześniej Jan Nowak-Jeziorański – zwracał uwagę, że „autor [brozury] nie jest postacią sympatyczną. Gdyby pozostał w Polsce, byłby prawdopodobnie uwięziony i sądzony z innymi dygnitarzami UB”. Jednak „całokształtu tych [stalinowskich] zbrodni nigdy polskiemu społeczeństwu nie ujawniono. Jest to do dzisiaj strefa zakazana dla historyków i publicystów. Stąd waga niniejszej publikacji”. Zastrzegając, iż „obraz Światły jest wykrzywiony przez perspektywę” osoby z aparatu bezpieczeństwa, a nawet, że rewelacje przedstawiane były „z chęcią oczyszczenia samego siebie”, jednak „zasługują na staranną lekturę”, konkludował Michnik.

Chojecki nie pamięta jaki był nakład, ale z pewnością duży i broszurę, wydaną jako reprint druku z 1955 r., nie wymazując nawet pieczętki „Free Europe Committee”, która znajdowała się na każdym egzemplarzu, wydrukowano w co najmniej kilku, a licząc z dodrukami, w kilkunastu tysiącach egzemplarzy. Partyjna propaganda usiłowała „dać odpór” piórem ppłk Bohdana Woźnickiego, który w dzienniku „Żołnierz Wolności” opublikował dosyć obszerny, miejscami liryczny, artykuł „Za kulisami bezpieki i partii – zeznania starego zdrajcy”. Nie zaprzeczając zbrodniom bezpieki, autor przede wszystkim starał się ukazać Światłę nie tylko jako zbira, który brał w nich osobisty udział („Moglibyśmy mu przypomnieć wiele mrozących krew w żyłach scen”), ale także „pospolitego i notorycznego złodzieja”. Nie sądzę, aby ta kontrpropaganda odniosła skutek. Zapewne było wprost przeciwnie – zwiększała zainteresowanie tym, co mówił Światło. Jeszcze w 1981 r. parę innych oficyn wydało broszurę, a do 1989 r. miała łącznie kilkanaście wydań. Światło znów stał się osobą znaną. Nie wiem jednak, czy zdawał sobie z tego sprawę i czy informacje o ponownym sukcesie do niego docierały.

We wrześniu 1985 r., jedno z najbardziej zasłużonych dla polskiej kultury i historiografii wydawnictw, londyńska Polska Fundacja Kulturalna, opublikowała obszerną, ponad 300-stronicową, książkę Zbigniewa Błażyńskiego *Mówi Józef Światło. Za kulisami bezpieki i partii 1940–1955*. Nie było osoby lepiej przygotowanej – a właściwie: predestynowanej – do stworzenia tej książki. Jest ona nie tylko bardzo poważnie poszerzonym o wątki pominięte poprzednio lub powstałe w ciągu 1955 r., wydaniem „brozury balonowej”, ale zawiera interesujące informacje na temat techniki rozmów ze Światłą i przedstawia jego sylwetkę. Obszerniej też potraktowane zostały polityczne reperkusje audycji, a nadto zamieszczono krótkie noty biograficzne osób występujących w relacjach Światły i kilkanaście „przypisów historycznych”

uzupełniających informacje o wydarzeniach, o których mówił dezterter. W latach 1986–1989 książka Błażyńskiego miała cztery wydania w „drugim obiegu” (po 1989 r. także kolejne, już „normalne”) i stała się jedną z najważniejszych publikacji na temat dziejów wczesnego PRL. Zresztą do dziś jest czytana nie tylko przez amatorów, którzy chcą zdobyć wiedzę o polskiej wersji stalinizmu, ale korzystają z niej wcale często – choć nie zawsze z należytyym krytycyzmem – zawodowi historycy.

Po ukazaniu się w „drugim obiegu” książki Błażyńskiego kontrę – w znanej już nam konwencji – dał tylko niejaki Ryszard Dzieszynski, który w niszowym czasopiśmie „Profile” opublikował artykuł pod jednoznacznym tytułem: „Człowiek, który sprzedał swoje zbrodnie”. Jednak Jan Ptasinski, znany działacz komunistyczny o ambicjach historyka (autor dwóch hagiograficznych książek o Gomułce), który znał Światłę osobiście, jako że od 1952 r. był wiceministrem bezpieczeństwa publicznego, chciał wystąpić z czymś większym i poważniejszym. Już w 1986 r. zaczął poszukiwania w archiwum KC PZPR, ale gdy zwrócił się Biura „C” MSW, w którego gestii znajdowały się nie tylko ewidencja operacyjna i kartoteki, lecz także wszystkie archiwa resortowe, napotkał niespodziewany opór. Jak informował swoich zwierzchników dyrektor owego biura, płk Kazimierz Piotrowski, w archiwum znajduje się sześć teczek dotyczących sprawy Światły, w których nie znaleziono dokumentów „interesujących płk J. Ptasinskiego, zwłaszcza zaś dotyczących prowokacyjnej działalności J. Światło”. Zresztą już kierownik archiwum KC PZPR, Bronisław Syzdek, „wyraził opinię, że nie widzi specjalnej potrzeby pisania teraz o J. Światło”. Piotrowski uznał więc, że wystarczy gdy przekaże Ptasinskiemu tylko życiorys Światły, zarządzenie o pozbawieniu go stopnia oficerskiego oraz komunikat PAP z 25 października 1954 r. Na tej podstawie nie można było napisać nawet artykułiku do popołudniówki. Dyrektor jednak kłamał w żywe oczy, w zbiorach, którymi się opiekował, było co najmniej kilkanaście teczek z materiałami odnoszącymi się bezpośrednio do deztertera, z którym były wiceminister chciał się rozprawić. O ile dyr. Piotrowski zbył wystąpienie Ptasinskiego, o tyle samo ukazanie się książki Błażyńskiego uznał za sprawę na tyle poważną, że zamówił ekspertyzę dotyczącą porównania jej zawartości z materiałami archiwalnymi MSW. Autor ekspertyzy dostał jednak jako materiał porównawczy tylko wspomniane sześć teczek, a więc nie miał wielkiego pola do popisu i stwierdził, że książka i dokumenty archiwalne „nie są materiałami porównywalnymi”.

Tak czy inaczej od 1981 r. „Kogut” powrócił na arenę publiczną, ale tym razem już tylko jako autor (a raczej współautor) publikacji godzących w historyczne fundamenty reżimu. Jak daleko bowiem bezpieka i partia nie posuwałyby się w zrzucaaniu winy na osoby „połączone wspólną interesów narodowościowych”, czytanie czy to broszury, czy książki nieuchronnie rodziło pytania o charakter reżimu i stopień zależności od Wielkiego Brata, o rolę partii komunistycznej, o wytrwale ukrywanie „białych plam” z przeszłości, o to, czy ówczesne zbrodnie – takie jak morderstwo ks. Jerzego Popiełuszki – nie są po prostu kontynuacją tych, które popełniano u zarania Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

Zakończenie

„Podobno Światło jeszcze żyje, mieszka w jakiejś prowincjonalnej dziurze amerykańskiej, ma nową twarz, nową oczywiście tożsamość i nową żonę (nieświadomą, rzecz prosta, jego prawdziwej tożsamości). Jest lubianym w miasteczku emerytem, śpiewa ładnie w chórze baptystów albo Świadków Jehowy, nie pije, nie pali i nie gra w karty, celuje w urządzaniu kiermaszów na cele dobroczynne. Codziennie o szóstej wieczorem przychodzi do pustego o tej porze baru na szklankę mleka i pogawędkę z barmanem. O siódmej, przed powrotem do domu, puszcza tę samą codziennie płytę w grajszafie. (...)Któregoś dnia, kwadrans przed siódmą, wchodzi do baru nieznajomy – postawny, w ciemnych okularach, z kłaczastą siwą brodą, w brudnym kombinezonie garażysty. Zamawia piwo, siada na stołku koło baru, wyciąga papierosa i ruchem dłoni prosi barmana o ogień. Gdy wybuchają pierwsze dźwięki i ryki puszczonej płyty, rozgrywa się błyskawicznie scena żywcem wzięta z noweli Hemingwaya *The Killers*. Pochylony nad szafą Światło obsuwa się na nią z rozkrzyżowanymi rękami”. Zabójcą „mógłby być były kapitan i były Piotrowski, którego (...) wysłano w tajnej misji do Stanów, dając mu szansę odkupienia grzechu fuszerki w aferze z warszawskim ekstremistą w sutannie”.

Tak, pod wrażeniem świeżej lektury książki Błażyńskiego i wspomnień Jana Nowaka-Jeziorańskiego oraz procesu morderców ks. Popiełuszki, pisał Gustaw Herling-Grudziński, jeden z najlepszych pisarzy polskich XX w., świetny komentator spraw krajowych i „sprawy polskiej” na świecie, subtelny znawca literatury i sztuk pięknych, autor niezapomnianej relacji o sowieckich łagrach *Inny świat*. Tekst ten ukazał się w grudniu 1985 r. w stałym cyklu *Dziennik*

pisany nocą w paryskiej „Kulturze”, redagowanej wciąż przez Giedroycia, który trzydzieści lat wcześniej próbował opublikować wspomnienia „lubianego w miasteczku emeryta”.

Herling-Grudziński nie miał, jak sędzę, żadnych wiarygodnych informacji o losie Światły, ale wybrał i obrazowo przedstawił jeden z możliwych scenariuszy jego życia w Ameryce. Jest on równie prawdopodobny jak te, które zakładają, że podstarzały już uciekinier z czasów zimnej wojny mieszka w Nowym Jorku czy Bostonie i handluje w koszernej jatce. Nie można więc wykluczyć, że Światło rzeczywiście żył w jakimś małym miasteczku. Jednak biorąc pod uwagę jego poczucie tożsamości narodowej – przynajmniej ongiś jednoznacznie deklarowane – wydaje się bardziej prawdopodobne, że byłby kantorem w lokalnej synagodze, a jeśli tak, to, zachodząc na szklankę mleka do baru, nie zapominałby o przestrzeganiu reguł *kasher*. Szkoda, że Herling-Grudziński nie napisał, jaka to była owa „rycząca” melodia: na pewno nie pochodziła z repertuaru pieśni religijnych ani żydowskich, które są monotonne, choć niektórym nie brak wysokich tonów, ani baptystów, którzy śpiewają kojące duszę *spirituals*. Czyżby emerytów był miłośnikiem rapu? Bo chyba nie było w tej zaatlantyckiej głuszy płyty z hymnem dywizji „kościuszkowskiej”, skądinąd muzycznie niezbyt nachalnym. Prędzej znalazłaby się „Międzynarodówka”.

Nie istnieją natomiast – a przynajmniej nie znam ich – żadne przesłanki świadczące, że bezpieka zdołała dopaść zdrajcę, choć na pewno przez jakiś czas o tym przemyślano, a może nawet próbowano coś zrobić w tym celu. Nie natrafiłem jednak na żaden ślad, co nie znaczy, że komuś innemu się nie powiedzie. Pułkownicy i generałowie wywiadu i kontrwywiadu PRL nie chwałą swoich towarzyszy broni za wykonanie („ku chwale ojczyzny”) „przedsięwzięcia profilaktycznego”, choć do dziś puszą się w prasie, radiu i telewizji wszechwiedzą i wszechmocą swoją i Resortu. Może uważają, że nie byłby to powód do dumy, ale może jednak nie mają się czym chwalić, ponieważ Światło nie osunął się zalany krwią na grającą szafę? Nie widziałem aktu zgonu ani nagrobka, ani nawet nekrologu poświadczających datę i miejsce zgonu Izaka Fleischfarba vel Józefa Światły vel Mister X. W 1993 r. Jan Nowak-Jeziorański pisał, że Światło „umarł śmiercią naturalną kilka lat temu”, ale nie podał daty. Pewnie jej nie znał. Od trzech osób, które uważam za wiarygodne – cytowanego już tu Włodzimierza Rozenbauma, dobrze zorientowanego w różnych sprawach CIA, Bartosza Węglarczyka, wieloletniego korespondenta „Gazety Wyborczej” w Waszyngtonie, który jako osoba interesująca się sprawami wywiadu miał sporo kontaktów z emerytowanymi funkcjonariuszami Agencji, oraz od Marka Kramera, najlepszego znawcy meandrów politycznych polskich i sowieckich z lat powojennych wśród amerykańskich historyków – otrzymałem jednakowo brzmiące informacje, że Światło zmarł w 1985 r. Z braku innych źródeł przyjmuję tę właśnie datę, a dodatkowe informacje otrzymane od jednego z wymienionych, że zmarł w maju na zawał serca, traktuję jako prawdopodobne. Zresztą i sam 1985 r. nie

jest w stu procentach pewny. Dwie rzeczy można uznać za niezbite: że Światło nie żyje i że nie został zabity przez polskich czy sowieckich speców od „mokrej roboty”. Justyna Światło natomiast zmarła w Izraelu 17 stycznia 1987 r. pod nazwiskiem nadanym przez Bezpiekę.

Krótkie podsumowanie drogi życiowej Izaka Fleischfarba jest trudne, tym bardziej, że o latach 1954–1985 wiadomo niewiele. Nie wiem nie tylko, gdzie i jak żył, ale też nie wiem, czy nadal uważał się – jak w 1956 r. – za „gomułowca”, czy w ogóle zachował jakieś zainteresowanie dla spraw dziejących się nad Wisłą, czy też tak jak pewna część żydowskich emigrantów – zresztą też i polskich – zerwał pępowinę łączącą go z Polską? Dokąd ostatecznie zaprowadziła go droga, którą rozpoczął wieczorem 5 grudnia 1953 r., w pobliżu skrzyżowania Gericht- i Müllerstrasse? Czy uważał się za Żyda (z Polski, bo to jest niezmywalne), czy też – jak to może wynikać z audycji z lat 1954–1955 – kwestia narodowości przestał być dla niego ważna? Kiedy stracił nadzieję, że jeszcze może odegrać jakąś rolę? I czy naprawdę żywił taką nadzieję, bo przecież swego czasu przekonywał towarzyszy z bezpieki, że nadaje się tylko na „operatywnika”?

Starałem się w tej książce opisać jak z młodego, gorliwego komunisty Izak Fleischfarb stał się Józefem Światłą, aktywnym i chyba jeszcze bardziej gorliwym sługą krwawego reżimu. Starałem się też odnaleźć moment, w którym zaczęły go ogarniać wątpliwości, czy dokonał właściwego wyboru. Albo chwilę, w której opanował go strach, że będzie odpowiadał za to, co zrobił, sędziami zaś będą towarzysze partyjni, dla których nurzał się w ludzkim bólu. Cudzym.

W bardzo ogólnej perspektywie dorosłe życie Fleischfarba–Światły mieści się stosunkowo dobrze w ramach książki *The Generation (Pokolenie)* Jaffa Schatza, o której pisałem we Wstępie. Wszakże przynajmniej przez pewien okres życia zajmował, wśród należących do swojego pokolenia, pozycję niejako skrajną. Choć nie był sam, to jednak stosunkowo niewielu przedstawicieli owego Pokolenia znalazło się w bezpieczeństwie i miało na sumieniu wyrządzenie ludziom tak wiele zła. Oczywiście inni mieli coś na sumieniu z innych powodów, np. jako propagandyści, chwalcy „światlanej przyszłości”, publiczni kłamcy, czy jako aparaczkowcy zapędzający chłopów do kółchozów, a wierzących do krucht. Ale byli też tacy, którzy woleli zaszyć się w mysiej dziurze i zapomnieć, że uważali się kiedyś za awangardę mas pracujących. Również to, co zrobił Światło, wypowiadając się przed mikrofonami zachodnich rozgłośni, daleko wykraczało poza „normę” przyjętą przez ludzi należących do jego formacji ideowej i biograficznej. Zachęcani, nakłaniani lub wręcz zmuszani do wyjazdu z Polski, a będąc już poza zasięgiem „ludowej sprawiedliwości”, niezmiernie rzadko decydowali się na otwarte wystąpienia demaskujące system. Najczęściej, jak myślę, utyskiwali w domowym zaciszu lub w towarzyskich rozmowach, i to bardziej na Polskę i Polaków niż na komunizm i komunistów. Tylko pewna część „emigrantów marcowych” poszła w ślady przeciwników systemu komunistycznego, były to jednak głównie dzieci ludzi należących do Pokolenia, a nie jego uczestnicy.

Jan Nowak-Jeziorański, który w 1954 r. powołał Światłę na – jak to określał wielokrotnie – „świadka oskarżenia”, już po upadku komunizmu napisał, że „gdyby [Światło] żył, to Polska powinna zażądać jego ekstradycji. Powinna postawić go przed sądem, jak każdego innego przestępcę”. Wątpię, by Amerykanie uczynili zadość takiemu żądaniu. Uważam nawet taką możliwość za niezwykle mało prawdopodobną. Gdyby jednak stanął przed sądem Polski demokratycznej, z pewnością zapadłby – może po długotrwałych deliberacjach, jak w przypadku procesu Adama Humera i jego kompanów – wyrok skazujący. Myślę jednak, że sędziowie wzięliby pod uwagę, że udział oskarżonego w odkrywaniu „kulis bezpieki i partii”, obnażaniu zbrodni komunizmu i demaskowaniu systemu, może być traktowany jako okoliczność łagodząca. Łagodząca – tak, ale nie unieważniająca. Rację trzeba bowiem przyznać Williamowi Faulknerowi, który pisał: „Przeszłość nigdy nie mija”. Szczególnie zaś – to już moje uzupełnienie – nie powinna przeminąć Zła Przeszłość.

Indeks nazwisk

Abakumow Wiktor 148
Adamski Jan W. 100
Ajchen Lipe 162
Albrecht Jerzy 122
Aldrich Richard J. 238
Alster Antoni 205
Anders Władysław 61, 62
Andrycz Nina 140
Azef Jezno 107
Babel Izaak 24
Bagiński Kaizmierz 231
Bagley Tennent 238
Bąkowski Karol 65
Bauman Zygmunt 65
Beck Józef 52
Bedell Smith Walter 182
Bednarczyk Julian 67
Beria Ławrentij 80, 83, 84, 149, 165, 181, 185, 186, 190
Berling Zygmunt 64, 89
Berman Adolf 162
Berman Aleksander 140
Berman Jakub 16, 111, 116, 117, 121, 122, 127, 128, 130, 135, 138–140, 149, 151, 162, 163, 165, 179, 180, 182, 185, 197, 203, 204, 211, 218, 223, 243

Bezborodow Michaił 147
Biberstein Aleksander 60
Biega Bill 196, 197
Biega Bolesław 196
Biega Bolesław 82, 83
Bielkin Michaił (Fiodor) 122, 125, 126, 148
Bień Adam 83, 150, 190
Bieńkowski Witold 79, 82
Bieńkowski Władysław 140
Bierut Bolesław „Tomasz” 13, 41, 69, 83, 84, 109, 111, 112, 116, 117, 120, 121, 123, 124, 126–131, 135, 139–141, 143–145, 149, 151, 153, 163, 165, 177, 179, 180, 185, 191–194, 197, 202–204, 210–212, 214, 216, 218, 223, 226, 235, 236, 243
Błaziński Zbigniew 14, 16, 40, 41, 56, 76, 176, 178, 195, 196, 215, 219–223, 225, 237, 247, 248, 249, 251
Blumenkranc Dawid (później Tadeusz Polanowski) 36, 61, 62, 65, 133
Borejsza Jerzy (właśc. Goldberg) 11, 12, 122
Born Paula 123
Boruta-Spiechowicz Mieczysław 53
Brankov Lazar 122, 123, 125, 126
Bromberg Adam 65
Broncel Zdzisław 235

- Broniatowski Mieczysław 89
Brońska Wanda (pseud. Alfred Burmeister, Irena Born) 165, 172, 173
Brownell Jr Herbert 197
Brydak Zbigniew 237
Brystygierowa Julia 62, 99, 103, 112, 115, 121, 129, 134, 135, 138, 139, 150, 152, 155, 158, 207, 209–212, 226
Brzeziński Zbigniew 220
Bukład Kazimierz 49
Bułganin Nikołaj 203
Burgin Juliusz 65
Canawa Ławrientij 75
Ceranka Paweł 13, 16, 192
Cessanis Kazimierz 114
Chojecki Mirosław 247, 248
Chrościcka Emilia 78
Chrościcki Andrzej 78
Chruszczow Nikita 80, 203, 226, 235
Ciołkosz Adam 228
Clementis Vladimir 166
Condon Richard 219
Cummings Richard H. 224
Ćwik Tadeusz 140
Cyrankiewicz Józef 140, 205, 221
Czajkowski Anthony F. 238
Czaplicki Józef 138, 209, 210
Czaplicki Józef 89
Czerepowa Olga 17
Czyrek Józef 177
Daniszewski Tadeusz 158
Dasko Henryk 167
Daszkiewicz Władysław (właśc. Mojżesz Rosenberg) 166
Deletant Denis 135
Dobrowolski Adam 115
Dobrowolski Jerzy 127
Dobrowolski Witold 145
Dobrzyński Wacław 114
Dodin Henryk 172, 176
Domańska Ewa 16
Dominik Władysław 87, 88, 89
Dorill Stephen 182
Dornfest Eugeniusz 184
Dowan Eugeniusz 191
Drzewiecki Michał 36, 242
Dulles Allen 180–183
Duracz Anna 125
Dusza Józef 15, 150
Dworakowski Władysław 202, 205
Dzierżyński Jan 62
Dzieszyński Ryszard 249
Egit Jakub 162
Ehrlich Stanisław 65
Eisler Jerzy 13
Ettinger Filip 42
Faulkner William 254
Fejgin Anatol 12, 65, 118, 129, 135, 136, 138, 139, 145, 148, 150, 151, 154, 155, 157, 163, 165, 172–177, 179, 183, 184, 187, 205, 206, 209–211, 218, 226, 236, 242, 243, 245, 246
Fejgin Mieczysław 151
Field Hermann 14, 123, 124, 127, 128, 136, 142, 162, 194, 197–202, 206, 207, 216, 242, 243
Field Herta 124, 198, 200
Field Kate 124, 201
Field Noel 122–125, 181, 198–200
Fieldorf August 82
Fijałkowska Barbara 11
Fink Marek 111
Finkelsztajn Leon 158
Finney Richard A. 195
Fiszer Artur 37
Fiszer Stanisław 47
Fleischfarb Cyla (Perlman) 22, 23, 44, 60, 84, 90, 103
Fleischfarb Gabriel 22–26, 44, 56
Fleischfarb Izak (Izek, Iziek) 10, 11, 13, 17, 23–26, 28–30, 32, 34–69, 74, 76–78, 80, 86, 96, 106, 179, 213, 242, 252, 253
Fleischfarb Maria (Mania, Memel), patrz też Obozowicz Maria 22–25, 40, 43–45, 53, 55, 60, 90, 99
Fleischfarb Rachela (Róża), patrz też Obozowicz Róża 22, 24, 25, 40, 44, 45, 60, 90

- Fleischfarb Rebeka (z domu Wiselthur) 22, 60
Fleischfarb Sara (Sarna), patrz też Obozowicz
 Krystyna 24, 25, 44, 60, 90
Fleischfarbowie (rodzina) 24–26, 44, 60
Forsyth Frederic 180
Franaś Władysław 96
Frey-Bielecki Jan 89, 97
Fritzhand Marek 65
Froelichowie (rodzina) 34, 35
Gacki Stefan 221
Gangiel Leon 114, 243
Garlicki Andrzej 145
Gąsior Grzegorz 126
Gebert Konstanty 8
Gecow Anna 123
Gecow Leon 123
Giedroyc Jerzy 16, 227, 232–236, 252
Giercyk Aleksander 114, 143
Gitler-Barski Józef 162
Głuchowski Leszek 184
Gnauck Gerhard 17
Gołąb Tomasz 174
Goldberg Leopold 52
Goldblatt Wilhelm 39
Gomułka Władysław 9, 13, 103, 105,
 108–115, 117, 118, 120, 121, 124,
 125, 128, 130, 136, 139, 140, 144,
 145, 147, 148, 164, 166, 181, 183,
 184, 190, 194, 200, 206, 212, 216,
 223, 226, 233–237, 243
Gomułkowa Zofia 136, 140, 156, 194
Góra Witold 79
Gordon Aron Dawid 28
Grabicki Alojzy 116
Griffith William 223, 224, 232
Gross Jan Tomasz 10
Grossbart Henryk (później Stanisław Brodzki)
 36, 39
Gruson Sydney 243
Grzybowski Faustyn 152
Gurianow Aleksander 17
Henze Paul 219–221
Herling-Grudziński Gustaw 251, 252
Hiss Alger 198
Hitler Adolf 52
Hochfeld Julian 164
Hoffman Maurycy 101
Holtzmann Bill 197
Hołuj Tadeusz 140
Honkisz Władysław 66
Hoppe Jan 82
Horthy Miklós 125
Hryniewicz Bogusław 115, 137, 143
Huchla Mieczysław 99
Humer Adam 191, 254
Hutter Leopold 34
Izydorczyk Jan 172–174, 176
Jabłonowski Roman 164
Jakubowski Mieczysław 82
Jan Paweł II 220
Jankowski Jan Stanisław 83
Jaroszewicz Alfred 114, 117, 120, 137, 143,
 147, 206
Jaroszewicz Emilia 137
Jaroszewicz Piotr 65
Jaruzelski Wojciech 13
Jasienica Paweł (właśc. Leon Lech
 Beynar) 99
Jasiewicz Jan 219
Jelcyn Borys 15
Jewdokimienko Gieorgij 205
Johnson Ross A. 16, 219
Joselewicz Berek 52
Józwiak Franciszek „Witold” 77, 113, 158,
 202, 205, 210, 242
Kaczmarek Czesław bp 145
Kapkowski Edward 67, 68
Kaplan Karel 135
Karliner Oskar 37, 99
Karlsbad Karol 78
Karski Jan 199
Kasman Leon 127, 129
Kauffman Lolek 29
Kaufner Julian 37
Kędziora Jerzy 114
Kennan George 183, 224

- Kersten Charles 199, 221
Kersten Krystyna 10
Kliszko Zenon 130, 134, 140
Klitenik Leon 243
Kluczewski Mariusz 17
Knobelspiesse A.V. 182
Koçi Xoxe 120
Koestler Arthur 139
Komar Wacław 128, 165, 186, 193, 206
Kontrym Bolesław 115, 142
Kontrym Konstanty 92, 115
Korboński Stefan 231, 238
Korczyński Grzegorz 78, 79, 97, 112, 150, 159, 237
Koryciorz Agnieszka 243, 244
Kostow Trajczko 123, 130, 162, 181, 183
Koton Elias 111
Kovacevicova imię 125
Kowalski Tadeusz A. 50
Kozłowski Marian 101, 104
Krajewski Henryk 79
Kramer Mark 16, 252
Krasnov Vladislav 231
Kratko Józef 138, 189, 209
Krawczyk Franciszek 246
Krawczyk Jacek 16, 233, 234
Kriwicki Walter G. 232
Krzeczowski Henryk 184, 185
Krzysztofiński Mariusz 13, 158
Kubsz Franciszek 64
Kuhl Stefan 128
Kukawka Kazimierz 242, 243, 244
Kukliński Ryszard 13
Kulczykowski Mariusz 45
Kuraś Józef „Ogień” 95, 98
Kurtyka Janusz 174
Kwasek Edmund 114
Kwiatkowski Jan 89
Łabuszewski Tomasz 82
Lachtman Antonina 123, 125
Lampe Alfred 63
Łanin Grzegorz 89
Łapot Stanisław 105
Le Carré John 180
Lebiediew Wiktor 122, 124, 127, 147, 148, 185
Lechowicz Włodzimierz 110–114, 117, 118, 120, 127, 128, 137, 143, 147, 164, 206
Lenin Włodzimierz I. 31, 38, 108, 173
Lefebvre-Desnouettes Charles 21
Lesiuk Stanisław 246
Leśniewski Edward 189, 209
Lewikowski Wacław 129, 135, 138, 150, 212
Lichaczow Michaił 82, 86, 87, 148
Lichodziejewski Kazimierz 78
Liebknecht Karl 38
Lipski Józef 227
Lipszyc Radek 36
Lis Jan 123
Loga-Sowiński Ignacy 136, 137, 140, 161
Łukasik Antoni 103
Luksemburg Róża 38
Lustiger Arno 162
Machcewicz Paweł 13, 217, 225
Machejek Władysław 245
Maciej Korkuć 95, 98
Majski Iwan 61
Makarow imię 177, 179, 180, 204
Maksymkin Wiktor 194, 213, 214
Malenkov Gieorgij 205
Malinowski Roman 107
Mannheim Karl 9
Mao Tse-Tung 204
Marat Stanisław 155
Matuszewski Stefan 65
Matwin Władysław 65
Mazur Franciszek 127, 128, 172, 202, 210
Mazur Grzegorz 80
Michajłow Paweł 82, 86, 87
Michalak Kazimierz 15, 190
Michalski Władysław 241
Michnik Adam 248
Michoels Salomon (właśc. Salomon Wowski) 147
Mielke Erich 172, 173, 176, 177, 179, 180, 204
Mieroszewski Juliusz 234, 235, 237
Mierzeński Stanisław 115, 146, 206, 242
Mierzwa Stanisław 99

- Mieszik Paweł 75
Mietkowski Mieczysław 62, 65, 77, 112, 121,
131, 138, 139, 155, 176, 183, 192, 206, 212
Miga Stanisław 48, 49
Mijał Kazimierz 140
Mikojan Anastas 203
Mikołajczyk Stanisław 98, 219, 231
Minc Hilary 108, 109, 111, 117, 120, 121, 185,
193, 202, 203
Mirski Karol 193
Mizgiewicz Rudolf 67, 68
Moczar Mieczysław 112, 140, 143, 159, 237, 246
Moczarski Kazimierz 142
Mołotow Władysław 52, 109, 247
Mond Bernard 52–54
Montefiore Simon Sebag 79
Morgen Marceli 104
Mroczkowska Małgorzata 16
Mroz Władysław 241
Muraszko Galina P. 109
Muszkat Marian 65
Mutzenmacher Josek 143
Nagórski Zygmunt 178, 233
Napoleon 21
Naszkowski Marian 65
Natan Michał 91
Niepokólczycki Franciszek 99
Nikołaszkin Jurij 83, 87, 138, 152, 155
Nosek Vaclav 127
Noskow Albin F. 109
Nowak Jerzy Robert 10
Nowak Roman 183, 245
Nowak Zenon 183
Nowak-Jeziorański Jan 13, 16, 188, 219–225,
227, 228, 232, 237, 240, 248, 251, 252, 254
Nowicki Stanisław 128
Nowotko Marceli 247
Obozowicz-Dornfest (właśc. Fleischfarb)
Róża 90, 132, 194, 213
Obozowicz-Maksymin (właśc. Fleischfarb)
Maria 90, 132, 194, 213
Obozowicz-Sztatler (właśc. Fleischfarb)
Krystyna 90, 132, 194, 213
Ochab Edward 41, 69, 121, 186, 202, 203,
223, 235, 243
Odyniec-Dobrowolski Henryk 82
Okulicki Leopold 83
Olkowski Jan (właśc. Hrycaniuk) 96, 97,
100–102, 104, 105
Orechwa Mikołaj 87, 102, 135, 152
Osęka Piotr 16
Osękowski Czesław 97
Osóbka-Morawski Edward 83, 84
Palka Henryk 91, 92
Pasek Witold 115
Pasqualini Ennio (Castiglione) 150
Paszkowski Zbigniew 205
Pawlikiewicz Leszek 17
Pawłowska Jolanta 17
Pawłowski Jerzy 239
Perlman Jakub 44
Peter Gabor 124, 125
Petrović Milic 130
Piasecki Bolesław 79, 82, 237
Piasecki Henryk 89, 112, 118, 135, 138, 148,
150–152, 157, 158, 166, 190, 192, 210
Pichoja Rudolf 15
Piechocki Zygmunt 38, 39
Piecuch Henryk 12, 13, 157, 183
Pilch Andrzej 13, 33
Piłsudski Józef 49, 66
Pimienow [?] 83
Piotrowski Kazimierz 249
Pirek Ewa 17
Platt Dobrosława 16
Pogorzelski Henryk 115
Poksiński Jerzy 150
Pomian Krzysztof 234, 236
Poniatowski Józef książę 21
Popiełuszko Jerzy 249, 251
Popow Georgij M. 185
Pożoga Władysław 12
Prawin Jakub 65
Przetakiewicz Hanna 181
Pszczółkowski Edmund 163
Ptański Jan 150, 205, 249

- Putrament Jerzy 65, 179, 187
Radkiewicz Stanisław 41, 87, 101, 102, 112,
117, 118, 121, 122, 126, 127, 129, 138,
139, 143, 145, 147, 149, 152, 158, 176,
183, 186, 191, 193, 202, 204–206, 221, 223
Rajk László 122–126, 130, 148, 162, 181, 183
Rákosi Mátyás 122, 124–126
Rapacki Adam 243, 244
Rawicz Jerzy 217
Reguła Jan Alfred 143
Ribbentrop Joachim von 52, 247
Ringer Czesława 43, 133
Robb-Narbutt Ignacy 140
Rodziński Witold 140
Rokicki Konrad 13, 154
Rokossowski Konstanty 130, 193
Rola-Żymierski Michał 122, 136, 137, 140,
143, 144, 150, 164
Romkowski Roman 41, 83, 87, 102, 105, 107,
111, 112, 114–118, 121, 123–125, 128,
129, 131, 135–140, 144, 145, 148, 150,
151, 155, 171, 176, 179, 183, 186, 194,
202, 204, 206, 208, 210, 212, 226, 236,
242, 243, 245, 246
Róžański Józef (właśc. Goldberg) 11, 12, 99,
103, 111, 113, 114, 116, 127–129, 138,
146, 155, 161, 179, 183–186, 191, 205,
206, 208, 210, 218, 236, 242, 245, 246
Rozenbaum Włodzimierz 16, 239, 252
Rudnicki Adolf 51, 52
Rukavina Ante 125, 126, 130
Ruzikowski Tadeusz 160
Rybicki Marian 243, 244
Rydz-Śmigły Edward 49, 53
Sacharow Andriej 181
Sapieha Adam 95
Sawicki Jacek 68
Schatz Jaff 8–10, 253
Seely Kathleen 196
Shackley Jr Theodore G. 195–197
Siedlecki Jerzy 163
Sienkiewicz Witold 172, 176, 177, 179, 183,
193, 205
Sieradzki Kazimierz 192
Sierow Iwan A. 69, 75, 79–84, 86, 87, 183, 238
Sikorski Władysław 61
Siwiec-Cielebon Michał 17, 48, 49
Skorodecki Stanisław 206
Skrzypek Andrzej 185
Ślanský Rudolf 127, 161–163, 166, 181, 190
Ślaski Jerzy 83, 85
Snopkiewicz Jacek 155
Snyder Timothy 16
Sobczak Stefan 96–98, 176
Sobór Anna 12, 16
Sokolak Henryk 246
Sokorski Włodzimierz 65
Sołżenicyn Aleksander 181
Sosnkowski Kazimierz 228
Sowińska Barbara 110, 114
Spalek Robert 13, 113, 144
Spychalski Marian 109, 110, 111, 118, 121,
123, 128, 130, 136–139, 142, 144, 147,
150, 161, 163–165, 194, 206, 216
Stalin Józef 52, 63–65, 68, 69, 81, 84, 108,
109, 120, 124, 127, 144, 147, 149, 161,
164, 165, 181, 184, 185
Stanikowa Nela 152
Stankiewicz Jan 174, 177, 193
Stawarz Aleksander 51
Steinhaus Hugo 226
Steven Stewart 180–182, 185, 204, 238
Strażyc Marian 53
Strykowski Julian 23, 30
Strzetelski Stanisław 220–222, 225, 228
Sullivan Michael 180, 185
Suski Kazimierz 78
Świątkowski Aleksander 67
Światło Jerzy 131
Światło Józef *passim*
Światło Justyna (Justa, Justyna Stankiewicz)
29, 42, 43, 55, 56, 62, 63, 66, 77, 86, 89,
90, 94–96, 101, 102, 104, 131, 133, 152,
156, 165, 166, 171–173, 187, 189, 192,
213, 214, 245, 253
Światło Krystyna Ryszarda 90

- Światło Leokadia 95, 96, 184, 213, 214
Światło Sara (Sabina) 95
Światło Walter 62
Światło Włodzimierz (później Radzyński)
213, 214
Święcicki Marek 246
Świerczyński Maciej 7, 85
Świetlik Konrad 65, 77, 112, 121, 138, 139,
183, 212
Syzdek Bronisław 249
Syzdek Eleonora 181
Szaraburin Aleksander 65, 67
Szaynok Bożena 162
Szenauk Aleksander 86, 133, 145, 165, 166, 171
Szepiłow Dymitrij 203
Szlachcic Franciszek 159
Szljajfer Henryk 10
Sztatler Bernard 194, 214
Szűcs Ernő 124–126, 137
Szwagrzyk Krzysztof 13
Szwalbe Stanisław 84
Szydzes Wanda 82
Szymański Lucjan „Janczar” 78
Szymborski Krzysztof 16
Taboryski Michał 145
Tatar Stanisław 128, 165
Theodore Shackley 14
Tischler Janos 16
Titkow Walenty 65
Tito Josif 109, 110, 123, 180
Topyło Jacek 12
Torańska Teresa 14, 162
Tracz Edward 189, 192, 209
Trocki Lew 108
Troskiewicz Roman (Tichowitsh) 177
Turlejska Maria 118
Tyszkiewicz Tadeusz 21
Ulbricht Walter 172–174, 176
Utnik Marian 128
Vesely Jindřich 126, 127
Vilem Novy
Walczak Mieczysław 132
Wallach Erica 199
Wanderer Michał 57, 58
Wasilewska Wanda 63
Watt Aleksander 140
Węglarczyk Bartosz 16, 252
Werfel Roman 99
Wicha Władysław 205
Winiewicz Józef 199
Wiśniewski Tadeusz 67
Witaszewski Kazimierz 65
Witos Wincenty 83–85, 99, 106
Wohl Stanisław 65
Woźnicki Bohdan 248
Wyszyński Stefan kard. 145, 198, 99, 206, 236
Zalewski Jerzy 21
Zambrowski Roman 122, 127, 172, 185, 202, 223
Zarako-Zarakowski Stanisław 99, 252
Zarzycki Janusz 122, 140
Żdanow Andriej 109, 111
Zimmerer Katarzyna 60
Zimowska Katarzyna 17
Zollman Fejga (Rubin) 42, 55, 61
Zollman Fryda 42–44, 46, 55, 56, 60, 63, 94, 213
Żukow Georgij 80
Żurowski Antoni „Andrzej” 78, 79
Zwierzyński Aleksander 82

Wykaz skrótów

AK – Armia Krajowa	KM – Komitet Miejski
BBC – British Broadcasting Corporation (Brytyjska Korporacja Radiowa)	KOP – Korpus Ochrony Pogranicza
BP – Biuro Polityczne	KP – Komitet Powiatowy
CAW – Centralne Archiwum Wojskowe	KPP – Komunistyczna Partia Polski
CIA – Central Intelligence Agency (Centralna Agencja Wywiadowcza)	KW – Komitet Wojewódzki
CKKP – Centralna Komisja Kontroli Partyjnej	KW – Komitet Wojewódzki
DOK – Dowództwo Okręgu Korpusu	KW MO – Komenda Wojewódzka Milicji Obywatelskiej
DP – Dywizja Piechoty	KZM – Komunistyczny Związek Młodzieży
DST – Direction de la Surveillance du Territoire (Dyrekcja Nadzoru Kraju)	KZMP – Komunistyczny Związek Młodzieży Polski
FBI – Federal Bureau of Investigation (Federalne Biuro Śledcze)	LWP – Ludowe Wojsko Polskie
GISZ – Generalny Inspektor Sił Zbrojnych	MBP – Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego
GL – Gwardia Ludowa	MDM – Międzynarodowy Dzień Młodzieży
GO – Grupa Operacyjna	MO – Milicja Obywatelska
GRU – Główny Razwiedywiatielnoje Uprawlenie (Główny Zarząd Wywiadu)	MSW – Ministerstwo Spraw Wewnętrznych
GZI – Główny Zarząd Informacji	MSZ – Ministerstwo Spraw Zagranicznych
IKC – Ilustrowany Kurier Codzienny	MWD – Ministierswto Wnutriennych Dieł (Ministerstwo Spraw Wewnętrznych)
IPN – Instytut Pamięci Narodowej	NKGB – Narodnyj Komissariat Gosudarstwiennoj Biezopasnosti (Ludowy Komisariat Bezpieczeństwa Państwowego)
KBW – Korpus Bezpieczeństwa Wewnętrznego	NKWD – Narodnyj Komissariat Wnutriennych Dieł (Ludowy Komisariat Spraw Wewnętrznych)
KC – Komitet Centralny	
KD – Komitet Dzielnicowy	

NRD – Niemiecka Republika Demokratyczna	PZPR – Polska Zjednoczona Partia Robotnicza
NSW – Naczelny Sąd Wojskowy	ROAK – Ruch Oporu Armii Krajowej
NSZ – Narodowe Siły Zbrojne	RP – Rzeczpospolita Polska
NZW – Narodowe Zjednoczenie Wojskowe	RWE – Radio „Wolna Europa”
OOP – Oddziałowa Organizacja Partyjna	SG – Straż Graniczna
ORMO – Ochotnicza Rezerwa Milicji Obywatelskiej	SRI – Samodzielny Referat Informacyjny
OUN – Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów	UB – Urząd Bezpieczeństwa
PAP – Polska Agencja Prasowa	UBP – Urząd Bezpieczeństwa Publicznego
PKB – Państwowy Korpus Bezpieczeństwa	VOA – Voice of America (Głos Ameryki)
PKWN – Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego	WiN – Zrzeszenie Wolność i Niezawisłość
POP – Podstawowa Organizacja Partyjna	WKP(b) – Wszechzwiązkowa Komunistyczna Partia (bolszewików)
POW – Polska Organizacja Wojskowa	WOP – Wojska Ochrony Pogranicza
PP – Podśluchy Pokojowe	WP – Wojsko Polskie
PPP – Polskie Państwo Podziemne	WUPB – Wojewódzki Urząd Bezpieczeństwa Publicznego
PPR – Polska Partia Robotnicza	ZAMP – Związek Akademickiej Młodzieży Polskiej
PPS – Polska Partia Socjalistyczna	ZMP – Związek Młodzieży Polskiej
PRL – Polska Rzeczpospolita Ludowa	ZPP – Związek Patriotów Polskich
PUBP – Powiatowy Urząd Bezpieczeństwa Publicznego	ZSRR – Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich
	ŻKA – Żydowski Komitet Antyfaszystowski



Z556013